

A close-up, high-contrast photograph of a woman's face. Her right eye is a striking, unnatural blue color, while the rest of her face is in grayscale. Her hair is dark and appears to be blowing in the wind. The overall mood is mysterious and unsettling.

FAŁSZYWY
ŚWIADEK

**KARIN
SLAUGHTER**

**KARIN
SLAUGHTER**

FAŁSZYWY
ŚWIADEK

Tłumaczenie
Dorota Stadnik

Dla moich czytelników

*Przeszłość nigdy nie leży tam,
gdzie według nas ją zostawiliśmy.*

Katherine Anne Porter

LATO 1998

Callie krzątała się po kuchni, gdy usłyszała, jak Trevor znowu stuka w akwarium. Zaciśnęła palce na szpatułce, którą mieszała masę na ciasteczka. Chłopiec miał tylko dziesięć lat, ojca sukinsyna, alergię na koty i bał się psów. Jakby tego było mało, podejrzewała, że dręczą go w szkole. Każdy psychiatra orzekłby, że dziecko terroryzuje nieszczęsne rybki w desperackiej próbie zwrócenia na siebie uwagi, ale Callie i tak ledwie to wytrzymała.

Puk, puk, puk...

Potarła skronie, usiłując oszukać ból głowy.

– Trev, stukasz w akwarium? Przecież prosiłam, żebyś tego nie robił.

Stukanie ustało.

– Nie stukam.

– Na pewno?

Zapadła cisza.

Gdy Callie zaczęła wykladać porcje ciasta na blachę do pieczenia, stukanie powróciło niczym metronom. W rytmie na trzy Callie dokończyła wykładanie masy na ciasteczka.

Puk, puk – pac. Puk, puk – pac.

Gdy zamykała drzwi piekarnika, Trevor pojawił się za nią cicho jak seryjny zabójca i objął ramionami, mówiąc przy tym:

– Kocham cię.

Przytuliła go mocno, a imadło ściskające jej czaszkę nieco odpuściło. Pocałowała Trevora w czubek głowy. Smakował słono, to przez ten nieznośny upał. Stał nieruchomo, ale buzująca w nim nerwowa energia kojarzyła się Callie ze zwiniętą sprężyną.

– Chcesz wylizać miskę?

Dostała odpowiedź, zanim zdążyła dokończyć pytanie. Trevor przyciągnął kuchenne krzesło do kontuaru i wzorem Kubusia Puchatka wsadził głowę do naczynia.

Callie otarła pot z czoła. Słońce zaszło godzinę temu, ale w domu ciągle było jak w piecu. Klimatyzacja działała słabo, a włączony piekarnik zamienił kuchnię w saunę. Wszystko było lepkie i mokre, z nią i Trevorem włącznie.

Odkręciła kran. Zimna woda niosła ukojenie. Callie ochlapała sobie twarz, potem, ku radości Trevora, spryskała mu kark.

Kiedy przestał chichotać, przełączyła wodę na ciepłą, by umyć szpatułkę, i odłożyła ją na suszarkę obok naczyń z obiadu. Dwa talerze. Dwie szklanki. Dwa widelce. Jeden nóż do krojenia hot dogów Trevora, jedna łyżeczka do sosu worcester mieszanego z keczupem.

Trevor podał jej miskę do mycia. Kiedy się uśmiechał, usta wykrzywiały mu się w lewo, zupełnie jak u ojca. Stał obok niej przy zlewie z biodrem przyciśniętym do jej biodra.

– Stukałeś w szybę akwarium? – zapytała.

Podniósł na nią wzrok. Widziała w jego oczach, że kombinuje, zupełnie jak ojciec.

– Mówiłaś, że to ryby dla początkujących. I tak długo nie pożyją.

Callie miała na końcu języka złośliwą odpowiedź godną swojej matki: „Twój dziadek też umrze. Czy mamy jechać do domu opieki

i wbić mu igły pod paznokcie?”.

Nie powiedziała tego głośno, ale poczuła, że sprężyna w środku Trevora zwinęła się jeszcze ciaśniej. Zawsze ją niepokoiło, jak bardzo jest zestrojony z jej emocjami.

– No dobrze. – Wytarła ręce o spodenki i skinęła głową w stronę akwarium. – Trzeba wymyślić dla nich imiona.

Zrobił czujną minę jak ktoś, kto boi się, że zrozumie dowcip jako ostatni.

– Ryby nie mają imion.

– Oczywiście, że mają, głuptasie. Pierwszego dnia w szkole nie mówił do siebie: cześć, nazywam się Ryba. – Łagodnie popchnęła go do salonu. Dwa dwubarwne ślizgi robiły nerwowe kółka w wodzie. W trakcie zmuśnionego procesu tworzenia akwarium Trevor kilkakrotnie tracił nim zainteresowanie, ale odzyskał je wraz z przybyciem rybek.

Kolano Callie strzeliło, gdy klęknęła przy akwarium. Łatwej znosiła ten pulsujący ból niż widok brudnych palców Trevora zostawiających tłuste plamy na szkle.

– Co z tym? – Wskazała mniejszą rybkę. – Jak ma na imię?

Lewy kącik ust Trevora wykrzywił się w uśmiešku.

– Przynęta – oznajmił.

– Przynęta?

– Dla rekina, żeby przypląnął i ją zjadł! – Wybuchnął hałaśliwym śmiechem i zaczął tarzać się po podłodze.

Callie próbowała rozmasować pulsujące bólem kolano. Salon robił przygnębiające wrażenie. Poplamiony włochaty dywan leżał na podłodze pewnie od lat osiemdziesiątych. Światło ulicznych lamp przenikało do środka między karbowanymi brzegami pomarańczowo-brązowych

zasłon. Jeden kąt pokoju zajmował bogato zaopatrzony bar z przydymionym lustrem z tyłu. Z półki pod sufitem zwisały kieliszki, przy lepkim drewnianym kontuarze w kształcie litery L stały cztery stołki barowe. Centrum salonu stanowił gigantyczny telewizor, który ważył więcej od Callie. Pomarańczowa kanapa nosiła przygnębiające ślady jego i jej wgłębień na dwóch końcach. Jasnobrązowe fotele klubowe miały plamy potu na oparciach. W podłokietnikach widniały dziurki wypalone tłącymi się papierosami.

Trevor wziął ją za rękę. Znowu wyczuł jej nastrój.

– A druga ryba? – zagadnął.

Uśmiechnęła się, przytykając głowę do jego głowy.

– Może... – To musiało być coś dowcipnego i rybnego jednocześnie: Anna Boleń, Dżyngis Karp, Attyla Szprotek... – Mister Dar-Sea?

Trevor zmarszczył nos. Nie był fanem Jane Austen.

– O której wraca tata? – zapytał.

Buddy Waleski wracał do domu, kiedy chciał.

– Niedługo.

– Ciasteczka już gotowe?

Callie wstała, krzywiąc się z bólu, poszła za chłopcem do kuchni i spojrzeli na ciasteczka przez drzwiczki piekarnika.

– Jeszcze nie, ale kiedy wyjdiesz z kąpieli...

Trevor popędził korytarzem do łazienki i z trzaskiem zamknął za sobą drzwi. Callie usłyszała zgrzytnięcie kranu, a gdy do wanny poleciała woda, Trevor zaczął podśpiewywać.

Amator odtrąbiłby zwycięstwo, ale Callie nie była amatorką. Odczekała kilka minut, podkrađła się pod drzwi łazienki i uchyliła je, by

się upewnić, że Trevor na pewno siedzi w wannie. I zobaczyła, że zanurza głowę pod wodę.

Nadal nie mogła być pewna zwycięstwa – na krawędzi wanny nie widziała mydła – ale była zmęczona, bolały ją plecy, kolano rwało, kiedy szła korytarzem. Pozostało jej tylko zacisnąć zęby w drodze do baru, gdzie napełniła szklaneczkę do martini sprite'em i rumem w proporcji pół na pół.

Ograniczyła się do dwóch łyków, potem schyliła się i sprawdziła, czy mrugają światełka pod kontuarem. Kilka miesięcy temu przez przypadek odkryła tam kamerę cyfrową. Akurat wysiadł prąd i szukała świec, kiedy kątem oka dostrzegła błysk.

W pierwszej chwili pomyślała: uraz kręgosłupa z naciągnięciem więzadeł, zwichnięta rzepka, teraz jeszcze odklejenie siatkówki, ale światełko było czerwone, nie białe, i mrugało jak nos renifera Rudolfa między dwoma ciężkimi skórzanymi stołkami pod barem. Odsunęła je. Patrzyła na czerwone światełko przy mosiężnej podpórce na nogi u dołu baru.

To był dobry schowek. Front baru pokrywała wielobarwna mozaika. Potłuczone kawałki niebieskich, zielonych i pomarańczowych płytek były poprzetykane odłamkami lustra, a wszystko to maskowało dwuipółcentymetrowy otwór wycięty na wylot i sięgający półek pod barem. Za kartonem pełnym korków po winie Callie znalazła cyfrową kamerę marki Canon. Buddy przykleił kabel zasilający w głębi półki, ale prądu nie było od wielu godzin, więc bateria padała i Callie nie miała pojęcia, czy kamera coś nagrywa. Była skierowana wprost na kanapę.

Wytłumaczyła to sobie tak: prawie w każdy weekend do Buddy'ego przychodzili kumple. Oglądali koszykówkę, futbol, bejsbol, gadali o bzdurach, biznesie i kobietach, może mówili też rzeczy, które on wykorzystywał potem w interesach. I do tego potrzebował kamery.

Prawdopodobnie.

Przy drugim drinku darowała sobie sprite'a. Przyprawiony rum tak mocno palił jej gardło i nos, że kichnęła. Wypluła większość płynu, zasłaniając twarz przedramieniem. Była zbyt zmęczona, żeby iść do kuchni po ręcznik papierowy. Starła smarki ściereczką wiszącą przy barze. Haft na ściereczce podrapał jej skórę. Callie spojrzała na logo, które mówiło o Buddym wszystko. Nie Atlanta Falcons. Nie Georgia Bulldogs. Nawet nie Georgia Tech. Buddy Waleski kibicował drugoligowym Bellwood Eagles, szkolnej drużynie, która w ostatnim sezonie przegrała wszystkie mecze.

Gruba ryba/mały staw.

Dopijała reszkę rumu, gdy Trevor wpadł do salonu i znowu objął ją chudymi ramionami. Pocałowała go w czubek głowy. Nadal smakował słonym potem, ale na dzisiaj wystarczyło jej bitew. Teraz chciała tylko położyć go spać, a potem zapić ból rozpanoszony w jej ciele.

Usiedli na podłodze przed akwariem i czekali, aż ciastka ostygną. Callie opowiedziała Trevorowi o swoim pierwszym akwariem. O popełnionych błędach. O odpowiedzialności za życie rybek. W trakcie jej opowieści Trevor stał się dziwnie potulny. Tłumaczyła sobie, że wyciszył się po gorącej kąpieli, chociaż blask w jego oczach gasł z każdym kolejnym drinkiem, który nalewała sobie za barem.

Wyrzuty sumienia osłabły w niej, gdy nadeszła pora snu. Czuła, jak Trevor nakręca się, gdy usiedli przy kuchennym stole. Dobrze znana rutyna. Kłótnia o to, ile ciasteczek może zjeść. Rozlane mleko. Kolejna kłótnia o ciasteczka. Dyskusja o wyborze łóżka do spania. Walka o włożenie piżamy. Negocjacje, ile stron książki mu przeczyta. Całus na dobranoc. Następny całus. Prośba o szklanek wody. Nie tę szklanek, tylko drugą. Nie tę wodę, tylko tamtą. Krzyk, płacz, kolejna batalia

i kolejna porcja negocjacji. Obietnice na jutro – gry, zoo, wizyta w parku wodnym. I tak dalej, i tak dalej, aż wreszcie znalazła się sama za barem.

Powstrzymała się przed otwarciem następnej butelki. Nie chciała zachowywać się jak zdesperowana pijaczka. Ręce jej dygotały, patrzyła na nie w ciszy obskurnego pokoju, który kojarzył się jej z Buddym. Powietrze było duszne, dym z tysięcy wypalonych papierosów i cygaretek osiadł na niskim suficie w postaci plam, nawet pajęczyny w rogach przybrały brązowo-pomarańczową barwę. W tym domu nigdy nie zdejmowała butów. Myśl o tym, że włosie brudnego dywanu oblepiłoby jej stopy, przyprawiała ją o mdłości.

Powoli odkręciła butelkę. Woń przypraw uderzyła ją w nozdrza. Zaczęła się ślinić. Czuła odrętwienie na samą myśl o trzecim drinku, nie ostatnim, który pomógłby jej rozluźnić barki, ukoił skurcze pleców i ból kolana.

Drzwi do kuchni się otworzyły i Buddy zakasłał flegmą. Rzucił neseser na kontuar, kopnął krzesło Trevora pod stół i chwycił garść ciasteczek. W jednej ręce trzymał cygaretkę, gdy mamlął ciasteczka z otwartymi ustami. Callie dosłownie słyszała okruszki odbijające się od blatu stołu, od jego zdartych butów, toczące się po linoleum i zderzające z sobą jak maleńkie czyny, bo gdziekolwiek był Buddy, tam towarzyszył mu hałas, hałas, hałas.

W końcu ją zauważył. Przez chwilę nawet ucieszyła się na jego widok, czekała, aż zamknie ją w objęciach i znowu pozwoli poczuć się wyjątkowo. Potem z ust wyleciało mu więcej zlepionych śliną okruchów.

– Nalej mi jednego, lalczko.

Napełniła mu szklanekę szkocką z wodą sodową, a smród cygaretki niósł się przez cały pokój. Black & Mild. Nigdy nie widziała go bez tej paczki wystającej z kieszonki koszuli.

Buddy dojadł ostatnie ciasteczka i ruszył w stronę baru. Pod jego ciężkimi krokami trzeszczała podłoga. Okruchy na dywanie. Okruchy na pogniecionej i przepoconej roboczej koszuli. Uwięzione w popołudniowym zaroście.

Wyprostowany Buddy miał sto osiemdziesiąt osiem centymetrów wzrostu, ale on nigdy nie stał prosto. Miał wiecznie zaczerwienioną skórę i więcej włosów, niż zazwyczaj mieli mężczyźni w jego wieku. Niektóre zaczynały już siwieć. Ćwiczył, ale tylko dźwiganie ciężarów, więc bardziej przypominał goryla niż człowieka z tym krótkim tułowiem i tak umięśnionymi barami, że ręce odstawały od korpusu. Callie rzadko widziała, by jego dłonie nie zaciskały się w pięść. Roztaczał wokół siebie aurę bezlitosnego skurwysyna, na jego widok ludzie na ulicy skręcali w przeciwnym kierunku.

Jeśli Trevor był zwiniętą sprężyną, to Buddy był młotem kowalskim.

Rzucił cygaretkę do popielniczki, wypił szkocką jednym haustem i z hukiem odstawił szklankę na kontuar.

– Miałaś dobry dzień, laleczko?

– Tak. – Odsunęła się, żeby mógł sobie nalać.

– Ja miałem świetny. Wiesz, gdzie powstaje nowe centrum handlowe przy Stewart? Zgadnij, kto będzie stawiał szkielet konstrukcji?

– Ty – odparła, chociaż Buddy nie czekał na odpowiedź.

– Dziś dostałem zaliczkę, jutro wylewają fundamenty. Nie ma to jak gotówka w kieszeni, nie? – Beknął i walnął się w pierś, żeby uszła z niego resztką powietrza. – Podaj mi lodu. – Ruszyła po lód, ale złapał ją za tyłek, jakby przekręcał gałkę w drzwiach, i mruknął: – Jaka mała ta twoja dupeczka.

Jeszcze nie tak dawno Callie uważała, że jego obsesja na punkcie jej drobnych rozmiarów jest nawet zabawna. Podnosił ją jedną ręką,

rozczapierzał dłoń na jej pupie, a wtedy kciuk i mały palec prawie sięgały obu jej kości biodrowych. Nazywał ją kruszynką, dziewczuszką, laleczką, a teraz...

To była kolejna rzecz, która ją w nim irytowała.

Idąc do kuchni, tuliła do siebie wiaderko na lód. Zerknęła na akwarium. Rybki się uspokoiły, pływały przez bąbelki wylatujące z filtra. Napełniła wiaderko kostkami lodu, które miały w sobie zapach sodы i oparzeliny mrozowej.

Buddy okręcił się na stołku, gdy szła w jego stronę, uszczknął czubek cygaretki i wsadził ją z powrotem do paczki.

– A niech mnie, małeńka, uwielbiam, jak ruszasz biodrami. Obróć się dla mnie.

Callie poczuła, że znowu przewraca oczami. Natrzęsała się sama z siebie. Jej drobna, głupia, samotna cząstka ciągle nabierała się na jego flirtowanie. Buddy był pierwszym człowiekiem w jej życiu, który sprawił, że poczuła się kochana. Nikt przedtem nie uważał jej za wyjątkową i nie otaczał taką troską. Buddy zapewnił jej poczucie bezpieczeństwa.

Ale ostatnio chciał się tylko bzykać.

Schował cygaretki do kieszeni. Zanurzył łapę w wiaderku z lodem. Callie zobaczyła brud za jego paznokciami.

– Jak dzieciak? – zapytał.

– Śpi.

Wsadził jej rękę między nogi, nim dostrzegła błysk w jego oczach. Ugięła kolana. Czuła się tak, jakby usiadła na szpadlu.

– Buddy...

Drugą ręką złapał ją za pośladki i znalazła się w pułapce jego potężnych ramion.

– Jaka jesteś maleńka. Mógłbym wsadzić cię do kieszeni i nikt by tego nie zauważył.

Kiedy wsunął jej język do ust, poczuła smak ciasteczek, szkockiej i tytoniu. Odwzajemniła pocałunek. Gdyby go odepchnęła i zraniła jego ego, trwałoby to dłużej, a ona i tak skończyłaby w tym samym miejscu.

Mimo prostactwa i agresji Buddy był przeczulony na punkcie własnych uczuć. Potrafił bez mrugnięcia okiem spuścić łomot dorosłemu facetowi, ale przy niej bywał tak wrażliwy, że czasem Callie cierpła skóra. Godzinami go upewniała, dopieszczała, wspierała, wysłuchiwała dręczących wątpliwości, którymi ją zalewał.

A także się zastanawiała, czemu wciąż jest z nim. Powinna znaleźć sobie kogoś innego. Przecież jest spoza jego ligi. Za ładna. Za młoda. Za bystra. Z klasą. Czemu poświęca czas takiemu tępemu brutalowi jak on? Co w nim widzi? Nie, ma powiedzieć z detalami, tu i teraz, co jej się w nim podoba. Konkretnie.

Ciągle powtarzał, że jest piękna. Zabierał ją do eleganckich restauracji i ekskluzywnych hoteli. Kupował biżuterię i drogie ciuchy, dawał jej matce pieniądze, kiedy wpadała w finansowy dołek. Groził pobiciem każdemu mężczyźnie, który śmiał krzywo na nią spojrzeć. Świat pewnie uważał, że Callie ma niesamowite szczęście, ale ona zastanawiała się, czy nie byłoby lepiej, gdyby traktował ją tak samo okrutnie jak resztę. Wtedy miałyby powód do nienawiści. Konkretnie, który mogłaby wskazać, zamiast to jego żalodne wylewanie łez czy błaganie na kolanach o przebaczenie.

– Tatusiu?

Callie drgnęła, gdy usłyszała Trevora, który stał w korytarzu z kocem w rękach.

Buddy, nie odrywając od niej rąk, nakazał:

– Wracaj do łóżka, synu.

– Chcę do mamy.

Callie zamknęła oczy, żeby nie widzieć twarzy Trevora.

– Rób, co mówię. Ale już – warknął Buddy.

Callie wstrzymała oddech i wypuściła powietrze z płuc, dopiero gdy usłyszała, jak powolne kroki Trevora cichną w korytarzu, a po chwili skrzypnęły drzwi jego sypialni i kliknął zatrzask.

Odsunęła się od Buddy'ego i poszła za bar. Zaczęła ustawiać butelki etykietkami w jedną stronę, wycierać kontuar i udawać, że nie ustawia między nimi bariery.

Buddy parsknął śmiechem i potarł ramiona, jakby chciał się rozgrzać, a przecież w tym nędznym domu panowała duchota.

– Skąd nagle ten chłód? – zapytał.

– Powinnam sprawdzić, co z nim – powiedziała Callie.

– Nie. – Buddy obszedł bar i zablokował jej wyjście. – Najpierw sprawdź, co ze mną. – Nakierował jej dłoń ku wybrzuszeniu w spodniach i poprowadził ją w górę i w dół, a ona przypomniała sobie, jak szarpał linkę kosiarki, by uruchomić silnik. – O tak. – Powtórzył ruch, a wtedy Callie ustąpiła. Bo zawsze ustępowała. – Tak dobrze – wymruczał.

Zamknęła oczy. Czowała zapach cygaretki tłącej się w popielniczce, akwarium bulgotało na drugim końcu pokoju. Starła się wymyślić rybkom fajne imiona, żeby jutro podsunąć je Trevorowi:

James Pond.

Darth Baiter.

Tank Sinatra.

– Jezu, jakie masz maleńkie dłonie. – Buddy rozpiął spodnie, położył jej ręce na ramionach i nacisnął. Dywan za barem był mokry. Callie uklękła na miękkim włosiu. – Jesteś moją małą baleriną. – Gdy wzięła go w usta, złapał ją mocniej za ramiona. – Jezu, tak dobrze. O tak.

Callie mocniej zacisnęła powieki.

Tuna Turner.

Leonardo DeCarpio.

Mary Kate i Ashley Ocean.

Buddy poklepał ją po ramieniu.

– Chodź, mała. Skończymy na kanapie.

Nie chciała iść na kanapę. Chciała skończyć teraz i odejść. Być sama. Odetchnąć głęboko i wypełnić płuca czymkolwiek innym, byle nie nim.

– Niech to szlag!

Callie drgnęła.

Buddy nie krzyczał na nią.

Drobna zmiana w powietrzu powiedziała jej, że Trevor znowu jest w korytarzu. Próbowała sobie wyobrazić, co zobaczył. Muskularne łapska Buddy’ego zaciśnięte na blacie, biodra napierające rytmicznie na coś pod kontuarem.

– Tatusiu? – zaczął Trevor. – Gdzie jest...

– Co ci mówiłem?! – ryknął Buddy.

– Nie chce mi się spać...

– To wypij swoje lekarstwo. Idź!

Callie podniosła wzrok na Buddy’ego, który grubym paluchem wskazywał kuchnię.

Słyszała, jak krzesło Trevora szura po linoleum. Oparcie uderza w kontuar. Drzwiczki szafki otwierają się ze skrzypnięciem. Klik, klik, klik, gdy Trevor odkręcił butelkę z NyQuilem. Buddy nazywał ten syrop lekiem na spanie. Leki antyhistaminowe zwałyby Trevora z nóg na resztę nocy.

– Wypij – polecił Buddy.

Callie pomyślała o delikatnych fałdkach w gardle Trevora, kiedy odchylił głowę i wypił mleko.

– Odstaw to na blat – polecił Buddy. – Wracaj do pokoju.

– Ale ja...

– Wracaj do pokoju i nie wyściubiaj nosa, bo stłukę ci tyłek.

Callie znowu wstrzymała oddech, póki nie usłyszała kliknięcia zamka w drzwiach sypialni Trevora.

– Przeklęty bachor.

– Buddy, może powinnam...

Wstawała z ziemi, gdy Buddy okręcił się na pięcie i przypadkiem trafił ją łokciem prosto w nos. Nagły trzask pękających kości przeszył ją jak błyskawica. Była tak ogłuszona, że nawet nie mrugnęła.

Buddy był przerażony.

– Laleczko? Wszystko w porządku? Przepraszam, nie...

Zmysły Callie włączały się na nowo jeden po drugim. Do uszu dotarły dźwięki. Ból rozszedł się promieniście po całym ciele. Świat wirował jej przed oczami. Usta napełniły się krwią.

Nie mogła złapać tchu, krew spływała jej do gardła, pokój zaczął wirować, kolana ugięły się pod nią. Rozpaczliwie wyciągnęła ręce, by chronić się przed upadkiem za ziemię. Kartonowe pudło spadło z półki, a Callie uderzyła potylicą w podłogę. Korki po winie spadły jej na twarz i piersi jak wielkie krople deszczu. Zamrugła i zobaczyła przed sobą dwie dwubarwne rybki, które miotały się jak oszalałe. Gdy ponownie zamrugła, rybki odpłynęły. Powietrze wirowało jej w płucach, czuła pulsowanie w skroniach w rytm uderzeń serca. Strzepnęła coś z klatki piersiowej. Paczka Black & Mild wypadła Buddy'emu z kieszeni i cienkie cygaretki wysypały się prosto na nią. Wykręciła szyję i uniosła głowę, szukając go wzrokiem.

Spodziewała się zobaczyć skruszoną minę szczeniaczka, ale Buddy nie zwracał na nią uwagi. Trzymał w dłoniach kamerę wideo. Callie rzuciła ją z półki razem z kartonem i narożny skrawek plastikowej obudowy odłupał się przy upadku.

– Cholera – rzucił krótko i ostro.

W końcu spojrzał na nią. Miał rozbiegany wzrok, zupełnie jak Trevor przyłapany na gorącym uczynku i rozpaczliwie szukający wyjścia z trudnej sytuacji.

Callie opuściła głowę na wykładzinę. Wciąż czuła się zdezorientowana. Wszystko, na co patrzyła, pulsowało w rytm pulsowania w czaszce: kieliszki wiszące za nóżkę, zbrązowiałe plamy po wodzie na suficie. Zakasłała, osłaniając usta dłonią. I słyszała kroki Buddy'ego.

Znowu uniosła głowę, żeby na niego spojrzeć.

– Buddy, ja już...

Bez ostrzeżenia podniósł ją z ziemi szarpnięciem za ramię. Nie była w stanie ustać na własnych nogach, znak, że dostała łokciem mocniej,

niż myślała. Świat jej się zacinał jak igła gramofonu poruszająca się w jednym i tym samym rowku. Zakasłała i omal nie straciła równowagi. Czuła się tak, jakby zamiast twarzy miała otwartą ranę. Gęsta strużka krwi spływała jej do gardła, pokój wirował jak kula ziemiska. Czyżby wstrząśnienie mózgu? Przynajmniej takie miała objawy.

– Buddy, myślę...

– Przestań. – Złapał ją za kark i przeprowadził przez pokój do kuchni jak niegrzecznego psa.

Callie była zbyt zaskoczona, żeby protestować. Zawsze wybuchał wściekłością jak nagły i wszechogarniający pożar.

– Buddy, ja...

– Zamkniesz się, kurwa, i posłuchasz?! – Pchnął ją w stronę stołu.

Wyciągnęła ręce do tyłu, żeby oprzeć się o stół. Zebrało się jej na wymioty, kuchnia się zakołysała. Musiała dotrzeć do zlewu.

Buddy walnął pięścią w blat.

– Przestań pajacować, psiakrew!

Zatkała uszy. Widziała, że Buddy spurpurowiał z wściekłości. Ale dlaczego?

– Mówię poważnie, jak cholera. – Jego ton złagodniał, ale wciąż nie wróżył nic dobrego. – Musisz mnie wysłuchać.

– Dobrze, daj mi chwilę. – Nadal trzęsły się jej nogi. Rzuciła się do zlewu, odkręciła kran i poczekała, aż polecą czysta woda. Wsadziła głowę pod zimny strumień. Nos ją palił, ból przeszył całą twarz.

Buddy czekał, zacisnąwszy dłoń na krawędzi zlewu.

Callie wyprostowała się, ale silny zawrót głowy omal nie zwałił jej z nóg. Wyjęła z szuflady ręcznik. Szorstki materiał drapał jej policzki.

Podłożyła go pod nos, by zatamować krwawienie.

– O co chodzi? – zapytała.

– Nie powiesz nikomu o kamerze, dobrze? – odparł, kołysząc się na piętach.

Ręcznik przesiąkł krwią, krew leciała z nosa, spływała do ust i gardła. Nigdy dotąd Callie tak rozpaczliwie nie pragnęła położyć się do łóżka i zamknąć oczu. Buddy zwykle wiedział, kiedy tego potrzebowała. Brał ją wtedy na ręce, niósł do pokoju, kładł i gładził po włosach, aż zasnęła.

– Obiecuj mi, Callie. Spójrz mi w oczy i obiecuj, że nie powiesz.

Znowu położył jej rękę na ramieniu, tym razem delikatniej. Gniew zaczął się w nim wypalać. Grubymi palcami wziął ją pod brodę. Poczowała się jak Barbie ustawiana przez niego w pożądanej pozie.

– Rany, skarbie. Twój nos... W porządku? – Chwycił świeży ręcznik. – Przepraszam. Jezu, twoja śliczna mała buźka. Dobrze się czujesz?

Callie odwróciła się do zlewu i wypluła krew. Czuła, jakby jej nos dostał się między koła zębate. To musiało być wstrząśnienie mózgu, bo widziała podwójnie. Dwa ślady krwi. Dwa krany. Dwie suszarki na naczynia.

– Słuchaj... – Złapał ją za ramiona, okręcił i przycisnął do szafek. – Nic ci nie będzie, rozumiesz? Postaram się o to. Ale nie mów nikomu o kamerze, dobrze?

– Dobrze – odpowiedziała, bo zawsze łatwiej było się z nim zgodzić.

– Mówię serio, laleczko. Spójrz mi w oczy i obiecuj. – Nie wiedziała, czy martwi się, czy denerwuje, póki nie potrząsnął nią jak szmacianą lalką. – Spójrz na mnie.

Była w stanie tylko powoli zamrużyć. Od całej reszty oddzielała ją chmura.

– Wiem, że to był wypadek.

– Nie chodzi o twój nos. Mówię o kamerze. – Oblizwał usta, wysuwając język jak jaszczurka. – Ani pary z ust o kamerze, laleczko. Mógłbym pójść do więzienia.

– Do więzienia? – To słowo pojawiło się znikąd, nic nie znaczyło. Równie dobrze Buddy mógł powiedzieć „jednorożec”. – Niby czemu...

– Laleczko, proszę. Nie bądź głupia.

Znów zamrużyła, wracała jej ostrość widzenia.

Buddy nie był ani przejęty, ani zły, ani nie poczuwał się do winy z powodu jej nosa. Buddy był przerażony.

Tylko dlaczego?

Wiedziała o kamerze od miesięcy, ale nie rozgryzła, po co została zamontowana. Pomyślała o weekendowych przyjęciach Buddy’ego. Lodówka pełna piwa. Powietrze gęste od dymu. Ryczący telewizor. Rechoczący pijani faceci, klepiący się po plecach, gdy próbowała wyciągnąć Trevora do kina, do parku czy gdziekolwiek, byle tylko wyjść razem z domu.

– Muszę... – Wydmuchała nos w ręcznik, a niteczki krwi utworzyły na białym tle wzór pajęczyny. Odzyskiwała jasność myśli, ale ciągle dzwoniło jej w uszach. Buddy przypadkiem trafił ją w nos. Czemu był taki nieostrożny?

– Posłuchaj mnie, laleczko. – Wbił jej palce w ramiona.

– Przestań powtarzać, żebyś słuchała. Przecież słucham. Słyszę wszystko, co do mnie mówisz. – Zakasłała tak mocno, że musiała

pochylić się i odkrztusić wszystko. Wytarła usta i podniosła wzrok na Buddy'ego. – Nagrywasz swoich kumpli? Po to zamontowałeś kamerę?

– Zapomnij o kamerze. – Buddy cuchnął paranoją. – Dostałaś w dziób, laleczko. Nie wiesz, co gadasz.

Co jej umykało?

Mówił, że jest przedsiębiorcą, ale nie miał biura. Przez cały dzień jeździł corvetta i stamtąd prowadził interesy. Wiedziała, że jest bukmacherem sportowym. I egzekutorem, mięśniakiem do wynajęcia. Nosił przy sobie mnóstwo gotówki. Zawsze znał gościa, który znał innego gościa. Czy nagrywał znajomków, którzy prosili go o przysługi? Płacili mu za zgruchotanie komuś kolana, spalenie czyichś budynków, szukanie haków na wroga czy wywieranie nacisków na opornych?

Nie potrafiła złożyć kawałków tej układanki w logiczną całość.

– Co robisz, Buddy? Szantażujesz ich?

Przygryzł zębami czubek języka. Namyslał się odrobinę za długo, zanim powiedział:

– Tak, skarbie. Szantażuję ich. Stąd mam gotówkę. Nie możesz zdradzić, że o tym wiesz. Szantaż to poważne przestępstwo. Mogliby mnie posłać do więzienia na resztę życia.

Znowu zerknęła w głąb pokoju. Wyobraziła sobie, że jest pełen ludzi. Za każdym razem tych samych. Niektórych nie znała, ale inni byli częścią jej życia i miała wyrzuty sumienia, że stała się beneficjentką nielegalnych działań Buddy'ego. Doktor Patterson – dyrektor szkoły. Trener Holt prowadzący Bellwood Eagles. Pan Humphrey – sprzedawca używanych aut. Pan Ganza, który obsługiwał dział delikatesowy w supermarkecie. Pan Emmett z gabinetu stomatologa.

Co złego zrobili? Co strasznego mieli na sumieniu trener, sprzedawca aut, stetryczały dupek o lepkich łapach, z czego zwierzili się

Buddy'emu Waleskiemu?

I czemu ci idioci przychodzili do niego co weekend oglądać futbol, koszykówkę, bejsbol, piłkę nożną, skoro Buddy ich szantażował?

„Chodź, skończymy na kanapie”.

Wzrok Callie powędrował od dwuipółcentymetrowego otworu na froncie baru ku kanapie dokładnie na wprost otworu i dalej ku cięższemu od niej ogromnemu telewizorowi.

Pod odbiornikiem znajdowała się szklana półka.

Dekoder. Kabel rozdzielający. Odtwarzacz wideo.

Przywykła do widoku potrójnego kabla RCA podłączonego do gniazd w odtwarzaczu. Czerwona wtyczka do prawego kanału audio. Biała do lewego kanału audio. Żółta do wideo. Kable tworzyły jeden długi przewód zwinięty na dywanie pod telewizorem. Nieraz zastanawiała się, do czego jest podłączony jego drugi koniec.

„Skończymy na kanapie”.

– Moja mała. – Buddy pocił się z desperacji. – Może spróbujesz się ogarnąć, co? Dam ci pieniądze. Już mówiłem, że dostałem kasę za jutrzejszą robotę. Dobrze się podzielić, prawda?

Callie najpierw zerknęła na niego, a potem przeszła go wzrokiem.

Buddy wyjął z kieszeni plik banknotów. Odliczył kilka, jakby przeliczał metody jej kontrolowania.

– Kup sobie nową bluzkę, dobrze? Może spodnie i buty do kompletu czy co tam chcesz. Może naszyjnik? Podoba ci się ten, który ci dałem, prawda? Kup sobie jeszcze jeden. Albo cztery. Bądź jak Mr. T., no wiesz, ten mięśniak obwieszony biżuterią.

– Filmujesz nas? – Zadała to pytanie, zanim dotarło do niej, że odpowiedź rozpęta piekło. Już nie robili tego w łóżku, tylko zawsze na

kanapie. Kończyli, a on zanosił ją do łóżka. – Tak, Buddy? Nagrywasz, jak mnie pieprzysz, i pokazujesz to kumplom?

– Nie bądź głupia. – Miał ten sam ton głosu co Trevor, kiedy zarzekał się, że nie stuka w akwarium. – Nigdy bym tego nie zrobił. Kocham cię.

– Ty przeklęty zboczeńcu!

– Uważaj na słowa – ostrzegł, i było to poważne ostrzeżenie.

A ona pojęła wszystko, co działo się przynajmniej od pół roku.

Doktor Patterson machający do niej z trybun w trakcie występów czirliderek.

Trener Holt puszczający do niej oko z bocznej linii w trakcie meczów.

Pan Ganza posyłający jej uśmiech, gdy podawał jej matce krojony ser w plasterkach na stoisku delikatesowym.

– Ty... – wykrztusiła przez ściśnięte gardło. Ci mężczyźni widzieli ją bez ubrania. Widzieli, co robiła Buddy’emu na kanapie. Co Buddy robił jej.

– Callie, uspokój się, bo zaczynasz histeryzować.

– Ja już histeryzuję! – wrzasnęła. – Oni mnie widzieli. Oglądali mnie. Wiedzą, co ja... co my...

– Daj spokój, laleczko.

Upokorzona zakryła twarz dłońmi.

Doktor Patterson. Trener Holt. Pan Ganza. Nie byli mentorami, ojcowskimi figurami czy uroczymi starszymi panami. Okazali się zboczeńcami, którzy jarali się oglądaniem, jak Buddy ją posuwa.

– Daj spokój – powiedział Buddy. – Robisz z igły widły.

Łzy jak grochy leciały jej po policzkach. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Kochała go. Zrobiła dla niego wszystko.

– Jak mogłeś?! Jak mogłeś tak mnie upokorzyć?!

– Co? – rzucił nonszalancko i spojrzał na plik banknotów. – Dostałaś, co chciałaś.

Potrząsnęła głową. Tego nigdy nie chciała. Zależało jej na poczuciu bezpieczeństwa, pewności, że jest chroniona. Chciała, żeby ktoś interesował się jej życiem, myślami, marzeniami.

– Daj spokój, maleńka. Płaciłem za twoje stroje, twój obóz czirliderski, a twoja...

– Powiem matce – zagroziła. – Powiem, co mi zrobiłeś.

– Myślisz, że ją to obejdzie? – Śmiech Buddy'ego był szczery. Oboje wiedzieli, że to prawda. – Póki gotówka płynie, twojej mamie to wisi.

Callie przełknęła ślinę. Miała wrażenie, jakby łykała potłuczone szkło.

– A Linda? – Gdy Buddy otworzył usta jak pstrąg wyrzucony na brzeg, atakowała dalej: – Ciekawe, co powie twoja żona, gdy się dowie, że od dwóch lat posuwasz czternastoletnią opiekunkę jej syna?

Usłyszała syk powietrza, które Buddy wciągnął przez zaciśnięte zęby.

Odkąd z nim była, ciągle mówił o jej drobnych rączkach, szczupłej talii, małych ustach, ale ani razu nie wspomniał o ponad trzydziestu latach różnicy między nimi.

Był przestępcą.

– Linda jest jeszcze w szpitalu, tak? – Callie podeszła do telefonu wiszącego przy tylnych drzwiach i palcami powiodła po numerach alarmowych spisanych na kartce przy aparacie. Walczyła z sobą,

zastanawiając się, czy zdoła odbyć tę rozmowę. Linda zawsze była dla niej dobra, a ta informacja mogła ją zdruzgotać. Wiedziała, że Buddy do tego nie dopuści.

Mimo to sięgnęła po słuchawkę. Spodziewała się, że Buddy zacznie zawodzić i błagać ją o wybaczenie, a potem zapewni o miłości i oddaniu.

Ale nic takiego nie zrobił, tylko bezgłośnie otwierał i zamykał usta. Stał jak znieruchomiały goryl z rękami odstającymi od tułowia.

Odwróciła się do niego plecami, oparła słuchawkę na ramieniu, rozplątała skręcony sznur i dotknęła ósemki na klawiaturze.

Cały świat zwolnił, zanim jej mózg zarejestrował, co się dzieje.

Dostała cios w nerkę, zupełnie jakby potrącił ją pędzący samochód. Telefon zsunął się z ramienia, rozłożyła ręce, stopy oderwały się od podłoża. Poczowała na skórze powiew powietrza, gdy wyleciała w górę.

Klatką piersiową zderzyła się ze ścianą i do końca rozkwasiała nos, zostawiając w regipsie ślady zębów.

– Głupia suka. – Buddy położył rozczapierzoną dłoń na jej potylicy i walnął jej głową w ścianę raz i drugi, a po trzecim cofnął się o krok.

Callie zmusiła się do zgięcia kolan. Czowała, że ma wyrwane włosy. Zwinęła się w kłębek na podłodze. Była już bita i potrafiła przyjąć cios, ale wtedy miała do czynienia z kimś o jej gabarytach. Z kimś, kto nie tłukł ludzi dla zarobku. Kto nigdy przedtem nie zabił.

– Szantażu jej się zachciewa, kurwa! – Kopnął ją w brzuch z mocą stalowej kuli do wyburzania.

Callie dźwignęła się z ziemi i wypuściła powietrze z płuc. Przeszywający ból powiedział jej, że ma złamane żebro.

Gdy Buddy padł na kolana, spojrzała na niego. Miał oszalały wzrok i ślinę w kącikach ust. Jedną ręką złapał ją za szyję. Próbowwała się

wyrwać, ale wylądowała na plecach. Buddy usiadł na niej okrakiem całym ciężarem ciała i zwiększył ucisk na tchawicę, odcinając dopływ powietrza. Zamachnęła się pięścią w jego krocze. Raz. Drugi. Trafiła bokiem pięści, ale to wystarczyło, żeby poluzował chwyt, a ona przeturlała się po podłodze. Chciała wstać, pobiec, uciec.

Powietrze przeciął świst, którego nie umiała zidentyfikować.

Poczuła palący ból, jakby ktoś zdarł jej skórę z pleców. To Buddy smagnął ją przewodem telefonicznym. Z przeciętej skóry wzdłuż kręgosłupa popłynęła krew. Podniosła rękę i patrzyła, jak skóra jej pęka, a przewód okręca się wokół jej nadgarstka.

Odruchowo szarpnęła rękę do tyłu i przewód wypadł Buddy'emu z dłoni. Zobaczyła zaskoczenie na jego twarzy. Chciał pchnąć ją na ścianę. Zaatakowała go, kopiąc i młóćąc pięścią, wywijając przewodem, wrzeszcząc jak opętana.

– Wal się, sukinsynu! Zabiję cię!

Jej głos odbił się echem w kuchni.

Nieoczekiwanie wszystko znieruchomiało.

Callie udało się skoczyć na równe nogi. Uniosła rękę nad głowę, gotowa zamachnąć się sznurem. Żadne nie ustąpiło pola, stali naprzeciwko siebie w bliskiej odległości.

Wystraszony śmiech Buddy'ego przeszedł w pełen uznania chichot.

– Cholera, dziewczyno.

Rozcięła mu policzek, a on otarł krew palcami, włożył je do ust i zaczął głośno ssać.

Poczuła, jak żołądek jej się przewraca.

Wiedziała, że przemoc nakręca mroczną stronę jego natury.

– No dalej, tygrysico. – Uniósł pięści jak bokser gotowy do znokautowania rywala. – Rzuć się na mnie jeszcze raz.

– Buddy, proszę. – Chciała utrzymać mięśnie w gotowości i rozluźnione stawy, by stawić opór do końca, ponieważ spokój Buddy’ego mógł mieć tylko jedną przyczynę: postanowił ją zabić, nieźle się przy tym bawiąc. – To nie musi tak się skończyć.

– Laleczko, od początku było wiadomo, że tak się skończy.

Jej mózg musiał przetrwać te słowa. Wiedziała, że Buddy ma rację. Była głupia.

– Nikomu nic nie powiem. Przyrzekam.

– To zaszło za daleko, laleczko. Myślę, że to wiesz. – Ciągłe trzymał pięści na wysokości swojej twarzy i prowokacyjnie nimi zamachał. – No, dalej, maleńka. Nie daj się pokonać bez walki.

Był od niej wyższy ponad czterdzieści centymetrów i cięższy prawie o siedemdziesiąt kilo, jakby w zwalistym ciele dźwigał dwoje ludzi.

Podrapać go? Ugryźć? Wyrwać mu włosy? Umrzeć z jego krwią w ustach?

– I co teraz zrobisz, kruszynko? – Nie opuszczał pięści ani na chwilę, trzymał je w gotowości. – Daję ci szansę. Zaatakujesz mnie czy spasujesz?

Korytarz?

Nie mogła skierować go do Trevora.

Frontowe drzwi?

Za daleko.

Drzwi kuchenne?

Kątem oka dostrzegła złotą gałkę.

Błyszczała. Czekwała. Zapraszała.

Przeanalizowała w myślach sekwencję ruchów. Zwrot, stopa lewa, stopa prawa, złapać gałkę, przekręcić, przebiec pod wiatą, wybiec na ulicę, wrzeszcząc co sił w płucach.

Kogo chciała oszukać?

Wystarczy, że zrobi zwrot, a Buddy od razu rzuci się na nią. Nie był szybki, ale wystarczył jeden sus i znów miałyby jego łapę na szyi.

Posłała mu pełne nienawiści spojrzenie.

Wzruszył ramionami, nic sobie z tego nie robiąc.

– Czemu? – zapytała. – Czemu pokazałeś im nasze nagrania?

– Kasa. – Buddy wydawał się rozczarowany jej naiwnością. – Niby co innego?

Nie była w stanie myśleć o dorosłych mężczyznach, którzy widzieli ją, jak robi rzeczy, na które nie miała ochoty, z facetem, który jej obiecał, że bez względu na wszystko zawsze będzie ją chronić.

– No, dalej. – Buddy wykonał leniwy prawy sierpowy, poprawił hakiem w zwolnionym tempie. – No, Rocky, pokaż, co potrafisz.

Szybkim spojrzeniem omiotła wzrokiem kuchnię.

Lodówka. Piekarnik. Szafki. Szuflady. Blacha do pieczenia. NyQuil. Suszarka do naczyń.

Buddy uśmiechnął się pogardliwie.

– Walniesz mnie patelnią, Kaczorze Daffy?

Skoczyła prosto na niego jak nabój z lufy. Buddy trzymał dłonie na wysokości twarzy, a Callie pochyliła się najniżej, jak mogła, i gdy opuścił pięści, była już poza jego zasięgiem.

Z impetem wpadła na kuchenny zlew i okręciła się na pięcie, przecinając powietrze stalowym ostrzem.

Buddy skwitował uśmiechem widok noża do steków, który należał do sześcioczęściowego kompletu wyprodukowanego na Tajwanie, kupionego przez Lindę w spożywczaku. Pęknięty drewniany trzonek, cienkie ząbkowane ostrze. Callie kroїła nim hot dogi dla Trevora, bo w przeciwnym razie wsadziłby sobie do buzi całą parówkę i mógłby się udławić.

Zobaczyła na ostrzu resztkę keczupu.

Na ząbkach widniała czerwona smużka.

– O Jezu... – jęknął zaskoczony Buddy.

Oboje utkwili wzrok w tym samym punkcie.

Ostrze przecięło nogawkę w spodniach Buddy'ego, a dokładnie, w górnej części lewego uda, około dziesięciu centymetrów poniżej krocza.

Callie patrzyła, jak tkanina khaki powoli przybiera szkarłatną barwę.

Od piątego roku życia trenowała gimnastykę sportową i doskonale знаła wszystkie sposoby na zrobienie sobie krzywdy. Jeden niezgrabny ruch wystarczył, by zerwać więzadła w kręgosłupie czy naderwać mięśnie pleców. Nieuważny zeskok mógł się skończyć zerwaniem ścięgien w kolanie. Kawałek metalu – nawet najtańszego metalu – mógł przeciąć tętnicę udową, główną arterię dostarczającą krew do dolnej części ciała.

– Cal. – Buddy przyciskał dłoń do nogi, a krew przesączała się między jego ściśniętymi palcami. – Przynieś... Jezu, Callie. Przynieś ręcznik albo...

Zatoczył się, uderzył szerokimi barami w szafki, walnął głową w blat i osunął się na podłogę. Pokój zadrżał od ciężaru jego padającego ciała.

– Cal? – Grdyka Buddy’ego poruszyła się kilkakrotnie, strużki potu spływały mu po twarzy. – Callie?

Stała napięta do granic wytrzymałości. Ciągłe ścisnęła w dłoniach nóż. Spowijał ją chłodny mrok. Miała wrażenie, że osaczył ją własny cień.

– Callie, skarbie, musisz... – Jego wargi traciły kolor. Zaczął szczękać zębami, jakby jego też okrył chłód. – We...wezwij karetkę, skarbie. Wezwij...

Callie powoli odwróciła głowę. Spojrzała na telefon na ścianie. Słuchawki na widełkach nie było. Końcówki kolorowych przewodów wystawały z miejsca, w którym Buddy wyrwał sprężysty sznur. Odszukała jego koniec. Idąc po nitce do kłębka, zlokalizowała słuchawkę. Leżała pod kuchennym stołem.

– Callie, skarbie, zostaw ją tam. Musisz...

Uklękła i sięgnęła pod stół. Podniosła słuchawkę i przyłożyła ją do ucha. Nadal nie wypuszczała noża z ręki. Dlaczego ciągle go trzyma?

– Ta jest zepsuta – powiedział Buddy. – Idź do sypialni, skarbie. Wezwij karetkę.

Mocniej przycisnęła plastik do ucha. Przywołała z pamięci dźwięk, buczenie, które wydawała słuchawka, gdy zbyt długo nie leżała na widełkach.

Pii-pii-pii.

– Sypialnia, skarbie. Idź do...

Pii-pii-pii.

– Callie.

Gdyby podniosła słuchawkę w sypialni, usłyszałaby nieubłagane buczenie i zapętlony mechaniczny głos: „Jeśli chcesz wykonać połączenie...”.

– Callie, kochanie. Nie chciałem cię skrzywdzić. Nigdy bym cię nie skrzy...wdził...

„Rozłącz się i spróbuj ponownie”.

– Skarbie, proszę, potrzebuję...

„Jeśli to nagły wypadek...”.

– Potrzebuję twojej pomocy, skarbie. Pro...proszę, wyjdź na korytarz i...

„Rozłącz się i wybierz dziewięć-jeden-jeden”.

– Callie?

Odłożyła nóż na podłogę i przysiadła na piętach. Kolano już nie rwało. Plecy nie bolały. Skóra na szyi – tam, gdzie ją dusił – nie pulsowała. Żebro nie paliło od kopniaków.

„Jeśli chcesz wykonać połączenie...”.

– Ty jebana suko – wychrypiał Buddy. – Ty je...bana suko bez serca.

„Rozłącz się i spróbuj ponownie”.

WIOSNA 2021

1

Niedziela

Leigh Collier zagryzła wargi, gdy dziewczynka z siódmej klasy wyśpiewywała na całe gardło *Ya Got Trouble*^[1] słuchaczom mimo woli. Grupa nastolatków skakała po scenie, podczas gdy profesor Hill przestrzegał mieszkańców miasteczka przed obcymi przybyszami, którzy skłaniają ich synów do obstawiania wyścigów konnych.

Not a wholesome trottin' race, no! But a race where they set right down on the horse!^[2]

Wątpiła, by pokolenie, które dorasta w czasach bezprzewodowego dostępu do internetu, inwazji morderczych szerszeni azjatyckich, epidemii Covid-19, katastrofalnych w skutkach niepokojów społecznych, a także jest przymusowo edukowane w domu przez pijących frustratów, rozumiało zagrożenia płynące z klubów bilardowych, ale Leigh musiała oddać sprawiedliwość nauczycielowi dramatu, że postawił na neutralny genderowo *The Music Man*, jeden z najmniej obraźliwych – a także najnudniejszych – musicali wystawianych kiedykolwiek w szkole średniej.

Jej córka właśnie skończyła szesnaście lat. Leigh myślała, że szczęśliwie ma już za sobą oglądanie dłubiących w nosie domorosłych aktorów, maminsynków, ambitnych szkolnych gwiazd płci obojga katujących innych piosenkami, ale wtedy Maddy zainteresowała się nauką choreografii i oto była tu, uwięziona w piekle *trouble with a capital T and that rhymes with P and that stands for pool*^[3].

Poszukała wzrokiem Waltera, który siedział dwa rzędy dalej, blisko przejścia. Przekrzywił głowę pod dziwnym kątem. Trochę patrzył na scenę, a trochę na oparcie pustego krzesła przed nim. Nie musiała widzieć, co trzyma w dłoniach, by wiedzieć, że gra w wirtualną ligę na telefonie.

Wyjęła z torebki swój telefon i napisała:

Maddy będzie cię pytać o przedstawienie.

Nie podniósł głowy, ale z ruchu dłoni domyśliła się, że odpowiada:

Mam podzielną uwagę.

Leigh napisała:

Gdyby tak było, nadal bylibyśmy razem.

Odwrócił głowę, żeby odszukać ją wzrokiem. Zmarszczki w kącikach oczu powiedziały jej, że uśmiechnął się pod maseczką.

Poczuła nieprzyjemne ukłucie w sercu. Ich małżeństwo skończyło się, gdy Maddy miała dwanaście lat, ale podczas zeszłorocznego lockdownu cała trójka wylądowała w domu Waltera. A ona wylądowała w jego łóżku. Wtedy dotarło do niej, czemu im nie wyszło. Walter był świetnym ojcem, ale Leigh w końcu pogodziła się z myślą, że jest jedną z tych złych kobiet, która nie potrafi żyć z dobrym mężczyzną.

Na scenie pojawiły się nowe postacie. Reflektor został skierowany na holenderskiego chłopaka z wymiany uczniowskiej, który grał Mariana

Paroo i opowiadał matce, że szedł za nim do domu jakiś mężczyzna z walizką. W obecnych czasach po takiej informacji jednostka specjalna policji urządziłaby obławę na podejrzanego.

Leigh omiotła wzrokiem widownię. Dzisiaj odbywało się ostatnie z pięciu przedstawień wystawianych co niedzielę. Tylko w taki sposób wszyscy rodzice mogli zobaczyć swoje dzieci na scenie, czy tego chcieli, czy nie. Sala była wypełniona w jednej czwartej, puste krzesła oklejono taśmą, obowiązkowo maseczki ochronne. Płyn do dezynfekcji rąk lał się strumieniami jak brzoskwiniowe sznapsy na balu maturalnym. Nikt nie chciał Nocy Długich Wymazów z Nosa.

Walter miał swoją wirtualną ligę. Leigh miała swój wirtualny apokaliptyczny podziemny krąg na dziesięć miejsc. Pierwszą kandydatką była oczywiście Janey Pringle. Sprzedała na czarnym rynku tyle papieru toaletowego, chusteczek dezynfekujących i płynu do dezynfekcji rąk, że za to kupiła swojemu synowi nowy MacBook Pro. Gillian Nolan umiała układać harmonogramy. Lisa Regan uwielbiała aktywność na świeżym powietrzu, umiała więc rozpałać ogniska. Denene Millner grzmotnęła pitbulla prosto w pysk, gdy zaatakował jej dziecko. Ronnie Copeland zawsze nosiła w torebce tampony. Ginger Vishnoo doprowadziła do płaczu nauczyciela fizyki stosowanej. Tommi Adams przeleciałaby wszystko, co się rusza.

Powędrowała spojrzeniem w prawo, ku szerokim barom Darryla Washingtona. Rzucił pracę, by zająć się dziećmi, ponieważ żona miała świetnie płatną posadę w korporacji. To było urocze, ale Leigh nie po to chciała przetrwać apokalipsę, żeby bzyknąć bardziej muskularną wersję Waltera.

W tej grze mężczyźni stanowili problem. W zespole można mieć jednego, góra dwóch facetów, ale przy trzech lub więcej wszystkie kobiety skończyłyby przykute do łóżek w podziemnym bunkrze.

Rozbłysły światła, niebieskie i złote kurtyny zasunęły się z szelestem. Leigh nie była pewna, czy przysnęła, czy popadła w stan chwilowej fugi dysocjacyjnej, ale przerwa sprawiła jej nadzwyczajną radość.

Nikt nie chciał wstać pierwszy. Ludzie wiercili się na siedzeniach, jakby deliberowali, czy iść do toalety, czy lepiej nie. Było zupełnie inaczej niż w starych czasach, kiedy wszyscy wypadali z auli, by jak najszybciej poplotkować w holu, podjadając babeczki i popijając poncz z małych papierowych kubeczków. Przy drzwiach do auli znajdowała się czytelna instrukcja, że przed wejściem należy wziąć plastikową torebkę. W środku znajdowały się afisz, mała butelka wody, papierowa maseczka i notka przypominająca o myciu rąk oraz przestrzeganiu wytycznych Centrum Zapobiegania i Kontroli Chorób. Zbuntowani rodzice, czy też, jak eufemistycznie określiła ich szkoła: „Niestosujący się do wymogów epidemicznych”, dostali hasło do aplikacji Zoom, by obejrzeć przedstawienie w komfortowych warunkach własnych salonów bez maseczek na twarzy.

Leigh znowu sięgnęła po telefon i wysłała wiadomość do Maddy:

Taniec był świetny! Kim jest ten uroczy bibliotekarz? Jestem z Ciebie dumna!

Maddy odpisała natychmiast:

Mamo jestem zajęta

Żadnych znaków interpunkcyjnych. Żadnych emotikonów czy innych symboli obrazkowych. Gdyby nie media społecznościowe, Leigh nie wiedziałaby, że jej córka nadal potrafi się uśmiechać.

To bolało jak tysiąc nacięć ostrym narzędziem.

Znowu poszukała wzrokiem Waltera, ale jego miejsce było puste. Zauważyła go przy wyjściu, rozmawiał z innym ojcem o szerokich

barach. Mężczyzna stał tyłem do niej, ale z gestów Waltera domyśliła się, że rozmawiają o futbolu.

Rozejrzała się po sali. Większość rodziców była zbyt młoda i zdrowa, żeby przeskoczyć innych w kolejce do szczepienia, albo sprytna i wystarczająco zamożna, by załatwić sobie wcześniejszy dostęp. Wszyscy stali w parach i gawędzili przyciszonymi głosami z zachowaniem zalecanego dystansu. Po paskudnej awanturze, która wybuchła w zeszłym roku podczas Bezwyznaniowych Obchodów Świąt Przypadających w Okolicach Bożego Narodzenia, nikt nie mówił o polityce. Leigh złowiła uchem urywki rozmów. Sport, tęsknota za kiermaszami wypieków, badanie, kto należy do jakiej bańki, którzy rodzice to koronasceptycy albo antymaseczkowcy, oraz że faceci z maseczkami pod nosem to tacy sami idioci jak ci, dla których konieczność użycia kondomów to pogwałcenie praw człowieka.

Skupiła uwagę na zasuniętej kurtynie. Nasłuchiwała odgłosów szurania, tupania i szaleńczych szeptów towarzyszących zmianie dekoracji. Poczowała znajome ukłucie w sercu, ale tym razem nie chodziło o Waltera. To była tęsknota za córką. Chciała wrócić do domu i zastać bałagan w kuchni. Nawrzeszczyć na nią za odkładanie pracy domowej czy zbyt długie siedzenie przed komputerem. Wyjąć z jej szafy „pożyczoną” sukienkę, szukać pary butów beztrosko kopniętych pod łóżko. Chciała przytulić swoją zażenowaną matczynym sentymentalizmem córkę. Rozsiąść się na kanapie i razem obejrzeć głupi film. Przyłapać ją na oglądaniu czegoś śmiesznego w telefonie. Znieść jej miażdżący wzrok po pytaniu, co ją tak bawi.

Ostatnio tylko się kłóciły, rano za pośrednictwem esemesów, o szóstej po południu przez telefon. Gdyby Leigh miała trochę rozumu, dałaby spokój, ale to oznaczałoby, że odpuszcza. Nie mogła znieść, że nie wie, czy Maddy ma chłopaka, a może dziewczynę, czy seryjnie łamie serca, a może zrezygnowała z miłości na rzecz poszukiwań

artystycznych i praktyki uważności. Tylko jedno wiedziała na pewno: wszystkie okropne rzeczy, które powiedziała czy zrobiła swojej matce, wracały do niej niekończącą się falą przypływu.

Z tą różnicą, że jej matka na to zasłużyła.

Leigh powtarzała sobie, że ten dystans zapewnia Maddy bezpieczeństwo. Sama została w mieszkaniu w centrum miasta, w którym kiedyś mieszkali jako rodzina, natomiast Maddy przeprowadziła się na przedmieścia z Walterem. Tę decyzję podjęli wspólnie.

Walter był radcą prawnym związku zawodowego strażaków w Atlancie i pracował zdalnie w domowym biurze. Potrzebował do tego telefonu oraz usługi Microsoft Teams. Leigh była adwokatką. Część obowiązków mogła wykonywać online, ale nadal musiała jeździć do biura i osobiście spotykać się z klientami, a także chodziła do sądu, uczestniczyła w wyborze ławy przysięgłych i rozprawach. Złapała wirusa podczas pierwszej fali pandemii w zeszłym roku i przez dziewięć koszmarnych dni czuła się tak, jakby muł kopał ją w klatkę piersiową. Według naukowców ryzyko zarażenia w przypadku dzieci było niewielkie – na stronie internetowej szkoły podano, że wskaźnik infekcji wynosi mniej niż jeden procent – jednak Leigh nie chciała ryzykować przywleczenia zarazy do domu i narażenia córki.

– Leigh Collier, to ty? – Ruby Heyer opuściła maseczkę poniżej nosa i błyskawicznie nasunęła ją z powrotem, jakby szybkość gwarantowała bezpieczeństwo.

– Cześć, Ruby. – Leigh cieszyła się z dwumetrowego dystansu między nimi. Ruby od dawna była zaprzyjaźnioną mamą, niezbędną towarzyszką w czasach wczesnego dzieciństwa ich córek, kiedy trzeba było sobie pomagać, żeby nie oszaleć. – Jak Keely?

– Dobrze. Kopę lat, prawda? – Okulary w czerwonych oprawkach podskoczyły na jej uśmiechniętych policzkach. Kiepska z niej była pokerzystka. – Dziwne wrażenie widzieć tu Maddy. Nie mówiłaś kiedyś, że pragniesz dla swojej córki edukacji w mieście?

Leigh poczuła, jak maseczka przysysa się do jej ust, gdy przeszła od lekkiej irytacji do stanu zajadłej wściekłości.

– Witam panie. Dzieciaki świetnie się spisują, prawda? – Walter stał w przejściu z rękami w kieszeniach spodni. – Miło cię widzieć, Ruby.

Ruby dosiadła miotły, przygotowując się do odlotu.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Walterze.

Leigh wychwyciła w jej głosie insynuację, że ona nie jest częścią tej przyjemności, ale Walter rzucił jej spojrzenie pod tytułem „nie bądź suką”, na co posłała mu równie wyraziste „wal się”.

Całe małżeństwo sprowadzone do dwóch spojrzeń.

– Dobrze, że nigdy nie tworzyliśmy z nią trójkąta.

Leigh parsknęła śmiechem. Gdyby tylko Walter zaproponował trójkąt...

– To byłaby świetna szkoła, gdyby nie rodzice – zauważyła.

– Naprawdę musisz prowokować każdego?

Potrząsnęła głową. Spojrzała w sufit pokryty złotymi liśćmi, z profesjonalnym systemem nagłośnienia i oświetlenia.

– Tu jest jak na Broadwayu.

– Owszem.

– W starej szkole Maddy...

– Scena miała rozmiar kartonowego pudła, za reflektor służyła latarka, za nagłośnienie jeden Mr Microphone, a Maddy i tak była

zachwycona.

Leigh przeciągnęła dłonią po niebieskim aksamicie fotela przed nią. Na górze widniało wyhaftowane logo Hollis Academy, pewnie dzięki któremuś z rodziców z nadmiarem kasy i brakiem gustu. Do chwili wybuchu epidemii ona i Walter byli bezbożnymi, zagorzałymi liberałami popierającymi publiczny system edukacji. Teraz wspólnie wydawali ostatnie centy na nieznośnie snobistyczną szkołę prywatną, w której nikt prócz nich nie schodził poniżej bmw, a wszystkie dzieci prócz ich córki były zapatrzonymi w siebie gówniarzami.

Klasy były mniej liczne niż w szkole publicznej, uczniowie rotowali w grupach dziesięcioosobowych. Dodatkowi pracownicy regularnie odkażali pomieszczenia, obowiązywały środki ochrony indywidualnej, i wszyscy stosowali się do zasad. Na przedmieściach właściwie nie obowiązywał kroczący lockdown. Większość rodziców mogła sobie pozwolić na luksus zdalnej pracy w domu.

– Skarbie. – W cierpliwym głosie Waltera pobrzmiwały zgrzytliwe tony. – Każdy posłałby tu swoje dziecko, gdyby mógł.

– Nikt nie powinien być do tego zmuszony.

W torebce zawibrował jej służbowy telefon. Leigh zeszytniała. Rok temu była przepracowaną, samozatrudnioną i słabo opłacaną adwokatką, która pomagała prostytutkom, narkomanom i drobnym złodziejaszkom poruszać się w systemie prawnym. Dzisiaj była trybikiem w gigantycznej korporacji reprezentującej bankierów i właścicieli małych i średnich firm, którzy popełniali takie same przestępstwa co jej poprzedni klienci, ale mieli pieniądze, żeby naruszenie prawa uszło im na sucho.

– Nie mogą oczekiwać, żebyś pracowała w niedzielny wieczór – zauważył Walter.

Leigh skwitowała prychnięciem jego naiwność. Konkurowała z dziesiątkami dwudziestoparolatków z tak wysokimi kredytami studenckimi do spłacenia, że praktycznie sypiali w biurze. Wsadziła rękę do torebki.

– Poprosiłam Liz, żeby nie zawracała mi głowy, chyba że to sprawa życia i śmierci.

– Może jakiś bogaty koleś zamordował żonę.

Leigh spiorunowała go wzrokiem, odblokowała telefon i powiedziała:

– Octavia Bacca przysłała mi wiadomość.

– Wszystko w porządku?

– Tak, ale... – Od tygodni nie miała z nią kontaktu. Umawiały się niezobowiązująco na spacer po Ogrodzie Botanicznym, ale potem Octavia już się nie odezwała, więc Leigh założyła, że jest zapracowana.

Zobaczyła swojego ostatniego esemesa z końca miesiąca:

Spacer aktualny?

Octavia odpisała przed chwilą:

Gówniana sprawa. Nie znieawidź mnie.

Pod wiadomością był link do jakiegoś artykułu. Fotografia przedstawiała eleganckiego faceta po trzydziestce o aparycji przeciętnego eleganckiego faceta po trzydziestce:

OSKARŻONY O GWAŁT POWOŁUJE SIĘ NA PRAWO DO SZYBKIEGO PROCESU

– Ale co? – zapytał Walter.

– Octavia ma chyba tę sprawę na głowie. – Leigh przewinęła tekst, wypunktowując szczegóły. – Napaść na obcą kobietę, nie gwałt na

randce, czyli rzadszy przypadek. Klientowi grożą poważne zarzuty. Twierdzi, że jest niewinny... Ha, ha! Domaga się rozprawy z udziałem ławy przysięgłych.

– Sędzia się ucieszy.

– Przysięgli też. – Nikt nie chciał ryzykować kontaktu z wirusem, żeby wysłuchiwać gwałciciela deklarującego swoją niewinność. Nawet jeśli to zrobił – co wysoce prawdopodobne – gwałt był zarzutem stosunkowo łatwym do oddalenia. Większość oskarżycieli publicznych niechętnie podejmowała walkę, ponieważ takie sprawy zazwyczaj dotyczyły ludzi, którzy się znali, co oznaczało, że prędzej czy później wypłynie kwestia zgody. Wtedy obrońca negocjuje zarzut bezprawnego naruszenia wolności osobistej albo coś lżejszej kategorii, by klient nie trafił na listę przestępców seksualnych i do więzienia, a potem wracał do domu i brał długi gorący prysznic, by zmyć z siebie moralny smród.

– Wyjdzie za kaucją? – zapytał Walter.

– Koronawirus rozdaje karty. – Ze względu na epidemię sędziowie niechętnie zatrzymywali podsądnych na czas rozprawy i zamiast tego nakazywali dozór elektroniczny. Więzienia i areszty były gorsze niż domy opieki. Leigh powinna to wiedzieć. Też zaraziła się w miejskim areszcie śledczym.

– Prokurator nie zaproponował ugody?

– Zdziwiłabym się, gdyby tego nie zrobił, ale to bez znaczenia, skoro klient jej nie chce. Nic dziwnego, że Octavia była offline. – Leigh podniosła wzrok znad telefonu. – Jeśli nie zacnie padać, myślisz, że Maddy zgodzi się posiedzieć ze mną na twojej werandzie z tyłu domu?

– Mam parasole, moja droga, ale przecież wiesz, że po przedstawieniu Maddy imprezuje ze swoją grupką.

Leigh poczuła napływające łzy. Nie zносиła siedzieć na zewnątrz i zaglądać do środka. Minął rok, a ona ciągle wchodziła do pustego pokoju Maddy raz w miesiącu, żeby sobie popłakać.

– Było ci tak samo trudno, kiedy Maddy mieszkała ze mną?

– O wiele łatwiej uszczęśliwić dwunastolatkę, niż walczyć o uwagę szesnastolatki. – Wokół jego oczu znowu pojawiły się zmarszczki od uśmiechu. – Ona bardzo cię kocha, moja droga. Jesteś najlepszą matką, jaka mogła się jej trafić.

Łzy poleciały Leigh jak grochy.

– Dobry z ciebie człowiek, Walterze.

– Aż do przesady. – Wcale nie żartował.

Światła zamigotały. Przerwa dobiegła końca. Leigh już miała usiąść, kiedy jej telefon znowu zawibrował.

– Praca.

– Szczęściara – szepnął Walter.

Leigh przemknęła się do wyjścia. Kilkoro rodziców posłało jej znad maseczek mordercze spojrzenia. Nie miała pojęcia, czy chodzi im o zakłócenie, które teraz powodowała, czy o jej udział w ubiegłorocznej okołobożonarodzeniowej awanturze. Zignorowała ich, udając zainteresowanie własnym telefonem. Identyfikator dzwoniącego pokazywał BRADLEY. Dziwne, bo kiedy dzwoniła jej asystentka, wyświetlał się napis BRADLEY, CANFIELD & MARKS.

Stała pośrodku absurdalnie luksusowego holu, starając się nie patrzeć na złote kinkiety pochodzące chyba ze splądrowanego grobowca. Walter twierdził, że jest przewrażliwiona na punkcie ostentacyjnego okazywania bogactwa, ale to nie on mieszkał w aucie na pierwszym roku studiów prawniczych, bo nie stać go było na czynsz.

– Liz? – rzuciła Leigh do telefonu.

– Nie, pani Collier. Mówi Cole Bradley. Mam nadzieję, że nie przeszkadzam.

Leigh omal nie udławiła się z wrażenia. Od człowieka, który założył tę firmę, dzieliło ją dwadzieścia pięter i co najmniej dwa razy tyle milionów dolarów. Widziała go tylko raz. Czekwała w holu na swoją kolej do windy, kiedy Cole Bradley przywołał specjalnym kluczem prywatną windę jadącą wprost na ostatnie piętro. Wyglądał jak wyższa i szczuplejsza wersja Anthony’ego Hopkinsa, gdyby Anthony Hopkins zaczął opłacać chirurga plastycznego krótko po skończeniu studiów prawniczych na Uniwersytecie Georgii.

– Pani Collier?

– Tak, ja... – Leigh starała się zebrać myśli. – Przepraszam. Jestem na szkolnym przedstawieniu córki.

Bradley nie tracił czasu na uprzejmą pogawędkę.

– Mam delikatną sprawę, która wymaga natychmiastowego działania.

Leigh czuła, że otwiera usta ze zdumienia. Nie rzucała świata na kolana swoimi osiągnięciami w firmie Bradley, Canfield & Marks, po prostu robiła, co konieczne, by utrzymać dach nad głową i córkę w prywatnej szkole. Cole Bradley zatrudniał co najmniej setkę młodych prawników, którzy dźgnęliby ją nożem w twarz, byle dostać taki telefon.

– Pani Collier?

– Bardzo przepraszam – powiedziała Leigh. – Panie Bradley, zrobię, co pan powie, ale szczerze mówiąc, chyba nie jestem odpowiednią osobą.

– Szczerze mówiąc, pani Collier, do dzisiejszego wieczoru nie miałem pojęcia o pani istnieniu, ale klient poprosił konkretnie o panią. W tej chwili czeka w moim biurze.

Zdumienie Leigh sięgnęło zenitu. Jak dotąd jej najpoważniejszym klientem był właściciel hurtowni z artykułami dla zwierząt domowych, oskarżony o włamanie do domu byłej żony i nasikanie do szuflady z jej bielizną. Tę sprawę skomentowała w żartobliwym tonie jedna z alternatywnych gazet w Atlancie, ale Leigh wątpiła, by Cole Bradley czytał „Atlanta INtown”.

– Nazywa się Andrew Tenant – powiedział Bradley. – Chyba pani o nim słyszała.

– Słyszałam. – Przed chwilą przeczytała jego nazwisko w artykule, który podesłała jej Octavia Bacca.

„Gówniana sprawa. Nie znienawidź mnie”.

Mieszkała z rodzicami w podeszłym wieku i ciężko chorym na astmę mężem. Leigh przypuszczała, że właśnie dlatego zrezygnowała z tej sprawy. Albo bała się zakażenia na rozprawie z udziałem ławy przysięgłych, albo wystraszyła się klienta, który był domniemanym gwałcicielem. Z tym że to, czym naprawdę się kierowała, było już bez znaczenia.

Leigh nie miała wyboru.

– Będę za pół godziny – powiedziała.

Pasażerowie, którzy przylatywali do Atlanty i spoglądali przez okno samolotu na miasto, uważali zwykle, że dzielnica Buckhead leży w śródmieściu, ale skupisko wieżowców na lepszym końcu Peachtree Street nie powstało dla uczestników konferencji, agencji rządowych czy poważnych instytucji finansowych. Piętra zajmowali drodzy prawnicy, spekulanci giełdowi i doradcy finansowi, oferujący swoje usługi

klientom z najbardziej zasobnymi kieszeniami na Południowym Wschodzie.

Siedziba Bradley, Canfield & Marks górowała nad biznesową Buckhead. Była szklanym potworem, którego sylwetka zwężała się ku górze, przypominając kształtem falę przyboju. Leigh, która znalazła się w brzuchu bestii, wspinała się po schodach z poziomu parkingu. Zapora przed parkingiem dla gości była opuszczona. Pierwsze wolne miejsce, które znalazła, leżało na poziomie minus trzy. Betonowa klatka schodowa przyprawiała ją o dreszcz przerażenia, ale windy były zamknięte, a ochroniarza nigdzie nie wypatrzyła. Jednocześnie układała sobie w głowie to wszystko, co przez telefon przekazała jej Octavia Bacca, gdy jechała do biura.

I czego nie powiedziała.

Andrew Tenant zwolnił Octavię dwa dni temu. Nie, nie wyjaśnił powodu. Tak, do tamtej chwili była przekonana, że Andrew jest z niej zadowolony. Nie, nie domyśla się, dlaczego Tenant postanowił zmienić obrońcę, ale dwie godziny temu dostała polecenie, że ma przekazać akta sprawy Leigh Collier z BC&M. Stąd uwaga o „gównianej sprawie” umieszczona w esemesie. Była czymś w rodzaju przeprosin za zwalenie jej na głowę sprawy na osiem dni przed początkiem procesu. Leigh nie miała pojęcia, dlaczego klient zrezygnował z jednej z najlepszych adwokatów w mieście, skoro w grę wchodziło jego życie. Założyła, że facet jest idiotą.

Jeszcze większą zagadkę zawierało w sobie pytanie, skąd Andrew Tenant w ogóle znał jej nazwisko. Leigh wysłała pytanie do Waltera, który też nie umiał tego wyjaśnić. Do nikogo innego nie mogła zwrócić się po informację, ponieważ obecnie Walter był jedynym człowiekiem w jej życiu, który znał ją z czasów sprzed ukończenia studiów prawniczych.

Przystanąła na górze schodów. Pot płynął jej po plecach. Szybko przeanalizowała swój wygląd. Nie wystroiła się na ten wieczór w teatrze. Związała włosy w staromodny kok, włożyła wczorajsze dzinsy i spraną koszulkę ze zdjęciem zespołu Aerosmith i napisem NIEGRZECZNE CHŁOPAKI z BOSTONU tylko po to, żeby wyróżnić się na tle wrednych jędz dumnie obnoszących się z torebkami Birkin. To znaczyło, że w drodze na najwyższe piętro musi wpaść do swojego biura. Jak cała reszta, Leigh trzymała w pracy strój na salę sądową. Kosmetyczkę miała w szufladzie biurka. Myśl, że musi zrobić makijaż dla oskarżonego o gwałt, zamiast spędzić niedzielny wieczór z rodziną, tylko wzmogła jej irytację. Nienawidziła tego budynku. Nienawidziła tej pracy. Nienawidziła swojego życia.

Kochała swoją córkę.

Zajrzała do torebki w poszukiwaniu maseczki. Walter nazywał tę torbę karmnikiem, ponieważ nosiła w niej drugie śniadanie do pracy, ale w obecnych czasach trzymała w niej podręczny zestaw pandemiczny. Płyny do dezynfekcji rąk. Chusteczki odkażające. Maseczki. Rękawiczki nitrylowe na wszelki wypadek. Firma testowała ich dwa razy w tygodniu, Leigh już swoje przechorowała, ale ponieważ pojawiły się nowe warianty koronawirusa, lepiej dmuchać na zimne.

Sprawdziła czas, zakładając troczki maseczki za uszy. Miała jeszcze chwilkę, którą mogła wykorzystać dla córki. Sięgnęła po prywatny telefon w etui z niebiesko-złotymi barwami Hollis Academy. Jako tapetę w tle wybrała zdjęcie Tim Tama, ich rodzinnego psa, ponieważ czekoladowy labrador okazywał jej ostatnio więcej miłości niż własna córka.

Popatrzyła na wyświetlacz i westchnęła. Maddy nie odpisała na jej esemesa z długimi przeprosinami za wcześniejsze wyjście z przedstawienia. Leigh zajrzała na Instagram i zobaczyła córkę tańczącą

z przyjaciółmi na kameralnej imprezie w miejscu, które wyglądało na sutereneę Keely Heyer. Tim Tam spał w rogu na pufie sako. To tyle w kwestii bezwarunkowego oddania.

Przebiegła palcami po klawiaturze. Napisała do Maddy następną wiadomość:

Przykro mi, że musiałam wyjść, skarbie. Bardzo cię kocham.

Jak głupia czekała na odpowiedź, zanim otworzyła drzwi.

W rozległym holu owiał ją chłód stali, marmurów i klimatyzowanego powietrza. Skinęła głową ochroniarzowi siedzącemu w boksie z pleksi. Lorenzo garbił się nad miseczką zupy. Od skulonych ramion po uszy, z miską przy ustach, wydał się Leigh podobny do sukulenta, który matka trzymała na kuchennym oknie.

– Pani Collier.

Leigh spanikowała na widok Cole'a Bradleya w holu przed windami. Odruchowo dotknęła dłonią koka i wyczuła włosy sterczące we wszystkich kierunkach. Logo NIEGRZECZNYCH CHŁOPAKÓW na podniszczonej koszulce było afrontem wobec szytego na miarę włoskiego garnituru Bradleya.

– Przyłapała mnie pani na gorącym uczynku. – Wsunął paczkę papierosów do kieszonki na piersi. – Wyszedłem na dymka.

Leigh poczuła, że unosi brwi. Bradley był współwłaścicielem tego budynku, więc nikt nie mógł zabronić mu czegokolwiek.

Uśmiechnął się, a przynajmniej uznała, że to zrobił. Był dobrze po osiemdziesiątce, ale miał skórę tak napiętą, że poruszyły się tylko koniuszki jego uszu.

– Ze względu na klimat polityczny lepiej pokazywać, że przestrzega się zasad.

Sygnal dźwiękowy zaanonsował przyjazd windy dla współników. Brzmiał jak dzwoneczek, którym dama wzywała kamerdynera, by podał popołudniową herbatkę.

Bradley wyjął z kieszeni na piersi maseczkę. Leigh przypuszczała, że znowu chodzi o pozory, przecież z racji wieku był w pierwszej grupie do zaszczepienia. Z drugiej strony nawet szczepionka nie dawała gwarancji bezpieczeństwa, póki nie zostanie zaszczepiona prawie cała populacja.

– Pani Collier? – Bradley czekał przy otwartych drzwiach windy.

Leigh zawahała się. O ile dobrze zrozumiała panujące tu zasady, podwładni nie mieli prawa korzystać z uprzywilejowanej windy.

– Chciałam wpaść do biura, żeby włożyć coś bardziej stosownego.

– Niepotrzebnie. Oni są świadomi okoliczności i późnej pory. – Dał jej znak, żeby weszła pierwsza.

Nawet z jego przyzwoleniem Leigh czuła się w eleganckiej windzie jak intruz. Przycisnęła łydki do wąskiej czerwonej ławeczki pod ścianą. Tylko raz miała okazję zerknąć z pewnej odległości do wnętrza tej windy. Z bliska przekonała się, że czarne ściany są wyłożone skórą strusia, a na podłodze leżała płyta z czarnego marmuru. Sufit i przyciski były obramowane czernią i czerwienią. Jeśli ktoś skończył Uniwersytet Georgii, to prawdopodobnie największym wydarzeniem jego życia było ukończenie studiów na Uniwersytecie Georgii.

Lustrzane drzwi się zasunęły. Bradley stał prosto jakby kij połknął. Jego czarna maseczka była obwiedziona czerwoną lamówką. W klapie marynarki miał przypinkę z buldogiem Ugą, maskotką uniwersyteckiej drużyny futbolowej Georgia Bulldogs. Dotknął przycisku GÓRA na panelu i winda ruszyła.

Leigh patrzyła prosto przed siebie, ciągle niepewna obowiązującej etykiety. W windzie dla plebsu wisiały znaki nakazujące zachowanie

dystansu i unikanie rozmów, w tej windzie ich nie było. Brakowało też informacji o ostatnim przeglądzie technicznym. Łaskotało ją w nosie od zapachu wody po goleniu Bradleya zmieszanego z dymem papierosowym. Nienawidziła palaczy. Otworzyła usta, żeby ułatwić sobie oddychanie pod maseczką.

Bradley odchrząknął.

– Pani Collier, zastanawiam się, kto z pani kolegów i koleżanek z liceum w Lake Point ukończył z wyróżnieniem Uniwersytet Northwestern.

Kiedy ona pędziła tu na złamanie karku, Bradley odrobił lekcję. Wiedział, że wychowała się po złej stronie miasta, a potem ukończyła najlepszą szkołę prawniczą.

– Uniwersytet Georgii wpisał mnie na listę oczekujących – wyjaśniła, specyficznie artykułując to zdanie.

Wyobraziła sobie, że gdyby nie botoks, Cole Bradley uniósłby brwi. Nie przywykł, że jego podwładni wyrażają swoją osobowość czy że w ogóle ją mają.

– Odyła pani staż w kancelarii prawnej dla ubogich w Cabrini Green. Po Northwestern wróciła pani do Atlanty i dołączyła do stowarzyszenia udzielającego pomocy prawnej. Pięć lat później rozpoczęła pani własną praktykę adwokacką. Specjalizowała się pani w sprawach karnych. Nieźle pani szło, póki pandemia nie spowodowała zamknięcia sądów. Pod koniec tego miesiąca minie rok pani pracy w BC&M.

Leigh czekała na pytanie.

– Pani wybory wydają mi się nieco wywrotowe. – Urwał, dając jej okazję do zabrania głosu. – Przypuszczam, że ten luksus dały pani

kolejne stypendia, więc kwestie finansowe nie decydowały o przebiegu pani kariery.

Leigh nadal czekała.

– A teraz pracuje pani w mojej firmie. – Kolejna przerwa. I kolejna zignorowana przez Leigh szansa. – Czy będzie nieuprzejmością z mojej strony, jeśli zauważę, że bliżej pani do czterdziestki niż większości naszych nowych pracowników?

Nie odwróciła wzroku, gdy spojrzał jej prosto w oczy.

– To trafne spostrzeżenie.

Bradley otwarcie taksował ją wzrokiem.

– Skąd pani zna Andrew Tenanta?

– Nie wiem. I nie mam pojęcia, skąd on mnie zna.

Bradley wziął głęboki wdech.

– Andrew jest potomkiem Gregory’ego Tenanta, jednego z moich pierwszych klientów. Poznaliśmy się tak dawno, że to Jezus nas sobie przedstawił. On też był na liście oczekujących Uniwersytetu Georgii.

– Jezus czy Gregory?

Uszy Bradleya drgnęły nieznacznie, co dla Leigh było oznaką uśmiechu.

– Tenant Automotive Group zaczęła się od jednego przedstawicielstwa handlowego Forda w latach siedemdziesiątych. Jest pani za młoda, żeby pamiętać tamte reklamy, ale mieli wpadający w ucho dżingiel. Gregory Tenant Senior był ze mną w bractwie. Po jego śmierci interes odziedziczył jego syn, Greg Junior, i rozwinął go w sieć trzydziestu ośmiu salonów samochodowych na Południowym Wschodzie. Greg zmarł w zeszłym roku na wyjątkowo złośliwego raka, a biznesem zajęła się jego siostra. Andrew to jej syn.

Leigh podziwiała każdego, kto używał jeszcze słowa „potomek”.

Zadźwięczał dzwonek windy i drzwi się rozsunęły. Znaleźli się na najwyższym piętrze. Leigh poczuła powiew chłodnego klimatyzowanego powietrza stawiającego tamę upałowi z zewnątrz. Przestrzeń miała rozmiar hangaru lotniczego. Oświetlenie sufitowe było wyłączone. Jedyne źródło światła stanowiły lampy na biurkach ze stali i szkła stojących niczym strażnicy pod zamkniętymi drzwiami biur.

Bradley zatrzymał się pośrodku holu.

– Za każdym razem zapiera mi dech – powiedział.

Leigh wiedziała, że mówi o widoku. Znajdowali się w najniższym miejscu gigantycznej fali na szczycie budynku. Potężne tafle szkła strzelały w górę na co najmniej dwanaście metrów, tworząc grzebień fali. Na tej wysokości zanieczyszczenie świetlne generowane przez miasto nie przeszkadzało w obserwacji migotliwych gwiazd na wieczornym niebie. Daleko w dole samochody jadące po Peachtree Street tworzyły czerwono-biały szlak wiodący ku rozjarzonemu światłami śródmieściu.

– Wygląda jak śnieżna kula – zauważyła Leigh.

Bradley odwrócił się twarzą do niej i zsunął maseczkę.

– Jak zapatruje się pani na gwałt?

– Jestem zdecydowanie przeciw. – Mina Bradleya zdradziła jej, że szef szefów przeszedł na tryb oficjalny. Musiała więc wyjaśnić coś, co było oczywistością: – Przez lata miałam do czynienia z dziesiątkami spraw o napaść. Natura oskarżeń jest nieistotna, a większość moich klientów faktycznie jest winna. Z tym że oskarżyciel musi to udowodnić ponad wszelką wątpliwość. Pan płaci mi wielkie pieniądze, żeby tę wątpliwość znaleźć.

Bradley skinął aprobuszując głową.

– Wybór przysięgłych odbędzie się w czwartek, rozprawa od jutra za tydzień, a żaden sędzia nie zgodzi się na odroczenie sprawy z powodu zmiany adwokata. Proponuję dwóch asystentów do pani wyłącznej dyspozycji. Czy napięty termin to dla pani problem?

– Problem – nie, wyzwanie – tak.

– Andrew dostał propozycję złagodzenia kwalifikacji prawnej czynu w zamian za rok w zawieszeniu pod stałym nadzorem.

Leigh też opuściła maseczkę.

– Bez wpisania do rejestru przestępców seksualnych?

– Bez. I oskarżenie ulegnie zatarciu, jeśli przez trzy lata Andrew nie wpakuje się w kłopoty.

Mimo tylu lat w zawodzie Leigh ciągle nie mogła się nadziwić uprzywilejowanej pozycji białych bogatych mężczyzn.

– Świetny interes po znajomości. Czego mi pan nie mówi?

Bradley skrzywił się, co było trudne przy napiętej skórze policzków.

– Poprzednia firma zatrudniła prywatnego detektywa, żeby trochę powęszył. Widocznie przyznanie się do winy w przypadku złagodzenia zarzutów prowadziłyby do ujawnienia innych zdarzeń.

Octavia o tym nie wspomniała. Może nikt jej o tym nie poinformował przed zwolnieniem, a może zobaczyła w tej sprawie potencjalne bagno i ucieszyła się, że nie będzie musiała w nim grzęznąć. Jeśli prywatny detektyw miał rację, prokurator próbował skłonić Andrew Tenanta, żeby przyznał się do jednego gwałtu, by wykazać wzorzec zachowania i powiązać go z innymi napaściami.

– Ilu? – zapytała Leigh.

– Dwóch, może trzech.

Kobiety, pomyślała. Jeszcze dwie, może trzy kobiety zostały zgwałcone.

– W tych sprawach brak DNA – powiedział Bradley. – Wnioskuje, że istnieją poszlaki, ale niezbitych dowodów brak.

– Alibi?

– Jego narzeczona, ale... – Bradley skwitował to lekceważącym wzruszeniem ramion, jak zrobiłaby to ława przysięgłych. – Jakieś uwagi?

Leigh miała dwie: albo Tenant jest seryjnym gwałcicielem, albo prokurator okręgowy chce zrobić z niego seryjnego gwałciciela. Widziała takie prokuratorskie numery, kiedy prowadziła własną kancelarię, ale Andrew Tenant nie był pomocnikiem kelnera, który przyznawał się do winy z braku pieniędzy na dobrego adwokata.

Czuła, że Bradley ukrywa coś jeszcze, dlatego starannie dobrała słowa:

– Andrew to potomek bogatej rodziny. Prokurator okręgowy wie, że nie strzela się do króla, jeśli człowiek boi się, że spudłuje.

Bradley nie odpowiedział, ale nagle stał się czujniejszy. Leigh zadźwięczało w głowie niedawne pytanie Waltera. Czyżby sprowokowała niewłaściwą osobę niewłaściwymi słowami? Cole Bradley zapytał ją, co sądzi o sprawach o gwałt. Nie zapytał, co sądzi o niewinnych klientach. Sam przyznał, że zna rodzinę Tenantów od czasów niepamiętnych. Przypuszczała, że może być chrzestnym Andrew Tenanta.

Najwyraźniej nie zamierzał komentować jej odpowiedzi. Wyciągnął rękę, wskazując ostatnie zamknięte drzwi po prawej.

– Andrew siedzi w sali konferencyjnej z matką i narzeczoną – zakomunikował.

Leigh naciągnęła maseczkę na twarz. Przystawiła się mentalnie z bycia żoną Waltera, matką Maddy i hardą kobietą, która żartowała z ludzkim szkieletem w prywatnej windzie. Andrew Tenant poprosił konkretnie o nią. Zanim zatrudniła się w BC&M, szła za nią fama, że jest kimś między kolibrem a hieną. Teraz musiała znowu stać się kimś takim. Inaczej mogła stracić nie tylko klienta, lecz także pracę.

Bradley otworzył drzwi.

Sale konferencyjne na niższych piętrach były mniejsze niż toalety w Holiday Inn i działały na zasadzie: kto pierwszy, ten lepszy. Leigh spodziewała się zobaczyć większą wersję tego samego, ale osobista przestrzeń konferencyjna Cole'a Bradleya bardziej przypominała apartament w Waldorf-Astoria, z kominkiem i barkiem włącznie. Na postumencie stały kwiaty w ciężkim wazonie ze szkła. Tylną ścianę zdobiły zdjęcia buldogów Uga z różnych lat. Nad kominkiem wisiał portret Vince'a Dooleya. Na czarnej marmurowej komodzie leżały notatniki i pióra. Puchary za prawnicze dokonania wyparły rzędy butelek z wodą. Stół konferencyjny, długi na prawie cztery metry i szeroki na prawie dwa, był zrobiony z drewna sekwojowego. Krzesła pokrywała czarna skóra.

Na drugim końcu stołu siedziały trzy osoby z odsłoniętymi twarzami. Leigh rozpoznała Andrew Tenanta ze zdjęcia w artykule, chociaż na żywo prezentował się lepiej. Kobieta uczepona jego prawego ramienia była przed trzydziestką. Miała wytatuowane ramię i arogancki grymas na twarzy. Wymarzony materiał na synową.

Matka siedziała sztywno na krześle z rękami założonymi nisko na piersi. Jasne krótkie włosy były przetykane białymi pasemkami. Miała na sobie bladożółtą koszulkę polo z aligatorem, a na szyi cienki naszyjnik obrożę ze złota. Podniesiony kołnierzyk koszulki sprawiał

wrażenie, jakby jej właścicielka właśnie zeszła z pola golfowego, by popijać Krwawą Mary przy basenie.

Innymi słowy, taki typ kobiet Leigh знаła wyłącznie z powtórkowych odcinków *Plotkary* oglądanych z córką.

– Przepraszam, że czekaliście. – Bradley przesunął plik akt na drugą stronę stołu, w ten sposób sugerując Leigh, gdzie powinna usiąść. – To Sidney Winslow, narzeczona Andrew.

– Sid – dodała panna Winslow.

Na widok mnóstwa kolczyków, grubej warstwy tuszu do rzęs i postrzępionych kruczoczarnych włosów, Leigh spodziewała się właśnie czegoś w stylu Sid, Punkie albo Katniss.

– Przykro mi, że poznajemy się w takich okolicznościach – powiedziała uprzejmie. Musiała być miła dla drugiej połowy swojego klienta.

– To był koszmar. – Leigh nie zaskoczyło, że Sidney mówi schrypniętym głosem. Odgarnęła włosy, pokazując paznokcie pomalowane ciemnoniebieskim lakierem i skórzaną bransoletkę nabitą metalowymi ćwiekami. – Andrew prawie zamordowali w więzieniu, a był tam tylko cztery dni. Jest niewinny, to oczywiste. Ale nikt już nie jest bezpieczny. Jakaś stuknięta suka może wskazać placem i...

– Sidney, daj kobiecie zorientować się w sytuacji. – Doskonale kontrolowana wściekłość w głosie matki Andrew Tenanta przypominała jej ten specyficzny ton głosu, jakim upominała Maddy w obecności innych ludzi. – Leigh, nie spiesz się.

Odparła jej uśmiechem, a potem przybrała pokerową twarz.

– To potrwa chwilę. – Otworzyła akta. Liczyła, że jakiś szczegół odświeży jej pamięć i nareszcie będzie wiedziała, co to za ludzie. Pierwsza strona to był formularz z zatrzymania Andrew Tenanta.

Trzydzieści trzy lata, sprzedawca samochodów, prestiżowy adres. Oskarżony o porwanie i napaść seksualną trzynastego marca dwa tysiące dwudziestego roku, kiedy nadchodziła pierwsza fala pandemii.

Leigh nie wczytywała się w detale, ponieważ trudno potem o obiektywizm. Najpierw chciała wysłuchać wersji zdarzeń według Andrew. Jedno wiedziała na pewno: Andrew Trevor Tenant wybrał sobie zły czas na proces. Z powodu wirusa kandydaci na przysięgłych po sześćdziesiątym piątym roku życia byli generalnie wyłączeni, więc decyzja, czy ten elegancki młody mężczyzna o miłej powierzchowności jest seryjnym gwałcicielem, leżała w gestii osób poniżej sześćdziesiątego piątego roku życia.

Podniosła wzrok znad papierów. Zastanawiała się, od czego zacząć. Matka i syn ewidentnie uważali, że ona ich zna, jednak nie miała pojęcia dlaczego. Jeśli Andrew Tenant chciał, żeby była jego adwokatką, okłamywanie go przy pierwszym spotkaniu spełniało warunki definicji działania w złej wierze.

Nabrała powietrza w płuca, by przyznać, że ich nie kojarzy, kiedy głos zabrał Bradley:

– Przypomnij mi, Lindo, skąd znacie panią Collier?

Linda...

To imię poruszyło jedną ze strun w pamięci Leigh. Dotknęła głowy, jakby chciała wydrapać z niej jakiś konkretny. Ale to nie Linda zaczęła przywoływać bardziej uchwytnie wspomnienia. Już nie patrzyła na nią, tylko na jej syna.

Gdy Andrew Tenant posłał jej uśmiech, jego usta wykrzywiły się lekko w lewą stronę.

– Kopę lat, prawda? – rzucił.

– Dekady – dodała Linda, spoglądając na Bradleya. – Andrew zna te dziewczyny lepiej ode mnie. W tamtych czasach pracowałam jeszcze jako pielęgniarka. Na nocne zmiany. Leigh i jej siostra były jedynymi opiekunkami, którym ufałam.

Leigh poczuła, że jej żołądek zaciska się w pięść, która wali ją od środka w gardło.

– Co u Callie? – zapytał Andrew. – Co porabia?

Callie...

– Leigh? – Ton głosu Andrew wskazywał, że dziwi go jej zachowanie, jakby wydało mu się nienormalne. – Gdzie teraz mieszka twoja siostra?

– Ona... – Leigh urwała. Była zlane zimnym potem, dłonie jej drżały. Splotła palce i zacisnęła je z całych sił pod stołem. – Mieszka z dziećmi w Iowa. Jej mąż ma farmę mleczną.

– Brzmi przyjemnie – odparł Andrew. – Callie kochała zwierzęta. To dzięki niej zainteresowałam się akwariami. – Tę ostatnią uwagę rzucił do Sidney, a potem w paru zdaniach opowiedział o pierwszym słonowodnym zbiorniku.

– A tak, była czirliderką – powiedziała Sidney.

Leigh udawała, że słucha. Zaciskała mocno zęby, żeby nie krzyknąć. To nie mogła być prawda. Wszystko było nie tak.

Spojrzała na etykietkę z nazwiskiem w aktach.

TENANT, ANDREW TREVOR.

Wszystkie straszne i ukrywane od dwudziestu trzech lat szczegóły wróciły do niej z taką intensywnością, że zabrakło jej powietrza.

Przerażający telefon od Callie. Szaleńcza jazda do siostry. Straszliwy widok w kuchni. Znajoma woń wilgoci, dymu papierosowego, szkockiej

i krwi. Mnóstwo krwi.

Musiała się upewnić. Musiała usłyszeć to głośno i wyraźnie.

– Trevor?

Sposób, w jaki wargi Andrew skrzywiły się w lewo, powiedział jej wszystko. Leigh poczuła gęsią skórkę. Była jego opiekunką, a kiedy podrosła i znalazła prawdziwą pracę, scedowała tę fuchę na młodszą siostrę.

– Teraz używam imienia Andrew – powiedział. – Tenant to panięskie nazwisko mamy. Oboje uznaliśmy, że dobrze będzie wszystko zmienić po tym, co stało się z tatą.

Co stało się z tatą...

Buddy Waleski zniknął. Porzucił żonę i syna, nie zostawił listu, nie przeprosił. Leigh i Callie postarały się, żeby tak to wyglądało i tak zeznały policji. Buddy zrobił wiele złych rzeczy, był dłużnikiem wielu złych ludzi. To miało sens. W tamtym czasie to wszystko miało sens.

Andrew z przyjemnością obserwował, jak Leigh wraca pamięć. Uśmiech mu złagodniał, a wykrzywione usta powoli zaczęły się wygładzać.

– Minęło tyle czasu, Harleigh.

Harleigh...

Tylko jedna osoba nadal zwracała się do niej tym imieniem.

– Myślałem, że całkiem o mnie zapomniałaś.

Leigh pokręciła głową. Nigdy o nim nie zapomniała. Trevor Waleski był słodkim dzieckiem, trochę kłopotliwym i bardzo przyklepnym. Kiedy widziała go ostatni raz, był odurzony do nieprzytomności. Patrzyła, jak jej siostra delikatnie całuje go w czubek głowy.

Potem wróciły do kuchni, by skończyć mordować jego ojca.

[1] *Ya Got Trouble* (*Macie kłopot*) – piosenka z musicalu Mereditha Willsona *The Music Man* (*Muzyk*) wystawionego na Broadwayu w 1957 r., sfilmowanego w 1962 r. (Przyp. red.).

[2] Fragment piosenki *Ya Got Trouble* : *Nie szlachetny wyścig kłusaków, o nie! Na tym wyścigu siadają koniom na grzbietach!* (Przyp. red.).

[3] Fragment piosenki *Ya Got Trouble* : *Kłopot przez wielkie K, bo B jak bilard do was się pcha.* (Przyp. red.).

Poniedziałek

Leigh zaparkowała audi A4 przed siedzibą prywatnej firmy detektywistycznej Reginald Paltz i Wspólnicy, która zajmowała się sprawą Andrew Tenanta. Dwukondygnacyjny budynek powstał z myślą o niewielkich biurach, ale z zewnątrz wyglądał jak dom w stylu kolonialnym. Panował w nim klimat rodem z lat osiemdziesiątych. Były tam złote oprawy oświetleniowe, plastikowe listwy okienne, okładzina z cegieł. Kruszejące betonowe schody prowadziły ku przeszklonym drzwiom, w sklepionym holu krzywy złoty żyrandol zwisał nad krętymi schodami.

Temperatura na zewnątrz rosła, po południu miała sięgnąć dwudziestu sześciu stopni. Leigh zostawiła auto na biegu jałowym, żeby działała klimatyzacja. Przyjechała dwadzieścia minut przed czasem, by posiedzieć w aucie i zebrać myśli. Dobrą studentką, a potem prawniczką została dzięki temu, że potrafiła odciąć się od wszystkich rozpraszaczy i skupić wyłącznie na tym, co przed nią. Jeśli pomogło się rozczłonkować ciało faceta o wadze stu piętnastu kilogramów, a jednocześnie skończyło naukę z pierwszą lokatą w klasie, trzeba było się nauczyć rozdzielać emocje.

W tej chwili musiała skupić się nie na samym Andrew Tenancie, lecz na sprawie Andrew Tenanta. Była drogą prawniczką. Proces sądowy rozpoczął się za tydzień, a szef poprosił, by przedstawiła gotową strategię już jutro pod koniec dnia. Miała do czynienia z klientem, na

którym ciążyły poważne zarzuty, oraz prokuratorem, który rozgrywał własną grę. Musiała znaleźć w tej sprawie tyle luk, żeby chociaż w jednym przysięgłym zasiać ziarno wątpliwości.

Wypuściła z płuc powietrze, a wraz z nim odpędziła niepokój, by oczyścić myśli. Sięgnęła po akta Andrew leżące na siedzeniu pasażera. Przerzuciła kartki i znalazła zestawienie podstawowych informacji:

Tammy Karlsen.

Comma Chameleon[4].

Odciski palców.

Monitoring wizyjny.

Przeczytała podsumowanie bez zrozumienia. Pojedyncze słowa miały sens, ale ułożenie ich w logiczne zdanie było niemożliwe. Wróciła do początku. Linijki tekstu zaczęły tańczyć jej przed oczami, aż dołączyły do nich żołądek. Zamknęła akta i położyła rękę na klamce, ale nie otworzyła drzwi, tylko wciągnęła haust powietrza. Potem drugi i trzeci, aż pozbyła się kwaśnego posmaku, gdy zawartość żołądka zaczęła podchodzić do gardła.

Tylko córka mogła wytrącić ją ze stanu skupienia. Kiedy chorowała, smuciła się albo złościła z konkretnego powodu, Leigh była nieszczęśliwa, póki nie naprawiła sytuacji. To uczucie było niczym w porównaniu z jej obecnym stanem. Każdym nerwem czuła, jakby duch Buddy'ego Waleskiego okładał ją dzwoniącymi łańcuchami.

Rzuciła akta na siedzenie, zacisnęła mocno powieki i odchyliła głowę. Ciągle skręcało ją w żołądku. Prawie przez całą noc zbierało się jej na mdłości. Nie mogła spać, nawet nie poszła do łóżka. Długie godziny przesiedziała na kanapie po ciemku, obmyślając strategię w sprawie Andrew.

Trevora.

W noc śmierci Buddy'ego NyQuil skutecznie uśpił Trevora, musiały się jednak upewnić. Leigh kilka razy zawołała go po imieniu, za każdym razem coraz głośniej, a Callie pstrykała mu palcami koło ucha, potem zaklaskała tuż przed nosem. Nawet potrząsnęła nim trochę, a potem przesunęła w przód i w tył jak wałek do ciasta.

Policja nigdy nie znalazła ciała Buddy'ego. Kiedy zlokalizowano jego corvette w jeszcze bardziej szemranej części miasta, auto było już rozebrane na części. Buddy nie miał biura, więc nie zostawił żadnej dokumentacji. Cyfrową kamerę marki Canon, która była ukryta we wnętrzu baru, roztrzaskały młotkiem na drobne kawałki, które potem porzucali w różnych częściach miasta. Szukały innych minikaset, ale nie znalazły. Szukały kompromitujących zdjęć, ale nie znalazły. Przewróciły do góry nogami kanapę, materace, przeszukały szuflady i szafy, odkręciły kratki wentylacyjne, przetrząsnęły kieszenie i półki z książkami, a także wnętrze wozu Buddy'ego, a na koniec starannie posprzątały po sobie, odłożyły wszystko na miejsce i wyszły z domu przed powrotem Lindy.

No i tamta krótka rozmowa:

– Harleigh, co teraz?

– Trzymamy się naszej wersji, żeby nie wylądować w więzieniu.

Leigh zrobiła w życiu wiele paskudnych rzeczy, które nadal ciążyły jej na sumieniu, ale morderstwo Buddy'ego Waleskiego do nich nie należało. Buddy zasłużył na śmierć. Żałowała tylko, że nie stało się to wcześniej, zanim zagiął parol na Callie. Chociaż zbrodnia doskonała nie istnieje, była pewna, że morderstwo uszło im na sucho.

Do wczorajszego wieczoru.

Gdy zabolą ją palce, spojrzała w dół. Kurczowo zaciskała je na kierownicy, aż kłykcie pobieleły i wyglądały jak zęby wbite w skórę

kierownicy. Spojrzała na zegarek. Te ponure rozmyślenia zajęły jej dziesięć minut.

– Skup się – zbesztła się na głos.

Andrew Trevor Tenant.

Jego akta ciągle leżały na siedzeniu pasażera. Leigh na moment zamknęła oczy, przywołując obraz tamtego słodkiego i głupawego Trevora, który uwielbiał biegać po podwórku i od czasu do czasu jadał makaron. Dlatego Linda i Andrew chcieli, żeby to ona go broniła. Nie mieli pojęcia, że jest zamieszana w nagłe zniknięcie Buddy’ego. Pragnęli obrońcy, który ciągle będzie widział w Andrew tamtego nieszkodliwego chłopca sprzed dwudziestu trzech lat. Nie chcieli, żeby kojarzyła go wyłącznie z odrażającymi czynami, o które został oskarżony.

Sięgnęła po akta. Nadeszła pora, żeby zapoznać się z opisem tych odrażających czynów.

Wzięła głęboki oddech. Musiała zebrać siły. Nie wierzyła w złą krew ani w to, że jabłko pada niedaleko jabłoni. Gdyby istotnie tak było, zostałyby agresywną alkoholiczką z wyrokiem za napaść. Ludzie przekraczali własne uwarunkowania, mogli wyrwać się z zakłętego kręgu.

Czy Andrew Tenant wyrwał się z tego kręgu?

Otworzyła akta i po raz pierwszy uważnie przeczytała listę zarzutów:

Porwanie. Gwałt. Kwalifikowane brutalne pobicie. Kwalifikowana sodomia. Kwalifikowana napaść na tle seksualnym.

Wystarczyła Wikipedia, by poznać ogólne definicje porwania, gwałtu, pedofilii i napaści, jednak w przypadku definicji prawnych sprawy się komplikowały. Większość stanów używała ogólnego terminu „napaść na tle seksualnym”, więc taki zarzut mógł dotyczyć wszystkiego: od niechcianego złapania za tyłek po brutalny gwałt.

W niektórych stanach klasyfikowano przestępstwa seksualne w zależności od stopnia ich drastyczności. Pierwszy stopień dotyczył najpoważniejszych przestępstw, reszcie przypisywano niższe stopnie. Różnica w klasyfikacji dotyczyła natury aktu – od penetracji przez wymuszenie po niechciany dotyk. Jeśli użyto przy tym broni, jeśli ofiara była dzieckiem, funkcjonariuszem organów ścigania lub miała ograniczoną poczytalność, wtedy pojawiał się zarzut popełnienia przestępstwa.

Na Florydzie obowiązywał termin „napaść seksualna”. Bez względu na poziom ohydy czynu – o ile jego sprawca nie był bogatym pedofilem z politycznymi koneksjami – to przestępstwo zawsze było kwalifikowane jako poważne i groziło za nie nawet dożywocie. W Kalifornii „wykroczenie seksualne” mogło skutkować półroczną odsiadką w więzieniu okręgowym. Wyrok za „napaść seksualną” wynosił od roku w okręgowym areszcie do czterech lat w więzieniu dla dużych chłopców.

Georgia była wśród większości stanów, w których „napaść na tle seksualnym” mieściła w sobie wszystko: od niechcianego dotyku po nekrofilie. Terminu „kwalifikowana” używano dla określenia najcięższych zarzutów. „Kwalifikowana sodomia” oznaczała wymuszenie kontaktu na ofierze siłą. „Kwalifikowana napaść” oznaczała użycie broni palnej lub innego niebezpiecznego narzędzia. Człowiek, który popełnił kwalifikowaną napaść seksualną, umyślnie penetrował narząd płciowy lub odbył drugiej osoby obcym ciałem bez zgody tej osoby. Sprawca takiego czynu mógł dostać dożywocie albo dwadzieścia pięć lat z dożywotnią kuratelą sądową. W obu przypadkach lądował dożywotnio na liście przestępców seksualnych. Jeśli wpadając do tego systemu, nie był kompletnym degeneratem, na pewno takim z niego wychodził.

Odszukała zdjęcie Andrew Tenanta do kartoteki policyjnej.

Trevora.

Kształt jego twarzy przypominał jej chłopca, jakim kiedyś był. Spędziła długie wieczory z jego głową na swoich kolanach, gdy czytała mu na dobranoc. Zerkąła na niego raz po raz, modląc się w duchu, by wreszcie zasnął, żeby w końcu mogła usiąść do nauki.

Widziała w życiu wiele zdjęć z policyjnych kartotek. Czasem oskarżeni unosili podbródek, miotali wzrokiem błyskawice albo wyczyniali inne głupoty, żeby wyjść na twardziela, ale przysięgłym to nie imponowało. Ze zdjęcia Andrew jasno wynikało, że stara się ukryć strach, co było zrozumiałe. Potomków dobrze sytuowanych rodzin rzadko aresztowano i wieziono na posterunek. Andrew wyglądał, jakby przygryzał dolną wargę od środka. Miał rozszerzone nozdrza, a ostry błysk fleszu przydał jego oczom sztucznego błysku.

Czy był brutalnym gwałcicielem? Czy mały chłopiec, któremu Leigh czytała książki, z którym malowała kolorowanki, którego ganiała po podwórku, gdy on zaśmiewał się do rozpuku, wyrósł na takiego samego odrażającego typa jak jego ojciec?

– Harleigh?

Drgnęła, wypuściła z rąk papiery i krzyknęła.

– Przepraszam. – Zza szyby dobiegł tłumiony głos Andrew. – Przestraszyłem cię?

– Tak, jak cholera! – Zebrała rozrzucone kartki. Serce podeszło jej do gardła. Zapomniała, że Trevor w dzieciństwie uwielbiał się skradać.

– Bardzo przepraszam – powtórzył.

Rzuciła mu wściekłe spojrzenie zarezerwowane dla rodziny. I zaraz przypomniała sobie, że Andrew jest jej klientem.

– W porządku.

Poczerwieniał ze wstydu i podciągnął maseczkę, która wisiała na brodzie. Była niebieska, z logo Mercedesa pośrodku. Ta zmiana mu nie pomogła. Teraz przypominał zwierzę w kagańcu. Cofnął się o krok, żeby Leigh mogła otworzyć drzwi.

Kiedy wyłączała silnik i zbierała akta, ręce znowu jej drżały. Nigdy wcześniej nie była tak wdzięczna losowi za czas potrzebny do wyjęcia maseczki i zasłonięcia twarzy. Wysiadała z auta na miękkich nogach. Wspominała chwilę, kiedy ostatni raz widziała Trevora. Leżał w łóżku z zamkniętymi oczami, kompletnie nieświadomy tego, co dzieje się w kuchni.

– Dzień dobry – odezwał się.

Leigh zarzuciła torebkę na ramię i wsunęła akta do teczki. W butach na obcasach czubkiem głowy sięgała Andrew. Jasne włosy miał zaczesane do tyłu. Jego klatka piersiowa i ramiona były efektem ćwiczeń na siłowni, ale po ojcu odziedziczył wzrost i wąską talię. Leigh nie spodobał się jego garnitur. Zbyt niebieski, zbyt dopasowany, zbyt modny. Chociaż akurat tego można się spodziewać po sprzedawcy mercedesów. Mechanik czy hydraulik, którzy znaleźliby się w składzie ławy przysięgłych, od razu znienawidziliby Andrew za sam garnitur.

– Uhm... – Andrew wskazał wielki kubek Dunkin' Donuts, który postawił na dachu jej auta. – Przyniosłem ci kawę, ale to chyba nie najlepszy pomysł.

– Dziękuję – powiedziała, jakby wokół nie szalała śmiertelna pandemia.

– Strasznie mi przykro, że cię przestraszyłem, Har...Leigh. Powinienem mówić do ciebie Leigh. A ty mów mi Andrew. Jesteśmy już innymi ludźmi.

– Owszem. – Musiała opanować niepokój. Musiała skierować rozmowę na znany sobie grunt. – Wczoraj wieczorem złożyłam pilny wniosek o ustanowienie mnie twoim adwokatem. Octavia już wycofała swoje nazwisko, więc zgoda sądu powinna być formalnością. Sędziowie nie lubią takich posunięć w ostatniej chwili, na pewno nie dostaniemy odroczenia terminu, a ze względu na covid musimy być gotowi w każdej chwili. Inaczej stracimy ustalony termin, przesuną nas na przyszły tydzień albo przyszły miesiąc.

– Dziękuję. – Andrew szybko skinął głową, jakby tylko czekał na swoją kolej. – Mama przeprasza za nieobecność. W poniedziałki rano ma firmowe mityngi. Sidney już czeka w środku. Pomyślałem, że zamienię z tobą parę słów na osobności. Mogę?

– Oczywiście. – Niepokój Leigh powrócił. Andrew z pewnością zapyta o ojca. Kubek kawy na dachu był dobrym pretekstem, żeby przez chwilę zająć się czymś innym. Tektura wręcz parzyła ją w palce. Na myśl o łyku gorącej kawy zrobiło się jej słabo.

– Widziałaś... – Andrew wskazał dokumenty wetknięte do jej torby. – Czytałaś już?

Kiwnęła głową. Nie wiedziała, czy wydobędzie z siebie głos.

– Nie mogłem doczytać tego do końca. To straszne, co spotkało Tammy. Myślałem, że świetnie się rozumiemy. Nie wiem, dlaczego mi to robi, wydawała się miła. Nie rozmawiasz z kimś przez dziewięćdziesiąt osiem minut, jeśli uważasz go za potwora.

Ta dokładność była dziwna, ale dostarczyła Leigh podpowiedzi. Przywołała w pamięci bezładne słowa z podsumowania w aktach Andrew:

Tammy Karlsen. Comma Chameleon. Odciski palców. Monitoring wizyjny.

Tammy Karlsen była ofiarą. Przed pandemią Comma Chameleon był modnym barem dla singli w Buckhead. Policja znalazła odciski palców Andrew tam, gdzie nie powinno ich być, a dzięki nagraniu z monitoringu znali jego ruchy.

Dodała do tego szczegół, który zeszłego wieczoru podał jej Cole Bradley.

– Sidney dała ci alibi na czas napaści? – zapytała.

– Wtedy nie byliśmy jeszcze parą, ale kiedy przyszedłem z baru do domu, ona siedziała na progu i czekała na mnie. – Uniósł ręce, jakby chciał uprzedzić jej słowa. – Wiem, wiem, to brzmi niewiarygodnie. Sid zjawia się u mnie, kiedy akurat potrzebuję alibi, ale taka jest prawda.

Leigh wiedziała, że i najlepsze, i najgorsze alibi mogą brzmieć nieprawdopodobnie. Nie chodziło o to, czy ona wierzy Andrew Tenantowi, czy nie. Miała inny cel: przekonać sąd o jego niewinności.

– Kiedy się zaręczyliście? – zapytała.

– Dziesiątego kwietnia zeszłego roku. Przez dwa lata zrywaliśmy z sobą i wracaliśmy do siebie, ale moje aresztowanie i pandemia zbliżyły nas do siebie.

– Brzmi romantycznie. – Starła się przybrać ton prawniczki, która przez pierwsze miesiące pandemii hurtowo wносиła covidowe pozwy rozwodowe bez orzekania o winie. – Wyznaczyliście datę?

– Środa. Dzień przed wyborem ławy przysięgłych. Chyba że uda ci się oddalić zarzuty.

Nadzieja w jego głosie przeniosła ją na powrót do kuchni Waleskich, kiedy Trevor pytał, czy mama niedługo wróci. Leigh nie okłamała go wtedy i pod żadnym pozorem nie mogła okłamać teraz.

– Nie, zarzutów nie da się oddalić. Oni chcą cię dopaść. Możemy tylko przygotować się do walki.

Pokiwał głową, drapiąc się w масечkę.

– Chcę wierzyć, że któregoś dnia obudzę się i ten koszmar się skończy, ale to dość naiwna wiara.

Rozejrzała się po parkingu, by się upewnić, że są sami.

– Andrew, wczoraj wieczorem nie mogliśmy mówić o szczegółach przy Lindzie i Sidney, ale pan Bradley wyjaśnił ci, że są inne sprawy, które prokurator okręgowy może wszcząć, jeśli przyznasz się do winy.

– Tak.

– Powiedział też, że jeśli przegrasz proces sądowy, tamte sprawy nadal mogą...

– Cole mówił jeszcze, że na sali sądowej jesteś bezwzględna. – Andrew wzruszył ramionami, jakby to wystarczyło. – Mamie powiedział, że zatrudnił cię, bo należysz do najlepszych adwokatów w mieście.

Cole Bradley wciskał kit, przecież nawet nie wiedział, na którym piętrze ona pracuje.

– Jestem też brutalnie szczera. Jeśli proces nie potoczy się po naszej myśli, grozi ci długa odsiadka.

– Nie zmieniałaś się ani trochę, Harleigh. Zawsze wykładasz wszystkie karty na stół. Dlatego chciałem z tobą pracować. – Przerwał na moment, ale tylko po to, by dodać coś jeszcze: – Smutne, że ruch MeToo naprawdę mnie obudził. Staram się być sprzymierzeńcem. Powinniśmy wierzyć kobietom, ale to już przesada. Fałszywe oskarżenia tylko krzywdzą inne kobiety.

Pokiwała głową, chociaż jego słowa nie brzmiały przekonująco. Problem z gwałtem polegał na tym, że sprawca znał realia panującej kultury na tyle, by mówić to samo, co powiedziała by niewinny mężczyzna. Niedługo Andrew zacznie mówić o uczciwym procesie, nie rozumiejąc, że właśnie toczy się jego uczciwy proces.

– Chodźmy do środka – powiedziała.

Cofnął się, puszczając ją przodem, a ona siłą woli trzymała głowę prosto. Nie mogła zachowywać się jak przestępczyni. Jako adwokatka wiedziała, że jej klienci nie wpadali z powodu nadzwyczajnej błyskotliwości śledczych. Zwykle zawdzięczali to własnej głupocie albo wyrzutom sumienia. Wybierali niewłaściwą osobę, której chwalili się swoim występkiem, albo wyznawali winy. Najczęściej jednak sami potykali się o własne nogi i wtedy potrzebowali prawnika.

Leigh nie bała się wyrzutów sumienia, ale musiała uważać, żeby strach przed złapaniem mimowolnie jej nie zdradził. Przełożyła gorący kubek do drugiej ręki i zebrała się w sobie, idąc po niszczących betonowych schodach ku drzwiom.

– Przez lata szukałem Callie – odezwał się Andrew. – W której części Iowa mieszka?

Leigh poczuła, jak jeżą się jej włosy na karku. Największym błędem kłamcy jest podanie zbyt wielu szczegółów.

– Na północnym zachodzie, bliżej Nebraski.

– Chciałbym jej adres.

Cholera!

Wyprzedził ją i otworzył drzwi. W holu leżała zdeptana wykładzina, ściany były porysowane. W środku budynek wyglądał bardziej posępnie i smutno niż z zewnątrz.

Odwróciła się i zobaczyła, jak Andrew przyklęka na jedno kolano i wyciąga nogawkę spodni zza bransoletki na kostce. Urządzenie było wyposażone w lokalizator i ograniczało mobilność Andrew do domu, pracy i spotkań z adwokatami. Gdyby znalazł się poza tym trójkątem, w centrali monitorującej podniósłby się alarm. No, teoretycznie, bo w mieście dotkniętym pandemią biuro kuratora, tak jak i inne urzędy, cierpiało z powodu braków kadrowych.

Andrew podniósł na nią wzrok i spytał:

– Czemu Iowa?

Na to pytanie Leigh była przygotowana.

– Zakochała się, zaszła w ciążę, wyszła za mąż i znowu zaszła w ciążę.

Sprawdziła tablicę informacyjną. Firma Reginald Paltz i Wspólnicy znajdowała się na piętrze.

– Założę się, że Callie jest świetną mamą. – Znowu puścił ją przodem. – Zawsze była dla mnie dobra, taka bardziej siostra niż opiekunka.

Zacisnęła zęby. Nie umiała określić, czy pytania Andrew są stosowne, czy natrętne. W dzieciństwie dawał się łatwo scharakteryzować. Był niedojrzały jak na swój wiek, naiwny, uległy, ale jej wyostrzony instynkt teraz ją zawodził. Nie mogła rozgryźć Andrew.

– Północno-zachodnia część Iowa. Tam, gdzie uderzyło *derecho*[5]?

Była już na półpiętrze. Zacisnęła palce na kubku tak mocno, że omal nie posłała pokrywki w powietrze. Czy Andrew przeczytał w nocy wszystko o stanie Iowa?

– Były u nich podtopienia, ale nic im się nie stało.

– Dalej była czirliderką?

Dotarła na szczyt schodów i odwróciła się do Andrew. Musiała skierować rozmowę na inne tory, zanim zada kolejne sondujące pytanie.

– Zapomniałam, że wyprowadziliście się po zniknięciu Buddy’ego.

Przystanął na półpiętrze i zamrugał, ale milczał.

Bardziej wyczuła, niż zobaczyła w wyrazie jego twarzy coś dziwnego, ponieważ widziała tylko jego oczy. Przeanalizowała w myślach przebieg ich rozmowy, szukając punktu zwrotnego. Czy Andrew zachowywał się dziwnie? A ona?

– Dokąd się przeprowadziliście? – zapytała.

Poprawił maseczkę, dopasowując drucik do nasady nosa.

– Do Tuxedo Park. Zamieszkaliśmy u mojego wujka Grega.

Tuxedo Park, czyli jedna z najstarszych i najbogatszych dzielnic Atlanty.

– O, to byłeś jak Will Smith w *Bajerze z Bel-Air*.

– Nie żartuj. – Zaśmiał się wymuszenie.

Właściwie wszystko w nim wydawało się wymuszone. Leigh miała do czynienia z tyloma przestępcami, że rozwinęła wewnętrzny system ostrzegania. Na widok Andrew, gdy znów poprawił maseczkę, zapaliła się jej jaskrawoczerwona lampka. W żaden sposób nie mogła go rozszyfrować. Nigdy nie widziała kogoś o tak pustym i nieobecnym wzroku.

– Może nie znasz tej historii, ale mama poznała tatę, kiedy była bardzo młoda. Rodzice postawili jej ultimatum: podpiszemy zgodę na ślub, ale wyrzekniemy się ciebie, jeśli wyjdiesz za mąż.

Zacisnęła zęby, żeby nie opadła jej szczęka. Wiek uprawniający do legalnego zawarcia małżeństwa za zgodą rodziców wynosił szesnaście lat. Jako nastolatka wszystkich dorosłych uważała dla starych, ale w tej

chwili uświadomiła sobie, że Buddy był co najmniej dwa razy starszy od Lindy.

– Łajdacy spełnili groźbę – ciągnął Andrew. – Odrzucili mamę. Odrzucili nas. Dziadek miał wtedy tylko jeden salon, ale mnóstwo kasy, w każdym razie wystarczająco dużo, żeby ułatwić nam życie. Ale nikt nie kiwnął placem. Dopiero kiedy tata zniknął, wujek Greg wkroczył do akcji z gadką o wybaczeniu i całym tym religijnym bełkotem. To on zmusił nas do zmiany nazwiska. Wiedziałaś o tym?

Zaprzeczyła ruchem głowy. Wczoraj Andrew przedstawił to jako ich decyzję.

– Zniknięcie taty zrujnowało nam życie. Chciałbym, żeby ten, kto nam to zrobił, sam zrozumiał, jak to jest.

Leigh poczuła nagły przyptyw paranoi, szczęśliwie nie było tego po niej widać.

– Tak czy inaczej, wszystko obróciło się na dobre, nie? – Andrew zaśmiał się drwiąco. – Przynajmniej do teraz.

Resztę schodów pokonał w milczeniu. W jego głosie przebijały nuty złości, ale szybko się opanował. Leigh przyszło do głowy, że to nie jej poczucie winy odgrywa tu rolę. Andrew mógł mieć swoje powody, by czuć się przy niej nieswojo. Może uważał, że go sprawdza, ważąc w myślach jego winę lub niewinność. Chciał ją przekonać, że jest porządnym człowiekiem, by z większym zaangażowaniem o niego walczyła.

Tracił czas. Leigh rzadko rozważała kwestię winy czy niewinności swoich klientów. Większość była winna. Czasem trafiali się mili, inni byli totalnymi draniami. To i tak bez znaczenia, ponieważ sprawiedliwość jest ślepa, chyba że chodzi o kolor zielony. Za rodzinne pieniądze Andrew Tenant mógł kupić wszystko: prywatnych

detektywów, specjalistów, ekspertów kryminalistycznych oraz każdego, kto dzięki zachęce finansowej przekonałby przysięgłych o jego niewinności. Praca w BC&M nauczyła Leigh jednego: lepiej być winnym i bogatym niż niewinnym i biednym.

Andrew wskazał zamknięte drzwi na końcu holu.

– On jest tam... – Gdy rozległ się charakterystyczny chrypliwy śmiech Sidney Winslow, szybko dodał: – Przepraszam. Ona bywa głośna. – Widoczne nad maseczką policzki poczerwieniały mu lekko. – Idź przodem.

Leigh ani drgnęła. Musiała powtórzyć sobie w duchu, że Andrew nic nie wie o jej udziale w zniknięciu ojca. Tylko głupi błąd z jej strony mógł sprowokować go do zadawania pytań. Jeśli jego zachowanie i słowa budziły jej czujność, to pewnie dlatego, że był gwałcicielem.

A ona była jego adwokatką. I powinna mu coś wyjaśnić już na parkingu.

– Rozumiesz, że Octavia Bacca wynajęła pana Paltza do przeprowadzenia śledztwa. A teraz Bradley, Canfield & Marks wynajmuje go, żeby nadal zajmował się sprawą, zgadza się?

– Ja wciągnąłem w to Reggiego, ale tak.

Uznała, że kwestią „Reggiego” zajmie się później. W tej chwili musiała dopilnować, żeby tyłek Andrew był kryty.

– Czyli rozumiesz, że kiedy firma prawnicza wynajmuje detektywa, a nie bezpośrednio klient, dzieje się tak dlatego, że wszelkie dyskusje o strategii działania czy udzielane rady stanowią część mojej pracy i jako takie są objęte tajemnicą zawodową. A to znaczy, że oskarżyciel nie ma prawa zmusić detektywa do ujawnienia treści naszych rozmów.

Zanim skończyła, Andrew już kiwał głową.

– Rozumiem.

Jeśli chodzi o następną kwestię, to musiała działać ostrożnie, chociaż była w niej ekspertką.

– Sidney nie przysługuje ten przywilej – oznajmiła.

– Tak, ale pobierzemy się przed procesem, więc ją obejmie.

– W tej chwili nie jesteście małżeństwem, a to oznacza, że cokolwiek teraz jej powiesz, nic z tego nie podlega ochronie.

Nie wiedziała, czy szok w spojrzeniu Andrew znad maseczki to efekt strachu, czy autentycznego zaskoczenia.

– Nawet po zawarciu małżeństwa to bywa skomplikowane – mówiła dalej. – W stanie Georgia w postępowaniach karnych małżonkowie mają prawo odmowy zeznań niekorzystnych dla współmałżonka oraz przysługuje im przywilej poufności komunikacji, co oznacza, że możesz zapobiec zeznaniom żony w sprawach, o których mówiłaś jej podczas małżeńskich rozmów.

Andrew skinął głową, ale Leigh widziała, że tego nie zrozumiał.

– Doprecyzuję – ciągnęła. – Jesteście z Sidney małżeństwem, pewnego wieczoru siedzicie sobie w kuchni, a ty mówisz: „Nie chcę mieć przed tobą tajemnic. Powinnaś wiedzieć, że jestem seryjnym zabójcą”. Wtedy możesz powołać się na poufność komunikacji i ona nie będzie mogła zeznawać.

Te słowa wyraźnie zaintrygowały Andrew.

– Gdzie tu komplikacja? – zapytał.

– Jeśli Sidney chlapnie przyjaciółce: „To wariactwo, ale Andrew powiedział, że jest seryjnym zabójcą”, wtedy przyjaciółka może zostać wezwana do sądu jako świadek ze słyszenia.

Dolna część maseczki wyraźnie się poruszyła. Andrew przygryzł wewnętrzną stronę wargi.

Leigh wiedziała, że wrzuciła bombę. Usłyszała jej tykanie na widok skórzanych dodatków Sidney i kolczyków w różnych miejscach ciała.

– Albo inna sytuacja. Sidney mówi przyjaciółce, że zrobiłaś w łóżku coś perwersyjnego, i to twoje perwersyjne zachowanie przypomina coś, co zrobiono ofierze. Wtedy przyjaciółka może zeznawać w sprawie tej perwersji, a prokurator może twierdzić, że to dowód na wzorzec zachowania.

Andrew przełknął ślinę. Jego niepokój wzrósł wyczuwalnie.

– Czyli powinienem powiedzieć Sid...

– Jako twoja adwokatka nie mogę ci radzić w tej kwestii. Mogę tylko wyjaśnić przepisy prawa, żebyś rozumiał konsekwencje. Rozumiesz konsekwencje?

– Tak, rozumiem.

– Cześć! – Sidney ciężko stąpała w ich stronę w masywnych gładach.

Miała na twarzy czarną maseczkę z chromowanymi ćwiekami. Była nieco mniej gotycka niż poprzednio, ale ciągle emanowała nieokiełznaną energią. Leigh mogła tak wyglądać w jej wieku, co było irytujące i przygnębiające.

– Właśnie... – zaczął Andrew.

Sidney wpadła mu w słowo, zwracając się do Leigh:

– Rozmawialiście o Callie? On ma obsesję na punkcie twojej siostry. Przyznał, że się w niej durzył? To jego jedyna przepustka do przeszłości. Mówił ci?

Leigh potrząsnęła głową. Nie po to, żeby zaprzeczyć, lecz by pobudzić mózg do pracy. To oczywiste, że Andrew nadal czuje słabość

do Callie, i dlatego o nią dopytywał.

Starła się skierować rozmowę jak najdalej od siostry.

– Skąd znasz Reggiego Paltza? – zapytała.

– Przyjaźnimy się od... – Andrew wzruszył ramionami, ponieważ w tej chwili zajmowały go wyłącznie słowa Leigh o przywileju współmałżonka.

Sidney wyczuła jego napięcie.

– Co się dzieje, skarbie? Coś się stało?

Leigh nie musiała i nie chciała być obecna przy ich dalszej rozmowie.

– Pójdę już do detektywa, a wy sobie podyskutujcie.

Sidney uniosła przesadnie łukowatą brew, a Leigh uświadomiła sobie, że powiedziała to chłodniejszym tonem, niż zamierzała. Siła się na bezstronność. Odchodząc korytarzem, walczyła z chęcią wyliczenia w myślach wszystkich rzeczy, które ją w tej kobiecie irytowały. Nie miała najmniejszych wątpliwości, że Sidney opowiada koleżankom o Andrew. Kiedy jest się młodym i głupim, liczy się tylko seks.

– Andy – zachrypiała zmysłowo Sidney. – Co się stało, kochany? Czym się martwisz?

Leigh zamknęła za sobą drzwi.

Znalazła się w ciasnym sekretariacie z metalowym biurkiem, bez sekretarki i bez krzesła. Wzdłuż bocznej ściany mieścił się aneks kuchenny. Wylała resztkę kawy do zlewu i wrzuciła tekturowy kubek do kosza. Wyposażenie aneksu było standardowe: ekspres do kawy, czajnik, płyn do dezynfekcji rąk i zapas jednorazowych maseczek. Za otwartymi drzwiami zobaczyła krótki korytarz, ale przed spotkaniem z Reggie Paltzem chciała wyrobić sobie opinię.

Białe ściany. Ciemnoniebieska wykładzina od ściany do ściany. Baranek na suficie. Na ścianie pejzaże za mało artystyczne, by wyjść poza kategorię fotografii z wakacji: wschód słońca nad tropikalnym morzem, psie zaprzęgi w tundrze, ośnieżone górskie szczyty, niezliczone schody Machu Picchu. Podniszczony kij do lacrosse'a na ścianie nad dwuosobową sofą z czarnej skóry. Stare egzemplarze magazynu „Fortune” rozrzucone na szklanym stoliku kawowym. Dywanik w niebieskie maziaje pod stolikiem.

Młodszy niż przypuszczała i dobrze wykształcony, przecież w złych dzielnicach nie uczyli grać w lacrosse'a. Zdecydowanie nie gliniarz, prawdopodobnie rozwiedziony i bezdzietny. Potrzeby dzieci zawsze wygrywają z egzotycznymi wakacjami. Uczelniany sportowiec, który nie chciał porzucić dawnej chwały. Możliwe, że niedokończone studia MBA. Nawykły do pieniędzy w kieszeni.

Skorzystała z płynu do dezynfekcji i ruszyła do biura.

Reggie Paltz siedział za biurkiem wzorowanym na Resolute^[6], a po jego drugiej stronie stały dwa różne krzesła. Całości dopełniała skórzana kanapa pod ścianą. Paltz miał na blacie niezbędną skórzaną podkładkę oraz akcesoria, jakie każdy mężczyzna trzymał w biurze: przycisk do papieru z barwionego szkła, wizytownik z jego imieniem i nazwiskiem i posrebrzany otwieracz do listów od Tiffany'ego, jaki kupiła Walterowi kilka Gwiazdek wstecz.

– Pan Paltz? – zapytała.

Wstał zza biurka. Był bez maseczki, mogła więc zobaczyć wyraźnie zarysowaną linię szczęki, która zaczynała nabierać miękkości. Nie pomyliła się zbyt w swoim pospiesznym osądzie. Paltz miał około trzydziestu pięciu lat, krótko przyciętą kozią bródkę i nonszalancką fryzurę à la wczesny Hugh Grant, chociaż ciemne włosy zaczęły już rzednąć. Miał na sobie spodnie khaki i jasnoszarą koszulę na guziki, a na

grubej szyi wisiał cienki złoty łańcuszek. Otaksował ją uważnym spojrzeniem, najpierw twarz, potem piersi, na koniec nogi. Takie męskie spojrzenia towarzyszyły jej od wieku dojrzewania. Ogólnie Reggie Paltz zaprezentował się jako przystojny dupek, ale nie w jej typie.

– Pani Collier. – W normalnych czasach wymieniliby uścisk dłoni, teraz Paltz trzymał ręce w kieszeni. – Mów mi Reggie. Miło cię w końcu poznać.

Leigh poczuła, jak sztywnieją jej mięśnie na dźwięk słów „pani” i „w końcu”. Tak ją pochłaniało gorączkowe szukanie sposobu na wymiganie się od tej przeklętej sprawy, że nie zastanawiała się, jakim cudem w ogóle znalazła się w tej sytuacji.

Pani Collier...

Przyjęła nazwisko Waltera, gdy pobrali się w college’u, i nie zwracała sobie głowy powrotem do panieńskiego nazwiska, ponieważ nie zadała sobie trudu, żeby się rozwieść. Zgodnie z prawem zmieniła swoje imię z Harleigh na Leigh trzy lata przed poznaniem Waltera.

Jakim cudem Andrew poprosił o Leigh Collier, skoro z dawnych lat wiedział tylko tyle, że ma na imię Harleigh i nosi nazwisko swojej matki? Leigh przez lata zrobiła wszystko, żeby każda próba powiązania jej przeszłości z jej teraźniejszością wymagała ogromnego wysiłku i nie gwarantowała sukcesu.

Co prowadziło do jeszcze poważniejszego pytania: skąd Andrew wiedział, że Leigh jest prawniczką? Owszem, rodzina Tenantów знаła Cole’a Bradleya, ale Wielki Prezes dowiedział się o istnieniu mecenas Leigh Collier dwanaście godzin wcześniej właśnie dzięki rodzinie Tenantów.

No i to „w końcu”.

Andrew musiał wynająć Paltza, żeby ją odnaleźć. Facet ucieszył się, że „w końcu” może ją poznać po długich, męczących poszukiwaniach, i wleźć w jej życie. A skoro wiedział, że Harleigh stała się Leigh, to wiedział też o Walterze, Maddy i...

I o Callie.

– Przepraszam was. – Andrew wszedł do biura, kręcąc głową, i klapnął na kanapę. – Sid jest w aucie. Nie poszło najlepiej.

– Stary, a kiedy idzie dobrze? – Reggie skrzywił się wymownie.

Pod Leigh ugięły się kolana i szybko usiadła na krześle ustawionym bliżej drzwi. Czuła strużkę potu na plecach. Patrzyła, jak Andrew zsuwa maseczkę na brodę, a potem pisze wiadomość w telefonie.

– Już pyta, ile to potrwa – rzucił.

Krzesło skrzypnęło, gdy Reggie na nim usiadł.

– Napisz, żeby się zamknęła.

– Dzięki za radę. To na pewno ją uspokoi. – Kciuki Andrew śmigają po ekranie. Zza fasady beznamietności w końcu wyjrzała jakaś emocja. Andrew był wyraźnie przejęty. – Cholera, jest wściekła.

– Po prostu przestań jej odpowiadać. – Reggie odhibernował laptopa. – Trwonimy kupę pieniędzy twojej mamy.

Leigh zdjęła maseczkę. „Pani” i „w końcu” wciąż tłukły się w jej głowie. Zanim się odezwała, musiała odchrząknąć.

– Jak się poznaliście? – zapytała.

– Andrew sprzedał mi mojego pierwszego mercedesa – wyjaśnił Reggie. – Kiedy to było, stary? Trzy, cztery lata temu?

Leigh znowu chrząknęła. Czekwała, aż Andrew się odezwie, ale był zajęty telefonem.

– Naprawdę?

– Tak. Niezły był z niego ogier, aż wreszcie Sid wykastrowała go pierścionkiem zaręczynowym. – Spiorunowany spojrzeniem Andrew, wrócił do meritum: – Dziś rano dostałem od twojej asystentki klucz szyfrujący do serwera waszej firmy. Po południu prześlę ci wszystkie materiały.

Leigh z trudem kiwnęła głową. Usiłowała zneutralizować swoją paranoję. „Pani” oznaczała, że Paltz sumiennie wykonał swoją robotę. Nadziani klienci musieli wiedzieć, z kim mają do czynienia. Tylko co znaczyło „w końcu”? Najprostsze wyjaśnienie brzmiało tak samo jak w przypadku „pani”. Andrew wynajął Reggiego Paltza, żeby prześwietlił Leigh, a ten, dowiedziawszy się tyle o jej życiu, „w końcu” spotkał ją osobiście.

– Przepraszam was. – Andrew wstał, nie odrywając wzroku od telefonu. – Sprawdzę, co z nią.

– Powiedz, żeby oddała ci jaja. – Reggie pokręcił głową. – Przy tej lasce cofnął się do liceum – rzucił do Leigh.

Kiedy wrócił do grzebania w laptopie, Leigh znowu poczuła drżenie rąk. Najprostsze wyjaśnienie nadal nie odpowiadało na najważniejsze pytanie: jak Andrew w ogóle ją znalazł? Był oskarżony o gwałt, za tydzień czekała go rozprawa sądowa z udziałem ławy przysięgłych. W tej sytuacji jaki sens miało szukanie opiekunki sprzed dwudziestu lat?

To dlatego jej wewnętrzny system alarmowy zapalił czerwoną lampkę.

– Pani Collier? – Reggie odwrócił głowę w jej stronę. – Żle się pani czuje?

Leigh musiała skończyć z emocjonalną huśtawką. Walter przez lata skarżył się na tę jej cechę, która dla innych bywała dokuczliwa, ale jej

pozwoliła przetrwać. Zmieniała osobowość w zależności od tego, z kim miała do czynienia. Była złotkiem, mamą, Collier, adwokatką, pieprzoną suką i sporadycznie Harleigh. Każdy otrzymywał inny jej kawałek, ale nikt nie dostał całości.

Reggie Paltz podszedł za blisko, dlatego musiała zamącić ten obraz.

Wyjęła z torebki notes, akta Andrew i długopis.

– Mam ograniczony czas, panie Paltz. Mój szef chce dostać szczegółowy raport jutro po południu. Proszę wprowadzić mnie w sprawę.

– Mów mi Reggie. – Paltz ustawił laptopa pod kątem, żeby oboje mogli patrzeć na ekran, który pokazywał wejście do nocnego klubu oraz neon z ogromnym przecinkiem i następującym po nim słowem CHAMELEON. – Kamery monitoringu zarejestrowały wszystko, co robił Andrew. Wszystko prócz srania. Połączyłem nagrania i wyszło sześć godzin męki, ale za kasę Lindy.

Przyłożyła długopis do kartki i powiedziała:

– Jestem gotowa.

Reggie włączył nagranie. Data pokazywała drugi lutego dwa tysiące dwudziestego roku, czyli prawie miesiąc przed pandemicznym lockdownem.

– Kamery są w 4K, więc na podłodze można zobaczyć każdy okruch. To Andrew wcześniej. Rozmawiał z dwiema laskami, z jedną na tarasie na dachu, z drugą w barze na dole. Cizia z dachu dała mu swój numer. Namierzyłem ją, ale nie przyda się jako świadek. Kiedy się zorientowała, po co z nią gadam, wyjechała z gadką o hasztagu i wkurzyła się jak wściekła suka.

Leigh zerknęła na notatnik. Przy zapisywaniu detali przeszła w tryb autopilota, ale gdy zaczęła odwracać kartkę, jej dłoń znieruchomiała.

„Pani”.

Czyli obrączka. Nigdy jej nie zdejmowała, nie zrobiła tego nawet po czterech latach separacji z Walterem. Lekko rozchyliła usta, powoli wypuszczając powietrze, a wraz z nim porcję stresu.

– Tutaj. – Reggie wskazał ekran. – Tu Andrew spotyka Tammy Karlsen. Niezłe ciało, twarz niekoniecznie.

Leigh puściła mimo uszu tę mizoginiczną uwagę i wyteńczyła wzrok. Zobaczyła Andrew na niskiej wyściełanej ławce z drobną kobietą, która siedziała tyłem do kamery. Miała brązowe włosy opadające na ramiona, była ubrana w dopasowaną czarną sukienkę z rękawami trzy czwarte. Sięgając po drinka na stoliku kawowym, odwróciła głowę, rozbawiona czymś, co powiedział Andrew. Z profilu wydawała się atrakcyjna. Drobnny nosek, wydatne kości policzkowe.

– Mowa ciała zdradza wszystko. – Reggie podwoił tempo odtwarzania. – Czas mija, a Karlsen przysuwa się coraz bliżej. Około dziesiątej minuty dotyka jego ręki, coś mówi, śmieje się z jego żartu. – Reggie spojrział na Leigh. – Wtedy musiała się zorientować, że Tenant oznacza Tenant Automotive. Sam bym przyłgnął do gościa z taką kasą.

Leigh czekała na ciąg dalszy.

Reggie przyspieszył odtwarzanie trzykrotnie, wpatrując się w ekran.

– W końcu Andrew kładzie rękę na oparciu ławki i zaczyna gładzić Karlsen po ramieniu. Widać, że gapi się na jej cycki. Wysyła wyraźne sygnały, a ona je odbiera. To pewnik, na sto procent. Po czterdziestu minutach ona zaczyna pocierać jego udo jak striptizerka robiąca prywatny pokaz dla klienta. I tak to trwało przez dziewięćdziesiąt osiem minut.

„Dziewięćdziesiąt osiem minut”.

Leigh przypomniała sobie, że na parkingu Andrew podał jej dokładnie ten sam czas.

– Jesteś pewien co do czasu?

– Pewien jak cała reszta. Jeśli ktoś wie, co robić, może to wszystko zmanipulować na poziomie metadanych, ale ja dostałem nieobrobione nagranie z baru, nie od prokuratora.

– Czy Andrew widział to nagranie?

– Nie sędzę. Wysłałem kopię Lindzie, ale Andrew karmi się złudzeniami. Wierzy, że kiedy to się skończy, odzyska dawne życie. – Reggie przewinął nagranie, aż dotarł do fragmentu, który chciał jej pokazać. – Spójrz, to się dzieje tuż po północy. Andrew sprowadza Karlsen po schodach. Trzyma rękę na jej plecach. Kiedy idą do parkingowego, ona trzyma go za ramię. Potem czekają na samochód, ona pochyla się, a on łapie tę aluzję.

Leigh patrzyła, jak Andrew całuje Tammy Karlsen w usta, a ona oplótła go ramionami. Przestrzeń między ich ciałami zniknęła. Leigh powinna policzyć, ile sekund trwał pocałunek, ale jej uwagę przykuł wyraz twarzy Andrew, zanim ich wargi się zetknęły.

Uzurpacja? Szyderstwo?

Spojrzenie miał puste i nieodgadnione, ale wargi mu drgnęły, lewy kącik uniósł się w złośliwym uśmiešku, jaki widziała, gdy Andrew, wtedy mały chłopiec, zarzekał się, że nie zjadł ostatniego ciastka, nie ma pojęcia, gdzie jest jej praca domowa z historii i to nie on narysował dinozaura w jej podręczniku do algebry.

Zanotowała znacznik czasu, żeby wrócić do tego później.

Reggie dalej objaśniał obraz na nagraniu:

– Parkingowi przyprowadzają ich auta, a Andrew daje im obu napiwki. Tu widać, jak Karlsen wręcza Andrew swoją wizytówkę, całuje go w policzek, wsiada do beemki, a on do merca. Oboje skręcają w tym samym kierunku, na północ w Wesley. To może nie najlepsza droga do domu dla niego, ale tak też można jechać.

Leigh przestała słuchać Reggiego, który szczegółowo analizował każdy zakręt na trasie obu aut.

„Miło cię w końcu poznać”.

To „w końcu” nie dawało jej spokoju. Przejęła sprawę wczoraj wieczorem, ale Andrew zrezygnował z usług Octavii dwa dni temu, więc Reggie Paltz miał co najmniej czterdzieści osiem godzin na grzebanie w życiu Leigh. Dokąd to „w końcu” go doprowadziło? Czy Callie też znalazł?

– Od Vaughn brak nagrań monitoringu i kamer ulicznych – ciągnął Reggie, najwyraźniej nieświadomy jej rozterek. – Na ostatnim ujęciu widać, że merc Andrew ma tablice z salonu samochodowego.

Wiedziała, że Reggie oczekuje od niej jakiejś reakcji, więc spytała:

– Czemu to istotne?

– Tamtego wieczoru Andrew wziął z parkingu samochód zastępczy, bo jego auto było w warsztacie. Klasyczne samochody bywają chimeryczne. Czasem coś się w nich psuje, ale niezbyt często.

Leigh zaznaczyła kwadratową obwódką słowo „auto”. Kiedy podniosła głowę, Reggie znowu taksował ją wzrokiem. Nie musiała przypominać sobie wcześniejszej części rozmowy, żeby znać powód. Zbliżali się do momentu, w którym działania Andrew będzie trudniej wyjaśnić. Reggie wyraźnie ją testował, używając prostackiego języka. Gdyby zaprotestowała przeciwko „cyckom”, „suce”, „striptizerce”, to mogłoby świadczyć, że nie stoi po stronie klienta.

– Czy Karlsen zaproponowała Andrew, żeby pojechał do niej? – zapytała lodowato obojętnym tonem.

– Nie. – Paltz zawiesił głos, dając jasno do zrozumienia, że jest w stanie gotowości. – Karlsen zeznała, że powiedziała mu, żeby zadzwonił, jeśli jest zainteresowany. Ma luki w pamięci od chwili, kiedy odebrała auto od parkingowego. Następne, czego jest pewna, to że się budzi i jest rano.

– Policja twierdzi, że Andrew dosypał jej czegoś do drinka, tak?

– Taką mają teorię, ale nawet jeśli podał jej pigułkę gwałtu, tego nie widać na nagraniu ani w wynikach badań toksykologicznych. Tak między nami, to modlę się, żeby faktycznie została odurzona. Zrozumiesz, o czym mówię, kiedy przejdziemy do zdjęć z miejsca zbrodni. Będziesz chciała zrobić wszystko, co w twojej mocy, żeby je ukryć. Ja nawet nie pobrałem tych plików na laptopa. Wszystko jest zaszyfrowane algorytmem 3DES. Nic nie wędruje do chmury, bo chmurę można zhakować. Serwer główny i serwer zapasowy są zamknięte w tamtym pomieszczeniu. – Spojrzała na imponującą kłódkę na stalowych drzwiach, a on mówił dalej: – Jestem bardzo ostrożny, kiedy pracuję nad głośnymi sprawami. Te wszystkie brudy nie mogą wyciec, zwłaszcza gdy klient jest bogaty, a ludzie wychodzą ze swoich nor i szukają pieniędzy. – Odwrócił laptopa w swoją stronę i postukał w klawiaturę dwoma palcami. – Idioci nie rozumieją, że o wiele bardziej opłaca się działać za kulisami, niż dać sobie rozkwasić nos.

– Skąd o mnie wiesz? – zapytała Leigh.

– To znaczy?

– Powiedziałaś: miło „w końcu” cię poznać. To znaczy, że wcześniej o mnie słyszałaś albo szukałaś...

– A, rozumiem. Czekał. – Znowu zaczął stukać w klawiaturę przeklętego laptopa i okręcił go, żeby Leigh widziała ekran. Na górze strony widniał nagłówek z „Atlanta INtown”. Poniżej zobaczyła swoje zdjęcie przed gmachem sądu. Uśmiechała się, a tytuł wyjaśniał powód jej zadowolenia.

ADWOKATKA MÓWI: NA MOCZU NIE MA DATOWNIKA

Reggie posłał jej uśmiezek pełen satysfakcji.

– To się nazywa prawdziwa sztuka neutralizowania przeciwnika, Collier. Zmusić biegłego strony przeciwnej do przyznania, że nie można z całą pewnością stwierdzić, czy facet nasikał do szuflady z bielizną żony przed, czy po rozwodzie, to prawniczy majstersztyk. – Leigh poczuła, jak ściskanie w żołądku ustępuje, a on dodał: – Masz jaja. Powiedzieć sędziemu, że sporty wodne podpadają pod kategorię przywileju współmałżonka... – Reggie parsknął chrapliwym śmiechem. – Pokazałem ten kawałek wszystkim znajomym.

Leigh musiała usłyszeć to wyraźnie.

– Pokazałeś ten artykuł Andrew?

– Żebyś wiedziała. Z całym szacunkiem dla Octavii, ale kiedy usłyszałem, że gliny próbują powiązać Andrew z trzema pozostałymi sprawami, wiedziałem, że potrzebuje piekielnie ostrej żyłety. – Reggie odchylił się na krześle. – Niesamowite, że rozpoznał cię na zdjęciu, nie?

Leigh desperacko pragnęła mu wierzyć. Najlepsze i najgorsze alibi mogą być zaskakująco zbieżne.

– Kiedy mu to pokazałeś?

– Dwa dni temu.

Właśnie wtedy Andrew zwolnił Octavię.

– Kazał ci mnie przeświecić?

Reggie nie odpowiedział od razu, budując napięcie teatralną pauzą.

– Masz mnóstwo pytań.

– To ja podpisuję faktury dla ciebie – zaripostowała Leigh.

Po twarzy Reggiego przemknął cień niepokoju. Ta mina zdradziła wszystko. Reggie Paltz nie wykonywał tajnej misji. Opowiadał o swoim bezpiecznym serwerze, szyfrowaniu danych i potrzebie dyskrecji, ponieważ zależało mu, żeby skorzystała z jego usług.

Skorygowała swoją pierwszą opinię na jego temat. Powinna od razu rozpoznać ten typ: chłopak z biednej rodziny, który stypendiami utorował sobie drogę do elitarnego grona obrzydliwie bogatych. To wyjaśniało stary kij do lacrosse'a powieszony na ścianie, egzotyczne podróże, gówniane biuro, drogiego mercedesa i ciągłe wzmianki o pieniądzach. Forsa jest jak seks. Nie mówi się o tym, póki tego nie brakuje.

Leigh postanowiła go wysondować.

– Pracuję z wieloma detektywami przy wielu sprawach – rzuciła.

Reggie uśmiechnął się drapieżnie. Był za sprytny, żeby ugryźć jako pierwszy.

– Dlaczego zmieniłaś imię? Harleigh brzmi zabójczo.

– Nie pasuje do prawa korporacyjnego.

– Przeszłaś na ciemną stronę dopiero po wybuchu pandemii. – Reggie pochylił się do przodu i zniżył głos. – Jeśli gryzie cię to, co, jak podejrzewam, cię gryzie, to nie prosił mnie o to. Jeszcze nie.

Jego słowa mogły dotyczyć tylu rzeczy, że Leigh pozostało tylko udawać kompletną nieświadomość.

Reggie dalej ciągnął swoje:

– Serio? Gość jest napalony na twoją siostrę.

Leigh znowu poczuła ściskanie w żołądku.

– Chce, żebyś ją znalazł? – spytała w miarę normalnym tonem.

– Gadał o niej od lat, a kiedy stanęłaś przed nim, przypominasz mu o tym każdego dnia. – Wzruszył ramionami. – W końcu poprosi.

Ciarki przeszły jej po plecach.

– Jesteś przyjacielem Andrew. Za niecały tydzień ma proces. Na co mu jeszcze większe zamieszanie?

– Jeśli Sid dowie się, że on ściga obiekt swoich pierwszych mokrych snów, Andrew skończy z nożem w piersi, a my stracimy zajęcie.

Leigh zerknęła w stronę recepcji. Musiała się upewnić, że są sami.

– Callie miała trochę problemów po liceum, ale teraz żyje na północy Iowa. Ma dwoje dzieci i męża farmera. Chce zostawić przeszłość za sobą.

Reggie znowu zwlekał z odpowiedzią o wiele za długo.

– Jeśli Andrew poprosi, mogę mu powiedzieć, że jestem zbyt zajęty innymi zleceniami.

Leigh zarzuciła następną przynętę:

– Mam klientkę, której niewierny mąż lubi podróżować.

– Brzmi jak zadanie w sam raz dla mnie.

Leigh kiwnęła głową. Miała nadzieję, że doszli do porozumienia.

Reggie Paltz był tylko częścią problemu. Za kilka dni jej klienta czekała poważna rozprawa sądowa.

– Opowiedz mi o innych ofiarach, które prokurator ma w zanadru.

– Są trzy i wiszą nad głową Andrew jak gilotyna. Jeśli spadną, będzie po nim.

– Skąd o nich wiesz?

– Tajemnica zawodowa. – Każdy prywatny detektyw używał tego argumentu, gdy nie chciał zdradzić gliniarza będącego jego informatorem. – Ale przyjmij to za pewnik. Jeśli nie oczyścisz Andrew z zarzutów w sprawie Karlsen, przez resztę życia będzie uważał, by nie upuścić mydła pod prysznicem.

Leigh miała zbyt wielu klientów za kratkami, żeby bawiły ją żarty o więziennych gwałtach.

– Jak napaść na Tammy Karlsen wiąże się z pozostałymi?

– Podobne *modus operandi*, podobne zasinienia, podobne obrażenia, podobny stan ofiary dzień po. – Reggie znowu wzruszył ramionami, jakby mówił o hipotetycznych szkodach, a nie o prawdziwej krzywdzie prawdziwych kobiet. – Ważne, że karta kredytowa Andrew była używana w miejscach albo w pobliżu miejsc, gdzie widziano je ostatni raz.

– To jak: w miejscach czy w pobliżu? – próbowała uściślić. – Czy Andrew mieszka w tej okolicy? Czy bywa tam regularnie?

– Dlatego doradziłem mu, żeby cię zatrudnił. – Reggie dotknął palcem skroni, podkreślając tym gestem swoją przemyślność. – Trzy ataki nastąpiły w dwa tysiące dziewiętnastym roku, wszystkie w hrabstwie DeKalb, gdzie mieszka Andrew. Pierwsza ofiara była w CinéBistro, rzut beretem od jego domu. Historia karty kredytowej wskazuje, że dwudziestego drugiego czerwca Andrew był na popołudniowym seansie *Facetów w czerni*. Ofiara znalazła się tam trzy godziny później na *Toy Story 4*.

Leigh zaczęła sumiennie notować.

– Czy w lobby są kamery? – zapytała.

– Tak. Widać, jak Andrew przychodzi, zamawia popcorn i colę, a wychodzi w trakcie napisów końcowych. Brak punktu stycznego między nim a pierwszą ofiarą. Poszedł do domu. Żadnych rozmów z komórki. Powiedział, że zapominał jej wziąć.

Leigh podkreśliła datę w notesie. Musiała sprawdzić, czy wtedy padało, ponieważ prokurator na pewno to zrobi. W czerwcu średnie temperatury w Atlancie sięgały ponad trzydziestu stopni, a przy wysokiej wilgotności powietrza wydawano oficjalne ostrzeżenia o niekorzystnych warunkach biometeo.

– O której był seans?

– Kwadrans po dwunastej, akurat w porze lunchu.

Leigh pokręciła głową. Najgorętsza pora dnia. Kolejny punkt przeciwko Andrew.

– Jeśli to ma jakieś znaczenie, to Andrew często bywał w tych miejscach, gdzie ofiary widziano ostatni raz – dodał Reggie.

Ten fakt nie przemawiał na jego korzyść. Oskarżyciel mógł dowodzić, że obserwował te miejsca.

– A druga ofiara?

– Późnym wieczorem jadła kolację z przyjaciółmi w meksykańskiej knajpcie w centrum handlowym.

– Andrew był tam wtedy?

– To jedno z jego stałych miejsc. Bywa tam co najmniej dwa razy w miesiącu. Zamówił jedzenie na wynos pół godziny przed pojawieniem się drugiej ofiary. Jak zawsze zapłacił kartą kredytową. Był bez auta. Bez telefonu. Znowu szedł pieszo w upale. – Tym razem we wzruszeniu

ramion Reggiego było coś defensywnego. Wiedział, że to nie wygląda dobrze. – Mówiłem, że to jak gilotyna.

Dłoń Leigh z długopisem znieruchomiła. To była nie gilotyna, lecz starannie udokumentowana sprawa.

Dziewięćdziesiąt procent powierzchni Atlanty leżało w granicach hrabstwa Fulton, pozostałe dziesięć w hrabstwie DeKalb. Miasto miało własną policję, ale śledztwa na obszarze hrabstwa DeKalb nadzorował tamtejszy wydział policji. W Fulton popełniano zdecydowanie więcej brutalnych przestępstw niż w DeKalb, ale w ostatnich dwóch latach, między MeToo a wybuchem pandemii, wszędzie odnotowano skokowy wzrost liczby zgłaszanych gwałtów.

Leigh pomyślała o jakimś przeciążonym pracą detektywie w komisariacie w DeKalb, który godzinami zestawia setki płatności kartami kredytowymi w kinie i meksykańskiej restauracji ze zgłoszonymi napadami. Nie wzięli nazwiska Andrew z sufitu. Czekali, aż popełni błąd.

– Powiedz o trzeciej ofierze.

– Siedziała w barze o nazwie Maplecroft. Andrew wtedy polował. Wskazuje na to wyciąg z jego karty kredytowej, płacił za paczkę gumek. Nie nosi przy sobie gotówki, nie korzysta z Ubera ani Lyft, rzadko ma telefon. Ale w całym mieście stawia drinki różnym kobietom.

Leigh musiała mieć wyraźne potwierdzenie od Reggiego.

– Czy wyciąg z karty Andrew wskazuje na jego pobyt w Maplecroft w wieczór napaści?

– Dwie godziny przed zniknięciem trzeciej ofiary, ale Andrew był tam wcześniej co najmniej pięć razy. W tym przypadku nie ma zapisu monitoringu, bo bar spłonął doszczętnie na początku pandemii.

Korzystny zbieg okoliczności, dobry dla Andrew, bo serwer się stopił, a oni nie wrzucili kopii nagrań do chmury.

Leigh szukała w tych trzech przypadkach jakiegoś schematu, jak by to zrobił policyjny śledczy. Kino. Restauracja. Bar. W tych miejscach pije się z otwartych kubków czy szklanek.

– Policjanci podejrzewają, że Andrew podał pigułkę gwałtu wszystkim trzem?

– Jak Tammy Karlsen – wyjaśnił Reggie. – Wszystkie mają dziury w pamięci.

Leigh postukała długopisem w notatnik. Rohypnol był niewykrywalny we krwi po dwudziestu czterech godzinach, a w moczu po siedemdziesięciu dwóch. Z dobrze udokumentowanych badań wynikało, że skutki uboczne rohypnolu w postaci amnezji selektywnej mogły trwać do końca życia.

– Czy ofiary same przyjechały autem w te miejsca?

– Tak, wszystkie.auta pierwszych dwóch zostały na parkingach, gliniarze znaleźli je następnego dnia. Ofiara numer trzy, ta z Maplecroft, miała wypadek. Uderzyła w słup telefoniczny niecałe cztery kilometry od domu. Nie ma tam kamer ulicznych ani monitoringu. Samochód został porzucony, miał otwarte drzwi. Bmw Tammy Karlsen stało w bocznej uliczce ponad półtora kilometra od Little Nancy Creek Park. Torebka leżała w środku. W tym przypadku też nie ma nagrań z kamer ulicznych i monitoringu. Facet jest albo geniuszem zła, albo cholernym szczęściarzem.

Albo był wystarczająco bystry, żeby zrobić tam wizję lokalną z wyprzedzeniem.

– Gdzie znaleziono ofiary dzień po? – zapytała Leigh.

– Wszystkie w parkach Atlanty leżących na obszarze hrabstwa DeKalb.

Od tego powinien zacząć. Ludzie, którzy znali się na swojej robocie, nazywali to *modus operandi*.

– Czy wszystkie parki leżą w bliskiej odległości od domu Andrew?

– Wszystkie. Prócz jednego – odparł wymijająco Reggie. – Ale mnóstwo ludzi mieszka w pobliżu tych parków. W Atlancie jest pełno parków, a dokładnie trzysta trzydzieści osiem. Wydział zieleni miasta ma pod sobą dwieście czterdzieści osiem parków, resztą zajmują się wolontariusze z różnych organizacji.

Leigh nie potrzebowała informacji cytowanych z Wikipedii.

– Co z billingami z komórek?

– Nic. – Reggie był powściągliwy. – Mówiłem, że Andrew nigdy nie nosi komórki przy sobie.

Leigh zmrużyła oczy.

– Czy Andrew ma dwie komórki: służbową i prywatną?

– Tylko jedną. Facet należy do tych, którzy nie chcą być w kontakcie przez cały czas, ale kiedy wychodzimy, ciągle pożyczają mój telefon.

– Andrew prowadził mercedesa, którego wziął z parkingu tego wieczoru, kiedy spotkał Karlsen – powiedziała Leigh. – Pamiętam, że czytałam o pozwie przeciw Wielkiemu Bratu w Anglii. Chodziło chyba o lokalizatory, tak?

– Tutaj też to jest. Aplikacja nazywa się Mercedes me, ale przed aktywacją trzeba najpierw założyć konto i zgodzić się na warunki usługi. Tak przynajmniej powiedzą Niemcy.

Zostało siedem dni do procesu. Leigh nie miała czasu, żeby pukać do tych drzwi. Liczyła na to, że prokurator wyjdzie z tego samego

założenia. Na korzyść Andrew przemawiała astronomiczna liczba grudniowych zgonów na covid i styczniowa próba politycznego puczu, po których transatlantycka przychylność została zawieszona.

– Co jeszcze masz? – zapytała.

Reggie zamknął nagranie z kamery ulicznej i zaczął pisać i klikać. Leigh zobaczyła sześć folderów: LNC_MAP, ZDJĘCIA Z MIEJSCA PRZESTĘPSTWA, ZDJĘCIA OFIAR, LISTA ZARZUTÓW, DOKUMENTY DODATKOWE.

Otworzył folder ZDJĘCIA OFIAR.

– To Karlsen. Ocknęła się pod stołem piknikowym. Jak mówiłem, samego zdarzenia nie pamięta, wiedziała tylko, że poprzedniego wieczoru stało się coś strasznego.

Leigh wzdrygnęła się na widok pierwszego zdjęcia. Tammy Karlsen miała zmasakrowaną twarz. Przemieszczoną lewą kość policzkową. Złamany nos. Sińce wokół szyi. Czerwone i czarne plamy na klatce piersiowej i ramionach.

Czyli: brutalne pobicie.

Reggie otworzył folder o nazwie LNC_MAP .

– Tu jest plan Little Nancy Creek Park. Od jedenastej wieczorem do szóstej rano jest zamknięty. Brak latarni, brak monitoringu. Widzisz ten pawilon? Tam następnego ranka znalazł ją człowiek, który wyprowadzał psa na spacer.

Leigh skupiła się na planie. Dwuipółkilometrowa trasa biegowa. Drewniano-stalowy most. Ogród społeczny. Plac zabaw. Otwarty pawilon.

Reggie otworzył folder ZDJĘCIA Z MIEJSCA PRZESTĘPSTWA i kliknął w serię plików JPEG. Dowody oznaczono ponumerowanymi

żółtymi znacznikami. Plamy krwi na schodach. Ślad buta odcisnięty w błocie. Butelka coli na trawie.

Leigh przesunęła się na skraj krzesła.

– To szklana butelka – zauważyła.

– Ciągłe je tutaj produkują – powiedział Reggie – ale ta pochodzi z Meksyku. Tam używają prawdziwego cukru trzcinowego, a nie syropu kukurydzianego z dużą zawartością fruktozy. Czuć różnicę w smaku. Pierwszy raz piłem ją u Tenanta, kiedy serwisowałem mercedesa. Mają tego pełno w centrum serwisowym. Andrew chyba na tym zależy.

Leigh spojrzała mu w oczy pierwszy raz, odkąd weszła do biura.

– W jakiej odległości od parku mieszka Andrew? – zapytała.

– Samochodem niewiele ponad trzy kilometry. Mniej, jeśli skorzysta się ze skrótu przez country club.

Leigh znowu spojrzała na mapę. Powinna przejść się tam osobiście.

– Czy Andrew chodził wcześniej do tego parku?

– Ponoć kocha naturę. Lubi obserwować motyle. – Reggie uśmiechnął się, ale jego mina zdradzała, że zdaje sobie sprawę, jak źle to wygląda. – Odciski placów są jak mocz, prawda? Nie mają datownika. Nie sposób udowodnić, kiedy dokładnie butelka znalazła się w parku, ani kiedy Andrew jej dotknął. Rzeczywisty sprawca mógł mieć rękawiczki.

Leigh zignorowała tę uwagę.

– Co z odciskiem buta w błocie?

– To znaczy? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – Policja twierdzi, że może pasować do jednej pary nike, którą znaleźli w szafie Andrew, ale ich „może” to za mało.

Leigh miała dość, że Reggie narzuca tempo narracji. Wyciągnęła rękę i sama zaczęła klikać. Na ekranie pojawiła się lista zarzutów. Leigh postanowiła dać Reggieму lekcję przechodzenia do konkretów.

– Na butelce znaleziono odcisk prawego palca wskazującego Andrew wraz z DNA Tammy Karlsen. Czyli „kwalifikowana napaść seksualna”. To wygląda jak kał. Czyli „kwalifikowana sodomia”. Sińce na udach kompatybilne z penetracją. Czyli „gwałt”. Została przywieziona w ustronne miejsce. Czyli „porwanie”. Nie mogą udowodnić, że została odurzona, inaczej ten zarzut byłby na liście zarzutów. Co z bronią?

– Nóż – rozległ się głos Andrew.

Leigh odwróciła się.

Andrew stał w drzwiach oparty o framugę. Był bez marynarki, z podwiniętymi rękawami koszuli. Rozmowa z Sidney najwyraźniej poszła źle. Wyglądał na kompletnie wyczerpanego.

Mimo to z jego oczu ciągle wyzierała niepokojąca pustka.

Leigh uznała, że nad tym zastanowi się później. Teraz musiała przejrzeć resztę zdjęć. Innych udokumentowanych dowodów rzeczowych nie było, tylko nagranie z baru, ślad buta marki Nike luźno powiązany ze sprawą i odcisk palca na butelce. Przypuszczała, że w stanowej bazie danych brak odcisków Andrew. W Georgii tylko aresztowanie za przestępstwo gwarantowało ten wątpliwy zaszczyt.

– Wiesz, jak zostałeś zidentyfikowany? – zapytała.

– Tammy powiedziała policji, że rozpoznaje mój głos z baru, ale to nie... to znaczy dopiero co się spotkaliśmy, więc chyba nie zna dobrze mojego głosu, prawda?

Zacisnęła usta. Równie dobrze można argumentować, że ofiara miała świeżo w pamięci jego głos, zwłaszcza po dziewięćdziesięciu ośmiu minutach rozmowy. Dotąd na korzyść Andrew najbardziej przemawiał

rohypnol. Leigh знаła biegłego sądowego, który mógł dowieść, że amnezja wywołana substancją odurzającą stawiała pod znakiem zapytania wiarygodność identyfikacji dokonanej przez Tammy Karlsen.

– Kiedy policja zdobyła twoje odciski palców?

– Przyszli do mnie do pracy i zagrozili, że zaciągną mnie na komisariat, jeśli nie pójdę z nimi dobrowolnie.

– Powinieneś od razu zadzwonić po adwokata – rzucił Reggie.

Andrew potrząsnął głową z widocznym żalem.

– Myślałem, że wszystko wyjaśnię.

– Stary, gliny nie chcą twoich wyjaśnień. Oni chcą cię aresztować – odparł Reggie.

Leigh okręciła się na krześle i przewertowała akta. Znalazła nakaz pobrania odcisków palców podpisany przez sędziego, który wydałby zgodę na podtapianie aresztanta, byle tylko szybciej znaleźć się na polu golfowym. Mimo to fakt, że dostali oficjalny nakaz, zamiast zdjęć odciski z butelki wody w pokoju przesłuchań, powiedział Leigh, że prokurator nie blefuje.

– Zawsze myślałem, że jeśli człowiek jest niewinny, to nie ma nic do ukrycia – powiedział Andrew. – I widzisz, dokąd mnie to zaprowadziło? Całe moje życie szlag trafił, bo jedna osoba wskazała mnie palcem.

– Stary, dlatego tu jesteśmy – odparł Reggie. – Collier załatwi tę stukniętą sukę śpiewająco.

– Nie powinna – zaproponował Andrew. – Tammy i ja dobrze się bawiliśmy. Zadzwoniłbym do niej na drugi dzień, ale zjawiała się Sid.

Krzesło Reggiego zaskrzypiało, gdy odchylił się do tyłu.

– Słuchaj, stary, to jest wojna. Walczysz o życie. Musisz grać nieczysto, bo druga strona tak gra. Nie siedź na tyłku i nie powtarzaj:

szkoda, szkoda. Powiedz mu, Collier. To nie czas na bycie dżentelmenem.

Nie miała zamiaru wcinać się między nich. Przysunęła sobie laptopa i wróciła do pliku ZDJĘCIA OFIAR. Wciskając klawisz ze strzałką, przeglądała dokumentację z obdukcji po gwałcie. Każde następne zbliżenie było potworniejsze od poprzedniego. Leigh miała do czynienia z brutalnością, ale siedząc w niewielkim pomieszczeniu z dwoma mężczyznami kłócącymi się o wredne suki, gdy w tym samym czasie na ekranie migają przerażające dowody bestialskiej napaści seksualnej, nagle poczuła się niepewnie.

Skóra na plecach Tammy Karlsen była rozorana paznokciami. Piersi i barki pokrywały ślady po ugryzieniach. Sińce w kształcie dłoni odcisnęły się na ramionach, pośladkach, tylnej części nóg. Została rozerwana butelką po coli. Stłuczenia i rany szarpane biegły od ud do krocza. Odbyt był pokaleczony. Łechtaczka została rozerwana, trzymała się na ocalałym kawałku tkanki. Rany krwawiły tak bardzo, że na betonowej posadzce pawilonu pośladki zostawiły krwawy odcisk.

– Jezu – powiedział Andrew.

Leigh stłumiła drżenie. Andrew stał tuż za nią. Zdjęcie na monitorze przedstawiało okaleczoną pierś Tammy Karlsen. Głębokie ślady po ugryzieniach znaczyły delikatną skórę wokół brodawki.

– Jak można posądzać mnie o coś takiego? I musiałbym być strasznie głupi, żeby iść za nią z baru, gdzie jest tyle kamer.

Leigh poczuła ulgę, gdy Andrew ruszył w stronę kanapy.

– To bez sensu, Harleigh – dodał łagodniejszym tonem, gdy ułożył się wygodnie. – Zawsze zakładam, że widzi mnie kamera. Nie tylko w barze, ale też przy bankomacie, na ulicy, w salonie. Ludzie mają kamery na podjazdach, przy dzwonek, po prostu są wszędzie

i obserwują. Nagrywają, co robisz. To wbrew logice, jeśli komuś się wydaje, że można kogoś skrzywdzić... kogokolwiek... a żadna kamera tego nie zarejestruje.

Wybrała zły moment, żeby spojrzeć mu w oczy, bo Andrew patrzył prosto na nią. Lewy kącik ust wykrzywił się w uśmiešku. W ciągu paru sekund przeobraził się na jej oczach z niewinnego nieszczęśnika w czarującego i pewnego siebie psychopata, który pocałował Tammy Karlsen, potem pojechał za nią i odczekał, aż straci przytomność, żeby ją porwać i zgwałcić.

– Harleigh – Andrew zniżył głos prawie do szeptu – pomyśl, o co mnie posądzają.

Porwanie. Gwałt. Kwalifikowane brutalne pobicie. Kwalifikowana sodomia. Kwalifikowana napaść na tle seksualnym.

– Znasz mnie dłużej niż inni, oprócz mamy – powiedział. – Mógłbym to zrobić?

Leigh nie musiała spoglądać na monitor, żeby widzieć przed oczami zdjęcia z obdukcji. Otwarte rany, wgłębienia, ugryzienia, zadrapania, wszystkie spowodowane przez bydlaka, który patrzył na nią jak na nową ofiarę.

– Pomyśl, jakim sprytem musiałbym się wykazać. Uniknąć kamer. Uniknąć świadków. Uniknąć pozostawienia śladów.

Leigh poczuła, że nie może przełknąć śliny. Miała ściśnięte gardło.

– Zastanawiam się, Harleigh, czy gdybyś miała popełnić straszną zbrodnię, która zrujnuje życie innemu człowiekowi, to wiedziałabyś, co zrobić, żeby uniknąć kary? – Przesunął się na brzeg kanapy. Był napięty. Zaciskał pięści. – Teraz jest inaczej niż w czasach naszego dzieciństwa. Wtedy morderstwo z zimną krwią mogło ujść na sucho. Prawda, Harleigh?

Leigh poczuła, że cofa się w czasie. Ma osiemnaście lat, pakuje się do college'u, chociaż do wyjazdu został miesiąc. Odbiera telefon u matki w kuchni. Słucha, jak Callie mówi, że Buddy nie żyje. Siedzi za kierownicą swojego auta. Jest w pokoju Trevora. Potem w kuchni. Instruuje Callie, co robić, jak zmyć krew, gdzie wyrzucić kawałki roztrzaskanej kamery wideo, jak pozbyć się ciała, co zrobić z pieniędzmi, co powiedzieć glinom, by uszło im to na sucho, bo pomyślała o wszystkim.

Prawie o wszystkim.

Powoli odwróciła się do Reggiego. Pisał coś w telefonie, był kompletnie nieobecny.

– Czy... – Urwała, nie mogąc wydobyć słowa. – Napastnik zranił Karlsen nożem. Czy policja znalazła ten nóż?

– Nie – odpowiedział Reggie, nie podnosząc głowy znad telefonu. – Ale na podstawie wielkości i głębokości rany uważają, że ostrze było ząbkowane i miało jakieś dwanaście centymetrów długości. Prawdopodobnie to był tani kuchenny nóż.

Pęknięta drewniana rączka. Zakrzywione ostrze. Ząbkowane. Ostre.

Reggie skończył pisać.

– Zobaczysz to w aktach, kiedy prześlę je na twój serwer. Gliny mówią, że takim samym nożem zraniono pozostałe trzy ofiary. Wszystkie miały taką samą ranę w tym samym miejscu.

– Ranę? – Leigh usłyszała echo własnego głosu. – Jaką ranę?

– Na lewym udzie, około dziesięciu centymetrów od pachwiny. – Reggie wzruszył ramionami. – Miały szczęście. Nieco głębiej i przecięłby tętnicę udową.

[4] *Comma Chameleon* (ang.) – „Przecinek Kameleon”. Jest to nazwa lokalu, neon przed wejściem zawiera graficzny znak przecinka oraz słowo „Chameleon”. (Przyp. red.).

[5] *Derecho* (z hiszpańskiego: prawy, prosty, równy) – długotrwała burza wiatrowa o ogromnej sile i zasięgu setek kilometrów, siejąca spustoszenie na swojej drodze. Taka burza uderzyła w stan Iowa w sierpniu 2020 roku. (Przyp. tłum.).

[6] *Resolute* – biurko prezydenta Stanów Zjednoczonych stojące w Gabinetce Owalnym w Białym Domu. Dar królowej Wiktorii dla prezydenta Rutherforda Hayesa, wykonane z dębowego drewna pochodzącego z brytyjskiego żaglowca *Resolute*. Stoi w Białym Domu od listopada 1880 roku. (Przyp. tłum.).

Leigh ledwie ujechała niecałe dwa kilometry od biura Reggiego, kiedy zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Roztrąbiły się klaksony, gdy gwałtownie zjechała na pobocze. Przechyliła się przez siedzenie pasażera, otworzyła drzwi i z jej ust chlusnęły wymiociny. Nawet kiedy nie miała już czym wymiotować, mdłości nie ustawały. Czowała się tak, jakby ktoś wbijał jej w brzuch sztylety. Pochyliła głowę tak nisko, że prawie dotknęła twarzą ziemi. Sam zapach przyprawił ją o odruch wymiotny. Wstrząsnęły nią torsje, łzy poleciały z oczu, twarz pokryła się potem.

„Uważają, że ostrze było ząbkowane”.

Kasłała tak strasznie, że zobaczyła pod powiekami gwiazdy. Złapała się drzwi, żeby nie wypaść, wstrząsnęła nią seria bolesnych skurczów. Ale parkosyzy kaszlu powoli zaczęły ustępować. Czekwała zwieszona z siedzenia, z zaciśniętymi powiekami, modląc się w duchu, żeby wreszcie przestała się trząść.

„Okolo dwunastu centymetrów długości”.

Otworzyła oczy. Strużka śliny wyleciała jej z ust na trawę. Łapczywie zaczerpnęła powietrza. Znowu zamknęła oczy. Czekwała na kolejną porcję śliny, ale nic nie popłynęło.

„Prawdopodobnie tani nóż kuchenny”.

Ostrożnie się wyprostowała, wytarła usta, zamknęła drzwi i wbiła wzrok w kierownicę. Bolały ją żebra. Nadziała się na konsolę między

siedzeniami, gdy przechyliła się ku drzwiom. Auto zatrzęsło się, gdy obok śmignęła ciężarówka.

Leigh nie spanikowała w biurze Reggiego Paltza. Popadła w stan bliski fugi dysocjacyjnej. Była obecna ciałem, ale nieobecna duchem. Jej dusza unosiła się nad biurem, widząc wszystko, ale nie czując nic.

Patrzyła, jak poniżej ta druga Leigh spogląda na zegarek, zaskoczona późną godziną. Usprawiedliwiła się spotkaniem w centrum. Andrew i Reggie wstali, gdy podniosła się z krzesła. Druga Leigh zarzuciła torebkę na ramię, Reggie znowu skupił całą uwagę na komputerze, natomiast Andrew obserwował każdy jej ruch. Jak mrugająca jarzeniówka, która znowu zaczęła świecić, przemienił się w niewiniątko o cielecym spojrzeniu. Zalał ją potokiem słów, które wyrzucił z siebie jednym tchem:

„Szkoda że musisz już iść myślałem że dopiero zaczynamy w to wchodzić mam do ciebie zadzwonić czy zobaczymy się na spotkaniu z Cole’em jutro po południu?”.

Unosząc się pod sufitem, Leigh patrzyła, jak druga ona obiecuje, a może przeprasza, nie była pewna, co dokładnie robi, ponieważ nie słyszała swojego głosu. Potem założyła troczki maseczki za uszy, pomachała na pożegnanie, wyszła i minęła recepcję.

Druga ona zachowywała pozory spokoju. Stała obok dozownika z płynem dezynfekującym do rąk. Spojrzała na pusty kubek po kawie z Dunkin’ Donuts, wyjęty z kosza i postawiony na kontuarze. Poszła korytarzem, zeszła po schodach, otworzyła przeszklone drzwi i znalazła się na betonowym podeście. Zeszła ostrożnie po kruszejących schodach i spojrzała w stronę parkingu.

Sidney Winslow paliła papierosa. Na widok Leigh wykrzywiła usta z odrazą. Strząsnęła na ziemię popiół, oparła się o niskie sportowe auto.

Auto Andrew.

Leigh zachwiała się i zatoczyła, gdy dusza z impetem wróciła do jej ciała. Znowu była sobą, integralną jednostką, kobietą, której przed chwilą sadystyczny gwałciciel prawie wyznał, że wie o jej udziale w morderstwie Buddy'ego, a sam doskonalił tę technikę na swoich ofiarach.

„Nieco głębiej i przeciąłby tętnicę udową”.

– Ej, suko. – Sidney oderwała się energicznie od wozu. – Nie podoba mi się, że macisz i mój narzeczoną przestaje mi ufać.

Leigh patrzyła na głupią kobietę bez słowa. Serce waliło jej jak szalone. Czuła w sobie gorąco i chłód jednocześnie, miała wrażenie, że połknęła żyletki. A wszystko na widok auta Andrew.

Żółta corvetta.

Taki sam kolor i taka sama linia jak wóz Buddy'ego.

Jej uszu dobiegł przeraźliwy dźwięk klaksonu. Audi zatrzęsło się mocno, gdy ciężarówka skręciła gwałtownie, by je ominąć. Leigh spojrzała w boczne lusterko. Tylne opona znajdowała się na pasie jezdni. Zamiast ruszyć, patrzyła na nadjeżdżające pojazdy, prowokując bezgłośnie kogoś – kogokolwiek – by w nią uderzył. Zatrąbiły kolejne klaksony. Przemknęła następna ciężarówka, mignął sedan, mignęła terenówka, ale nie żółta plama corvetty Buddy'ego.

Andrew.

Dla niej nigdy już nie będzie Trevorem. Trzydziestotrzyletni mężczyzna nie był już dziwnym pięciolatkiem, który uwielbiał ją straszyć, wyskakując zza kanapy. Ciągle pamiętała niewidoczne łzy, które ocierał, gdy krzyczała na niego, żeby skończył z takimi numerami. Andrew najwyraźniej znał szczegóły śmierci ojca, ale skąd? Czym się

zdradziły? Jaki głupi błąd popełniła tamtej nocy, który pozwolił Andrew poskładać w całość kawałki układanki?

„Gdybyś miała popełnić straszną zbrodnię, która zrujnuje życie innemu człowiekowi, wiedziałabyś, co zrobić, żeby uniknąć kary?”.

Gdy pociągnęła nosem, do gardła spłynęło jej coś ohydneho i gęstego. Zajrzała do torebki w poszukiwaniu chusteczki, ale nie znalazła i cisnęła torebkę na siedzenie pasażera. Zawartość się rozsypała i dopiero teraz Leigh zobaczyła paczkę chusteczek. A obok charakterystyczną buteleczkę z pomarańczowymi tabletkami.

Valium.

Każdy potrzebował czegoś, żeby przebrnąć przez ten ostatni rok. Leigh nie piła, bo nie znosiła poczucia utraty kontroli, ale braku snu nie znosiła jeszcze bardziej. Podczas przeciągającego się szaleństwa wyborczego dostała receptę na valium. Lekarka nazwała je Pandemicznym Pocieszaczem.

„Lek na spanie”.

Tak Buddy nazywał NyQuil syna. Kiedy po powrocie do domu zastawał Andrew na nogach, mówił Leigh: „Hej, lalczko, nie chcę się z nim użerać, bądź tak dobra i przed wyjściem podaj mu lek na spanie.

Słyszała wyraźnie baryton Buddy’ego, jakby ten siedział na tylnym siedzeniu jej auta. Wbrew sobie przywołała wspomnienie jego łap gładzących ją po plecach. Jej ręce trzęsły się tak bardzo, że opakowanie valium musiała otworzyć zębami. Trzy pomarańczowe tabletki wpadły wprost w zagłębienie jej dłoni. Wrzuciła je do ust jak cukierki i połknęła bez popicia.

Splotła dłonie, żeby powstrzymać ich drżenie. Czekwała, aż napięcie puści. W buteleczce zostały cztery tabletki. W razie potrzeby wzięłaby je wszystkie. Nie mogła dać się obezwładnić strachowi. Nie teraz.

Andrew i Linda Tenantowie nie należeli już do biednej białej hołoty z czasów, kiedy nosili nazwisko Waleski. Jako właściciele Tenant Automotive Group mieli kasę i rządili. Reggie Paltz pewnie dałby się kupić za obietnicę kolejnych zleceń z firmy Leigh, ale nie był jedynym prywatnym detektywem w mieście. Andrew mógł zatrudnić całą armię detektywów, którzy zaczęłyby zadawać pytania, jakimi dwadzieścia trzy lata temu nikt nie zwracał sobie głowy.

Na przykład:

– Skoro Callie martwiła się o Buddy’ego, czemu nie zadzwoniła do Lindy? Numer żony Buddy’ego wisiał na kartce w kuchni obok telefonu.

– Jeśli Andrew faktycznie wyrwał przypadkiem ze ściany przewód telefoniczny, czemu tego nie pamiętał? I czemu następnego dnia był półprzytomny?

– Dlaczego tamtego wieczoru Callie zadzwoniła po Leigh, żeby odwiozła ją do domu? Wcześniej pokonywała tę dziesięciominutową trasę setki razy.

– Dlaczego najbliżsi sąsiedzi zeznali, że słyszeli, jak silnik corvetty Buddy’ego gasł wiele razy? Buddy umiał obsługiwać manualną skrzynię biegów.

– Co się stało z maczetą trzymaną w szopie?

– Gdzie podział się kanister z benzyną?

– Skąd u Callie złamany nos, rany i sińce?

– I dlaczego Leigh wyjechała do college’u miesiąc przed terminem, chociaż nie miała gdzie spać i brakowało jej pieniędzy?

Osiemdziesiąt sześć tysięcy dziewięćset czterdzieści dolarów.

W dniu swojej śmierci Buddy dostał forszę za dużą robotę. W neseserze miał pięćdziesiąt patyków, resztę poutykał w różnych

schowkach w domu.

Kłóciły się, co zrobić z tymi pieniędzmi. Callie nalegała, żeby zostawić coś Lindzie, jednak Leigh kategorycznie twierdziła, że nawet drobną sumą mogą ściągnąć na siebie podejrzenie. Gdyby Buddy Waleski rzeczywiście uciekł z miasta, wziąłby całą dostępną gotówkę, bo myślał wyłącznie o sobie.

Do dziś pamiętała słowa, które ostatecznie przekonały Callie: „To nie są krwawe pieniądze, jeśli płacisz za nie własną krwią”.

Kolejny klakson wyrwał ją z zamyślenia. Pot pokrywający skórę wysechł i ochłodził jej ciało, przyprawiając ją o dreszcz. Przykręciła klimatyzację. Chciało jej się płakać, ale nie mogła pozwolić sobie na mazgajstwo. Na sali sądowej musiała być dziesięć kroków przed innymi, a teraz skupić całą energię na pierwszym kroku, który zaprowadzi ją w najlepszym kierunku.

Przywołała w pamięci słowa Andrew, które wypowiedział z kpiącym uśmiechem na ustach:

„Teraz jest inaczej niż w czasach naszego dzieciństwa. Wtedy morderstwo z zimną krwią mogło ujść na sucho”.

Co przeoczyły? Nie były nastoletnimi chuligankami, lecz obie spędziły trochę czasu w poprawczaku, dorastały w kiepskiej dzielnicy i intuicyjnie wiedziały, jak zatrzeć ślady. Zakrwawione ubrania i buty spaliły w beczce. Kamerę wideo roztrzaskały w drobny mak. Dom starannie wysprzątały. Wóz Buddy’ego rozebrały na części i spaliły. Neseser zniszczyły. Spakowały nawet jego ubrania do walizki i dołożyły parę butów.

Zostawiły tylko nóż.

Leigh chciała się go pozbyć, ale Callie przekonała ją, że Linda zauważy brak jednego noża w komplecie. Ostatecznie Callie zmyła krew

nad zlewem, a potem namoczyły drewnianą rączkę w wybielaczu. Callie nawet wyczyściła trzpień noża wykałaczką. Słowo „trzpień” Leigh poznała tylko dlatego, że w każdą rocznicę tego zdarzenia analizowała wszystkie szczegóły ewentualnej sprawy wytoczonej przeciwko nim.

Zrobiła w myślach szybki przegląd długiej listy pytań, które dotyczyły albo pamięci dzieci, albo starszych sąsiadów nieżyjących od osiemnastu lat.

Dowody rzeczowe nie istniały. Nie znaleziono ani ciała, ani narzędzia zbrodni. Żadnych niewyjaśnionych włosów, zębów, odcisków palców, śladów krwi czy DNA. Żadnej pornografii dziecięcej. Jedyni ludzie, którzy wiedzieli, że Buddy Waleski gwałci Callie, mieli powód, żeby trzymać swoje odrażające pedofilskie gęby na kłódkę.

Doktor Patterson. Trener Holt. Pan Humphrey. Pan Ganza. Pan Emmett.

A także: Maddy. Walter. Callie.

Leigh musiała przede wszystkim pamiętać o priorytetach. Czas na strach minął. Spojrzała w boczne lusterko. Poczekała, aż pas ruchu opustoszeje, i włączyła się do ruchu.

Wkrótce valium zaczęło działać. Poczuła, jak ostre krawędzie się wygładzają, a plecy się rozluźniły. Żółta linia na drodze stała się pasem na bieżni. Budynki, drzewa, znaki i billboardy migały za oknem. „Restauracja Colonnade, Nowe miejsce w centrum!”. „Chcesz pomóc w walce z pandemią? Szczep się!”.

Niech biznes w Atlancie się kręci!

– Cholera – syknęła, wciskając hamulec, gdy auto przed nią nagle stanęło. Znowu podkręciła klimatyzację i strumień zimnego powietrza uderzył ją w twarz. Minęła stojący samochód. Jechała tak wolno, że czuła się jak staruszka. Zielone światło przeszło w żółte, ale nie

przyspieszyła. Zatrzymała się pod światłami i czekała na zmianę. Włączyła kierunkowskaz. Elektroniczny wyświetlacz nad bankiem podawał godzinę i temperaturę.

Jedenasta pięćdziesiąt osiem. Dwadzieścia dwa i dwie dziesiąte stopnia.

Wyłączyła klimatyzację, otworzyła okno i wystawiła się na powiew rozgrzanego powietrza. Teraz powinna się pocić. Z końcem dusznej sierpniowej nocy, kiedy umarł Buddy Waleski, ubrania Leigh i Callie przemokły od potu i krwi.

Buddy był przedsiębiorcą. A przynajmniej tak się przedstawiał. W niedużym bagażniku corvetty woził skrzynkę z obcęgami i młotkiem. W szopie za domem trzymał brezent, taśmy, plastikowe worki i wielką maczetę, która wisiała na haku po wewnętrznej stronie drzwi.

Najpierw zawinęły Buddy'ego w plastik. Potem na kolanach zmyły krew, która zebrała się pod nim. Następnie z kuchennego stołu i krzeseł utworzyły wokół ciała prowizoryczną wannę.

Wszystko, co działo się potem, wryło się w jej pamięć na zawsze. Odkrawanie kawałków skóry najostrzejszymi nożami. Rąbanie stawów maczetą. Wybijanie zębów młotkiem. Podważanie paznokci obcęgami na wypadek, gdyby znalazł się pod nimi naskórek Callie. Nacinanie opuszków palców, żeby ukryć linie papilarne. Spryskiwanie wszystkiego wybielaczem, żeby usunąć ślady DNA.

Pracowały na zmianę nie tylko dlatego, że to było wyczerpujące psychicznie. Rozczłonkowanie potężnego ciała i wkładanie po kawałku do czarnych plastikowych worków na odpady ogrodowe wysssało z nich całą energię. Leigh nieustannie zaciskała zęby, a Callie powtarzała w kółko tę samą kwestię:

„Jeśli chcesz wykonać połączenie, rozłącz się i spróbuj ponownie...
Jeśli to nagły wypadek...”.

Leigh w myślach dodała własną mantrę:

„To moja wina. To moja wina...”.

Miała trzynaście lat, kiedy zaczęła bawić pięcioletniego Trevora u Waleskich. Dowiedziała się o tym zajęciu pocztą pantoflową. Pierwszego wieczoru Linda wygłosiła długą przemowę o znaczeniu zaufania, potem kazała Leigh przeczytać na głos listę numerów ratunkowych umieszczonych przy aparacie telefonicznym w kuchni: Ośrodek kontroli zatruc. Straż pożarna. Policja. Pediatra. Numer Lindy w szpitalu.

Potem odbył się szybki obchód po przygnębiającym wnętrzu domu. Trevor kurczowo trzymał się matki jak przerażone małpiątko. Linda zapalała i gasiła światła. Otworzyła i zamknęła lodówkę, potem szafki kuchenne. Pokazała, co podać na kolację, a co jako przekąskę. Trevor chodzi spać o tej godzinie. Tu są książeczki do poczytania przed snem. Buddy wraca do domu najpóźniej o północy, ale Leigh musiała przysiąc Lindzie na własne życie, że nie wyjdzie przed jego powrotem. Gdyby nie wrócił albo pojawił się pijany – zalany w trupa, nie lekko wstawiony – miała natychmiast dzwonić do Lindy, która wtedy wyjdzie z pracy i przyjedzie.

Leigh uznała jej przemowę za przesadę. Dorastała w Lake Point, gdzie ostatni zamożni biali mieszkańcy osuszyli jezioro pod miastem, żeby czarni nie mogli w nim pływać. Małe porzucone domki zmieniły się w meliny ćpunów, strzały padały o każdej porze dnia i nocy. Leigh chodziła do szkoły obok parku, w którym widziało się więcej zużytych strzykawek niż bawiących się dzieci. Pracowała jako opiekunka od dwóch lat i nikt dotąd nie kwestionował jej życiowego sprytu.

Linda musiała wyczuć, że się najeżyła, i szybko zmieniła ton. Okazało się, że Waleskich prześladował pech. Jedna nieodpowiedzialna opiekunka zostawiła Trevora samego i nawet nie zamknęła za sobą drzwi. Druga przestała przychodzić. Jeszcze inna nie odbierała telefonów. Linda nie rozumiała dlaczego, Leigh tym bardziej.

A potem, trzy godziny po wyjściu Lindy do pracy, do domu wrócił Buddy.

Spojrzał na Leigh jak nikt dotąd. Taksująco, z góry na dół. Zawiesił wzrok na jej wargach, potem na dwóch niedużych wzniesieniach sterczących pod spłóviałą koszulką z nazwą zespołu Def Leppard.

Buddy był tak potężny i zwalisty, że jego kroki wprawily w drżenie cały dom, gdy szedł w stronę baru. Nalał sobie drinka i wytarł wargi wierzchem dłoni. Kiedy się odezwał, z jego ust popłynęła lawina szelmowskich pytań podlanych sosem niestosownych komplementów. Słowa nachodziły na siebie, tworząc jeden ciąg:

„Ile masz lat laleczko nie możesz mieć więcej niż trzynaście ale już wyglądasz jak dorosła kobieta założę się że twój tatuś musi odpędzać chłopaków kijem nie znasz swojego taty jaka szkoda moja mała taka dziewczynka jak ty potrzebuje dużego silnego faceta żeby ją chronił”.

Początkowo Leigh myślała, że Buddy przepytuje ją jak Linda, ale patrząc wstecz, zrozumiała, że badał grunt. W kręgach wymiaru sprawiedliwości ta technika nazywa się urabianiem. Pedofile stosowali tę samą do bólu przewidywalną strategię.

Buddy wypytywał ją o zainteresowania, ulubione przedmioty w szkole, żartował z jej powagi, sugerował, że jest od niego bystrzejsza, bardziej interesująca i ma ciekawsze życie. Chciał wiedzieć o niej jak najwięcej. Chciał jej pokazać, że nie jest starym prykiem, jak ci, których dotąd spotykała. No dobra, też był starym prykiem, ale rozumiał nastolatki. Podał jej marihuanę. Tę próbę przeszła. Zaoferował jej

drinka. Pociągnęła łyk czegoś o smaku syropu na kaszel i w myślach zaczęła błagać, żeby puścił ją do domu, bo musi się uczyć.

W końcu Buddy z teatralną przesadą spojrział na wielki złoty zegarek na grubym nadgarstku i zdumiony otworzył usta:

„Rany laleczko jak szybko ten czas minął mógłbym przegadać z tobą całą noc ale matka na pewno czeka na ciebie założę się że zrzędzi i ciągle cię pilnuje chociaż jesteś prawie dorosła i możesz sama o sobie decydować nie?”.

Leigh odruchowo przewróciła wtedy oczami, bo matka mogła na nią czekać tylko z jednego powodu: żeby wziąć od córki pieniądze zarobione za opiekę nad Trevorem.

Czy Buddy to zauważył? Tego nie wiedziała, ale w tamtej chwili wszystko się zmieniło. Może poskładał w całość wszystkie informacje: brak ojca, beznadziejna matka, niewielu przyjaciół w szkole. Czyli małe szanse, że komuś coś powie.

Zagaił coś o ciemnościach za oknem i niebezpiecznej okolicy. Że chyba zacznie padać. Owszem, to tylko dziesięć minut piechotą stąd, ale Leigh była zbyt ładna, żeby chodzić po nocy sama:

„Taką drobinę jak ty jakiś zły facet mógłby zgarnąć i schować do kieszeni i to by była dopiero cholerna tragedia bo Buddy nie zobaczyłby więcej twojej ślicznej buzi chcesz tego chcesz złamać mu serce zrobić mu coś tak strasznego?”.

Leigh zrobiło się niedobrze, czuła się winna, zażenowana i – co najgorsze – osaczona. Buddy mógł nalegać, żeby została na noc, i ta perspektywa ją przerażała. Ale wtedy on powiedział, że odwiezie ją do domu. Tak jej ulżyło, że nawet nie oponowała. Złapała tylko swoje zeszyty i wsadziła je do plecaka.

Na skrzyżowaniu zapaliło się zielone światło, ale pogrążona w myślach Leigh zauważyła to dopiero po chwili, więc jeden z kierowców ponaglił ją klaksonem. Ruszyła z miejsca jak robot. Jechała zacięciem stroną ulicy. Na drzewach nie drżał nawet listek, ale kiedy przyspieszyła, słyszała przez otwarte okno świst powietrza.

Walescy mieli wiatę dla samochodów z boku domu. Kiedy wyszli drzwiami kuchennymi, w żółtej corvecie Buddy'ego okna były już opuszczone. To był starszy model Chevroleta Corvette. Krawędzie maski znaczyła rdza, lakier wymagał odświeżenia, na betonie widniała plama oleju wyznaczająca stałe miejsce parkowania. W środku unosiła się woń potu, cygar i trocin. Buddy szerokim gestem otworzył jej drzwi i napiął bicepsy, demonstrując siłę mięśni.

„Książę z bajki do twoich usług młoda damo wystarczy że skiniesz ręką a twój stary wierny Buddy zjawi się na każde wezwanie”.

Potem podszedł do drzwi od strony kierowcy. Kiedy wsiadał, w oczach Leigh przypominał klauna pakującego się do zabawkowego samochodziku. Z jękiem i stękaniem wcisnął za kierownicę swoje potężne cielsko. Skulił ramiona i odsunął siedzenie. Leigh pamiętała, jak patrzy na jego wielką dłoń zaciskającą się na drążku zmiany biegów. Zasłonił tą niedźwiedzią łapą całą skrzynię biegów. Stukał palcami w rytm piosenki z radia.

Callie prześladował jękliwy ton operatorki telefonu alarmowego w słuchawce telefonu w kuchni. Leigh nawiedzał skrzekliwy falset Buddy'ego, który śpiewał *Kiss on My List* z duetem Hall & Oates.

Po dwóch minutach jazdy w przyćmionym pomarańczowym świetle włączonego radia ręka Buddy'ego powędrowała w kierunku Leigh. Patrzył prosto przed siebie, ale jego palce wystukiwały rytm na jej kolanie jak wcześniej na drążku.

„Lubię tę piosenkę a tobie się podoba laleczko na pewno tak ale ciekawi mnie czy całowałaś się już z chłopakiem czy wiesz jak to jest?”.

Leigh zamarła, unieruchomiona w fotelu kubełkowym. Oblała się potem, który spływał na popękaną skórę siedzenia. Buddy nie puścił jej kolana, nawet kiedy zwolnił i zjechał na bok. Leigh rozpoznała dom Deguilsów. Zeszłego lata kilka razy opiekowała się ich córką Heidi. Na werandzie od frontu paliło się światło.

„Wszystko dobrze mała nie bój się twój stary Buddy nigdy by cię nie skrzywdził ale Jezu masz taką gładką skórę czuję na niej meszek jak na skórcie brzoskwini jak u niemowlęcia”.

Nie patrzył na nią, tylko spoglądał prosto przed siebie. Wysunął język i grubymi palcami smyrał ją po kolanie, potem powędrował w górę, podciągając sukienkę. Jego łapa ciążyła jej na nodze jak kowadło.

Nie mogła złapać tchu. Zakręciło się jej w głowie, gdy nagle wróciła do terażniejszości. Serce podeszło jej do gardła. Waliło tak mocno, że przycisnęła dłoń do piersi, jakby chciała się upewnić, czy się nie przemieściło. Miała wilgotną skórę, a w uszach wciąż brzmiały słowa Buddy’ego, które rzucił w jej stronę, gdy wysiadała z auta:

„Niech to zostanie między nami tu masz trochę ekstrakasy za dzisiejszy wieczór ale obiecaj że nikomu o tym nie powiesz nie chcę żeby twoja mama się wściekła i ukarała cię bo wtedy nigdy więcej cię nie zobaczę”.

Leigh powiedziała matce o łapie Buddy’ego na swoim kolanie natychmiast po powrocie do domu. I dostała radę:

„Chryste Panie Harleigh nie jesteś małym dzieckiem trzaśnij go w łapę i każ mu się odpierdolić jeśli jeszcze raz spróbuje”.

Buddy oczywiście spróbował jeszcze raz. Okazało się, że matka miała rację. Leigh odsunęła jego łapę i wrzasnęła, żeby się odpiardolił. Na tym się skończyło.

„Cholera laleczko dobrze już dobrze rozumiem nic się nie stało ale uważaj tygrysico bo kiedyś doprowadzisz jakiegoś nieszczęśnika do szaleństwa”.

Leigh zapomniała o tym incydencie, jak zapomina się o sprawach zbyt okropnych, żeby o nich pamiętać. O nauczycielu, który ciągle gadał o jej szybko rosnących piersiach, czy o starym dziadzie w sklepie spożywczym, który powiedział jej, że staje się prawdziwą kobietą. Trzy lata później, gdy za odłożone pieniądze kupiła sobie auto, którym mogła jeździć do lepszej pracy w centrum handlowym, sędowała fuchę opiekunki na wdzięczną za ten siostrzany gest Callie.

Światło zmieniło się na zielone i Leigh wcisnęła gaz. Łzy ciekły jej po twarzy. Zaczęła je ocierać, ale na myśl o covidzie przestała. Wyjęła z paczki świeżą chusteczkę, starannie osuszyła skórę pod oczami i wciągnęła gwałtownie powietrze. Zatrzymała je w płucach, aż poczuła ból, a potem wypuściła ze świstem przez zęby.

Nigdy nie zdradziła Callie, co ją spotkało w corvette. Nigdy nie poradziła młodszej siostrze, żeby stanowczo odsunęła łapę Buddy’ego. Nigdy nie kazała Buddy’emu dać Callie spokój. Nic nie powiedziała ani Lindzie, ani nikomu innemu, bo ukryła to obrzydliwe wspomnienie tak głęboko w zakamarkach pamięci, że kiedy wróciło do niej po zabójstwie Buddy’ego, mogła tylko pograć się w poczuciu winy.

Otworzyła usta, by zaczerpnąć powietrza. Znowu straciła orientację. Rozejrzała się dokoła, żeby ustalić swoje położenie. Audi wiedziało wcześniej od niej, dokąd jedzie. Skręt w lewo, kilka metrów prosto, skręt w prawo na parking centrum handlowego.

Radiowóz sierżanta Nicka Wexlera stał na swoim stałym miejscu zajmowanym na czas lunchu, czyli między sklepem z ramkami a żydowskimi delikatesami. Tylko połowa miejsc na parkingu była zajęta. Przed delikatesami ludzie stali w kolejce po jedzenie na wynos, zachowując narzucony epidemią dystans.

Leigh nie spieszyła się z wysiadaniem. Poprawiła makijaż, odświeżyła oddech kilkoma miętówkami, a na koniec pomalowała usta krwistoczerwoną szminką, która krzyczała: „Przeleć mnie!”. Sięgnęła po notes i długopis, przewróciła strony z notatkami na temat sprawy Andrew, znalazła czystą kartkę i napisała coś na dole strony. Valium zrobiło swoje. Jej dłonie już nie drżały, przestała czuć łomotanie serca.

Urwała dolną część kartki, złożyła w ciasny kwadracik i wetknęła pod ramiączko stanika.

Kiedy wysiadała z audi, Nick już gapił się na nią, a ona widowiskowo zakołysała biodrami. Z każdym krokiem spinała mięśnie łydek. Idąc w stronę Nicka, kupiła sobie czas na przegląd swoich wcieleń. Z Walterem była Leigh wrażliwą i podatną na zranienie. Wobec Reggiego Paltza była Leigh lodowato zimną. Z Nickiem Wexlerem była kobietą, która mogła flirtować z sierżantem policji z Atlanty, kiedy wypisywał jej mandat za przekroczenie prędkości, a trzy godziny później rżnęła się z nim do utraty tchu.

Kiedy znalazła się blisko, Nick wytarł usta palcami. Posłała mu uśmiech, ale kąciki jej ust powędrowały w górę zdecydowanie za mocno. To przez valium szczyrzyła zęby jak idiotka. Czuła na sobie wzrok Nicka, gdy obchodziła przód radiowozu.

Okna były opuszczone.

– A niech mnie, pani mecenas. Gdzie się podziewałaś?

– Najpierw sprzątnij ten bałagan. – Machnęła w stronę siedzenia pasażera.

Nick przełożył laptopa na deskę rozdzielczą i zrzucił na podłogę resztę rzeczy zalegających na siedzeniu. Przy pierwszej próbie Leigh rozminęła się z klamką, bo wzrok jej się mącił. Zamrugła, żeby odzyskać ostrość widzenia, i otworzyła drzwi, uśmiechając się do Nicka. Jego granatowy mundur policyjny był pognieciony od gorąca. Nick pachniał potem, ale i tak był wręcz nieprzyzwoicie przystojny. Białe zęby, gęste czarne włosy, niebieskie oczy, mocne ramiona...

Wsiadła do radiowozu, następując na torbę z lunchem Nicka. Nie włożyła maseczki. To prawda, valium ją rozluźniło, ale nie odebrało resztek zdrowego rozsądku. Pracownicy z pierwszej linii frontu byli uprawnieni do szczepienia już w lutym, więc uznała, że prędzej zarazi się od Nicka Wexlera syfilisem niż covidem.

– Mam nadzieję, że przyszłaś wiercić dziurę w brzuchu mojemu świadkowi.

Leigh spojrzała przez brudną szybę. Kolejka do delikatesów przesuwała się powoli. Od zastygłego uśmiešku bolały ją mięśnie twarzy, niepokój tlił się w najgłębszych pokładach jej mózgu, do których nie miała teraz dostępu. Andrew rozpląnął się w tej ciemności wraz z nim.

– Ej. – Nick pstryknął palcami. – Podzielisz się gównem, którym się naćpałaś?

– To valium.

– Może kiedy indziej. Wolałbym robótkę ręczną.

– Może kiedy indziej. Od kiedy na tym poprzestajesz?

Nick zaśmiał się z uznaniem.

– Co cię sprowadza do mojej bryki, pani mecenas? Co kombinujesz?

Było tego całkiem niemało:

Współudział w morderstwie. Zbezczeszczenie zwłok. Okłamanie funkcjonariusza organów ścigania. Podpisanie fałszywych zeznań. Ucieczka przed oskarżeniem do innego stanu.

– Potrzebuję przysługi – powiedziała.

Nick uniósł brwi. Nie świadczyli sobie przysług. Byli przyjaciółmi od okazjonalnego seksu, którzy z hukiem wylecieliby z roboty, gdyby to wyszło na jaw. Gliniarze i adwokaci dogadywali się z sobą jak Churchill z Hitlerem.

– Nie chodzi o sprawę – uspokoiła go Leigh.

– Ahaa... – odparł przeciągle, nie kryjąc sceptycyzmu.

– Klientka dłużniczka. Muszę ją namierzyć. Nie zapłaciła mi.

– Czyżby chciwcy z Buttfuck, Cunt & Motherfucker zrobili się nerwowi?

– Coś w tym rodzaju. – Uśmiechnęła się głupkowato.

– Każą ci osobiście ścigać zaległe należności? – zapytał, wciąż powątpiewając.

– Pójdę do kogoś innego. – Leigh wyciągnęła rękę w stronę klamki.

– Ej, ej, co tak się spieszysz. Zostań ze mną. – Mówił do niej jak gliniarz, ale łagodnie położył jej dłoń na ramieniu i kciukiem pogładził po szyi. – Co się dzieje?

Strząsnęła z siebie jego rękę. Ona i Nick nie pocieszali się nawzajem. Tylko Walter miał do czynienia z tą wersją Leigh.

Jednak Nick nie dawał za wygraną.

– Coś nie tak? – dopytywał.

Nie znosiła jego tonu w stylu „pozwól, że to naprawię”. To był jeden z powodów, dla których dawno się z nim nie widziała.

– A wyglądam, jakby coś było ze mną nie tak?

Nick zaśmiał się krótko.

– Pani mecenas, przez dziewięćdziesiąt dziewięć procent czasu nie mam zielonego pojęcia, co dzieje się w twojej pięknej główce.

– Nadrabiasz to jednym procentem. – Nie chciała niczego sugerować. A może jednak chciała. W tym, co robili, była pewna doza masochizmu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że właśnie to ryzyko kazało jej ciągle wracać.

Nick nie dbał o motywy jej zachowania. Powędrował spojrzeniem po jej ciele ku nogom. Naprawdę umiał patrzeć na kobietę, nie tak jak oblech Buddy, który łakomie przyglądał się trzynastoletniej Leigh. Nie tak jak seksista Reggie Paltz, który zlustrował ją bez skrępowania, szacując jej atrakcyjność seksualną. Spojrzenie Nicka mówiło: „Wiem, gdzie cię dotykać i jak długo”.

Gdy przygryzła dolną wargę, Nick powiedział:

– Cholera... No dobra, jak nazywa się ta klientka?

Wiedziała, że lepiej nie okazywać nadmiernego zapału.

– Lewe ramiączko stanika.

Nick upewnił się, że nikt ich nie obserwuje, i wsunął palec pod jej bluzkę. Skórę miała mokrą od potu. Przeciągnął palcem po obojczyku w dół ku piersi. Czuła, że oddech jej przyspiesza, gdy Nick trafił na karteczkę i dwoma palcami powolnym ruchem wyjął ją spod ramiączka.

– Jest mokra – powiedział, a gdy Leigh znów posłała mu uśmiech, mruknął: – Jezu... – Sięgnął po laptopa, kartkę położył na swoim udzie

i zaśmiał się, gdy przeczytał nazwisko. – Zobaczmy, w jakie kłopoty wpakowała się nasza ziomalka.

– Czyżbyś ulegał stereotypom?

Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– Gdybym chciał, żeby ktoś ścisnął mnie za jaja, ale nie wydymał, poszedłbym do żony.

– Gdybym ja chciała wydymać kogoś z cherlawymi jajami, poszłabym do męża.

Nick parsknął śmiechem, pisząc na klawiaturze jednym palcem.

Wzięła głęboki wdech i powoli wypuściła powietrze. Nie powinna tak mówić o Walterze, ale przy Nicku wyłaziła z niej paskudna część natury. A może Walter był jedynym mężczyzną na świecie, który potrafił wydobyć z niej odrobinę dobra, która w niej tkwiła?

– O cholera. – Nick zmrużył oczy, spoglądając na monitor. – Kradzież. Nielegalne posiadanie substancji odurzających. Wtargnięcie. Wandalizm. Posiadanie. Posiadanie. Jezu, jakim cudem ta suka nie kibluje?

– Miała cholernie dobrą adwokatkę.

Pokręcił głową i przewinął stronę.

– Harujemy jak woły, żeby postawić takich przed sądem, a potem wszystko idzie się gonić, kiedy pojawiacie się wy, pieprzeni obciążacze.

– Tak, ale przynajmniej ktoś ci obciąża.

Znowu posłał jej to spojrzenie. Oboje wiedzieli, dlaczego ona ciągle sprowadzała to do seksu.

– Mogę wylecieć za szukanie tych informacji dla ciebie – zauważył.

– Powiedz mi, kiedy jakiś gliniarz wyleciał za cokolwiek.

Wyszczrzył zęby w szerokim uśmiechu.

– Wiesz, jaka nudna jest praca za biurkiem.

– Lepsze to, niż zarobić kulkę w plecy. – Nick już się nie uśmiechał, tylko spojrzał na nią surowo, zdradzając, że Leigh naciska go za bardzo. Dlatego docisnęła jeszcze mocniej: – Nie boisz się, że wszyscy biali też stracą zaufanie do policji?

Surowe spojrzenie stało się jeszcze surowsze.

– Pani mecenas, ciesz się, że twoje nogi wyglądają tak zajebiście.

Patrzyła, jak Nick odwraca się w stronę laptopa. Przesunął palcem po panelu dotykowym.

– Są. Poprzednie adresy: Lake Point, Riverdale, Jonesboro.

Nie północny skrawek Iowa. Nie farma. Nie mąż. Nie dwoje dzieci.

– Pani woli wykwintniejsze lokale. – Nick wyjął z kieszonki na piersi spiralny notes i długopis. – Dwa tygodnie temu dostała mandat za przechodzenie w niedozwolonym miejscu. Podała adres jakiegoś zapyziałego motelu. prostytutka?

Leigh tylko wzruszyła ramionami.

– Imię nie wróży sukcesu w branży – zaśmiał się Nick. – Calliope DeWinter.

– Callie-ope – poprawiła go Leigh, ponieważ ich głupia matka nie wiedziała, jak to wymawiać. – Używa imienia Callie.

– Więc umie podjąć chociaż jedną dobrą decyzję.

– Tu nie chodzi o dobre decyzje. Chodzi o możliwość podjęcia dobrych decyzji.

– Jasne. – Wydarł kartkę z notatnika, złożył ją na pół i trzymał w dwóch palcach. Nie próbował wsunąć kartki pod ramiączko stanika

Leigh. Był glina, i to niegłupim. – Ile bierze za godzinę pani mecenas? Dziesięć kawałków?

– Mniej więcej.

– I niby jak naćpana prostytutka ci płaci?

Miała ochotę wyrwać mu z ręki karteczkę z adresem, ale się powstrzymała.

– Żyje z funduszu powierniczego.

– Taką historyjkę chcesz mi sprzedać?

Tylko złość była w stanie pokonać działanie valium.

– Jezu, kurwa, Nick! Czemu tak mnie maglujesz? Albo dajesz mi ten adres, albo...

Nick rzucił jej karteczkę na kolana.

– Wynocha z mojego wozu, pani mecenas. Szukaj swojej ćpunkki.

Leigh nie wysiadła. Rozłożyła karteczkę.

MOTEL ALAMEDA 9921 STEWART AVENUE.

Kiedy pracowała jeszcze w biurze udzielającym pomocy prawnej, wielu jej klientów pomieszkiwało w motelach. Właściciele brali sto dwadzieścia dolarów za tydzień od biedaków, którzy mogli znaleźć o wiele lepsze miejsce do życia, gdyby byli w stanie zebrać pieniądze na kaucję za lokal, którego wynajęcie kosztowało czterysta osiemdziesiąt dolarów za miesiąc.

– Mam robotę. Albo gadasz, albo wysiadasz – powiedział Nick.

Leigh otworzyła usta. Chciała powiedzieć mu prawdę:

To moja siostra. Nie widziałam jej od ponad roku. Żyje jak ćpunka i prostytutka, a ja mieszkam w ogrodzonym apartamentowcu i posyłam córkę do szkoły, w której chesne wynosi dwadzieścia osiem kawałków za

rok, bo pchnęłam swoją młodszą siostrę w ramiona seksualnego drapieżcy, a wstydziłam się przyznać, że do mnie też się dobierał.

– Niech ci będzie. – Leigh nie mogła zdradzić Nickowi całej prawdy, ale część tak. – Od początku powinnam być z tobą szczerą. To jedna z moich byłych klientek z czasów, kiedy pracowałam na własny rachunek.

Nick wyraźnie oczekiwał bardziej szczegółowych wyjaśnień.

– W podstawówce była gimnastyczką. Potem dołączyła do wyczynowej drużyny czirliderek. – Leigh zmrużyła groźnie oczy, żeby uprzedzić prostacki dowcip o czirliderkach. – Była flyerką. Wiesz, co to jest? – Gdy Nick potrząsnął przecząco głową, dodała: – W drużynie są dwie, czasem cztery spotterki. Podnoszą flyerkę i podtrzymują dłońmi, kiedy ona wykonuje jakąś figurę. Czasem ją podrzucają najwyżej, jak się da. Mówimy o pięciu, nawet sześciu metrach. Flyerka obraca się wokół własnej osi, robi salto, potem ląduje w złączonych przedramionach spotterek. Jeśli jej nie złapią albo złapią źle, wtedy może uszkodzić sobie kolano, złamać kostkę, zwichnąć plecy. – Leigh musiała urwać, żeby przełknąć ślinę. – Callie wylądowała nieszczęśliwie po jednym ze skoków i złamała dwa kręgi szyjne.

– Jezu.

– Była tak wytrenowana, że mięśnie utrzymały kręgi w miejscu. Nie przerwała występu, ale potem nogi jej zdrętwiały. Karetka zabrała ją do szpitala, gdzie zrobili jej operację zespolenia kręgosłupa, po której musiała nosić kołnierz, żeby nie ruszać głową, zaczęła brać na ból oksykodon i...

– Heroinę – dopowiedział Nick. Był na ulicach i obserwował narastanie tego zjawiska. – Smutna historia, pani mecenas. Sędzia musiał to kupić, skoro kobieta nie siedzi za kratkami, gdzie jej miejsce.

Sędzia uwierzył niewinnej ćpunce, którą Leigh przekupiła, żeby wzięła winę na siebie.

– Igła czy palenie? – zapytał Nick.

– Igła. To trwa z przerwami od prawie dwudziestu lat. – Serce Leigh znowu zaczęło bić jak oszalałe. Dręczące ją poczucie winy za tragiczne życie siostry przebiło się przez zasłonę z valium. – Zdarzają się lepsze lata.

– Chryste, ciężka sprawa.

– Owszem. – Leigh patrzyła na to jak na niekończący się horror. – Chciałam sprawdzić, co u niej, bo mam wyrzuty sumienia.

Nick znowu uniósł brwi.

– Od kiedy to adwokat ma wyrzuty sumienia?

– W zeszłym roku omal nie umarła. – Leigh nie mogła już patrzeć Nickowi w oczy i wyjrzała przez okno. – Zaraziłam ją covidem.

LATO 1998

Noc była ciemna. Harleigh wyteęzała wzrok, wyłapując każdy szczegół widoczny w smugach reflektorów auta: numery na skrzynkach pocztowych, znaki stopu, tylne światła zaparkowanych samochodów, oczy kota skradającego się drogą.

– Harleigh, chyba zabiłam Buddy’ego.

Ledwie słyszała chrypliwy szept Callie po drugiej stronie słuchawki. Jej głos był kompletnie wyzuty z emocji. Więcej ich okazała rano, kiedy nie mogła znaleźć skarpetek na czirliderski trening.

– Chyba zabiłam go nożem.

Harleigh o nic nie pytała. Nie musiała, żeby znać powód. W tej samej chwili przeniosła się pamięcią do dusznej żółtej corvetty, piosenki w radiu i wielkiej łapy Buddy’ego pokrywającej jej kolano.

– Callie, słuchaj uważnie. Nie ruszaj się, póki nie przyjadę.

Posłuchała starszej siostry. Gdy Harleigh dotarła na miejsce, Callie siedziała na podłodze w sypialni Waleskich i wciąż przyciskała telefon do ucha. Głos operatorki przebijał się przez szumy i buczenie, które wydawała słuchawka, gdy zbyt długo nie leżała na widełkach.

Włosy, które Callie zwykle wiązała w koński ogon, teraz zasłaniały jej twarz. Chrypliwym głosem powtarzała komunikat odtwarzany automatycznie w słuchawce:

– Jeśli chcesz wykonać połączenie...

– Cal! – Harleigh opadła na kolana, by wyrwać słuchawkę z rąk siostry, ale ścisnęła ją kurczowo. – Proszę.

Callie podniosła głowę.

Harleigh cofnęła się przerażona.

Białka oczu Callie były czarne, miała złamany nos, z ust kapała krew, szyję znaczyły czerwone ślady w kształcie palców Buddy’ego, który próbował ją udusić.

Harleigh za to odpowiadała. Sama obroniła się przed nim, ale siostrę pchnęła prosto w jego łapy.

– Cal, przepraszam. Strasznie cię przepraszam.

– Co... – Callie zakasłała i z jej ust wydostała się krwista mgiełka. – Co teraz zrobimy? – dokończyła.

Harleigh złapała siostrę za ręce, jakby chciała uchronić ją i siebie przed pójściem na dno. Beładne myśli przelatywały jej przez głowę: „będzie dobrze”, „ja to naprawię”, „przejdziemy przez to razem”, ale nie widziała żadnego sposobu, żeby to naprawić, żadnej drogi wyjścia z tego piekła.

Do domu weszła przez kuchnię i omiotła Buddy’ego nieobecny wzrokiem, jak ktoś, kto udaje, że nie widzi bezdomnego zamierzającego pod jego drzwiami.

Tyle że on nie był bezdomny.

Buddy Waleski był ustosunkowany, przyjaciół miał wszędzie, w policji też. Callie nie była rozpieszczoną białą dziewczynką z dwojgiem rodziców gotowych na wszystko, byle ją ochronić. Była nastolatką ze złej części miasta, która zdążyła już zaliczyć pobyt w poprawczaku za kradzież różowej obróżki dla kota ze sklepu z rzeczami za dolara.

– Może... – Oczy Callie napęłniły się łzami, ledwie mogła mówić przez spuchnięte gardło. – Może nic mu nie jest.

– Co? – Harleigh spojrzała na nią zdumiona.

– Sprawdzisz, czy nic mu nie jest? – W czarnych oczach Callie odbiło się światło lampy wiszącej nad stołem. Patrzyła na starszą siostrę, ale myślami była gdzie indziej. Tam, gdzie wszystko miało się ułożyć. – Buddy się wściekł, ale może już się nie wścieka, jeśli wszystko z nim dobrze, co? Możemy... możemy wezwać pomoc. Linda wróci dopiero...

– Cal... – Z piersi Harleigh wyrwał się szloch. – Czy to było... czy Buddy chciał ci coś zrobić? Czy to już się zdarzało, czy...

Wyraz twarzy Callie powiedział jej wszystko.

– On mnie kochał, Har. Powiedział, że zaopiekuje się mną.

Harleigh skuliła się przygnieciona bólem. Dotknęła czołem brudnej wykładziny. Zalała się łzami. Otworzyła usta i wydała rozpaczliwy jęk z głębi trzewi.

„To moja wina. To moja wina”.

– Wszystko dobrze. – Callie próbowała ją uspokoić, gładząc po plecach. – On mnie kocha, rozumiesz? Wybacz mi.

Harleigh potrząsnęła głową. Sztywna wykładzina drapała ją w twarz. Co teraz? Jak mogła to naprawić? Buddy nie żył, ale był za ciężki, żeby przenieśli go we dwie, i za nic by się nie zmieścił w jej małym aucie. Nie mogły wykopać dla niego wystarczająco głębokiego dołu, żeby w nim zgnił. Nie mogły po prostu wyjść, bo w tym domu odciski Callie były wszędzie.

– On się mną zajmie, Har. Powiedz mu tylko, że bardzo mi przy... kro.

„To moja wina. To moja wina”.

– Sprawdzisz, co z nim? – Złamany nos Callie świszczął przy każdym oddechu.

Harleigh nie przestawała kręcić głową. Czuła, jakby ktoś wbijał jej szpony w żebra i wciągał z powrotem w cuchnące bagno, jakim było jej życie. Za cztery tygodnie i jeden dzień miała jechać do college’u. Uciec stąd, ale teraz nie mogła zostawić Callie. Policja nie uzna ran i sińców za dowód, że jej siostra walczyła o życie. Przez obcisłe ciuchy, makijaż i fryzurę gliniarze zobaczą w niej przebiegłą i morderczą Lolitę.

A gdyby stanęła w obronie Callie? Gdyby przyznała, że Buddy też próbował się do niej dobierać, a ona była tak zajęta własnym życiem, że nie ostrzegła przed nim siostry?

„To moja wina. To moja wina”.

– Proszę, sprawdź, co z nim – powtórzyła Callie. – Wyglądał, jakby było mu zimno. Buddy nienawidzi marznąć.

Harleigh ujrzała, jak dematerializuje się jej przyszłość. Wszystkie plany – nowe życie w Chicago, własne mieszkanie, własne rzeczy, pies i kot, chłopak z czystą kartoteką – legły w gruzach. Dodatkowe zajęcia w szkole, noce spędzone nad książkami między jedną a drugą, czasem nawet trzecią pracą, znoszenie szefów, którzy nie potrafili utrzymać rąk przy sobie, wysłuchiwanie napastliwych komentarzy, spanie w samochodzie między zmianami, ukrywanie pieniędzy przed matką...

Tyle wysiłku – i po co? Żeby wylądować w tym samym miejskim getcie, gdzie lądowały wszystkie nieszczęsne i pozbawione nadziei dzieciaki?

– On... – Callie zakasłała. – Wku...rzył się, bo zna...lażłam kamerę. Wiedziałam o niej, ale nie wiedziałam, że nagrywał nas, jak... robimy to... Har, ludzie to oglądali. Wie...dzą, co robiliśmy.

Harleigh powtórzyła w myślach słowa siostry. Mieszkanie w Chicago. Pies i kot. Chłopak. Wszystko wyparowało w jednej chwili.

Z trudem oderwała głowę od podłogi i usiadła prosto. Wewnętrzny głos ostrzegał ją, żeby nie pytać, ale musiała to wiedzieć:

– Kto cię oglądał?

– Wszy...scy. – Callie zaczęła dzwonić zębami, pobladła, wargi jej zsiniały. – Doktor Patterson. Tre...ner Holt. Pan Humphrey. Pan Gan...za. Pan Emmett.

Harleigh złapała się za brzuch. Te nazwiska znała równie dobrze, jak osiemnaście lat swojego życia. Doktor Patterson radził, żeby ubierała się skromniej, bo rozprasza chłopców. Trener Holt powtarzał, że gdyby chciała porozmawiać, to jego dom stoi po drugiej stronie ulicy. Pan Humphrey zmusił ją, żeby usiadła mu na kolanach, zanim pozwolił jej na jazdę testową autem. Pan Ganza gwizdnął za nią w zeszłym tygodniu w supermarkecie. Pan Emmett zawsze ocierał się ramieniem o jej piersi, kiedy siedziała na fotelu dentystycznym.

– Dotykali cię? Doktor Patterson i trener...

– N...nie. Buddy robił... – Umilkła na moment, bo szczekanie zębami przeszkadzało jej w mówieniu. – On robił... fil...my... a oni nas... oglądali.

Wzrok Harleigh zaczął się wyostrić tak samo jak w drodze do domu Waleskich. Tyle że tym razem wszystko widziała na czerwono. Gdziekolwiek spojrzeła – na porysowane ściany, zawilgoconą wykładzinę, poplamioną narzutę, spuchniętą i poobijaną twarz Callie – wszędzie widziała czerwień.

„To moja wina. To moja wina”.

Delikatnie otarła palcami łyżę Callie. Patrzyła na ruchy swojej ręki, ale miała wrażenie, że obserwuje cudzą rękę. Na myśl o tym, co ci

dorośli mężczyźni zrobili jej młodszej siostrze, Harleigh rozpadała się na dwie części. Jedna chciała zagryźć zęby jak zawsze. Druga pragnęła zadać jak najwięcej bólu.

Doktor Patterson. Trener Holt. Pan Humphrey. Pan Ganza. Pan Emmett.

Zniszczy ich. Nawet gdyby to była ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

– O której wraca Linda? – zapytała.

– O dziewiątej rano.

Zerknęła na budzik przy łóżku. Miała niecałe trzynaście godzin, żeby to załatwić.

– Gdzie kamera?

– Ja... – Callie przyłożyła dłoń do gardła, jakby musiała wypchnąć z niego odpowiedź. – Bar.

Harleigh szła korytarzem z zaciśniętymi pięściami. Minęła pokój gościnny, łazienkę i doszła do sypialni Trevora.

Przystanęła i uchyliła drzwi. Lampka nocna rzucała na sufit świetlne punkciki w kształcie gwiazdek. Twarz miał wciśniętą w poduszkę. Spał mocno. Wiedziała bez pytania, że Buddy kazał mu wypić lek na sen.

– Harleigh? – W progu pojawiła się Callie. Była tak blada, że wyglądała jak zjawa. – Nie... nie wiem, c...co robić.

Harleigh zamknęła drzwi pokoju Trevora i ruszyła korytarzem. Minęła akwarium, kanapę, brzydkie skórzane fotele klubowe z podłokietnikami znaczoneymi dziurami po papierosach. Kamera leżała na kupce korków po winie za barem. Canon Optura, produkt z wyższej półki. Harleigh wiedziała o tym, bo podczas przedświątecznej gorączki zakupowej sprzedawała sprzęt elektroniczny. Plastikowa obudowa kamery była ułamana. W rogu brakowało niedużego kawałka. Harleigh

energicznie wyszarpnęła kabel zasilający i paznokciem kciuka przesunęła mały suwak, by wyjąć z kieszonki minikasetę.

Kieszonka była pusta.

Harleigh przeszukała podłogę i półki za barem.

Nic.

Wstała. Jej wzrok padł na kanapę z przygnębiającymi zagłębieniami z obu końców. Na brudne pomarańczowe zasłony. Olbrzymi telewizor z dyndającymi kablami.

Kable, które biegły do kamery, właśnie trzymała w rękach.

Urządzenie nie miało wewnętrznej pamięci. Nagrania znajdowały się na minikasecie niewiele większej od wizytówki. Można było podłączyć kamerę do telewizora albo odtwarzacza wideo, ale brak kasety oznaczał brak filmu.

Powinna znaleźć kasetę, aby pokazać ją policjantom, którzy mogli zobaczyć – właściwie co?

Nigdy nie była na sali sądowej, ale w swoim osiemnastoletnim życiu napatrzyła się na kobiety bite przez mężczyzn. Głupie suki. Durne histeryczki. Szurnięte cipy. Mężczyźni kontrolowali cały system. Policję, sale rozpraw, biura kuratorskie, opiekę społeczną, poprawczaki i więzienia, wydziały oświaty, salony samochodowe, supermarkety, gabinety dentystyczne.

Doktor Patterson. Trener Holt. Pan Humphrey. Pan Ganza. Pan Emmett.

W żaden sposób nie można było udowodnić, że oglądali nagranie, a jeśli na nagraniu Callie nie krzyczała i nie protestowała przez cały czas, to gliniarze, adwokaci, sędziowie powiedzą, że tego chciała, bo bez

względu na to, co spotkało kobietę, mężczyźni zawsze, ale to zawsze kryli się nawzajem.

– Harleigh. – Callie obejmowała się rękami w talii. Drżała na całym ciele. Usta jej zbieleły.

Harleigh miała wrażenie, że jej młodsza siostra stopniowo znika.

„To moja wina. To moja wina”.

– Proszę – powiedziała Callie. – Może on jeszcze żyje. Proszę...

Harleigh spojrzała na nią. Tusz spływał jej po policzkach. Rozmazana szminka zmieszana z krwią nadała jej ustom grymas klauna. Callie, jak wcześniej Harleigh, desperacko pragnęła dorosnąć. Wcale nie po to, żeby rozpraszać chłopców i zwracać na siebie uwagę, tylko dlatego, że dorośli sami o sobie decydowali.

Harleigh rzuciła kamerę na bar.

W końcu zobaczyła wyjście z tej sytuacji.

Buddy Waleski siedział na podłodze w kuchni oparty plecami o szafkę pod zlewem. Głowa opadła mu na piersi. Ramiona leżały wzdłuż tułowia. Nogi były szeroko rozłożone. Ranę miał na lewym udzie. Strużka krwi wyciekała z niej jak ścieki z dziurawej rury.

– Proszę, s...sprawdź. – Callie stanęła za nią, wpatrując się w Buddy’ego szeroko otwartymi oczami. – Pro...szę, Har. On nie może umrzeć. Nie może.

Harleigh podeszła do ciała, ale nie z chęci niesienia pomocy. Cel miała inny. Wsunęła dłoń do kieszeni spodni Buddy’ego w poszukiwaniu małej kasety. W lewej kieszeni znalazła zwitek banknotów, pół opakowania leku na zgagę i trochę kłaczków. Pilot do kamery był w prawej kieszeni. Cisnęła nim o podłogę z taką siłą, że pokrywa baterii

się wyłamała. Sprawdziła zawartość tylnych kieszeni. Natrafiła na skórzany portfel Buddy'ego i poplamioną chusteczkę.

Kasety nie było.

– Harleigh? – odezwała się Callie.

Mentalnie odsunęła siostrę na bok. Musiała skupić się na układaniu historii, którą opowiedzą policji.

Buddy żył, kiedy wychodziły z domu Waleskich. Callie zadzwoniła do Harleigh, żeby po nią przyjechała, bo Buddy zachowywał się dziwnie. Gdy tu dotarła, powiedział Harleigh, że jakiś facet grozi mu śmiercią, i kazał jej zabrać stąd siostrę, więc od razu pojechały do domu. Facet, który groził Buddy'emu, musiał zjawić się później i go zamordować.

Powtarzała w myślach tę historię, szukając słabych punktów. W domu Waleskich pełno było odcisków palców Callie, ale siostra bywała tu częściej niż Buddy. Trevor mocno spał, więc i tak nic nie wiedział. Krew Buddy'ego zebrała się tylko wokół jego nogi. Nie było żadnych krwawych odcisków palców czy stóp, które mogłyby naprowadzić śledczych na Callie. Wszystko dawało się logicznie wyjaśnić. Może niektóre wyjaśnienia miały luki, ale nadal były wiarygodne.

– Har? – Callie ciągle ścisnęła tułów przedramionami i kołysała się w przód i w tył.

Harleigh popatrzyła na nią uważnie. Te krwawe wybroczyzny w oczach, ślady duszenia na szyi, złamany nos...

– Mama ci to zrobiła – rzuciła zdecydowanym tonem, a gdy siostra spojrzała na nią kompletnie zdezorientowana, dodała równie stanowczo: – Jeśli ktoś zapyta, powiesz, że pyskowałaś i mama cię pobiła. Dobrze?

– Ja nie...

Uciszyła ją gestem. Jeszcze raz musiała to wszystko dokładnie przemyśleć. Buddy przyjechał do domu. Był przestraszony, ktoś groził mu śmiercią. Nie powiedział kto, kazał tylko im zniknąć jak najszybciej, więc odwiozła Callie do domu. Kiedy wychodziły, Buddy żył, a Callie oberwała od matki, zresztą nie pierwszy raz w życiu. Do akcji znowu wkroczy opieka społeczna, ale dwa miesiące w rodzinie zastępczej były o niebo lepsze niż reszta życia za kratami.

Chyba że policja znajdzie minikasetę, która była dowodem na to, że Callie miała motyw.

– Gdzie Buddy schowałby coś małego, mniejszego niż jego dłoń? – zapytała.

Callie pokręciła głową. Nie wiedziała.

Harleigh powiodła wzrokiem po kuchni. Otworzyła szafki i szuflady, zajrzała do garnków i patelni. Wszystko było na swoim miejscu. Zauważyłaby jakieś odstępstwo. Zanim Callie przejęła po niej tę fuchę, przez ponad trzy bardzo długie lata spędzała u Waleskich pięć dni w tygodniu. Uczyła się na kanapie, gotowała dla Trevora, grała z nim w różne gry przy stole.

Na stole leżał neseser Buddy'ego.

Zamknięty.

Harleigh wyjęła z szuflady nóż i wetknęła czubek ostrza pod zamek.

– Powiedz mi, co zaszło. Ze szczegółami. Niczego nie ukrywaj – zażądała.

Callie znowu potrząsnęła głową.

– Nie pamiętam.

Zamek ustąpił. Na widok gotówki Harleigh znieruchomiała tylko na chwilę, bo wrażenie szybko uleciało. Wyjęła pieniądze, obmacała tkaninową wyściółkę, wewnętrzne kieszenie i przegródki.

– Gdzie to się zaczęło? W której części domu? – zapytała.

Callie bezgłośnie poruszyła ustami.

– Calliope. – Harleigh wzdrygnęła się na dźwięk głosu matki, który popłynął z jej własnych ust. – Mów, do cholery. Gdzie się zaczęło?

– My... – Callie odwróciła się w stronę pokoju dziennego. – Za barem.

– Co się stało? – dopytywała Harleigh ostrym tonem. – Mów. Ze szczegółami.

Głos siostry był tak słaby, że Harleigh musiała wysilić się, żeby ją usłyszeć. Zerknęła ponad jej ramieniem, odtwarzając w wyobraźni scenę kłótni, którą Callie opisywała. Buddy przypadkowo trafia ją łokciem w nos. Pudełko z korkami po winie koziółkuje. Kamera spada z półki. Callie, oszołomiona po ciosie w nos, leży na plecach. Podnosi się, idzie do kuchni i wkłada głowę pod kran. Grozi Buddy'emu, że powie Lindzie. Atak. Przewód telefoniczny wyrwany ze ściany. Duszenie, kopanie, okładanie pięściami, a na koniec – nóż.

Harleigh spojrzała w stronę telefonu. Zobaczyła, że Callie odłożyła słuchawkę na widełki. Obok telefonu ciągle wisiała lista telefonów alarmowych, tyko wyrwany przewód świadczył, że zaszło tu coś złego.

– Trevor wyrwał przewód ze ściany – powiedziała.

– Co? – zapytała Callie.

– Powiesz im, że to Trevor wyrwał przewód telefoniczny. Kiedy powie, że to nie on, wszyscy pomyślą, że kłamie, bo chce uniknąć kłopotów.

Harleigh nie czekała na zgodę Callie. Przepakowała neseser Buddy'ego i zamknęła go z trzaskiem. Jeszcze raz omiotła kuchnię wzrokiem w poszukiwaniu schowka, w którym mógł upchnąć kasetę. W końcu zatrzymała wzrok na nim. Siedział przechylony na bok. Z rany na nodze ciągle lała się krew.

Ten widok ją zmroził.

Płynąca krew oznaczała, że serce Buddy'ego ciągle bije.

– Calliope. – Harleigh przełknęła ślinę tak mocno, że w gardle coś jej przeskoczyło. – Sprawdź, co z Trevorem. Natychmiast.

Callie nie protestowała, tylko zniknęła w korytarzu.

Harleigh kucnęła przed Buddym. Złapała go za włosy i pociągnęła, unosząc jego wielką głowę. Powieki mu drgnęły, zobaczyła białka oczu uciekających w tył głowy.

– Obudź się. – Uderzyła go w twarz. – Obudź się, głupi skurwysynu.

Spod w półprzymkniętych powiek znowu błysnęły białka oczu.

Podniosła mu powieki.

– Spójrz na mnie, dupku.

Buddy rozchylił usta. Harleigh poczuła woń taniej whisky i cygar. Nagle przeniosła się w czasie i znowu siedziała w jego corvette.

Przerażona. Bezsilna. Pragnąca uciec jak najszybciej.

Uderzyła go mocniej, aż ślina poleciała mu z ust.

– Spójrz na mnie – powtórzyła.

Buddy przewrócił oczami, które powoli wróciły na swoje miejsce.

Harleigh dostrzegła w nich błysk. Poznał ją, a na jej widok chyba zaświtała w nim nadzieja, że ma kogoś po swojej stronie.

Spojrzał na telefon, potem znowu przeniósł wzrok na Harleigh. Prosił ją bezgłośnie, żeby wezwała pomoc. Wiedział, że nie zostało mu wiele czasu.

– Gdzie kaseeta z kamery? – zapytała Harleigh.

Buddy znowu spojrzał na telefon, potem na nią.

– Zabiję cię, jeśli mi nie powiesz.

Buddy Waleski nie bał się jej. W jego mniemaniu była świętoszką, która przestrzega zasad i odróżnia dobro od zła. Lewy kącik ust drgnął mu nieznacznie. Harleigh odczytała sens tego krzywego uśmiešku. Buddy cieszył się, że pociągnie za sobą do piekła wzór cnót wszelakich wraz z jej młodszą siostrą.

– Ty pierdolony pojebie! – Uderzyła go mocniej niż za pierwszym razem, potem zdzieliła pięścią, aż głowa odskoczyła mu do tyłu i walnęła potylicą w szafkę. Złapała go za koszulę i wzięła zamach, żeby znów mu przywalić.

Buddy usłyszał ten dźwięk pierwszy. Coś trzasnęło mu w koszuli. Harleigh widziała, jak opuszcza go pewność siebie. Spojrzał na nią, jakby chciał wyczytać z jej miny, czy już się domyśliła.

Zamarła z prawą pięścią w górze, a z lewą zaciśniętą kurczowo na koszuli. Wyteżyła zmysły. Próbowwała odtworzyć wrażenia sprzed chwili – metaliczny zapach krwi, chrapliwy, słaby oddech Buddy'ego, gorzki smak utraconej wolności, przód brudnej roboczej koszuli w zaciśniętej dłoni.

Obróciła nadgarstek, mocniej ściskając grubą bawełnę.

Powtórny trzask nakierował jej uwagę na klatkę piersiową Buddy'ego.

Przeszukała tylko kieszenie jego spodni, koszuli nie. Miała krótkie rękawy, wzmocnione szwy, z przodu dwie kieszenie z klapką na piersi. Klapka lewej kieszeni była podniesiona i przetarta w miejscu, gdzie stykała się z nią zawsze obecna tam paczka cygar Black & Mild.

Tyle że tym razem paczka tkwiła w kieszeni odwrotnie, zwrócona celofanowym okienkiem ku falującej piersi Buddy'ego.

Wyjęła z kieszonki długie i wąskie pudełko, potem wsadziła do środka palce.

I znalazła minikasetę.

Przysunęła mu ją do twarzy. Musiał zobaczyć, że wygrała. Wydobył z siebie długie westchnienie. Wyglądał tylko na lekko rozczarowanego. Jego życie było pełne przemocy i chaosu, który sam wywołał. W porównaniu z tym śmierć była łatwa.

Spojrzała na czarną plastikową obudowę minikasety z wyblakłą białą etykietką. Kawałek taśmy izolacyjnej zakrywał małe okienko, dzięki czemu można było nagrywać nowe rzeczy.

Przez ostatnie trzy lata Harleigh obserwowała przemianę swojej siostry, ale przypisywała to hormonom, rozwydrzeniu, wiekowi dorastania. Mocny makijaż, kradzieże w sklepach, wielokrotne zawieszenie w szkole, długie szeptane rozmowy telefoniczne po nocach... Ale ignorowała to wszystko, bo była zbyt mocno pochłonięta własnym życiem. Harowała jak wół, odkładała pieniądze, dobrze się uczyła, by w końcu wyrwać się z przeklętego Lake Point.

W tej chwili trzymała w rękach życie Callie. Nie w przenośni, tylko dosłownie. Jej młodość, jej niewinność, jej wiarę, że bez względu na to, jak wysoko wyleci w powietrze, świat ją złapie.

„To moja wina. To moja wina”.

Zacisnęła dłoń w pięść. Ostre kandy plastikowej obudowy kasety wbiły się w jej skórę, świat znowu poczerwieniał, krew spowiała wszystko w zasięgu wzroku. Tłustą twarz Buddy'ego. Jego wielkie łapy. Łysiejącą głowę. Chciała znowu zdzielić go pięścią, pobić do nieprzytomności, poszatkować mu pierś nożem do steków, aż z tego odrażającego cielska całkiem ujdzie życie.

Zamiast tego otworzyła szufladę przy kuchence i wyjęła rolkę folii spożywczej.

Buddy otworzył szeroko oczy. W końcu otworzył usta, ale bezpowrotnie stracił szansę, żeby coś powiedzieć.

Owinęła mu głowę folią sześć razy, aż do końca rolki.

Buddy zassał plastik otwartymi ustami i podniósł ręce do twarzy. Walcząc o oddech, próbował paznokciami rozerwać folię, ale Harleigh złapała go za nadgarstki. Potężny mężczyzna, istny olbrzym, nie miał siły, żeby ją powstrzymać. Spojrzała mu w oczy, napawając się jego strachem i bezradnością, a potem paniką, gdy zrozumiał, że Harleigh odbiera mu jego łatwą śmierć.

Zaczął się trząść, wyprężył pierś, wierzgał nogami, wydał z gardła tłumiony jęk, a ona przyciskała mu nadgarstki do szafki i siadła na nim okrakiem jak on, kiedy dusił Callie. Napierała na niego całym ciężarem jak on, kiedy napierał na nią w swojej corvette. Patrzyła na niego tak samo jak doktor Patterson, trener Holt, pan Humphrey, pan Ganza i pan Emmett patrzyli na jej siostrę. Wreszcie robiła mężczyźnie to samo, co mężczyźni robili jej i Callie przez całe życie.

Koniec nastąpił za szybko.

Nagle mięśnie Buddy'ego zwiotczały. Przestał walczyć, ręce opadły bezwładnie na podłogę. Harleigh zobaczyła powiększającą się plamę moczu na nogawkach. Wyobraziła sobie, że gdyby miał duszę, szatan

chwyciłby go za kołnierz brudnej koszuli i powlókł nisko, coraz niżej, aż do samego piekła.

Otarła pot z czoła. Miała krew na rękach, na ramionach, w kroku spodni i na nogawkach.

– Jeśli chcesz wykonać połączenie...

Odwróciła się. Callie siedziała na podłodze. Przyciskała kolana do piersi. Kołysała się powoli w przód i w tył jak stalowa kula do wyburzania.

– Rozłącz się i spróbuj ponownie.

WIOSNA 2021

4

– Sprawdźmy, co dolega Panu Pete’owi. – Doktor Jerry zaczął badać kota, delikatnie obmacując palcami obrzękły staw. Z grubsza licząc, piętnastoletni Pan Pete dorównywał wiekiem doktorowi Jerry’emu. – Może to artretyzm? Biedaczek.

Callie spojrzała w kartę Pana Pete’a.

– Brał suplement, ale dostał zaparcia.

– Eh, niesprawiedliwa starość. – Doktor Jerry włożył stetoskop do uszu prawie tak samo owłosionych jak Pan Pete. – Czy możesz...

Callie pochyliła się i dmuchnęła Panu Pete’owi w pyszczek, żeby przestał mruścić. Rozdrażniła go, ale nie miała mu tego za złe. Łapka utkwiała mu w ramie łóżka, gdy zeskakiwał na śniadanie. To mogło przydarzyć się każdemu.

– Grzeczny chłopiec. – Doktor Jerry pogłodził kota po karku, po czym zwrócił się do Callie: – Maine coony to wspaniałe zwierzęta, jedne z największych wśród kotów, ale mają predyspozycje do zwichnięć. – Gdy Callie przerzuciła kartkę gotowa do notowania, mówił dalej: – Pan Pete, wykastrowany samiec, gruby, okulał na przednią prawą łapę po upadku z łóżka. Badanie wykazało średni obrzęk, ale brak trzeszczenia

wskazującego na złamanie kości czy niestabilność stawu. Morfologia krwi w normie. Prześwietlenie nie wykazało złamania ani pęknięcia kości. Na początek buprenorfina i gabapentyna przeciwbólowo. Do kontroli za tydzień.

– Buprenorfina jeden i dwie dziesiąte miligrama na kilogram masy ciała co osiem godzin przez ile dni? – zapytała Callie.

– Na początek przez sześć. Podaj mu jedną na drogę. Nikt nie lubi jazdy autem.

Callie zapisała zalecenia w karcie, a doktor Jerry umieścił Pana Pete'a w transporterze. Ciągłe pracowali w reżimie pandemicznym. Opiekunka Pana Pete'a czekała w samochodzie na parkingu.

– Coś jeszcze z szafki z lekami? – zapytał doktor Jerry.

Callie przejrzała stos kart leżących na kontuarze.

– Opiekunowie Aroo Feldmana zgłaszają nasilenie bólu.

– Poślemy im do domu więcej tramadolu. – Doktor Jerry wypisał receptę. – Niech Bóg błogosławi ich dobre serca. Corgi to straszne gnojki.

– W tej kwestii się różnimy. – Callie sięgnęła po następną kartę. – Sploot McGhee, chart po spotkaniu z motocyklem. Złamane żebra.

– Pamiętam tego młodego chudzielca. – Ręce doktora Jerry'ego drżały, gdy poprawiał okulary. Ledwie poruszał oczami, udając, że czyta kartę. – Metadon, jeśli go przywiozą. Jeśli nie, pošlij im do domu plaster z fentanylem.

Omówili resztę dużych psów z listy pacjentów: Deux Claude, pirenejski pies górski z przemieszczeniem rzepki. Scout, owczarek niemiecki, który nadział się na żelazne ogrodzenie. O'Barky, wilczarz

irlandzki z dysplazją stawu biodrowego. Ronaldo, artretyczny labrador o wadze dwunastoletniego dziecka.

Kiedy Callie przeszła do kotów, doktor Jerry już ziewał.

– Rób co zwykle, moja droga. Znasz te zwierzęta tak dobrze jak ja, chociaż uważaj z tym ostatnim. Nigdy nie odwracaj się plecami do tricolora. – Callie uśmiechnęła się, gdy figlarnie puścił do niej oko. – Zadzwońię do właściciela Pana Pete’a, a potem wykorzystam przywilej kierownika. – Znowu mrugnął do niej. Oboje wiedzieli, że pójdzie się zdrzemnąć. – Dzięki, mój aniele.

Callie przestała się uśmiechać dopiero wtedy, gdy doktor Jerry odwrócił się od niej. Potem pochyliła głowę, udając, że czyta dokumentację. Nie chciała patrzeć, jak doktor Jerry szura nogami niczym zniedołężniały staruszek.

Doktor Jerry był w Lake Point instytucją. Jedynym weterynarzem w okolicy, który w zamian za usługę przyjmował karty EBT[Z]. Pierwszą prawdziwą pracę Callie dostała właśnie u niego, gdy skończyła siedemnaście lat. Doktor Jerry w tamtym czasie owdowiał. Miał syna, który mieszkał w Oregonie i dzwonił tylko dwa razy w roku: w Dniu Ojca i na Boże Narodzenie. Doktorowi została jedynie Callie. A może to jej został tylko doktor. Był dla niej jak ojciec, a przynajmniej wyobrażała sobie, że taki powinien być ojciec. Wiedział, że Callie ma swoje demony, ale nigdy jej za to nie karał. Dopiero po pierwszym zatrzymaniu za narkotyki przestał namawiać ją na weterynarię. Agencja Antynarkotykowa stosowała restrykcyjną politykę. Zabraniała wydawania blochków z receptami osobom uzależnionym od heroiny.

Odczekała, aż doktor zniknie w gabinecie, i poszła korytarzem pod drzwi. Kolano chrupnęło głośno, gdy wyprostowała nogę. W wieku trzydziestu siedmiu lat wcale nie była w lepszym stanie niż Pan Pete. Przytknęła ucho do drzwi biura. Doktor Jerry rozmawiał z właścicielką

Pana Pete'a, a po kilku minutach usłyszała trzeszczenie starej skórzanej kanapy, gdy układał się do drzemki.

Wypuściła powietrze z płuc. Wzięła do ręki telefon i nastawiła minutnik na godzinę.

Przez lata traktowała klinikę jako wakacje od ćpania. Oczyszczała się na tyle, by móc pracować, a doktor Jerry zawsze przyjmował ją z powrotem, nigdy nie pytał, gdzie była ani dlaczego ostatnim razem zniknęła bez słowa. Najdłuższą przerwę w braniu miała tak dawno, że przestała już liczyć, kiedy to było. Wytrzymała osiem miesięcy, zanim wróciła do nałogu.

Tym razem miało być podobnie.

Porzuciła nadzieję wieki temu. Była ćpunką i pozostanie ćpunką. Nie jak członkowie klubów AA, którzy chociaż rzucili picie, ciągle powtarzali, że są alkoholikami. Raczej jak ktoś, kto zawsze – ale to zawsze – wróci do igły. Nie była pewna, kiedy się z tym pogodziła. W trakcie trzeciego odwyku? Czwartego? A może po ośmiu miesiącach abstynencji, którą złamała, bo to był akurat wtorek? Czy dlatego, że łatwiej mieć zakłęcia podtrzymujące, jeśli wiadomo, że są tylko chwilowe?

Teraz w ryzach trzymało ją tylko poczucie własnej przydatności. Ponieważ w zeszłym roku doktor Jerry przeszedł serię mikroudarów, skrócił czas pracy kliniki do czterech dni w tygodniu. Miewał lepsze i gorsze okresy, miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, pogorszyła mu się pamięć krótkotrwała. Często powtarzał Callie, że bez niej nie dałby rady przepracować jednego dnia, a co dopiero czterech.

Powinna mieć wyrzuty sumienia, że go wykorzystuje, ale przecież była ćpunką. Czua się winna z powodu całego swojego życia.

Wyjęła dwa klucze, żeby otworzyć szafkę z lekami. Teoretycznie doktor Jerry powinien trzymać drugi klucz, ale to jej powierzył prowadzenie rejestru zużycia substancji podlegających ścisłej kontroli. Gdyby tego nie robiła, agenci DEA zaczęliby węszyć, porównywać faktury zamówień z dawkowaniem zapisanym na kartach, doktor Jerry mógłby stracić prawo wykonywania zawodu, a ona wylądowałaby za kratkami.

Narkomani zwykle ułatwiali agentom wydziału antynarkotykowego pracę, gotowi na każdy idiotyzm, byle zdobyć następną działkę. Potrafili przedawkować w poczekalni, dostać zawału w toalecie, gwizdnąć tyle fiolek, ile zmieści się w kieszeniach, a potem rzucać się pędem do drzwi. Na szczęście Callie metodą prób i błędów nauczyła się, jak regularnie podkraść tyle prochów, by uniknąć głodu narkotykowego.

Codziennie potrzebowała albo sześćdziesięciu miligramów metadonu, albo szesnastu miligramów buprenorfiny, żeby zapobiec wymiotom, bólom głowy, bezsenności, gwałtownej bieguncie i paraliżującym bólom kości wywołanym odstawieniem heroiny. Trzymała się jednej jedynej zasady, której nigdy dotąd nie złamała: nie odbierała leków potrzebującym zwierzętom. Kiedy głód narkotykowy stawał się nie do wytrzymania, wrzucała swój klucz przez otwór na korespondencję w drzwiach i przestawała się pokazywać. Wolą umrzeć, niż widzieć cierpienie zwierzęcia. Nawet corgi, bo doktor Jerry miał rację. Zdarzały się wśród nich straszne gnojki.

Tęsknym wzrokiem spojrzała na zapasy w szafce, potem zaczęła wyjmować fiołki i ampułki. Otworzyła rejestr leków leżący obok stosu kart i wzięła długopis.

Gabinet doktora Jerry'ego był drobnym biznesem. Niektórzy weterynarze mieli czytniki linii papilarnych do otwierania szafek z lekami, na dodatek linie papilarne musiały zgadzać się z kartą, a karta

musiała zgadzać się z dawką, co było skomplikowane, ale Callie pracowała dla doktora Jerry'ego od prawie dwudziestu lat, chociaż z przerwami. Mogła pokonać każdy system, i to we śnie.

Zrobiła to tak: opiekunowie Aroo Feldmana wcale nie prosili o dodatkowy tramadol, ale ona i tak wpisała to zapotrzebowanie do karty. Sploot McGhee miał dostać plaster z fentanylem, bo złamane żebra to koszmar, a nawet hardy chart zasługiwał na odrobinę spokoju. Podobnie Scout, dumny owczarek niemiecki, który w pogoni za wiewiórką nadział się na ogrodzenie z kutego żelaza, miał dostać wszystkie leki, których potrzebował.

O'Barky, Ronaldo i Deux Claude zostały wymyślane, a ich opiekunowie mieli tymczasowe adresy i nieaktywne numery telefonów. Callie poświęciła długie godziny, żeby uwiarygodnić nieistniejących pacjentów: czyszczenie zębów, leczenie robaczycy serca, połknięcie piszczącej zabawki, niewyjaśnione wymioty, ogólne złe samopoczucie. Było więcej wyimaginowanych pacjentów: bulmastif, dog niemiecki, alaskan malamute, garstka psów pasterskich. Dawki leków przeciwbólowych zależały od wagi pacjenta. Callie wybrała takie rasy, których waga przekraczała czterdzieści pięć kilogramów.

Nieistniejące wielkie borzoje nie były jedynym sposobem na obejście systemu. Niezawodne wyjście awaryjne stanowiły odpady. Nawet agenci DEA rozumieli, że zwierzęta się wiercą i często połowa zawartości zastrzyku tryska człowiekowi w twarz albo ląduje na podłodze. Taki przypadek zapisywało się w dokumentacji po stronie strat i wracało się do swoich zajęć. W razie potrzeby Callie mogła upuścić fiolkę ze sterylną solą fizjologiczną w obecności doktora Jerry'ego i tak nim zakręcić, żeby wykreślił to z rejestru jako metadon albo buprenorfinę. Kiedy doktor zapominał, co robi, Callie mogła sama dokonać wpisu.

Były też łatwiejsze sposoby. Chirurg ortopeda przyjeżdżał do nich co drugi wtorek. Callie przygotowywała kroplówki z fentanyl, syntetycznym opioidem o tak silnym działaniu, że przepisywano go tylko na ból w zaawansowanej chorobie nowotworowej, oraz ketaminą, substancją do znieczulania przedoperacyjnego. Sztuka polegała na tym, żeby podprowadzić trochę jednej i drugiej substancji, ale zostawić dość, by zagwarantować operowanemu pacjentowi komfort. Był jeszcze euthasol, pentobarbital używany do usypiania nieuleczalnie chorych cierpiących zwierząt. Większość lekarzy dla pewności podawała zwierzętom dawkę trzykrotnie, czasem czterokrotnie silniejszą od zalecanej. Euthasol był gorzki, ale ćpający dla zabawy lubili mieszać go z rumem i padali jak nieżywi na całą noc.

Ponieważ w Lake Point było za mało bernardynów i nowofundlandów, które zapewniłyby Callie stały dowóz dawek na podtrzymanie, sprzedawała albo wymieniała, co mogła, by kupić metadon. Pandemia okazała się czasem żniw, bo cena towaru poszła w górę. Callie uważała się za Robin Hooda wśród dilerów, ponieważ większość pieniędzy i tak wracała do gabinetu, żeby doktor Jerry nie musiał zamykać interesu. Wypłacał jej tygodniówkę co piątek nieodmiennie zdumiony mnóstwem wygniecionych banknotów o niskich nominałach w kasetce.

Callie otworzyła kartę Pana Pete'a. Przerobiła szóstkę na ósemkę, potem przygotowała strzykawki do doustnego podania buprenorfiny. Nie okradała kotów, ponieważ były relatywnie małe i nie przynosiły dużych zysków jak masywny rottweiler. Znając koty, podejrzewała, że właśnie z tego powodu utrzymywały niską wagę.

Wsadziła strzykawki do plastikowej torebki i wydrukowała etykietkę. Reszta łupu wylądowała w jej plecaku w pomieszczeniu socjalnym. Dawno temu siostra powiedziała jej, że bardziej wysiła mózg, robiąc złe rzeczy, niż musiałyby go wysilić, robiąc rzeczy dobre, ale

chrzanić siostrę. Była pindą, która bezkarnie mogła wciągać kokę, ucząc się do egzaminu wstępnego na prawo, by potem na zawsze zapomnieć o prochach.

Callie wystarczyło jedno spojrzenie na zieloną tabletkę oksykodonu, by marzyć o niej przez następny miesiąc.

Wytarła usta, bo w tej chwili marzyła o oksykodonie.

Pan Pete siedział w transporterze. Wstrzyknęła mu do pyszczka dawkę leku przeciwbólowego. Kichnął dwa razy i posłał jej wrogie spojrzenie, gdy wkładała maseczkę i fartuch, żeby zanieść go do auta.

Zostawiła maseczkę na twarzy, gdy sprzątała przychodnię. Podłoga była wklęsła, wydeptana birkenstockami doktora Jerry'ego na trasie między biurem a jednym gabinetem i drugim. Na niskim suficie były zacieki, ściany pokrywała odkształcona boazeria, wszędzie wisiały wyblakłe fotografie zwierząt.

Callie wyczyściła ścierką brud, na czworakach zmyła podłogę w obu gabinetach, potem przeszła do pokoju zabiegowego, na końcu do psiarni. Zwykle nie zatrzymywali zwierząt, ale teraz była u nich malutka Mruczka, którą doktor Jerry zabierał do domu, żeby karmić ją butelką, i tricolor, który pojawił się wczoraj ze sznurkiem zwisającym z odbytu. Operacja w trybie nagłym była zbyt droga dla opiekunów, ale doktor Jerry i tak ją przeprowadził, przez godzinę usuwając sznurek z jelit kota.

W telefonie włączył się alarm. Minęła godzina. Callie sprawdziła konto na Facebooku, potem przewinęła Twittera. Głównie obserwowała tych użytkowników, którzy poruszali tematy zwierzęce, na przykład opiekuna zwierząt w zoo w Nowej Zelandii zakreconego na punkcie diabłów tasmańskich czy pasjonata węgorzy, który opisał katastrofę, w jaką przemieniła się próba przeniesienia tych ryb ze Wschodniego Wybrzeża do Kalifornii, a zdarzyło się to w dziewiętnastym wieku.

Przewijanie wpisów zabrało jej piętnaście minut, potem sprawdziła terminarz doktora Jerry'ego. Tego popołudnia miał jeszcze czterech pacjentów. Poszła do kuchni i zrobiła mu kanapkę, a na brzeg talerzyka hojną ręką nasypała garść miniherbatników w kształcie zwierząt.

Zapukała do drzwi i weszła do gabinetu. Doktor Jerry leżał na kanapie z otwartymi ustami. Miał przekrzywione okulary, a rozłożona książka leżała na jego piersi grzbietem do góry. Były to *Sonety wszystkie* Williama Szekspira, prezent od zmarłej żony.

– Doktorze? – Delikatnie ścisnęła mu stopę.

Jak zwykle był lekko przestraszony i zdezorientowany na widok stojącej nad nim Callie. Zupełnie jak w *Dniu Świstaka*, ale wszyscy wiedzieli, że świstaki to okrutni mordercy.

Poprawił okulary i spojrzał na zegarek.

– Szybko minęło – skonstatował.

– Przygotowałam panu lunch.

– Wspaniale.

Z jękiem wstał z kanapy. Callie podtrzymała go, gdy zachwiał się niebezpiecznie.

– Miło się leniuchowało?

– Bardzo miło, ale miałem dziwny sen o żabnicy. Widziałaś ją kiedyś?

– Nie przypominam sobie.

– Bardzo się cieszę, bo żabnice żyją w najbardziej mrocznych i odosobnionych miejscach, i cieszę podwójnie, bo nie grzeszą urodą. – Przyłożył do ust zwiniętą dłoń, jakby miał zdradzić największy sekret. – Zwłaszcza panie.

Callie przysiadła na brzegu jego biurka.

– To ciekawe. Niech pan mówi.

– Samiec przez całe życie namierza samicę. Jak mówiłem, żyją w kompletnych ciemnościach, więc natura wyposażyła go w komórki węchowe wyczuwające żeńskie feromony. – Uniósł dłoń, zaznaczając, że robi dygresję. – Czy wspomniałem, że samica ma na głowie długi świecący wyrostek?

– Nie.

– Bioluminescencja. – Doktor Jerry wydawał się zachwycony tym słowem. – Więc kiedy nasz Romeo znajduje swoją Julię, w gryza się w nią tuż poniżej ogona. – Zilustrował to ruchami dłoni. – Samiec wydziela enzymy, które rozpuszczają jego szczękę i jej skórę, dzięki czemu stapiają się w jedno. A potem, i to jest najbardziej niesamowite, jego oczy i organy wewnętrzne zanikają, aż staje się tylko organem rozrodczym połączonym z samicą na resztę swojego żalosego życia.

Callie parsknęła śmiechem.

– Cholera, doktorze, to zupełnie jak mój pierwszy chłopak.

Doktor Jerry zawtórował jej śmiechem.

– Nie wiem, czemu o tym pomyślałem. Zabawne, jak działa jeden mały drink.

Mogłaby do końca życia zachodzić w głowę, czy żabnica nie posłużyła doktorowi Jerry'emu jako metafora tego, jak ona traktowała jego, ale on nie używał metafor, po prostu uwielbiał opowiadać o rybach.

Pomogła mu włożyć kitel.

– Mówiłem ci kiedyś, jak pojechałem z wizytą domową do młodego żarłacza tępogłowego, który żył w akwarium o pojemności siedemdziesięciu pięciu litrów?

– Och! Nie.

– Oczywiście właściciel był dentystą. Nieszczęsny naiwniak nie wiedział, z czym ma do czynienia.

Callie szła za nim korytarzem, słuchając wyjaśnienia słowa „żyworodny”. Pokierowała go do kuchni i tam dopilnowała, żeby umył po sobie talerz. Okruszki ciastek spadły na stół, gdy doktor opowiadał jej inną historię o innej rybie, a potem przerzucił się na opowieść o marmozetach. Callie zrozumiała już dawno temu, że doktor Jerry płaci jej bardziej za towarzystwo niż pracę w gabinecie. Zważywszy na to, za co inni mężczyźni jej płacili, była wdzięczna za tę odmianę.

Cztery popołudniowe wizyty przebiegły sprawnie. Doktor Jerry uwielbiał coroczne kontrole stanu zdrowia, ponieważ zwykle nie działo się nic niepokojącego. Callie ustaliła termin następnych wizyt, czyszczenia zębów i – ponieważ doktor uważał, że mówienie o wadze kobiety jest niestosowne – pouczyła opiekunów grubej jamniczki w kwestii ograniczeń żywieniowych. Na koniec dnia doktor chciał jej zapłacić, ale Callie przypomniała mu, że termin zapłaty przypada dopiero pod koniec następnego tygodnia.

W telefonie poszukała informacji o oznakach demencji. Jeśli z tym mierzył się doktor Jerry, to nie przeszkadzało to mu w pracy. Mógł nie pamiętać, jaki dziś dzień, ale w pamięci przeliczał proporcje elektrolitów, potasu czy magnezu w kroplówkach, czym bił na głowę większość ludzi.

Przewijała wpisy na Twitterze w drodze na przystanek autobusowy MARTA^[8]. Miłośnik historii węgorzy umilkł, opiekun z zoo na antypodach już spał, więc przerzuciła się na Facebooka.

Powołała do życia nie tylko psy potrzebujące dragów. Od dwa tysiące ósmego roku obserwowała bandę kretynów, z którymi chodziła

do liceum. Jej zdjęcie profilowe przedstawiało niebieskiego bojownika wspaniałego o imieniu Swim Shady.

Przewróciła oczami, czytając najnowsze wpisy sławetnej klasy z Lake Point rocznik dwa tysiące drugi. Narzekanie na zamknięcie szkół, szalone teorie spiskowe o istnieniu „głębokiego państwa”, niewiara w wirusa, wiara w wirusa, tyrady proszczepionkowe, tyrady antyszczepionkowe i – jakżeby inaczej – zwyczajowa dawka rasizmu, seksizmu i antysemityzmu zatruwająca media społecznościowe. Callie nie rozumiała krótkowzroczności Billa Gatesa, który dał ludziom łatwy dostęp do internetu, a dumnie odwdzięczyli mu się ujawnieniem jego nikczemnych planów wobec ludzkości.

Wsunęła telefon do kieszeni i usiadła na ławeczce na przystanku. Brudna wiata z pleksi była pomazana graffiti. W rogach walały się śmieci. Gabinet doktora Jerry’ego znajdował się w normalnej okolicy, ale to była jej subiektywna ocena. Sąsiadował z sex shopem, zamkniętym na czas pandemii, i salonem fryzjerskim. Callie była prawie pewna, że fryzjer przekształcił swój lokal w jaskinię hazardu. Kiedy widziała frajera, który z obłąkanym wzrokiem wymyka się tylnym wyjściem, odmawiała w myślach modlitwę dziękczynną, że nie została nałogową hazardzistką.

Mijająca przystanek śmieciarka wypuściła z rury wydechowej czarny dym, ciągnąc za sobą chmurę smrodu. Jeden z facetów wiszących na schodku z tyłu pomachał jej. Odmachnęła mu, ponieważ tak nakazywała uprzejmość, ale kiedy zaczął do niej machać jego kumpel, odwróciła głowę.

To nie mogło się dobrze skończyć. Szyja zemściła się za ten nieostrożny skręt nagłym zaciśnięciem mięśni. Callie namacała palcami długą bliznę, która biegła od podstawy czaszki w dół. Kręgi szyjne C1 i C2 odpowiadały za ruchy głową w przód, w tył i obrotowe. Callie

miała dwa pięciocentymetrowe pręty z tytanu, cztery śruby i trzpień, które tworzyły wokół tego miejsca rodzaj klatki. Fachowo operacja nazywała się laminektomią szyjną, ale powszechnie nazywano ją fuzją, ponieważ w rezultacie tego zabiegu pojawiała się kostne połączenie między kręgami.

Chociaż od operacji minęło dwadzieścia lat, ciągle męczyły ją nerwobóle. Pojawiały się nagle i wtedy drętwiała jej lewa ręka. Straciła prawie połowę ruchomości w kręgosłupie szyjnym. Mogła wprowadzić skinać i pokręcić głową, ale w ograniczonym zakresie. Kiedy wiązała buty, łatwiej jej było unieść stopę, niż się schylać. Po operacji nie była w stanie obejrzeć się za siebie. W ten sposób straciła bezpowrotnie szansę, by zostać bohaterką z okładki powieści rozgrywającej się w czasach wiktoriańskich.

Oparła się plecami o pleksiglas, żeby spojrzeć w niebo. Promienie zachodzącego słońca padły jej na twarz, powietrze było chłodne i rześkie. Obok przejeżdżały samochody, z pobliskiego placu zabaw dobiegał śmiech dzieci. Czuła w uszach regularny rytm bijącego serca.

Kobiety, z którymi chodziła do liceum, odwoziły teraz swoje dzieci na trening futbolu albo lekcje pianina. Pilnowały synów przy odrabianiu lekcji, wstrzymywały oddech, kiedy ich córki czirliderki ćwiczyły układy choreograficzne w ogrodzie za domem. Chodziły na zebrania, płaciły rachunki, pracowały i prowadziły normalne życie, nie podkradając leków dobremu staremu człowiekowi. Kości im nie dygotały, gdy ciało domagało się prochów, które prędzej czy później miały je zabić.

Wiele z nich utyło. Chociaż tyle.

Callie usłyszała syk hamulców pneumatycznych. Odwróciła się, żeby sprawdzić numer autobusu. Tym razem zrobiła to jak należy, czyli razem

z głową odwróciły się też ramiona. Mimo to palący ból przeszył jej ramię i szyję.

– Cholera!

To nie był jej autobus, ale zapłaciła cenę za tę wiedzę. Wstrzymała oddech, znowu oparła się o pleksi i powoli wypuściła powietrze przez zaciśnięte zęby. W lewej ręce nie miała czucia, za to szyja pulsowała jak nabrzmiały ropą czyrak. Skupiła się na sztyletach zanurzonych w mięśniach i nerwach. Ból też potrafił uzależniać. Żyła z nim tak długo, że kiedy myślała o swoim życiu sprzed bólu, widziała tylko krótkie rozbłyśki światła, gwiazdki z rzadka rozjaśniające mrok.

Wiedziała, że dawno temu był taki czas, kiedy tęskniła wyłącznie za przyływem endorfin wydzielających się podczas intensywnego biegu, szybkiej jazdy rowerem czy podczas układu skoków, którymi pokonywała salę gimnastyczną po przekątnej. Kiedy została czirliderką, wylatywała wysoko w powietrze, robiła obroty, salto w tył, salto w przód, wykop, arabeskę, igłę, skorpiona, wyciąganie pięty, łuk i strzałę, lądowanie z obrotem, przy którym tak kręciło się w głowie, że mogła liczyć tylko na cztery pary silnych ramion amortyzujących upadek.

Aż kiedyś coś poszło nie tak.

Ścisnęło ją w gardle. Znowu podniosła rękę i tym razem namacała jedną z czterech kościstych narośli otaczających jej głowę niczym punkty na kompasie. Chirurg umieścił w jej czaszce bolce, by podtrzymywały metalową ortezę typu halo podczas regeneracji szyi po operacji. Callie tak często dotykała tego miejsca nad uchem, że skóra tam zrogowaciała.

Otarła łzy z kącików oczu, położyła rękę na kolanie i zaczęła masować palce, starając się pobudzić receptory w opuszkach.

Rzadko pozwalała sobie na rozpamiętywanie straty. Według matki życiowa tragedia Callie polegała na tym, że była wystarczająco inteligentna, by zdawać sobie sprawę z własnej głupoty. Ta diagnoza nie ograniczała się wyłącznie do niej. Callie przez te wszystkie lata przekonała się, że większość ópunów rozumiała mechanizm nałogu równie dobrze, a może nawet lepiej niż wielu lekarzy.

Wiedziała na przykład, że w jej mózgu – jak w każdym innym – istnieje coś, co nazwano „receptorem opioidowym *mi*”. Receptory były rozmieszczone wzdłuż kręgosłupa i w innych miejscach, ale najwięcej mieściło się w mózgu. Ich zadanie polegało na kontrolowaniu ośrodka bólu i nagrody.

Przez szesnaście pierwszych lat życia jej receptory działały jak należy. Kiedy nabawiła się urazu kręgosłupa z naciągnięciem więzadeł albo skręciła kostkę, następował wyrzut endorfin do krwi i receptorów *mi*, które z kolei łagodziły ból. Niestety na krótko i za słabo. W szkole podstawowej Callie używała niesteroidowych leków przeciwzapalnych, takich jak advil czy motrin, by uzupełnić niedobór endorfin. Co działało. Do czasu.

Buddy zaznajomił ją z alkoholem, ale nawet w Lake Point mało kto sprzedaby dziecku butelkę tequili, a Buddy z oczywistego powodu nie mógł dostarczać jej procentów po czternastym roku życia. W wieku szesnastu lat złamała kręgi szyjne i zanim się zorientowała, była na najlepszej drodze do romansu z opioidami na całe życie.

Narkotyki powodowały wyrzut endorfin i były o niebo lepsze od niesteroidowych leków przeciwzapalnych i alkoholu, tyle że kiedy docierały do receptorów *mi*, to łatwo nie odpuszczały. Ciało reagowało na te bodźce, tworząc więcej receptorów *mi*, wtedy mózg przypominał sobie wspaniałe uczucie związane z zaspokojeniem receptorów *mi* i wysyłał impulsy, żeby to powtórzyć. Człowiek mógł oglądać telewizję,

czytać książkę albo rozmyślać nad sensem życia, ale receptory *mi* nie przestawały tupać małymi nóżkami, domagając się nakarmienia. Na tym polegał głód narkotykowy.

Jeśli człowiek nie był nakręcony sam z siebie albo nie miał żelaznej samokontroli na wzór Houdiniego, musiał ulec i nakarmić ten głód. Z czasem potrzebował coraz silniejszych narkotyków, żeby uszczęśliwić coraz więcej nowych receptorów: Więcej narkotyków. Więcej receptorów *mi*. Więcej narkotyków. Więcej receptorów. I tak dalej w nieskończoność.

Najgorsze działo się wtedy, gdy człowiek przestawał karmić swoje receptory, ponieważ mniej więcej po dwunastu godzinach brały ciało jako zakładnika. Żądanie okupu wyrażały jedynym zrozumiałym dla nich językiem: obezwładniającym bólem. To był symptom odstawienia. Czasem łatwiej było oglądać zdjęcia z sekcji zwłok, niż patrzeć na ćpuna w fazie odstawienia opioidów.

Matka słusznie skomentowała, że Callie doskonale zdawała sobie sprawę z tego, kiedy zrobiła pierwszy krok na drodze ku zmarnowaniu sobie życia. Wcale nie wtedy, gdy uderzyła głową w podłogę szkolnej sali gimnastycznej, łamiąc dwa kręgi szyjne. Doszło do tego, kiedy skończyła się jej pierwsza recepta na oksykodon, a ona zapytała znajomego narkomana na zajęciach z angielskiego, jak zdobyć więcej tego towaru.

Tragedia w jednym akcie.

Jej autobus zatrzymał się z piskiem opon na przystanku.

Wstając z ławeczki, jęknęła głośniejszym głosem niż doktor Jerry. Chore kolano. Chore plecy. Chora kobieta. Autobus był wypełniony w połowie. Niektórzy pasażerowie mieli na twarzy maseczki, a reszta pewnie uznała, że skoro ma gówniane życie, to po co opóźniać nieuniknione? Callie znalazła miejsce z przodu, gdzie siedziały stare kobiety

o skrzypiących kościach. Sprzątaczkę, pomoce domowe, kelnerki z wnukami na utrzymaniu obrzuciły ją nieufnym spojrzeniem, jakie mogłyby posłać komuś z rodziny, kto ukradł im książeczkę czekową o jeden raz za dużo. By oszczędzić wszystkim zakłopotania, Callie patrzyła przez okno na stacje benzynowe i warsztaty samochodowe, które ustępowały miejsca klubom nocnym i melinom.

Kiedy krajobraz za oknem sposepniał jeszcze bardziej, wyjęła telefon i znów zaczęła przeglądać hejterskie wpisy na Facebooku. Było coś irracjonalnego w tym ciągłym śledzeniu nowych wpisów durniów przed czterdziestką. Większość została w okolicy Lake Point. Kilkorgu nawet się powiodło, ale to było powodzenie na miarę Lake Point, normalni ludzie nie uznaliby tego za sukces. W szkole Callie nie przyjaźniła się z żadną z tych osób. Była najmniej popularną czirliderką w historii drużyny. Nawet szkolne dziwadła nie zaprosiły jej do swojego grona. Jeśli ktoś w ogóle ją kojarzył, to jako dziewczynę, która obsrała się na oczach całej szkoły. Callie do dziś pamiętała drętwienie rąk i nóg, i obrzydliwy smród, gdy jelita pozbyły się balastu, kiedy runęła na twardą podłogę sali gimnastycznej.

A wszystko dla sportu o prestiżu równym zawodom w turlaniu jajek.

Podjeżdżając na jej przystanek, autobus zadygotał jak chart wyścigowy. Callie próbowała wstać, ale kolano się zablokowało i musiała uderzyć je pięścią kilka razy, żeby zaskoczyło. Wsiadając, zrobiła w myślach przegląd prochów, które miała w plecaku. Tramadol, metadon, ketamina, buprenorfina. Wystarczy dodać to wszystko do pinty tequili, a może dostanie miejsce w pierwszym rzędzie i będzie mogła posłuchać, jak Kurt Cobain i Amy Winehouse mówią o Jimie Morrisonie, że bywa strasznym palantem.

– Ej, Cal! – Ćpun Sammy zamachał do niej szaleńczo z punktu obserwacyjnego na uszkodzonym leżaku. – Cal! Cal! Chodź tu!

Przeszła na skróty przez pustą parcelę i zbliżyła się do koczowiska Sammy'ego wyposażonego w leżak, przeciekający namiot i stos kartonów niewidomego przeznaczenia.

– Co jest? – zapytała.

– Twój kot, tak?

Callie ostrożnie skinęła głową.

– Przelatywał gołąb, a on... – Sammy zamachał rękami jak wariat. – Dorwał tego przekłętą latającego szczura w powietrzu i zżarł go na moich oczach. Kompletny odlot, mówię ci. Siedział tam i przeżuwał łeb tego gołębia przez pół godziny.

Callie uśmiechnęła się dumnie i zaczęła grzebać w plecaku.

– Podzielił się z tobą?

– Nie, tylko się gapił. Gapił się, Callie. Miał coś takiego w oczach... Ja wiem... Jakby chciał mi coś powiedzieć. – Sammy zarechotał. – Ha! Coś w stylu: nie pal cracku.

– Przykro mi. Koty bywają krytykanckie. – Callie wreszcie dokopała się do kanapki, którą zrobiła sobie na kolację. – Zjedz coś, zanim weźmiesz wieczorną działkę.

– Racja, racja. – Sammy wsunął kanapkę pod karton. – Ale jak myślisz, czy on chciał mi coś powiedzieć?

– Nie jestem pewna. Jak wiesz, koty wybrały milczenie z obawy, że każemy im płacić podatki.

– Ha! – Sammy wycelował w nią palec. – Kapusie kiepsko kończą! Ej, Callie, zaczekaj. Trap cię szuka, bo...

– Zjedz kanapkę – rzuciła na koniec i odeszła, bo Sammy mógł tak kłapać przez całą noc, i to bez cracku.

Skręciła za róg. Poczwała niepokój, bo wiadomość, że Trap jej szuka, zapowiadała kłopoty. Był uzależnionym od metamfetaminy piętnastolatkiem, który wcześniej ukończył szkołę z tytułem idioty. Na szczęście panicznie bał się swojej matki. Póki Wilma miała na niego oko, synuś kretyn chodził na krótkiej smyczy.

Mimo to przełożyła plecak na przód, gdy zbliżała się do motelu. Droga nie była nieprzyjemna, ponieważ świetnie ją znała. Wszędzie wokół były puste działki, porzucone domy, graffiti na kruszącym się murze oporowym z cegły, zużyte strzykawki na chodniku. Z przyzwyczajenia poszukała wzrokiem igieł nadających się jeszcze do wykorzystania. W plecaku miała swój stały zestaw, czyli etui po plastikowym zegarku ze Snoopym, wężyk, składaną łyżkę, pustą strzykawkę, trochę waty i zapalniczkę marki Zippo.

W zażywaniu heroiny najbardziej lubiła widowiskowość tego aktu, ten trzask zapalniczki i octowy zapach, który hera roztaczała, bulgocząc w rozgrzanej łyżce, i wciąganie brudnego brązowego płynu do strzykawki.

Callie pokręciła głową. Dopadły ją niebezpieczne myśli.

Szła zaśmieconą ścieżką na tyłach zamieszkanym domów. Poczwała zupełnie inną energię. Tutaj mieszkwały rodziny. Ludzie mieli otwarte okna. Grała głośna muzyka. Kobiety krzyczały na swoich partnerów. Mężczyźni krzyczeli na swoje partnerki. Dzieci biegały dookoła zraszaczy. Zupełnie jak w bogatych dzielnicach Atlanty, tyle że głośniejsze, ciasniej i mniej białe.

Między drzewami dostrzegła dwa radiowozy na drugim końcu ulicy. Nie zgarniali ludzi, po prostu czekali na zmierzch i wezwania: Narcan jako odtrutka dla jednego ćpuna, karetka dla drugiego, długie oczekiwanie na przyjazd koronera, opieka społeczna, kuratorzy sądowi, wydział do spraw weteranów, i to wszystko tylko w poniedziałkową noc.

W czasie pandemii wielu ludzi zwróciło się ku niedozwolonym środkom przynoszącym pocieszenie. Stracili pracę, zaczęło brakować na jedzenie, dzieci chodziły głodne, a statystyki przedawkowania i samobójstw wystrzeliły w górę. Politycy, którzy wyrażali głęboką troskę o zdrowie psychiczne obywateli podczas lockdownu, wykazywali szokującą niechęć do finansowania pomocy dla ludzi doprowadzonych na skraj szaleństwa.

Callie obserwowała wiewiórkę biegającą po słupie telefonicznym. Skręciła na drogę prowadzącą na tyły motelu. Jednopiętrowy budynek z betonowych pustaków stał za rzędem rachitycznych krzewów. Rozgarnęła gałęzie i weszła na popękany asfalt. Z kontenera na śmieci wydobywał się drażniący zapach. Omiotła wzrokiem otoczenie, upewniając się, że w pobliżu nie czai się Trap.

Wróciła myślami do zabójczego rogu obfitości prochów w plecaku. Spotkanie z Kurtem Cobainem byłoby super, ale już minęła jej chęć do autodestrukcji. A przynajmniej spadła do normalnego poziomu, przy którym dążenie do autodestrukcji nie prowadziło do pewnej śmierci, lecz zakładało jej ewentualność z możliwością odratowania, więc czemu nie spróbować pójść dalej, skoro policja zdąży na czas, prawda?

Dziś wieczorem pragnęła tylko wziąć długi prysznic i zwinąć się w kłębek na łóżku z kotem mordercą gołębia. Miała wystarczająco dużo metadonu, by przetrwać noc i rano zwlec się z łóżka. Mogła sprzedać towar jutro w drodze do pracy. Doktor Jerry chyba dostałby zawału, gdyby zjawiała się przed południem.

Uśmiechała się, skręcając za róg, ponieważ rzadko miała gotowy plan.

– Jak leci, laska? – Trap stał pod ścianą i jarał jointa. Zmierzył ją wzrokiem od stóp do głów, a ona przypomniała sobie, że ma do

czynienia z nastolatkiem o mózgu pięciolatka i przemocowym potencjale dorosłego mężczyzny. – Ktoś cię szuka.

Callie poczuła, że włoski na karku stają jej dęba. Przez większość dorosłego życia starała się, żeby nikt nigdy jej nie szukał.

– Kto?

– Biały koleś. W niezłej bryce. – Wzruszył ramionami, jakby tak lakoniczny opis miał wystarczyć. – Co masz w plecaku?

– Nie twój pieprzony interes. – Callie próbowała go wyminąć, ale złapał ją za ramię.

– No dawaj. Mama kazała mi odebrać.

Callie parsknęła śmiechem. Matka skopałaby mu jaja, gdyby podebrał jej działkę.

– Chodź, poszukamy Wilmy i zobaczymy, co powie.

Trap uciekł wzrokiem w bok. Tak przynajmniej pomyślała. Zorientowała się za późno, że daje znak komuś, kto stoi za nią. Zaczęła odwracać się całym ciałem, ponieważ nie mogła odwrócić tylko głowy.

Muskularne męskie przedramię zacisnęło się na jej szyi. Ból pojawił się w jednej chwili jak grom z jasnego nieba. Callie wychyliła się do tyłu, aż oparła się plecami o klatkę piersiową napastnika.

– Nie ruszaj się. – Poczowała w uchu jego gorący oddech.

Rozpoznała głos Diega, kumpla Trapa. Był takim samym ćpunem jak on. Wypalili już tyle metamfetaminy, że wypadały im zęby. Osobno byli uciążliwi, razem tworzyli duet potencjalnych gwałcicieli i morderców.

– Co masz, suko? – Diego mocniej ścisnął szyję Callie, a drugą rękę wsunął pod plecak i natrafił na jej pierś. – Te cycki są dla mnie, laska?

Lewe ramię Callie całkiem zdrętwiało. Czuła, że za chwilę czaszka jej pęknie u podstawy. Zamknęła oczy. Jeśli miała umrzeć, byłoby lepiej, gdyby to nastąpiło, zanim trzaśnie jej kręgosłup.

– I co tu mamy? – Trap był na tyle blisko, że poczuła smród jego psujących się zębów. Rozsunął zamek plecaka. – O kurde, laska, chowałaś całe...

Nagle usłyszeli charakterystyczne kliknięcie, a konkretniej, szcęk zamka w pistolecie kalibru dziewięć milimetrów.

Callie nie mogła otworzyć oczu. Mogła tylko czekać na kulkę.

– Coś ty, kurwa, za jedna? – zapytał Trap.

– Wkurwiona suka, która wpakuje ci kulkę w łeb, gnoju, jeśli się nie cofniecie.

Callie otworzyła oczy.

– Cześć, Harleigh.

[7] Karta EBT (Electronic Benefits Transfer Card) – elektroniczny transfer świadczeń, poprzez który wydziały opieki społecznej oferują pomoc potrzebującym za pośrednictwem zakodowanej magnetycznie karty płatniczej umożliwiającej na przykład zakup żywności. (Przyp. tłum.).

[8] MARTA – [od: Metropolitan Atlanta Rapid Transport Authority] to główny operator systemu linii autobusowych i kolejowych na obszarze metropolitalnym Atlanty. (Przyp. tłum.).

5

– Jezu, Callie.

Patrzyła, jak Leigh ze złością wyrzuca zawartość plecaka na łóżko. Strzykawki, tabletki, fiołki, tampony, żelki, długopisy, notes, dwie wypożyczone z biblioteki książki o sowach, przybornik ćpuna.

Zamiast pomstować na to znalezisko, Leigh rozejrzała się uważnie po obskurnym pokoju, jakby spodziewała się znaleźć zapas opium ukryty w ścianach z pustaków.

– A gdybym była policjantką? – zapytała. – Wiesz, że nie możesz mieć przy sobie takiej ilości.

Callie oparła się o ścianę. Przywykła do różnych wcieleń siostry – a miała ich więcej niż kot – ale jako kobieta celująca z pistoletu do dwóch nastoletnich ćpunów jeszcze jej się nie objawiła.

Trap i Diego powinni dziękować opatrności, że zamiast glocka nie miała przy sobie rolki folii spożywczej.

– Za handel prochami dostałabyś dożywocie – dodała Leigh.

Callie obrzuciła tęsknym spojrzeniem swój podręczny zestaw.

– Słyszałam, że uległym jest tam łatwiej.

Leigh okręciła się na pięcie i wzięła się pod boki. Drogi kostium i wysokie obcasy sprawiły, że jej obecność w tym nędznym motelu miała coś z komizmu. Dopełniał go naładowany pistolet wystający zza paska spódnicy.

– Gdzie twoja torebka? – zapytała Callie.

– W bagażniku auta.

Callie chciała jej uświadomić, że jako bogata biała kobieta zrobiła bardzo głupio, zostawiając torebkę w aucie, ale po przyduszeniu przez Diega czaszka ciągle jej pulsowała.

– Dobrze cię widzieć, Har.

Leigh przysunęła się, zajrzała Callie w oczy, sprawdzając jej źrenice, i spytała:

– Jak bardzo jesteś naćpana?

Za mało, pomyślała Callie, ale nie chciała zbyt szybko spławić siostry. Kiedy widziała ją ostatnio, przez dwa tygodnie dochodziła do siebie pod respiratorem w Grady Hospital.

– W tej chwili musisz być czysta – powiedziała Leigh.

– To lepiej się pospiesz.

Leigh skrzyżowała ramiona na piersi. Najwyraźniej miała coś do powiedzenia, ale nie była jeszcze gotowa.

– Jadłaś coś? Jesteś za chuda.

– Kobieta nigdy nie jest...

– Cal. – Niepokój Leigh zadziałał jak zimny prysznic. – Nic ci nie jest?

– Jak twoja żabnica? – Callie ubawiła dezorientacja na twarzy siostry. Był powód, dla którego szkolne dziwaki nie chciały towarzystwa najmniej popularnej czirliderki przy stole w stołówce. – Walter – dopowiedziała. – Co u niego?

– Wszystko dobrze. – Z twarzy Leigh zniknęła surowość. Opuściła ręce wzdłuż tułowia. Tylko trzy osoby na świecie widywały ją

rozluźnioną. Leigh bez zachęty ze strony Callie wymieniła tę trzecią: – Maddy nadal z nim mieszka, żeby mogła chodzić do szkoły.

Callie potarła ramię, próbując przywrócić w nim czucie.

– Wiem, że to dla ciebie trudne.

– Cóż, wszystko jest trudne. – Leigh zaczęła chodzić po pokoju zupełnie jak mała, która nakręca się waleniem w cymbały. – Szkoła właśnie przysłała maila, że jakaś matka idiotka urządziła w ostatni weekend przyjęcie, które okazało się rozsadnikiem zarazy. Na razie sześcioro dzieci ma wynik pozytywny. Cała klasa ma naukę zdalną przez dwa tygodnie.

Callie zaśmiała się, ale nie z matki idiotki. Świat Leigh był niczym Mars w porównaniu z jej światem.

– Twój? – Leigh skinieniem głowy wskazała okno.

Callie uśmiechnęła się do sprężystego czarnego kota na parapecie. Binx leniwie rozciągał grzbiet.

– Dzisiaj złapał gołębia.

Leigh najwyraźniej miała to gdzieś, ale próbowała dalej:

– Jak się wabi?

– Pieprzona Suka. – Callie uśmiechnęła się na widok zaskoczonej miny siostry. – W skrócie Psuka.

– Czy to nie imię dziewczynki?

– Jego płęć jest płynna.

Leigh zacisnęła wargi. Nie przyjechała z wizytą towarzyską. Kiedy udzielała się towarzysko, chodziła na eleganckie przyjęcia z innymi prawnikami, lekarzami i Susłem śpiącym między Szalonym Kapelusznikiem a Marcowym Zającem.

Zjawiała się wtedy, kiedy działo się coś naprawdę złego, czyli spodziewany nakaz aresztowania, wizyta w więzieniu okręgowym lub zbliżająca się sprawa sądowa. A także pozytywny wynik testu na covid, kiedy jedyną zbędną osobą, która mogła opiekować się nią do czasu powrotu do zdrowia, była jej młodsza siostra.

Callie przebiegła myślą wszystkie swoje ostatnie występki. Może wpadła w kłopoty przez ten głupi mandat za przechodzenie na czerwonym świetle. A może Leigh dostała cynk od jednego ze swoich informatorów, że doktor Jerry stał się obiektem zainteresowania agentów DEA. Albo – co najbardziej prawdopodobne – jeden z kretynów, którym sprzedawała prochy, zmienił front, żeby uchronić swój żaloszny tyłek przed więzieniem.

Pieprzone ćpuny.

– Kto mnie ściga? – zapytała.

Leigh pokręciła palcem w powietrzu. Ściany były cienkie i ktoś mógł je usłyszeć.

Callie przytuliła Binxa. Obie wiedziały, że pewnego dnia wpakuje się w kłopoty, z których nawet starsza siostra nie zdoła jej wyciągnąć.

– Chodź – powiedziała Leigh. – Jedziemy.

Nie mówiła o przechadzce wokół motelu. Miała na myśli spakowanie maneli, wzięcie kota i pójsie do auta.

Callie zaczęła zbierać ubrania, a Leigh przepakowywać jej plecak. Callie wiedziała, że będzie jej brakowało narzuty i kwiecistego koca, ale nie pierwszy raz porzucała miejsce zamieszkania. Zwykle zastępcy szeryfa czekali na zewnątrz z nakazem eksmisji. Potrzebowała bielizny, mnóstwa skarpetek, dwóch czystych koszulek i pary dżinsów. Jedyną parę butów miała akurat na nogach. Więcej koszulek zawsze można

dokupić w szmateksie. Koce dawali w schronisku, ale tam nie mogła zostać, bo nie przyjmowali ze zwierzętami.

Zdjęła poszewkę z poduszki i włożyła do niej swój skromny dobytek. Dodała jedzenie dla Binxa, jego różową mysz zabawkę i tanią plastikową hawajską girlandę, którą lubił włożyć dookoła, gdy robił się kochliwy.

– Gotowa? – Leigh zarzuciła plecak na ramię.

Była prawniczką, więc Callie nie tłumaczyła, co mogła oznaczać broń i taka ilość prochów, bo jej siostra wywalczyła sobie miejsce w elitarnym świecie, gdzie zasady były negocjowalne.

– Jeszcze chwila. – Callie stopą wygarnęła spod łóżka transporter Binxa. Kot zeszywniał, ale nie protestował, gdy wsadzała go do środka. To nie była pierwsza eksmisja w jego kocim życiu. – Gotowa – oznajmiła.

Wyszła pierwsza, Leigh za nią. Binx zaczął prychać, kiedy Callie postawiła transporter na tylnym siedzeniu auta i zapięła go pasami. Potem usiadła na przednim siedzeniu i zapięła pas, uważnie obserwując siostrę. Leigh zawsze panowała nad sobą, ale nawet sposób, w jaki przekręciła kluczyk w stacyjce, wskazywał, że coś jest nie tak. Leigh panikowała, co martwiło Callie, bo siostra nigdy nie panikowała.

Handel prochami.

Każdy ćpun z konieczności znał się trochę na prawie. W Georgii za handel groziła bezwzględna kara więzienia, a wyrok zależał od wagi towaru. Dwadzieścia osiem lub więcej gramów kokainy – dziesięć lat. Dwadzieścia osiem lub więcej gramów opiatów – dwadzieścia pięć lat. Każda ilość powyżej czterystu gramów metamfetaminy – dwadzieścia pięć lat.

Callie próbowała liczyć w pamięci, podzielić klientów, którzy mogli sypnąć, przez uncje czy gramy, które sprzedała przez kilka ostatnich miesięcy, ale bez względu na metodę przeliczania, licznik pokazywał ciągle to samo: przerąbane.

Z parkingu przed motelem Leigh od razu skręciła w prawo i wyjechała na ulicę. Minęły dwa radiowozy. Gliniarze rzucili tylko okiem na przejeżdżające audi. Pewnie uznali, że dwie kobiety szukają naćpanego dzieciaka którejś z nich albo towaru dla siebie.

Milczały. Leigh wyjechała na główną drogę i minęła przystanek autobusowy, z którego stale korzystała jej siostra. Wypasione auto gładko pokonywało wyboisty asfalt. Callie przywykła do podskoków i szarpnięć w komunikacji publicznej. Próbowała sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz jechała samochodem. To chyba było wtedy, kiedy Leigh wiozła ją do domu ze szpitala Grady. Miała wracać do zdrowia w bajecznie drogim apartamencie siostry, ale przed wschodem słońca wylądowała na ulicy z igłą w żyle.

Pomasowała palce. W niektórych wracało czucie, ale towarzyszyło temu nieprzyjemne wrażenie, jakby ktoś drapał ją igłami. Przyjrzała się wyrazistemu profilowi siostry. Duże pieniądze spowalniały upływ czasu i pozwalały zachować młody wygląd. Siłownia w budynku. Lekarz na telefon. Konto emerytalne. Wakacyjne wyjazdy. Wolne weekendy. Callie uważała, że jej siostra zasługuje na wszystkie luksusy, które sobie sprawia, bo nie dostała takiego życia na srebrnej tacy. Wdrapała się na szczyt po szczeblach drabiny społecznej. Uczyła się więcej, pracowała ciężiej, wiele poświęcała, żeby zapewnić sobie i Maddy możliwie najlepsze życie.

Jeśli nieszczęściem Callie był wysoki poziom samoświadomości, to nieszczęściem Leigh było głębokie przeświadczenie, że istnieje jakaś

zależność między jej dobrym życiem a bezgranicznym cierpieniem siostry.

– Jesteś głodna? – zapytała. – Musisz jeść.

Nawet nie czekała na odpowiedź. Teraz działały w trybie starsza siostra/młodsza siostra. Leigh podjechała pod McDonalda. Nie konsultowała z Callie zamówienia w punkcie drive-thru, chociaż Callie uznała, że kanapka rybna jest dla Binx. Nie zamieniły ani słowa, gdy samochód toczył się wolno w stronę okienka. Z konsoli między siedzeniami Leigh wyjęła maseczkę, podała pieniądze, odebrała torby z jedzeniem i napojami, podała je Callie. Zdjęła maseczkę i ruszyła dalej.

Callie nie wiedziała, co robić, więc zajęła się przygotowaniem jedzenia. Owinęła Big Maca serwetką i podała go siostrze. Dla siebie wzięła podwójnego cheeseburgera. Binx musiał się zadowolić dwiema frytkami. Na pewno wolałby kanapkę rybną, ale Callie nie była pewna, czy doczyściłaby ślady po kocich wymiocinach z kontrastowych przeszyć na eleganckich skórzanych fotelach.

– Frytki? – zaproponowała.

Leigh pokręciła głową.

– Są dla ciebie. Jesteś za chuda, Cal. Musisz na jakiś czas przestać brać.

Doceniła, że Leigh już nie mówi o całkowitym odstawieniu prochów. Wyrzuciła w błoto dziesiątki tysięcy dolarów na jej odwyki i niezliczonych terapeutów, ale ich życie stało się o niebo łatwiejsze, odkąd zaczęła godzić się z faktami.

– Jedz – ponagliła siostrę.

Callie spojrzała na hamburgera leżącego na jej kolanach. Żołądek podszedł jej do gardła. Nie było sposobu, żeby powiedzieć Leigh, przez co naprawdę chudnie. Po covidzie nie odzyskała apetytu i każdego dnia

zmuszała się do jedzenia. Nie chciała dokładać siostrze ciężaru poczucia winy, którego nie powinna dźwigać.

– Callie? – Leigh posłała jej kolejne groźne spojrzenie. – Zjesz to wreszcie czy mam cię nakarmić siłą?

Z trudem przełknęła resztę frytek. Zjadła dokładnie połowę hamburgera. Dopijała colę, gdy audi w końcu stanęło.

Callie rozejrzała się dokoła. Jej żołądek natychmiast zaczął szukać sposobu pozbycia się balastu. Były w mieszkalnej części Lake Point, w miejscu, do którego zabierała ją Leigh, kiedy chciały uciec od matki. Jednak Callie unikała tej okolicy od dwudziestu lat. Wracając z gabinetu doktora Jerry’ego, wybierała dłuższą trasę autobusową, byle nie widzieć przygnębiających parterowych domów z wąskimi wiatami dla aut i zaniedbanymi ogródkami od frontu.

Leigh nie wyłączyła silnika, żeby mogła działać klimatyzacja. Odwróciła się do siostry, opierając się plecami o drzwi, i oznajmiła:

– Trevor i Linda Walescy byli w moim biurze wczoraj wieczorem.

Callie zadrżała. Nie dopuszczała do siebie sensu słów Leigh, ale na horyzoncie zamajaczyła ciemność, a z zakamarków pamięci wyłonił się obraz rozdrażnionego goryla, który chodził w tę i z powrotem i wypełniał jej wspomnienia. Krótki tułów, bary tak umięśnione, że ręce odstawały od korpusu, dłonie wiecznie zaciśnięte w pięści. Otaczała go aura bezlitosnego skurwysyna. Na jego widok ludzie na ulicy skręcali w przeciwnym kierunku.

„Chodź na kanapę, lalczko. Taki jestem napalony, że nie wytrzymam”.

– Jak Linda? – zapytała Callie.

– Jest obrzydliwie bogata.

Callie spojrzała przez okno. Zamgliło jej wzrok. Zobaczyła, że goryl odwraca się rozsierdzony i patrzy gniewnie wprost na nią.

– Czyli nie potrzebowali forsy Buddy’ego – powiedziała.

– Cal – odezwała się Leigh ponaglająco. – Przepraszam, ale musisz mnie słuchać.

– Słucham.

Nie uwierzyła w tę deklarację, ale nie miała wyjścia, musiała mówić dalej:

– Trevor używa teraz imienia Andrew. Zmienili nazwisko na Tenant po... zniknięciu Buddy’ego.

Callie zobaczyła, że goryl rusza w jej kierunku. Ślina leciała mu z ust. Nozdrza były rozszerzone. Potężne ramiona powędrowały w górę. Skoczył na nią z wyszczerzonymi zębami. Cuchnął tanimi cygarami, whisky i seksem.

– Cal. – Leigh ścisnęła ją za rękę tak mocno, że aż przemieściła jej kości. – Wszystko dobrze.

Callie zamknęła oczy. Goryl wrócił na swoje miejsce za horyzontem. Mlasnęła ustami. Nigdy wcześniej tak bardzo nie chciała dać sobie w żyłę jak w tej chwili.

– Ej. – Leigh zwiększyła siłę uścisku. – On już nie może cię skrzywdzić.

Callie skinęła głową. Bolało ją gardło. Próbowwała przypomnieć sobie, ile tygodni, a może miesięcy trwało, zanim mogła przełykać bez bólu po tym, jak Buddy próbował ją udusić.

„Ty szmato, powiedziała matka dzień później. Nie wychowałam cię po to, żeby jakaś głupia pinda kopała cię w tyłek na placu zabaw”.

– Masz. – Leigh puściła jej rękę, odwróciła się, otworzyła transporter, wyjęła Binxa i położyła go na kolanach siostry. – Mam przestać gadać?

Callie przytuliła Binxa. Zamruczał, przyciskając czubek łebka do jej podbródka. Bliskość zwierzęcia przyniosła jej ukojenie. Chciała, żeby Leigh zamilkła, ale z drugiej strony wiedziała, że uciekając przed prawdą, tylko zrzuci na siostrę większe brzemie.

– Czy Trevor wygląda jak on? – zapytała.

– Wygląda jak Linda. – Leigh umilkła, czekając na następne pytanie. To nie była prawnicza taktyka, którą przyswoiła sobie na sali sądowej. Leigh zawsze sączyła prawdę. Przekazywała informacje powoli, żeby siostra nie ześwirowała i nie przedawkowała gdzieś w bocznej uliczce.

Callie przycisnęła usta do czubka głowy Binxa, jak to zwykła robić z Trevorem.

– Jak cię znaleźli?

– Pamiętasz ten artykuł w gazecie?

– O sikaczu. Tak. – Była wtedy dumna, że napisali o jej starszej siostrze. – Czemu potrzebuje adwokata?

– Bo jest oskarżony o zgwałcenie kobiety. Kilku kobiet.

Callie nie była zaskoczona. Często obserwowала, jak Trevor bada grunt, przesuwa granice, sprawdza, jak daleko może się posunąć. Zupełnie jak ojciec.

– Więc jednak jest podobny do Buddy'ego.

– On chyba wie, co zrobiliśmy, Cal.

Poczuła, jakby dostała obuchem w głowę. Otworzyła usta, ale nie wydobyła z siebie głosu. Binxa rozdrażnił nagły brak uwagi. Skoczył na deskę rozdzielczą i zainteresował się widokiem za szybą.

– Andrew wie, co zrobiliśmy jego ojcu – powtórzyła Leigh.

Chłodne klimatyzowane powietrze wdarło się do płuc Callie. Nie było ucieczki przed tą rozmową. Nie mogąc odwrócić głowy, odwróciła całe ciało i oparła się plecami o drzwi jak siostra.

– Trevor spał. Obie sprawdziliśmy.

– Wiem.

– Hm – mruknęła Callie. Robiła to zawsze, gdy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Cal, nie musisz tu być. Mogę cię zabrać do...

– Nie. – Nie znosiła, gdy próbowano ją uspokoić, wyciszyć, chociaż w tej chwili bardzo tego potrzebowała. – Harleigh, proszę, powiedz mi, co się stało. Niczego nie ukrywaj. Muszę wiedzieć.

Leigh miała wyraźne opory. Fakt, że nie wykręcała się, nie kazała Callie zapomnieć o wszystkim i jak zawsze brała na siebie odpowiedzialność, budził strach.

Zaczęła od początku, czyli od spotkania w gabinecie szefa wczoraj wieczorem. I od odkrycia, że Andrew i Linda Tenantowie są duchami z przeszłości. Opowiedziała o dziewczynie Trevora, o prywatnym detektywie Reggie'em Paltzu, który znalazł się za blisko, o kłamstwach o życiu Callie w Iowa. Sprecyzowała zarzuty wobec Andrew, powiedziała o podejrzeniach w sprawie innych ofiar. Kiedy przeszła do noża, którym zadano ranę tuż powyżej tętnicy udowej, Callie otworzyła szeroko usta.

– Chwila. Powtórz jeszcze raz. Co dokładnie powiedział Trevor?

– Andrew – poprawiła ją Leigh. – To już nie Trevor, Callie. Nie chodzi o to, co powiedział, ale jak. Wie, że jego ojciec został zamordowany. Wie, że uszło nam to na sucho.

– Ale... – Callie próbowała uporządkować w myślach wszystko, co usłyszała. – Trev... znaczy Andrew tak samo rani swoje ofiary nożem, jak ja zabiłam Buddy'ego?

– Nie zabiłaś go.

– Jasne, kurwa, Leigh. – Nie mogła znowu zaczynać tej głupiej kłótni. – Ty go zabiłaś po mnie. To nie zawody. Obie go zabiłyśmy. Obie pocięłyśmy go na kawałki.

Leigh milczała. Dawała siostrze przestrzeń, ale ona jej nie potrzebowała.

– Harleigh, jeśli znaleźli ciało, za późno na stwierdzenie przyczyny śmierci. Przez tyle lat wszystkie ślady zniknęły, bo zostały kości. Nawet nie wszystkie, tylko porozrzucone szczątki.

Leigh skinęła głową. Sama już o tym myślała.

Callie zaczęła rozważać kolejne możliwości:

– Szukałyśmy innych kamer i kaset, szukałyśmy wszędzie, prawda? Wyczyściłyśmy nóż i odłożyłyśmy do szuflady, a ja opiekowałam się Trevorem jeszcze przez miesiąc, póki wreszcie nie wyjechali. Używałam tego noża najczęściej, jak mogłam. Niemożliwe, żeby go powiązać z tym, co zrobiliśmy.

– Nie powiem ci, skąd Andrew wie o nożu i ranie na nodze Buddy'ego. Wiem tylko, że wie.

Callie musiała wrócić pamięcią do tamtej nocy, chociaż dotąd, z oczywistej konieczności, robiła wszystko, żeby wyprzeć ją z pamięci. Przejrzała sekwencję zdarzeń w przyspieszonym tempie, nie zatrzymując się nad żadną sceną. Ludzie myślą, że historia jest jak książka mająca początek, środek i koniec. Ale nie jest tak. Prawdziwe życie to ten środek.

– Przewróciliśmy dom do góry nogami – przypomniała siostrze.

– Wiem.

– Więc skąd on... – Callie znów powędrowała do przeszłości, tym razem wolniej. – Odczekałaś sześć dni, zanim wyjechałaś do Chicago. Rozmawialiśmy przy nim? Powiedziałyśmy coś mimochodem?

– Nie sądzę, ale...

Callie wiedziała, co Leigh ma na myśli. Obie były w szoku. Obie były jeszcze nastolatkami. Żadna nie była geniuszem zbrodni. Ich matka domyśliła się, że zaszło coś złego, ale zakomunikowała im tylko:

„Nie wciągajcie mnie w żadne swoje podejrzone sprawy, bo wepchnę was pod pierwszy przejeżdżający autobus”.

– Nie wiem, gdzie popełniłyśmy błąd, ale jakiś popełniłyśmy – stwierdziła Leigh.

Patrząc na nią, Callie widziała, że cokolwiek to było, Leigh obciąża tym siebie, dokładając sobie ciężaru.

– Co dokładnie powiedział Andrew?

Leigh pokręciła głową, ale zawsze miała świetną pamięć.

– Zapytał, czy potrafiłabym popełnić przestępstwo, które zniszczyłoby czyjeś życie. A także to, czy wiedziałabym, co zrobić, żeby morderstwo z zimną krwią uszło mi na sucho. – Gdy Callie przygryzła dolną wargę, dodała: – A na koniec powiedział, że dzisiaj jest inaczej niż w czasach naszego dzieciństwa. Z powodu kamer.

– Kamer? – powtórzyła Callie. – Powiedział: kamer?

– Powtórzył to kilka razy. Że kamery są wszędzie: w dzwoneczkach do drzwi, w domach, na ulicach. Gdzie się ruszyć, wszędzie nas nagrywają.

– Nie przeszukałyśmy pokoju Andrew – stwierdziła Callie. To było jedyne miejsce, którego nie wzięły pod uwagę. Buddy prawie nie rozmawiał z synem, tak naprawdę nie chciał mieć z nim nic wspólnego. – Andrew ciągle podkradał różne rzeczy. Może była inna kasetka?

Leigh skinęła głową. Już wzięła pod uwagę tę ewentualność.

Callie poczuła, że policzki jej pąsowieją. Kiedy to się stało, Andrew miał dziesięć lat. Czyżby znalazł kasetę? Oglądał, jak ojciec posuwa ją na wszystkie możliwe sposoby? Dlatego miał obsesję na jej punkcie?

Dlatego gwałcił kobiety?

– Harleigh, weź to na logikę. Jeśli Andrew ma kasetę, to z nagrania wynika tylko to, że jego ojciec był pedofilem. Nie chciałby, żeby to wyszło na jaw. – Musiała opanować drżenie. Ona też tego nie chciała. – Myślisz, że Linda o tym wie?

– Nie. – Leigh potrząsnęła zdecydowanie głową, choć żadnej pewności nie miała.

Callie przyłożyła dłonie do rozpalonych policzków. Gdyby Linda wiedziała, byłaby skończona. Zawsze ją uwielbiała, niemal czciła za jej stałość i szczerść. Wtedy nawet przez myśl jej nie przeszło, że ją zdradza z jej mężem. W swojej pokręconej głowie widziała w Lindzie i Buddym rodziców zastępczych.

Coś jej zaświtało, jakaś mglista myśl.

– Zanim Andrew zaczął gadać o kamerach, czy pytał cię o cokolwiek z tamtej nocy albo okresu poprzedzającego zniknięcie Buddy'ego?

– Nie. Jak mówiłaś, nawet gdyby miał kasetę, nagranie nie pokazuje, jak zginął Buddy. Skąd Andrew wie o nożu? I o ranie na nodze?

Callie patrzyła, jak Binx wylizuje sobie łapkę. Nie miała zielonego pojęcia.

Może jednak...

– Po tym wszystkim zajrzałam do... – zaczęła. – Przeglądałam jeden z podręczników Lindy do anatomii. Chciałam wiedzieć, jak to się stało. Andrew mógł się zorientować, co mnie tak bardzo interesuje.

Leigh powątpiewała, chociaż nie chciała przyznać tego głośno.

– To możliwe.

Callie przycisnęła palce do oczu. Jej szyja pulsowała z bólu. W ręce ciągle czuła mrowienie. Goryl czał się w oddali.

– Jak często tam zaglądałaś? – zapytała Leigh.

Callie ujrzała pod powiekami tę scenę. Otwarty podręcznik na kuchennym stole Waleskich. Ilustracja przedstawiająca ciało ludzkie. Tyle razy wodziła palcem wzdłuż tętnicy udowej, że czerwona linia wyblakła i zmieniła kolor na różowy. Czy Andrew to zauważył? Czy dostrzegł jej obsesyjne zachowanie i poskładał wszystko w całość?

A może podsłuchał gorącą wymianę zdań między nią a Leigh? Często kłóciły się, co zrobić z Buddym, zastanawiały się, czy ich plan zadziałał, analizowały historyjki opowiedziane glinom i opiece społecznej, rozważały, co zrobić z pieniędzmi. Andrew mógł chować się po kątach, słuchać i zapisywać. Mały gnojek zawsze lubił się skradać, wyskakiwać zza pleców Callie i straszyć ją, podbierać jej długopisy i książki, terroryzować rybki w akwarium.

Każdy z tych scenariuszy wchodził w rachubę. I każdy prowokował jedną odpowiedź Leigh:

„To moja wina. To moja wina”.

– Cal?

Callie otworzyła oczy. Miała tylko jedno pytanie:

– Czemu tak cię to rusza, Leigh? Andrew nie ma żadnego dowodu. Gdyby miał, poszedłby na policję.

– To sadystyczny gwałciciel. Prowadzi grę.

– I co z tego? Ogarnij się, Leigh. – Callie rozłożyła ramiona. Tak to działało. W konkretnej chwili tylko jedna z nich mogła się rozklejać. – Nie możesz pogrywać z kimś, kto nie podejmie wyzwania. Czemu pozwalasz temu świrovi sobą manipulować? On gównu ma.

Leigh nie odpowiedziała, ale ciągle była poruszona. Łzy napłynęły jej do oczu, pobladła. Callie zauważyła drobinę zaschniętych wymiocin na kołnierzyku bluzki. Siostra zawsze miała słaby żołądek. Na tym polegał problem, kiedy się miało dobre życie. Człowiek nie chciał go stracić.

– Co zawsze mi powtarzałaś? – ciągnęła Callie. – Trzymaj się naszej wersji. Buddy wrócił do domu. Był przerażony, bo ktoś groził mu śmiercią, ale nie zdradził kto. Zadzwoiłam do ciebie. Przyjechałaś po mnie. Żył, kiedy wychodziłyśmy. Mama mnie stłukła. I tyle.

– Opieka – odezwała się w końcu Leigh. – Kiedy do domu przyjechała kobieta z opieki społecznej, zrobiła ci zdjęcia?

– Ledwie spisała jakiś raport. – Callie nie pamiętała, jak było, ale znała, obie znały, zasady działania tego systemu. – Harleigh, użyj mózgu. Nie mieszkaliśmy w Beverly Hills, 90210. Byłam tylko jednym z wielu dzieciaków, które obrywały od pijanej matki.

– Mimo to raport może gdzieś być. Administracja niczego nie wyrzuca.

– Wątpię, żeby ta suka wypełniła coś oficjalnie. Kobiety z opieki społecznej panicznie bały się mamy. Kiedy gliny pytały mnie o zniknięcie Buddy'ego, nie zająknęły się słowem na temat mojego

wyglądu. Serio, ani razu o to nie zapytali. Linda dała mi antybiotyki i nastawiła nos, ale też nie zapytała. Nikt nie zgłosił tego do opieki społecznej. W szkole też wszyscy milczeli.

– Ten dupek Patterson raczej nie bronił dzieciaków.

Poczucie upokorzenia porwało Callie jak fala przypływu i rzuciło nią o brzeg. Choć minęło już tyle lat, wciąż nie dawała jej spokoju myśl, ilu mężczyzn widziało, co robiła z Buddym.

– Przepraszam, Cal. Tego nie powinnam mówić.

Callie patrzyła, jak Leigh szuka chusteczki w torebce. Pamiętała czasy, kiedy starsza siostra snuła mordercze plany i spiski przeciw mężczyznom, którzy oglądali, jak jeden z nich plugawi Callie. Leigh była gotowa zmarnować sobie życie dla zemsty. Jedyne, co ją powstrzymało, to lęk przed utratą Maddy.

– To nie twoja wina – powiedziała Callie. Zawsze to powtarzała.

– Nie powinnam wyjeżdżać do Chicago. Mogłam...

– Utknąć w Lake Point i wylądować w rynsztoku jak reszta? – Nie dopuściła siostry do głosu. Obie wiedziały, że Leigh skończyłaby jako kierowniczka w Taco Bell albo sprzedawczyni pojemników Tupperware dorabiająca na boku prowadzeniem księgowości. – Gdybyś tu została, nie poszłabyś do college’u. Nie zostałabyś prawniczką. Nie miałabyś Waltera. I na pewno nie miałabyś...

– Maddy. – Z oczu Leigh poleciały łzy. Zawsze była płaksą. – Cal, tak mi...

Callie machnęła ręką. Nie powinny po raz kolejny się spierać o „to moja wina/to nie twoja wina”.

– Przypuśćmy, że opieka społeczna ma raport albo gliniarze umieścili w swoich notatkach, że byłam w złym stanie. Gdzie są teraz te

dokumenty?

Leigh zacisnęła usta. Ciągłe walczyła z poczuciem winy, ale starała się opanować.

– Policjanci pewnie odeszli już na emeryturę albo awansowali. Jeśli w oficjalnych raportach nie napisali o przemocy, to mogą coś mieć w osobistych zapiskach, które leżą w jakimś pudle, pewnie na strychu.

– Dobrze, pomyślmy. – Callie milczała przez chwilę. – Jestem Reggie, prywatny detektyw, którego wynajął Andrew, i drążę sprawę prawdopodobnego morderstwa sprzed dwudziestu trzech lat. Chcę zajrzeć do raportów policyjnych i materiałów opieki społecznej na temat dzieci, które były wtedy w domu. Co dalej?

Leigh westchnęła. Nadal nie mogła się skupić.

– Żeby zajrzeć do dokumentacji opieki społecznej, trzeba złożyć wniosek, powołując się na prawo dostępu do informacji.

– A potem?

– Ugoda sądowa w sprawie Kenny’ego A. przeciwko Sonny’emu Perdue obowiązuje od dwa tysiące piątego roku. – Prawniczy umysł Leigh wreszcie doszedł do głosu. – To dość skomplikowane, ale zasadniczo chodzi o to, że na mocy tej ugody hrabstwa Fulton i DeKalb musiały skończyć z wypinaniem się na dzieci w systemie opieki. Przez trzy lata procesu w sprawie reformy opieki instytucjonalnej dochodzili do porozumienia, ale przed wprowadzeniem tej ugody w życie niby przypadkiem zniknęło wiele obciążających dokumentów i akt.

Callie musiała założyć, że wszelkie raporty o jej pobiciu przepadły podczas tuszowania zaniechań.

– A gliny?

– Trzeba złożyć wniosek o dostęp do ich oficjalnych dokumentów oraz nakaz sądowy o dostęp do notatek – powiedziała Leigh. – Nawet jeśli Reggie próbował to jakoś obejść i zapukał do drzwi policjantów, pewnie przestraszyli się, że zostaną pozwani, jeśli odnotowali przemoc, ale nie poszli tym tropem. Zwłaszcza jeśli to ma jakiś związek ze sprawą morderstwa.

– Więc gliniarze też niczego nie znajdą. – Callie pomyślała o dwóch funkcjonariuszach, którzy ją przesłuchiwali. Był to kolejny przypadek, kiedy mężczyźni milczeli, kryjąc innych mężczyzn. – Czyli chcesz powiedzieć, że o to nie musimy się martwić?

– Może – odpowiedziała Leigh wymijająco.

– Powiedz, co mam zrobić.

– Nic – odparła Leigh, ale jak zawsze miała plan. – Wywiozę cię do innego stanu. Możesz zostać w... Sama nie wiem. Tennessee. Iowa. Wszystko jedno, tam, gdzie zechcesz.

– Zakichana Iowa? Nie mogłaś wymyślić dla mnie lepszego zajęcia niż dojenie krów? – Callie usiłowała rozluźnić atmosferę.

– Uwielbiasz krowy.

Leigh miała rację. Krowy są urocze. Istniała alternatywna Callie, która chętnie zostałaby farmerką... lekarką weterynarii... śmieciarzem. No, kimkolwiek, byle nie durną ćpunką złodziejką.

Leigh odetchnęła głęboko.

– Przepraszam za to moje rozedrganie. To nie twój problem.

– Wal się. Daj spokój, Leigh, jedziemy na tym samym wózku. Poprzednio nas z tego wyciągnęłaś, teraz też nas wyciągnij.

– Nie wiem. Andrew nie jest już dzieckiem. To psychopata. W jednej chwili wygląda i zachowuje się normalnie, w drugiej czujesz, jak twoje

ciało przechodzi w pierwotny tryb „uciekaj albo walcz”. To mnie przeraziło. Kiedy go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że coś jest nie tak, ale nie mogłam wyczuć co, póki się z tym nie zdradził.

Callie wzięła jedną z chusteczek Leigh i wydmuchała nos. Mimo całej swojej inteligencji jej siostra za długo przebywała w innej bańce. Myślała o prawnych konsekwencjach ewentualnego dochodzenia, do którego parłby Andrew. O procesie, przedstawionych dowodach, świadkach przesłuchiwanym przez stronę przeciwną, wyroku wydanym przez sędziego, więzieniu.

Leigh straciła umiejętność rozumowania jak przestępczyni, ale Callie mogła to zrobić za nią i za siebie. Andrew był brutalnym gwałcicielem. Nie poszedł na policję nie dlatego, że nie miał niezbitego dowodu. Dręczył Leigh, bo chciał wziąć sprawy w swoje ręce.

– Wiem, że masz w zanadru najgorszy możliwy scenariusz – powiedziała Callie.

Leigh zawahała się, ale i odczuła ulgę.

– Zmniejsz dawki prochów. Nie musisz całkiem ich rzucać, ale jeśli ktoś zacznie pytać, musisz mieć na tyle jasny umysł, żeby udzielić właściwych odpowiedzi.

Callie poczuła się osaczona, chociaż już robiła to, o co prosiła ją siostra. Było inaczej, kiedy miała wybór. Prośba Leigh sprawiła, że Callie zapragnęła rzucić plecak na ziemię i natychmiast dać sobie w żyłę.

– Cal? – przynagliła ją wyraźnie rozczarowana Leigh. – To nie na zawsze. Nie prosiłabym, gdyby...

– Dobrze. – Przełknęła całą ślinę, która napłynęła jej do ust. – Jak długo?

– Nie wiem – przyznała Leigh. – Muszę się zorientować, co planuje Andrew.

Callie cisnęły się na usta gorączkowe pytania: Kilka dni? Tydzień? Miesiąc? Przygryzła wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem.

– Wyznaczmy sobie horyzont paru dni – dodała Leigh, jakby czytała w jej myślach. – Ale jeśli chcesz wyjechać z miasta albo...

– Poradzę sobie – odparła Callie, ponieważ obie potrzebowały takiej deklaracji. – Ale Harleigh, przecież ty już wiesz, co robi Andrew. – Gdy wciąż zdezorientowana Leigh potrząsnęła głową, dodała: – On ma większe kłopoty niż ty. – Jeśli miała to przetrwać, musiała dotrzeć do gadziego mózgu i pobudzić go do działania, z tym że instynkt walki powinien wygrać z chęcią ucieczki, żeby ta rozgrywka nie trwała zbyt długo. – Zwolnił adwokatkę, wynajął cię tydzień przed procesem, jego życie dosłownie wisi na włosku. Robi aluzje o kamerach i morderstwie, które uchodzi na sucho. Ludzie nie rzucają gróźb, chyba że czegoś chcą. Czego chce Andrew?

W oczach Leigh zapalił się błysk zrozumienia.

– Chce, żebym zrobiła dla niego coś niezgodnego z prawem.

– Zgadza się.

– Cholera. – Leigh przebiegła w myślach całą listę. – Przekupienie świadka. Krzywoprzysięstwo. Pomoc w popełnieniu przestępstwa. Utrudnianie śledztwa. – Zrobiła to wszystko i o wiele więcej dla Callie.

– Wiesz, jak uniknąć kary za każdą z tych rzeczy.

– Z Andrew jest inaczej. On chce mnie zranić.

– To co? – Callie pstryknęła palcami, jakby chciała ją obudzić. – Gdzie moja siostra twardzielka? Niedawno celowałaś z glocka do dwóch ćpunów, zrobiłaś to pod nosem gliniarzy, na sąsiedniej ulicy. Nie zachowuj się jak lalunia, która pierwszy raz złamała sobie rękę.

Leigh zaczęła potakiwać, mobilizując się psychicznie pod wpływem perswazji.

– Masz rację.

– Cholerną rację. Masz świetne wykształcenie prawnicze, świetną posadę i czystą kartotekę. A co ma Andrew? – Nie dała jej czasu na odpowiedź. – Jest oskarżony o gwałt, są inne kobiety, które mogą wskazać go palcem. Jeśli ten pojebany gwałciciel zacznie jęczeć, że dwadzieścia lat temu zamordowałaś mu tatusia, komu ludzie uwierzą?

Leigh nie przestawała kiwać głową, ale Callie wiedziała, co tak naprawdę dręczy siostrę. Nie znosiła wielu rzeczy, ale poczucie bezbronności wręcz ją paraliżowało.

– On nie ma nad tobą żadnej władzy, Harleigh – ciągnęła. – Nie wiedział nawet, jak cię znaleźć, póki ten palant detektyw nie pokazał mu twojego zdjęcia w gazecie.

– A ciebie? – spytała Leigh. – Przestałaś używać nazwiska mamy dawno temu. Mogą cię namierzyć innymi kanałami?

Callie przebiegła w myślach wszystkie nieczne metody znalezienia tych, którzy nie chcą być znalezieni. Trapa można było przekupić, ale zameldowała się w motelu pod przybranym nazwiskiem. W internecie była niejaką Swim Shady, nie płaciła podatków, niczego nie brała w leasing, nie miała zarejestrowanej komórki, prawa jazdy czy ubezpieczenia zdrowotnego. Miała oczywiście numer ubezpieczenia społecznego, ale nie wiedziała nawet, co to jest, a jej matka pewnie już dawno spaliła ten dokument. Jej akta z poprawczaka były utajnione. W raporcie z pierwszego aresztowania po osiągnięciu pełnoletniości figurowała jako Calliope DeWinter, ponieważ gliniarz, który pytał ją o nazwisko, nigdy nie czytał powieści Daphne du Maurier, a kompletnie naćpana Callie uznała to za tak zabawne, że posikała się ze śmiechu na tylnym siedzeniu radiowozu, co zatrzymało dalsze przesłuchanie. Do

tego trzeba jeszcze dodać dziwaczny sposób wymawiania jej imienia i cały zbiór fałszywych tożsamości. Nawet kiedy marniała w szpitalu Grady na covid, na karcie pacjenta występowała jako Cal E. O. P. DeWinter.

– Nie znajdzie mnie – zapewniła.

Leigh skinęła głową z wyraźną ulgą.

– Dobrze, tak trzymaj. Pozostań niezauważona. I spróbuj nie ćpać.

Nagle Callie przypomniała sobie, co powiedział Trap, zanim próbował ją okraść:

„Biały koleś. W niezłej bryce”.

Czytaj: „Reggie Paltz. Mercedes Benz”.

– Obiecuję, że to nie potrwa długo – ciągnęła Leigh. – Proces Andrew potrwa dwa, może trzy dni. Cokolwiek zamierza, musi działać szybko.

Przyjrzała się jej uważnie. Siostra nie zastanawiała się, jaki chaos mógłby wprowadzić Andrew w jej życie, ponieważ bardzo mało wiedziała o życiu Callie. Leigh namierzyła ją pewnie dzięki zaprzyjaźnionemu prawnikowi. Nie miała pojęcia, że doktor Jerry nadal pracuje, nie mówiąc o tym, że Callie mu pomaga.

Odkładając na bok kwestię, że Reggie Paltz już o nią rozpytywał, musiał mieć swoje kontakty w policji, więc mógł skierować na nią ich uwagę. Callie już handlowała prochami. Jeśli właściwy policjant zada niewłaściwe pytania, agenci DEA wejdą do doktora Jerry’ego razem z jego drzwiami, a ona wyląduje w areszcie na ostrym detoksie.

Patrzyła, jak Binx kładzie się na boku, korzystając ze słońca nagrzewającego deskę rozdzielczą. Nie wiedziała, czy bardziej boi się o doktora Jerry’ego, czy o siebie. Za kratkami nie oferowali detoksu ze

wspomaganiem medycznym. Wrzucali delikwenta do jednoosobowej celi, a trzy dni później albo wychodził o własnych siłach, albo wynosili go w worku na zwłoki.

– Może lepiej pomóc Andrew, by mnie znalazł – zaproponowała.

– Niby czemu lepiej? – Leigh spojrzała na nią z niedowierzaniem. – Pogięło cię, Cal? To sadystyczny gwałciciel. Dzisiaj ciągle o ciebie wypytywał, a jego najlepszy kumpel twierdzi, że w końcu zaczną cię szukać.

Callie puściła te uwagi mimo uszu. Gdyby się przestraszyła, nie miałyby wyjścia i musiałyby się wycofać.

– Andrew zwolnili za kaucją, tak? Więc ma bransoletkę na kostce. Z alarmem, który się uruchomi, kiedy...

– Wiesz, po jakim czasie kurator zareaguje na alarm? Miasto nie ma pieniędzy na pensje. Kiedy rozszalał się covid, połowa starych wyjadaczy odeszła na wcześniejszą emeryturę, a reszta ma o połowę więcej spraw, co oznacza, że kiedy Andrew cię zamorduje, policjanci sprawdzą odczyty lokalizatora i dowiedzą się, o której to zrobił.

Callie zaschło w ustach.

– Andrew nie będzie szukał mnie osobiście. Wyśle detektywa, tak?

– Pozbędę się Reggiego Paltza.

– To wynajmie innego Reggiego. – Chciała, żeby Leigh potraktowała poważnie jej argumenty. – Zastanów się. Jeśli detektyw mnie namierzy, Andrew uzna, że ma nas w garści, tak? Facet wypyta mnie o różne rzeczy, sprzedam mu naszą wersję, a on przekaże wszystko Andrew. A kiedy Andrew wyskoczy do ciebie z tymi informacjami, ty będziesz już przygotowana.

– To zbyt niebezpieczne. Proponujesz siebie jako przynętę.

Callie przeszedł zimny dreszcz. Tyle w kwestii dozowania prawdy. Gdyby Leigh wiedziała, że ona praktycznie już wisi na haczyku, nie pozwoliłaby jej zostać w mieście.

– Pojadę w oczywiste miejsce, żeby detektyw mnie znalazł, dobrze? Łatwiej poradzić sobie z kimś, kiedy spodziewasz się, że przyjdzie.

– Nie, do cholery – zaprotestowała Leigh, która wiedziała, o jakim oczywistym miejscu mówi siostra. – To szaleństwo. Znajdzie cię od razu. Gdybyś widziała zdjęcia ofiar...

– Przestań. – Callie nie musiała słuchać, do czego jest zdolny syn Buddy'ego Waleskiego. – Chcę to zrobić. I zrobię. Nie potrzebuję twojego pozwolenia.

Leigh znowu zacisnęła usta, a po chwili oznajmiła:

– Mam gotówkę. Mogę mieć więcej. Urządzą cię, gdzie zechcesz.

Callie nie mogła – czy też bardzo nie chciała – zostawić jedyne miejsce, które znała jako dom. Miała jeszcze inne wyjście, które zrozumiałby każdy, kto ją znał. Mogła zostawić Binxa pod opieką doktora Jerry'ego i wziąć wszystkie leki z zamkniętej szafki, a potem Kurt Cobain zagrałby dla niej solo *Come As You Are* jeszcze przed zachodem słońca.

– Cal? – ponagliła ją Leigh.

Ale jej mózg zapętlił się w rozmyślaniach o Cobainie, więc nie była w stanie odpowiedzieć.

– Potrzebuję... – Leigh znowu złapała ją za rękę, by przywrócić do rzeczywistości. – Potrzebuję cię, Calliope. Nie unieszkodliwię Andrew, póki nie będziesz bezpieczna.

Spojrzała na ich splecione dłonie. Leigh była dla niej jedynym łącznikiem z namiastką normalnego życia. Widywały się tylko

w krytycznych chwilach, ale świadomość, że zawsze może liczyć na siostrę, pomogła jej wybrnąć z niezliczonych i na pozór beznadziejnych sytuacji.

Nikt nie mówi o samotności w uzależnieniu, a człowiek na głodzie jest całkowicie bezbronny. Na haju traci nad sobą kontrolę i zawsze, ale to zawsze budzi się sam. Nie ma wokół siebie innych ludzi. Rodzina zrywa z nim kontakt, bo mu nie ufa. Starzy znajomi uciekają z krzykiem. Nowi podkradają mu prochy i boją się, żeby on ich nie okradł. Tylko z innymi ćpunami można pogadać o swojej samotności, ale natura uzależnienia polega na tym, że mimo wielkoduszości i dobroci serca, ćpun zawsze przedkłada kolejną dawkę nad przyjaźń.

Nie mogła być silna dla siebie, ale mogła być silna dla siostry.

– Wiesz, że umiem o sobie zadbać. Daj mi trochę kasy, żebym miała to już za sobą.

– Cał, ja...

– Zasada f-k-p – odparła Callie, ponieważ obie wiedziały, że w tym oczywistym miejscu obowiązuje opłata za wstęp. – Pospiesz się, zanim stracę odwagę.

Leigh wyjęła z torebki grubą kopertę. Zawsze miała rękę do pieniędzy. Sknerzyła, ciułała, kombinowała, inwestowała tylko w to, co przynosiło jeszcze więcej kasy. Wprawne oko Callie oceniło zawartość koperty na pięć patyków.

Zamiast dać jej wszystko, Leigh odliczyła dziesięć dwudziestodolarowych banknotów.

– Zaczniemy od dwustu, dobrze?

Callie kiwnęła głową. Obie wiedziały, że gdyby dostała do ręki całą kwotę, wszystko poszłoby na prochy. Odwróciła się na siedzeniu

i znowu wbiła wzrok w przednią szybę, potem zrzuciła z nogi tenisówkę, odliczyła sześćdziesiąt dolarów i poprosiła:

– Pomożesz mi?

Leigh schyliła się, wsunęła trzy dwudziestki do buta Callie i pomogła jej włożyć tenisówkę na nogę.

– Jesteś pewna? – zapytała.

– Nie. – Callie czekała, aż siostra wsadzi Binxa do transportera, wysiadła z auta i rozpięła spodnie. Resztę gotówki włożyła do majtek jak podpaskę. – Zadzwoń do ciebie. Będziesz miała mój numer.

Leigh wypakowała rzeczy, postawiła transporter na ziemi i przycisnęła wypchaną poszewkę do piersi. Na jej twarzy malowało się poczucie winy, oddychała nim, przesycalo jej emocje. Dlatego widywały się tylko wtedy, kiedy główniana sytuacja stawała się jeszcze bardziej główniana. Poczucie winy dla nich obu było nie do zniesienia.

– Zaczekaj – powiedziała Leigh. – To jednak zły pomysł. Zawiozę cię do...

– Harleigh. – Callie wyciągnęła ręce po poszewkę z jej dobytkiem. Mięśnie szyi zaprotestowały przeszywającym bólem, ale nie dała tego po sobie poznać. – Odezwę się do ciebie, dobrze?

– Proszę, Cal. Nie mogę na to pozwolić. To za trudne.

– Cóż, wszystko jest trudne.

Leigh była wyraźnie niezadowolona, słysząc własne słowa w ustach siostry.

– Mówię poważnie. Zabierajmy się stąd. Potrzebuję trochę czasu, żeby przemyśleć... – Gwałtownie urwała.

Wcale nie potrzebowała czasu. Już to przemyślała. To myślenie przywiodło je tutaj. Andrew udawał przed Leigh, że kupił jej opowieść

o farmie mlecznej w Iowa. Jeśli Trap mówił prawdę, Andrew już wysłał prywatnego detektywa, żeby namierzył Callie. Kiedy się pojawi, ona będzie gotowa na to spotkanie. A kiedy Andrew da Leigh do zrozumienia, że znalazł jej siostrę, ona nie wpadnie w paranoję.

Należało wyprzedzić psychopatę choćby o jeden mały krok.

Mimo to Callie czuła, że jej determinacja słabnie. Jak każdy ćpun, zawsze myślała o sobie jak o wodzie znajdującej najłatwiejszą drogę w dół. Teraz musiała walczyć z tym instynktem ze względu na siostrę. Leigh była matką, żoną, przyjaciółką. Była tym, kim Callie nigdy nie będzie, ponieważ życie często jest okrutne, ale zazwyczaj fair.

– Harleigh, odpuść. To jedyny sposób, żeby odebrać mu przewagę.

Emocje Leigh łatwo dały się rozpoznać. Kiedy jej myśli krążyły wokół wszystkich możliwych scenariuszy, które na pewno przeanalizowała, zanim pojawiła się w motelu z glockiem w ręku, raz po raz było widać na jej twarzy głębokie poczucie winy. Na szczęście w końcu doszedł do głosu jej gadzi mózg. Pogodziła się z tym, co nieuniknione. Oparła się plecami o auto, skrzyżowała ręce na piersi i czekała na nieuchronny ciąg dalszy.

Callie podniosła Binxa, a kot zamiauczał z niepokoju. Ból przeszył jej ramię i szyję, ale zacisnęła zęby i ruszyła znajomą ulicą. Im bardziej oddalała się od siostry, tym bardziej cieszyła się, że nie może obejrzeć się przez ramię. Wiedziała, że Leigh odprowadza ją wzrokiem. Wiedziała, że będzie czekać przy aucie dręczona wyrzutami sumienia, zboląta i przerażona, aż wreszcie ona skręci za róg na końcu ulicy.

Dopiero po kilku minutach usłyszała trzask drzwi i warkot silnika audi.

– To była moja starsza siostra – zwróciła się do Binxa, który nie ukrywał złości za uwięzienie go w transporterze. – Fajny ma wóz, nie?

Binx prychnął. Wolał SUV-y.

– Wiem, że lubiłeś tamten motel, ale tutaj też są tłuste ptaki. – Przekrzywiła głowę i zadarła ją, żeby spojrzeć na korony drzew. Większość kotów wolno aklimatyzowała się do nowych warunków, ale z powodu częstych przeprowadzek Binx przywykł do tego, że co jakiś czas musi zbadać nowy teren i nauczyć się znajdować drogę do domu. Mimo to każde z nich potrzebowało zachęty. – Tu są pręgowce, wiewiórki i szczury wielkości królików. Oraz króliki wielkości szczurów.

Binx nie zaszczycił jej odpowiedzią. Nie chciał ryzykować zmiany swojej sytuacji podatkowej.

– Dzięcioły, gołębie, błękitniki i kardynały. Uwielbiasz kardynały. Znam twoje przepisy na potrawy z kardynałów.

Kiedy skręciła w lewo, wchodząc głębiej między domy, usłyszała muzykę. Dwaj mężczyźni siedzieli pod wiatą i popijali piwo, a między nimi stała otwarta lodówka turystyczna. Przed następnym domem jakiś mężczyzna mył samochód na podjeździe, muzyka dobiegała z podłączonego głośnika, a rozchichotane dzieci biegały po podwórku i kopały piłkę do koszykówki.

Callie nie zaznała takiej dziecięcej swobody. Uwielbiała gimnastykę, ale matka dostrzegła w tym szansę na przyszłe profity finansowe, więc to, co zaczęło się jako zabawa, stało się pracą. Kiedy została usunięta z zespołu, przeszła do drużyny czirliderek i pojawiła się kolejna szansa na pieniądze. Potem zainteresował się nią Buddy, czyli jeszcze większe pieniądze.

Kochała go.

I na tym polegała jej największa życiowa tragedia. Nie mogła uwolnić się od tego goryla. Jedyne człowiek, którego autentycznie

pokochała, okazał się odrażającym pedofilem.

Dawno temu pewna terapeutka powiedziała jej w trakcie długiego, lecz nieudanego odwyku, że to nie była prawdziwa miłość. Buddy najpierw wkradł się w jej życie i został substytutem ojca, żeby uspić jej czujność. Dał jej poczucie bezpieczeństwa w zamian za coś, co napawało ją odrazą.

Tyle że Callie wcale nie czuła odrazy. Na początku, kiedy był delikatny, niektóre rzeczy nawet sprawiały jej przyjemność. O czym to świadczyło? Musiała być strasznie świrnięta, skoro to lubiła.

Skręcając w następną ulicę, powoli wypuściła powietrze. Zadyszała się od tego marszu. Przełożyła transporter do drugiej ręki i wetknęła wypchaną poszewkę pod pachę. Jej szyję rozdarł piekący ból, jakby ktoś przyłożył tam rozpaloną do czerwoności kulkę płynnej stali, ale chciała go czuć.

Stała przed czerwonym parterowym domem z zapadniętym dachem. Front pokrywała okładzina z nieregularnych desek. Kraty w otwartych oknach i drzwiach upodabniały go do więzienia. Zaniedbany kundel ze zbyt dużą domieszką teriera szkockiego, jak na jej gust, stał przy siatkowych drzwiach.

Chrupnęło jej w kolanie, gdy wchodziła po trzech chwiejnych schodkach. Postawiła transporter z Binxem na werandzie, opuściła na ziemię poszwę i mocno zapukała w metalową ramę siatkowych drzwi, na co pies zaszczekał.

– Roger! – Z drugiego końca domu dobiegł chrypliwy głos palaczki. – Zamknij ten przeklęty pysk!

Callie potarła ramiona i popatrzyła na ulicę. W bungalowie naprzeciwko paliły się światła, ale sąsiedni dom był zabity deskami, a trawa porastająca podwórko wyrosła tak wysoko, że przypominała

wyschniętą na wiór kukurydzę. Na środku chodnika straszyla kupa. Callie wspięła się na palce, żeby mieć lepszą perspektywę. Kupa była ludzka.

Gdy usłyszała za sobą kroki, pomyślała o tym, co powiedziała siostrze:

„Pojadę w oczywiste miejsce”.

Jeśli Andrew Tenant wysłał kogoś na jej poszukiwania, istniało tylko jedno oczywiste miejsce, w którym można było ją znaleźć.

– O ja pierdolę.

Callie okręciła się na pięcie.

Po drugiej stronie siatkowych drzwi stała Phil. Nie zmieniła się, odkąd Callie nosiła pieluchy. Była chuda jak bezdomny kot, a czarne obwódki wokół oczu upodabniały ją do zaskoczonego szopa pracza. Zęby miała ostre i krzywe jak kolce jeżozwierza, a nos czerwony i napęczniały jak tyłek samicy pawiana w rui. Trzymała na ramieniu kij bejsbolowy, z jej ust zwisał papieros.

Spojrzenie kaprawych oczu powędrowało od Callie ku transporterowi.

– Jak się wabi kot?

– Głupia Cipa – odparła Callie z wymuszonym uśmiechem. – W skrócie Głupa.

– Znasz zasadę, mądralo. – Phil zmierzyła ją groźnym wzrokiem. – Kto chce zostać w moim domu, finansuje mnie, karmi albo posuwa. Inaczej won.

Czyli zasada f-k-p.

Zgodnie z tą zasadą zostały wychowane.

Callie zrzuciła ze stopy tenisówkę, a złożone dwudziestki podziały jak bilet wstępu i kij bejsbolowy wrócił na swoje miejsce.

Phil otworzyła drzwi siatkowe i zgarnęła sześćdziesiąt dolców.

– Masz więcej w cipie? – zapytała.

– Wsadź tam rękę i sama się przekonaj.

Phil zmrużyła powieki, gdy od dymu zaszczypały ją oczy.

– Nie chcę tu żadnych twoich lesbijskich świństw.

– Oczywiście, matko.

6

Wtorek

Ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu Callie nie przeżyła nawet chwilowej dezorientacji po przebudzeniu w dawnej sypialni w domu matki. Wszystko od razu było niemiłe znajome: słonawe powietrze, bulgotanie filtrów w akwarium, świergot ptaków, pies węszący pod jej zamkniętymi drzwiami. Doskonale wiedziała, gdzie jest i dlaczego.

Pytanie brzmiało: ile czasu potrzebuje detektyw nasłany przez Andrew, żeby to odkryć?

Z opisu Reggiego Paltza dokonanego przez Leigh wynikało, że facet będzie wyróżniał się w sąsiedztwie jak policyjny tajniak. Jeśli okaże się na tyle głupi, żeby zapukać do drzwi jej matki, Phil nie omieszka pomachać mu przed nosem kijem bejsbolowym. Callie miała jednak pewność, że to odbędzie się inaczej. Reggie mógł dostać wyraźne polecenie, żeby trzymać się w cieniu. Andrew Tenant skonfrontował się z Leigh wprost, ale to nie ją obrał za cel. Syn Buddy'ego nie oddawał hołdu zamordowanemu ojcu, owijając głowy swoich ofiar folią spożywczą. Używał taniego noża kuchennego takiego samego typu, jakim ona śmiertelnie raniła jego ojca.

To znaczyło, że w cokolwiek grał Andrew, nagrodą miała być ona.

Zamrugła wpatrzona w sufit. Spoglądały na nią dziewczyny z plakatu ze Spice Girls. Wentylator sufitowy wyrastał spomiędzy nóg Geri Halliwell. Callie przypomniała sobie kilka linijek z *Wannabe*. Nałogowe ćpanie miało jeden plus. Uczyło, jak kategoryzować

i hierarchizować. Pierwsze miejsce zajmowała heroina, reszta świata schodziła na dalszy plan, bo nie była heroiną.

Callie cmoknęła kilka razy na wypadek, gdyby Binx czekał na zaproszenie po drugiej stronie wejścia dla kota. Kiedy się nie pojawił, dźwignęła się z łóżka, opuszczając stopy na podłogę i podnosząc tułów. Przy nagłej zmianie pozycji ciała spadło jej ciśnienie. Dostała zawrotów głowy i mdłości, kości zaswędziały do samego szpiku. Siedziała na skraju łóżka, analizując wczesne symptomy odstawienia. Zimny pot. Ból brzucha. Łomotanie serca. Natrętne myśli wgryzające się w czaszkę jak bóbr obgryzający pień drzewa.

Plecak leżał pod ścianą. Bez zastanowienia zsunęła się z łóżka i opadła na kolana. Działała szybko. Z podręcznego zestawu wyjęła strzykawkę i znalazła prawie pełną fiolkę metadonu, a kiedy przygotowywała zastrzyk, z każdym uderzeniem serce wołało: „Igła! Igła! Igła!”.

Nie traciła czasu na szukanie żył na rękach, bo żadna już się nie nadawała. Popęzła przez pokój i usiadła przed wielkim lustrem na tylnej stronie drzwi szafy. Patrząc w swoje odbicie, zlokalizowała żyłę udową. W lustrze wszystko jest odwrócone, ale Callie z łatwością się przestawiła. Wcisnęła tłok.

Świat zdelikatniał – powietrze, bulgotanie, ostre kanty pudeł rozrzuconych po pokoju. Callie zamknęła oczy i powoli wypuściła powietrze z płuc. Ciemność pod powiekami przeistoczyła się w bujną zieloność. Bananowce, gęsty las porastający górskie pasmo. Na horyzoncie zobaczyła goryla, który czekał, aż metadonowa fala przepłynie.

Na tym polegał problem z dawką podtrzymującą. Callie nadal czuła wszystko, widziała wszystko, pamiętała wszystko. Pokręciła głową i jak w wirtualnych okularach przeskoczyła do kolejnego wspomnienia.

Ilustracja przedstawiająca anatomię człowieka w podręczniku Lindy Waleski. Żyła udowa była oznaczona niebieską linią biegnącą wzdłuż czerwonej linii oznaczającej tętnicę udową. Żyły dostarczały krew do serca, tętnice ją odprowadzały. Dlatego Buddy nie umarł od razu. Nóż uszkodził żyłę. Gdyby przeciął tętnicę, Buddy umarłby, zanim Leigh go zabiła.

Callie przywołała kolejny obraz.

Mruczka Cass, karmiona jeszcze butelką młoda kotka, którą doktor Jerry zabierał na noc do siebie. Callie nazwała ją tak na cześć Cass Elliot[9], która umarła na atak serca we śnie. W przeciwieństwie do Kurta Cobaina, który przyłożył sobie lufę pod brodę i nacisnął spust. Jego list pożegnalny kończył się pięknymi słowami skierowanymi do córki:

*Jej życie będzie o wiele szczęśliwsze beze mnie. KOCHAM CIĘ.
KOCAM CIĘ!*

Gdy usłyszała skrobanie, powoli uniosła powieki. Binx drapał w okno, oburzony, że jest zamknięte. Callie dźwignęła się z podłogi. Całe ciało bolało ją przy każdym kroku. Poskrobała w szybę, dając znak kocurowi, że idzie najszybciej, jak może. Binx tańczył wokół krat jak koń na zawodach w ujeżdżaniu. Okno było zabezpieczone długim rygłem zapobiegającym otwarciu skrzydła, więc Callie musiała przesunąć go paznokciami. A Binx patrzył na nią jak na kretynekę.

– Wybacz, panie kocie. – Pogłaskała go po jedwabistym grzbiecie, a on otarł się czubkiem łebka o jej podbródek. – Zła czarownica wypuściła cię z domu?

Binx milczał jak grób, ale Callie przypuszczała, że Phil nakarmiła go, napoiła i wyczesła, zanim zaoferowała mu miejsce na kanapie, puchaty fotel albo otwarte drzwi. Stara wychudzona suka rzuciłaby się pod autobus, żeby uratować wiewiórkę, ale jej dzieci musiały radzić sobie same.

Nie żeby Phil była bardzo stara. Urodziła Leigh w wieku piętnastu lat. Miała dziewiętnaście, gdy na świat przyszła Callie. Przez dom przewijali się coraz to nowi przyjaciele i mężowie, ale Phil powiedziała córkom, że ich ojciec zginął podczas ćwiczeń wojskowych.

Nick Bradshaw był radiooficerem i latał ze swoim najlepszym kumplem, pilotem myśliwca Pete'em Mitchellem. Pewnego dnia w trakcie lotu ćwiczebnego znaleźli się po niewłaściwej stronie rosyjskiego miga. Bradshaw zginął, kiedy po zgaśnięciu silnika ich maszyna wpadła w korkociąg płaski. Straszna historia, ale i zabawna, jeśli się wiedziało, że Pete Mitchell miał przydomek Maverick, a Bradshaw – Goose, czyli tak samo jak bohaterowie pierwszej części *Top Gun*.

Callie wolała jednak tę opowieść od prawdziwej wersji, podczas relacjonowania której Phil zapewne urwał się film po alkoholu. Callie i Leigh pogodziły się z tym, że nigdy nie poznają prawdy. Ich matka była mistrzynią wykrętów i ściemy. Imię Phil nie było nawet jej prawdziwym imieniem. W akcie urodzenia i policyjnej kartotece figurowała jako Sandra Jean Santiago, przestępczyni z prawomocnym wyrokiem. Pobierała czynsz dla właścicieli wynajmujących biedocie marne lokale w okolicach Lake Point. Prawomocny wyrok na koncie oznaczał, że Phil nie mogła uzyskać legalnie pozwolenia na broń, nosiła więc kij bejsbolowy. Twierdziła, że do obrony, ale chodziło raczej o zastraszenie dłużników. Na jej bejsbolu podpisał się sam Phil Rizzuto, stąd wzięła swoją ksywkę. Nikt nie chciał zadrzeć z Philem.

Binx zeskoczył na podłogę, kończąc pieszczoty. Callie zamykała okno, kiedy błysk światła przykuł jej uwagę. Poczowała przyływ paniki napędzanej metadonem. Popatrzyła na ulicę. Kupa na chodniku ciągle straszyla. Błysk światła pochodził z domu zabitego deskami.

Czy na pewno?

Potarła oczy, jakby chciała manualnie dostosować ostrość widzenia. Na ulicy stały furgonetki i stare sedany obok bmw i mercedesów, ulubionej marki dilerów. Może promień słońca padł na lusterko albo jakiś kawałek metalu. Może na podwórku opustoszałego domu leżały lufki do cracku, może folia aluminiowa. Callie mrużyła oczy, wypatrując czegoś w wysokiej trawie. Zachodziła w głowę, co zobaczyła. Pewnie zwierzę. Może obiektyw aparatu.

Albo...

Albo biały koleś w niezłej bryce.

Binx otarł się o jej nogę i wygiął grzbiet. Callie położyła dłoń na piersi. Serce biło jej tak mocno, że czuła każde uderzenie. Przyglądała się uważnie wszystkim zabitym oknom i drzwiom, aż oczy zaczęły jej łzawić. Czy metadon zrył jej czachę bardziej niż zwykle? Czy popadała w paranoję?

Czy to miało jakieś znaczenie?

Zamknęła okno, zasunęła rygiel, włożyła dzinsy i tenisówki. Na koniec spakowała do plecaka nieuczciwie zdobyte środki, a podręczny zestaw ćpuna i metadon powędrowały pod materac. Musiała być na Stewart Avenue przed lunchem i opchnąć resztę prochów, żeby nie wpaść za posiadanie, gdyby zatrzymała ją policja. Ruszyła do drzwi, ale nie oparła się pokusie i znowu wyjrzała przez okno.

Zmrużyła oczy. Próbowwała odtworzyć wspomnienie tego błysku światła. Wyobraźnia podsunęła szczegóły, którymi wypełniła luki. Prywatny detektyw z długim obiektywem w profesjonalnym aparacie. Trzask migawki, gdy ją fotografuje w prywatnych sytuacjach. Reggie Paltz wywoła zdjęcia i pokaże je Andrew. Czy będą oglądać jej fotografie jak kiedyś Buddy? Czy wykorzystają je do czegoś, o czym ona nie chce nawet myśleć?

Głośny łoskot sprawił, że serce podeszło jej do gardła, ale to tylko Binx wpadł na jedno z pudeł, które Phil trzymała w pokoju. Ze środka wypadły gazety, artykuły, brednie wydrukowane z internetu. Jej matka okazała się wścieklą zwolenniczką teorii spiskowych, a Callie wiedziała, że wścieklizna to śmiertelna choroba wirusowa wywołująca niepokój, dezorientację, pobudzenie, agresję, halucynacje, bezsenność, paranoję, światłowstręt i wodowstręt, który nie obejmował wody ognistej.

Podeszła do drzwi zamkniętych na kłódkę od środka i wyjęła z kieszeni kluczyk, a razem z nim garść monet. Była to wczorajsza reszta Leigh z McDonalda. Patrzyła na dwie dziesiątki i trzy ćwierćdolarówki, ale myślami była gdzie indziej. Walczyła z pokusą podejścia do okna. Zamknęła oczy, oparła głowę o drzwi i próbowała przekonać samą siebie, że nie tędy droga.

Jednak nie mogła lekceważyć rzeczywistości.

Jeśli z pustego domu obserwował ją prywatny detektyw, to czy właśnie nie o to jej chodziło? Reggie nie musiał jechać do motelu i przekupywać Trapa czy wypytywać Sammy'ego Ćpuna. Nie dowiedziałby się, że pracuje u doktora Jerry'ego. Nie musiał rozmawiać z jej klientami przy Stewart Avenue. Nie musiał prosić swoich kumpłi w policji, żeby przyjrżeli się jej dokładniej. Jego poszukiwania skończyłyby się na progu domu Phil.

Otworzyła oczy i włożyła monety do kieszeni, a kluczyk do zamka kłódky i przekręciła. Binx pognął korytarzem na pilne spotkanie. Callie zamknęła drzwi, przełożyła kłódkę na zewnątrz i zatrzasnęła ją bez kluczyka, a dla pewności pociągnęła za skobel. Musiała się upewnić, że matka nie wejdzie do jej pokoju.

Zupełnie jakby znowu była dzieckiem.

Idąc korytarzem, z każdym krokiem słyszała coraz wyraźniej bulgotanie akwariowych filtrów. Sypialnia Leigh przeobraziła się

w Podwodny Świat. Ściany były ciemnoniebieskie, sufit jasnoniebieski, pośrodku stała pufa sako z odciśniętym kształtem Phil, oferująca panoramiczny obraz na pokolce, błazenki, ognice, garbiki, chromisy, morskie skalary pływające między podwodnymi skarbami i zatopionymi statkami pirackimi. W powietrzu wisiał zapach trawki. Phil lubiła się upalić w ciemnym wilgotnym pokoju, a potem zwisała z puffy jak wywalony ozór.

Przed wejściem do środka Callie upewniła się, że matki nie ma w pobliżu, a potem odgięła róg niebieskiej folii zakrywającej okno i uklękła, żeby rzucić okiem na zabity deskami dom. Z pokoju Leigh miała lepszy widok, a także mniej rzucała się w oczy. Zobaczyła, że jeden z kawałków sklejk zasłaniający okno od frontu został odsunięty na tyle, że przez powstały otwór mógł przecisnąć się dorosły człowiek.

– Cóż... – powiedziała na głos. Nie pamiętała, czy sklejka była w tym samym położeniu wczoraj wieczorem, a gdyby zapytała o to Phil, mogłaby wyzwolić u niej urojeniowy napad szału.

Wyjęła z tylnej kieszeni telefon i zrobiła zdjęcie domu. Kciukiem i palcem wskazującym przybliżyła obraz okna od frontu. Podczas odsuwania sklejka pękła. Nie można stwierdzić, kiedy powstało uszkodzenie, chyba że ktoś jest ekspertem kryminalistycznym w dziedzinie rozszczepiania się drewna.

Powinna zadzwonić do Leigh?

Wyobraziła sobie przebieg rozmowy, wszystkie „może” i „prawdopodobnie”, układane na gorąco teorie na podstawie niepewnych przesłanek, które nakręcą wewnętrzną małpę Leigh walącą w cymbały. Tego popołudnia siostrę czekało spotkanie z Andrew w obecności szefa, więc będzie stąpać po cienkim lodzie. W takiej chwili dzwonienie do niej i obarczanie czymś, co mogło być tylko metadonowym przywidzeniem, wyglądało na bardzo zły pomysł.

Schowała telefon do kieszeni, przycisnęła odgiętą folię do szyby i poszła do salonu, gdzie znajdowała się reszta domowej menażerii. Roger uniósł łeb z kanapy i warknął. Obok niego leżał inny pies, też kundel z domieszką teriera, który nawet nie zareagował, gdy Callie poklepała go po skołtunionym łbie. Wyczuła ptasie odchody, chociaż Phil fanatycznie podchodziła do sprzątanía trzech wielkich klatek z tuzinem papużek falistych zajmujących centralne miejsce w jadalni. Woń dymu papierosowego zdradzała, że Phil jest w kuchni. Bez względu na to, jak dbała o swoje ukochane zwierzęta, każde stworzenie żyjące w tym przeklętym domu czekała śmierć na skutek biernego palenia.

– Każ swojemu kotu zostawić moje ptaki w spokoju! – wrzasnęła Phil z kuchni. – Jeśli spróbuje tknąć chociaż jednego, skończy na podwórku i tam będzie musiał położyć swój chudy tyłek.

– Głupia Cipa... – Callie zawiesiła głos, żeby te dwa słowa wybrzmiały – ...boi się ptaków. Prędzej to one zrobią mu krzywdę.

– Głupia Cipa brzmi jak imię żeńskie.

– Ty mu to powiedz. Ja nie mogę do niego dotrzeć. – Callie weszła do kuchni z przyklejonym uśmiechem. – Dzień dobry, matko.

Phil prychnęła. Siedziała przy kuchennym stole z talerzem jajek z bekonem, papierosem w ustach i wzrokiem przyklejonym do monitora gigantycznego iMaca, który zajmował połowę stołu. Wyglądała jak zawsze o tej porze dnia: resztki makijażu z poprzedniego wieczoru, grudki tuszu na rzęsach, rozmazana kredka do powiek, róż i podkład częściowo zmazany po kontakcie z poduszką. Jakim cudem ta suka nie nabawiła się dotąd ostrego zapalenia spojówek, tego nie wiedział nikt.

– Chyba dałaś sobie spokój z prochami. Znowu tyjesz – zauważyła Phil.

Callie usiadła. Nie była głodna, ale sięgnęła po talerz.

Phil odepchnęła jej rękę.

– Zapłaciłaś za mieszkanie, nie jedzenie.

Callie wyjęła z kieszeni drobne i rzuciła je na stół.

Phil przyjrzała się im podejrzliwie. Wiedziała, gdzie Callie trzyma pieniądze.

– Z twojej cipki?

– Wsadź je do ust i przekonaj się.

Nie spodziewała się ciosu. Pięść Phil zauważyła dopiero parę centymetrów przed swoją głową.

Obróciła się za późno. Phil trafiła ją nad uchem, gdy spadała z krzesła w komicznie zwolnionym tempie. Komedia zakończyła się gwałtownie, gdy Callie uderzyła głową o podłogę. Ból pozbawił ją tchu. Oszołomiona mogła tylko patrzeć, jak Phil staje nad nią.

– Co jest, do diabła, ledwie cię dotknęłam. – Matka potrząsnęła głową z niedowierzaniem. – Cholerna ćpunka.

– Szurnięta pijana suka.

– Przynajmniej potrafię utrzymać dach nad głową.

Callie odpuściła dalszą wymianę inwektyw.

– Racja – przyznała.

Phil przestąpiła ją i wyszła z kuchni.

Callie leżała na podłodze wpatrzona nieruchomo w jeden punkt jak sowa. Nadstawiła uszu, wsłuchując się w odgłosy domu: bulgotanie, świergot, szcęknięcie, trzask drzwi łazienki, do której weszła Phil. Czyli miała co najmniej pół godziny. Phil weźmie prysznic, nałoży nową warstwę tapety na twarz, ubierze się, potem siądzie przy stole i przeczyta

kolejną porcję spiskowych bredni, aż pod wpływem żydowskiej kabały ludzie staną się bezpłodni i świat przestanie istnieć.

Dźwignięcie się z podłogi kosztowało ją więcej wysiłku, niż przypuszczała. Ręce jej drżały. Ciągle była pod wpływem szoku. Zakasłała, bo wciągnęła w płuca resztki dymu papierosowego unoszącego się w powietrzu.

Phil wetknęła peta w niedojedzone jajka.

Callie usiadła na krześle matki i zaczęła od bekonu. Kliknęła w zakładki na monitorze komputera: głębokie państwo, Hugo Chávez, niewolnictwo dzieci, zaniedbywanie dzieci, bogacze pijący krew niemowląt, niemowlęta sprzedawane za jedzenie... Jak na kobietę, której córkę molestował pedofil, Phil późno dołączyła do stronnictwa antypedofilskiego.

Roger trącił ją nosem w gołą kostkę, więc zebrała resztki jajka wokół peta Phil i rzuciła je psu. Spalaszował je w mgnieniu oka. Nowy Pies wkroczył do kuchni i posłał jej grymaśne spojrzenie, jakiego można się spodziewać po półterierze.

– Nasze hasło bezpieczeństwa to onomatopeja – rzuciła do niego Callie.

Nowy Pies był jednak bardziej zainteresowany jajkami.

Spojrzała na zegar. Nie mogła tego odkładać. Wytężyła słuch, bo musiała sprawdzić, czy Phil nadal siedzi w łazience. Kiedy upewniła się, że nie zostanie przyłapana, odwróciła się do komputera matki, wybrała tryb incognito i w nowym okienku wyszukiwarki wpisała TENANT AUTOMOTIVE.

Otrzymała siedemset cztery tysiące wyników wyszukiwania. Ta informacja nabrała sensu dopiero wtedy, gdy Callie przesunęła kursor w dół ekranu i zobaczyła, że witryny internetowe typu Yelp, DealerRater,

CarMax, Facebook i Better Business Bureau płaciły za lokowanie na ich stronach.

Wybrała stronę główną Tenant Automotive Group. Trzydzieści osiem lokalizacji, BMW, Mercedes, Range Rover, Honda, Mini. Wszystkiego po trochu, ale skupili się na samochodach z górnej półki.

Przebiegła wzrokiem hasłowy opis historii rozwoju sieci:

Od jednego małego salonu Forda przy Peachtree do sieci na całym Południowym Wschodzie!

Drzewo genealogiczne ukazywało sukcesję od Gregory'ego Seniora przez Gregory'ego Juniora do Lindy Tenant.

Callie najechała kursorem na Lindę, kliknęła i zobaczyła ładne zdjęcie. Linda miała na nim krótkie włosy z popielatymi pasemkami. Fryzurę najpewniej zawdzięczała nieprzyzwoitym kwotom zostawianym w salonie U Tony'ego. Siedziała za biurkiem w stylu komory medytacyjnej Dartha Vadera na tle lśniącego czerwonego ferrari. Po obu jej stronach leżały stosy starannie ułożonych dokumentów, podkreślających, że patrzymy na prawdziwą bizneswoman. Splecione dłonie trzymała przed sobą na blacie. Bez obrączki na palcu, bo była poślubiona pracy. Stojący kołnierzyk białej koszuli polo. Ciasny naszyjnik obroża z pereł jak ząbki myszoscoczka wokół opalonej szyi. Callie wyobraziła sobie, że Linda nosiła sprane dzinsy i białe koszulki Reeboka na wzór dojrzałej Brooke Shields, bo kto nie chciałby robić interesów z taką kobietą z takimi pieniędzmi?

Najlepszy był jej biogram jakby żywcem wzięty z prezentacji kandydatki w wyborach Miss Ameryki. Ani słowa o mieszkaniu w szemranej dzielnicy z mężem pedofilem. Callie uśmiechnęła się, gdy przeczytała ten wybiórczy fragment:

Linda Tenant ukończyła pielęgniarstwo na Georgia Baptist College of Nursing ze stopniem licencjata. Przez kilkanaście lat pracowała w Southern Regional Medical Center, a potem dołączyła do rodzinnego biznesu. Jest wolontariuszką w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu. Swoje doświadczenie medyczne i menedżerskie wykorzystuje w pracy w zespole doradczym do spraw walki z Covid-19 w Atlancie.

Przyjrzała się fotografii. Rysy Lindy zmieniły się niewiele przez dwadzieścia trzy lata, tyle że ważne części jej twarzy nieco opadły jak u każdego z upływem czasu. Najsilniejszą emocją, jaką budziła w Callie Linda, była miłość. Uwielbiała ją. Była dobra i troskliwa. I zawsze jasno dawała do zrozumienia, że syn jest dla niej najważniejszy. Nie pierwszy i nie ostatni raz Callie zadawała sobie pytanie, jak potoczyłoby się jej życie, gdyby to Linda Waleski była jej matką.

Roger prychnął pod stołem, więc rzuciła kawałek bekonu na podłogę. Potem drugi, bo Nowy Pies też prychnął.

Znalazła na stronie mapę i najechała kursorem na salon Mercedesa w Buckhead. Kliknęła w zakładkę *Poznaj nasz zespół*.

Odchyliła się na krześle. Osiem zdjęć w dwóch rzędach po cztery. Siedmiu mężczyzn, jedna kobieta. Nie przeczytała ich nazwisk, ale uważnie oglądała fotografię każdego mężczyzny w poszukiwaniu podobieństwa do Lindy lub Buddy'ego. Przenosiła wzrok z jednego na drugiego, ale bez skutku. W końcu poddała się i sprawdziła podpisy. Andrew Tenant figurował na drugim zdjęciu od góry. Jego biogram był nawet lepszy niż Lindy:

Andrew kocha zwierzęta i wędrówki na łonie natury. Większość weekendów spędza jako wolontariusz w schronisku dla zwierząt w DeKalb. Jako zapalony miłośnik książek najbardziej lubi powieści fantasy Ursuli K. Le Guin oraz feministyczne eseje Mary Wollstonecraft.

Callie znalazła w sobie nawet odrobinę uznania dla takiej porcji bredni. Powinien jeszcze wymienić *Hamleta* jako inspirację.

W twarzy Andrew nie odnalazła podobieństwa ani do rodziców, ani do dawnego Trevora. Andrew był kompletnie nijaki, zwłaszcza w porównaniu z innymi dilerami o uroku chłopaków z bractwa studenckiego. Mocno zarysowana szczęka, starannie uczesane włosy, gładko ogolona twarz. Wyróżniał go tylko granatowy garnitur. Szew wokół klap marynarki zdradzał, że uszyła ją prawdziwa ludzka istota, a jasnoniebieska koszula w prążki o ton ciemniejsze wyglądała na równie kosztowną. Całość dopełniał krawat w żywym szafirowym odcieniu, który akcentował kolor jego oczu.

Z ojcem łączyły go wyłącznie rudoblond i rzadsze na skroniach włosy z zakolami na czole. Callie pamiętała, że Buddy wstydził się łysienia:

„Stary jestem laleczko dziwię się że chcesz się ze mną zadawać co we mnie widzisz no dalej powiedz mi naprawdę chcę wiedzieć”.

Bezpieczeństwo.

Buddy nigdy nie walnął jej zniecka przy kuchennym stole. Dopiero na końcu.

Dlatego.

Często się kłócili, głównie o to, że Callie chciała spędzać z nim więcej czasu. I było to kompletne szaleństwo, bo przecież prawie od początku nie znosiła spędzać z nim czasu. Mimo to snuła opowieści, że ona rzuci szkołę, on odejdzie od Lindy i będą żyli długo i szczęśliwie. Buddy śmiał się, dawał jej pieniądze, bywało, że zabierał ją do hotelu. Na początku nawet do porządnego hotelu, potem były coraz bardziej obskurne. Zamawiali obsługę do pokoju, co Callie lubiła najbardziej.

Potem opadał na kolana, żeby dać jej przyjemność. Buddy był tak ogromny, że wszystko inne, co jej robił, bolało.

Pod koniec chciał robić tylko te inne rzeczy i zawsze na kanapie.

„Nie płacz już prawie skończyłem jak bosko nie mogę przestać maleńka nie każ mi przestać”.

Drzwi łazienki otworzyły się z hukiem, a Phil zakasłała jak kot próbujący wykrztusić kulę włosową. Jej martensy zastukały w korytarzu. Callie zamknęła stronę z biogramem Andrew. Kiedy Phil weszła do kuchni, siedziała już na swoim miejscu.

– Co kombinowałaś? – rzuciła zaczepnie Phil. Nałożyła na twarz barwy wojenne i wyglądała jak gocka wersja pani Danvers z powieści Daphne du Maurier *Rebeka*, gdyby pani Danvers gustowała w psich obrazach nabitych ćwiekami, miała przekłuty nos i zamiast wielbić Rebeke, w pijanym widzie zatopiła łódź tej wyrachowanej suki.

– Wszyscy kombinują to samo, nie?

– Jezu, ale z ciebie pojebane dziwadło.

Callie zastanawiała się, czy T-shirt matki z podobizną Sida Viciouisa jest hołdem dla heroinisty samobójcy, czy po prostu podobała jej się pacyfka w tle.

– Świetna koszulka, mammo.

Phil zignorowała ten komplement, zamaszystym gestem otworzyła lodówkę i wyjęła dzbanek z micheladą. Była to piekielna mieszanka soli, bulionu w proszku, odrobiny sosu worcester, porcji soku z cytryny, butelki soku pomidorowego i dwóch lodowatych butelek piwa dos equis.

Patrzyła, jak matka nalewa ten wynalazek do termosu.

– Dzień pobierania czynszów? – zapytała.

– Któraś z nas musi pracować. – Phil pociągnęła spory łyk prosto z dzbanka. – A ty?

Zostało jej sto czterdzieści dolarów od Leigh. Mogła je zaoszczędzić, mogła sfinansować metadonowy nałóg, zamiast okradać doktora Jerry'ego, mogła wrzucić je do kasetki na pieniądze i pozwolić mu myśleć, że wszyscy w okolicy zaopatrzyli się w tym tygodniu w leki na robaczkę serca, ponieważ inną możliwość – wstrzyknięcie wszystkiego w żyłę – trzeba było odłożyć na później.

– Pomyślałam, że porobię to i owo. Jeśli starczy mi czasu na owo.

Phil obrzuciła ją gniewnym spojrzeniem i zakręciła termos.

– Miałaś ostatnio kontakt z siostrą?

– Nie.

– Ma forsy jak lodu. Myślisz, że coś mi odpala? – Pociągnęła kolejny łyk z dzbanka i wstawiła go do lodówki. – A ty z czego się utrzymujesz?

– Policja nazwałaby to nielegalnym handlem.

– Jak złapią cię z tym gównem w moim domu, to wkurzę się tak, że popamiętasz.

– Wiem.

– To dla twojego dobra, kretynko. Harleigh musi skończyć z ratowaniem ci tyłka. Czas płacić konsekwencje swoich czynów.

– Raczej ponieść – poprawiła ją Callie. – Ponosi się konsekwencje swoich czynów.

– Nieważne. – Phil wyjęła ze spiżarni torbę psiej karmy. – Ma córkę. Dziewczyna ma teraz koło dwudziestu lat, ale nigdy jej nie widziałam. A ty?

– Słyszałam, że ozdrowieńcom po ciężkim covidzie dają orzeczenie o niepełnosprawności. Może się zgłoszę.

– Brednie. – Phil rozerwała torbę zębami. – Nie znam nikogo, kto by od tego umarł.

– A ja nikogo, kto umarł na raka płuc. – Callie wzruszyła ramionami. – Może raka płuc też nie ma.

– Może. – Phil zaczęła mruzczyć coś pod nosem, napełniając miski, a psy spoglądały na nią w nerwowym wyczekiwaniu. Obroza Nowego Psa podzwaniała, gdy podskakiwał obok Rogera. – Cholera, Brock, co ci mówiłam o manierach?

Callie przyznała w duchu, że Brock to dobre imię dla półteriera. Wyglądał jak bankier.

– Biedaczek ma częste zaparcia. – Phil dołała łyżeczkę oliwy z oliwek do suchej karmy. – Pamiętasz, jakie zatwardzenia miała Harleigh? Musiałam zawieźć ją do szpitala. Dwie stowy dla medycznego geniusza, który mi powiedział, że jej okrężnica działa w zwolnionym tempie.

– Strasznie śmieszne, mamo. – Kogo by nie ubawiło, że ośmiolatka zrujnowała sobie okrężnicę, bo panicznie bała się chodzić do łazienki we własnym domu? – Opowiedz mi inną historię.

– Opowiem ci zajebistą historię.

Callie usłyszała trzask igły gramofonowej w rowkach tej samej zdartej płyty:

„Zrobiłam dla was, co mogłam. Nie masz pojęcia, jak trudno być samotną matką. Nie zawsze było źle, niewdzięczna suko. Pamiętasz, jak kiedyś ja... a potem my... a potem ja...”.

Tak to jest z agresywnymi rodzicami. Oni pamiętają tylko te dobre chwile, a ich dzieci tylko te złe.

Phil jak igła przeskoczyła do innego utworu, a Callie wpatrywała się w tył iMaca. Powinna sprawdzić prywatnego detektywa, zamiast tracić czas na wspominki, ale gdyby zobaczyła Reggiego Paltza on-line, stałby się realną częścią jej życia, tak jak obity sklejką dom i błysk światła w jego wnętrzu.

– A to? – Phil dźgnęła palcem blat. – Kto jechał dwoma autobusami, żeby odebrać twoją siostrę z poprawczaka?

– Ty – odparła Callie tylko po to, żeby wytrącić Phil z rytmu. – Wiesz, czy ktoś mieszka w tym opuszczonym domu?

Phil przekrzywiła głowę.

– Widziałaś tam kogoś?

– Sama nie wiem – odpowiedziała Callie, bo nic tak bardzo jak niezdecydowanie nie doprowadzało Phil do szału. – Może to tylko moja wyobraźnia. Widziałam, że jedna z płyt jest odsunięta, i coś, co przypominało błysk światła.

– Przeklęte ćpuny! – Phil z łoskotem postawiła miski na podłodze i wybiegła z kuchni.

Callie poszła za nią. Przy drzwiach Phil zarzuciła na ramię kij bejsbolowy i kopnięciem otworzyła siatkowe drzwi.

Callie stała przy oknie i patrzyła, jak matka pędzi w stronę zabitego deskami domu.

– Ej, pierdolcu! – ryknęła Phil, stając pod domem. – Nasrałeś na mój chodnik?

– Cholera – mruknęła Callie, gdy Phil walnęła w cienką sklejkę zasłaniającą drzwi. Miała nadzieję, że nikomu nie przyjdzie do głowy

wzywać policji.

– Wyłaź! – Phil zamieniła kij w taran. – Ty pierdolony zasrańcu!

Callie wzdrygnęła się na dźwięk walenia drewnem o drewno. Na tym polegał problem z uzbrojoną Phil. Nikt nie kontrolował siły eksplozji.

– Wynocha stąd! – Phil znowu grzmotnęła kijem w płytę i sklejka puściła z trzaskiem. Phil cofnęła kij, pociągając z sobą przegniłe kawałki drewna. – Mam cię!

Callie nie wiedziała dokładnie, co lub kogo dorwała Phil. Błysk światła mógł być tym, czym był, czyli błyskiem światła. Może metadon spletał jej figła. Może wzięła za mało albo za dużo. Może powinna powstrzymać matkę przed atakiem na jakiegoś bezdomnego nieszczęśnika, którego jedynym przewinieniem było szukanie schronienia.

Za późno. Zobaczyła, jak matka znika we wnętrzu domu.

Callie zasłoniła dłonią usta i zobaczyła kolejny błysk, ale tym razem to nie było światło, tylko wyraźny ruch z boku domu. Płyta ze sklejki wygięła się przy jednym z okien, jakby dom otworzył usta. Po chwili wypłynął z siebie mężczyznę, który upadł na wysoką trawę, a kilka sekund później zerwał się z ziemi, zgarbiony przebiegł przez podwórko i wspiął się na ogrodzenie z przerdzewiałej siatki, ściskając profesjonalny aparat fotograficzny za obiektyw. Wyglądało to tak, jakby go dusił.

– Ty skurwysynu! – wydarła się ze środka Phil.

Wzrok Callie podążał za aparatem, póki nie zniknął na następnym podwórku. Co było na karcie pamięci? Jak blisko ten facet podszedł pod jej okno? Czy sfotografował ją we śnie? Uwiecznił ją, jak siedzi przed lustrem i daje sobie w żyłę na nodze?

Przyłożyła dłoń do szyi. Pod palcami pulsowała jej krew. Czuła pazury goryla na skórze. Czuła przewód telefoniczny, którym ciągnął jej

głowę do tyłu. Jego gorący oddech na uchu. Jego ciężar na plecach. Zamknęła oczy. Pomyślała, że oprze się o niego. Skapituluje przed tym, co i tak nieuniknione.

Zamiast tego odszukała plecak i wyszła z domu matki przez drzwi kuchenne.

[9] Cass Elliot (właściwie Ellen Naomi Cohen, 1941–1974), znana jako Mama Cass, śpiewała w zespole The Mamas & The Papas. Po rozpadzie grupy kontynuowała karierę jako solistka. Zmarła nagle w Londynie. (Przyp. tłum.).

Leigh zasnęła dopiero o drugiej w nocy, a budzik zadzwonił już o czwartej. Wciąż była skołowana po wczorajszej dawce valium i niesamowitego stresu, który sprawił, że złamała się i zażyła lek. Kilka filiżanek kawy tylko spotęgowało napięcie, zamiast rozjaśnić myśli. Dochodziło południe, a jej mózg zachowywał się jak galareta wypełniona śrutem.

Mimo tego stanu zdołała postawić roboczą hipotezę dotyczącą Andrew.

Wiedział o kamerze Buddy'ego za barem, bo jako mały wścibski gnojek zawsze grzebał w cudzych rzeczach. Wiedział o tętnicy udowej, bo obserwował, jak zaaferowana Callie pochyła się nad ilustracją w podręczniku do anatomii człowieka. Jej siostra też wykazywała skłonności do zachowań obsesyjno-kompulsywnych. Leigh bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak Callie siedzi przy kuchennym stole i wodzi palcem wzdłuż tętnicy na ilustracji, aż robi się jej odcisk na palcu. Andrew siedział obok niej, bo zawsze był tam, gdzie nie chciało się go widzieć. Zachował oba fakty w swojej chorej, pokręconej pamięci i po latach złożył je w logiczną całość.

Tylko takie wyjaśnienie miało sens. Jeśli Andrew naprawdę wiedział, co wydarzyło się tamtej nocy, powinien też wiedzieć, że to nie nóż zabił jego ojca.

To Leigh go zabiła.

I musiała znaleźć sposób, jak przegrać sprawę Andrew Tenanta, gdy Cole Bradley patrzy jej na ręce. Ledwie przejrzała niewielką część dokumentów powiązanych ze zbliżającym się procesem. Akta Andrew leżały na biurku i wysypywały się z pudeł, które przesłała jej kurierem Octavia Bacca. Dwoje asystentów tworzyło indeks i porównywało dokumenty od Octavii ze stekiem bzdur dostarczonych przez prokuratora w trakcie dochodzenia. Liz, asystentka Leigh, zajęła pokój konferencyjny, gdzie porozkładała wszystko na podłodze, by odtworzyć porządek chronologiczny nagrania, które Reggie Paltz zmontował u siebie w komputerze.

Miała też inne sprawy na głowie. Chociaż Cole Bradley oczyścił dla niej przedpole, żeby mogła skupić się wyłącznie na sprawie Andrew, to z jej terminarza nie zniknęły pozostałe zobowiązania. Musiała skończyć wypełnianie wniosków, przygotować plan przesłuchań, przejrzeć dokumenty, podzwonić do klientów, ustalić terminy składania zeznań, przełożyć spotkania on-line na Zoomie i wizyty w sądzie, przestudiować orzecznictwo, i jakby tego było mało, martwiła się o siostrę, która wisiała jak przynęta przed nosem psychopaty z dobrze udokumentowaną historią brutalnych napaści na kobiety.

Callie w jednym miała rację zeszłego wieczoru. Leigh nie mogła dłużej kręcić się w kółko. Najwyższy czas skorzystać z okupionego wielkim wysiłkiem prawa do gry według zasad bogatych ludzi. Skończyła z najwyższym wyróżnieniem Northwestern, pracowała w prestiżowej kancelarii i wyrobiła w zeszłym roku prawie dwa tysiące godzin rozliczeniowych. Była żoną jednego z najbardziej podziwianych ludzi w jego dziedzinie, miała piękną córkę i nieskazitelną reputację.

Andrew Tenant był oskarżony o porwanie, gwałt i pobicie kobiety.

Komu uwierzą przysięgli?

Sprawdziła czas. Zostały trzy godziny do spotkania w biurze Cole'a Bradleya. Andrew będzie na nią czekał, a ona musi być gotowa na każdą grę, którą z nią podejmie.

Potarła skronie i spojrzała na raport pierwszego funkcjonariusza, który dotarł na miejsce przestępstwa:

Ofiara płci żeńskiej była przykuta kajdankami do stołu piknikowego pośrodku otwartego pawilonu w...

Resztę akapitu widziała już podwójnie, czyli musiała pozwolić odpocząć oczom. Spojrzała w kierunku szklanej ściany oddzielającej firmową elitę od miejsca dla żółtodziobów. Nie rozciągała się stąd żadna zapierająca dech w piersiach panorama miasta, tylko pozbawiona okien przestrzeń złożona z boksów ciągnących się przez całe piętro. Przesłony z pleksi uniemożliwiały użytkownikom boksów chuchanie na siebie, mimo to nadal obowiązywało ich noszenie maseczek, a co godzinę powierzchnie były odkażane. Młodzi prawnicy nie mieli przypisanych miejsc. Obowiązywała zasada gorących biurek, czyli po przyjściu do pracy zajmowali to, które akurat było wolne. Młodzi i ambitni, w większości zjawiali się o szóstej rano i pracowali po ciemku, aż wreszcie o siódmej zapalały się górne lampy. Jeśli zdziwił ich widok Leigh, która dzisiaj uprzedziła wszystkich, byli zbyt zmęczeni, żeby to okazać.

Sprawdziła prywatny telefon, chociaż wiedziała, że Callie milczy i będzie milczeć, póki nie doprowadzi jej na skraj wytrzymałości nerwowej.

Serce jej podskoczyło, gdy zobaczyła powiadomienie na ekranie. Maddy wrzuciła filmik. Leigh patrzyła, jak córka porusza ustami do muzyki w kuchni Waltera, a Tim Tam, ich czekoladowy labrador, bezwiednie uczestniczy w nagraniu na drugim planie.

Leigh starała się nadążyć za słowami. Zachodziła w głowę, jak to skomentować, żeby Maddy nie skwitowała tego przewróceniem oczu albo jeszcze gorzej, nie zignorowała. Przynajmniej rozpoznała piosenkę Ariany Grande. Przewinęła post do opisu, ale 34+35 nie miało sensu. Obejrzała nagranie jeszcze dwa razy, zanim jej mózg wykonał prostą operację dodawania i wreszcie dotarło do niej, o czym jest ta piosenka.

– Na miłość boską. – Chwyciła słuchawkę służbowego telefonu stacjonarnego i zaczęła wybierać numer Waltera, ale tknięta nagłą myślą, odłożyła słuchawkę. Nie mogła z nim rozmawiać, nie przyznając, że widziała się z Callie.

Walter wiedział o niej wszystko prócz jednej najważniejszej rzeczy. Powiedziała mu tylko tyle, że Callie była molestowana. Nie podała nazwiska, żeby nie szukał jej w internecie, nie wchodziła w szczegóły, żeby nie zaczął drażnić, co naprawdę zaszło wiele lat temu. Zachowała to dla siebie nie z braku zaufania do Waltera czy z obawy, że straci jego miłość. Powód był inny. Nie chciała obciążać swojego szlachetnego męża i ojca ich cudownej córki brzemieniem własnej winy.

Do szklanych drzwi zapukała Liz. Miała maseczkę w kolorze fuksji, która pasowała do kwiatów na jej kombinezonie. Leigh włożyła maseczkę i gestem zaprosiła ją do środka.

Liz nigdy nie bawiła się we wstępy.

– Przesunęłam zeznania Johnsona o dwa tygodnie – zakomunikowała. – Sędzia w sprawie Bryanta czeka na twoją odpowiedź na wniosek do szóstej w piątek. Umówiłam doktora Ungera na szesnastego. Aktualizację terminu masz w Outlooku. Za trzy godziny masz być u Bradleya. Przyniosę ci lunch, tylko powiedz, co wolisz, sałatkę czy kanapkę? Na spotkanie z Bradleyem potrzebujesz butów na obcasie. Są w szafie.

– Kanapkę. – Leigh zapisywała w notesie wszystkie informacje, którymi Liz ją zarzuciła. – Czytałaś raporty o incydentach z dozorem elektronicznym Andrew?

– Nie, a co?

– W ciągu dwóch ostatnich miesięcy wydarzyły się cztery. Od braku sygnału GPS po zwarcie światłowodu w opasce. Kiedy włączał się alarm, Andrew dzwonił do biura kuratora sądowego, ale wiesz, jak teraz wygląda ich sytuacja. Mijało trzy do pięciu godzin, zanim wysłali funkcjonariusza, żeby zresetował system.

– Są dowody, że Andrew majstrował przy bransoletce?

– Funkcjonariusz niczego takiego nie zgłosił.

– Trzy do pięciu godzin. – Liz w lot pojęła, w czym rzecz. To mógł być argument, że Andrew testuje czas reakcji. Nie mówiąc o tym, że przez trzy do pięciu godzin miejsce jego pobytu pozostawało nieznane. – Poszukam więcej informacji.

Leigh jeszcze nie skończyła.

– Rozmawiałaś wczoraj z Reggie Paltzem? – zapytała.

– Dałam mu klucz szyfrujący, żeby przesłał swoje pliki na nasz serwer – odparła Liz. – Załadować ci je do komputera?

– Już mam, dzięki. – Leigh doceniła sposób, w jaki Liz sformułowała ofertę pomocy, oszczędzając jej uwag o cyfrowym zacofaniu. – Czy Paltz pytał o mnie?

– Tak, ale głównie szukał potwierdzenia. Gdzie chodziłaś do szkoły, jak długo pracowałaś w biurze pomocy prawnej, jak długo pracowałaś na własny rachunek, kiedy zaczęłaś pracę tutaj. Powiedziałam, że skoro chce znać twój życiorys, niech zajrzy na naszą firmową stronę.

Leigh dotąd nie pomyślała, że informacje o niej są na stronie internetowej kancelarii.

– Co o nim pomyślałaś? – zapytała.

– Skupiony na pracy, cholernie dobry – odparła Liz. – Czytałam jego analizę przeszłości Tenanta. Jest bardzo dokładna i raczej bez trupów w szafie, ale jeśli chcesz, jeden z naszych detektywów może to jeszcze sprawdzić.

– Zapytam klienta. – Leigh nie miała nic przeciwko temu, żeby oskarżyciel zaskoczył ją podczas procesu jakimś mrocznym szczegółem z przeszłości Andrew. – A tak ogólnie, jak Paltz ci się widzi?

– Fiut, ale wygląda dobrze. – Liz uśmiechnęła się. – Ma też stronę internetową.

Kolejny słaby punkt Leigh w konfrontacji z nowoczesnymi technologiami.

– Zleć mu sprawę Stoudta. Lubi podróżować, ale trzymaj go w ryzach, nie może zawyżać rachunków.

– Z faktur od Octavii wynika, że już to robi. – Liz trąciła biodrem jedno z pudeł. – Przejrzałam je zeszłej nocy. Paltz nie postawi klocka bez policzenia ćwierci dolara za spuszczenie wody. Jego faktury wyglądają, jakby chodził śladami pięciogwiazdkowych miejsc opisanych w Yelpie.

– Daj mu do zrozumienia, że go obserwujemy.

Liz była już za drzwiami, gdy Leigh zdjęła maseczkę i odpaliła komputer. Strona internetowa kancelarii Bradley, Canfield & Marks była nudna, więc nie spodziewała się fajerwerków. I się nie doczekała: wyraźne obramowania w kolorze czerwonym i czarnym, barwach Uniwersytetu Georgii, czcionka Times New Roman, a znak & był jedynym graficznym ozdobnikiem.

Znalazła swoje nazwisko w zakładce PRAWNICZY. Jej biogram dopełniało to samo zdjęcie, które nosiła na identyfikatorze, choć według niej było trochę żenujące. Figurowała jako „adwokat”, co było uprzejmą formą komunikatu, że nie jest ani stażystką, ani partnerką.

Przewinęła pierwszy akapit, czytając o sobie, że występuje w sądach stanowych i sądach wyższej instancji, specjalizuje się w sprawach o prowadzenie pod wpływem alkoholu, kradzież, oszustwo, a także w przestępstwach urzędniczych i rozwodach zamożnych ludzi. Tam znajdował się link do artykułu w „Atlanta INtown” dla szukających prawniczki od uryny. W następnym akapicie wymieniono jej nagrody, działalność pro bono, wystąpienia publiczne oraz artykuły, które napisała we wczesnym okresie kariery, kiedy takie rzeczy naprawdę się liczyły. Ostatnia linijka jej biogramu brzmiała:

Pani Collier uwielbia spędzać wolny czas z mężem i córką.

Kliknęła palcem myszkę, niechętnie przyznając w duchu, że wersja prywatnego detektywa trzyma się kupy. Reggie faktycznie mógł pokazać Andrew artykuł w „Atlanta INtown” ze zdjęciem Leigh, a Andrew ją rozpoznał. Możliwe, że Andrew kazał Reggieму trochę powęszyć, zanim postanowił ją zatrudnić. Można powiedzieć, że Reggie był nawet groźniejszy, ponieważ wyglądał na detektywa, który potrafi znajdować trupy w cudzych szafach.

Dlatego zamierzała wysłać go poza granice stanu. Jasper Stoudt, niewierny mąż jej klientki, zabierał kochankę na dziesięć dni do Montany na wyprawę wędkarską. Leigh zakładała, że Reggie będzie zbyt zajęty zamawianiem rybnego tacos do pokoju, żeby martwić się o Andrew Tenanta.

Ze swojej strony można by rzec, że przejmowała się Andrew za nich oboje.

Podbudowała się psychicznie, porządkując w głowie najważniejsze tezy zawarte we wczorajszej przemowie Callie:

- Gdyby Andrew miał dowód morderstwa, pokazałby go policji.
- Gdyby Andrew miał jedno z nagrań Buddy’ego, potwierdziłby tylko pedofilskie skłonności ojca.
- Nawet gdyby Andrew poskładał w całość wszystkie tropy między innymi dzięki temu, że Callie obsesyjnie wodziła palcem po rysunku wzdłuż tej przeklętej tętnicy udowej, to co z tego? Sama Nancy Drew też musiała czasem pokazać niezbity dowód.
- Ciało Buddy’ego Waleskiego nie odnaleziono, a dokładniej, ani jednego fragmentu ciała, a na nożu do steków nie było śladów krwi. W ogóle w domu Waleskich technicy kryminalistyczni nie odnaleźli żadnych śladów, które sugerowałyby zbrodnię. Takich śladów nie było też w spalonej corvette Buddy’ego.
- Niemal na pewno nie istniały żadne oficjalne dokumenty w sprawie pobicia Callie, a już z całą pewnością nic, co wiązałoby pobicie z zaginięciem Buddy’ego.
- Nikt nigdy nie zapytał Leigh o osiemdziesiąt dwa tysiące dolarów, którymi zapłaciła za studia prawnicze, bo przed jedenastym września dwa tysiące pierwszego roku nikt nie pytał, skąd się wzięły u kogoś pliki gotówki. Dysponując nieuczciwie zdobytymi pieniędzmi Buddy’ego, Leigh i tak pracowała jako kelnerka, barmanka, dostawczyni i sprzątaczką w hotelu, ale pomieszkiwała w aucie, żeby zaoszczędzić. Dopiero kiedy Walter natknął się na nią, gdy mościła się między półkami w Gary Library, i zaproponował jej, żeby spała u niego na kanapie, zyskała poczucie pewnej stabilizacji.

Maddy. Walter. Callie.

Musiała pamiętać o tym, co naprawdę ważne. Bez nich już dawno wzięłaby glocka i skróciła żalosne życie Andrew. Jednak wbrew faktom nigdy nie uważała się za morderczynię, chociaż z pewnością była zdolna do, jak to określa prawo, „samoobrony wyprzedzającej”.

Ktoś zapukał do drzwi i od razu wszedł. Był to Jacob Gaddy, jeden ze stażystów. Trzymał w rękach dwa pudła z aktami, a na nich kanapkę i puszkę piwa imbirowego. Postawił pudła na podłodze i zwrócił się do Leigh:

– Badania toksykologiczne dały wynik negatywny. Indeksy znajdziesz na wierzchu pudeł. Przeszukanie domu przyniosło ciekawe rezultaty, znaleziono artystyczne fotografie z motywami sadomaso na korytarzu na tyłach domu, ale nic w sypialni.

Leigh nie przejęła się zdjęciami. *Pięćdziesiąt twarzy Greya* otworzyło i ośmieliło miliony gospodyń domowych na świecie. Czekala, aż Jacob postawi jej lunch na brzegu biurka. Wiedziała, dlaczego zgłosił się na ochotnika jako kelner. Przy stole obrony na sali sądowej potrzebowała drugiej osoby. Pracownicy kancelarii byli gotowi walczyć w klatce, żeby tylko zająć krzesło obok niej.

Postanowiła skrócić Jacobowi mękę niepewności.

– Będiesz moim pomocnikiem – oznajmiła. – Musisz znać sprawę na wylot. Żadnych pomyłek.

– Oczywiście, proszę pa... – Jacob ugryzł się w język. – Dziękuję.

Leigh natychmiast wyrzuciła z głowy tę niedopowiedzianą „panią” . Nie mogła dłużej zwlekać, w końcu musiała zajrzeć do akt Andrew. Pociągnęła łyk piwa imbirowego i dojadła kanapkę, przeglądając notatki. Przy każdej sprawie zawsze szukała słabych punktów, które mógł wykorzystać oskarżyciel, ale teraz szukała sposobu, jak na bazie tych

słabych punktów zastawić na Andrew pułapkę i posłać go na resztę życia tam, gdzie jego miejsce.

Ale musi tak to zrobić, żeby ona i Callie pozostały wolne.

Już konfrontowała się z tym prokuratorem. Dante Carmichael zawsze startował z pozycji faworyta w bojach na sali sądowej. Chełpił się statystyką wygranych, ale nie sztuka tym się chełpić, jeśli człowiek bierze tylko takie sprawy, które w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach idą po jego myśli. Dlatego wielu gwałtów nie ściga się sądownie. Przy zderzeniu relacji dwóch stron – ona powiedziała to/on tanto – przysięgli raczej wierzyli mężczyźnie, a kobietę posądzali o chęć zwrócenia na siebie uwagi. Ugody Dantego były raczej wymuszeniami podyktowanymi tym, że chciał zachować czyste konto. Każdy, kto pojawiał się na sali sądowej, nosił jakieś przezwisko. Na swoje – UGODA ALBO ŚMIERĆ – Dante Carmichael uczciwie zapracował.

Leigh wróciła do oficjalnej korespondencji. W kwietniu zeszłego roku Dante zaproponował wyjątkowo korzystną ugodę. Było to miesiąc po aresztowaniu Andrew. Znowu niechętnie przyznała rację Reggieemu Paltzowi, ale przeczucie mówiło jej, że Dante Carmichael faktycznie zastawił pułapkę. Kiedy Andrew pójdzie na układ w sprawie napaści na Karlsen, zostanie powiązany z trzema innymi napadami, bo łączy je *modus operandi*. Jeśli ona będzie ostrożna i sprytna – i jeśli dopisze jej szczęście – znajdzie sposób, żeby wciągnąć Andrew w tę pułapkę.

Energicznie sięgnęła po długopis, ale równie szybko go odłożyła. Rozpisywanie strategii potencjalnego przestępstwa na papierze to zawsze zły pomysł. Przeanalizowała w myślach swoje możliwości. Cel był jeden: schrzanić sprawę i pozostać poza podejrzeniem o celowe działanie.

Andrew nie był jedyną przeszkodą. Cole Bradley zapomniał więcej o prawie, niż ona zdążyła się nauczyć. Gdyby nabrał podejrzeń, że Leigh

chce z rozmysłem zawalić tę sprawę, utrata posady stałaby się najmniejszym zmartwieniem, a brak czasu nie pomagał. Zwykle miała kilka miesięcy, nawet cały rok na przygotowania do procesu. I to w przypadku, kiedy z pełnym przekonaniem broniła swojego klienta. Teraz miała zaledwie sześć dni, żeby zapoznać się z całym zebrany materiał. To były zdjęcia z miejsca przestępstwa, raporty techników kryminalistycznych, zeznania świadków, raporty policyjne, raporty medyczne, wyniki obdukcji, wstrząsające zeznania ofiary nagrane na wideo.

I właśnie z powodu tego nagrania Leigh opóźniała ten moment. Mogła obmyślić dziesiątki strategii zakulisowego działania przeciwko Andrew, ale każda strategia zakładała bezpardonowe przesłuchanie jego ofiary. Leigh była adwokatką oskarżonego, więc nie tylko oczekiwano, ale wręcz wymagano od niej bezwzględności. Tammy Karlsen została brutalnie napadnięta i zgwałcona, jednak rany fizyczne bladły przy emocjonalnym wstrząsie, jaki szykowała jej Leigh.

W stanie Georgia, jak w większości stanów, w sprawach karnych dopuszczano przesłuchanie przez stronę przeciwną dopiero na sali sądowej, chyba że zachodziły szczególne okoliczności. Pierwszy raz Leigh miała rozmawiać z Tammy Karlsen podczas przesłuchania ofiary przez obie strony procesu. W tym momencie Tammy będzie uosabiać wierzchołek stabilnej piramidy, którą wzniesie Dante Carmichael dla wsparcia jej zeznań. Na podstawę tej piramidy złoży się korowód wiarygodnych świadków: funkcjonariuszy policji, ratowników, pielęgniarek, lekarzy, biegłych różnych specjalności oraz spacerowicza z psem, który znalazł Tammy przypiętą kajdankami do stołu piknikowego w parku. Ci ludzie przygotowują solidny grunt dla Tammy, by przysięgli uwierzyli każdemu słowu, które wyjdzie z jej ust.

A potem Leigh ma chwycić młot i zburzyć tę misterną piramidę.

Kancelaria BC&M wydała mnóstwo pieniędzy na informacje, co motywuje przeciętnego przysięgłego. Przy głośnych sprawach zatrudniali specjalistów i konsultantów, a Leigh została wtajemniczona w rezultaty ich pracy. Wiedziała, że w procesach o gwałt można spodziewać się całego spektrum sędziowskich komentarzy: od obraźliwych po gorszące. Jeśli ofiara była naćpana albo pijana w chwili napaści, to właściwie czego innego się spodziewała? Jeśli w trakcie zeznań okazywała złość lub zachowywała się prowokująco, to z zasady nie akceptowali jej postawy. Jeśli płakała za dużo albo za mało, zastanawiali się, czy nie gra. Jeśli była otyła, może z desperacji podpuściła mężczyznę. Jeśli była za ładna, może zadzierała nosa i zasłużyła na to, co ją spotkało.

Nie było wiadomo, jak Tammy Karlsen odnajdzie się w tej sytuacji. Leigh wiedziała o niej tylko tyle, co zobaczyła na zdjęciach i przeczytała w raportach. Tammy miała trzydzieści jeden lat i pracowała jako regionalna menedżerka sprzedaży w firmie telekomunikacyjnej. Bezdzienna panna, miała własne mieszkanie w Brookhaven graniczącym z Buckhead.

Drugiego lutego dwa tysiące dwudziestego roku została brutalnie zgwałcona, a potem przykuta kajdankami do piknikowego stołu w otwartym pawilonie w parku miejskim.

Leigh wstała, opuściła żaluzje w oknach i drzwiach, usiadła za biurkiem i przewróciła kartki notatnika, aż znalazła czystą stronę. Na koniec otworzyła plik z nagraniem oficjalnego przesłuchania Tammy Karlsen i wcisnęła PLAY.

Znaleziono ją kompletnie naga, więc na ekranie miała na sobie szpitalny kitel. Policyjny pokój przesłuchań, w którym siedziała, był przeznaczony dla dzieci. Niskie kolorowe kanapy, pufy sako, stół pełen puzzli i zabawek. Ktoś uznał, że to odpowiednie otoczenie dla ofiary

gwałtu. A przecież taki pokój przypominał, że w wyniku gwałtu mogła zająć w ciążę.

Tammy siedziała na czerwonej kanapie z dłońmi wciśniętymi między kolana. Z notatek wynikało, że w trakcie przesłuchania ciągle krwawiła. W szpitalu dostała podpaskę, ale przy jej obrażeniach wewnętrznych spowodowanych butelką coli konieczna okazała się chirurgiczna interwencja.

Kołysała się w przód i w tył, próbując się uspokoić. Obecna w pokoju policjantka stała pod ścianą na drugim końcu pokoju. Zgodnie z procedurą ofiara nie mogła zostać sama. Nie chodziło o zapewnienie jej poczucia bezpieczeństwa. Policjantka pilnowała, żeby Tammy nie popełniła samobójstwa.

Kilka sekund później do pokoju wszedł mężczyzna. Był wysoki, potężny, o siwych włosach, ze starannie przystrzyżoną brodą. Dobrze po pięćdziesiątce, z glockiem w skórzanej kaburze na dużym brzuchu.

Pojawienie się mężczyzny wytrąciło Leigh z równowagi. Tego typu przesłuchania powinny prowadzić kobiety, ponieważ na sali sądowej były bardziej empatycznymi świadkami. Leigh ciągle pamiętała krzyżowe przesłuchanie śledczego mężczyzny, który z głębokim przekonaniem stwierdził, że kobieta, która nie życzy sobie jego obecności w pokoju przesłuchań, na pewno kłamie w sprawie napaści. Nie przyszło mu do głowy, że kobieta zgwałcona przez mężczyznę nie chce zostać sam na sam z innym mężczyzną.

Był dwa tysiące dwudziesty rok. Czemu przysłali do Tammy tego niedźwiedzia?

Zatrzymała nagranie. Cofnęła się do raportów, by sprawdzić nazwisko pierwszego funkcjonariusza na miejscu przestępstwa. O ile pamiętała, to była kobieta. Przejrzała listę i raport ze zdarzenia. Faktycznie, detektyw prowadzącą była Barbara Klieg. Leigh zajrzała do

pozostałych raportów, chcąc zidentyfikować mężczyznę z nagrania, ale niczego nie znalazła. Przewróciła oczami. Pozostało jej tylko znowu wcisnąć PLAY.

– Pani Karlsen, jestem detektyw Sean Burke, współpracuję z wydziałem policji w Atlancie – przedstawił się.

Leigh zapisała nazwisko i podkreśliła je. Pomyślała, że Burke jest konsultantem. Musiała sprawdzić, w jakich sprawach brał udział, ile ma na koncie oskarżeń, ile pozwów i doniesień, ile rozstrzygniętych spraw, jak zachowuje się na sali sądowej jako świadek, jakie słabe punkty odsłoniли inni obrońcy.

– Nie będzie pani przeszkadzać, jeśli usiądę tutaj? – zapytał Burke.

Tammy pokręciła głową, nie odrywając wzroku od podłogi.

Leigh patrzyła, jak Burke podchodzi do drewnianego krzesła naprzeciwko Tammy. Nie był ociężały, ale poruszał się niespiesznie i nie przytłaczał swoją obecnością. Zanim usiadł, posłał policjantce pod ścianą ledwie dostrzegalne skinienie głowy. Nie rozkraczył się na krześle jak typowy mężczyzna, dłonie położył na kolanach. Uosabiał umiar i dystans, nie budząc strachu.

Minus dla Andrew. Detektyw Burke był profesjonalistą, to dlatego Barbara Klieg go wezwała. Wiedział, jak pomóc Tammy zbudować podstawę jej opowieści. Wiedział, jak zeznawać przed ławą przysięgłych. Leigh mogła toczyć z nim pojedynek, ale nie mogła go złamać.

To było coś więcej niż minus dla Andrew. To był potencjalny gwóźdź do jego trumny.

– Wiem, że detektyw Klieg już to mówiła – zaczął Burke – ale ja powtórzę: w tym pomieszczeniu są dwie kamery, tu i tam.

Tammy nie spojrzała, gdzie wskazywał.

– Zielone światelko oznacza, że kamery nagrywają obraz i dźwięk – wyjaśnił Burke. – Chcę się upewnić, że pani to nie przeszkadza. Jeśli będzie pani chciała, żebym je wyłączył, zrobię to. Mogą zostać włączone?

Tammy kiwnęła głową.

– Zapytam jeszcze, czy nie przeszkadza pani, że rozmawiamy w tym pokoju? – Głos Burke’a brzmiał kojąco, prawie jak kołysanka. – Możemy przejść do innego pomieszczenia, bardziej oficjalnego, jak pokój przesłuchań. Mogę też zabrać panią do mojego biura albo zawieźć panią do domu.

– Nie – odezwała się Tammy pierwszy raz i dodała już ciszej: – Nie chcę do domu.

– Czy życzy sobie pani, żebym zadzwonił do pani przyjaciółki albo kogoś z rodziny?

Tammy kręciła głową, zanim skończył. Nie chciała nikogo powiadamiać. Jej wstyd był tak namacalny i oczywisty, że Leigh przycisnęła rękę do piersi, próbując zapanować nad emocjami.

– Dobrze, zostaniemy tutaj, ale w każdej chwili może pani zmienić zdanie. Proszę powiedzieć, kiedy pani będzie chciała przestać albo kontynuować, a ja się dostosuję. – To on tu rządził, ale umiejętnie dał Tammy poczucie wyboru. – Jak się do pani zwracać: Tammy czy pani Karlsen?

– Pani... pani Karlsen. – Tammy zakasłała. Miała napięty głos. Leigh zobaczyła krwiaki pojawiające się na jej szyi. Jej twarz zasłaniały włosy, ale zdjęcia z obdukcji dokumentowały skalę obrażeń.

– Pani Karlsen – odezwał się Burke – detektyw Klieg powiedziała mi, że jest pani regionalną dyrektorką sprzedaży w DataTel. O firmie oczywiście słyszałem, ale nie bardzo wiem, czym się zajmuje.

– Logistyką systemową i inżynierią telekomunikacyjną. – Tammy znowu odchrząknęła, ale ciągle miała schrypnięty głos. – Dostarczamy wsparcie obsługi danych dla średnich i małych firm, które potrzebują mikrosystemów, optyki, fotoniki oraz kontroli systemów. Nadzoruję szesnaście oddziałów na Południowym Wschodzie.

Burke pokiwał głową, jakby to rozumiał, ale faktycznym celem tego pytania było przypomnienie Tammy Karlsen, że jest wysokiej klasy profesjonalistką. Sygnalizował jej wyraźnie, że wierzy w jej historię.

– To brzmi o wiele bardziej imponująco niż opis mojego stanowiska pracy. Założę się, że to wymaga specjalistycznego wykształcenia.

– Georgia Tech – odparła Tammy. – Mam dyplom wydziału inżynierii elektrycznej i komputerowej.

Leigh syknęła, wypuszczając powietrze. Wiedziała, że w jednym z pudeł od Octavii są informacje o Tammy zebrane z mediów społecznościowych, szczególnie ze stron absolwentów jej uczelni. Trzydziestolatkowie wchodzili w wiek nostalgii i pewnie zamieszczali mnóstwo postów o szalonych latach w college’u. Jeśli Tammy miała reputację zabawowej dziewczyny, która lubi alkohol i seks, Leigh mogła wykorzystać to w sądzie. Jakby kobieta nie miała prawa lubić alkoholu i seksu.

To przemawiałoby na korzyść Andrew.

Na nagraniu Burke kontynuował niezobowiązującą rozmowę z Tammy. Przysięgli poszliby za nim w ogień. Jego naturalna pewność siebie była lepsza niż valium. Rejestr jego głosu nie wychodził poza kojący rytm kołysanki. Burke patrzył wprost na Tammy, chociaż ona nie spojrzała na niego ani razu. Był uważny, uprzejmy, a przede wszystkim współczujący. I wierzył jej. Leigh mogła punkt po punkcie odhaczać kolejne pozycje z policyjnej instrukcji właściwego postępowania

z ofiarami gwałtu. To, że funkcjonariusz policji ściśle trzymał się tych procedur, było dla niej objawieniem.

Burke wreszcie przeszedł do sedna. Poruszył się na krześle i założył nogę na nogę.

– Pani Karlsen, nie umiem sobie nawet wyobrazić, jakie to dla pani trudne, ale jeśli czuje się pani na siłach, czy zechce pani opowiedzieć, co wydarzyło się zeszłej nocy?

Tammy milczała. Doświadczony Burke czekał, by nie wywierać presji. Leigh patrzyła na migające w prawym górnym rogu cyfry. Czterdzieści osiem sekund po pytaniu Burke’a Tammy otworzyła usta.

– Ja nie... – urwała i znowu chrząknęła. Jej przełyk był podrażniony nie tylko z powodu duszenia. Podczas obdukcji pielęgniarzka pobrała jej z gardła wymaz na obecność nasienia. – Przepraszam.

Burke wychylił się w lewo i otworzył minilodówkę, której Leigh wcześniej nie zauważyła. Wyjął butelkę wody, odkręcił ją i postawił na stoliku.

Tammy wahała się przez chwilę, w końcu sięgnęła po wodę. Leigh skrzywiła się, patrząc, z jakim trudem przełyka. Woda kapała z kącików spuchniętych ust i spadała na kołnierzyk zielonego chirurgicznego stroju, który ciemniał od wilgoci.

– Mamy czas, pani Karlsen. Zacznie pani mówić, kiedy uzna, że jest gotowa. Albo nie. Może pani stąd wyjść w każdej chwili.

Jej ręce drżały, gdy odstawiała butelkę na stół. Spojrzała na drzwi. Leigh przez chwilę myślała, że Tammy zaraz wyjdzie.

Jednak tego nie zrobiła.

Wyjęła kilka chusteczek higienicznych z pudełka na stole i wytarła nos, krzywiąc się z bólu. Zaczęła mówić, miętosząc chusteczki w dłoni

i powoli wprowadzając Burke'a w początek zwyczajnego wieczoru, który stał się koszmarem. Wyszła z pracy, postanowiła pójść na drinka, zostawiła auto parkingowemu. Siedziała sama przy barze i popijała martini z dżinem. Już miała wyjść, kiedy Andrew zaproponował, że postawi jej drugiego drinka.

Leigh zajrzała do notatnika. Kamery bezpieczeństwa w Comma Chameleon zarejestrowały, że Tammy wypła dwie i pół szklaneczki martini z dżinem.

Kiedy relacjonowała, jak przenieśli się na taras na dachu, zredukowała o połowę ilość wypitego alkoholu, ale mało kto pamięta, ile faktycznie wypił drinków. To bez znaczenia. Leigh wyszłaby na małostkową przed przysięgłymi, gdyby zarzuciła Tammy, że zamówiła trzy martini, a nie dwa.

Wróciła do nagrania.

Tammy opisała Andrew, jak opisywali go wszyscy. Trudny do rozgryzienia, ale miły, profesjonalny i dojrzały, w przeciwieństwie do wielu swoich rówieśników. Tammy była ulepiona z tej samej gliny. Czuła, że świetnie się rozumieją. Nie, nie znała nazwiska Andrew. Pomyślała, że pracuje w salonie samochodowym. Może jako mechanik? Lubił rozmawiać o klasycznych samochodach.

– Pozwoliłam mu... pocałowałam go – powiedziała tonem przepełnionym poczuciem winy, jakby tym sprowokowała to wszystko, co ją spotkało. – Flirtowałam z nim, potem na parkingu pocałowałam go znowu. To był długi pocałunek. Za długi. I dałam mu swoją wizytówkę, bo chciałam... chciałam, żeby do mnie zadzwonił.

Burke milczał. Pozwolił jej posiedzieć w ciszy. Doskonale wiedział, że nie bez powody tyle mówi o Andrew, ale był zbyt mądry, żeby coś jej sugerować.

Tammy spoglądała na swoje dłonie. Podarła chusteczki w strzępy. Kiedy schyliła się, żeby zebrać resztki z podłogi, jęknęła głośno. Leigh przypomniała sobie, jakie obrażenia spowodowała u Tammy butelka coli.

Burke znowu wychylił się w lewo. Tym razem podniósł kosz na śmieci i postawił go przy stoliku. Był tak potężnym mężczyzną, a pokoik był tak mały, że robił to wszystko, nie wstając z krzesła.

Tammy sumiennie wrzucała strzępki chusteczki do kosza. Mijały sekundy. Potem minuty.

Burke czekał cierpliwie. Leigh wyobraziła sobie, że porządkuje w myślach wszystko, co dotąd usłyszał, i sprawdza, czy ma odpowiedzi na pytania: Gdzie ofiara nawiązała kontakt z podejrzanym? Ile wypić? Czy zażywali narkotyki? Czy ofiara była sama, czy z przyjaciółmi? Kto może być potencjalnym świadkiem?

A może zastanawiał się nad kolejną porcją pytań: Czy ofiara odpychała, biła czy kopnęła napastnika? Czy powiedziała „przezań” albo „nie”? Jak zachowywał się przed, w trakcie i po napaści? Czy użył siły albo gróźb? Może miał broń? Czy nastąpił wytrysk? Jeśli tak, to gdzie? Ile razy?

Tammy uporała się ze strzępkami chusteczki, usiadła wygodniej na kanapie i zaczęła potrząsać głową, jakby usłyszała bezgłośnie pytania Burke’a i już znała swoje odpowiedzi.

– Nie pamiętam, co było potem. Jak znalazłam się na parkingu. Chyba byłam w aucie. Tak myślę. Albo... sama nie wiem. Może coś pamiętam. Nie jestem pewna. Nie chcę... nie mogę zniszczyć... jeśli nie pamiętam... wiem, że muszę być pewna.

Burke znowu czekał. Leigh podziwiała jego samokontrolę, która przemawiała mu do rozumu. Dwadzieścia lat temu policjant na jego

miejscu złapałby Tammy za ramiona, potrząsnął nią i zaczął wrzeszczeć, że jeśli chce kary dla sprawcy, musi mówić, a może wszystko zmyśliła, żeby zwrócić na siebie uwagę?

Burke zrobił coś zupełnie innego.

– Mój syn walczył w Afganistanie. Na dwóch zmianach.

Tammy uniosła głowę, ale ciągle nie patrzyła Burke'owi w oczy.

– Po powrocie się zmienił. Tam tyle się wydarzyło, że nie umiał o tym mówić. Nigdy nie służyłem w wojsku, ale wiem, jak wygląda stres pourazowy, bo mnóstwo czasu spędzam na rozmowach z kobietami, które przeżyły napaść seksualną.

Leigh widziała, jak Tammy zaciska i poluźnia szczęki. Jeszcze nie zwerbalizowała tej sytuacji w tak brutalny sposób. Nie była regionalną menedżerką sprzedaży ani absolwentką Georgia Tech. Była ofiarą napaści na tle seksualnym. Do końca życia będzie nosić w piersi wypaloną szkarłatną literę.

– Stres pourazowy jest wynikiem jakiegoś traumatycznego zdarzenia – wyjaśnił Burke. – Wśród symptomów są koszmary senne, niepokój, niekontrolowane myśli, przebłyski z przeszłości, czasem amnezja.

– Chce pan... – Głos jej się załamał. – Chce pan powiedzieć, że dlatego nie pamiętam?

– Nie, proszę pani. Dowiemy się więcej, kiedy poznamy wyniki badań toksykologicznych. – Burke zaryzykował to stwierdzenie, ale zaraz się wycofał: – Mówię tylko, że wszystko, czego pani doświadcza: smutek, złość, szok, chęć zemsty, brak chęci zemsty, chęć ukarania sprawcy albo pragnienie, żeby nigdy więcej go już nie zobaczyć – to wszystko jest zupełnie naturalne. W tej sytuacji nie ma dobrego czy złego postępowania. Cokolwiek pani czuje, jest właściwe.

Objawienie w słowach Burke'a doprowadziło Tammy do łez. Zaczęła szlochać. Nie istniał podręcznik radzenia sobie z traumą przemocy seksualnej, który wręczano by dziewczynkom po przyjściu na świat. To było jak z pierwszą miesiączką, z poronieniem czy menopauzą. Budziły w kobietach strach, ale z nieznanых powodów stanowiły tabu, o którym się nie rozmawiało.

– Jezu – mruknęła Leigh. Ten łagodny olbrzym w solowej akcji nastawi przysięgłych przeciwko Andrew. Po procesie powinna wysłać mu kosz owoców.

Zmitygowała się. To nie była gra. Na nagraniu ciałem Tammy wstrząsał szloch. Złapała w garść kilka chusteczek. Burke nie ruszył się z miejsca, by ją uspokoić. Zerknął na policjantkę, by zrobiła to samo.

– Nie chcę... Nie chcę zrujnować nikomu życia – wykrztusiła Tammy.

– Pani Karlsen, z całym szacunkiem, ale to nie leży w pani mocy. – Gdy Tammy w końcu na niego spojrzała, dodał: – Wiem, że jest pani uczciwą kobietą, ale moja wiara i pani słowa w sądzie nie wystarczą. Wszystko, co mi pani powie, musi zostać zweryfikowane. Jeśli pamięć panią zawiedzie albo pomiesza pani fakty, nasze dochodzenie szybko to wykaże.

Leigh odchyliła się na krześle. Miała wrażenie, że ogląda Jimmy'ego Stewarta przemawiającego na stopniach gmachu sądu.

– Dobrze – powiedziała Tammy, ale upłynęła niemal minuta, zanim zaczęła mówić: – Byłam w parku. Tam się ocknęłam. Albo przyszłam. Nigdy przedtem tam nie byłam, ale to był park. Byłam przykuta kajdankami do stołu. Ten starszy pan z psem... Nie wiem, jak się nazywa. Wezwał policję i...

W ciszy, która zapadła, Leigh słyszała urywany szybki oddech Tammy.

– Pani Karlsen – odezwał się Burke – czasem wspomnienia wracają w postaci obrazów, w przebłyskach jak stare filmy na ekranie. Może uda się pani podać mi chociaż jeden szczegół dotyczący mężczyzny, który panią zgwałcił?

– Miał... – Jej głos znowu się załamał. Słowo „gwałt” wyłoniło się z mgły niepamięci. Została zgwałcona. Była ofiarą gwałtu. – Miał na twarzy kominiarkę. I kka...kajdanki. Skuł mnie.

Leigh zapisała w notatniku „premedytacja”. Świadczyły o tym kominiarka i kajdanki.

Wpatrywała się intensywnie w to słowo.

Burke miał rację co do przebłysków wspomnień. Pomyślała o zdjęciach z wakacji w biurze Reggiego Paltza. Jeśli się nie myliła, to Andrew pewnie finansował te podróże dla oczywistych korzyści. Może na jakimś zdjęciu był w masce narciarskiej.

Kolejny punkt na niekorzyść Andrew.

Tammy z trudem przełknęła ślinę.

– Prosiłam, żeby przestał. Prosiłam.

Leigh zanotowała tę uwagę. Widziała już przysięgłych zafiksowanych na tym, że kobieta była zbyt przerażona albo oszołomiona, żeby powiedzieć stanowcze „nie”.

– Nie pamiętam, czy... – Tammy zatchnęła się gwałtownie. – Zdjął mi ubranie. Miał długie paznokcie. Drapały... czułam, jak drapią mnie...

Leigh patrzyła, jak Tammy kładzie dłoń na prawej piersi. Nie zwróciła uwagi na paznokcie Andrew. Jeśli na początku procesu nadal będzie miał długie, ona z pewnością nie zasugeruje, żeby je obciął.

– Powtarzał, że... Powtarzał, że mnie kocha. Ciągle i ciągle. Że kocha moje... moje włosy, oczy, usta. I że jestem taka mała. Mówił: masz takie szczupłe biodra, takie drobne dłonie, idealną twarz jak lalka Barbie. Powtarzał, że mnie kocha i...

Burke nie odezwał się, pozwalając wybrzmieć ciszy, ale Leigh zobaczyła, jak zaciska dłonie na kolanach, jakby musiał się powstrzymać, by jej nie przytulić i nie zapewnić, że wszystko będzie dobrze.

Czuła to samo, gdy patrzyła, jak Tammy kołysze się w przód i w tył z włosami zakrywającymi jej twarz, jakby próbowała zniknąć z powierzchni tego okrutnego świata.

Callie zachowywała się tak samo w noc śmierci Buddy'ego. Kiwała się na podłodze, szlochała, mechanicznie powtarzając słowa operatora linii alarmowej:

„Jeśli chcesz wykonać połączenie...”.

W szufladzie biurka miała paczkę chusteczek higienicznych. Wyjęła jedną, otarła oczy i czekała, aż roztrzęsiona Tammy Karlsen zbierze się w sobie. Ewidentnie obwiniła siebie, zastanawiała się, co poszło nie tak, co głupiego powiedziała czy zrobiła, że wpakowała się w takie bagno. Powinna być teraz w pracy. Miała pracę. Miała dyplom wyższej uczelni. A teraz przywoływała wspomnienia brutalnego ataku, który kompletnie zniszczył jej starannie zaplanowane życie.

Leigh doskonale знаła smak tego poczucia winy, bo sama przeżyła podobną historię w college'u, tyle że nie skończyła się tak tragicznie. Spała w aucie, by nie wydawać na czynsz, i kiedyś obudziła się, gdy jakiś obcy facet już na niej leżał.

– Przepraszam – odezwała się Tammy.

Leigh wydmuchała nos, wyprostowała się na krześle i przysunęła do monitora.

– Przepraszam – powtórzyła Tammy. Znowu się trzęsła. Czuła się upokorzona, głupia i kompletnie rozbita. W ciągu dwunastu godzin straciła wszystko i nie miała pojęcia, jak to odzyskać. – Nie pa... nie pamiętam nic więcej.

Leigh musiała zapomnieć o nienawiści do samej siebie. Postawiła ptaszka w notatniku. Piąty raz Tammy Karlsen powiedziała, że nic nie pamięta.

Pięć punktów dla Andrew.

Przeniosła wzrok na monitor. Burke pozostał nieruchomy. Odczekał kilka sekund.

– Wiem, że miał zasłoniętą twarz, ale w kominiarce... niech mnie pani poprawi, jeśli się mylę... można zobaczyć czyjeś oczy, prawda?

Tammy skinęła głową.

– I usta – dopowiedziała.

Burke delikatnie nawigował ku oczywistemu pytaniu:

– Rozpoznała pani w nim coś? Cokolwiek?

Tammy znowu przełknęła ślinę.

– Jego głos.

Burke nie naciskał. Czekał.

– To był facet z baru, Andrew. – Tammy odchrząknęła. – Długo rozmawialiśmy. Poznałam jego głos, kiedy... Kiedy robił, co zrobił.

– Zwróciła się do niego pani po imieniu?

– Nie. Pomyślałam... – Urwała. – Nie chciałam go zdenerwować.

Leigh wiedziała z dokumentacji, że Andrew musiał wziąć udział w głosowej identyfikacji z pięcioma innymi mężczyznami. Ich głosy nagrano, gdy każdy powtarzał kwestie, które padły podczas napadu. Kiedy detektyw odtworzył Tammy wszystkie próbki głosów, bez wahania wskazała nagranie z głosem Andrew.

– Co odróżnia jego głos od innych? – zapytał Burke.

– Jest łagodny. To znaczy ton jest łagodny, sam głos niski i...

W nadzwyczajnym opanowaniu Burke'a pojawił się wyłom.

– I? – docisnął.

– Jego usta. – Tammy dotknęła swoich warg. – Je też rozpoznałam. Kącik wykrzywił się ku górze, jakby... sama nie wiem. Jakby on prowadził jakąś grę. To znaczy mówił, że mnie kocha, ale cieszył go mój strach.

Leigh знаła ten uśmieszek. Znała ten głos. Znała przerażające beznamiętne spojrzenie zimnych i pustych oczu Andrew.

Dokończyła oglądanie. Nie zanotowała już niczego, ale postawiła jeszcze trzy ptaszki po każdym przyznaniu Tammy, że czegoś nie pamięta. Burke usiłował wyciągnąć z niej jak najwięcej szczegółów, ale trauma i rohypnol zrobiły swoje. Tammy miała dziury w pamięci, a wszystko, co relacjonowała, działo się jeszcze przed atakiem. Nie pamiętała ani noża, ani momentu, w którym ją ranił. Nie pamiętała gwałtu butelką coli. Nie wiedziała, co stało się z jej autem, z torebką, z ubraniem.

Leigh zamknęła plik, gdy Tammy Karlsen została wyprowadzona z pokoju, a Burke skończył nagrywanie. Odszukała konkretną fotografię z miejsca zbrodni. Torebka Tammy leżała w jej bmw wciśnięta pod siedzenie kierowcy. Starannie złożone ubranie znaleziono w miejscu zbrodni, w kącie pawilonu.

Cierpiąca na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne Leigh doceniła symetrię kompozycji. Szara spódnica ze skosu leżała złożona w kwadrat. Na niej leżał żakiet w pasującym odcieniu szarości. Spod żakietu wyglądała czarna jedwabna bluzka ułożona jak na manekinie w sklepie. Na wierzchu leżały czarne figi. Wszystko opasywał zapięty stanik z czarnej koronki niczym kokarda zdobiąca zapakowany prezent. Czarne buty na obcasach stały z boku na sztorc, dopełniając kompozycję.

Leigh przypomniała sobie, jak Andrew bawił się jedzeniem, gdy przychodziła pora przekąski. Budował z sera i krakersów wieżę, a potem próbował wyciągnąć jeden element, nie burząc całej konstrukcji. To samo robił z kawałkami jabłka, orzechami, popcornem.

Zadzwonił telefon stacjonarny. Leigh, nim odebrała, wytarła oczy i wydmuchała nos.

– Leigh Collier, słucham.

– Czy fiut na boku to to samo co cycek na boku? – zapytał Walter.

Przez chwilę nie wiedziała, o co mu chodzi. W końcu zrozumiała, że mówi o ostatnim nagraniu Maddy.

– To chyba fiut, którego masz na boku do bzykania.

– Aha. Hm...

Z uznaniem odnotowała, że nie zacytował powiedzenia „jaka matka, taka córka”, ponieważ kiedy Leigh mówiła, że jest z mężem szczerą, była szczerą we wszystkim.

Prawie we wszystkim.

– Kochanie, czemu płaczesz? – zapytał.

Łzy ustały, ale Leigh czuła, że jeszcze chwila i polecą znowu.

– Zeszłego wieczoru widziałam się z Callie.

– Głupio zrobię, jeśli zapytam, czy ma kłopoty?

– Nic, z czym sobie nie poradzę. – Postanowiła, że o glocku powie mu później. Walter dostał go od zaprzyjaźnionego strażaka, kiedy ona zaczęła pracować na własny rachunek. – Źle wygląda. Gorzej niż zwykle.

– Wiesz, że to przebiega cyklicznie.

Leigh wiedziała, że nadejdzie dzień, kiedy Callie nie wynurzy się już na powierzchnię. Nie była nawet pewna, czy Callie wytrzyma teraz, zwłaszcza z Phil pod bokiem. Nie bez powodu zwróciła się ku heroinie zamiast ku matce. I może był powód, dla którego nie zwróciła się do starszej siostry. Wczoraj w motelu na widok podręcznego zestawu do ćpania chciała rzucić nim o ścianę i wykrzyknąć Callie w twarz: „Czemu kochasz to gówno bardziej niż mnie?”.

– Jest za chuda. Widziałam jej wystające kości.

– Więc ją odkarm.

Owszem, próbowała, ale Callie ledwie wcisnęła w siebie pół cheeseburgera. Zrobiła przy tym minę jak Maddy, gdy pierwszy raz spróbowała brokuła.

– Ciężko oddycha. Świszczało jej w płucach. Nie wiem, co się dzieje.

– Pali?

– Nie. – Phil kurzyła za całą rodzinę, jej córki nie znosiły tego smrodu. Dlatego Leigh uważała za podwójne okrucieństwo, że pozwoliła siostrze jechać wczoraj do matki. Co ona sobie myślała? Jeśli Andrew albo jeden z jego prywatnych detektywów nie skłoni Callie do przedawkowania, zrobi to Phil.

„To moja wina. To moja wina”.

– Kochanie, nawet jeśli to powikłania po covidzie, codziennie słysząc o ludziach, którzy w końcu zdrowieją. Callie ma więcej wcieleń niż kot. Wiesz o tym – powiedział Walter.

Pomyślała o własnych zmaganiach z covidem. Zaczęło się od czterech godzin niekontrolowanego kaszlu. Był tak gwałtowny, że w końcu pękło jej naczynko krwionośne w oku. Ze szpitala odesłali ją z tylenolem i wskazówką, żeby wezwała karetkę, jeśli nie będzie mogła oddychać. Walter błagał, żeby pozwoliła mu zaopiekować się nią, ale wysłała go na poszukiwania Callie.

„To moja wina. To moja wina”.

– Skarbie – ciągnął Walter – twoja siostra to wyjątkowa osoba, ale ma problemy. Niektóre możesz rozwiązać, innych nie. Jedyne, co możesz zrobić, to ją kochać.

Leigh znowu wytarła oczy. Usłyszała na linii jakieś zakłócenia.

– Ktoś do ciebie dzwoni? – zapytała.

– Marci. – Walter westchnął. – Oddzwonię do niej.

Marci była obecną flamą Waltera. Niestety, cztery lata od ich rozstania nie upłynęły Walterowi na tęsknocie za Leigh.

– Wypełnienie on-line pozwu o rozwód bez orzekania o winie zajmie dziesięć minut. – Poczwała, że powinna mu to powiedzieć.

– Skarbie, zostanę twoim fiutem na boku, póki ty będziesz moim cyckiem.

Leigh wcale nie rozbawiła ta uwaga.

– Wiesz, że dla mnie zawsze jesteś w centrum.

– Pozytywny akcent. W sam raz na zakończenie rozmowy – podsumował.

Wciąż trzymała słuchawkę przy uchu, chociaż Walter już się rozłączył. Zagotowała się z wściekłości na samą siebie, w końcu odłożyła słuchawkę na widełki.

Ktoś zapukał do drzwi i Liz wetknęła głowę do środka.

– Masz pięć minut do spotkania – zakomunikowała.

Leigh otworzyła szafę i wyjęła z niej szpilki. Odświeżyła makijaż przed lustrem po wewnętrznej stronie drzwi. BC&M wydawała pieniądze nie tylko na konsultantów w sprawie ławy przysięgłych. Szefostwo chciało też znać opinię przysięgłych o swoich prawnikach. Leigh do dziś prześladowało wspomnienie przegranej sprawy, kiedy jej klient poszedł siedzieć na osiemnaście lat być może dlatego, że według jednego z przepytanych przysięgłych płci męskiej mimo spiętych do tyłu włosów, żakietu ze spodniami i niskich obcasów, Leigh „i tak rzucała na kolana, ale powinna bardziej się postarać, żeby wyglądać jak kobieta”.

– Cholera – powiedziała do siebie. Pomalowała usta, chociaż miała włożyć maseczkę. Wytarła szminkę chusteczką. Zakryła nos i usta maseczką. Złapała papiery i telefony.

Kiedy szła do windy, otulił ją szmer dobiegający z otwartych boksów. Rzuciła okiem na prywatny telefon. Żadnych wieści od Callie, ale starała się nie nadawać milczeniu siostry nadzwyczajnego znaczenia. Dochodziła czwarta po południu. Callie mogła spać, być naćpana, dilować prochy przy Stewart Avenue albo robić cokolwiek innego, skoro miała tyle wolnego czasu. Brak wiadomości nie musiał oznaczać, że wpadła w tarapaty. Po prostu siostra działała po swojemu.

Wcisnęła łokciem guzik przywołania windy i błyskawicznie napisała wiadomość do Maddy:

Jestem twoją przyszłą szefową. Sprawdzam twojego TikToka. Co myślę?

Maddy odpisała natychmiast:

Zakładam, że jesteś reżyserem na Broadwayu i myślisz: o, ta kobieta zna się na rzeczy!

Leigh uśmiechnęła się do siebie. Znaki interpunkcyjne były jej małym zwycięstwem. Za to jej szesnastoletnia córeczka, która nazywała siebie „kobietą, która zna się na rzeczy”, była jej triumfem.

Nagle jej uśmiech zgasł. TikTok Maddy mógłby być jednym z dowodów, jaki pokazałaby przysięgłym, gdyby chciała podać w wątpliwość charakter swojej córki.

Drzwi windy się rozsunęły. W środku była jedna osoba, młody prawnik, którego widziała kiedyś w którymś z boksów na niższym piętrze. Stała na jednym z czterech znaków w czterech rogach windy przypominających o zachowaniu dystansu. Nad panelem wisiał znak sugerujący, żeby unikać rozmów i kasłania. Inny znak zachwalał specjalną powłokę na przyciskach, która miała zapobiegać transmisji wirusa. Zwrócona plecami do współpasażera, Leigh usłyszała tłumione westchnienie, gdy łokciem wcisnęła przycisk oznaczający penthouse.

Drzwi się zamknęły. Leigh zaczęła układać w myślach wiadomość do Maddy o aplikacji na studia, szacunku ze strony współpracowników i znaczeniu dobrej opinii. Kiedy zastanawiała się, jak wpleść uwagę o urokach seksu bez zawstydzania siebie i córki, jej telefon zawibrował, sygnalizując nową wiadomość.

Od Nicka Wexlera:

SN?

Czytaj: „Szybki numer?”.

Westchnęła. Pożałowała, że znowu pojawiła się w orbicie Nicka, ale nie chciała wyjść na wredną sukę, skoro poprosiła go o przysługę.

Odsunęła to w czasie jednym słowem:

Później?

W odpowiedzi dostała kciuk w górę i bakłażana.

Miała ochotę znowu westchnąć, ale się powstrzymała. Wróciła do pisania do Maddy. Uznała, że nie pora na matczyne połajanki. Niedośzłe kazanie zastąpiła krótkim:

Pogadamy wieczorem!

Młodziak wysiadł na dziewiątym piętrze. Nie mógł się powstrzymać i zerknął przez ramię na Leigh, ciekawy, kim jest i jak zyskała dostęp na piętro dla współników. Oczekała, aż drzwi się zamkną, i odsłoniła twarz, zostawiając maseczkę dyndającą na jednym uchu. Wzięła głęboki wdech. Wykorzystała moment samotności, żeby zebrać się w sobie.

Czekało ją pierwsze spotkanie z Andrew, odkąd ujawnił swoją prawdziwą naturę. Obłudni klienci nie byli dla niej nowością, ale bez względu na poziom sadyzmu zarzucanych im czynów, zanim stanęli w jej drzwiach, zdążyli już spotulnieć. Upokorzenie aresztowaniem, nieludzkie zamknięcie, zagrożenie ze strony więziennych wyjadaczy, świadomość, że wrócą do aresztu albo więzienia, jeśli ona im nie pomoże, dawały jej przewagę.

Do dzisiaj rana uciszała syrenę alarmową, która wyła w jej głowie od początku. Andrew Tenant miał przewagę przez cały czas, ale trochę tego czasu musiało upłynąć, zanim zrozumiała, jak do tego doszło. Obrońcy żartują, że ich największym koszmarem jest niewinny klient. Tymczasem największym koszmarem Leigh był klient, który się nie boi.

Zadzwonił dzwonek, a nad drzwiami pojawił się napis PH. Leigh założyła maseczkę. Pod windą czekała na nią szczupła starsza kobieta w czarnym kostiumie ze spodniami i czerwonej maseczce. Zupełnie jak z *Opowieści podręcznej*, tyle że w wersji Uniwersytetu Georgii.

– Pani Collier – odezwała się – pan Bradley chce pomówić z panią prywatnie w swoim gabinecie.

Leigh poczuła nagły strach.

– Klient już jest?

– Pan Tenant czeka w sali konferencyjnej, ale pan Bradley chce najpierw zamienić z panią słowo.

Żołądek Leigh zacisnął się w supeł. Nie miała wyboru, musiała pójść za kobietą przez gigantyczną otwartą przestrzeń. Patrzyła na zamknięte drzwi sali konferencyjnej. Umysł zaczął jej podsuwać coraz to gorsze scenariusze. Andrew wymusił jej zwolnienie. Andrew poszedł na policję. Andrew porwał Callie i trzyma ją jako zakładniczkę.

Niedorzeczność ostatniego scenariusza pomogła jej umieścić paranoję z powrotem w szufladce, z której wyskoczyła. Andrew był sadystycznym gwałcicielem, ale nie geniuszem manipulacji. Leigh przypomniała sobie swoje hipotezy na jego temat. Miał tylko jakieś oderwane bezładne wspomnienia z dzieciństwa i domysły w kwestii zniknięcia ojca. Najgłupsze, co mogła zrobić, to potwierdzić jego podejrzenia dziwnym zachowaniem.

– Tutaj. – Podręczna Bradleya otworzyła drzwi biura.

Chociaż Leigh odzyskała zdrowy rozsądek, momentalnie zaschło jej w ustach, ale gdy przestąpiła próg, w środku nie czekali na nią ani śledczy, ani policjanci z kajdankami. Tylko dekoracje w – jakżeby inaczej – czerwonych i czarnych barwach. Cole Bradley siedział za gigantycznym marmurowym biurkiem, na którym piętrzyły się stosy dokumentów. Jego jasnoszara marynarka wisiała na wieszaku. Rękawy koszuli były podwinięte. Nie miał na twarzy maseczki.

– Czy Andrew do nas dołączy? – zapytała.

Zamiast odpowiedzieć, Bradley wskazał jej czerwony skórzany fotel po drugiej stronie biurka.

– Proszę wprowadzić mnie w temat – powiedział.

Leigh miała ochotę skopać sobie tyłek za brak rozsądku. Bradley chciał, żeby zreferowała mu sprawę, by w obecności klienta wyjść na dobrze poinformowanego.

Usiadła, zdjęła maseczkę, otworzyła notatnik i od razu przeszła do rzeczy:

– Ofiara bez wahania rozpoznała głos Andrew. Po wysłuchaniu kilku próbek audio z męskimi głosami wskazała jego. Nie jest pewna paru rzeczy, ale przysłała biegłego śledczego, który pomógł jej to poukładać. Nazywa się Sean Burke.

– Pierwsze słyszę – rzucił Bradley.

– Ja też. Poszperam i popytam o niego, ale z tego, co widziałam, jest dobry. Nie wiem, jak wypadnie Tammy Karlsen, czyli ofiara, jednak na nagraniu z przesłuchania budzi sympatię. W wieczór napaści nie była ubrana wyzywająco, nie wypła dużo, niekarana, nie prowadziła pod wpływem, brak mandatów za przekroczenie prędkości. Solidna historia kredytowa, pożyczki studenckie prawie spłacone. Przejrzę jej konta w mediach społecznościowych. Ona ma dyplom z programowania na Georgia Tech, więc pewnie usunęła wszystko, co mogłoby ją postawić w złym świetle.

– Tech – powtórzył Bradley specyficznym tonem. Był to odwieczny rywal Uniwersytetu Georgii. – Faktycznie budzi sympatię?

– Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z brakiem zgody. Została straszliwie pobita. Podczas ataku wyraziła stanowczy sprzeciw. Same jej zdjęcia wzbudzą szczere współczucie.

Bradley skinął głową.

– Dowody?

– Jest ślad buta w błocie pasujący do nike rozmiar dziewięć znalezionych w szafie Andrew. Mogę argumentować, że „pasujący” nie oznacza „dokładnie ten”. Są ślady głębokich ugryzień, ale w ranach brak DNA. Oskarżyciel nie odważy się powołać odontologa, bo wie, że obalę ten pseudonaukowy bełkot. – Leigh urwała, żeby złapać oddech. – Gorzej z butelką po coli. Na szklanym dnie znaleźli odcisk palca Andrew. Małego palca prawej ręki. Pasuje do odcisków z zasobów GBI. Na podstawie butelki jest tylko materia kałowa i DNA ofiary. Napastnik prawdopodobnie użył rękawiczek, a lateks na małym palcu się rozdarł albo jest to butelka, której Andrew dotknął przed napaścią. Był już w tym parku.

Bradley przez chwilę analizował ostatnią informację.

– Kwestie problematyczne? – zapytał.

– Oskarżenie podejrzewa użycie rohypnolu. Mogę powołać się na czasową amnezję. Karlsen doznała wstrząśnienia mózgu, więc pourazowy zanik pamięci jest pewnikiem. Postawiłam już w stan gotowości dwóch specjalistów, którzy świetnie sobie radzą z ławą przysięgłych. – Zajrzała do notatek. – Co do nas, to zdjęcia z miejsca zbrodni są straszne. Niektórych mogę nie pokazywać, ale nawet te mniej przerażające są dla Andrew niekorzystne. Mogę spróbować podważyć identyfikację głosu, ale jak mówiłam, ofiara dwukrotnie go wskazała bez żadnych wątpliwości. Widziałam listę świadków oskarżenia. Mają eksperta od nagrań, którego bym wykorzystała, gdyby oni nie capnęli go pierwsi.

– I?

– Niemal całą resztę Karlsen przedstawia w mglisty sposób. Można to wykorzystać, żeby podważyć jej pewność przy identyfikacji głosu

Andrew. Jeśli to brzmi, jakbym szanse uniewinnienia oceniała na pięćdziesiąt procent, to właśnie tak jest.

– Pani Collier, do rzeczy – odezwał się Bradley.

Powinna być pod wrażeniem jego przenikliwości, ale wściekła się, bo Bradley w pięć minut dojrzał to, co jej zajęło cały ranek.

– Sidney Winslow daje Andrew alibi na noc napaści. Przysięgli będą chcieli wysłuchać jej zeznań.

Bradley rozparł się w fotelu, złączył opuszki palców obu rąk i powiedział:

– Pani Winslow musi zrzec się przywileju współmałżonka, żeby zeznawać. To znaczy, że Dante może spróbować ją złamać. Przewiduje pani jakiś problem?

Zazgrzytała zębami. Zamierzała wykorzystać Sidney w charakterze konia trojańskiego, który zamieni życie Andrew w zgliszcza, a jej pozwoli wyjść z tego bez szwanku i bez winy.

– Dante to nie Perry Mason^[10], ale tu wiele nie trzeba. Albo Sidney się wkurzy i chlapnie coś głupiego, albo spróbuje pomóc Andrew i też chlapnie coś głupiego.

– Za moich czasów „chlapnięcie czegoś głupiego” pod przysięgą nazywało się krzywoprzysięstwem.

Zastanawiała się, czy Bradley zachęca ją, czy ostrzega. Adwokatom nie wolno powoływać świadków, jeśli mają przekonanie, że będą kłamać. Nakłanianie do krzywoprzysięstwa było przestępstwem zagrożonym karą od roku do dziesięciu lat więzienia i wysoką grzywną.

Bradley czekał na jej odpowiedź. Ponieważ podzielił się z nią prawniczym spostrzeżeniem, więc ona po prawniczemu oddaliła jego zarzuty:

– Doradzę Sidney to, co radzę wszystkim świadkom. Trzymaj się prawdy, nie próbuj pomagać, odpowiadaj wyłącznie na zadawane pytania i nigdy nie koloryzuj.

Bradley skinął głową. Ta odpowiedź mu wystarczyła.

– Inne kwestie, o których powinienem wiedzieć?

– Elektroniczna bransoletka Andrew kilka razy przestała działać. To były fałszywe alarmy, ale ktoś może uznać, że sprawdzał czas reakcji.

– Dopilnujmy, żeby nikt tego nie powiedział – rzucił Bradley, jakby Leigh miała na to wpływ. – Pani pomocnikiem w sprawie jest...

– Jacob Gaddy – podsunęła Leigh. – Pracował ze mną przy paru sprawach. Zna się na technikach śledczych. Umie postępować ze świadkami.

Bradley potakiwał. Zachowanie równowagi płci to dobra strategia.

– Kto przewodniczy rozprawie?

– Miał być Alvarez, ale...

– Covid – dopowiedział Bradley ponuro. Sędzia Alvarez był jego rówieśnikiem. – Kiedy poznamy nazwisko nowego sędziego?

– Ciągłe ustalają nowy harmonogram. W sądzie wszystko jest wywrócone do góry nogami. Na czwartek zaplanowano wybór składu ławy przysięgłych, możliwe, że potrwa jeszcze w piątek, a proces zaczyna się w poniedziałek. Ale kto wie, czy go nie przełożą. To zależy od poziomu nowych zakażeń, od tego, czy znowu nie zamkną więzienia. Bez względu na to, będę gotowa na poniedziałek.

– Jest winny?

Zaskoczył ją tym pytaniem.

– Widzę możliwość uniewinnienia, proszę pana.

– To proste: tak czy nie?

Leigh nie zamierzała dać prostej odpowiedzi. Szykowała strategię zaważenia sprawy dla własnej korzyści, a największym błędem przestępców jest nadmierna pewność siebie.

– Możliwe.

– A pozostałe przypadki?

– Są podobieństwa między trzema innymi napaściami a atakiem na Tammy Karlsen. – Wiedziała, że krąży wokół tematu. Musiała utrzymać Bradleya w przekonaniu, że robi wszystko, co w jej mocy, żeby uzyskać uniewinnienie. – Jeśli pan pyta, czy zgwałcił tamte kobiety, powiem: możliwe. Czy Dante Carmichael może to udowodnić? Mam wątpliwości, ale jeśli udowodnią Andrew napaść na Tammy Karlsen, zamiast „możliwe” będę musiała powiedzieć „zdecydowanie tak”. Pozostanie kwestia, czy zapadnie wyrok łączny, czy dla każdej z tych spraw osobny.

Bradley myślał nad jej odpowiedzią, ciągle trzymając złączone palce.

– W latach siedemdziesiątych pracowałem przy sprawie Pończochowego Dusiciela. Pani nie było jeszcze na świecie. Na pewno pani o tym nie słyszała.

Znała tę sprawę, ponieważ Gary Carlton był jednym z najbardziej osławionych seryjnych zabójców. Został skazany na śmierć za gwałt i zabójstwo trzech starszych kobiet, ale uważano, że ma na koncie o wiele więcej takich ataków.

– Carlton nie od razu zabijał, ale na zabijaniu skończył. Wiele ofiar przeżyło. – Bradley umilkł, by się upewnić, że Leigh nadała. – Jeden z profilerów z FBI przyjrzał się tej sprawie bliżej. To było dużo później, kiedy takie rzeczy stały się modne. Ustalił, że u większości seryjnych zabójców istnieje wzorzec eskalacji. Zaczynają od fantazji, a potem

fantazja przejmuje nad nimi kontrolę. Podglądacz staje się gwałcicielem. Gwałciciel staje się mordercą.

Leigh nie powiedziała Bradleyowi, że dziś to fakty znane każdemu, kto ma konto na Netfliksie. Pomyślała o tym samym, gdy oglądała zdjęcia Tammy Karlsen z obdukcji. Atak Andrew był dziki, omal nie zakończył się śmiercią ofiary. Bez dozy przesady można powiedzieć, że kiedyś, może następnym razem, nóż uszkodzi tętnicę i ofiara wykrwawi się na śmierć.

– Trzy pozostałe przypadki – zwróciła się do Bradleya. – Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby powiązać je z Andrew. Ciekawe, co dzieje się za kulisami.

– To znaczy?

– Jakaś policjantka czy śledcza, która pracowała przy poprzednich napaściach. Może chciała oskarżyć Andrew, ale prokurator okręgowy albo szef kazał jej odpuścić.

– Jej? – zapytał Bradley.

– Kazał pan kiedyś jakiejś kobiecie odpuścić? – Leigh zobaczyła, że uszy Bradleya drgają, co było jego wersją uśmiechu. – Żaden szef nie zatwierdziłby dodatkowych godzin pracy potrzebnych do tego, żeby powiązać te trzy inne sprawy. W tej chwili wydział cienko przędzie, ledwie wystarcza pieniędzy na paliwo do radiowozów.

– Wniosek?

– Z jakiegoś powodu, może na podstawie wyciągów z kart kredytowych, nagrań wideo albo czegoś, o czym jeszcze nie wiemy, policja miała nazwisko Andrew na liście, ale brakowało im podstaw, żeby go przesłuchać. Zważywszy na jego majątek, wiedzieli, że będą mieli na to tylko jedną szansę.

Bradley wysnuł z jej słów oczywisty wniosek.

– Mogło być więcej takich ataków, o których jeszcze nie wiemy, a to znaczy, że wszystko zależy od wygranej w sprawie Karlsen.

Leigh ani na chwilę nie spuszczała z tonu.

– Wystarczy, że przekonam jednego przysięgłego, i po sprawie. Dante musi przekonać dwunastu.

Bradley wychylił się jeszcze bardziej do tyłu i założył ręce za głowę.

– Spotkałem ojca Andrew tylko raz. Gregory Senior chciał go spłacić, ale Waleski oczywiście złamał umowę. Okropny człowiek. Linda była jeszcze nastolatką, kiedy za niego wyszła. Jego zniknięcie to najlepsze, co ją w życiu spotkało.

Chętnie by dopowiedziała, że zniknięcie Buddy’ego Waleskiego było na rękę również wielu innym ludziom.

– Wezwie go pani na świadka? – zapytał Bradley.

– Mogłabym strzelić mu w pierś i oszczędzić przysięgłym wydania wyroku – skwitowała, ale przypomniała sobie, że rozmawia ze swoim szefem i musi zapewnić sobie prawne umocowanie. – Nie mogę powstrzymać Andrew, jeśli zechce zeznawać, ale powiem mu, że przegra sprawę, jeśli to zrobi.

– Zadam pani pytanie – odezwał się Bradley, jakby dotąd nie zadał ani jednego. – Zakładając, że Andrew jest winny tych napaści, ale dzięki pani ominie go kara, a potem zrobi to znowu? Albo coś jeszcze gorszego? Jak będzie się pani z tym czuła?

Leigh знаła odpowiedź, jakiej Bradley oczekiwał. Dlatego ludzie tak nienawidzili adwokatów – póki nie potrzebowali jednego z nich.

– Jeśli Andrew odejdzie wolno, poczuję, że Dante Carmichael skrewił. Udowodnienie winy leży po stronie prokuratora.

– Dobrze. – Bradley skinął głową. – Reginald Paltz. Co pani o nim sądzi?

Zawahała się. Po rozmowie z Liz wyrzuciła go z pamięci.

– Zna się na rzeczy. Świetnie rozpracował przeszłość Andrew. Prokurator niczym nas nie zaskoczy, cokolwiek wyciągnie na temat Andrew. Angażuję pana Paltza do jednej ze spraw rozwodowych, które prowadzę.

– Niech pani to odłoży – nakazał Bradley. – Na czas procesu pan Paltz pozostaje do naszej wyłącznej dyspozycji. Czeka z Andrew w sali konferencyjnej. Nie wezmę udziału w spotkaniu, ale wydaje mi się, że usłyszycie od niego ciekawe rzeczy.

[10] Perry Mason – adwokat, bohater kilkudziesięciu powieści Erle Stanleya Gardnera, inteligentny i przenikliwy, mistrz prawnych trików, specjalizuje się w obronie oskarżonych o zabójstwo. (Przyp. tłum.).

Leigh zbierała się w sobie, idąc do sali konferencyjnej. Nie próbowała zgadywać, co ciekawego usłyszy od Reggiego Paltza, i zamiast tego powtarzała w myślach swoje hipotezy na temat Andrew. W dzieciństwie znalazł za barem kamerę Buddy'ego. Po zniknięciu ojca widział, jak zaniepokojona Callie ciągle ogląda tętnicę udową w podręczniku do anatomii. Z nieznanego powodu w pewnym momencie oba wspomnienia nałożyły się na siebie i teraz Andrew odtwarza własną... i chorą... wersję zabójstwa swojego ojca.

Kropla potu spłynęła jej po karku. Im bardziej zbliżała się do sali konferencyjnej i Andrew, tym bardziej jej hipoteza traciła podstawy. Przeceniła Andrew. Nie mógł połączyć tych dwóch faktów. Geniusz zbrodni nie istniał. Leigh brakowało jednego ogniwa, elementu B łączącego A i C.

Podręczna Bradleya chrząknęła.

Leigh stała jak posąg pod zamkniętymi drzwiami sali konferencyjnej. Nieznacznie skinęła podręcznej i otworzyła drzwi.

Sala wyglądała tak samo, chociaż kwiaty w ciężkim szklanym wazonie zaczynały więdnąć. Andrew siedział na drugim końcu stołu w pobliżu kominka. Przed nim leżał zamknięty gruby segregator. Jasnoniebieski, inny od używanych w kancelarii. Reggie Paltz siedział dwa krzesła dalej. Wszystko wyglądało podobnie jak przy pierwszym spotkaniu. Reggie wpatrywał się w monitor laptopa, natomiast Andrew, marszcząc brwi, grzebał w telefonie. Nie mieli maseczek na twarzy.

Kiedy zamknęła drzwi, Andrew pierwszy podniósł wzrok. Leigh zarejestrowała moment błyskawicznej przemiany wyrazu jego twarzy: od irytacji po kompletną bezduszną.

– Przepraszam za spóźnienie. – Podeszła do stołu na sztywnych nogach. Czowała, jak jej mózg, tak samo jak przedtem, przechodzi na tryb „uciekaj albo walcz”. Miała wyostrzone zmysły i napięte mięśnie, a każda cząstka jej ciała krzyczała: „Uciekaj!”.

Zyskała trochę czasu, wyjmując długopis z kubka na komodzie, i usiadła na tym samym miejscu co dwa dni temu. Położyła przed sobą oba telefony. Wiedziała, że jedyny sposób na przetrwanie tej godziny to trzymać się ściśle tematu.

– Reggie, co masz dla mnie? – zapytała.

Jednak zamiast Reggiego odezwał się Andrew:

– Przypomniałem sobie coś, co Tammy powiedziała mi w barze.

Leigh poczuła lodowaty dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

– Co takiego?

Jej pytanie zawisło w powietrzu. Andrew w milczeniu zaczął skubać róg jasnoniebieskiego segregatora. Cisza się przedłużała, a Leigh oszacowała, że w segregatorze mieści się około stu kartek. Nie chciała poznać ich zawartości. Z drugiej strony wiedziała, że Andrew czeka na pytanie, co w nich jest.

W uszach zadźwięczał jej głos Callie:

„Nie możesz grać z kimś, kto nie chce stosować się do reguł gry”.

Leigh zrobiła coś odwrotnego. Sama nie dostosowała się do reguł gry. Unosząc brwi, ponagliła go:

– Andrew, co Tammy powiedziała ci przy barze?

Odczekał jeszcze chwilę.

– W wieku szesnastu lat została zgwałcona i miała aborcję – powiedział w końcu.

Poczuła, że jej nozdrza rozszerzają się pod wpływem szoku, gdy walczyła o zachowanie obojętnego wyrazu twarzy.

– To było latem dwa tysiące szóstego roku – ciągnął Andrew. – Chłopak był w jej grupie dyskusyjnej. Byli na obozie młodzieżowym w Hiawassee. Powiedziała, że nie mogła urodzić tego dziecka, bo wiedziała, że nigdy go nie pokocha.

Leigh zacisnęła usta. Obejrzała kadr po kadrze nagranie, które trwa dziewięćdziesiąt osiem minut, ale nie dostrzegła nic, co wskazywałoby, że Tammy Karlsen zajęta jest czymś innym, niż tylko swobodną pogawędką i flirtem.

– Zakładam, że rozumiesz wagę tej informacji? – Andrew obserwował ją uważnie, nie przestając strzelać kartkami. – Tammy Karlsen fałszywie oskarżyła chłopaka o gwałt i zamordowała swoje nienarodzone dziecko. Czy przysięgli uwierzą jej na słowo?

Leigh próbowała spojrzeć na niego, ale jawna groźba w oczach Andrew wytrąciła ją z równowagi.

– Reggie, co masz na potwierdzenie tej informacji?

Andrew znieruchomiał w oczekiwaniu.

– Taaa, hm... – Mina Reggiego mówiła sama za siebie. Leigh wiedziała, że zdobył tę informację w nieuczciwy sposób. – Andrew powiedział mi o tym, to znaczy o tym, co ona mówiła, więc namierzyłem kilka koleżanek Karlsen z czasów licealnych. Potwierdziły informację o aborcji oraz to, że Karlsen opowiadała wszystkim, że została zgwałcona.

– Zrobiły to oficjalnie? Zgodzą się zeznawać? – sondowała Leigh.

Reggie potrząsnął głową, spoglądając ponad jej ramieniem.

– Chcą pozostać anonimowe.

Leigh potaknęła, jakby przyjmowała to wyjaśnienie.

– Wielka szkoda.

– Hm – zaczął Reggie i zerknął na Andrew. – Zgodnie z prawem nadal możesz ją o to zapytać, kiedy będzie zeznawać. Czy miała aborcję? Czy już wcześniej, przynajmniej w jej mniemaniu, została zgwałcona?

Leigh bez trudu odparła jego fotelowe porady prawne:

– Trzeba przygotować grunt pod takie pytania. Ponieważ żadna z koleżanek Tammy nie chce zeznawać pod przysięgą, to ciebie, Reggie, będę musiała powołać na świadka.

Reggie poskrobał się po koziej bródce, rzucając Andrew nerwowe spojrzenie.

– Możesz inaczej wywołać ten temat. To znaczy...

– Nie trzeba, świetnie sobie poradzisz – odparła Leigh. – Opowiedz mi tylko, jak do tego doszedłeś. Ile koleżanek Tammy przepytaliśmy? Jak je znalazłeś? Rozmawiałeś z psychologiem szkolnym, który był na obozie? Czy Tammy złożyła skargę u dyrektora? Powstał raport policyjny? Jak nazywał się tamten chłopak? W którym miesiącu przerwała ciążę? W jakiej klinice miała zabieg? Kto ją tam zawiózł? Czy jej rodzice o tym wiedzą?

Reggie otarł pot z czoła wierzchem dłoni.

– Hm... yyy... ja... to znaczy...

– Kiedy będzie ci potrzebny, zrobi, co należy. – Andrew ani na chwilę nie spuścił wzroku z Leigh, odkąd weszła do sali, i teraz też nie zerwał z nią kontaktu wzrokowego. – Prawda, Reg?

Strzelanie kartkami powróciło.

Leigh widziała z drugiego końca stołu, jak Reggie przełyka ślinę. Z jego milczenia wnioskuje, że nagle zaczęły go uwierać własne przestępstwa. Słowo „przestępstwa” było jak najbardziej na miejscu. Prywatni detektywi mieli zakaz zdobywania informacji nielegalnymi sposobami, tak jak adwokatów obowiązywał zakaz wykorzystywania w sądzie nielegalnie pozyskanych informacji. Gdyby Reggie zeznawał, naraziłby się na zarzut krzywoprzysięstwa. Gdyby Leigh powołała go na świadka, wiedząc, że będzie kłamał, groziło jej to samo.

Andrew jawnie próbował wydymać ich oboje.

– Reg? – ponaglił.

– Tak. – Reggie znowu przełknął ślinę. – Jasne. Zrobię, co trzeba. Będę gotowy.

– Dobrze – powiedział Andrew. – Co dalej?

I znowu to tik, tik, tik.

– Daj mi chwilę... – Leigh wskazała pusty notatnik, pstryknęła długopisem i zaczęła pisać słowa bez ładu i składu. Andrew miał odnieść wrażenie, że na serio rozważa utratę prawa wykonywania zawodu i więzienie.

Nieobecność Cole’a Bradleya na spotkaniu wreszcie nabrała sensu. Szczwany lis nie chciał narażać się na oskarżenie o łamanie prawa, co nie przeszkadzało mu wystawiać na to ryzyko Leigh. Wcześniej nawet sondował ją w gabinecie, jak zapatruje się na nakłanianie do krzywoprzysięstwa w przypadku zeznań Sidney. Innymi słowy, w tym samym czasie musiała realizować swój tajny plan przeciw Andrew,

przewodzący przygotowania do procesu i na dodatek odgrywać teatrzyk dla Cole'a Bradleya.

– Dobrze. – W końcu zmusiła się, żeby spojrzeć na Andrew. – Przejdźmy do tego, jak masz się zaprezentować w sądzie. Chodzi o strój, o zachowanie. Musisz pamiętać, że w trakcie procedury *voir dire* kandydaci na przysięgłych obserwują każdy twój ruch. Masz jakieś pytania co do tej procedury?

Skubanie ustało. W postawie Andrew było coś niepokojącego. Nie spieszył się z zadaniem pytania.

– *Voir dire* ? – powtórzył tylko.

Leigh przełączyła się na tryb prawniczy. Objaśniała to wiele razy.

– *Voir dire* to procedura wyboru ławy przysięgłych, podczas której obie strony przepytują kandydatów, zwykle około pięćdziesięciu wybranych losowo osób. Mamy okazję, żeby przepytować każdą z nich. Sprawdzamy przeszłość, kwalifikacje, ewentualne uprzedzenia, oceniamy, czy będzie trzymała naszą stronę, czy wręcz przeciwnie.

– Skąd to wiadomo? – Andrew wytrącił ją z rytmu. Wyczuła, że zrobił to celowo. – A jeśli kłamią?

– To dobre pytanie. – Leigh urwała, żeby przełknąć ślinę. Jego głos był inny, łagodniejszy, ale nadal niski, dokładnie jak opisała go Tammy. – Wszyscy kandydaci muszą wypełnić kwestionariusz, do którego mamy wgląd z wyprzedzeniem.

– Możemy ich sprawdzić? – zapytał Andrew. – Reggie mógłby...

– Nie, mamy za mało czasu, poza tym to przynosi skutek odwrotny od zamierzonego. – Wystarczył jej jeden rzut oka na Reggiego, by wiedzieć, że zrobi wszystko, co nakaże mu Andrew. Musiała wybić im z głowy próbę zmanipulowania systemu. – Kandydaci do ławy przysięgłych odpowiadają pod przysięgą, więc muszą mówić prawdę,

a sędzia zostawia stronom dużą swobodę w szukaniu ewentualnego konfliktu interesów.

– Powinieneś wziąć doradcę – podsunął Reggie.

– Już o tym rozmawialiśmy. – Andrew skupiał całą uwagę na Leigh. – Jakie pytania zadasz?

Usłyszała wycie swojej wewnętrznej syreny alarmowej, mimo to wyliczyła kilka możliwości:

– Najpierw sędzia zada parę ogólnych pytań. Czy kandydat lub członek jego rodziny padł ofiarą brutalnego przestępstwa? Czy kandydat uważa się za zdolnego/niezdolnego do bezstronności? Potem poznamy wykształcenie kandydata, jego doświadczenie zawodowe, ewentualną przynależność do klubów czy organizacji, wyznanie, dowiemy się, czy łączy go jakieś więzi z innymi kandydatami lub osobami uczestniczącymi w procesie, czy jest gotów wysłuchać drastycznych szczegółów napaści seksualnej, czy sam kiedykolwiek był ofiarą takiej napaści.

– Rozumiem – odparł Andrew. – Muszą o tym opowiedzieć, jeśli uważają, że padli ofiarą takiej napaści?

Leigh pokręciła głową. Nie wiedziała, dokąd to wszystko zmierza.

– Czasami tak.

– Chcemy czy nie chcemy takich ludzi w składzie ławy?

– Mamy... – Leigh zaschło w gardle. – Mamy prawo zgłosić sprzeciw i...

– Najlepiej wyciągnąć z nich szczegóły. Ile mieli lat, kiedy to się stało, czy to było wykorzystanie w dzieciństwie, czy... – Andrew zawiesił głos. – Wybacz, ale jest różnica między seksem z dajmy na to nastolatką a dorosłym?

Leigh nie mogła wydobyć z siebie głosu. Patrzyła na usta Andrew. Tammy Karlsen mówiła o jego drwiącym uśmiešku pod kominiarką. A w tej chwili wyraźnie go cieszyło, że wprawia ją w zakłopotanie.

– Wydaje mi się – ciągnął – że ktoś, kto miał doświadczenia seksualne jako nastolatek, niekoniecznie uzna za coś złego seksualny kontakt dorosłych, który trochę wymknął się spod kontroli.

Leigh zagryzła wargi, żeby go nie poprawić. Nic nie wymknęło się „trochę spod kontroli”. Tammy ledwie przeżyła, a on doskonale wiedział, co robi.

– To taka luźna uwaga do przemyślenia. – Wzruszył ramionami, ale nawet ten ruch w górę i w dół był w pełni kontrolowany. – Znasz się na rzeczy. Decyzję zostawiam tobie.

Wstała i podeszła do komody. Za drzwiczkami kryła się minilodówka. Wyjęła z niej butelkę wody.

– Napijesz się? – rzuciła.

Pierwszy raz zobaczyła w jego oczach błysk, z daleka wyczuła, jak bardzo jest podniecony. Przypominał drapieżnika tropiącego zdobycz. Upajał się jej lękiem, rozkoszował niepokojem.

Odwróciła się do niego plecami. Ręce drżały jej tak bardzo, że z trudem odkręciła butelkę. Pociągnęła długi łyk i wróciła na miejsce, a także pod bezpieczny parasol dobrze przećwiczonej kwestii.

– Jak mówiłam, mamy prawo do sprzeciwu i odrzucenia określonej liczby kandydatur. Z konkretnego powodu albo dlatego, że ktoś po prostu nam nie leży. Druga strona to samo. Na koniec zostanie dwunastu przysięgłych i dwóch zmienników. To oni zasiądą w ławie przysięgłych podczas twojego procesu. – Przy ostatnim słowie zabrakło jej tchu. Zakasłała, próbując ukryć zdenerwowanie. – Przepraszam. – Czuła na sobie ponure spojrzenie Andrew, gdy sięgała po wodę. Pociągnęła łyk

i mówiła dalej: – Jeden z pracowników naszej kancelarii, Jacob Gaddy, będzie moim asystentem. Zajmie się dokumentacją i niektórymi sprawami proceduralnymi. Zlecę mu przesłuchanie paru naszych świadków. Przy stole ja będę siedzieć po twojej prawej stronie, a Jacob po lewej. On też jest twoim adwokatem, więc jeśli będziesz miał jakieś pytania czy uwagi, gdy ja będę przesłuchiwać świadków czy biegłych, zwracaj się do Jacoba.

Andrew milczał.

Leigh nie czekała, aż się odezwie.

– Podczas *voir dire* wszyscy potencjalni przysięgli będą cię obserwować. Sprawę można przegrać albo wygrać już w tamtej chwili, więc zaprezentuj się z jak najlepszej strony. Włosy starannie ułożone, paznokcie czyste, twarz ogolona. Przygotuj sobie co najmniej cztery garnitury. Spodziewam się, że proces potrwa trzy dni, ale dobrze być gotowym na niespodzianki. Wkładaj codziennie taką samą maseczkę. Ta, którą wczoraj miałeś na twarzy, z logo salonu, jest w porządku.

Reggie poruszył się na krześle.

Leigh wolała, żeby się nie odzywał.

– Na początku rozprawy sędzia może dać ci wybór, czy wolisz siedzieć w maseczce czy bez. Możemy odejść od zasad, jeśli zajdzie taka potrzeba. Zachowaj jak najbardziej neutralny wyraz twarzy. Powinieneś pokazać przysięgłym, że szanujesz kobiety. Kiedy będę mówić, słuchaj mnie. Odsuń mi krzesło. Ponieś pudła...

– Czy to nie przesada? – Reggie wybrał ten moment, żeby dodać coś do strategii obrony. – Niektórzy pomyślą, że Andy udaje, nie? A ten elegancki garnitur i ułożone włosy? Mogą nastawić przysięgłych przeciwko niemu.

– Trudno powiedzieć. – Leigh wzruszyła ramionami, ale zastanowiła ją motywacja Reggiego. Tu nie chodziło o szantaż. Gdyby Reggie był szantażowany, siedziałby cicho i pozwolił Andrew spłonąć w pożarze, który Leigh próbowała wzniecić. Zostawały pieniądze. Reggie zgodził się złożyć fałszywe zeznania. Wiedział, że ryzykuje utratę licencji, może nawet wolności. Spodziewana nagroda za to poświęcenie musiała być bardzo wysoka.

– To twój proces – powiedziała do Andrew. – I twoja decyzja. Ja tylko podsuwam sugestie.

Reggie wyskoczył z następnym pytaniem:

– Chcesz, żeby zeznawał?

– Decyzja należy do niego – odparła Leigh. – Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to nie. Nie wypadnie dobrze. Kobietom się nie spodoba.

Reggie zarechotał.

– W barze koleś nie może opędzić się od lasek. Każda zdzira wciska mu numer.

Leigh skupiła całą uwagę na Reggiecie.

– Kobiety w barach szukają w miarę czystego, pracującego faceta, który umie sklecić proste zdanie, nie robiąc z siebie idioty. Kobiety w ławie przysięgłych kierują się czymś innym.

– Niby czym? – rzucił Reggie wojowniczo.

– Współczuciem.

Reggie nie odpowiedział.

Andrew też.

Jego milczenie działało Leigh na nerwy. Spojrzała na niego, unikając jego wzroku. Siedział oparty na krześle, wyprostowany, z dłonią na

segregatorze, niby spokojny, ale jakby przyczajony do ataku. Patrzyła, jak palcami muska krawędź jasnoniebieskiego segregatora i rozwarstwa jego róg. Dłonie miał ogromne jak jego ojciec. Złoty zegarek wiszący luźno na nadgarstku przypominał jej ten, który nosił Buddy.

– Dobrze – odezwał się w końcu. – To *voir dire*. A proces?

Leigh oderwała wzrok od jego ręki. Musiała się skupić.

– Zacznie oskarżyciel i przedstawi chronologię zdarzeń. W trakcie jego wystąpienia milcz, nie kręć głową, nie manifestuj niedowierzania ani niezgody. Jeśli będziesz miał jakieś pytania albo zechcesz coś skomentować, napisz mi to na kartce, ale ogranicz się do minimum.

Andrew skinął głową, jednak nie wiedziała, czy to ma jakieś znaczenie. Bawił się nią, badał granice jej wytrzymałości.

– Jak oskarżyciel przedstawi chronologię zdarzeń? – zapytał.

Leigh odchrząknęła.

– Zilustruje przysięgłym sekwencję zdarzeń w barze. Wezwie barmana, parkingowego, mężczyznę, który znalazł ofiarę w parku. Potem przyjdzie kolej na pierwszego policjanta na miejscu zdarzenia, ratowników medycznych, później pielęgniarki i lekarkę, która robiła obdukcję, dalej detektywa, który...

– Co z Tammy? – przerwał jej Andrew. – Z tego, co mówił Reggie, zrozumiałem, że masz ją zniszczyć. Jesteś gotowa ją zniszczyć?

Coś się zmieniło. W Leigh odezwał się przedwczorajszy niepokój. Uruchomił chęć ucieczki, i to jak najszybszej. Próbowwała to ukryć i nie dać się sprowokować.

– Jestem gotowa wykonać swoje zadanie – odparła.

– Dobrze. – Andrew kilka razy zacisnął dłoń w pięść. – Zaczynaj od tego, jaka była nachalna w barze. Podkreśl, że na nagraniu widać, jak

dotyka mojej nogi, mojej ręki. W pewnej chwili dotyka nawet mojego policzka.

Leigh czekała na dalszy ciąg, ale Andrew oczekiwał jej reakcji. Wzięła do ręki długopis.

– Mów dalej.

– Wypiła trzy drinki w ciągu dwóch godzin. Podwójne martini z dżinem. Zaczęła się do mnie kleić.

Leigh skinęła mu, żeby kontynuował, i zapamiętywała każde słowo. Przez długie godziny obmyślała tajną strategię umoczenia jego sprawy, niestety Andrew jej tego nie ułatwiał.

– Mów dalej – ponagliła go.

– Na parkingu złapała mnie za szyję i pocałowała. Całe trzydzieści dwie sekundy. – Zawiesił głos, jakby chciał dać Leigh czas na wczucie się w sytuację. – Wcisnęła mi swoją wizytówkę. Ciągle ją mam. Nie prosiłem jej o numer telefonu. Sama mi go dała.

Leigh znowu skinęła głową i stwierdziła:

– Wykorzystam to w trakcie przesłuchań strony przeciwnej.

– Dobrze. – W jego głosie pojawiła się irytacja. – Przysięgli muszą się przekonać, że tamtego wieczoru miałem mnóstwo okazji do seksu. Reggie ujął to po chamsku, ale ma rację. Każda kobieta w tamtym barze poszłaby ze mną do domu.

Wiedziała, że nie może za bardzo popuścić. Reggie nie był jej kolegą, a Cole Bradley oczekiwał, że przedstawi przekonującą linię obrony.

– A jeśli prokurator będzie przekonywał, że w gwałcie nie chodzi o seks, tylko o kontrolę?

– Wtedy powiesz, że doskonale kontroluję swoje życie i mogę robić wszystko, co tylko zechcę. Mieszkam w domu za trzy miliony dolarów, mam do dyspozycji luksusowe auta i rodzinny odrzutowiec. Nie latam za kobietami, to kobiety za mną latają.

Leigh kiwała głową, zachęcając go do mówienia. Ta arogancja działała na jej korzyść. Andrew wybrał nieodpowiednią część miasta do popełnienia przestępstwa. Kandydaci na przysięgłych mieli pochodzić z grupy wyborców zarejestrowanych w hrabstwie DeKalb, w którym przeważali aktywni politycznie kolorowi, więc będą się powstrzymywać przed rozstrzygnięciem wątpliwości na korzyść takiego bogatego białego dupka jak Andrew Tenant. A ona nie zamierzała nakłaniać ich do zmiany zdania.

– Co jeszcze? – zapytała.

Andrew zmrużył oczy. Jak każdy drapieżnik miał napięte zmysły.

– Zgodzisz się chyba, że najlepiej przywołać brudną przeszłość Tammy?

Reggie wybawił Leigh z kłopotu i sam odpowiedział na to pytanie:

– Mamy słowo przeciwko słowu, nie? Trzeba spowodować, żeby przysięgli ją znienawidzili.

Leigh nie miała ochoty na polemikę z absolwentem Twitterowej Szkoły Prawa.

– To bardziej zniuansowane, niż się wydaje.

– Zniuansowane? – powtórzył Reggie. Wyraźnie chciał udowodnić, że nie bierze kasy za nic. – To znaczy?

– Niuans, czyli subtelna różnica – rzuciła Leigh, ale powściągnęła sarkazm. – To znaczy, że musisz działać bardzo ostrożnie. W ich oczach Tammy wzbudzi sympatię i współczucie.

– Nie, jeśli im powiesz, że prawie zniszczyła życie chłopakowi w liceum – odparował Reggie. – I zabiła jego dziecko.

Leigh błyskawicznie odbiła piłeczkę:

– Szczerze mówiąc, wszystko zależy od twoich zeznań. Musisz się wykazać.

Reggie otworzył usta, ale Andrew powstrzymał go gestem ręki i rzucił jak do lokaja:

– Mam ochotę na kawę. Z cukrem, bez śmietanki.

Reggie wstał. Zostawił laptopa i telefon na stole. Mijając Leigh, patrzył prosto przed siebie. Usłyszała klik, ale nie miała pojęcia, czy to cichy trzask drzwi, czy gmeranie Andrew przy segregatorze.

Andrew wiedział, że coś jest nie tak, i że w pewnym momencie stracił przewagę.

Leigh myślała tylko o tym, że nie była sam na sam z nim od czasu tamtej krótkiej wymiany zdań na parkingu. Spojrzała na długopis leżący na stole. Skatalogowała wzrokiem przedmioty znajdujące się w sali: puchary na komodzie, ciężki szklany wazon z wędnącymi kwiatami, ostra krawędź etui na telefon. Każda z tych rzeczy mogła posłużyć za broń.

Powściągnęła wyobraźnię i wróciła do bezpiecznego tematu, czyli procesu.

– A teraz omówmy...

Andrew huknął pięścią w segregator.

Leigh podskoczyła nerwowo i instynktownie napięła mięśnie. Myślała, że Andrew zerwie się z krzesła i rzuci się na nią.

Tymczasem z lodowatą miną pchnął energicznie w jej stronę segregator.

Leigh patrzyła, jak segregator sunie po gładkiej powierzchni stołu i zatrzymuje się kilkanaście centymetrów od jej notatnika. Rozpoznała złotą pieczęć Georgia Institute of Technology. Czarne litery układały się w napis „Studencka Poradnia Zdrowia Psychicznego”. Na etykiecie widniało nazwisko KARLSEN, TAMMY RENAE.

Wewnętrzna syrena alarmowa Leigh niemal zagłuszyła jej myśli. HIPAA, czyli prawo gwarantujące, że dane o stanie zdrowia są objęte tajemnicą, wchodziło w zakres działania Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. Wszelkie naruszenia tego prawa badało Biuro Praw Obywatelskich. Po stwierdzeniu, że doszło do popełnienia przestępstwa, sprawę kierowano do Departamentu Sprawiedliwości, który wszczynał postępowanie karne.

Prawo federalne. Prokurator federalny. Więzienie federalne.

Musiała kupić sobie trochę czasu.

– Co to jest? – zapytała.

– Tajne informacje – odparł Andrew. – Przeczytaj od deski do deski, a kiedy przyjdzie czas, wykorzystaj wszystkie szczegóły, żeby rozedrzeć Tammy Karlsen na strzępy.

Syrena alarmowa Leigh wyła już ogłuszająco. Dokumentacja medyczna wyglądała na oryginał, co znaczyło, że albo Reggie włamał się do pilnie strzeżonego pomieszczenia w Georgia Tech, instytucji stanowej utrzymywanej ze środków federalnych, albo zapłacił jednemu z pracowników, żeby wykradł dla niego te dokumenty. Lista przestępstw powiązanych z tego typu kradzieżą i posiadaniem skradzionej własności była tak długa, że Leigh nie potrafiła wyliczyć ich z pamięci.

Jeśli wykorzysta nielegalnie pozyskane informacje, narazi się na zarzut współudziału.

Poprawiła długopis, żeby leżał równolegle do notatnika.

– To nie *Ludzie honoru*. Ty i Reggie oczekujecie powtórki przełomowej sceny z Jackiem Nicholsonem, ale to może nastawić przysięgłych przeciwko mnie. Uznają mnie za wredną sukę.

– I co?

– Musisz zrozumieć, że na sali sądowej jestem tobą. Moje słowa, moje zachowanie, ton mojego głosu, to jesteś ty. Bo na tej podstawie przysięgli wyrabiają sobie opinię o tobie.

– Więc ty atakujesz Tammy, a ja wstaję i każę ci przestać – powiedział Andrew. – Ty niszczysz jej wiarygodność, a ja wychodzę na bohatera.

Leigh chciała tego nawet bardziej, niż mogło mu się wydawać. Najpewniej sędzia unieważniłby proces, a ona zostałaby odsunięta od sprawy.

– To dobra strategia? – zapytał.

Znowu ją sprawdzał. Mógł pójść do Cole'a Bradleya i poprosić o opinię, a wtedy czekała ją nie tylko konfrontacja z rozwścieczonym psychopatą. Od razu musiałaby poszukać innej posady.

– To jest strategia – odparła.

Andrew uśmiechnął się znacząco. Dawał Leigh do zrozumienia, że ją przejrzał, ale ma gdzieś, co kombinuje.

Serce podeszło jej do gardła.

Dlaczego miał to gdzieś? Czyżby ukrywał coś bardziej przerażającego niż kradzież informacji dotyczących intymnych szczegółów z życia Tammy Karlsen? Miał strategię, której ona nie potrafiła odgadnąć? Przypomniała sobie uwagę Cole'a Bradleya rodem z detektywistycznych seriali w Netfliksie:

„Podglądacz staje się gwałcicielem. Gwałciciel staje się mordercą”.

Andrew uśmiechnął się szerzej. Pierwszy raz od ich spotkania Leigh widziała u niego prawdziwe zadowolenie.

Urwała kontakt wzrokowy, by nie posłuchać instynktu i nie uciec z budynku. Spojrzała w notatki i przewróciła kartkę. Musiała chrząknąć, żeby móc wykrztusić słowo.

– Powinniśmy...

Powrót Reggiego nie pozwolił jej dokończyć. Reggie wolnym krokiem powlókł się przez salę, postawił parujący kubek przed Andrew i ciężko opadł na krzesło.

– Co mnie ominęło? – zapytał.

– Niuans. – Andrew pociągnął łyk i skrzywił się. – Cholera, gorące.

– To kawa – rzucił Reggie, sprawdzając telefon.

– Nienawidzę parzyć sobie ust. – Andrew znowu patrzył prosto na Leigh, dając wyraźnie do zrozumienia, że do niej kieruje te słowa. – Potem człowiek wkłada maseczkę i czuje, że nie może złapać oddechu.

– Też tego nienawidzę. – Reggie nie słuchał uważnie, ale Leigh jak najbardziej.

Czuła się jak zwierzyna złapana snopem światła. Andrew robił to samo co przedwczoraj. Wabił, podpuszczał, dotykał słabych punktów, by znaleźć sposób i w końcu ją złamać.

– Opowiem ci, jak to jest – powiedział. – Jak się nazywa to coś? Folia plastikowa? Folia spożywcza?

Leigh nagle zabrakło powietrza.

– Masz tak czasami? – ciągnął Andrew. – Jakby ktoś wyjął z szuflady rolkę folii spożywczej i owinął ci nią twarz sześć razy?

Zawartość żołądka podeszła jej do gardła. Zacisnęła zęby i poczuła w ustach resztki lunchu. Gwałtownie zasłoniła dłonią usta.

– Stary, ale dziwne porównanie – odezwał się Reggie.

– To straszne. – W jego mrocznym nieczułym spojrzeniu pojawił się błysk.

Zdołała opanować odruch wymiotny, ale żołądek wciąż jej pulsował w rytm łomotania serca. Nie mogła dłużej tego znieść. Musiała stąd wyjść, uciec, ukryć się gdzieś.

– Myślę, że... – Głos odmówił jej posłuszeństwa. – Myślę, że na dzisiaj wystarczy.

– Na pewno? – zapytał Andrew.

Na jego ustach znowu błąkał się ten uśmieszek. Mówił miękkim, ale niskim głosem. Napawał się przerażeniem Leigh, tak samo jak karmił się strachem Tammy Karlsen.

Sala zakołysała się jej przed oczami. Dostała zawrotu głowy, zamrugła i poczuła się tak, jakby wychodziła z ciała. Jej dusza wzbiła się ku niebu, a głowa rozpaczliwie szukała sposobu na wyrwanie się ze szponów Andrew. Lewą ręką zamknęła notatnik, prawym kciukiem pstryknęła długopisem, wzięła oba telefony, wstała na drżących nogach i odwróciła się w stronę drzwi.

– Harleigh! – zawołał Andrew.

Z najwyższym trudem okręciła się na pięcie.

Jego krzywy uśmieszek przeszedł w szeroki i pełen zadowolenia uśmiech.

– Nie zapomnij segregatora.

Callie czytała tekst na stronie „National Geographic” o grzywaku afrykańskim, który przeżuwa korę trującego drzewa *Acokanthera schimperi*, a potem wciera ślinę zmieszaną ze śmiertelną trucizną we włosy na grzbiecie przypominające włosy jeżozwierza. Doktor Jerry ostrzegł ją przed tym gryzoniem, kiedy na koniec dnia przeliczali utarg. Nawet jeśli zauważył więcej pogniecionych dwudziestek niż zwykle, nie dał tego po sobie poznać. Bardziej przejął się tym, że Callie nigdy nie przyjmie zaproszenia na jedną z kolacji tego kłującego gryzonia.

Odłożyła telefon na kolana i spojrzała przez okno autobusu. Ciało bolało ją jak zawsze, gdy mózg wysyłał sygnał, że dwie podtrzymujące dawki metadonu dziennie to za mało. Próbowwała ignorować głód, skupiając się na widoku słońca migającego między czubkami drzew. W powietrzu wisiała zapowiedź deszczu, więc Binx będzie się do niej garnał. Doktor Jerry przekonał ją, żeby wzięła jedną dwudziestkę jako bonus. Mogła dać ją Phil jako zaliczkę na czynsz za przyszły tydzień i coś na kolację, albo wysiąść na następnym przystanku, wrócić na Stewart Avenue i kupić tyle heroiny, żeby zadziwić samą Janis Joplin.

Autobus zahamował przed światłami. Callie odwróciła się powoli i spojrzała przez tylną szybę. Potem przyjrzała się pojazdowi stojącemu na sąsiednim pasie.

Tylko „biali kolesie”, ale żaden nie prowadził „niezłej bryki”.

Kiedy rano wymknęła się z domu matki, pojechała do doktora Jerry’ego dwiema liniami autobusowymi. Wysiadła wcześniej i poszła

do kliniki długą prostą ulicą, by sprawdzić, czy nikt jej nie śledzi. Mimo wszystko nie mogła uwolnić się od wrażenia, że jeśli się odwróci, zobaczy oko kamery śledzące każdy jej ruch.

Teraz powtarzała jak mantrę frazy, które pozwoliły jej przetrwać dzień. Nikt jej nie obserwował. Nikt nie robił jej zdjęć przez frontowe szyby kliniki. Żaden facet z profesjonalnym aparatem w garści nie czekał w opuszczonym domu na jej powrót do Phil.

Reggie.

Powinna nazywać po imieniu prywatnego detektywa Andrew, przynajmniej w myślach. Powinna zawiadomić o tym siostrę, może zamienić w zabawną anegdotkę chwilę, gdy Phil szurnęła przez ulicę z kijem bejsbolowym i tak faceta przeraziła, że wziął nogi za pas. Jednak na samą myśl o wysłaniu wiadomości do Leigh – co oznaczało, że udostępni jej swój numer – poczuła zmęczenie.

Chociaż cieszyła ją ponowna obecność Leigh w jej życiu, to było w tym też coś złego, bo zobaczyła swoją nędzną egzystencję oczami siostry. Je, ile trzeba? Bierze za dużo? Czemu jest taka chuda? Czemu tak ciężko oddycha? Czy potrzebuje pieniędzy? Może dostała za dużo? Co porabiała przez cały dzień?

„Po napuszczeniu mamy na mojego prześladowcę wymknęłam się tylnym wyjściem przez ogród, złapałam autobus, dilo wałam prochy na Stewart Avenue, przekazałam zyski doktorowi Jerry’emu, potem poszłam do solarium, żeby naszprycować się w gwarantującej prywatność małej przestrzeni, zamiast iść do domu, do przygnębiającej sypialni z czasów dzieciństwa, gdzie facet z długim obiektywem pstryknąłby mi fotę, jak znowu daję sobie w żyłę w nodze”.

Pota rła udo i trafiła palcami na bolesną gułkę. Czuła pulsujące ciepło ropnia tworzącego się na żyłę udowej.

Formalnie rzecz biorąc, metadon był przeznaczony do podawania doustnego. Strzykawki, które wydawali z kliniki do domu, były bezigłowe, ponieważ wielu opiekunów wzdragało się przed wbiciem igły swojemu pupilowi, a bez zaaplikowania konkretnych środków nie potrafiło mu pomóc w utrzymaniu właściwej wagi.

Leki doustne nie działały od razu, dlatego euforia przychodziła z opóźnieniem, ale wstrzykiwanie metadonu w żyłę było cholernie głupie. Zawiesina doustna miała w składzie glicerynę, sorbitol, barwniki i aromaty, które rozpuszczały się w żołądku. Po wstrzyknięciu tego wszystkiego do krwiobiegu cząsteczki zawiesiny mogły powędrować prosto do płuc albo serca lub wywołać paskudnego ropnia, jakiego właśnie czuła pod palcami.

Durna ćpunka.

Mogła tylko poczekać, aż ropień urośnie i sam się wchłonie, i ukraść trochę antybiotyków z szafki z lekami. Wtedy będzie mogła podprowadzić więcej metadonu, wstrzyknąć go więcej, znowu dostać ropnia, który będzie musiał się wchłonać, bo czym było jej życie, jeśli nie pasmem fatalnych wyborów?

Problem polegał na tym, że większość narkomanów przyjmujących prochy dożylnie nie była uzależniona wyłącznie od substancji. Ich uzależnienie obejmowało cały proces wstrzykiwania narkotyku. Mieli fiksację iniekcyjną. Callie była tak zafiksowana na igle, że nawet teraz, gdy dotykała palcami miejsca, w którym rozwijał się poważny stan zapalny, myślała tylko o tym, jak dobrze jej będzie, kiedy igła przebije ropień w drodze do żyły udowej.

Wyjaśnienie, dlaczego przy tej okazji znowu pomyślała o Leigh, leżało w gestii jej ewentualnych biografów. Zacisnęła palce na telefonie. Powinna zadzwonić do siostry. Dać znać, że wszystko u niej w porządku.

Tylko czy naprawdę?

Popełniła błąd i obejrzała się nago w lustrze w solarium. W niebieskawej poświacie ultrafioletu jej żebra sterczały jak fiszbinę w gorsecie. Widziała staw łokciowy, gdzie kość promieniowa i kość łokciowa łączyły się z kością ramienną. Jej biodra wyglądały, jakby ktoś przypiął jej nogi do wieszaka na spodnie. Na ramionach, na brzuchu, na nogach miała czerwone, fioletowe i niebieskie ślady. Były to pamiątki po złamanych igłach usuniętych chirurgicznie. Do tego stare ropnie i nowy na nodze oraz blizny po ranach, które sama sobie zadała, a także blizny po ranach zadanych przez innych. I różowawy guzek na szyi tam, gdzie lekarze z Grady Hospital zrobili wkłucie centralne bezpośrednio do żyły szyjnej, przez które podawali jej leki, gdy chorowała na covid.

Przeciągnęła palcem po małej bliźnie. Kiedy Leigh przywiozła ją na oddział ratunkowy, była ciężko odwodniona, nerki i wątroba odmawiały już posłuszeństwa, a żyły miała zniszczone po prawie dwudziestu latach masakrowania ich igłami. Do perfekcji opanowała sztukę wypierania wspomnień najgorszych chwil w życiu, ale nadal pamiętała, jak leży na szpitalnym łóżku i trzęsie się jak galareta, jak oddycha przez rurę, którą wsadzili jej do gardła, i jak pielęgniarka w kosmicznym kombinezonie wydaje z siebie tłumiony okrzyk na widok jej udręczonego ciała, gdy przyszła zmienić prześcieradło.

Na forach poświęconych covidowi wiele osób dzieliło się przeżyciami spod respiratora, w samotności i kompletnej izolacji na OIOM-ie, gdy świat zewnętrzny szalał, obojętny na ich cierpienie, a niektórzy mieszkańcy tego świata nawet negowali istnienie przyczyny tego cierpienia. Większość pisała, że nawiedzały ich duchy dawno zmarłych bliskich albo bez przerwy tłukła się im w głowie jakaś wkurzająca piosenka – na przykład *Wake Me Up Before You Go-Go* – ale Callie towarzyszyła jedna rzecz przez prawie całe dwa tygodnie...

Puk, puk, puk.

Brudne palce Trevora straszące nerwowe ślizgi w akwarium.

„Trev, stukasz w akwarium? Przecież prosiłam, żebyś tego nie robił”.

„Nie stukam”.

Autobus zasyczał i zahamował na następnym przystanku. Callie patrzyła na wysiadających i wsiadających pasażerów. Przez chwilę myślała o tym, jakim człowiekiem stał się Trevor Waleski. Spotkała na swojej drodze niejednego gwałciciela, w jednym nawet się zakochała, i to jeszcze przed ukończeniem gimnazjum. Ze słów Leigh wynikało, że Trevor/Andrew nie był tak olbrzymi i odpychający jak jego ojciec. Potwierdzało to jego zdjęcie na stronie internetowej. W jedynym synu Buddy'ego nie zobaczyła namolnego i nabuzowanego goryla. Andrew przypominał raczej skabera amerykańskiego, rybę, która zagrzebuje się w piasku na dnie i czatuje na ofiarę. Jak mawiał doktor Jerry, zapracowała sobie na fatalną reputację. Skabery mają ostre jadowite kolce wyrastające z płetw oraz narządy elektryczne tuż za oczami, emitujące ładunki, którymi rażą rozmaite bezkręgowce na dnie oceanu.

Leigh coś poraziło wczoraj wieczorem. Andrew przestraszył ją śmiertelnie na spotkaniu z Reggie Paltzem. Callie dobrze wiedziała, co siostra ma na myśli, mówiąc o zimnym i pustym spojrzeniu Andrew. Kiedy był dzieckiem, dostrzegła u niego symptomy rodzącej się psychopatii, ale wtedy ograniczał się do podkradania przekąsek czy szczypania jej z nienacka w ramię, gdy przygotowywała kolację. Teraz był oskarżony o sadystyczny gwałt i zranienie kobiety w nogę w taki sam sposób, w jaki ona zraniła jego ojca.

Drgnęła, gdy autobus odbił od krawężnika. Oderwała myśli od Andrew i jego przestępstw, by skupić się wyłącznie na Leigh.

Cierpiała, gdy widziała, jak siostra płacze się i miota. Wiedziała, że najgorsze dla Leigh jest poczucie braku kontroli. Wszystko w życiu miała poukładane w oddzielnych przegródkach. Maddy, Walter i Callie.

Praca, klienci i znajomi z pracy. Oraz facet na boku do szybkich numerków. Kiedy te osobne światy zaczynały się mieszać, Leigh traciła głowę. Kiedy czuła się zagrożona i podatna na ciosy, budziły się w niej krwiożercze instynkty. Prócz Callie tylko Walter potrafił wyperswadować jej działanie pod wpływem takiego wzburzenia.

Biedny Walter.

Callie kochała jej męża prawie tak mocno jak siostra. Walter był twardszy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. To on zakończył ich małżeństwo, nie Leigh. Ile razy można patrzeć, jak ktoś z własnej woli wskakuje w ogień? Kiedyś w końcu ma się dość. Callie przypuszczała, że Walter, syn pary alkoholików, nauczył się unikać bezsensownych utarczek i dzięki temu doskonale rozumiał sytuację Callie. A jeszcze lepiej rozumiał Leigh.

Jeśli Callie cierpiała na fiksację iniekcyjną, to Leigh była zafiksowana na chaosie. Niby tęskniła za normalnym i spokojnym życiem z Walterem i Maddy, ale kiedy tylko osiągała jako taką równowagę, natychmiast ją zakłócała.

Przez lata widziała dziesiątki przykładów działania tego schematu. Zaczęło się w podstawówce, gdy Leigh czekała na rozmowę kwalifikacyjną do szkoły profilowanej i straciła kolejkę, bo rzuciła się w pogoń za dziewczynką, która dokuczała Callie z powodu jej włosów.

W liceum dostała się na specjalne kursy przygotowawcze do college'u, ale została przyłapaną na dziurawieniu opon swojemu obleśnemu szefowi i wyładowała na dwa miesiące w poprawczaku. A na niecały miesiąc przed jej wyjazdem do Chicago zdarzyła się historia z Buddym, chociaż w przypadku tego wybuchu to ona podpaliła lont.

Dlaczego w dorosłym życiu Leigh nadal powielala ten wzorzec, pozostawało dla niej zagadką. Leigh miewała okresy, kiedy jako szczęśliwa matka i żona wozila Maddy do szkoły, bywała z Walterem na

przyjęciach, sporządzała cholernie mądre prawnicze analizy, występowała na sympozjach, a potem następowało jakieś błahe zdarzenie, które stawało się dla niej pretekstem do autodestrukcyjnych działań. Nigdy nie podniosła ręki na Maddy, ale prowokowała kłótnie z Walterem, wrzeszczała na asystentkę nauczyciela, była karana przez sędziego za pyskówki, albo – kiedy zawodziły inne sposoby – robiła coś nieprawdopodobnie głupiego, przez co znowu lądowała w piekle.

W gruncie rzeczy nie było wielkiej różnicy między tym, co Leigh robi ze swoim dobrym życiem, a tym, co ona robi sobie igłą.

Gdy autobus podjechał na przystanek, dźwignęła się z siedzenia i poczuła w nodze pulsowanie. Zejście po kilku schodkach wymagało nadludzkiej koncentracji. Już miała kłopot z kolanem, a do listy dolegliwości dopisała powiększający się ropień. Zarzuciła plecak na ramiona i nagle jej szyja i plecy dały o sobie znać, odsuwając ropień na dalszy plan. Ból promieniował w dół ramienia, zaczęła tracić czucie w ręce, a kiedy skręciła w ulicę, przy której stał dom Phil, myślała już tylko o tym, że dziś nie zaśnie bez kolejnej działki metadonu.

Taki zawsze był tego początek. Stopniowe zmniejszanie dawki działało, a potem stopniowo przestawało działać. Ćpun zawsze, bez wyjątku, szukał i znajdował rozwiązanie każdego problemu w igle.

Phil zajmie się Binxem. Książek nie będzie mu czytać, ale zadba o jego zdrowie, opowie mu o ptakach, może nawet uświadomi w kwestii podatków, skoro tyle czytała na forach o suwerennym obywatelstwie. Callie sięgnęła do kieszeni i trafiła palcami na jasnozielone okulary ochronne, które kupiła w solarium. Pomyślała, że pokaże je Binxowi. Nic nie wiedział o opalaniu w zamkniętym pomieszczeniu.

Otarła łzy z oczu, mozolnie pokonując ostatnie metry dzielące ją od domu matki. W kupę ktoś wdepnął i rozniósł ją na bucie po chodniku. Powędrowała wzrokiem w stronę opustoszałego domu, ale nie dostrzegła

ani błysku światła, ani ruchu, a płyta ze sklejk, która wypluła faceta z aparatem, zamknęła gardziel. Zdeptane jeżyny i zielsko znaczyły drogę jego ucieczki, odbierając Callie nadzieję, że to wszystko było wyłącznie wytworem jej oszołomionej metadonem wyobraźni.

Określiła się dookoła własnej osi.

Żadnego białego kolesia, żadnej niezłej bryki, jeśli nie liczyć audi Leigh na podjeździe za wieśniacką furgonetką Phil.

To był zły znak. Leigh nie spanikowała z powodu braku wieści od siostry, ponieważ Callie dawno temu zyskała sobie opinię niesolidnej korespondentki. Leigh spanikowała, bo stało się coś naprawdę strasznego. Inaczej nie siedziałyby w domu Phil pierwszy raz od wyjazdu do Chicago.

Callie wiedziała, że powinna wejść do środka, ale zamiast tego odchyliła głowę i patrzyła, jak słońce chowa się za czubkami drzew. Zapadał zmierzch, za kilka minut rozbłyszczą uliczne lampy, spadnie temperatura. I w końcu nadejdzie deszcz, który czuła w powietrzu.

Istniała druga Callie, która mogła od tego uciec. Kiedyś już zniknęła. Gdyby nie siostra, siedziałyby teraz z Binxem w autobusie – co jej strzeliło do głowy, że zostawi go Phil? – i omawiała wybór taniego motelu z bogatej oferty tanich moteli, zastanawiając się, który jest na tyle obskurny, że znajdzie tam dilerów, ale nie na tyle obskurny, żeby ją tam zgwałcili i zamordowali.

Jeśli miała umrzeć, chciała to zrobić na własnych warunkach.

Wiedziała, że nie może za długo snuć tych rozważań. Weszła po skrzypiących schodach na werandę i w drzwiach zobaczyła Binxa włączającego po ziemi hawajski naszyjnik ze sztucznych kwiatków. Widomy znak, że targają nim kocie emocje. Jej krocze też domagało się

uwagi, ale musiała odłożyć to na później. Ukłękła i kilka razy pogłaskała Binxę po grzbiecie, aż niewidoczna siła wciągnęła ją głębiej do domu.

W środku panowało napięcie. Roger i Brock leżeli czujni na kanapie, zamiast spokojnie sobie drzemać. Bulgotanie akwariów docierało stłumione zza zamkniętych drzwi, które Phil rzadko zamykała. Nawet ptaki w jadalni świergotały ciszej niż zwykle.

Callie zastała siostrę i matkę przy kuchennym stole. Siedziały naprzeciwko siebie. Gocki makijaż Phil zaczynał spływać. Gruba czarna kreska wokół oczu upodobniła ją do Marilyna Mansona. Leigh opancerzyła się inaczej. Włożyła dżinsy, skórzaną kurtkę i buty motocyklowe. Obie przypominały skorpiony czające się przed atakiem.

– Jaka urocza rodzinna scenka – rzuciła Callie.

– W jakie bagno wpakowałaś się tym razem, mądralo? – spytała Phil, prychnając wzgardliwie.

Leigh w milczeniu patrzyła na Callie. W jej oczach przemknęły udręka, żal, strach, złość, lęk, ulga.

– Myślałam o Spice Girls. – Callie odwróciła wzrok. – Czemu tylko Ginger nazywa się jak przyprawa?

– O czym ty, kurwa, gadasz? – warknęła Phil.

– Posh to nie nazwa przyprawy – ciągnęła Callie swój wywód. – Czemu nie nazywają się Szafran, Kardamon albo Anyż?

– Może zabrakło im tymianku – usłużnie podsunęła Leigh.

Siostry wymieniły uśmiechy.

– Walcie się obie. – Phil zrozumiała, że została wyrzucona na boczny tor. Wstała od stołu, szurając krzesłem. – Wara od mojego jedzenia. Wiem, co jest w szafkach.

Leigh skinęła głową w stronę tylnych drzwi. Musiała wyjść z tego domu.

Szyja bolała Callie niemiłosiernie od taszczenia plecaka. Bała się, żeby matka czegoś jej nie zwędziła, więc wzięła go z sobą i poszła za siostrą.

Na zewnątrz Leigh znowu skinęła głową, ale nie w stronę audi na podjeździe. Chciała się przejść, jak robiły to w dzieciństwie, kiedy przebywanie poza domem było dla nich bezpieczniejsze niż obcowanie z Phil.

Ruszyły obok siebie ulicą, a Leigh bez pytania wzięła od Callie plecak i zarzuciła go sobie na ramię. Torebkę pewnie zostawiła w bagażniku auta. Możliwe, że Phil właśnie przygląda się eleganckiemu audi i kalkuluje, czy lepiej się do niego włamać, czy rozebrać na części.

Jednak w tej chwili Callie nie zamierzała martwić się o samochód siostry, o matkę czy o cokolwiek innego. Spojrzała w niebo. Kierowały się na zachód, wprost ku zachodzącemu słońcu. Wiszący w powietrzu deszcz jakby się oddalił, a ciepło wciąż walczyło z nadciągającym spadkiem temperatury. Callie przeszedł nagły dreszcz. Nie wiedziała, czy wywołały go długotrwałe skutki covidu, wieczorne ochłodzenie czy lęk przed tym, co usłyszy od siostry.

Leigh nie zaczęła od wrzucenia bomby atomowej, tylko odczekała, aż dom matki znajdzie się daleko za nimi.

– Phil powiedziała, że cętkowana pantera nasrała na chodnik, żeby ostrzec ją przed nadchodzącym nieszczęściem.

– Dziś rano poleciała z kijem na drugą stronę ulicy i zaczęła bez powodu walić w drzwi tego pustego domu – odparła Callie, badając grunt.

– Jezu – mruknęła Leigh.

Callie zerkała na siostrę, czekając na jakąś reakcję, która zdradziłaby, że Phil wspomniała coś o facecie z aparatem fotograficznym.

– Nie uderzyła cię? – zapytała Leigh.

– Nie – skłamała Callie. A może to nie było kłamstwo. Po prostu nie zdążyła się uchylić. – Teraz jest spokojniejsza.

– To dobrze. – Leigh pokiwała głową, próbując uwierzyć, że to prawda.

Callie schowała ręce do kieszeni, chociaż nagle nabrała ochoty, żeby złapać Leigh za rękę jak w dzieciństwie. Zaciśnęła palce na okularach. Powinna powiedzieć Leigh o „białym koleśku/nieżłej bryce”. O profesjonalnym obiektywie aparatu. Powinna skończyć ze wstrzykiwaniem sobie metadonu w solariach.

Powietrze stało się rześkie, a one szły przed siebie coraz dalej. Callie widziała te same sceny co wczoraj wieczorem. Dzieci bawiące się na podwórku, mężczyźni przy piwie pod wiatami, facet myjący kolejny podrasowany samochód. Leigh nie komentowała tych obrazków. Robiła to samo co Callie na widok jej audi na podjeździe. Chciała do maksimum przeciągnąć wrażenie fałszywej normalności.

Callie nie zamierzała jej ponaglać. Facet z aparatem mógł poczekać, mogła też go przenieść do jednego z zakamarków mózgu, gdzie przechowywała resztę złych rzeczy, które ją nawiedzały. Chciała cieszyć się spokojnym spacerem. Rzadko wychodziła po zmierzchu, bo w ciemności czuła się bezbronna. Niestety na zawsze straciła możliwość szybkiego reagowania. Nie była w stanie odwrócić głowy, by sprawdzić, czy nieznajomy za jej plecami idzie i patrzy w telefon, czy pędzi w jej kierunku z bronią w ręku.

Objęła się w pasie, żeby osłonić się przed chłodem, i znowu spojrzała na drzewa. Liście drżały na wietrze, między gałązkami

przypominającymi grube palce sączył się gasnący blask słońca. Jej serce biło powoli w rytm niespiesznych kroków na stygnącym asfalcie. Gdyby do końca życia mogła zatrzymać tę chwilę i starszą siostrę u boku, byłaby szczęśliwa.

Jednak życie zwykło pisywać swoje scenariusze.

Nawet gdyby było inaczej, żadna nie miała na to siły.

Leigh skręciła w lewo w jeszcze bardziej szemraną ulicę. Callie zobaczyła zarośnięte zielskiem podwórka, dużo opuszczonych domów, coraz więcej biedy i beznadziei. Gdy spróbowała odetchnąć głęboko, powietrze zaświszczało jej w nosie, a kiedy dotarło do płuc, nabrało maślanej konsystencji. Sponiewieranej przez covid Callie każdy dłuższy dystans przypominał, że owszem, ma w piersiach płuca, ale te płuca nie działają już jak dawniej. Ciężki oddech prowokował, by wróciła pamięcią do tych dni i nocy spędzonych na OIOM-ie. Do pełnych obaw spojrzeń lekarzy i pielęgniarek. Do odległego echa głosu siostry, gdy ktoś z personelu szpitalnego przysunął jej telefon do ucha. Do natrętnego obrazu Trevora stojącego przy akwarium. I do Buddy'ego, który z hukiem otwiera drzwi do kuchni.

„Nalej mi jednego, laleczko”.

Znowu nabrała powietrza, zatrzymała je na dłużej i wypuściła.

Wtedy pojęła, dokąd prowadzi ją siostra. I nagle zabrakło jej tchu.

Canyon Road.

Ulica, przy której mieszkali Walescy.

– Wszystko w porządku. Chodź – powiedziała Leigh.

Callie oplotła się ciaśniej ramionami. Jest z nią starsza siostra, więc powinno być dobrze. I łatwiej. Wystarczy stawiać jedną stopę przed drugą. Nie ma odwrotu. Nie ma ucieczki. Parterowy dom stał po prawej

stronie. Zostawiony sam sobie bez doglądania i napraw, popadał w ruinę, niski dach zaczął się zapadać. Z tego, co Callie wiedziała, po wyprowadzce Trevora i Lindy nikt tu nie mieszkał, ale też nigdy nie zobaczyła przed domem tablicy z napisem NA SPRZEDAŻ, a Phil nigdy nie dostała zlecenia, żeby znaleźć zdesperowanych najemców gotowych zamieszkać w miejscu przestępstwa z trzema sypialniami. Callie przypuszczała, że przez jakiś czas wynajmował go jeden z wielu właścicieli slumsowych nieruchomości w sąsiedztwie, aż została tylko przeciekająca skorupa.

Kiedy podeszły bliżej, Callie dostała gęziej skórki. Niewiele się zmieniło od czasów Waleskich, naprawdę tylko trochę: podwórko od frontu było bardziej zarośnięte, musztardowa farba wżarła się w winylowy siding, wszystkie drzwi i okna były zabite deskami, a dolną część fasady pokrywały graffiti. Z tym że nie było żadnych symboli gangów, za to mnóstwo wyzwisk, obraźliwych haseł pod adresem różnych dziewczyn i galeria kutasów tryskających spermą.

– Patrz, jest na sprzedaż – rzuciła Leigh, nawet się nie zatrzymując.

Callie skrzyła całe ciało, żeby zajrzeć na podwórko. Tablicę z napisem NA SPRZEDAŻ BEZ POŚREDNIKÓW zasłaniała wysoka i gęsta szkarłatka. Może dzięki temu żaden grafficiarz go nie zabazgrał.

– Chyba stoi tu od niedawna – zauważyła Leigh.

– Znasz ten telefon? – zapytała Callie.

– Nie, ale mogę sprawdzić, kto jest właścicielem nieruchomości.

– Ja to zrobię. Mogę użyć komputera Phil.

Leigh wahała się przez chwilę.

– Dobrze, ale nie daj się przyłapać – powiedziała w końcu.

Callie przesunęła się do przodu. Dom był poza jej polem widzenia, ale czuła, jakby zmuszał ją do odwrócenia wzroku, gdy mijała z siostrą zniszczoną skrzynkę na listy. Przypuszczała, że zrobią długą pętlę z powrotem do Phil, a ona wpadnie w niekończącą się pętlę powrotu do przeszłości. Potarła szyję. Ręka jej ścierpła aż po bark. Miała wrażenie, jakby setki grzywaków afrykańskich pokłuło jej opuszki palców.

Problem z zabiegiem fuzji szyjnej polegał na tym, że szyja jest stworzona do poruszania się we wszystkich kierunkach. Kiedy chirurg unieruchamiał jeden jej odcinek, wtedy całe obciążenie brał na siebie odcinek poniżej tego miejsca i z czasem kręg się zużywał, więzadła przestawały pełnić swoją funkcję, niezrośnięty kręg przesunął się do przodu, zwykle pod kątem stykał się bezpośrednio z sąsiednim kręgiem i naciskał na nerw, powodując obezwładniający ból. Ten proces chorobowy nazywał się fachowo kręgozmykiem. Najlepszą metodą na zahamowanie go było połączenie kręgów. Po jakimś czasie kręgozmyk dotykał tego odcinka szyjnego, więc robiło się następne zespolenie. A potem kolejne.

Callie nie zamierzała poddać się kolejnej fuzji, i chociaż raz nie chodziło o heroinę. W szpitalu mogli ją odtruć, jak wtedy, gdy wylądowała z koronawirusem na intensywnej terapii. Problem leżał gdzie indziej. Po usłyszeniu świstów i rżenia w jej płucach każdy lekarz stwierdził, że ta pacjentka nie przeżyje narkozy.

– Tędy – powiedziała Leigh.

Zamiast skręcić w prawo, w drogę powrotną do Phil, Leigh poszła prosto, a Callie o nic nie pytała, tylko szła obok siostry, i w milczeniu dotarły do placu zabaw. On też niewiele się zmienił przez te lata. Większość karuzeli była zepsuta, ale huśtawki zachowały się w dobrym stanie. Leigh założyła plecak na oba ramiona, żeby usiąść na jednym z popękanych skórzanych siedzeń.

Callie obesza huśtawkę, żeby usiąść na niej twarzą w kierunku przeciwnym do siostry, a gdy to zrobiła, skrzywiła się z bólu i odruchowo położyła rękę na udzie. Przez dzinsy czuła pulsujące gorąco. Nacisnęła to miejsce kłykiem, aż ból rozszedł się po ciele jak hel wypełniający balon.

Leigh obserwowała ją, ale nie zapytała, co się dzieje. Mocno złapała się łańcuchów, zrobiła dwa kroki w tył, a potem uniosła nogi, zniknęła z pola widzenia Callie i po kilku sekundach pojawiła się znowu. Na jej twarzy nie było śladu uśmiechu.

Callie poszła za jej przykładem. Zdziwiła się, jak trudno utrzymać równowagę, gdy nie można swobodnie poruszać głową. W końcu załapała, jak to zrobić, chwyciła łańcuchy, odchyliła się i ruszyła, a siostra śmigła obok za każdym razem szybciej. Przypominały rozkołysane trąby pary pijanych słoni, gdyby słonie nie były abstynentami.

Huśtały się w milczeniu. Nie szalały, przecież miały już swoje lata, ale utrzymywały stałe tempo, które pozwoliło rozproszyć część napięcia między nimi.

– Kiedy Maddy była mała, zabierałam ją do parku – odezwała się w końcu Leigh.

Callie wpatrywała się intensywnie w ciemniejące niebo. Słońce zaszło, rozbłysły pierwsze latarnie.

– Patrzyłam, jak się huśta, i myślałam o tobie. Jak próbowałam tak się rozhuśtać, żeby zrobić pełen obrót wokół poprzeczki. – Leigh mignęła obok Callie z wyprostowanymi nogami. – Kilka razy prawie ci się udało.

– Aha, i prawie spadłam na tyłek.

– Maddy jest piękna, Cal. – Leigh urwała, gdy się minęły. – Nie wiem, czemu życie ofiarowało mi coś tak doskonałego, ale każdego dnia

z ogromną wdzięcznością dziękuję za ten dar.

Callie zamknęła oczy. Czuła na twarzy chłodny powiew wiatru, słyszała świst powietrza za każdym razem, gdy Leigh ją mijała.

– Uwielbia sport. Tenis, siatkówkę, piłkę nożną, zwyczajne rzeczy, które lubią młodzi w jej wieku.

Callie zdumiała taka zwyczajność. Dla niej ten plac zabaw był jedyną odskocznią od rzeczywistości. W wieku dziesięciu lat musiała poszukać sobie zarobkowego zajęcia po szkole, gdy miała czternaście, obsesyjnie myślała, jak zatrzymać Buddy'ego w swoim życiu, a potem jak poradzić sobie z jego śmiercią. Zabiłaby, gdyby dzięki temu mogła biegać po boisku za piłką przez cały dzień.

– Nie zależy jej na rywalizacji – ciągnęła Leigh. – Nie tak jak kiedyś tobie. Dla niej to tylko dobra zabawa. To pokolenie jest nieznośnie honorowe.

Callie otworzyła oczy. Nie mogła brnąć głębiej w tę rozmowę.

– To dużo mówi o talentach wychowawczych Phil. Żadna z nas nie była nieznośnie honorowa.

Leigh spowolniła huśtanie i odwróciła się do Callie. Nie chciała zmieniać tematu.

– Walter nienawidzi piłki nożnej, ale jest na każdym treningu i meczu.

Cały Walter. Callie to nie dziwiło.

– Maddy nienawidzi pieszych wędrówek, ale w każdy ostatni weekend miesiąca idzie z Walterem na Kennesaw Mountain, bo uwielbia spędzać z nim czas.

Callie odchyliła się na siedzeniu i machnęła mocniej nogami, żeby pofrunąć wyżej. Ubawiła ją myśl o Walterze w komicznej czerwono-

brązowej czapie i stroju w tych samych barwach, chociaż on raczej nie ubrałby się na wędrowkę jak gapowaty Elmer Fudd polujący na „kłóliki”^[11].

– Uwielbia czytać – powiedziała Leigh. – Przypomina mi ciebie z czasów dzieciństwa. Phil wpadała w szal, kiedy trzymałaś nos w książkach. Nie rozumiała, co znaczyły dla ciebie te opisywane historie.

Callie przefrunęła obok niej, jej białe tenisówki wyglądały jak zęby jadowe wbijane w ciemne niebo. Chciała trwać zawieszona pod niebem już na zawsze, nigdy więcej nie opaść i nie wracać do rzeczywistości.

– Kocha zwierzęta. Króliki, myszoscзки, psy, koty.

Callie pofrunęła w drugą stronę i przemknęła obok siostry jeszcze raz, zanim opuściła nogi i przeciągnęła stopami po ziemi. Gdy huśtawka znieruchomiła, przekręciła łańcuchy, zwróciła się twarzą do Leigh i spytała:

– Co się stało? Czemu przyjechałaś?

– Żeby... – Leigh zaśmiała się, bo nagle dotarło do niej, że to, co powie, jest głupie, ale i tak dokończyła: – Żeby zobaczyć się z siostrą.

Callie chciała dalej splątywać łańcuchy jak kiedyś, okręcać się najpierw w jedną stronę, potem w drugą, aż tak bardzo kręciło się jej w głowie, że ledwie człapała do huśtawki równoważnej i dopiero tam orientowała się, gdzie jest.

– Może taka huśtawka powinna nazywać się kręcioła, co? – zagadnęła.

– Posłuchaj... Andrew wie, jak zabiłam Buddy’ego.

Callie kurczowo zacisnęła palce na zimnych łańcuchach. I milczała.

– Siedzieliśmy w sali konferencyjnej i omawialiśmy jego sprawę – ciągnęła Leigh. – Powiedział, że przez maseczkę trudno mu oddychać. Jakby ktoś sześć razy owinął mu głowę folią spożywczą.

Te słowa zmroziły Callie krew w żyłach.

– Właśnie tyle razy...

– Tak.

– Przecież... – Callie wydobyła z zakamarków pamięci strzępki wspomnień z nocy śmierci Buddy'ego. – Andrew wtedy spał, Harleigh. Chodziłyśmy do jego pokoju i sprawdzałyśmy. Był kompletnie odurzony.

– Coś przegapiłam – stwierdziła Leigh, gotowa jak zawsze brać winę na siebie. – Nie wiem, skąd on to wie ani co jeszcze wie, ale to daje mu władzę nad moim życiem. W tej chwili nad niczym nie mam kontroli. On może zrobić, co chce, i zmusić mnie, żebym zrobiła to wszystko, czego zechce.

Callie w całej zgrozie zrozumiała, na czym polega istota nieszczęścia siostry.

– A czego on chce od ciebie? – Gdy Leigh wbiła wzrok w ziemię, Callie pomyślała, że przywykła widzieć ją złą czy strapioną, ale nigdy zawstydzoną. – Harleigh? – ponagliła ją.

– Chodzi o Tammy Karlsen, jego ofiarę. Reggie wykradł jej kartę medyczną ze studenckiego centrum zdrowia psychicznego w Tech. Raz w tygodniu przez prawie dwa lata chodziła na terapię. W dokumentacji są wszystkie prywatne informacje. Na pewno by nie chciała, żeby inni je poznali. – Leigh westchnęła ciężko. – Andrew chce, żebym je wykorzystywała i złamała Tammy podczas przesłuchania.

Callie pomyślała o swoich kartach w różnych ośrodkach odwykowych i na oddziałach psychiatrycznych. Czy Reggie też ich

szukał? Nigdy nie pisnęła ani słowa o morderstwie, ale w jej kartach były rzeczy, o których inni nie powinni czytać.

A zwłaszcza jej siostra.

– On czeka na stosowny moment, jak w filmie – ciągnęła Leigh – żeby Tammy się załamała się, a potem... Skapitulowała? Zrezygnowała? To taka zagrywka, jakby znów zapragnął zobaczyć ją w roli ofiary.

Callie nie zapytała, czy Leigh potrafi do tego doprowadzić. Z zachowania siostry domyśliła się, że jej prawniczy umysł już przygotował strategię działania.

– Co jest w karcie medycznej Tammy?

Leigh zacisnęła usta i dopiero po chwili powiedziała:

– W liceum została zgwałcona, zaszła w ciążę, miała aborcję. Nikomu o tym nie mówiła, ale odsunęła się od ludzi, straciła przyjaciół, zaczęła się ciąć. Nadużywała alkoholu, cierpiała na zaburzenie jedzenia.

– Nikt nie powiedział jej o heroinie? – wtrąciła Callie.

Leigh potrząsnęła głową. Nie miała nastroju na czarny humor.

– Jej profesor dostrzegł jakieś sygnały ostrzegawcze i wysłał Tammy do centrum zdrowia psychicznego. Przeszła terapię, która odmieniła jej życie. To widać w jej karcie. Była w totalnej rozsypce, a potem zaczęło się jej poprawiać. Odzyskała kontrolę nad swoim życiem, skończyła studia z wyróżnieniem, ma... Nie, miała dobre życie. Zrobiła to dla siebie. Wydobyła się z czarnej dziury i dała radę.

Callie zastanawiała się, czy Leigh pośrednio pyta ją, dlaczego ona w taki sposób nie poradziła sobie z życiowym kryzysem, ale za tym pytaniem kryło się zbyt wiele „gdyby”. Gdyby opieka społeczna odebrała je Phil. Gdyby to Linda była ich matką. Gdyby Leigh wiedziała,

że Buddy jest pedofilem. Gdyby Callie nie złamała kręgosłupa szyjnego i nie skończyła jako przeklęta ćpunka...

– Ja... – Leigh spojrzała w niebo i zaczęła płakać. – Moi klienci to zawsze źli ludzie, ale przeważnie nawet ich lubię. Tych skurczybyków też. Zwłaszcza skurczybyków. Rozumiem, że człowiek czasem dokonuje złych wyborów, wpada w szal i robi złe rzeczy... straszne rzeczy. – Callie milczała. Nie potrzebowała objaśnienia, o jakich strasznych rzeczach mówi siostra, która dodała jeszcze: – Andrew nie boi się wyroku skazującego. Widzę to od pierwszego naszego spotkania. On ma plan, jak się wywinąć.

Callie знаła najlepszy sposób dla Tammy. Sama rozważała go wiele razy.

– Było inaczej, kiedy czułam, że tylko ja wpadłam w tarapaty – ciągnęła Leigh. – Zrobiłam coś złego, więc powinnam siedzieć. Ale Tammy jest niewinna.

Callie patrzyła, jak Leigh kopie butem ziemię. Ta znękana kobieta w niczym nie przypominała siostry, z którą dorastała. Tamta nigdy nie odpuszczała. Kto przyszedł do niej z nożem, musiał konfrontować się z bazooką.

– Co teraz? – zapytała.

– Teraz robi się zbyt groźnie. Bierz rzeczy i kota, a ja zawiozę cię w jakieś bezpieczne miejsce. – Gdy napotkała spojrzenie Callie, powiedziała wprost: – Andrew ma mnie na widelcu. To tylko kwestia czasu, kiedy przyjdzie po ciebie.

To była właściwa chwila, żeby powiedzieć o facecie w opustoszałym domu, ale na wieść o nim Leigh mogła wpaść w paranoję, a Callie potrzebowała logicznie myślącej siostry.

– Kiedy mierzysz wysokość góry, trudniej ustalić, gdzie zaczyna się jej podnóże, niż zlokalizować wierzchołek.

– Skąd to wytrzasnęłaś? – Leigh spojrzała na nią pytająco. – Z ciasteczka z wróżbą?

Callie była prawie pewna, że zapożyczyła tę mądrość od pasjonata węgorzy.

– A na jakie fundamentalne pytanie o Andrew nie znamy odpowiedzi?

– Och. – Leigh wreszcie załapała. – Na swój użytek nazwałam to Hipotezą Andrew, ale nie mogłam znaleźć ogniwa B łączącego A z C.

– Dwie następne godziny musimy poświęcić na uzgodnienie terminologii.

Leigh jęknęła, ale wyraźnie potrzebowała takiego bodźca.

– To pytanie z dwiema niewiadomymi: co i skąd? Czyli: co wie Andrew i skąd to wie?

– Żeby rozgryźć co i skąd, trzeba zacząć od początku. – Callie potarła zdrętwiałą rękę, by przywrócić palcom czucie. Tak wiele wysiłku włożyła, żeby wyprzeć z pamięci morderstwo Buddy’ego, ale nie miała wyboru i musiała zmierzyć się z tym wyzwaniem. – Czy po kłótni z Buddym sprawdziłam, co z Andrew? Przed telefonem do ciebie?

– Tak. O to zapytałam cię zaraz po przyjeździe, bo bałam się, że jest świadek. Powiedziałaś, że zostawiłaś Buddy’ego w kuchni, poszłaś do pokoju Andrew, pocałowałaś go w głowę, a potem zadzwoniłaś do mnie z sypialni głównej. Powiedziałaś, że śpi jak zabity.

Callie zrobiła mentalną wycieczkę po brudnym domu Waleskich. Widziała siebie, jak całuje Andrew w głowę, upewnia się, że jej podopieczny śpi, idzie korytarzem do sypialni głównej i podnosi

słuchawkę różowego telefonu na nocnej szafce Lindy po jej stronie łóżka.

– W kuchni kabel był wyrwany z aparatu – powiedziała. – Jak mogłam zadzwonić z sypialni?

– Odwiesiłaś słuchawkę. Widziałam ją na ścianie, kiedy przyjechałam.

To wyjaśnienie miało sens, więc Callie uwierzyła siostrze.

– Był tam ktoś jeszcze? Jakiś sąsiad, który mógł coś widzieć?

– Kiedy to się działo? Przed wiekami, prawda? – Leigh potrząsnęła głową. – I cały ten czas cisza. Gdyby ktoś coś zauważył, już dawno by się ujawnił z tą wiedzą, a już na pewno odkąd Linda ma pieniądze. Takie informacje to gorący i kosztowny towar.

Leigh miała rację. W całej okolicy nikt nie przepuściłby takiej okazji do zdobycia kasy.

– Była chwila, kiedy obie znalazłyśmy się poza domem?

– Na samym końcu, kiedy ładowałyśmy wory na śmieci do mojego auta – odparła Leigh. – A wcześniej usunęłyśmy ślady walki. To nam zajęło cztery godziny. Co dwadzieścia minut, może częściej, sprawdzałyśmy, czy Andrew śpi.

Callie kiwnęła głową. To ona chodziła do pokoju Andrew i dokładnie pamiętała, że za każdym razem, gdy tam się zjawiała, spał na boku zwinięty w kłębek, a z jego otwartych ust dochodziło klikanie.

– Wróciłyśmy do punktu wyjścia – stwierdziła Leigh. – Ciągłe nie wiemy, ile wie Andrew i skąd to wie.

Callie sarknęła w duchu. Po co siostra jej o tym mówi, skoro doskonale zdaje sobie z tego sprawę?

– Wylicz mi wszystko z tej listy, o której mówiłaś – poprosiła po chwili milczenia.

Leigh zaczęła odliczać na palcach:

– Szukałyśmy innych kamer. Szukałyśmy innych kaset wideo. Sprawdziłyśmy wszystkie książki na półkach. Przewróciłyśmy do góry nogami meble i materace. Zajrzałyśmy do słoików. Zajrzałyśmy do wazonów. Sprawdziłyśmy kwiaty w doniczkach. Wyjęłyśmy wszystko z kuchennych szafek. Odkręciłyśmy wszystkie kratki w otworach wentylacyjnych. Ty nawet wsadziłaś rękę do akwarium. – Skończyły się jej palce u rąk.

– Może Andrew udawał, że śpi? – podsunęła Callie. – Mógł mnie słyszeć w korytarzu pod jego drzwiami. Tam skrzypiała podłoga.

– Miał dziesięć lat. Dzieci w tym wieku łatwo przejrzeć.

– My też byłyśmy dziećmi.

Leigh potrząsnęła przecząco głową.

– Pomyśl, jakie to trudne dla Andrew udawać, że nie widział zabójstwa ojca. Potem jeszcze udawać przed Lindą, która rano wróciła z pracy. Potem okłamać policjantów. I każdego, kto pytał, kiedy ostatni raz widział ojca. I udawać przed tobą, bo jeszcze przez miesiąc zajmowałaś się nim. I trzymać wszystko w tajemnicy przez tyle lat.

– To psychopata.

– Tak, ale wtedy był dzieckiem. Z punktu widzenia psychologii nawet bystre dziesięciolatki to katastrofa. Próbuje naśladować dorosłych, a popełniają dziecinne błędy. Ciągłe gubią kurtki, buty, książki. Trzeba pilnować, żeby na pewno się wykapały. I wymyślają tak idiotyczne kłamstwa, że łatwo je przejrzeć. Dziesięcioletni psychopata nie jest zdolny do takiej przebiegłości.

Czternastoletnia Callie wiedziała, jakim kiepskim kłamcą był dziesięcioletni Andrew.

– A jego dziewczyna?

– Już ci pewnie mówiłam, że nazywa się Sidney Winslow. Wczoraj w biurze Reggiego zrobiłam Andrew krótki wykład o wyjątkach od zasady przywileju współmałżonka i wyglądał, jakby miał się zesrać. Kazał Sidney poczekać na parkingu, a ona wpadła w szal. Andrew wie, że nie może jej ufać.

– To znaczy, że chyba nikomu jeszcze nie zdradził, jak naprawdę umarł jego ojciec – stwierdziła Callie. – Myślisz, że możemy ją wykorzystać, żeby go dorwać?

– To prawda, Sidney jest tu słabym ogniwem – odparła Leigh. – Jeśli założyć, że Andrew chciał ze mną pogrywać na pierwszym spotkaniu z Paltzem, to Sidney kompletnie go rozproszyła.

– Co o niej wiesz?

– W sumie nic. Owszem, znalazłam jej historię kredytową, ale żadnych rewelacji. Poprzednia adwokatka zeszłej jesieni zleciła Reggieemu, by to sprawdził. Żadnego zadłużenia, nic podejrzanego, nic obciążającego. Z tym że raport jest bardzo powierzchowny. Zwykle kiedy chcę dowiedzieć się czegoś więcej o świadku, zlecam detektywowi, żeby powęszył, popytał, pochodził za tą osobą, sprawdził jej konta w mediach społecznościowych, dowiedział się, gdzie pracuje, ale mój szef dał tę sprawę Reggieemu na wyłączność. Jeśli wynajmę jeszcze kogoś, Andrew, Linda albo mój szef zobaczą to w moich rozliczeniach i zażądamy wyjaśnień.

– Nie możesz zapłacić komuś z własnej kieszeni?

– Musiałabym użyć karty kredytowej albo rachunku bieżącego, a to zostawia ślad. Wszyscy znani mi detektywi już pracują dla firmy, więc to

natychmiast wyszłoby na jaw. Musiałabym tłumaczyć, czemu robiłam to prywatnie, nie przez firmę, i tu wracamy do Andrew, który by się o tym dowiedział. – Wyprzedziła odpowiedź Callie: – Nie możesz użyć komputera Phil do czegoś takiego. To nie jest zwykłe poszukiwanie aktu własności.

– Kamery w śródmiejskiej bibliotece były zepsute przez cały zeszły rok. Chyba nadal są. Użyję jednego z ogólnodostępnych komputerów. – Callie wzruszyła ramionami. – Tylko ja i inne ćpuny tracimy czas w klimatyzowanych pomieszczeniach biblioteki.

Leigh odchrząknęła. Nie znosiła, kiedy Callie sama nazywała się ćpunką. Bardziej nie znosiła tylko tego, że siostra faktycznie nią jest.

– „Chyba” to za mało. Upewnij się, że kamery nadal są zepsute. Nie chcę, żebyś ryzykowała. – Otarła łzy i dodała: – Ciągłe nie znalazłyśmy elementu B.

– Czyli podnóża góry – uściśliła Callie, na co Leigh przewróciła oczami. – Co Andrew wie? Skąd to wie? – powtórzyła pytania.

– I jak chce wykorzystać te informacje? Bo na Tammy nie skończy. To pewne jak cholera. On jest jak rekin, wiecznie w ruchu.

– Przeceniasz jego możliwości – zaoponowała Callie. – Ciągłe mi powtarzasz, że nikt nie jest geniuszem zbrodni. Niektórzy po prostu mają farta, nikt ich nie złapał z ręką w słoiku z ciasteczkami, a oni się nie chwala, że zwinęli ciasteczka. Przecież dziesięcioletni Andrew nie miał sekretnej dywizjonu dronów fruujących w powietrzu. Na pewno...

Leigh zeszła z huśtawki, spojrzała na ulicę, odwróciła się do siostry i powiedziała:

– Chodźmy.

Callie nie zapytała dokąd. Z jej miny wywnioskowała, że siostra na coś wpadała, więc mogła tylko ruszyć za nią.

Jej płuca nie były przygotowane na szybkie tempo marszu, więc kiedy doszły do ulicy skręcającej do domu Phil, brakowało jej tchu. Tyle że Leigh nie skręciła w lewo, ale poszła dalej prosto, czyli w stronę musztardowego domu Waleskich. Pokonanie tego odcinka zajmowało około dziesięciu minut. Callie pokonywała tę drogę wiele razy, ale w tamtych czasach nie było tu latarni i wszystko spowijała mroczna cisza. Idąc do domu matki, wiedziała, że musi zmyć z siebie to, co niedawno zaszło, zanim położy się spać.

– Dalej, dalej – ponagliła ją Leigh.

Callie walczyła z sobą, żeby wytrzymać tempo narzucone przez siostrę. Jej serce tłukło się o żebra. Wyobraziła sobie, że jest krzemieniem ocierającym się o drugi krzemień, aż powstaje iskra i serce ogarnia pożar. Tak właśnie się poczuła, gdy się okazało, że nie miną domu Waleskich i nie pójda dalej. Nie, bo Leigh skręciła w lewo na podjazd.

Szła za nią, póki stopy nie odmówiły jej posłuszeństwa, i stanęła na krawędzi wyblakłej plamy po oleju, gdzie Buddy parkował rdzewiejącą żółtą corvette.

– Calliope. – Leigh odwróciła się do niej i wyraźnie poirytowana wzięła się pod boki. – Skoro już to robimy, zaciśnij zęby i trzymaj się blisko mnie.

Jej apodyktyczny ton brzmiał tak samo jak tamtej nocy, kiedy rozczłonkowały ciało Buddy’ego Waleskiego:

„Wyjmij z auta skrzynkę z narzędziami. Idź do szopy i znajdź maczetę. Przynieś kanister. Gdzie wybielacz? Ile szmat możemy zużyć, żeby Linda nie zauważyła braku?”.

Leigh skręciła i rozpląnęła się w czerni pod wiatą.

Callie z ociąganiem poszła za nią. Mrugała, żeby oczy przyzwyczyły się do ciemności. Widziała cienie i zarys sylwetki siostry, która stała pod drzwiami prowadzącymi do kuchni.

Leigh gołymi rękami podważyła płytę ze sklejki zasłaniającej otwór drzwiowy. Była tak stara, że pękła, a Leigh chwyciła poszarpaną krawędź i zaczęła ciągnąć do siebie, aż odgięła ją na tyle, że mogła włożyć pod nią rękę, sięgnąć gałki i otworzyć drzwi.

Callie spodziewała się znajomej woni wilgoci i stęchlizny, ale zamiast tego poczuła smród amfy.

– Jezu. – Leigh zatkała nos, gdy uderzyła ją w nozdrza woń amoniaku. – Chyba koty tu urzędują.

Callie nie wyprowadzała jej z błędu. Wiedziała, po co Leigh tu przyszła, ale wyobraziła sobie, że ta wiedza jest kartką papieru, którą ona składa najpierw w trójkąt, potem w kształt latawca, a wreszcie nadaje jej formę łabędzia origami, który sunie ku rejonom ukrytym głęboko w niedostępnych zakamarkach jej pamięci.

– Chodźmy. – Leigh przestąpiła deskę i znalazła się w kuchni Waleskich pierwszy raz od dwudziestu trzech lat.

Nawet jeśli targały nią jakieś emocje, nie dała tego po sobie poznać. Wyciągnęła rękę do siostry i czekała.

Jednak Callie nie wzięła jej za rękę. Kolana ugięły się pod nią, łzy popłynęły z oczu. Nic nie widziała w ciemności, ale usłyszała trzask otwieranych drzwi, mokry kaszel Buddy'ego, prask neseseru o kuchenny blat. A potem łoskot krzesła kopniętego pod stół i bębnienie okruszków spadających z ust, bo gdziekolwiek Buddy był, tam generował hałas.

Znowu zamruła, a Leigh pstryknęła palcami przed jej nosem i powiedziała:

– Cal, przez miesiąc wytrzymałaś z Andrew w tym domu i udawałaś, że nic się nie stało, więc możesz poudawać jeszcze przez dziesięć minut.

Callie wytrzymała tylko dlatego, że podprowadzała alkohol z butelek za barem.

– Calliope, ogarnij się, do diabła.

Głos Leigh był twardy, ale zaczynał się łamać. Na nią ten dom też działał. Po dwudziestu trzech latach wróciła na miejsce ich zbrodni. Nie tyle dyktowała Callie, co ma robić, ile błagała ją na wszystkie świętości, żeby pomogła jej przez to przebrnąć.

W jednym czasie tylko jedna z nich mogła się rozklejać.

Callie złapała ją za rękę i uniosła nogę, ale kiedy tylko przekroczyła rozłupaną sklejkę, Leigh mocnym szarpnięciem wciągnęła ją do środka.

Callie wpadła na siostrę. Coś chrupnęło jej w szyi. Poczowała w ustach smak krwi.

– Nic ci się nie stało? – zapytała Leigh.

– Nic. – Ból, który ją dopadł, później uśmierzy igłą. – Mów, co mam robić.

Leigh wyjęła z tylnych kieszeni dwa telefony i uruchomiła funkcję latarki. Snop światła padł na zleżające linoleum. Cztery wyraźne wgłębienia wskazywały, gdzie stał kuchenny stół Waleskich. Callie patrzyła na nie tak długo, że poczuła swoją twarz wciśniętą w blat i Buddy'ego za plecami.

„Laleczko przestań się wiercić nie ruszaj się żebym mógł...”.

– Cal? – Leigh wyciągnęła do niej rękę z telefonem.

Wzięła go i zaczęła oświetlać kolejne fragmenty kuchni. Stół i krzesła zniknęły. Mikser i toster też. Drzwiczki szafek wisiały na

urwanych zawiasach. Pod zlewem nie było rur. Zniknęły gniazdka elektryczne, bo ktoś dobrał się do miedzianych przewodów w ścianach.

Leigh skierowała snop światła na barankowy sufit. Callie poznała stare plamy po zalaniu, ale wyżłobienia po wyrwanych przewodach były nowe. Światło musnęło górne części szafek. Po obwodzie kuchni biegła podsufitka. Kratki maskujące otwory wentylacyjne były zdjęte. Kanał wentylacyjny ział czarną pustką, ale błysnął, kiedy zimne światło padło na metal we wnętrzu jego gardzieli.

Callie poczuła nagle, że łąbędz origami się ożywia. Otworzył spiczasty dziób, jakby chciał podzielić się jakimś sekretem, ale zaraz go zamknął, opuścił głowę i odpłynął ku innym niewykorzystanym wspomnieniom Callie.

– Sprawdźmy tam. – Leigh wyszła z kuchni i skierowała się do salonu.

Callie powlokła się za nią i stanęła na środku pokoju. Nie było w nim wytartej pomarańczowej kanapy, skórzanych klubowych foteli z dziurami po papierosach w podłokietnikach, gigantycznego telewizora tworzącego wierzchołek trójkąta. Tylko kable wisiały jak zwinięty wąż.

Bar w kącie się ostał.

Mozaika odpadła, potłuczone kawałki leżały na podłodze. Przydymione lustra były popękane. Callie usłyszała za sobą odgłos buciorów, a potem zobaczyła Buddy'ego, który przemierzał pokój wielkimi krokami. Chwalił się forszą za nowe zlecenie, strzepując okruchy ciastka z koszuli.

„Nalej mi jednego, laleczko”.

Zamrugła i obraz zniknął, zastąpiony innym. Zobaczyła roztrzaskane lufki do koki, kawałki spalonej folii, zużyte strzykawki i cztery zaplamione materace na dywanie tak starym, że trzeszczał pod

nogami. Kiedy zdała sobie sprawę, że jest w przybytku prochów, poczuła, jak pory jej skóry ściągają się w rozpaczliwym wołaniu o igłę, która zatopi łabędzia origami serią fal czystej białej heroiny.

– Callie, pomóż mi! – zawołała Leigh.

Niechętnie opuściła narkotykowe sanktuarium. Siostra stała na końcu korytarza. W łazience nie było drzwi i Callie zobaczyła potłuczoną umywalkę. Stąd też ktoś ukradł rury. Leigh oświetlała sufit.

Mijając sypialnię Andrew, usłyszała skrzypienie drewnianej podłogi. Nie mogła zadrzeć głowy.

– Co to jest? – zapytała.

– Właz na strych – odparła Leigh. – Nie zauważyłam go wcześniej. Nie przeszukałyśmy strychu.

Callie cofnęła się i odchyliła, żeby spojrzeć na nieduży kwadratowy właz. Bok kwadratu miał niewiele ponad pół metra. Ponieważ jej cała wiedza o poddaszach pochodziła z horrorów oraz lektury *Dziwne losy Jane Eyre*, zapytała:

– Nie powinno tu być jakichś schodów?

– Nie, idiotko. Podsadź mnie, to wleżę tam.

Callie bez namysłu kucnęła i splotła dłonie.

Leigh postawiła stopę w powstałym zagłębieniu. Szorstka podeszwa jej buta drapała dłonie Callie. Leigh podparła się o bark siostry, testując, ile może wytrzymać taka konstrukcja.

Piekący ból przeszył szyję i plecy Callie. Zacisnęła zęby i zaczęła drzeć, zanim Leigh stanęła na jej dłoniach całym ciężarem.

– Nie podniesiesz mnie, prawda?

– Dam radę.

– Nie dasz. – Leigh postawiła nogę z powrotem na podłodze. – Wiem, że drętwieje ci ręka, bo ciągle ją rozcierasz. Nie możesz normalnie odwrócić głowy. Pomóż mi podsunąć tu materace. Ułożymy jeden na drugim i...

– Złapiesz żółtaczkę albo coś gorszego – ostrzegła Callie. – Nawet ich nie dotykaj. Jest na nich sperma i...

– A jakie mam wyjście?

Callie знаła rozwiązanie.

– Ja tam wejść – oznajmiła.

– Nie pozwolę ci...

– Po prostu mnie podsadź, dobra?

Wahanie Leigh trwało za krótko jak na gust Callie. Już zapomniała, jaką zaciekłość miała w sobie dawna Leigh. Teraz kucnęła i splotła dłonie, tworząc schodek. Kiedy coś sobie założyła, parła do celu jak taran. Nawet poczucie winy nie mogło jej powstrzymać przed kolejnym straszliwym błędem.

A instynkt podpowiadał Callie, że cokolwiek odkryje na strychu, to będzie straszliwy błąd.

Położyła telefon na podłodze, by oświetlał punktowo sufit. Nie chciała wspominać, ile razy stawiała stopę na splecionych dłoniach piętnastoletniego chłopca, który unosił ją wysoko, a ona przypominała balerinę na wieczku pozytywki. Zaufanie, jakiego wymagała ta figura, było wypadkową ciężkiego treningu i szaleństwa.

Minęło dwadzieścia lat. Teraz, żeby unieść nogę, a jednocześnie utrzymać równowagę, musiała jedną ręką oprzeć się o ścianę, a drugą o ramię Leigh. O gracji ruchów przy podnoszeniu nie było mowy. Callie

zrobiła wykop wolną nogą, zaparła się tenisówką o ścianę, żeby się nie przewrócić. W tej pozycji przypominała muchę złapaną w sieć pająka.

Nie mogła odchylić się na tyle, żeby zobaczyć, co ma tuż nad głową, ale uniosła ręce i zlokalizowała położenie włazu dotykiem. Przycisnęła dłonie do jego środka i pchnęła, ale właz ani drgnął. Albo był zamalowany, albo tak stary, że zespolił się z obudową. Walnęła w niego pięścią na tyle mocno, że impuls bólowy dotarł do każdego zakątka jej kręgosłupa. Zacisnęła powieki, walcząc z parkosyzmami szarpiącego bólu, i waliła we właz, aż drewno pękło pośrodku.

Brud i kawałki izolacji obsypały jej twarz. Palcem wytarła oczy i nos. Promień światła z telefonu wniknął do odsłoniętego wnętrza.

Leigh podniosła ją wyżej. Callie zobaczyła, że właz nie był zamalowany. Sterczały z niego gwoździe. Lśniły metalicznie w promieniach latarki.

– Wyglądają na świeże – powiedziała Callie.

– Zejdz – poleciała Leigh. Nie była ani trochę znużona dźwiganiem Callie. – Podciągnę się tam i...

W odpowiedzi Callie stanęła jej na ramionach i wetknęła głowę do środka jak surykatka. Coś cuchnęło, ale tym razem nie była to metamfetamina. Wiewiórki albo szczury, albo i jedno i drugie, uwiły sobie gniazda w wąskiej przestrzeni strychu. Na pierwszy rzut oka Callie nie potrafiła ocenić, czy nadal tu mieszkają.

Wiedziała natomiast, że niski sufit nie pozwoli jej stanąć. Odstęp między krokiewi podtrzymującymi dach a belkami stropowymi, pod którymi wisiał sufit, oceniła na jakieś sześćdziesiąt centymetrów. Nachylony dach zmniejszył tę przestrzeń do dwudziestu centymetrów przy zewnętrznych ścianach domu.

– Nie schodź z belek, bo spadniesz przez sufit – upomniała ją Leigh.

Jakby Callie dziesiątki razy nie widziała Toma Hanksa w *Skarbonce*.

Odchyliła zniszczony właz, zasłaniając wystające gwoździe. Leigh podsadziła ją z dołu, ale ręce Callie i tak drżały, gdy podciągnęła się na tyle, żeby zgiąć się w pasie na krawędzi włazu. Na brzuchu wpełzła do środka ruchem gąsienicy, a Leigh pomagała jej z dołu, popychając nogi.

– Zaczekaj – powiedziała Leigh.

Nie miała wyjścia, musiała zaczekać.

Na poddaszu rozbłysło światło. Raz, drugi, trzeci. Z dochodzących odgłosów Callie domyśliła się, że Leigh podskakuje. Albo próbowała sama zajrzeć do wnętrza, albo stroboskopowymi efektami chciała spotęgować i tak już upiorną atmosferę.

– Co ty wyprawiasz? – zapytała Callie.

– Zostawiłaś telefon na podłodze – wyjaśniła Leigh. – Patrząc, gdzie mogę go wrzucić.

Callie znieruchomiała. Musiała leżeć na brzuchu i czekać. Na szczęście akurat pod biodrami miała jakiś element konstrukcji położony między belkami. Coś plastikowego i szorstkiego. Stykała się z tym czymś nagim brzuchem, ponieważ koszulkę z napisem „Troskliwe Misie” rozdarła na gwoździu. Kolejne ubranie do śmietnika.

– Rzucam! – zawołała Leigh i po kilku głośnych uderzeniach telefon pofrunął w stronę Callie. – Dosięgniesz?

Pomacała przestrzeń za sobą i przekonała się, że siostra rzuciła celnie.

– Mam go – potwierdziła.

– Widzisz coś?

– Jeszcze nie. – Światło nie rozwiązało całego problemu. Z tej pozycji Callie nie mogła spojrzeć przed siebie. Nosem prawie dotykała

regipsu tworzącego sufit poniżej, a z każdym oddechem wciągała w płuca drobinki izolacji. Wsunęła telefon do tylnej kieszeni, bo musiała mieć wolne ręce, żeby sprawdzić, czy dźwignie się na czworakach. Prawa dłoń i prawe kolano na jednej belce. Lewa dłoń i lewe kolano na drugiej. Sufit poniżej czekał na jej błąd. Gdyby spadła, strzaskałaby sobie kolejny krąg.

Nie spadła, ale mięśnie zaprotestowały, gdy utknęła w rozkroku nad czterdziestocentymetrową przestrzenią między belkami. Kiedyś skakała na równoważni, kręciła pełne obroty na chwiejnym drążku gimnastycznym, układami skoków pokonywała salę po przekątnej, ale żaden mięsień w jej ciele nie zachował pamięci tamtych ruchów. Gardziła sobą za tę dożywotnią słabość.

– Cal? – zawołała Leigh z wyczuwalnym niepokojem. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Lewą ręką podciągnęła lewe kolano, to samo zrobiła z prawą ręką i prawą nogą. Sprawdzała, czy może poruszać się tak po belkach. – Na razie nic nie widzę. Myszkuje dalej.

Leigh nie odpowiedziała. Pewnie wstrzymywała oddech, chodziła od ściany do ściany albo szukała innego sposobu, żeby zamortyzować całą winę uwięzioną w tym domu przez ponad dwie dekady.

Callie telefonem oświetliła to, co przed nią, zobaczyła coś i powiedziała trochę niepewnie:

– Ktoś tu niedawno był. Izolacja jest oderwana.

Leigh już o tym wiedziała, dlatego chciała wejść na strych. Musiały znaleźć odpowiedź na fundamentalne pytania. Takiej terminologii powinni używać ci, którzy czołgają się po strychu, zamiast durnego brakującego B, które łączy A z C.

„Co wie Andrew? Skąd to wie?”.

Callie na razie ignorowała te fundamentalne pytania, wyobrażając sobie łąbiedzia origami z gracją płynącego pod prąd, który ściągnął go na dno. Świadomie zbudowała sobie życie na fundamencie luksusu niemyślenia z wyprzedzeniem, jednak teraz działała wbrew tej wieloletniej zasadzie i posuwała się naprzód na czworakach, trzymając się izolacji, która rozstąpiła się jak Morze Czerwone. Na dnie morza leżał cienki szary kabel, poprzegryzany na kawałki przez szczury. Biedaki nie mają łatwo. Zęby rosną im przez całe życie, więc muszą je ścierać i w tym celu gryzą kable, tak samo jak niemowlęta gryzą grzechotki, chociaż niemowlęta nie roznoszą hantawirusa.

– Cal? – zawołała Leigh.

– Wszystko dobrze – skłamała Callie. – Przestań pytać.

Zatrzymała się na chwilę. Próbowwała uspokoić umysł, wyrównać oddech, skupić myśli na zadaniu. Nie pomogło. Znowu ruszyła ostrożnie przed siebie. Ocierała się plecami o grubo ciosane krokwie dachowe, gdy pod skosem dachu zrobiło się ciasniej. Wiedziała, że znalazła się nad kuchnią. Każdy mięsień w jej ciele też to wiedział. Próbowwała unieść rękę, ale nie mogła oderwać jej od belki. Próbowwała unieść nogę. Noga też jej nie posłuchała.

Kropla potu spłynęła jej po nosie i skapnęła na regips. Duchota na strychu oplotła ją gorącymi mackami, które sięgnęły szyi i zaczęły powoli zaciskać się na niej. Następna kropla potu dołączyła do poprzedniej. Callie zamknęła oczy i wyobraziła sobie kuchnię kondygnację niżej:

Włączone światła, odkręcony kran, krzesła wsunięte pod stół. Neser Buddy'ego na blacie. Ciało Buddy'ego na podłodze.

Poczuła gorący oddech na karku.

Goryl wrócił. Był tuż za nią, łapał za ramiona, dyszał prosto w ucho, przybliżył wargi. Śmierdział tanią whisky, cygarami i tym swoim:

„Nie ruszaj się laleczko nie mogę przerwać przepraszam maleńka tak mi przykro odpręż się rozluźnij po prostu oddychaj”.

Otworzyła oczy i zaczerpnęła haust gorącego powietrza. Ręce drżały jej tak mocno, że mogły jej dłużej nie utrzymać. Położyła się na boku na wąskiej belce jak kot balansujący na oparciu kanapy i spojrzała na spód dachu. Tam, gdzie na zewnątrz leżał gont, z drewna sterczały gwoździe. Plamy po wodzie krążyły nad jej głową jak mroczne myśli w formie bąbli.

Piękny łąbędź origami zniknął pożarty przez złowieszczy goryla, ale Callie nie mogła dłużej taić prawdy.

Skierowała snop światła nie na wprost, lecz w bok, uniosła się na łokciu i spojrzała za siebie, w stronę wejścia na poddasze. Plastikowa deska do krojenia scalała dwie belki. Callie dotknęła brzucha. Nadal czuła, gdzie żłobkowany plastik podrapał jej skórę, gdy wczołgiwała się do środka.

Pamiętała olbrzymią deskę do krojenia w kuchni Lindy Waleski. Jednego dnia leżała na blacie, następnego dnia zniknęła. Wtedy na swój użytek znalazła proste wyjaśnienie. Linda mogła stwierdzić, że łatwiej taką deskę wyrzucić, niż myć.

Teraz pojęła. Buddy zakosił deskę, żeby zrealizować swój sekretny projekt.

Oświeciła pogryziony przez szczury kabel, który biegł w stronę deski. Od razu domyśliła się, że na niej stał odtwarzacz wideo. Wiedziała, że szary trzyżyłowy kabel RCA był podłączony do gniazdek z przodu urządzenia. Czerwona wtyczka do gniazdka prawego kanału audio. Biała – do lewego. Żółta – do gniazdka wideo. Poprzegryzany

kabel spleciony w jeden długi przewód biegł z powrotem w jej stronę i skręcał w lewo.

Ruszyła jego tropem. Systematycznie przesuwiała łokieć, a potem całe ciało, aż zmieniła pozycję i leżała w poprzek belek zamiast wzdłuż. Przestrzeń stała się jeszcze ciaśniejsza. Callie poświeciła, żeby obejrzeć górną stronę płyty regipsowej, ale zobaczyła tylko fragment chropawej brązowej powierzchni. Wsadziła telefon do kieszeni i strych pogrążył się w ciemności.

Uważnie przejechała palcami po płaskiej powierzchni i niemal od razu wyczuła nieduże wgniecenie. Coś odcisnęło ślad w miękkim regipsie. Coś o średnicy pięciu centymetrów, jak pierścień ustawiania ostrości w kamerze. Takiej samej, do jakiej był podłączony koniec przegryzionego kabla biegnący do brakującego odtwarzacza.

Usłyszała na dole jakiś ruch. Leigh była w kuchni, a Callie słuchała jej kroków i chrzęstu piasku pod nogami. Leigh stała tam, gdzie dawniej był stół z krzesłami. Kilka kroków w przód i znalazłaby się przy zlewie. Kilka kroków w tył i znalazłaby się przy ścianie, na której w tamtych czasach wisiał telefon.

– Callie? – Leigh skierowała świecący telefon w górę. Promień światła przeniknął do środka przez otwór w suficie. – Co znalazłaś?

Callie milczała.

Znalazła odpowiedź na oba fundamentalne pytania.

Andrew wiedział wszystko, ponieważ wszystko widział.

[11] Elmer Fudd/Chłopek Roztropek, postać z serii kreskówek *Looney Tunes* (*Zwariowane melodie*), gapowaty myśliwy, który nie wymawia „r”. (Przyp. tłum.).

Środa

Leigh spojrzała na zegarek. Była punkt ósma, trwał poranny szczyt na drogach. Siedziała za kierownicą audi, ale pierwszy raz od dawna nie miała wrażenia, że tonie. Poczucie ulgi kłóciło się z odkryciem, jakiego Callie dokonała zeszłego wieczoru na strychu Waleskich, ale Andrew już wcześniej dał wyraźnie do zrozumienia, że zna szczegóły zabójstwa ojca. Dotąd nie wiedziała, skąd o tym wie, i ta niepewność doprowadzała ją do szaleństwa. A skoro już odkryła „skąd”, Andrew stracił część władzy nad nią.

Fakt, że właśnie Callie dała jej tę przewagę, napawał ją jeszcze większą satysfakcją. Luźno rzucona uwaga siostry, że Andrew nie dysponuje sekretnym dywizjonem dronów fruujących w powietrzu, nasunęła jej pewną myśl. Jako osiemnastolatka żałośnie mało wiedziała o konstrukcji domu. Dom miał ściany, podłogi, sufity, z kranów leciała woda, z gniazdek płynął prąd, i tyle. Nigdy nie musiała szukać zaworu odcinającego wodę, bo w domu awaria, a mąż wybrał się na weekend w odwiedziny do mamusi. Nigdy nie musiała chować na strychu prezentów pod choinkę przed ciekawską i bystrą małą dziewczynką.

Odkąd Andrew ponownie zjawił się w jej życiu, nieustannie odtwarzała w pamięci szczegóły tamtej koszmarnej nocy. Dręczyło ją pytanie, co przegapiły. Do tamtej chwili na huśtawkach nie przeszło jej przez myśl, że szukały wszędzie, tylko nie na górze.

Dalej nie było już zaskoczeń. Przez całe liceum przed każdym Bożym Narodzeniem pracowała w dziale ze sprzętem audiowizualnym w Circuit City. Sprzedawcy byli na prowizji, więc wkładała obcisłą koszulkę i tapirowała włosy, żeby zwabić nieszczęśliwców, którzy w ostatniej chwili wpadali do sklepu po kosztowny prezent dla żony, a tak naprawdę dla siebie. Tym sposobem sprzedawała dziesiątki kamer Canon Optura, do tego pokrowce, statywy, kable, zapasowe baterie, kasety VHS, ponieważ na minikasetach mieściło się tylko dziewięćdziesiąt minut nagrania, więc albo kasowało się poprzedni film, nagrywając coś nowego, albo robiło się kopię.

Callie zrobiła kilkanaście zdjęć instalacji Buddy'ego, ale Leigh wiedziała, jak to wygląda, zanim siostra zeszła ze strychu. Jeden koniec kabla RCA był podłączony do kamery, drugi do magnetowidu. Wystarczyło włączyć kamerę oraz funkcję nagrywania w magnetowidzie, i od razu powstawała kopia zapasowa. Zdjęcia Callie odświeżyły Leigh pamięć. Przypomniała sobie pilota znalezionego w kieszeni spodni Buddy'ego. Cisnęła nim wtedy wściekle o podłogę, aż odpadła osłonka na baterie.

Buddy nie chodził przez cały dzień z pilotem w kieszeni. Specjalnie go tam włożył, tak jak specjalnie schował minikasetę z kamery przy barze w paczce po cygaretkach Black & Mild. Fakt, że włączył nagrywanie w kamerze ukrytej nad stołem kuchennym przed awanturą z Callie, w świecie prawa nazywał się premedytacją. Buddy Waleski włączył kamerę tylko dlatego, że idąc do kuchni za Callie, już wiedział, że zrobi jej krzywdę.

Teraz jego syn miał to na kasecie.

Leigh wyliczyła w myślach wszystko, czego Andrew Tenant nie zrobił z nagraniem. Nie poszedł na policję. Nie pokazał Cole'owi

Bradleyowi. Nie skonfrontował jej z tym dowodem. Nie powiedział o tym nikomu, kto mógłby to chcieć wykorzystać.

A co zrobił? Zmusił Leigh do czegoś, czego zrobić nie chciała. Po pierwsze, zabrała z sali konferencyjnej medyczną kartę Tammy Karlsen. Po drugie, przeczytała raport z jej terapii i ułożyła, przynajmniej w myślach, plan wykorzystania tych informacji, żeby zniszczyć Tammy na sali sądowej.

Jak dotąd jej jedynym przestępstwem było posiadanie skradzionych dokumentów. Zarzut łagodził fakt, że była adwokatką Andrew i nie doradziła mu kradzieży, nie zrobiła też z tymi dokumentami niczego nielegalnego, a skoro tak, to skąd mogła wiedzieć, że zostały skradzione? Każdy posiadacz drukarki mógł nadać im pozór oficjalności. Przy odrobinie wolnego czasu można wygenerować sto trzydzieści osiem stron podsumowania ponad sześćdziesięciu rzekomych sesji terapeutycznych.

Czekając na zielone światło, Leigh rzuciła okiem na torebkę, z której wystawała teczka. Można by powiedzieć, że cały materiał tam zawarty przybrał postać klasycznej powieści. Miażdżący ból pierwszych sesji Tammy, proces otwierania się aż do punktu, w którym zaczęła opowiadać o horrorze i wstydzie związanym z tym, co ją spotkało w liceum. Potknięcia na drodze do przejęcia kontroli nad piciem, cięciem się, bulimią, nieudane próby godzenia się z faktami, powolne uświadamianie sobie, że nie zmieni przeszłości, ale może zbudować swoją przyszłość.

Z karty medycznej Tammy Karlsen wyłonił się obraz inteligentnej, przenikliwej, dowcipnej i zdeterminowanej dziewczyny, ale czytając tę dokumentację, Leigh myślała tylko o jednym: dlaczego jej siostra nie mogła tego dokonać?

Racjonalna część Leigh rozumiała naturę uzależnienia. Wiedziała, że dwie trzecie nadużywających oksykodon to głupie małolaty eksperymentujące z prochami, a nie pacjenci z przewlekłymi bólami, którzy się wciągnęli. W grupie pacjentów bólowych uzależniało się mniej niż dziesięć procent. Cztery do sześciu procent przrzucalo się na heroinę. Ponad sześćdziesiąt procent wyrastało z uzależnienia albo przechodziło proces naturalnego zdrowienia, kiedy zmęczeni nałogiem znajdowali drogę wyjścia, z czego jedna trzecia bez leczenia. Co do systemu leczenia, to stacjonarne ośrodki odwykowe były statystyczną porażką, a ruch Anonimowych Narkomanów okazał się bardziej fiaskiem niż sukcesem. Metadon i suboxone były najlepiej przebadanymi lekami podtrzymującymi, ale lekarze ordynujący wspomaganą terapię podlegali tak surowym regulacjom, że w pierwszym roku mogli pomóc tylko setce pacjentów, a później nie więcej niż dwustu siedemdziesięciu pięciu.

Tymczasem około stu trzydziestu Amerykanów dziennie umierało z powodu przedawkowania.

Callie znała te dane lepiej niż inni, ale nawet one nie skłoniły jej do zerwania z nałogiem. A przynajmniej nie na długo. W ciągu minionych dwudziestu lat wykreowała własny świat, w którym wszystko, co nieprzyjemne czy dokuczliwe, można zgłuszyć opioidami albo celowym wyparciem, zupełnie jakby jej emocjonalne dojrzewanie zatrzymało się w chwili, gdy połknęła pierwszą tabletkę oksykodonu. Otoczyła się zwierzętami, które jej nie skrzywdzą, książkami z happy endem i ludźmi, którzy wcale jej nie znali. Nie korzystała z Netflixa i nie uprawiała internetowego melanzu. Nie zostawiała żadnych cyfrowych śladów, z rozmysłem trzymała się na peryferiach nowoczesnego świata. Walter kiedyś powiedział, że jeśli ktoś rozumie odniesienia do popkultury sprzed dwa tysiące trzeciego roku, wtedy zrozumie Callie.

Nawigacja w aucie nakazała skręt w lewo za następnymi światłami. Leigh zjechała na pas do skrętu i machnęła uprzejmie do kierowcy, który chciał to zrobić pierwszy. Zignorowała go, gdy pokazał jej środkowy palec i zaczął wrzeszczeć.

Czekając na zmianę świateł, stukała palcem w kierownicę. Po wczorajszym wieczorze mogła tylko modlić się, żeby siostra nie leżała gdzieś z igłą w żyłę. Callie wyglądała jak upiór, gdy zeszła ze strychu. Szczękała zębami i kompulsywnie pocierała ramiona. Kiedy dotarły do domu Phil, Callie tak bardzo chciała wejść do środka, że bez oporu podała Leigh numer swojego telefonu.

Leigh nie zadzwoniła kontrolnie ani nie napisała wiadomości. Niewiedza była niemal gorsza od wiedzy. Odkąd Callie przedawkowała pierwszy raz, Leigh dręczyło mroczne przeczucie: telefon w środku nocy, walenie do drzwi, policjant z czapką w dłoni informujący ją, że musi jechać do kostnicy, by zidentyfikować ciało młodszej siostry.

„To moja wina. To moja wina”.

Dzwonek prywatnego telefonu przerwał te ponure rozważania. Leigh włączyła guzik na kierownicy i skręciła w lewo.

– Mamo! – zawołała Maddy.

Serce podskoczyło jej w piersi. Wpadła w panikę, bo Maddy dzwoniła tylko wtedy, gdy działo się coś złego.

– Z tatą wszystko w porządku? – zapytała nerwowo.

– Tak – odpowiedziała Maddy, zirytowana, że Leigh podsuwa jej taką myśl. – Czemu w ogóle pytasz?

Zjechała do krawężnika. Wiedziała, że jeśli zacznie się tłumaczyć, Maddy uderzy w cierpiętnicze tony, czekała więc, aż córka powie, z czym dzwoni.

– Mamo, w weekend Necia Adams urządza w domu małe przyjętko, tylko dla pięciu osób, na zewnątrz, nie w domu, więc będzie bezpiecznie i...

– Co powiedział tata, kiedy go spytałaś?

Maddy w wyczuwalny sposób się zawahała. Nie mogłaby zostać prawnikiem procesowym.

– Powiedział, żebyś zapytała mnie, tak? Porozmawiam z nim o tym dziś wieczorem.

– To tylko... – Maddy znowu się zawahała. – Mama Keely odeszła.

Leigh zmarszczyła brwi. W ubiegły weekend widziała Ruby, matkę Keely.

– Odeszła?

– Tak. Właśnie próbuję ci to powiedzieć. – Maddy najwyraźniej sądziła, że Leigh już o tym wie, ale na szczęście zaraz wypełniła lukę informacyjną: – W środku nocy pani Heyer i pan Heyer kłócili się i strasznie na siebie wrzeszczeli, ale Keely to zignorowała, sama rozumiesz. Dziś rano, kiedy zeszła na śniadanie, tata powiedział jej coś w stylu, że mama potrzebuje trochę czasu dla siebie, zadzwoni do ciebie później, oboje bardzo cię kochamy, i że ma spotkania na Zoomie przez cały dzień, a Keely się martwi, to chyba normalne, więc sobie pomyślałyśmy, że spotkamy się w weekend, żeby podtrzymać ją na duchu.

Leigh poczuła, że jej usta wykrzywia paskudny uśmiezek. Przypomniała sobie wredne teksty Ruby na szkolnym przedstawieniu. Pańcia szybko doceni wartość tak zwanej edukacji miejskiej, kiedy przyjdzie jej płacić połowę czesnego za naukę Keely w prywatnej szkole.

Tego nie mogła powiedzieć swojej córce.

– Przykro mi, skarbie. Czasem ludziom po prostu się nie udaje.

Maddy milczała. Przywykła do dziwnego układu między Leigh a Walterem, bo zrobili jedyną rzecz, jaką rodzice mogli zrobić w dziwnych czasach: starali się zachować pozory normalności.

Taką przynajmniej Leigh miała nadzieję.

– Mamo, nie rozumiesz. Chcemy pocieszyć Keely, bo pani Heyer zachowuje się debilnie. – Maddy wyrażała się tak ostro tylko wtedy, gdy buntowała się przeciwko niesprawiedliwości. – Nie odezwała się do Keely, nie zadzwoniła. Przesłała tylko esemesa w stylu: zrób lekcje, pogadamy później, na razie. Keely strasznie się przejęła. Ciągłe płacze.

Leigh pokręciła głową, bo ze strony matki to było straszne świństwo. Potem zastanowiła się, czy Maddy nie próbuje jej czegoś powiedzieć.

– Skarbie, pani Heyer na pewno niedługo zadzwoni do Keely. Tata i ja rozstaliśmy się, a ty nie możesz się od nas uwolnić.

– O tak, lepiej nie mogłaś tego ująć. – Maddy brzmiała zupełnie jak Callie. Oczy Leigh wezbrały łzami. – Mamo, kończę już. Zaraz muszę być na Zoomie. Obiecujesz, że pogadasz z tatą o imprezie?

– Postaram się. Wieczorem do ciebie zadzwonię. – Nie zwróciła córce uwagi, że wsparcie grupowe przeszło w imprezę. – Kocham...

Maddy się rozłączyła.

Leigh przyłożyła palce pod oczy, starając się nie rozmazać tuszu. Oddzielenie od córki ciągle sprawiało jej fizyczny ból. Nie wyobrażała sobie, żeby jej matka kiedykolwiek czuła taką tęsknotę. Niektóre pająki bardziej od niej troszczyły się o swoje potomstwo. Gdyby Maddy wyznała Leigh, że jakiś dorosły mężczyzna położył jej łapę na nodze, nie kazałaby jej następnym razem odepchnąć tej łapy, tylko chwyciłaby strzelbę i odstrzeliła facetowi łeb.

Nawigacja migiała. Leigh przybliżyła obraz i zobaczyła teren Capital City Country Club, jednego z najstarszych prywatnych klubów towarzyskich na Południu. Okolica ociekała pieniędzmi, gwiazdy hip-hopu i koszykarze mieszkali wśród przysłowiowych starych fortun. Znała to miejsce tylko dlatego, że kilka lat temu Maddy namówiła ją na szukanie domu Justina Biebera, kiedy jeszcze tu mieszkał.

Wyłączyła nawigację i wróciła na drogę. Mijane rezydencje oszałamiały nie z powodu piękna, lecz ostentacji. Nie mogłaby mieszkać w domu, gdzie szukanie dziecka wzrokiem trwało dłużej niż pół minuty.

Jechała East Brookhaven Drive, mijając po lewej pole golfowe. Wiedziała, że po drugiej stronie pola ciągnie się West Brookhaven Drive. Idąc piechotą, mogła przeciąć teren zielony, obejść jezioro, minąć korty i budynek klubu, i znalazłaby się kilka przecznic od Little Nancy Creek Park.

Dom Andrew, wart trzy miliony sto tysięcy dolarów, stał przy Mabry Road. W akcie własności figurował Tenant Family Trust, do którego należała też ruina przy Canyon Road, gdzie ponad dwadzieścia lat temu mieszkali Walescy. Leigh nie chciała czekać, aż Callie zbierze się w sobie i poszuka tych informacji, a potem przekaże jej swoje ustalenia. Zrobiła to sama dziś rano przed wyjściem z domu. Gdyby cyfrowy ślad tych poszukiwań wzbudził czyjeś zainteresowanie, zawsze mogła powiedzieć, że sprawdzała nieruchomości należące do Andrew na wypadek, gdyby ta kwestia wypłynęła na rozprawie. Nikt nie zarzuci jej nadmiernej gorliwości.

Zwolniła, żeby odczytać numery na skrzynkach na listy niemal tak okazałych, jak same domy. Skrzynka Andrew była połączeniem bielonych cegieł, stali i cedru. Umieszczony na niej świecący neon pokazywał numer domu, bo kto bogatemu zabroni wydać na skrzynkę pocztową więcej niż większość ludzi wydaje na swoje prawdziwe domy.

Leigh wjechała na teren rezydencji przez otwartą bramę. Podjazd prowadził na tył domu, ale zaparkowała od frontu. Chciała, żeby Andrew ją widział.

Tak jak się spodziewała, dom był jedną z supernowoczesnych budowli ze szkła i metalu. Przypominał miejsce akcji w szwedzkim thrillerze. Obcas Leigh zostawił czarną rysę na nieskazitelnie białym podjeździe, gdy wysiadła z auta. Następne kroki specjalnie stawiała tak, żeby zostawić po sobie więcej takich pamiątek. Miała nadzieję, że po jej odjeździe Andrew będzie czyścił te ślady szczoteczką do zębów.

Jedynym zielonym elementem architektury krajobrazu były przystrzyżone kanciasto krzewy. Białe marmurowe płyty prowadzące pod drzwi przypominały płyty nagrobne. W przerwach między płytami rosły kępki konwalnika płaskopędowego. Raził w oczy swoją zielenią na tle bieli marmuru. Gdyby mogła przyprowadzić tu przysięgłych, żeby obejrzeni te włości, natychmiast skorzystałaby z tej okazji.

Pokonała trzy niskie schody, stanęła pod przeszklonymi drzwiami i zobaczyła wewnątrz na przestrzał. Białe ściany. Lśniaca betonowa podłoga. Stalowa kuchnia. Basen. Kosz plażowy. Kuchnia zewnętrzna.

Przy drzwiach był dzwonek, ale wybrała inny sposób. Załomotała w szklane drzwi dłonią, potem odwróciła się i spojrzała w stronę ulicy. W rogu okapu wisiała kamera. Leigh przypomniała sobie z nakazu przeszukania, że policja dostała pozwolenie wglądu do nagrań z urządzeń monitorujących otoczenie domu. Tak się jakoś korzystnie dla Andrew złożyło, że przez cały tydzień system nie działał.

Usłyszała tłumiony stukot ciężkich obcasów na betonowej posadzce.

Odwróciła się i zobaczyła Sidney Winslow, która zmierzała ku drzwiom krokiem supermodelki Elle Macpherson. Dzienna wersja jej gockiego wizerunku była stonowana. Sidney miała lekki, prawie naturalny makijaż, obcisłą szarą spódnicę, granatową jedwabną bluzkę

i buty idealnie dopasowane do niej kolorem. Bez skóry i reszty gockich dodatków była atrakcyjną młodą kobietą.

Otworzyła drzwi. Leigh poczuła powiew chłodnego powietrza z wnętrza klimatyzowanego domu.

– Andrew się ubiera – oznajmiła Sidney. – Stało się coś?

– Nie, muszę omówić z nim kilka spraw. Mogę wejść? – Nie czekając na pozwolenie, weszła do środka. – Rany, ale przestrzeń.

– Wariactwo, nie? – Sidney odwróciła się, żeby zamknąć drzwi.

Leigh przezornie pokonała połowę holu, zanim usłyszała trzask zamka. Nie ma nic bardziej niepokojącego niż wtargnięcie obcego w przestrzeń prywatną.

Tyle że to nie była prywatna przestrzeń Sidney. A przynajmniej na razie. Według Reggiego, który pobieżnie ją prześwietlił, Sidney miała mieszkanie w Druid Hills, gdzie studiowała na ostatnim roku na Uniwersytecie Emory’ego. To, że akurat ta dziewczyna studiuje psychiatrię, Leigh postanowiła obśmiać w stosowniejszej chwili.

Szła korytarzem, który miał co najmniej sześć metrów. Na ścianach wisiały artystyczne zdjęcia półnagich kobiet oraz obraz malarza z Atlanty, który słynął z portretów żylastych, okrytych potem ogierów. Był na nie popyt wśród singli, którzy przyozdabiali nimi swoje rezydencje. Cała jadalnia była nieskazitelnie biała. Gabinet, salon od frontu, pokój dzienny były tak oślepiająco monochromatyczne, jakby zajrzało się za zamknięte drzwi szpitala dla obłąkanych z lat trzydziestych.

Kiedy dotarły na drugi koniec domu, oczy Leigh zaatakowała feeria barw. Na całej ścianie, od podłogi do sufitu, pyszniło się akwarium. Za grubą taflą szkła pływały wielkie tropikalne ryby, a przed nim stała biała skórzana kanapa niczym punkt obserwacyjny. Leigh przypomniała sobie,

jak Callie zanurzyła rękę w czterdziestolitrowym akwarium, które urządziła w pokoju dziennym Waleskich. Najpierw jednak opłukała zakrwawione dłonie pod bieżącą wodą. Bała się, że rybki zachorują.

– Super, nie? – Sidney pisała coś w telefonie, ale skinęła głową w stronę akwarium. – To dzieło tego samego gościa, który robił coś w Atlanta Aquarium. Andrew ci o tym opowie. Lubi ryby. Napisałam mu, że jesteś.

Leigh obejrzała się. Uświadomiła sobie, że to jej pierwsza prywatna rozmowa z narzeczoną Andrew, oczywiście jeśli nie liczyć inwektyw, którymi Sidney obrzuciła ją na parkingu.

– Słuchaj – zaczęła Sidney, jakby czytała w jej myślach – przepraszam za tamto. To wszystko było strasznie wkurzające. Andy jest czasem jak zagubiony szczeniaczek i budzi we mnie instynkt opiekuńczy.

– Rozumiem. – Leigh pokiwała głową.

– Czuję, jakby... – Sidney rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami. – O co w tym wszystkim chodzi? Co gliny do niego mają? Czepiają się, bo ma kasę i jeździ superbrykami? Czy to jakaś wendeta za pracę Lindy w komitecie covidowym?

Leigh ciągle nie mogła nadziwić się białym bogaczom, którzy przyjmowali, że system zawsze działa, póki sami nie wpadli w jego tryby. Wtedy działanie systemu stawało się spiskiem, którego ofiarą padli.

– Miałam klienta, którego aresztowali za kradzież kosiarki. Umarł na covid w więzieniu, bo nie było go stać na pięćset dolarów kaucji w gotówce – powiedziała.

– Był winny?

Leigh potrafiła rozpoznać beznadziejny przypadek.

– Robię wszystko, co mogę, żeby pomóc Andrew.

– Mam, kurwa, nadzieję. Słono ci płaci. – Sidney wsadziła nos w telefon, zanim Leigh obmyśliła celną ripostę.

Ponieważ została jawnie zignorowana, wykorzystała okazję, żeby podejść do przeszklonej ściany z tyłu domu. W stronę basenu prowadziły takie same marmurowe płyty, a wzdłuż nich rosły tak samo przycięte kanciaste krzewy. Taras też był wyłożony białym marmurem. Wszystkie meble ogrodowe, czyli cztery leżaki i cztery krzesła wokół szklanego stołu, też były białe. Ta przestrzeń nie zachęcała do wypoczynku. Wszystko wyglądało na nieużywane. Nawet trawa wyglądała sztucznie. Jedynie ogrodzenie ze stali i cedru okalające posiadłość przełamywało ten monochromatyzm.

Gdyby miała dar przekuwania swoich obserwacji w poezję, napisałaby wiersz o domu, który jest lodowatym ucieleśnieniem duszy Andrew.

– Harleigh.

Odwróciła się powoli. Andrew znowu zakradł się niepostrzeżenie, ale tym razem jej nie przestraszył. Otaksowała go chłodno. W przeciwieństwie do domu był cały na czarno, od czarnego T-shirtu aż po czarne dresowe spodnie i klapki na nogach.

– Musimy pogadać – oznajmiła.

– Sid? – Podniesiony głos Andrew odbił się od pustych zimnych powierzchni. – Sid, jesteś tu? – Wszedł do holu, rozglądając się za narzeczoną.

Leigh zobaczyła, że włosy na czubku głowy ma jeszcze mokre. Pewnie dopiero wyszedł spod prysznica.

– Założę się, że pojechała wybierać tort weselny – powiedział. – Zaplanowaliśmy kameralną uroczystość na dziś wieczór. Tylko mama

i parę osób z salonów. Chyba że też zechcesz przyjść?

Milczała. Chciała się przekonać, czy zdoła wprowadzić go w zakłopotanie.

Beznamiętna mina Andrew nie zmieniła się ani na jotę.

– Powiesz, po co przyjechałaś? – zapytał w końcu.

Pokręciła głową. Już znalazła się w jednej kamerze. Nie chciała znaleźć się w drugiej.

– Na zewnątrz.

Andrew uniósł brwi, ale chyba go to nawet bawiło. Otworzył przeszkłone drzwi, a cała ściana okien złożyła się jak ogromna harmonijka.

– Ty pierwsza.

Ostrożnie przestąpiła próg. Marmur miał nierówną teksturę i nie dawał stabilnego oparcia wysokim obcasom, więc zdjęła szpilki, zostawiła je przy drzwiach i bez słowa ruszyła w stronę basenu. Nie zatrzymała się na skraju marmurowego tarasu, tylko zeszła po schodach wzdłuż znikającej krawędzi. Sztuczna murawa kłuła ją w stopy, ale była jeszcze wilgotna od porannej rosy. Słyszała za sobą ciężkie kroki Andrew. Czy taki odgłos towarzyszył Tammy Karlsen, gdy szedł za nią do parku? Czy była już wtedy skuta? Miała w ustach knebel, żeby nie krzyczała? A może była zbyt odurzona i nie wiedziała, że powinna krzyczeć?

Tylko on znał prawdę.

Teren za domem miał rozmiar połowy boiska. Leigh stanęła pośrodku, w połowie drogi między basenem a ogrodzeniem. Słońce już prażyło, murawa pod nogami robiła się gorąca.

– Podnieś ręce – powiedziała.

Z uśmiechem na ustach wykonał jej polecenie.

Leigh obszukała mu kieszenie, tak jak przeszukała Buddy'ego w kuchni. Znalazła sztyft ochronny do ust, ale nie portfel, klucze czy telefon.

– Ubierałem się do pracy – wyjaśnił Andrew.

– Nie wzięłeś tygodnia wolnego, żeby przygotować się do procesu?

– Moja prawniczka ma wszystko pod kontrolą. – Jego niepokojący uśmiezek był sztuczny jak murawa pod stopami Leigh. – Przeczytałaś dokumentację medyczną Tammy?

Leigh wiedziała, do czego zmierza Andrew.

– Miała problem z nadużywaniem alkoholu. Kiedy była z tobą, wypijała dwie i pół szklaneczki martini.

Andrew przybrał konfidencjonalny ton.

– I powiedziała, że była kiedyś zgwałcona. Nie zapominaj o tym. Przysięgłym w moim wieku nie spodoba się też, że miała aborcję.

– Spodziewasz się, że przysięgli będą twoimi rówieśnikami. Zabawne. – Leigh nie dała mu czasu na odpowiedź. – Ile miałeś lat, kiedy zostałam twoją opiekunką?

– Ja... – Pytanie go zdeprymowało. Zaśmiał się, żeby pokryć zakłopotanie. – Sześć? Siedem? Powinnaś wiedzieć lepiej ode mnie.

– Miałeś pięć lat, ja miałam trzynaście. Dobrze pamiętam, bo dopiero co wyszłam z poprawczaka. Wiesz, czemu tam wylądowałam?

Andrew obejrzał się na dom. Chyba dotarło do niego, że to Leigh dyktuje warunki tej rozmowy, a on je przyjął.

– Oświeć mnie.

– Jakaś dziewczyna dokuczała Callie z powodu fryzury. – „Fryzura” była eufemistyczną nazwą tego, co Phil zrobiła z włosami Callie. Kompletnie pijana złapała nożyczki i ostrzygła ją prawie do gołej skóry. – Znalazłam kawałek szkła, poszłam za nią na przerwie, przewróciłam ją i tym szkłem cięłam jej kudły, aż głowa zaczęła krwawić.

– I? – Patrzył na nią zafascynowany.

– Zrobiłam to obcej dziewczynie, która mnie wkurzyła. Jak myślisz, co zrobię tobie?

Milczał przez chwilę, potem parsknął śmiechem.

– Nic mi nie zrobisz, Harleigh. Myślisz, że masz jakiś plan, ale nie, nie masz go.

– Buddy kazał ci umieścić kamerę na strychu. – Gdy spojrział na nią zaskoczony, dodała: – Nie przecisnąłby swojego tłustego dupska przez ten właz, więc tobie kazał tam wejść.

Andrew milczał, a Leigh wiedziała, że w końcu trafiła w czuły punkt, i poszła za ciosem:

– Linda wystawiła dom na sprzedaż za pośrednictwem agencji nieruchomości w maju dwa tysiące dziewiętnastego roku. Miesiąc później spotkałeś w CinéBistro swoją pierwszą ofiarę.

Andrew zacisnął mocno szczęki.

– Wtedy musiałeś sobie przypomnieć, że umieściłeś na strychu kamerę Buddy’ego. – Wzruszyła jednym ramieniem. – Chciałeś ożywić synowsko-ojcowską więź. A teraz jesteś gwałcicielem jak on.

Andrew rozluźnił szczęki. Znowu spojrział na dom. Kiedy odwrócił się do Leigh, w jego oczach pojawiły się mroczne błyski.

– Oboje wiemy, że Callie świetnie wiedziała, co robi.

– Kiedy to się zaczęło, miała dwanaście lat, a Buddy miał prawie pięćdziesiąt. Nie wiedziała, co...

– Uwielbiała to – wpadł jej w słowo. – Powiedziała ci o tym, Harleigh? Uwielbiała, co tata jej robił. Wiem, bo co wieczór leżałem w łóżku i słuchałem, jak jęczy i powtarza jego imię.

Walczyła z sobą, żeby utrzymać nerwy na wodzy. Bez trudu przypomniawszy sobie błagalny szept Callie, która martwiła się o Buddy'ego i zapewniała Leigh, że nie będzie się gniewał, jeśli mu pomogą.

„On mnie kocha, rozumiesz? Wybacz mi”.

– Co do strychu, to masz rację. Tata kazał mi tam wejść kilka tygodni przed tym, jak go zamordowałaś.

Leigh poczuła, że oblewa ją zimny pot. Dlatego przyprowadziła Andrew z dala od kamer, monitorów i ciekawskich oczu. Miała dość kontredansa wokół tematu, dość odgrywania komedii dla Reggiego.

– Mówił po co? – zapytała.

– W sąsiedztwie były włamania. – Zaśmiał się sarkastycznie, jakby żałował swojej dziecięcej niewinności. – Tata powiedział, że to dla bezpieczeństwa, na wypadek, gdyby ktoś się włamał. Byłem głupi, że mu uwierzyłem.

– Nigdy nie grzeszyłeś inteligencją – skwitowała.

Zamrugął, a ona zobaczyła w nim tamtego bezbronnego małego chłopca, który zawsze płakał, gdy wydawało mu się, że jest na niego zła.

Kiedy znowu zamrugął, wrażenie uleciało.

– Co wie Sidney? – zapytała.

– Wie, że ją kocham. – Wzruszył ramionami, jakby musiał czymś skwitować to kłamstwo. – Na tyle, na ile umiem kochać.

– A Reggie?

– Reggie jest lojalny wprost proporcjonalnie do zasobności mojej kieszeni.

Zesztywniała, gdy Andrew się poruszył, ale tylko kucnął, by wygładzić sztuczną trawę wgniecioną w jednym miejscu, po czym spojrzał na Leigh.

– Callie go kochała. Powiedziała ci to, prawda? Kochała go, on kochał ją. Mogli być razem szczęśliwi. A ty im to odebrałaś.

Nie była w stanie dłużej słuchać tych bredni.

– Czego chcesz, Andrew? – spytała.

Powoli wstał i wygładził niewidoczne fałdki w spodniach.

– Chcę być normalny. Chcę się zakochać, ożenić, mieć dzieci, mieć takie życie, jakie bym miał, gdybyś nie odebrała mi ojca.

Leigh zaśmiała się. Fantazja Andrew była kompletnie niedorzeczna.

– Buddy nie znosił...

– Nie waż się śmiać. – Znowu nastąpiła w nim zmiana, ale tym razem nawet nie próbował ukryć groźby. – Wiesz, co spotyka kobiety, które śmieją się ze mnie?

Śmiech uwiązał jej w gardle. Spojrzała w stronę domu, potem w stronę ogrodzenia. Myślała, że odizolowane miejsce na rozmowę to dobry pomysł, ale teraz dotarło do niej, że stworzyła mu okazję do ewentualnego ataku.

– Wiem, co kombinujesz, Harleigh. – Gdy przysunął się do niej, poczuła jego miętowy oddech. – Chcesz tak manewrować prawem, żeby wyglądało, jakbyś mnie broniła, a staniesz na głowie, żeby posłać mnie do więzienia.

Spojrzała mu w oczy. Za późno się zorientowała, że popełniła błąd. Była jak sparaliżowana. Dotąd nie widziała tak jawnej wrogości. Czowała, że za chwilę dusza ujdzie z jej ciała. Jak każdy drapieżnik, Andrew wykorzystywał słabość potencjalnej ofiary. Nie mogła wykonać ruchu, gdy wyciągnął rękę i przycisnął dłoń do jej serca. Waliło jak młot, tłukąc o wnętrze jego dłoni. Jak gumowa piłka odbijająca się od twardej powierzchni.

– Tego chcę, Harleigh. – Uśmiechnął się, gdy wargi jej zadrżały. – Masz się bać, że w każdej chwili mogę wysłać tę kasetę na policję i wszystko, co masz – to twoje idealne fałszywe życie mamuśki z wywiadówkami, szkolnymi przedstawieniami i twoim głupim mężem – zniknie tak samo jak moje, kiedy zamordowałam mojego ojca.

Zrobiła krok w tył. Miała wrażenie, że Andrew zaciska dłonie na jej szyi. Pot spływał jej strużkami ze skroni. Zacisnęła zęby, żeby nie dzwoniły.

Przyglądał się jej z zainteresowaniem. Nie opuścił ręki, jakby cały czas przyciskał ją do serca Leigh. Potem powolnym ruchem dotknął swojej twarzy. Zamknął oczy i wziął głęboki wdech, jakby chciał wciągnąć w nozdrza jej zapach.

– Z więzienia nie wyślesz kasety – zauważyła Leigh.

– I ty niby jesteś ta bystrzejsza, Harleigh. – Otworzył oczy i włożył rękę do kieszeni. – Nie wiesz, że mam plan zapasowy?

Nie była aż tak głupia. Chciała usłyszeć potwierdzenie, że się zabezpieczył.

– Czemu zatrzymałeś nóż?

– Podziękuj za to Callie. Nie rozstawała się z nim, chodziła z nim po domu, trzymała przy sobie, kiedy oglądaliśmy kreskówki. Siadała przy stole w kuchni i godzinami oglądała tę przekłętą ilustrację

w podręczniku do anatomii. – Potrząsnął głową. – Biedna słodka Callie. Zawsze była delikatna, prawda? Nie umiała sobie poradzić z wyrzutami sumienia.

Z trudem przełknęła ślinę. Chciała wyciąć imię siostry z jego odrażającej gęby.

– Zachowałem nóż jako pamiątkę po niej. – Wykrzywił usta, na które zaczął wracać uśmiezek. – Potem zobaczyłem, co zrobiła nim tacie, i w końcu to nabrało sensu.

Musiała trzymać nerwy na wodzy, ale przede wszystkim odciągnąć jego uwagę od siostry.

– Nie przyszło ci do głowy, co tak naprawdę widać na tym nagraniu?

– Wyjaśnij mi. – Pytająco uniósł brwi.

– Zabawmy się w przewidywanie, dobrze? – Odczekała, aż kiwnie głową. – Pokazujesz glinom kasetę. Policja mnie aresztuje. Przechodzę całą procedurę jak każdy aresztant. Pamiętasz z pierwszego aresztowania, jak to wygląda, prawda? – Gdy wyraźnie zdezorientowany potaknął, mówiła dalej: – Po tym wszystkim proszę o spotkanie z prokuratorem. On i ja oglądamy razem nagranie. Pokazuję mu, że nacięcie żyły udowej twojego ojca odpowiada wzorcowi zachowania w gwałtach, których jesteś sprawcą.

Wyglądał na przestraszonego jak ona przed chwilą, oczywisty znak, że tego nie brał pod uwagę.

– To się nazywa *modus operandi*, Andrew. I przez to wylądujesz w więzieniu na resztę życia. Gwarancja wzajemnego zniszczenia. – Uniosła palec dla podkreślenia tych słów.

Tylko chwilę zajął mu reset nastroju. Z teatralną przesadą potrząsnął powoli głową, a nawet cmoknął kilka razy.

– Idiotko, myślisz, że to jedyna kasetka, którą mogę pokazać ludziom?

Zadrżała. Andrew zabrzmiał tak bardzo podobnie do swojego ojca, że pamięć przeniosła ją do żółtej corvetty, gdzie siedziała ze złączonymi nogami, z walącym sercem i skręconym żołądkiem.

– Mam godziny nagrań twojej biednej kruchej siostrzyczki, która jest rżnięta w każdy otwór ciała.

Kolejne jego słowa były dla niej jak kolejne ciosy pięścią w twarz.

– Znalazłem je w swoich kasetach VHS, kiedy poszedłem do college’u. Zachciało mi się obejrzeć coś Disneya i wtedy zorientowałem się, że tata wymienił wszystkie moje kasety na swoją kolekcję.

Jej oczy zaszklily się od łez. Nie przeszukały jego pokoju. Dlaczego tego nie zrobiły?

– Najlepsze pornosy, jakie w życiu widziałem. – Obserwował jej twarz, chłonąc widoczny na niej ból jak narkotyk. – Czy Callie ciągle jest taka drobna, Harleigh? Ciągle jak laleczka z wąską talią, wielkimi oczami i ciasną cipką?

Przycisnęła brodę do klatki piersiowej, żeby pozbawić go przyjemności napawania się jej cierpieniem.

– Jeśli spotka mnie coś złego, cały internet zobaczy, jak twoja siostrzyczka się rżnie.

Zacisnęła powieki, żeby powstrzymać łzy. Wiedziała, że Callie panicznie się boi takiego scenariusza. Prześladowała ją myśl, że ktoś na ulicy rozpozna ją z nagrań Buddy’ego. Doktor Patterson. Trener Holt. Pan Humphrey. Pan Ganza. Pan Emmett. Ich podłość bolała prawie tak samo jak to, co robił jej Buddy. Gdyby Andrew wpuścił filmy do sieci, gdzie obejrzą je niezliczone napalone typy, Callie rozpadnie się na kawałki i żadna ilość heroiny nie pomoże jej się pozbierać.

Otarła oczy pięściami. Ponownie zadała pytanie, które dręczyło ją od paru dni:

– Czego chcesz, Andrew?

– Gwarancja wzajemnego zniszczenia działa, jeśli ktoś traci zimną krew. Przekonaj przysięgłych, że jestem niewinny. Zniszcz Tammy Karlsen. A potem się zobaczy, co jeszcze będziesz mogła zrobić.

Leigh podniosła głowę.

– Ile jeszcze, Andrew? Ile to potrwa?

– Znasz odpowiedź, Harleigh. – Łagodnie otarł jej łzy. – Tyle, ile zechcę.

– Pani Takahashi?

Callie przełożyła obie nogi na jedną stronę krzesła, żeby móc spojrzeć na bibliotekarkę. Na jej maseczce widniał napis CZYTAJ WIĘCEJ KSIĄŻEK! Trzymała w rękach egzemplarz *Kompendium wiedzy o ślimakach Ameryki Północnej i ich siedliskach*.

– Znalazłam ją w koszu na zwroty – powiedziała.

– Wspaniale, dziękuję pani. – Callie wzięła od niej opasy tom. – *Arigatou*.

Bibliotekarka wykonała coś na kształt dalekowschodniego ukłonu czy też gestu uprzejmego brontozaura, co można by uznać za przywłaszczenie kulturowe.

Callie wróciła do normalnej pozycji na krześle i położyła książkę obok klawiatury komputera. Przypuszczała, że jest jedyną ćpunką w historii, która dopuściła się kradzieży tożsamości dla karty bibliotecznej. Himari Takahashi była wojenną narzeczoną. Przepłynęła Pacyfik, żeby wyjść za ukochanego żołnierza. Oboje uwielbiali książki i długie spacery. On zmarł pierwszy, a ona poświęciła się pracy w ogrodzie i wnukom.

Taką historię wymyśliła sobie Callie na własny użytek. W rzeczywistości nigdy nie rozmawiała z panią Takahashi. Zetknęła się z nią jeden jedyny raz, kiedy ciało pani Takahashi leżało w czarnym worku na zwłoki. W styczniu, gdy na covid umierały prawie cztery

tysiące osób dziennie, zatrudniła się za gotówkę w lokalnej sieci domów opieki. Pracowała z innymi desperatami narażającymi własne zdrowie przy ładowaniu ciał osób zmarłych na covid do samochodów chłodni, którymi przyjeżdżała Gwardia Narodowa.

Przy jednym ze stanowisk komputerowych ktoś zakasłał. Wszyscy obecni skrzywili się, a potem zaczęli rzucać oskarżycielskie spojrzenia znad maseczek, jakby chcieli spalić delikwenta na stosie.

Callie pilnowała, żeby maseczka zakrywała jej nos i usta, bo na ćpunach zawsze wszystko się skrupiało. Operowała myszką lewą ręką. Dziś rano dla odmiany jej prawa ręka postanowiła ścierpnąć. Całe ciało miała obolałe od pełzania na strychu i czuła się okropnie słaba. Najbardziej forsowną rzecz, jaką zrobiła w ciągu paru miesięcy, było siłowanie się na ręce z doktorem Jerryem o herbatniki w kształcie zwierzątek. Rywalizacja zwykle kończyła się remisem, bo żadne nie chciało wygrać kosztem drugiego.

Przysunęła klawiaturę i podświetliła pasek wyszukiwania, ale nic nie wpisała. Przebiegła wzrokiem monitor. Z rejestru urzędu podatkowego hrabstwa Fulton wynikało, że Tenantowie nadal byli właścicielami domu przy Canyon Road.

Powinna dać znać Leigh. Powinna wysłać jej wiadomość. Powinna zadzwonić.

Leciutko postukała palcem w myszkę i rozejrzała się. W rogu sali znajdowała się kamera, jej czarne oko śledziło wszystko z góry. W hrabstwie DeKalb system monitoringu stał na wyższym poziomie niż w samej Atlancie. Owszem, przyrzekła siostrze, że pójdzie do biblioteki w centrum, ale dwadzieścia trzy lata temu Leigh przyrzekła jej, że nigdy więcej nie będą musiały myśleć o Buddym Waleskim.

Otworzyła w komputerze Facebooka i wpisała:

Sidney Winslow Atlanta.

W wynikach wyszukiwania pojawiła się tylko jedna strona. Zaskakujące, bo dzisiaj dziewczyny wydawały się występować w rozmaitych wariantach, nie jak w czasach jej dzieciństwa, gdy była wyśmiewana, że nie umie poprawnie wymówić swojego imienia.

Na zdjęciu profilowym Sidney widniał budynek Grady High School, a ostatni wpis pochodził z dwa tysiące dwunastego roku. Sidney wrzuciła fotografię przedstawiającą grupkę ośmiu nastolatek na koncercie na stadionie Georgia Dome. Sądząc po zachowawczych strojach dziewcząt i liczbie krzyży w tle, Callie uznała, że *Pasja 2012* to nie była jej bajka.

Tak jak Facebook nie był bajką Sidney Winslow, a w każdym razie nie należała do tych, którzy po latach wprawiają swoje dorastające dzieci w głębokie zażenowanie, gdy odkrywają na Facebooku wstydlive fotki przedstawiające ich rodziców w czasach młodości.

Callie przerzuciła się na TikToka i był to strzał w dziesiątkę. Uniosła brwi na widok obfitości filmików Sidney Winslow. Przypuszczała, że dzisiaj właśnie na tym polega młodość. Aktywność w mediach społecznościowych przypominała pracę w niepełnym wymiarze godzin. Zdjęcie profilowe Sidney przedstawiało zbliżenie przekłutych warg pociągniętych fioletową szminką. Wyraźny znak, że religijny zapał odszedł w przeszłość.

Na jej liście były tysiące filmików, lecz Callie nie mogła ich w pełni odtworzyć, ponieważ w bibliotece obowiązywał nakaz używania słuchawek, a nie miała ich ze sobą. Z opisów pod ujęciami z nagrań dowiedziała się, że Sidney Winslow jest dwudziestopięcioletnią studentką ubiegającą się o możliwość studiów doktoranckich z psychiatrii na Uniwersytecie Emory'ego.

– Cóż... – szepnęła, bo w końcu pojęła, czemu w tonie Leigh zawsze pojawiał się niesmak, gdy mówiła o Sidney Winslow.

Na terenie kampusu czy za kierownicą auta prezentowała się z włosami zaczesanymi do tyłu, lekkim makijażem, kolorowym kapeluszem na głowie i zawadiacką apaszką na szyi. Na wieczorne wyjścia totalnie zmieniała wizerunek i przypominała zaktualizowaną wersję gockiego wydania Phil, czyli obcisłe koszulki, skórzane spodnie, liczne kolczyki w różnych częściach ciała i ciężki makijaż. A także wydęte usta oraz dekolt odsłaniający tyle, żeby domyślić się reszty.

Musiała przyznać, że Sidney ma świetne piersi.

Ciekawiło ją, dlaczego Andrew Tenant nie stał się fragmentem tak doskonale udokumentowanego życia Sidney. Przewijała kolejne filmiki i nigdzie nie widziała choćby śladu po Andrew. Dziwne, skoro niedługo mieli się pobrać.

Sprawdziła, kto ją obserwuje, i znalazła wiele żeńskich klonów Sidney oraz garstkę młodych mężczyzn, którzy pasjami strzelali sobie foty bez koszuli. I dobrze, bo z nagimi torsami wyglądali rewelacyjnie.

Sprawdziła, kogo obserwuje Sidney. Dua Lipa, Janelle Monáe, Halsey, Bruno Mars, niezliczeni homosie, ale nie Andrew.

Przełączyła się na Instagrama. Po niezliczonych kliknięciach w myszkę dostała skurczu palca, ale wreszcie trafiła na wspólne zdjęcie Sidney i Andrew. Zrobiono je dwa lata temu podczas grilla w ogrodzie za domem. Sidney była rozpromieniona, Andrew raczej zdystansowany, z opuszczoną głową i zaciśniętymi ustami, z miną „robię to dla ciebie, ale pospiesz się z tym zdjęciem”. Callie pomyślała, że gwałciciel i morderca woli unikać mediów społecznościowych.

Jeśli cenił sobie dyskrecję, to wybrał złą dziewczynę. Sidney zamieszczała tysiące fotek, na których prawie zawsze lał się alkohol.

Wino na imprezie. Piwo w barze. Martini na tarasie. Mojito na plaży. Smukłe puszki żytnej whisky z dodatkiem owoców w aucie. Callie pokręciła głową. Życie tej młodej kobiety było kompletną katastrofą. Wiedziała, co mówi. Jej życie przypominało nagromadzenie katastrof – jak spotkanie wykolejonego pociągu ze spadającym samolotem w centrum grzyba atomowego.

Twitter Sidney pokazał konsekwencje życia w myśl zasady #YOLO. Miesiąc temu imprezowa dziewczyna została przyłapana za jazdę po pijanemu. Sidney udokumentowała proces, zamieszczała trafne spostrzeżenia na temat działania wymiaru sprawiedliwości, opisywała otepiającą bezużyteczność zajęć w szkole jazdy przy Cheshire Bridge Road dla takich delikwentów jak ona, fotografowała rejestr nakazanego przez sąd uczestnictwa w spotkaniach klubu AA.

Callie rzuciła okiem na rejestr. Znała go z własnej bolesnej drogi po meandrach systemu sądowego. Sidney dostała standardowy nakaz: trzydzieści spotkań w miesiącu, potem dwa w tygodniu. Callie rozpoznała nawet kościół, w którym wczesnym rankiem odbywały się spotkania. Mieli tam pyszną kawę, ale bardziej smakowały jej ciasteczka u baptystów po drugiej stronie ulicy.

Sprawdziła godzinę.

Czternasta trzydzieści osiem.

Wylogowała się i zaczęła szukać plecaka, ale przypomniała sobie, że zostawiła go w swoim zamkniętym pokoju wraz z zapasem prochów. Włożyła rzeczy do kieszeni żółtej satynowej kurtki, którą znalazła w szafie. Kołnierz był postrzępiony, ale na plecach dumnie prezentowała się spora tęczowa naszywka.

To był pierwszy ciuch, który kupiła sobie za pieniądze od Buddy'ego.

Włożyła pod czytnik *Kompendium wiedzy o ślimakach Ameryki Północnej i ich siedliskach*. Książka w papierowej oprawie idealnie pasowała do kieszeni kurtki, chociaż rogi boleśnie wrzynały się w zębra. Callie jęknęła, kierując się do wyjścia. Nie mogła wyprostować pleców. Szurała nogami jak staruszka, chociaż bardzo chciała wierzyć, że osiemdziesięciosześcioletnia pani Himari Takahashi trzymała się prosto.

Kiedy stanęła w drzwiach wyjściowych, oślepiło ją słońce, więc wyjęła z kieszeni zielone gogle z solarium, włożyła je i od razu poczuła ulgę. Czuła skwar na plecach i szyi, gdy człapała na przystanek autobusowy. W końcu zdołała się wyprostować. Kręgosłup wydawał dźwięki jak szczękające zęby. Nie miała czucia w palcach, teraz jeszcze zaczęło drętwieć ramię.

Na przystanku siedział bezdomny mężczyzna, mamrotał coś pod nosem i liczył na palcach. Na ziemi obok niego stały dwie papierowe torby wypchane ubraniami. Zobaczyła w jego oczach znajomy niepokój, rozpoznała to drapanie się po rękach.

Zerknął na nią, potem przyjrzał się jej uważniej i powiedział:

– Fajne okulary.

Callie zdjęła gogle i podała mu je.

Wyrwał je nerwowo jak myszokoczek chwytający przekąskę.

Oczy Callie znowu zaczęły łzawić i poczuła żal, gdy mężczyzna włożył gogle, bo wyglądały odłotowo. Mimo to wyjęła z tylnej kieszeni ostatnią dwudziestkę od Leigh i wcisnęła mu ją do ręki. Zostało jej tylko piętnaście dolców, bo sto pięć wydała wczoraj w solarium. Z perspektywy czasu impulsowy zakup okazał się złym pomysłem, ale właśnie tak wyglądała polityka budżetowa u ćpunów. Czemu nie wydać kasy dzisiaj, skoro człowiek nie wie, czy jutro nie wyląduje na darmowym koncercie Kurta Cobaina?

– Wszczepili mi mikroczipa do mózgu – odezwał się mężczyzna.

– A ja się boję, że mój kot oszczędza na motocykl – wyznała Callie.

Nawiązawszy nic porozumienia, następne dziesięć minut przesiadali w milczeniu aż do przyjazdu autobusu.

Kiedy przyjechał, Callie zajęła miejsce z przodu. Jechała tylko dwa przystanki i z życzliwości dla kierowcy zadbała, żeby miał ją na widoku, bo kiedy wsiadała, obrzucił ją podejrzliwym wzrokiem, jakby spodziewał się kłopotów.

Trzymała się poręczy obiema rękami. Kierowca miał widzieć, że podejrzana pasażerka nie robi niczego głupiego, chociaż dotykanie gołymi rękami poręczy w szczycie pandemii zbyt mądre nie było.

Patrzyła przez okno nieobecny wzrokiem. Klimatyzowane powietrze chłodziło pot na jej ciele. Odruchowo dotknęła palcami twarzy. Zapomniała, że ma maseczkę. Szybki rzut oka na współpasażerów wystarczył, by zobaczyć różnorodność stylów noszenia: maseczka pod nosem, maseczka na brodzie, a w jednym przypadku nawet nasunięta na oczy.

Poszła tym tropem i nasunęła maseczkę aż na brwi, potem zamrugła i rzesami musnęła materiał. Stłumiła chichot. To nie poranna dawka podtrzymująca sprawiła ją w taki nastrój. Znowu strzeliła sobie jedną przed wyjściem do biblioteki, potem łyknęła oksykodon w trakcie długiej jazdy autobusem do Gwinnett. W tylnej kieszeni miała jeszcze jedną porcję oksykodonu. W końcu ją weźmie, potem doprawi większą dawką metadonu, aż wróci do heroiny.

Tak to z nią było. Wszystko szło dobrze, aż w którymś momencie przestawało.

Opuściła maseczkę na nos oraz usta i wstała z miejsca, gdy autobus zwolnił przed przystankiem. Kolano przypomniało o sobie, gdy tylko

weszła na schodki. Kiedy znalazła się wreszcie na chodniku, zgrała rytm oddechu z rytmem kroków. Trzy trzaski w kolanie, wdech, potem wolny wydech przez zęby w takt trzech kolejnych trzasków.

Metalowa siatka po prawej stronie okalała ogromny stadion. Callie zaczęła przesuwać palce po metalowych rombówkach siatki, aż trafiła na wysoki słup i znalazła się na wielkiej, otwartej i zabetonowanej przestrzeni u wejścia na stadion. Przed wejściem stał znak przedstawiający trzmiela, który wybzykiwał hasło:

BĄDŹCIE SZCZĘŚLIWI – BĄDŹCIE BEZPIECZNI – BĄDŹCIE ZDROWI – JESTEŚMY W TYM RAZEM

Jakoś wątpiła, by ostatnią część hasła należało brać dosłownie. Kiedy była nastolatką, widywała takie stadiony, gdy jej drużyna czirliderek konkurowała z drużynami ze szkół prywatnych. Dziewczyny z Lake Point – szerokie w talii, z umięśnionymi ramionami i udami – wyglądały jak ogiery. W porównaniu z nimi dziewczyny z Hollis Academy przypominały blade koniki polne i patyczaki.

Callie minęła zamknięte stoisko. Trzydzieści metrów dalej ochroniarz w wózku golfowym śledził każdy jej krok. Wolałaby uniknąć problemów. Weszła do pierwszego tunelu, który napotkała po drodze, oparła się plecami o ścianę i czekała w chłodzie na szum baterii wózka, którym przyjedzie ochroniarz, żeby eksmitować ją z kryjówki.

Nic nie nadjeżdżało, ale Callie zaczęła popadać w paranoję. Może ochroniarz gdzieś zadzwonił? Może na stadionie ktoś na nią czeka? Może ktoś szedł za nią od przystanku? A może ktoś śledził ją od wyjścia z domu?

W bibliotece przejrzała uważnie stronę internetową firmy Reginald Paltz i Wspólnicy. Reggie wyglądał dokładnie tak, jak opisała go Leigh, ale Callie nie mogła z całą pewnością stwierdzić, że to ten sam gość z aparatem, którego wypluł opuszczony dom. Tak samo jak nie mogła

powiedzieć, czy ludzie, których widzi na ulicy, w autach, w bibliotece, nie są z nim w zмовie.

Przycisnęła rękę do piersi, jakby tym sposobem mogła zgnieść niepokój. Jej serce uderzało o żebra krótko i szybko niczym język wygłodniałej jaszczurki. Od dwóch dni nie mignął jej przed oczami żaden natręt, ale gdziekolwiek poszła, nie potrafiła uwolnić się od wrażenia, że ktoś ją nagrywa. Nawet teraz, ukryta w wilgotnym i ciemnym tunelu, czuła wycelowany w siebie obiektyw śledzący każdy jej ruch.

„Ani pary z ust o kamerze, laleczko. Mógłbym pójść do więzienia”.

Oderwała się od ściany, a w połowie tunelu usłyszała krzyki i oklaski z trybun. Gdy z niego wyszła, znowu oślepiło ją słońce. Osloniła oczy dłonią i omiotła wzrokiem trybuny. Rodzice siedzieli w odstępach i dość niemrawo dopingowali dziewczęta na murawie. Callie przeniosła wzrok na boisko. Licealistki wyglądałyby jak gazy, gdyby gazy nosiły stroje sportowe i nie podskakiwały jak szalone w obliczu niebezpieczeństwa.

Zrobiła kolejny zwrot w stronę trybun i tym razem wypatrzyła Waltera. Był jednym z dwóch ojców obserwujących trening, chociaż z pewnego źródła wiedziała, że nie lubi piłki nożnej.

Rozpoznał ją, gdy pięła się mozolnie po stadionowych schodach. Z wyrazu jego oczu nie mogła nic wyczytać, ale zgadywała, co myśli. Z tym że nie dał nic po sobie poznać, gdy weszła do jego rzędu i wolno pokonywała dzielący ich dystans. Wywnioskowała, że szkoła trzyma się luźnych zasad: żadnych tańców, żadnych śpiewów, żadnych okrzyków, żadnej zabawy. Usiadła, zostawiając trzy wolne krzeselka między sobą a Walterem.

– Witaj, przyjaciółko – powiedział.

Callie zdjęła maseczkę, żeby zaczerpnąć powietrza.

– Dobrze cię widzieć, Walterze.

Jego oczy nie straciły czujności. Rozumiała to. Kiedy ostatnio znaleźli się razem w jednym pomieszczeniu, to nie był najlepszy moment w ich życiu. Byli pod mieszkaniem Leigh w ciasnym pomieszczeniu gospodarczym, gdzie mieścił się zsyp. Przez dziesięć dni Walter przychodził tam dwa razy dziennie i wstrzykiwał Callie heroinę między palce stóp, bo mogła zająć się Leigh tylko wtedy, gdy regularnie brała prochy.

Mąż jej siostry był twardszy, niż się wydawało.

– Fajna kurtka – zauważył Walter.

– Z czasów liceum. – Odwróciła się na krzeselku, żeby zaprezentować tęczę na plecach. – Nie wierzę, że ciągle się w niej mieszczę.

– Ładna – dodał, chociaż Callie widziała po nim, że błądzi myślami gdzie indziej. – Ostatnio twoja siostra strasznie dużo płacze.

– Zawsze była płaczliwa – odparła Callie, chociaż ludzie często źle odczytywali łzy Leigh. Płakała ze strachu, płakała z poczucia krzywdy, ale i wtedy, gdy kawałkiem szkła wycinała złośliwej dziewczynie kosmyki włosów przy samej skórze.

– Uważa, że Maddy już jej nie potrzebuje – powiedział Walter.

– A tak jest?

– Miałaś szesnaście lat. Nie potrzebowałaś wtedy matki?

Callie zamyśliła się. Jako szesnastolatka potrzebowała wszystkiego.

– Martwię się o żonę. – Ton jego głosu zdradzał, że od dawna czekał na sposobność podzielenia się z kimś tymi myślami. – Chcę jej pomóc, ale ona mnie o pomoc nie poprosi.

Poczuła rzeczywisty ciężar tego wyznania. Mężczyźni rzadko mówili o swoich emocjach, a jeśli już, to przygnębienia raczej nie uwzględniali.

– Nie martw się, Walterze. Niepotrzebna opiekunka Harleigh wróciła do gry – próbowała go pocieszyć.

– Mylisz się, Callie. – Odwrócił się w jej stronę, a ona wyczuła, że chce wyrzucić z siebie więcej. – Kiedy Leigh zachorowała, mieliśmy gotowy plan opieki. Moja matka miała zająć się Maddy, Leigh miała odbywać kwarantannę w głównej sypialni, ja miałem zostawiać jedzenie pod drzwiami i w razie pogorszenia wezwać karetkę. Wytrzymała jedną noc, a potem załamała się i zaczęła płakać, że potrzebuje siostry. Więc znalazłem jej siostrę.

Dotąd nie słyszała tej historii, wiedziała jednak, że Walter nigdy by nie skłamał w tak ważnej kwestii. Zrobiłby dla Leigh wszystko. Nawet zdobył heroinę dla jej siostry narkomanki.

– Brałeś udział w tylu spotkaniach AA, więc chyba wiesz, że nie możesz uratować kogoś, kto nie chce zostać uratowany, prawda?

– Nie chcę jej ratować. Chcę ją kochać. – Odwrócił się od Callie i znów zaczął śledzić poczynania dziewcząt na boisku. – Poza tym Leigh sama może się uratować.

Nie była pewna, czy warto to roztrząsać. Patrzyła na Waltera, który obserwował sprint swojej córki do piłki. Też chciała powiedzieć mu coś ważnego. Że Leigh go kocha. Że jest taka pokręcona, bo zmusiła ją do strasznych rzeczy. Że obwinia siebie, bo w porę nie dostrzegła, jak złym człowiekiem jest Buddy Waleski. Że płacze, bo przeraża ją myśl, że Andrew Tenant pociągnie je obie w mroczną otchłań, jak to zrobił jego ojciec.

Czy powinna wyznać Walterowi prawdę? Otworzyć drzwi do klatki Leigh? Jej życie nacechowane było nieuchronnością katastrofy, którą

sama na siebie sprowadziła. Jakby zamiast pojechać do Chicago, zastygła na dwadzieścia trzy lata, a potem przebudziła się, żeby powielić wzorzec Phil, który był jak następuje: rozbita rodzina, rozbite małżeństwo, złamane serce.

Siostra jeszcze jakoś się trzymała tylko dzięki Maddy.

Spojrzała na boisko i uciekła od tych myśli, z przyjemnością obserwując grę nastolatek na boisku. Były takie zwinne, takie szybkie. Ich ramiona i nogi poruszały się jednocześnie i harmonijnie przy każdym kontakcie z piłką. Ich szyje były długie i smukłe jak u idealnych łabędzi origami.

– Widzisz naszą śliczną dziewczynkę? – zapytał Walter.

Callie dostrzegła córkę Leigh i Waltera zaraz po wejściu na stadion. Maddy Collier była jedną z najdrobniejszych dziewcząt, ale zarazem najszybszą. Jej koński ogon ledwo dotykał pleców, gdy pędziła za defensywną pomocniczką. Grała w ataku, o czym Callie wiedziała tylko dlatego, że w bibliotece poczytała co nieco o pozycjach w drużynie piłki nożnej.

Najpierw jednak sprawdziła harmonogram treningów dziewczęcej drużyny Hollis Academy. Herb szkoły widniał na odwrotnej stronie telefonu Leigh, i był to oczywisty trop. Szkoła powstała w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, gdy biali rodzice na Południu masowo zaczęli posyłać dzieci do prywatnych szkół.

– Cholera – mruknął Walter.

Maddy przypadkowo podcięła pomocniczkę. Bezpańska piłka potoczyła się dalej, ale Maddy, zamiast za nią popędzić, zatrzymała się i pomogła koleżance wstać. Leigh miała rację. Phil stłukłaby je na kwaśne jabłko za tak honorowe zachowanie. Nie wygrywasz, nie wracaj do domu.

Walter odchrząknął. To samo robiła Leigh, gdy miała powiedzieć coś trudnego.

– Trening niedługo się kończy. Chciałbym, żebyś się z nią spotkała.

Callie zacisnęła usta tak samo jak Leigh, gdy zaczynała się denerwować.

– *Hello, I must be going*[12].

– Phil Collins. Klasyka – skostatował Walter.

Perkusista/supergwiazdor zaczerpnął ten tekst z Groucho Marxa, ale Callie miała na myśli coś znacznie poważniejszego:

– Kiedy będziesz opowiadał Leigh o naszym spotkaniu, nie mów, że byłam na haju.

Mina Waltera zdradzała, że czuje się niezręcznie.

– Jeśli zapyta, będę musiał powiedzieć prawdę.

Był o wiele za dobry dla tej rodziny.

– Szanuję cię za twoją uczciwość.

Gdy wstała, kolana jej drżały. Metadon działał dłużej niż zwykle, a może to oksykodon z otoczką o przedłużonym uwalnianiu robił swoje. To była nagroda za powściągliwość. Im wolniej człowiek wracał do nałogu, tym dłużej utrzymywała się euforia.

Aż czas jej trwania znowu zaczął się skracać.

– *Adiós*, przyjacielu. – Zasalutowała Walterowi.

Kolano ugięło się pod nią przy zwrocie. Walter wstał, żeby jej pomóc, ale powstrzymała go machnięciem ręki. Nie chciała, żeby Maddy zobaczyła, jak tata podtrzymuje jakąś ćpunkę na trybunach.

Wyszła z rzędu na schody, którym bez poręczy ledwo dała radę. Ostrożnie stawiała krok za krokiem, pokonując stopień za stopniem. Na

dole włożyła ręce do kieszeni kurtki i ruszyła skrajem boiska. Książka o ślimakach wypychała jej piść z kieszeni. Słońce świeciło tak mocno, że oczy zaczęły łzawić i leciało jej z nosa. Nie powinna oddawać gogli. Karnet gwarantował jej jeszcze dziewięć wejść do solarium. Dziewięć dziewięćdziesiąt dziewięć za okulary ochronne to mnóstwo wyrzuconej kasy, jeśli miało się tylko piętnaście dolców przy duszy.

Otarła mokry nos rękawem. Głupie słońce, nawet w ciemnym tunelu oczy jej łzawiły. Czuła, jak gorąco bije z jej twarzy. Miała nadzieję, że nie natknie się na ochroniarza w wózku golfowym. Ciągle widziała tę litość na twarzy Waltera, kiedy odprowadzał ją wzrokiem. Włosy miała związane niedbale z tyłu, bo nie mogła podnieść ręki na tyle wysoko, żeby je rozczesać grzebieniem. Nie mogła wycisnąć pasty z tubki, żeby umyć zęby. Kurtka była pognieciona i brudna. Miała na sobie ciuchy, w których spała. Ropień na nodze pulsował coraz mocniej, bo była żalosną idiotką, która dawała sobie w żyłę i nie umiała przestać.

– Witaj, Callie.

Gorący i cuchnący oddech goryla raptownie owiał jej kark.

Okręciła się na pięcie, spodziewając się zobaczyć obnażone białe kły goryla rzucającego się do jej szyi.

Zobaczyła tylko mężczyznę. Wysokiego, szczupłego, o rudoblond włosach, z rękami w kieszeniach granatowych spodni i z podwiniętymi rękawami koszuli. Z nadajnikiem dozoru elektronicznego nad mokasynem na lewej nodze i ogromnym złotym zegarkiem na lewym nadgarstku.

Zegarek Buddy'ego.

Zanim odrąbały mu ramiona, Callie zdjęła zegarek i położyła go na barze. Chciała, żeby Trevor miał coś, co będzie przypominało mu ojca.

Teraz zobaczyła, że zrobił z tego użytek.

– Cześć, Callie. – Głos Andrew był łagodny, ale miał niską barwę, która przeniosła ją w czasie do pierwszego spotkania z Buddym. – Szkoda, że dopiero teraz się widzimy.

Poczuła w płucach piasek. Andrew zachowywał się normalnie, jak gdyby nigdy nic, ale ona miała wrażenie, że ktoś obdziera ją ze skóry.

– Wyglądasz... – Zachichotał. – Cóż, nie wyglądasz dobrze, ale cieszę się, że cię znalazłem.

Zerknęła w stronę stadionu, potem w stronę wyjścia. Byli sami. Nie miała dokąd uciec.

– Ciągłe jesteś taka... – Otaksował ją od stóp do głów, jakby szukał odpowiedniego słowa. – Drobną – dopowiedział.

„Taka jesteś cholernie drobna już prawie jestem rozluźnij się po prostu się rozluźnij”.

– Callie-ope – melodyjnie wymówił jej imię. – Przejechałaś kawał drogi, żeby obejrzeć dziewczyny grające w piłkę.

Musiała otworzyć usta, żeby złapać oddech. Serce waliło jej jak młot. Przyszedł tu po Waltera? Po Maddy? Skąd wiedział o szkole? Śledził ją? Przeoczyła coś w autobusie?

– Naprawdę są takie dobre? – zapytał.

Spojrzała na jego przedramiona. Pokrywały je włosy o ton ciemniejsze niż włosy na głowie. Jak u Buddy’ego.

Wyciągnął szyję w stronę boiska i spytał:

– Która z nich to córka Harleigh?

Uszu Callie dobiegły owacje tłumku rodziców z trybun. Oklaski, okrzyki, gwizdy. Po chwili radosne głosy zacichły, a ona usłyszała to, co było z nimi w tunelu. Goryła.

– Callie. – Andrew przybliżył się, zachowując dystans. – Posłuchaj mnie bardzo uważnie. Możesz to zrobić?

Ciągle miała otwarte usta. Czuła, jak wewnątrz gardła wysycha jej od strumienia wdychanego powietrza.

– Kochałaś mojego ojca. Słyszałem, jak mu to mówisz, i to wiele razy.

Nie mogła poruszyć nogami. Przyszedł tu po nią, dlatego stał tak blisko, dlatego wydawał się taki spokojny i opanowany. Wyciągnęła ręce za siebie. Słyszała nadchodzącego goryla, poczuła jego gorący oddech na uchu, potem na szyi, poczuła smak jego potu na wargach.

– Co czułaś, kiedy go rąbałaś? – zapytał. – Nie widziałem twojej twarzy na nagraniu, bo ani razu nie podniosłaś głowy. Ale posłusznie robiłaś, co kazała ci Harleigh.

Kiedy łapa goryla złapała ją za szyję, a druga chwyciła ją w pasie, tak naprawdę odczuła ulgę. Była unieruchomiona, tkwiła w pułapce. Właśnie taką ją zawsze chciał.

– Nie musisz ciągle pozwalać jej rządzić. Pomogę ci uwolnić się od niej.

Goryl przywarł do jej pleców, palcem wodził po kręgosłupie. Słyszała jego pomruki, czuła podniecenie. Był wielki, przytłaczał ją.

– Powiedz tylko, że chcesz stąd uciec. – Zrobił następny krok w jej stronę. – Wystarczy słowo, a zabiorę cię stąd, dokąd tylko zechcesz.

Zapach miętówek Andrew przeszedł w woń taniej whisky Buddy’ego, cygara, potu, spermy i krwi – mnóstwa krwi.

– Walter David Collier, czterdzieści jeden lat, radca prawny związku zawodowego strażaków w Atlancie – powiedział Andrew.

Serce Callie zadrżało. Andrew Tenant groził Walterowi. Musiała go ostrzec. Wczepiła się w ramię goryla, próbując poluzować jego uścisk.

– Madeline Félicette Collier, szesnaście lat.

Ból przeszył ramię Callie. To nie było odrętwienie ani podrażnienie nerwów, ale ból rozszarpywanej skóry.

– Maddy to zachwycająca dziewczyna, Callie. – W kącikach jego ust błąkał się uśmieszek. – Taka drobinka.

Spojrzała na swoją rękę. Wstrząsnął nią widok krwi kapiącej z czterech otwartych ran. Spojrzała na drugą rękę. Pod paznokciami miała krew i skórę.

– Zabawne, Callie, jak bardzo córka Harleigh jest podobna do ciebie. – Puścił do niej oko. – Jak laleczka.

Wzdrygnęła się. Nie dlatego, że Andrew brzmiał jak jego ojciec. Goryl wszedł w jej ciało, wniknął w kości. Jego silne nogi stały się jej nogami. Jego pięści stały się jej pięściami. Jego wargi stały się jej wargami.

Rzuciła się na Andrew z pięściami i obnażonymi zębami.

– Jezu! – wrzasnął, próbując się od niej opędzić. – Stuknięta pierdolona...

Callie wpadła w szal. Nie wydała z siebie żadnego odgłosu, nie wypuściła powietrza z płuc, bo całą energię nakierowała na jeden cel: zabić Andrew. Okładała go pięściami, drapała paznokciami, próbowała rozerwać mu uszy, wydrapać oczy. Wpiła się zębami w jego szyję. Szarpnęła głową do tyłu, próbując przegryźć mu żyłę szyjną, ale jego szyja tkwiła osadzona na kręgosłupie sztywno jak zamarznięty trzpień.

A potem znalazła się w powietrzu.

– Przestań! – zawołał ochroniarz, który złapał ją w pasie od tyłu. – Nie ruszaj się!

Wierzyła nogami, próbowała wyrwać się z niedźwiedziego uścisku. Andrew leżał na ziemi. Krwawiło mu ucho, z żuchwy zwisała skóra, czerwone obwódki otaczały miejsca ugryzienia na szyi. Chciała go zabić. Musiała.

– Powiedziałem przestań! – Ochroniarz rzucił Callie na ziemię i przycisnął kolano do jej pleców.

Uderzyła nosem w chłodny beton. Była zdyszana, ale ciągle napięta, gotowa do ataku, gdy usłyszała szczęk kajdanek.

– Nie, proszę pana. Wszystko w porządku. – Andrew miał chrapliwy głos. Starał się wyrównać oddech. – Proszę tylko wyprowadzić ją poza teren szkoły.

– Ty skurwielu – syknęła Callie. – Ty jebany gwałcicielu.

– Serio, człowieku? – Ochroniarz ciągle dociskał Callie kolanem do ziemi. – Spójrz na jej ręce. Ta suka jest ćpunką. Wezwij gliny, niech jej zrobią test.

– Nie. – Andrew wstał, a Callie kątem oka dojrzała pulsujące czerwone światełko na elektronicznej bransoletce. – To może zaszkodzić reputacji szkoły. Panu też. To pan wpuścił ją za bramę.

Ten argument chyba trafił do ochroniarza, mimo to spytał nieufnie:

– Na pewno? – spytał.

– Tak. – Andrew przyklęknął, żeby spojrzeć Callie w twarz. – Ona też nie chce wzywać policji, prawda, proszę pani?

Callie wciąż napinała mięśnie, ale zaczęła odzyskiwać zdrowy rozsądek. Znalazła się na szkolnym stadionie Maddy, Walter siedział na

trybunie, dziewczyna biegała po boisku. Ani ona, ani Andrew nie mogli dopuścić do przyjazdu policji.

– Niech jej pan pomoże wstać. – Andrew wyprostował się. – Już nie sprawi kłopotu.

– Oszalał pan. – Ochroniarz sprawdził jej reakcję, luzując uścisk, ale Callie już straciła bojowy zapał. Znowu ogarnęła ją słabość, nie mogła ruszyć nogami. Ochroniarz musiał postawić ją na ziemi.

Andrew stanął blisko, jakby prowokował ją do następnego ataku.

Wytarła zakrwawiony nos. Czowała smak krwi w ustach. Krwi Andrew. Chciała więcej. Chciała całej jego krwi.

– To nie koniec – powiedziała.

– Niech pan dopilnuje, żeby wsiadła do autobusu. – Andrew wyciągnął do ochroniarza dłoń, w której trzymał kilka złożonych dwudziestek. – Taka kobieta nie powinna zbliżać się do dzieci.

[12] *Hello, I must be going* (*Cześć, na mnie już czas*) – tytuł solowego albumu Phila Collinsa z 1982 roku. (Przyp. red.).

LATO 2005

CHICAGO

Leigh ze skrywaną furią skrobała rondel po lasagne, a pot spływał jej z twarzy do wody. Przekłęci ludzie z Północy! Nie mają pojęcia, jak korzystać z klimatyzacji.

– Ja to zrobię – zaoferował Walter.

– Nie. – Starła się nie dać po sobie poznać, że ma ochotę rozwalić mu głowę rondlem. Chciał zrobić dla niej coś miłego, zadzwonił nawet do matki i poprosił o przepis na lasagne. A potem zapiekał danie tak długo, że sos przywarł do nieprzywierającej powłoki, a teraz ona szorowała naczynie, przy okazji ścierając sobie skórę z palców.

– Rondel kosztował tylko pięć dolców – powiedział Walter.

– Tylko pięć? Gdybyś zobaczył pięć dolców na ziemi, zostawiłbyś je tam?

– To zależy, jak brudne. – Stał za nią i objął ją w pasie.

Wtuliła się w niego. Pocałował ją w szyję, a ona zadawała sobie pytanie, jakim cudem zamieniła się w głuptaskę, która ma motyle w brzuchu od męskiego dotyku.

– Daj mi to. – Wyciągnął ręce spod jej ramion i odebrał gąbkę oraz naczynie.

Skrobał z zapałem przez prawie minutę, aż w końcu uświadomił sobie daremność swoich wysiłków.

Leigh nie była jeszcze gotowa się poddać.

– Niech się trochę pomoczy.

– Okej. Czym wypełnimy czas? – Złapał zębami płatek jej ucha.

Zadrżała i wtuliła się w niego mocniej. A potem odsunęła się, bo nie mogła mu pokazać, jak bardzo jej zależy.

– Nie miałeś pisać pracy o zachowaniach organizacyjnych?

Walter jęknął. Wypuścił ją z objęć, podszedł do lodówki i wyjął puszkę piwa imbirowego.

– Po co to MBA? W związkach zawodowych wszystko jest już ułożone, układy zabetonowane, nie ma mowy o awansie, karierze. Wyrobię sobie nazwisko, kiedy zajmę się ubezpieczeniami społecznymi.

Leigh wiedziała, dokąd zmierza ta rozmowa, ale próbowała skierować ją na inne tory.

– Lubisz pomoc prawną.

– Lubię, kiedy stać mnie na czynsz. – Pociągnął łyk z puszki, wrócił do salonu, opadł na kanapę i spojrzał w ekran laptopa. – Napisałem dwadzieścia sześć stron żargonu, którego sam nie rozumiem. To wszystko nie ma praktycznego zastosowania w życiu.

– Liczy się tytuł naukowy w twoim życiorysie.

– Nie tylko to się liczy. – Odchylił głowę i patrzył, jak Leigh wyciera ręce kuchenną ściereczką. – Chcę czuć się potrzebny.

– Ja cię potrzebuję. – Wzruszyła ramionami, bo nie było sensu krążyć wokół tematu. – Możemy się przeprowadzić, Walterze. Byle nie do Atlanty.

– Ta praca w straży pożarnej jest...

– W Atlancie. – Zapowiedziała już Walterowi, że nigdy tam nie wróci.

– Idealna – dokończył. – To chciałem powiedzieć. Idealna. W Georgii nie musisz należeć do związku, żeby dostać pracę. Żaden wnuk kuzyna wujka cię nie wykoleguje. Praca w Atlancie jest idealna.

Usiadła przy nim i złączyła dłonie, żeby nie wykręcać ich nerwowo.

– Mówiłam ci, że pojedę za tobą wszędzie – zaczęła.

– Ale nie do Atlanty. – Wychylił resztę piwa i odstawił puszkę na stolik kawowy, chociaż tam zawsze zostawał po niej ślad. Pociągnął Leigh za ramię i spytał: – Płaczesz?

– Nie – odparła, chociaż w jej oczach szklily się łzy. – Myślę o rondlu.

– Chodź do mnie. – Znowu pociągnął ją za rękę. – Usiądź mi na kolanach.

– Skarbie, czy wyglądam na pańnię, która siada facetowi na kolanach?

Parsknął śmiechem.

– Uwielbiam, jak kobiety z Południa mówią „skarbie”, kiedy kobiety z Północy powiedziałyby „głupku”. – Gdy Leigh przewróciła oczami, wziął ją za rękę. – Skarbie, nie możesz skreślić całego miasta ze swojego życia z obawy, że wpadniesz tam na swoją siostrę.

Spojrzała na ich splecione dłonie. Nikogo nie chciała trzymać się tak mocno jak Waltera. Ufała mu. Tylko on dał jej poczucie bezpieczeństwa.

– Straciliśmy przez nią piętnaście kawałków, Walterze. Piętnaście tysięcy dolarów w gotówce i długu na karcie kredytowej, a ona wytrzymała tylko jeden dzień.

– To nie strata – stwierdził wspaniałomyślnie, zważywszy na to, że jego udział wyniósł pięć tysięcy. – Zazwyczaj odwyk nie udaje się za pierwszym razem ani za drugim, ani nawet za trzecim.

– Nie rozumiem, czemu nie może tego rzucić. – Bezradnie wzruszyła ramionami. – Jaką ma z tego przyjemność?

– Żadnej. To nikomu nie sprawia przyjemności.

– Coś musi w tym być – upierała się.

– Jest uzależniona. Budzi się, potrzebuje szprycy. Szpryca przestaje działać, więc kombinuje, żeby zdobyć następną i następną, i jeszcze następną, bo inaczej będzie na głodzie. Wszyscy znajomi, całe jej środowisko robi to samo. Uciekają przed głodem narkotykowym. Ten nałóg to nie tylko psychika. To uzależnienie fizyczne. Po co ktoś robiłby sobie coś takiego, gdyby nie musiał?

Nigdy nie umiała odpowiedzieć na to pytanie.

– Lubiłam kokę w college’u, ale nie zamierzałam dla niej niszczyć sobie życia.

– Szczęściara z ciebie, że dałaś radę dokonać wyboru – podsumował. – Dla wielu te demony są nie do pokonania.

Zacisnęła usta. Wyjawiła mu, że siostra była molestowana, ale w szczegóły tej historii nie wchodziła.

– Nie masz wpływu na postępowanie Callie – ciągnął Walter. – Jedyne, na co masz wpływ, to twoja reakcja. Pogódź się z tym.

Wiedziała, że Walter myśli o swoim ojcu, dlatego stwierdziła:

– Łatwiej zawrzeć pokój ze zmarłym.

Uśmiechnął się ze smutkiem.

– Wierz mi, kochanie, że o wiele łatwiej zawrzeć pokój z żywymi.

– Przepraszam. – Pogładziła go po policzku. Rzut oka na złoty pierścionek na palcu chwilowo odebrał jej mowę. Zaręczyli się niecały miesiąc temu, a ona nadal nie przyzwyczaiła się do widoku pierścionka.

Pocałował jej dłoń, mówiąc przy tym:

– Muszę skończyć te bezwartościowe wypociny.

– A ja przejrzeć orzecznictwo.

Pocałowali się, a potem zajęli miejsca na dwóch końcach kanapy. To najbardziej kochała w ich życiu. Wspólną pracę w ciszy, gdy siedzieli rozdzieleni jednym segmentem kanapy. Walter pochylił się nad laptopem stojącym na stoliku kawowym, ona obłożyła się poduszkami, a jedną nogę wyprostowała, dotykając stopą uda Waltera. W roztargnieniu pogładził ją po łydce, czytając swoją bezcelową pracę.

Jej narzeczony.

Przyszły mąż.

Nie rozmawiali jeszcze o dzieciach. Leigh przypuszczała, że dla Waltera dzieci to sprawa z góry przesądzona. Chyba nie obawiał się przekazania im w genach skłonności do nałogów, które omal nie zniszczyły jego rodziny. Mężczyźni mają łatwiej. Nikt nie oskarża ojca, gdy jego dziecko ląduje na ulicy.

Stale i wciąż wyrzucała sobie chłód. Walter był wspaniałym kandydatem na ojca. Nie potrzebował wzorca, w życiu kierował się wrodzoną dobrocią. Powinna raczej martwić się chorobą matki. Kiedyś nazywali to depresją maniackalną, potem zmienili nazwę na chorobę dwubiegunową. Z tym że w przypadku Phil nazewnictwo nie miało

znaczenia. I wtedy, i teraz nie przyjmowała żadnej pomocy prócz tej, która płynęła z dzbana michelady.

– Uhm... uhm... uhm... – zamruczał pod nosem z palcami zastygłymi na klawiaturze, szukając odpowiedniego słowa. Po chwili pokiwał głową i wrócił do pisania.

– Robisz kopię zapasową? – spytała.

– Jasne. Danych pomocniczych też. – Włożył do laptopa pamięć USB i światełko zamigotało przy kopiowaniu plików. – Jestem facetem, skarbie. Znam się na komputerach.

– Imponujące. – Szturchnęła go stopą.

Pochylił się, pocałował ją w kolano i znowu zajął się pisaniem.

Dała sobie chwilę, żeby popatrzeć na jego przystojną twarz. Owszem, była surowa, ale pozbawiona twardości. Nie bał się pracy fizycznej, ale wiedział, jak używać mózgu, żeby zapłacić komuś innemu za taką pracę.

Nie był mięczakiem, i to pod żadnym względem, a matka go uwielbiała. Celia Collier, nawet kiedy często zaglądała do butelki, była miła i wylewna, sądząc po serdecznych uściskach i całusach. Punktualnie o szóstej na Waltera zawsze czekała kolacja. W szkolnym plecaku zawsze znajdował drugie śniadanie. Nigdy nie musiał nosić brudnej bielizny ani błagać obcych o pieniądze na jedzenie. Nie musiał chować się w nocy pod łóżkiem ze strachu, że pijana matka spuści mu łomot.

Leigh uwielbiała w nim wiele rzeczy. Dobroć. Błyskotliwość. Troskliwość. Ale przede wszystkim uwielbiała go za absolutną normalność.

– Skarbie – powiedział. – Myślałem, że pracujemy.

Uśmiechnęła się lekko.

– Nie tak to się wymawia, skarbie.

Parsknął śmiechem, nie przestając pisać.

Leigh otworzyła książkę. Powiedziała Walterowi, że musi sprawdzić zaktualizowane wytyczne do ustawy o osobach z niepełnosprawnościami w odniesieniu do niepełnosprawnych najemców, ale tak naprawdę szukała informacji o granicach przywileju współmałżonka. Zaraz po powrocie z miesiąca miodowego zamierzała opowiedzieć Walterowi wszystko o Buddym Waleskim.

Może.

Odchyliła głowę i wbiła wzrok w sufit. Walter bardzo dużo wiedział o jej życiu. Opowiedziała mu o dwóch epizodach w poprawczaku, nie ukrywając powodów swojego pobytu. Opowiedziała o strasznej nocy w okręgowym areszcie, gdzie wylądowała za przebicie opon namolnemu szefowi. I nawet o tym, kiedy pierwszy raz uświadomiła sobie, że może odwinąć się matce.

Za każdym razem, kiedy zrzucała z siebie ciężar, a Walter bez mrugnięcia okiem wysłuchiwał jej opowieści, walczyła z sobą, żeby nie zdradzić mu całej reszty.

Tyle że ta reszta to było już za wiele. Ta reszta była takim brzemieniem, że jej siostra wolała faszerować się trucizną, niż żyć z tymi wspomnieniami. Walter nigdy nie tknął alkoholu, ale jak by zareagował, gdyby się dowiedział, do czego jest zdolna jego żona? Słuchanie o jej pełnym przemocy dzieciństwie to jedno, ale Buddy Waleski został rozczłonkowany we własnej kuchni niecałe siedem lat temu.

Leigh próbowała wyobrazić sobie przebieg tej rozmowy. Jeśli powie Walterowi o jednym, będzie musiała opowiedzieć wszystko, czyli wrócić do samych początków tej historii, kiedy Buddy Waleski położył grube

paluchy na jej kolanie. Jak ktoś nawet tak wyrozumiały jak Walter uwierzy, że zapomniała o tamtej nocy? I jak jej wybaczy, skoro ona sama nie była w stanie sobie wybaczyć?

Otarła oczy wierzchem dłoni. Mimo zasady przywileju współmałżonka, czy to fair czynić z jedyne go mężczyzny, którego kochała, współnika swoich zbrodni? Czy Walter spojrzy na nią inaczej? Czy przestanie ją kochać? Czy uzna, że nie może zostać matką jego dziecka?

Ta ostatnia myśl wycisnęła jej łzy z oczu. Musiała wstać i poszukać chusteczki, żeby Walter nie widział, jak się rozkleja.

– Kochanie? – rzucił pytająco.

Pokręciła głową. Lepiej niech pomyśli, że to reakcja na wcześniejszą wymianę zdań o Callie. Nie bała się, że Walter wyda ją policji. Wiedziała, że nigdy tego nie zrobi. Bała się, że jego prawniczy umysł błyskawicznie odróżni działanie w obronie własnej od morderstwa z zimną krwią.

Leigh doskonale zdawała sobie sprawę z ciężaru swoich występków, gdy wyjeżdżała z Atlanty. Prawo od pokoleń łamało sobie zęby na kwestii zamiaru. To, o czym myślał oskarżony w chwili popełniania przestępstwa, mogło być decydującym czynnikiem w sprawach od oszustwa po zabójstwo.

Świetnie pamiętała swoje myśli, gdy sześć razy owijała folią spożywczą głowę Buddy'ego Waleskiego:

„Umrzesz z mojej ręki, a ja z przyjemnością na to popatrzę”.

– Skarbie? – odezwał się Walter.

Posłała mu uśmiech.

– To nam szybko spowszednieje.

– Czyżby?

Wróciła na kanapę i trochę wbrew sobie usiadła mu na kolanach. Gdy otoczył ją ramionami, położyła głowę na jego piersi i próbowała sobie wmówić, że wcale nie cieszy się każdą chwilą w jego objęciach.

– Wiesz, jak bardzo cię kocham? – zapytał.

– Nie.

– Tak bardzo, że przestanę gadać o mojej wymarzonej pracy w Atlancie.

Powinna poczuć ulgę, ale poczuła się winna. Jego życie wywróciło się do góry nogami po śmierci ojca. Związek uratował jego matkę i Walter chciał odwdziżyć się za tamto dobro, walcząc dla innych pracowników, w których życiu zapanował chaos.

Przyciągnęła ją do Waltera jego potrzeba niesienia pomocy innym. Tak bardzo to w nim podziwiała, że wbrew zdrowemu rozsądkowi poszła z nim na randkę. W ciągu tygodnia przeszła od spania na jego kanapie do spania w jego łóżku. Potem skończyli studia, znaleźli pracę, zaręczyli się i byli gotowi zacząć nowe życie. Tyle że Leigh powstrzymywała Waltera przed kolejnym krokiem.

– Ej, to miało być sexy, ta moja ofiara dla ciebie.

Palcami zaczesła do tyłu jego kręcone włosy.

– Wiesz, że...

Scałował jej łyzy.

– Zabiłabym dla ciebie – dokończyła, w pełni świadoma konsekwencji takiego czynu. – Jesteś dla mnie wszystkim.

– Ale ty nie na serio...

– Och... – Ujęła jego twarz w dłonie. – Zrobię dla ciebie wszystko, Walterze. Mówię poważnie. Skoro chcesz jechać do Atlanty, postaram się żyć w Atlancie.

– Już mi przeszło. – Uśmiechnął się. – W Atlancie bywają straszne upały.

– Nie możesz...

– Co powiesz na Kalifornię? Albo Oregon? Ponoć Portland jest odjechane.

Pocałowała go, żeby się zamknął. Jego wargi smakowały wybornie. Nigdy nie spotkała mężczyzny, który nie żałował czasu na porządny pocałunek. Zaczęła rozpinąć mu koszulę. Miał spoconą skórę, poczuła sól na jego piersi.

I wtedy jakiś przekłety idiota zaczął walić pięścią w drzwi.

Wzdrygnęła się i złapała za serce.

– Która godzina? – zapytała.

– Dopiero wpół do dziewiątej, babciu. – Wysunął się spod niej, w drodze do drzwi zapiął koszulę.

Leigh patrzyła, jak przysuwa oko do wizjera, a potem zerka na nią.

– Kto to? – zapytała.

Walter otworzył drzwi.

W korytarzu stanęła Callie. Ubrana była w pastelowe dziecięce ciuchy z podobiznami bohaterów kreskówki, oczywiście ze sklepu charytatywnego. Nawet najmniejsze rozmiary kobiece były dla niej za duże. Rękawy koszulki z postaciami z filmu *Prosiaczek i przyjaciele* były długie. Workowate džinsy miały rozdarcia na kolanach. Pod pachą trzymała wypchaną poszewkę na poduszkę. Przechyliła się lekko w bok,

równoważąc ciężar kartonowego transportera dla kota, który trzymała za uchwyty.

Przez otwory wentylacyjne transportera rozlegało się pomiaukiwanie.

– Dobry wieczór, przyjaciele – powiedziała Callie.

– Kopę lat – odparł Walter, nie dając po sobie poznać, że kiedy widział ją ostatni raz, obrzygała mu koszulę, gdy prowadził ją do ośrodka odwykowego.

– Callie. – Leigh wstała z kanapy. Była kompletnie oszołomiona. Siostra nigdy nie ruszała się poza obszar dwudziestu pięciu kilometrów kwadratowych wokół domu Phil. – Co robisz w Chicago?

– Każdy zasługuje na wakacje. – Callie kiwała głową z wysiłku, dźwigając transporter do salonu, po czym delikatnie postawiła go na podłodze przy kanapie. Obok położyła wypchaną poszewkę i rozejrzała się po pokoju. – Niezła chata.

Leigh czekała na odpowiedź, ale się nie doczekała, więc zadała inne pytanie:

– Skąd znasz mój adres?

– Przysłałaś mi kartkę na Boże Narodzenie na adres Phil.

Leigh zaklęła pod nosem. To Walter wysyłał kartki. Musiał trafić na adres Phil w jej notesie.

– Mieszkaś u matki?

– Czymże jest życie, Harleigh, jeśli nie serią pytań retorycznych?

– Callie, wyjaśnij mi, po co przyjechałaś.

– Pomyślałam, że przekonam się osobiście, o co chodzi z tym Wietrznym Miastem. Zdecydowanie nie polecam przystanków

autobusowych. Wszędzie ćpuny.

– Callie, proszę...

– Jestem czysta.

Leigh zaniemówiła. Tęskniła za tymi słowami z ust siostry. Przyjrzała się jej twarzy. Miała pełne policzki. Zawsze była drobna, ale kości już jej nie sterczały, nabrała ciała, wyglądała zdrowo.

– Prawie osiem miesięcy. Co ty na to?

Leigh poczuła nadzieję, za którą się nienawidziła.

– Jak długo to potrwa? – zapytała.

– Czas pokaże. – Callie odwróciła się, jakby się odgradzając od niezadowolenia siostry. Obeszła ich maleńkie mieszkanko niczym słoń w składzie porcelany. – Fajna przestrzeń. Ile płacicie za wynajem? Założę się, że bańkę za miesiąc. Bańkę, prawda?

Walter wziął na siebie odpowiedź:

– Połowę tego.

– A niech mnie, Walterze. Prawdziwa okazja. – Pochyliła się nad transporterem. – Słyszysz, kicia? Ten gość wie, jak robić interesy.

Pochwycił spojrzenie Leigh i uśmiechnął się, bo nie rozumiał, że dobry humor Callie zawsze miał swoją cenę.

– Wypasiony sprzęt. – Schyliła się nad laptopem z wyciągniętą głową jak dziobiący ptak. – Co tu masz, Walterze? Fundamentalne dyspozycje do bla, bla, bla... Strasznie to przemądrzałe.

– To moja praca końcowa – wyjaśnił Walter. – Połowa mojej oceny.

– Presja jest. – Callie wyprostowała się. – Udowadniasz tym tekstem, że umiesz powiedzieć wszystko.

Walter znowu się zaśmiał.

– Święta prawda.

– Cal... – zaczęła Leigh.

– Walterze, to jest świetne. – Callie podeszła do biblioteczki, którą Walter zbudował z cementowych bloczków i drewnianych płyt. – Bardzo męski mebel, ale pasuje do stylu całego pokoju.

Walter uniósł brwi i spojrzał wymownie na Leigh, jakby Callie nie wiedziała, że jej siostra gardzi tym meblem.

– A to jakie cacko. – Callie potrząsnęła kulą śnieżną, którą kupili na przydrożnym straganie w drodze do Petoskey. Nie mogła przechylić głowy, więc podniosła kulę na wysokość oczu, żeby obserwować fruujące białe drobinki. – To prawdziwy śnieg, Walterze?

– Wierzę, że tak – odparł z uśmiechem.

– Rany, ludzie... Nie rozumiem tego waszego wyszukanego świata. Zaraz mi powiesz, że trzymacie psujące się produkty w chłodzonej skrzyni.

Leigh obserwowała, jak siostra paraduje po pokoju. Callie oglądała książki i pamiątki ze skromnych wakacji, na jakie było ich stać, gdy roztrwonili piętnaście tysięcy dolarów na kogoś, kto spędził w ośrodku odwykowym tylko jeden dzień.

– Halo? – zawołała Callie, przykładając usta do szyjki pustego wazonu.

Leigh zacisnęła szczęki. Nie mogła znieść, że jej okropna siostra narkomanka rujnuje idealną przestrzeń, którą ona dzieli tylko z Walterem, i czuła do siebie odrazę za te podłe myśli.

Piętnaście tysięcy dolarów to nie cała kwota, jaką przepuścili na Callie. W ciągu sześciu lat Leigh była w Atlancie sześć razy, żeby jej pomóc. Wynajmowała pokoje w motelu, żeby siostra miała gdzie się

odtruć, pilnowała, żeby nie uciekła, zawiozła na ostry dyżur, gdy złamana igła utkwiała w ramieniu i wywołała infekcję, która omal nie okazała się śmiertelna. Do tego niezliczone wizyty lekarskie, strach przed HIV, strach przed zapaleniem wątroby typu C, góry papierów w sprawie poręczeń, finansowanie zakupów w więziennej kantynie, aktywowanie kart telefonicznych. I czekanie – ciągle czekanie – na pukanie do drzwi, policjanta z czapką w rękach, jazdę do kostnicy, widok wycieńzonego ciała siostry na stole, bo bardziej kochała heroinę niż samą siebie.

– Więęęc... – Callie przeciągnęła słowo – wiem, że to będzie dla was szok, ale nie mam teraz stałego miejsca i...

– Teraz? – wybuchła Leigh. – Niech cię szlag, Callie. Kiedy widziałyśmy się ostatnio, wyciągnęłam cię za kaucją z aresztu, gdzie wylądowałeś za rozbicie auta. Złamałeś warunki? Nie stawiaś się na rozprawę? Mogli wystawić nakaz...

– Ej, siostra, spoko, nie nakręcaj się tak.

Leigh miała ochotę ją spoliczkować.

– Nie waż się nigdy mówić do mnie jak do Phil – wycodziła.

Callie uniosła ręce, zrobiła krok w tył, potem drugi.

Leigh skrzyżowała ramiona, żeby jej nie udusić.

– Od kiedy jesteś w Chicago? – zapytała.

– Przyjechałam w zeszłym tygodniu. A może dwa dni temu?

– Callie...

– Walterze. – Callie odwróciła się od Leigh. – Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi tego za złe, ale widzę, że doskonały z ciebie żywiciel.

Walter uniósł brwi. Tak naprawdę to Leigh zarabiała więcej od niego.

– Zapewniłeś mojej siostrze świetny dom. Z pierścionka na jej palcu wnoszę, że postanowiłeś zrobić z niej uczciwą kobietę. Na tyle, na ile może nią być. Mimo wszystko cieszę się waszym szczęściem i gratuluję.

– Callie. – Gdyby Leigh inkasowała dolara za każde wypowiedzenie na głos imienia siostry w ciągu dziesięciu minut, zwróciłyby się jej koszty odwyku. – Musimy pogadać.

Callie okręciła się na pięcie.

– O czym chcesz pogadać?

– Zaraz mnie szlag trafi. – Leigh już nie ukrywała, że traci cierpliwość. – Przystaniesz zachowywać się jak struś i wyjmiesz głowę z dupy?

– Porównujesz mnie do tego morderczego ptaszyska?! – ze zgrozą zawołała Callie.

Walter parsknął śmiechem.

– Walterze. – Leigh wiedziała, że zachowuje się jak jędra. – Nie śmiej się z niej. To nie jest śmieszne.

– Tak, to nie jest śmieszne, Walterze. – Callie całym ciałem odwróciła się do niego.

Sztywne mechaniczne ruchy siostry nadal działały Leigh na nerwy. Myśląc o niej, widziała sportsmenkę, a nie dziewczynę po złamaniu kręgosłupa szyjnego, który lekarze zdołali scalić. A już na pewno nie ćpunkę stojącą przed mężczyzną, z którym ona desperacko pragnęła zbudować nowe, nudne, normalne życie.

– Daj spokój. – Walter posłał jej uśmiech. – Trochę jest śmieszne.

– To oszczerstwo, Walterze. Taki prawniczy mądrała powinien to wiedzieć. – Callie podparła się pod boki, naśladując manierę doktora Jerry'ego. – Struś może zabić lwa nogą zupełnie bez powodu. Tyle że

lew też słynie z mordowania. Wyleciało mi z głowy, co chciałam powiedzieć, ale tylko jedno z nas musi rozumieć, co mówię.

Leigh zakryła twarz rękami. Callie powiedziała, że jest czysta, ale w tej chwili ewidentnie była naćpana. Nie mogła tego znieść, nadzieja ją zabijała. Wiele nocy nie przespaała, snując plany, jak wyprowadzić młodszą siostrę z tej przerażającej spirali śmierci.

I za każdym razem Callie do tego wracała.

– Nie mogę... – zaczęła.

– Poczekaj – przerwał jej Walter. – Callie, nie masz nic przeciwko temu, że zamienię parę słów z twoją siostrą na osobności?

– Proszę bardzo. – Z teatralną przesadą wzruszyła ramionami.

Leigh nie miała wyjścia i poczłapała za Walterem do sypialni. Objęła się ramionami w pasie, a on delikatnie zamknął drzwi.

– Nie zdzierzę tego znowu – odezwała się pierwsza. – Ona jest na haju.

– Uspokoi się. To tylko kilka nocy.

– Nie. – Czuła, jak trzęsie się jej głowa. Callie była tu zaledwie od kwadransa, a ona już czuła się wyczerpana. – To nie kilka nocy, to moje życie, Walterze. Nie masz pojęcia, jak ciężko harowałam, żeby się od tego uwolnić. Ile musiałam poświęcić. Ile strasznych rzeczy...

– Leigh... – W tonie jego głosu było tyle rozsądku, że miała ochotę wybiec z sypialni. – To twoja siostra.

– Nie rozumiesz.

– Mój tata...

– Wiem... – Ale ona nie mówiła o nałogu, tylko o winie, żalu, o:

„Ile masz lat laleczko nie możesz mieć więcej niż trzynaście ale już wyglądasz jak dorosła kobieta”.

To ona wepchnęła młodszą siostrę w szpony Buddy’ego Waleskiego. To ona go zamordowała. To ona zmusiła Callie do tylu kłamstw, że jedyną ulgę przyniosły jej prochy, które w końcu ją zabijają.

– Skarbie, co się dzieje? – zapytał Walter.

Potrząsnęła głową, wściekła na siebie za te łzy. Była wykończona, miała dość oczekiwania, że pewnego dnia, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, poczucie winy zniknie. Najbardziej na świecie chciała uciec od pierwszych osiemnastu lat swojego życia, a resztę lat spędzić na budowania swojego świata wokół Waltera.

Pogładził ją po ramionach.

– Zabiorę ją do motelu – powiedział.

– Urządzi imprezę, zaprosi, kogo się da, i...

– Dam jej pieniądze.

– Przedawkuje. W tej chwili pewnie kradnie gotówkę z mojej torebki. Boże, nie wytrzymam. Serce mi pęka. Nie wiem, ile razy jeszcze mogę...

Chwycił ją w objęcia. Hamulce puściły, Leigh zaczęła szlochać. Walter nigdy tego nie zrozumie. Jego ojciec pił, ale to nie on włożył ojcu flaszki do ręki. Walter nosił w sobie typową dziecięcą winę. Leigh nosiła w sercu winę dwóch przerażonych i zdruzgotanych przez życie dziewczynek.

Nie mogła zostać matką. Nie mogła trzymać w ramionach jego dziecka, bo nie ufała samej sobie. Zrujnowała życie siostrze, równie dobrze mogła zrujnować je dziecku.

– Kochanie, co chcesz zrobić? – zapytał Walter.

– Chcę...

„Chcę powiedzieć jej, żeby sobie poszła. Powiedzieć, żeby zgubiła mój numer. Powiedzieć, że nie chcę jej więcej widzieć. Powiedzieć, że nie mogę bez niej żyć. Powiedzieć, że ze mną Buddy też próbował. Powiedzieć, że to moja wina, bo jej nie ochroniłam. Powiedzieć, że chcę objąć ją z całej siły i tak długo trzymać w uścisku, aż zrozumie, że nigdy się nie wyleczę, jeśli ona tego nie zrobi”.

Te słowa przychodziły łatwo, kiedy Leigh wiedziała, że zostaną w jej głowie.

– Nie mogę poznać tego kota – powiedziała.

Walter popatrzył na nią zdezorientowany.

– Callie ma niesamowity dar rozumienia kotów. Najpierw zrobi tak, żebym go pokochała, potem go tu zostawi, i dwadzieścia lat z głowy. – Walter miał pełne prawo patrzeć na nią jak na wariatkę. – Już nigdy nie pojedziemy na wakacje, bo nie będę miała sumienia zostawić go samego.

– Racja. Nie wiedziałem, że sprawa jest aż tak poważna.

Leigh zaśmiała się, bo tylko to jej zostało.

– Tydzień, nie dłużej, dobrze?

– Mówisz o Callie, tak? Tydzień.

– Przepraszam.

– Skarbie, wiedziałem, na co się piszę, kiedy zaproponowałem, żebyś spała na mojej kanapie.

Uśmiechnęła się, bo Walter w końcu nauczył się wymawiać jak należy słowo „skarbie”.

– Nie powinniśmy zostawiać jej samej. Wcale nie żartowałam o portfelu.

Walter otworzył drzwi, Leigh pocałowała go w usta i wrócili do salonu.

Nie powinna być zdziwiona tym, co zobaczyła, a jednak przeżyła wstrząs.

Callie zniknęła.

Leigh omiotła wzrokiem pokój, tak jak niedawno robiła to jej siostra. Zobaczyła otwartą torebkę, pusty portfel, brakowało śnieżnej kuli, brakowało wazonu. Brakowało laptopa Waltera.

– Ja pierdołę! – Walter zrobił wymach nogą, żeby kopnąć stolik kawowy, ale w ostatniej chwili znieruchomiał i zacisnął pięści. – Niech to...

Zobaczyła na stole przy drzwiach opróżniony portfel Waltera.

„To moja wina. To moja wina”.

– Cholera. – Walter nastąpił na coś. Schylił się i podniósł pendrive’a. Zanim Callie ukradła mu laptopa, zrobiła kopię jego pracy.

Leigh zacisnęła wargi.

– Przepraszam, Walterze.

– Co to za...

– Możesz używać mojego...

– Nie, chodzi o ten dźwięk. Co to jest?

Leigh wytężyła słuch. Po chwili zorientowała się, co przykuło jego uwagę. Callie zabrała poszewkę na poduszkę, ale zostawiła kota. Biedne stworzenie miauczało w pudle.

– Cholera – powiedziała Leigh, bo porzucenie kota było prawie tak samo złe jak oskubanie ich w domu. – Zajmij się nim. Ja nie mogę go zobaczyć.

– Żartujesz?

Leigh pokręciła głową. Walter nigdy nie zrozumie, jak bardzo nienawidziła matki za przekazanie im miłości do zwierząt.

– Jeśli go zobaczę, będę chciała go zatrzymać.

– Koniecznie musisz przepracować ten problem. – Walter podszedł do pudła i znalazł złożony list, który Callie wsunęła między uchwyty.

Leigh poznała charakter pisma siostry z serduszkami nad „i” zamiast kropki.

Dla Harleigh & Waltera, bo Was kocham.

Leigh postanowiła, że kiedy następnym razem znajdzie się z siostrą w tym pokoju, spuści jej łomot.

Walter rozwinął kartkę i przeczytał na głos:

– Proszę, przyjmijcie w darze tę śliczną...

Kot miauknął znowu i Leigh poczuła, że serce w niej zamarło. Walter za długo zwlekał. Uklękła przed transporterem, tworząc już w głowie listę potrzebnych rzeczy. Kuweta, szufelka, jedzenie dla kociąt, zabawki, ale nie kocimiętka, bo kocięta nie reagują na kocimiętkę.

– Skarbie. – Walter pochylił się i ścisnął jej ramię.

Leigh rozdzieliła uchwyty pudła, w duchu przeklinając siostrę, i rozchyliła kocyk. A potem powoli uniosła ręce i zasłoniła usta. Spoglądała w dwoje najpiękniejszych brązowych oczu, jakie w życiu widziała.

– Madeline – powiedział Walter. – Callie pisze, żeby nazywać ją Maddy.

Leigh włożyła ręce do pudła i poczuła ciepło cudownej maleńkiej istoty, które ogarnęło jej ramiona i sięgnęło do zbolełego serca.

Callie podarowała im swoje dziecko.

WIOSNA 2021

12

Leigh z uśmiechem słuchała opowieści Maddy o naturalnych między nastolatkami szkolnych scysjach. Andrew przestał się liczyć. Callie przestała się liczyć. Kariera zawodowa, kasety wideo, gwarancja bezpieczeństwa Andrew, jej wolność, jej życie – to wszystko przestało się liczyć.

W tej chwili chciała tylko siedzieć w ciemności i słuchać cudownego głosu córki.

Przeszkadzało jej tylko jedno: że toczą tę rozmowę przez telefon. Ploteczek słucha się, kiedy matka przygotowuje kolację, a córka bawi się telefonem, a kiedy dzieje się coś naprawdę poważnego, to córka opowiada o tym wtulona w matkę, która gładzi jej włosy.

– Więc, mamo, jasne, że mówiłam, że nie możemy tego zrobić, bo to nie fair, tak?

– No tak – wtrąciła Leigh.

– A wtedy ona wściekła się na mnie i poszła. Godzinę później patrzę w telefon i widzę, że podesłała mi filmik, taki z psem goniącym za piłką tenisową, więc pomyślałam, że będę miła i napiszę coś w stylu: jaki śliczny spaniel, spaniele są urocze i kochane, a ona mi na to wielkimi

literami: TO TERIER A TY SIĘ NIE ZNASZ NA PSACH WIĘC SIĘ ZAMKNIJ.

– To śmieszne – odezwała się Leigh. – Przecież teriery i spaniele wcale nie są do siebie podobne.

– Wiem! – Maddy zrelacjonowała szczegółowo resztę historii, która okazała się bardziej złożona, niż przesłuchania dowodowe w sprawie zorganizowanej grupy przestępczej.

Callie spodobałaby się ta rozmowa, więcej, byłaby nią zachwycona.

Leigh oparła głowę o szybę. Zamknięta w prywatnej przestrzeni swojego audi, pozwoliła sobie na niekontrolowany płacz. Jak stalkerka zaparkowała na ulicy, przy której stał dom Waltera. Chciała zobaczyć światło w sypialni córki, może jej cień w oknie. Walter pozwoliłby jej posiedzieć na werandzie, ale jeszcze z nim nie rozmawiała. Jechała na przedmieścia jak na autopilocie, kierowana organicznym pragnieniem bliskości rodziny.

Fakt, że na podjeździe stał kamper Celi Collier, nie poprawił jej nastroju. Brązowa poczwara przypominała mobilne laboratorium metamfetaminy z *Breaking Bad*. Mimochodem wyciągnęła od Maddy informację, że matka Waltera spontanicznie postanowiła wpaść z wizytą, ale ona niczego nie robiła spontanicznie. Leigh wiedziała, że Celia przyjęła już dwie dawki szczepionki, dlatego miała niemiłe przeczucie, że babcia przyjechała zająć się wnuczką, by Walter wyjechał na weekend z Marci.

– Mamo, słuchasz mnie?

– Jasne. I co odpowiedziała?

Mimo ożywionego tonu głosu córki, Leigh czuła, że ciśnienie jej spada. Przez zamknięte okna auta dobiegało tłumione cykanie świerszczy. Nisko na niebie widziała tylko skrawek księżyca. Wróciła

pamięcią do pierwszej nocy spędzonej z córką. Walter obłożył łóżko poduszkami i otoczyli Maddy swoimi ciałami, tworząc wokół niej barierę ochronną w kształcie serca. Spłynęła na nich miłość, która odebrała im mowę. Walter płakał. Leigh płakała. Na liście zakupów kuwetę i kocią karmę zastąpiły pieluchy, mleko dla niemowląt, śpioszki i plany, by Walter natychmiast przyjął posadę w Atlancie.

Dokumenty pozostawione przez Callie na dnie transportera uniemożliwiały im pozostanie w Chicago. Jak ze wszystkim w życiu, Callie więcej wysiłku umysłowego wkładała w robienie złych rzeczy, niż byłaby w stanie włożyć w dobre.

W tajemnicy przed wszystkimi przeniosła się do Chicago osiem miesięcy przed narodzeniem Maddy. W przychodni dla kobiet w South Side jako przyszła mama podawała personalia Leigh. W akcie urodzenia Maddy jako ojciec widniał Walter. Wszystkie badania lekarskie Callie w trakcie ciąży, pomiary ciśnienia, wizyty w szpitalu, kontrole stanu zdrowia pokrywał Departament Zdrowia i Opieki Społecznej Stanu Illinois w ramach programu Matki & Dzieci.

Leigh i Walter mieli dwa wyjścia: przenieść się do Atlanty z pełną dokumentacją Callie i udawać, że Maddy jest ich dzieckiem, albo powiedzieć prawdę i wysłać Callie do więzienia za oszustwo medyczne.

Zakładając, że śledczy uwierzą w ich historię, bo równie dobrze Leigh i Walter mogli zostać oskarżeni o współudział w oszustwie. Wtedy Maddy wylądowałyby w rodzinie zastępczej, a do tego nie mogli dopuścić.

Callie napisała:

Proszę, przyjmijcie w darze tę śliczną dziewczynkę. Wiem, że bez względu na wszystko oboje zapewnicie jej szczęście i bezpieczeństwo. Proszę tylko, żebyście nazywali ją Maddy.

PS. Félicette była pierwszym kotem astronautą. Możecie to sprawdzić.

Dopiero gdy bezpiecznie dotarli do Atlanty, ich strach minął, a gdy upewnili się, że Callie nie wparuje do nich i nie odbierze im Maddy, zaczęli zapraszać ją do życia ich córki. Ale zawsze uprzejmie odmawiała. Nigdy nie rościła sobie żadnych praw, nigdy w żaden sposób nie dała do zrozumienia, że Leigh nie jest matką Maddy, a Walter ojcem. Istnienie dziecka stało się jak wszystko inne w jej życiu: zamierzchnią historią, którą wyparła z pamięci.

Natomiast jeśli chodzi o Maddy, to wiedziała, że Leigh ma uzależnioną siostrę, ale to wszystko. Jak dotąd, nie wyznali jej prawdy. Najpierw czekali, aż oszustwo medyczne się przedawni, potem Maddy była za mała, żeby to zrozumieć, przechodziła w szkole trudny okres, aż wreszcie, gdy skończyła dwanaście lat, separacja rodziców była dla niej wystarczająco trudna do ogarnięcia, by jeszcze dokładać rewelację o tym, że nie jest ich biologicznym dzieckiem.

Nagle Leigh przypomniała sobie słowa Andrew z dzisiejszego poranka. W ogrodzie za domem powiedział, że Callie lubiła, co Buddy jej robił, i że jęcząc, powtarzała jego imię.

Nieważne, że to robiła. Może i Callie podobał się dotyk, bo dotyk bywa miły, ale dzieci nie potrafią dokonywać dojrzałych wyborów. Nie rozumieją romantycznej miłości. Nie rozumieją reakcji ciała na erotyczny kontakt. Są fizycznie i emocjonalnie nieprzygotowane na stosunek seksualny.

Leigh nie rozumiała tego w wieku osiemnastu lat, ale jako matka rozumiała to doskonale. Kiedy Maddy skończyła dwanaście lat, stała się bezpośrednią obserwatorką magii życia nastolatki. Wiedziała, jaka potrafi być urocza i jak rozpaczliwie pragnie uwagi. Wiedziała, że można przekonać ją i wspólnie robić gwiazdy na podjeździe. Patrzyła,

jak w jednej chwili Maddy śmieje się do rozpuku, a potem wybucha niewytłumaczalnym płaczem. Ktoś łatwo mógł jej wmówić, że może ufać tylko jemu, że nikt inny nie będzie jej tak kochał, że jest wyjątkowa, że bez względu na wszystko musi zachować tajemnicę, bo nikt inny tego nie zrozumie.

Nie przez przypadek zniszczyła swoje małżeństwo, gdy Maddy skończyła dwanaście lat. Callie miała tyle lat, gdy zaczęła opiekować się synem Waleskich.

Świadomość, jak bezbronna była wtedy jej siostra i co Buddy Waleski jej odebrał, zżerała Leigh jak rak, który omal jej nie zabił. Bywały dni, że patrzyła na córkę, a potem pędziła do łazienki i zalewała się łzami. Tak ciasno owinęła się wokół Maddy, że przy Walterze odwijala się, tracąc kontrolę. Walter znosił jej nieobliczalne zachowanie, aż wreszcie znalazła sposób, żeby skłonić go do odejścia. Nie romans. Nigdy nie zdradziła męża. To, co zrobiła, było o wiele gorsze od niewierności. Kiedy Maddy szła spać, zaczęła się upijać. Z początku wyglądało na to, że ten sposób też nie działa, aż pewnego ranka ocknęła się wciąż pijana na posadzce w łazience. Walter, który siedział na brzegu wanny, uniósł ręce w geście poddania i powiedział, że ma dość.

– Co miałam zrobić? – zapytała Maddy. – No serio, mamó. Powiedz.

Leigh straciła wątek, ale ogólny zarys historii kojarzyła.

– Zrobiłaś właśnie to, co należało zrobić, kochanie. A ona albo zmieni zdanie, albo nie.

– Pewnie tak... – odparła Maddy bez przekonania. – Rozmawiałaś z tatą o spotkaniu w ten weekend?

Leigh przyjęła strategię tchórza i napisała do Waltera.

– Nie możesz zostać na noc i musisz obiecać, że będziecie w maseczkach.

– Obiecuje – powiedziała Maddy, ale można by to sprawdzić tylko wtedy, gdyby się podglądało przez piwniczne okna. – Keely mówiła, że wreszcie się odezwała.

Maddy nie szafowała nazwami własnymi, ale zwykle podrzucała jakieś tropy.

– Pani Heyer?

– Tak. Mówiła, że Keely kiedyś to zrozumie, ale spotkała kogoś, a jej tatę nadal kocha, bo on zawsze będzie jej tatą, ale ona musi iść dalej.

Leigh potrząsnęła głową, usiłując wydobyć z tego konkret.

– Pani Heyer spotyka się z kimś? Zdradza pana Heyera?

– Tak, mamo, właśnie to powiedziałam. – Maddy wróciła do swojej strefy komfortu, czyli irytacji. – Ciągłe pisze, wysyła serduszka, inne bzdety, no, litości, czemu nie zadzwoni, zamiast pisać, czemu nie powie, co dalej, jak to będzie wyglądać?

– Czasem łatwiej napisać, wiesz?

– Taaa, super, muszę kończyć. Kocham cię.

Maddy ekspresowo zakończyła rozmowę. Leigh przypuszczała, że ktoś bardziej interesujący znalazł się w zasięgu. Wpatrywała się w wyświetlacz, póki nie zgasł. Jej cząstka miała ochotę wdać się w esemesową wymianę na temat Ruby Heyer, ale nie dlatego zjawiała się na przedmieściach o ósmej wieczorem. Przybyła tu znaleźć Waltera i rozpieprzyć sobie życie do reszty.

Andrew wyraźnie spisał Tammy Karlsen na straty w swojej wojnie z gwarancją wzajemnego zniszczenia. Chciał, żeby Leigh żyła w strachu. Żeby wiedziała, że w każdej chwili jej „idealne fałszywe życie mamuśki z wywiadówkami, szkolnymi przedstawieniami i głupim mężem” może się skończyć jak życie Andrew, kiedy zamordowała jego ojca.

Jedynym sposobem, żeby odebrać Andrew moc, to odebrać mu kontrolę.

W obawie, że zaraz straci determinację, Leigh napisała do Waltera:

Zajęty?

Odpisał natychmiast:

Maszyna Miłości.

Leigh spojrzała na kampera Celi. Zaczęli nazywać go Maszyną Miłości, kiedy Walter przypadkiem nakrył w nim matkę z facetem prowadzącym parking dla kamperów w Hilton Head.

Walter stanął we frontowych drzwiach domu, zamachał do niej i ruszył do Maszyny Miłości. Rozejrzała się po uliczce. Nie zdziwiłaby się, gdyby wydał ją któryś z sąsiadów. W pobliżu Waltera mieszkało sześciu strażaków, i każdemu z nich pomógł przy różnych okazjach, negocjując warunki emerytury czy pokrycie kosztów leczenia, a w jednym przypadku zamianę więziennej celi na ośrodek odwykowy. Wszyscy traktowali go jak brata.

Wysiadła z auta, zostawiając telefon na siedzeniu. Kiedy weszła do Maszyny Miłości, Walter właśnie składał stół. Celia nie wydała wiele na dekoracje, ale wnętrze było schludne, porządne i funkcjonalne. Długa ława służyła jako kanapa między dwoma przedziałami pojazdu. Kompaktowa kuchnia, szafa i łazienka tworzyły korytarzyk prowadzący do sypialni na końcu. Walter włączył światelka w podłodze pokrytej wykładziną. Łagodna poświata podkreśliła mocno zarysowaną linię jego szczęki. Leigh dostrzegła cień zarostu. W pandemii Walter golił się co drugi dzień. Przekonała się, jak bardzo jej to odpowiada, kiedy podczas pierwszego lockdownu na krótko wróciła do jego łóżka.

– Cholera. – Dotknęła dłonią odsłoniętej twarzy. – Zapomniałam maseczki.

– Nic nie szkodzi. – Walter cofnął się, zwiększając dystans. – Callie zjawiała się dzisiaj na treningu Maddy.

Leigh miała ambiwalentne uczucia. Wyrzuty sumienia, że nie zadzwoniła do siostry od wczoraj, i nadzieję, że Callie wreszcie okazała jakieś zainteresowanie faktem, że tak czy inaczej, jest częścią tej rodziny.

– Wygląda dobrze. – Walter oparł się o przegrodę. – To znaczy jest zdecydowanie za chuda, ale uśmiechała się i żartowała. Stara dobra Callie. Chyba była nawet opalona.

– Czy...

– Nie. Zaproponowałem jej to, ale nie chciała spotkać się z Maddy. I tak. Była na haju, ale nie przewracała się i nie zrobiła sceny.

Leigh skinęła głową. To nie były najgorsze wieści.

– Jak Marci?

– Wychodzi za mąż. Wróciła do swojego byłego.

Pierwszy raz od wielu dni poczuła, że ciężar leżący jej na sercu nieco zelżał.

– Na widok kampera pomyślałam...

– Czeka mnie tu dziesięć dni kwarantanny. Poprosiłem, żeby mama przyjechała i miała oko na Maddy.

Ciężar w sercu Leigh wrócił na swoje miejsce.

– Miałeś kontakt z chorym?

– Nie. Chciałem zadzwonić do ciebie jutro, ale przyjechałaś i... – Walter pokręcił głową, jakby szczegóły nie grały roli. – Chciałem zrobić to. – Bez ostrzeżenia skrócił dystans między nimi i wziął ją w ramiona.

Nie stawiała oporu. Pozwoliła, by całą sobą wtopić się w niego. Wstrząsnął nią szloch. Rozpaczliwie pragnęła zostać z nim, udawać, że wszystko jest w porządku, a mogła tylko zapamiętać tę chwilę, żeby wspominać ją przez resztę życia. Czemu zawsze trzymała się złych rzeczy, a dobre wypuszczała z rąk?

– Skarbie. – Walter wziął ją pod brodę, żeby spojrzeć na niego. – Mów, co się stało.

Dotknęła palcami jego warg. Czuła, że za chwilę nieodwracalnie zniszczy resztki ich małżeństwa. Mogła przespać się z Walterem, mogła zasnąć w jego ramionach, ale jutro, może pojutrze i tak będzie musiała powiedzieć mu prawdę. Wtedy zdrada zaboli jeszcze bardziej.

– Muszę... – Głos jej się załamał. Wzięła głęboki oddech. Pociągnęła Waltera na ławę i usiadła przy nim. – Muszę ci coś powiedzieć.

– Brzmi poważnie – odparł, chociaż ton jego głosu przeczył słowom. – O co chodzi?

Spojrziała na ich splecione palce. Oboje mieli porysowane obrączki, ale wciąż je nosili, żadne z nich nigdy jej nie zdjęło.

Leigh nie mogła tego przedłużyć. Wysunęła dłoń z jego dłoni.

– Muszę powiedzieć ci coś, co wykracza poza granice naszego małżeństwa.

Walter zaśmiał się cicho.

– Dobrze. Mów.

– To nie wchodzi w zakres naszego przywileju współmałżonka. To po prostu rozmowa między tobą a mną.

Walter w końcu podchwycił jej poważny ton i z równą powagą spytał:

– Co się stało?

Leigh nie była w stanie siedzieć tak blisko niego, więc przesunęła się po siedzeniu, aż dotknęła plecami przegrody. Wspomniała przy tym, jak wyciągała nogę na kanapie, żeby dotknąć go chociaż stopą, bo nie mogła znieść braku fizycznie wyczuwalnej bliskości. To, co za chwilę powie, na zawsze zerwie to połączenie.

Już nie było odwrotu. Zaczęła od początku:

– Pamiętasz, jak ci mówiłam, że zaczęłam opiekować się dziećmi w sąsiedztwie, kiedy miałam jedenaście lat?

Walter pokręcił głową. Nie dlatego, że nie pamiętał, ale dlatego, że w jego mniemaniu powierzenie jedenastolatce opieki nad dzieckiem to bardzo zły pomysł.

– Oczywiście, że pamiętam.

Walczyła z napływającymi łzami. Jeśli się załamie, już nigdy mu tego nie powie. Odetchnęła głęboko, odczekała chwilę i mówiła dalej:

– Kiedy miałam trzynaście lat, dostałam stałą fuchę. Opiekowałam się pięcioletnim chłopcem, którego mama pracowała jako pielęgniarka na nocną zmianę, więc chodziłam tam w dni robocze po szkole i zostawałam do północy. – Mówiła za szybko, słowa zlewały się w jedno, wiedziała, że musi zwolnić. – Nazywała się Linda Waleski, a jej mąż... szczerze mówiąc, nie wiem, jak miał na imię, ale wszyscy mówili mu Buddy.

Walter położył rękę na oparciu ławki. Nie przerywał Leigh, tylko uważnie jej słuchał.

– Pierwszej nocy Buddy odwoził mnie do domu i... – Znów urwała. Tej części sama sobie nie opowiadała nawet w myślach, co dopiero na głos. – Zjechał na pobocze, rozsunał mi nogi i wsadził tam palec.

Na twarzy Waltera odmalowały się smutek i złość.

– Onanizował się. A potem zawiózł mnie do domu. I dał mi pieniądze.

Czuła, jak pieką ją policzki. Pieniądze pogarszały sprawę, bo wyglądały jak płatność za usługę. Spojrzała ponad ramieniem Waltera. Migotliwe światła na podjeździe sąsiada zlewały się jej w jedną plamę.

– Opowiedziałam Phil, że położył mi łapę na kolanie, o reszcie nawet nie wspomniałam. Kiedy poszłam do łazienki, zobaczyłam krew, a przez następne dni przy każdym sikaniu czułam pieczenie tam, gdzie skaleczył mnie paznokciem.

Wspomnienie było tak żywe, że teraz też poczuła pieczenie między nogami. Musiała przerwać, żeby przełknąć ślinę.

– Phil to obśmiała. Powiedziała, że jeśli Buddy znów spróbuje, mam odtrącić jego rękę. Zrobiłam to, a on już nigdy więcej niczego ze mną nie próbował.

Walter oddychał powoli i spokojnie, ale kątem oka Leigh dostrzegła, że zaciska pięść.

– Zapomniałam o tym. – Potrząsnęła głową, ponieważ wiedziała, czemu o tym zapomniała, ale nie umiała wyjaśnić tego Walterowi. – Zapomniałam, bo... potrzebowałam pracy. Wiedziałam, że jeśli zrobię aferę, coś powiem, nikt już mnie nie zatrudni, a nawet gorzej, bo oskarżą mnie o coś złego. Albo... sama nie wiem. Po prostu wiedziałam, że muszę trzymać buzię na kłódkę, bo i tak nikt mi nie uwierzy. A nawet jeśli uwierzy, to i tak niczego to nie zmieni.

Spojrzała na męża. Nie przerywał jej. Słuchał. I desperacko starał się zrozumieć.

– Trudno uwierzyć, że można wyprzeć coś takiego z pamięci, ale kiedy jesteś dziewczyną, szczególnie taką, która wcześniej zaczyna dojrzewać, rosną ci piersi, zaokrąglają się biodra i hormony szaleją, ty

nie umiesz sobie z tym poradzić, a dorośli mężczyźni cały czas mówią ci niestosowne rzeczy, Walterze. Cały czas.

Skinął głową, ale nie rozprostował pięści.

– Gwiżdżą na twój widok, dotykają piersi, ocierają się o ciebie kutasem, a potem udają, że to przypadek. Mówią ci, jaka jesteś seksowna. Albo że wyglądasz dojrzałe na swój wiek. To wstrętne, bo oni są starzy, ale czujesz się przez to obrzydliwie. Kiedy im się postawisz albo odszczekniesz, śmieją się, nazywają suką czy piczką zasadniczką albo mówią, że nie znasz się na żartach. – Znowu musiała zwolnić tempo mówienia. – Jedyne sposoby, żeby to wytrzymać, żeby normalnie oddychać, to odłożyć to gdzieś na bok, żeby przestało mieć znaczenie.

– Ale to ma znaczenie – powiedział z głębokim żalem. Myślał o ich ślicznej córce. – Oczywiście, że ma znaczenie.

Patrzyła, jak po jego policzkach toczą się łzy, ale wiedziała, że po tym, co zaraz powie, Walter zwróci się przeciwko niej.

– Kiedy miałam szesnaście lat, za zaoszczędzone pieniądze kupiłam auto i rzuciłam bawienie dzieci, a fuchę u Waleskich scedowałam na Callie.

Walter nie zdążył ukryć szoku.

– Buddy gwałcił ją przez dwa i pół roku i porozmieszczał w całym domu kamery, żeby to nagrywać, a nagrania pokazywał kumplom. W weekendy urządzali sobie męskie imprezy. Popijali piwo i patrzyli, jak Buddy gwałci moją siostrę. – Spojrzała na swoje dłonie i kilka razy przekreśliła obrączkę na palcu. – Nie wiedziałam o tym, ale pewnej nocy Callie zadzwoniła do mnie z domu Waleskich. Powiedziała, że wdała się awanturę z Buddym, bo znalazła jedną z kamer. On się bał, że ona powie o tym Lindzie, i go aresztują, więc rzucił się na nią i pobił, niemal udusił.

Udało się jej chwycić kuchenny nóż. Powiedziała mi przez telefon, że go zabiła.

Walter milczał, a ona nie mogła dłużej uciekać przed jego wzrokiem, więc spojrzała mu prosto w oczy.

– Kiedy tam przyjechałam, Buddy nadal żył, ale Callie przecięła mu nożem żyłą udową, więc czasu miał już niewiele. Jednak wystarczająco dużo, by wezwać karetkę i ocalić mu życie. Ale nawet nie próbowałam go ratować. Callie powiedziała mi, co jej robił, a ja przypomniałam sobie historię w aucie. Jakby włączył mi się w głowie jakiś przełącznik. W jednej chwili nic nie pamiętam, w drugiej wspomnienie wraca. – Próbowała zaczerpnąć powietrza, ale nie mogła napełnić płuc. – Wiedziałam, że to moja wina, przecież podsunęłam młodszą siostrę pedofilowi. Wszystko, co ją spotkało, to moja wina. Kazałam Callie iść do drugiego pokoju, z szuflady w kuchni wyjęłam folię spożywczą, owinęłam nią głowę Buddy’ego i udusiłam go.

Zobaczyła, że Walter otwiera usta, ale nadal milczał.

– Zamordowałam go – oznajmiła, jakby to jeszcze nie było oczywiste. – A potem zmusiłam Callie, żeby pomogła mi maczetą z szopy rozczłonkować jego ciało. Zakopaliśmy szczątki Buddy’ego w fundamentach pod centrum handlowe przy Stewart Avenue, a następnego dnia wylali tam beton. Dokładnie posprzątałyśmy po sobie i tak to zaaranżowałyśmy, żeby żona i syn Buddy’ego myśleli, że wyjechał z miasta. Ukradłam mu osiemdziesiąt sześć patyków, dzięki czemu zapłaciłam za studia.

Walter poruszył ustami, ale ciągle nie wydobył z siebie ani słowa.

– Przykro mi, ale to jeszcze nie koniec. – Skoro już zdobyła się na to wyznanie, Walter musiał poznać całą prawdę. – Callie nie...

Uniósł rękę, prosząc ją o chwilę przerwy, wstał i poszedł na koniec kampera. Odwrócił się, jedną ręką oparł się o blat kuchenny, drugą o ścianę i potrzaskał głową. Wszystko to bez słów. Wyraz jego twarzy dobijał Leigh. Walter wyglądał, jakby patrzył na obcego.

Zebrała się w sobie i mówiła dalej:

– Callie nie ma pojęcia, że Buddy najpierw próbował ze mną. Zabrakło mi odwagi, żeby jej powiedzieć. A skoro już mówię ci prawdę, to nie żałuję, że go zabiłam. Ona była dzieckiem, on odebrał jej wszystko, ale to moja wina. Moja wina.

Zaczął powoli kręcić głową, jakby chciał, żeby cofnęła te słowa.

– Walterze, mówię serio. Żałuję tylko jednego: że nie ostrzegłam Callie. Buddy zasłużył na śmierć. Powinien cierpieć dłużej niż dwie minuty, kiedy się dusił.

Odwrócił głowę i wytarł usta rękawem.

– Noszę w sobie tę winę w każdej sekundzie dnia, w każdym oddechu, w każdej cząstce mojego ciała – ciągnęła Leigh. – Za każdym razem, kiedy Callie przedawkowała, kiedy była na oddziale ratunkowym, kiedy nie wiem, czy żyje, czy umarła, czy ma kłopoty, czy siedzi, mój mózg zawsze wraca do pytania: „Czemu nie zafundowałam temu sukinsynowi gorszego cierpienia?”

Walter złapał się blatu. Oddychał płytko i ciężko. Wyglądał, jakby chciał rozwalić szafki i zerwać sufit.

– Przepraszam. Powinnam powiedzieć ci wcześniej, ale powtarzałam sobie, że nie chcę cię tym obciążać ani martwić, ale tak naprawdę za bardzo się wstydziałam. To, co zrobiłam Callie, jest niewybaczalne.

Walter nie patrzył na nią. Zwiesił głowę. Zgarbił się. Czekala, aż zacznie krzyczeć, rzuci się na nią, ale on tylko płakał.

– Przepraszam – wyszeptała. Serce się jej krajało na widok cierpienia Waltera. Gdyby mogła objąć go chociaż na chwilę, gdyby umiała ukoić jego ból, zrobiłaby to. – Wiem, że mnie nienawidzisz. Bardzo przepraszam.

– Leigh. – Podniósł głowę i spojrzał na nią zażawionymi oczami. – Nie rozumiesz, że ty też byłaś dzieckiem?

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem. Na jego twarzy nie było odrazy ani złości. Był tylko skrajnie zaskoczony.

– Miałaś tylko trzynaście lat – mówił dalej. – Molestował cię i nikt z tym nic nie zrobił. Mówisz, że powinnaś chronić Callie. A ciebie kto chronił?

– Powinnam...

– Byłaś dzieckiem! – Huknął pięścią w blat, aż zabrzęczały szklanki w szafce. – Czemu tego nie widzisz, Leigh? Byłaś dzieckiem. Przede wszystkim nigdy nie powinnaś znaleźć się w takiej sytuacji. Martwić się o pieniądze, szukać pracy. Powinnaś być w domu, leżeć w łóżku i zastanawiać się, który chłopak w szkole najbardziej ci się podoba.

– Ale... – On nie rozumie, przemknęło jej przez głowę. Myśli o Maddy i jej przyjaciółkach, ale w Lake Point było inaczej. Tam wszyscy szybciej dorastali. – Zabiłam go, Walterze. To morderstwo pierwszego stopnia. Wiesz o tym.

– Miałaś tylko dwa lata więcej, niż teraz ma Maddy! Facet cię molestował, a ty właśnie się dowiedziałaś, że twoja siostra...

– Przestań – powiedziała, bo nie było sensu polemizować z faktami. – Mówię ci o tym z konkretnego powodu.

– Musi być jakiś konkretny powód? – rzucił ze złością. – Jezu, Leigh, jak mogłaś żyć tak długo z tym potwornym poczuciem winy? Też byłaś ofiarą.

– Nie byłam ofiarą!

Bała się, że Maddy, która była w domu, usłyszy jej krzyk. Wstała, podeszła do okienka w drzwiach i spojrzała na okna sypialni Maddy. Lampka nocna ciągle się paliła. Wyobraziła sobie swoją cudowną córkę, jak leży zwinięta w kłębek z nosem w książce. Tak jak kiedyś Callie.

– Kochanie, spójrz na mnie. Proszę – odezwał się Walter.

Odwróciła się, obejmując się ramionami w pasie. Nie mogła znieść łagodności w jego głosie. Nie zasłużyła na takie łatwe przebaczenie. Odpowiadała za to, co spotkało Callie, choć Walter nigdy tego nie zrozumie.

– Klient, ten gwałciciel, z którym musiałam się spotkać w niedzielę wieczorem, nazywa się Andrew Tenant. Jego wtedy niańczyłam. To syn Buddy’ego i Lindy.

Walterowi znowu odjęło mowę.

– Andrew ma wszystkie wideo ojca. To z zapisem morderstwa znalazł w dwa tysiące dziewiętnastym roku, ale wideo z gwałtami ma od czasów college’u. – Leigh nie chciała pamiętać komentarzy Andrew o tych kasetach. – W domu były co najmniej dwie kamery. Są całe godziny nagrań, na których Buddy gwałci Callie. Zdarzenia tamtej nocy też są nagrane. Callie kłóci się z Buddym, biją się, ona dźga go nożem, zjawiam się ja i go morduję.

Walter z zaciśniętymi ustami czekał na dalszy ciąg.

– Kobiecie, którą Andrew zgwałcił, w ogóle wszystkim kobietom, które zgwałcił, przecinał nogę w tym miejscu. – Przyłożyła tam rękę. – Żyła udowa, gdzie Callie zraniła Buddy’ego.

Walter słuchał bez słowa.

– Andrew nie tylko zgwałcił te kobiety. On je odurzył, porwał, torturował, rozerwał, jak jego ojciec rozerwał Callie. – Uniosła palec dla podkreślenia wagi słów. – To psychopata. Nie przestanie.

– Czego... – Walter miał to samo pytanie co Leigh. – Czego on chce?

– Chce, żebym cierpiała. Szantażuje mnie. *Voir dire* zaczyna się jutro. Andrew powiedział, że mam zniszczyć ofiarę w trakcie przesłuchania. Ukradł jej dokumentację medyczną, dzięki czemu mam informacje potrzebne do spełnienia jego żądania. Potem zażąda ode mnie czegoś innego. I jeszcze raz. I znowu. Nie powstrzymam go.

– Czekaj. – Współczucie Waltera zaczęło w końcu ulatywać. – Mówisz, że ten facet to brutalny psychopata. Musisz...

– Co? – przerwała mu. – Celowo przegrać proces? Powiedział, że ma zabezpieczenie: może kopię zapasową w chmurze, może kasety w skrytce bankowej, może... nie wiem co. Jeśli coś pójdzie nie tak, ujawni wszystkie nagrania.

– I co z tego? – rzucił Walter. – Niech sobie ujawnia.

– Przecież już wiesz, co jest na tych nagraniach – odparła zdumiona jego słowami. – Wyląduję w więzieniu, a życie Callie się skończy.

– Życie Callie? – powtórzył Walter. – Martwisz się o przekłete życie Callie?

– Nie mogę...

– Leigh! – Walter znowu huknął pięścią w blat. – Nasza nastoletnia córka jest w domu parę metrów stąd, a ten facet to brutalny gwałciciel. Nie przyszło ci do głowy, że może skrzywdzić Maddy?

Leigh zaniemówiła. Maddy nie miała nic wspólnego z tą sprawą.

– Odpowiedz mi!

– Nie. – Zaczęła potrząsać głową, bo nic takiego nie mogło się zdarzyć. To była sprawa między nią, Andrew i Callie. – On nie...

– Nie zgwałciłby naszej szesnastoletniej córki?

Poruszyła ustami, ale nie wydobyła z siebie głosu.

– Niech to szlag! Ty i te twoje przegródki! – wrzasnął Walter.

Wracał do stałego tematu ich kłótni, a przecież ta sytuacja była zupełnie inna.

– Walterze, ja nigdy...

– Co? Myślałaś, że sadystyczny gwałciciel, który cię szantażuje, nie wkroczy w twoje życie, bo mu na to nie pozwolisz? Bo świetnie umiesz trzymać wszystko w oddzielnych przegródkach? – Zerwał drzwi szafki z zawiasów. – Jezu, nie wytrzymam! Korzystasz z rodzicielskich rad Phil?

Te słowa dotknęły ją do żywego.

– Ja nie...

– Nie myślałaś? Nie przeszło ci przez tę twoją pokręconą głowę, że po tym, co spotkało Callie, że po zabójstwie z premedytacją, które popełniłaś, łączenie kolejnej nastolatki z gwałcicielem to jednak zły pomysł?!

Zabrakło jej tchu i poczuła, że stopy odrywają się od podłogi. Zatrzepotała rękami w powietrzu, jakby krew zastąpił hel. Rozpoznała to uczucie lekkości. Towarzyszyło jej, gdy dusza nie radziła sobie z tym, co się dzieje, więc ulatywała z ciała, żeby to ono mierzyło się z konsekwencjami. Teraz uświadomiła sobie, że pierwszy raz poczuła się tak w żółtej corvette Buddy'ego. Za oknem był dom Deguilsów, z radia sączyła się nastrojowa piosenka duetu Hall & Oates. Uniosła się wtedy

pod sufit, zamknęła oczy, ale i tak widziała, jak Buddy rozsuwa jej nogi ogromnymi łapskami.

„Jezu masz taką gładką skórę czuję na niej meszek jak na skórcie brzoskwini jak u niemowlęcia”.

Teraz patrzyła na swoją rękę, która wyciągnęła się w stronę małej srebrnej klamki w drzwiach kampera. Potem zeszła po metalowych schodkach. Potem szła podjazdem. Potem wsiadła do auta. Potem włączył się silnik, zmieniły się biegi, kierownica skręciła, a ona odjechała pustą ulicą od męża i dziecka.

Sama w mrok.

Czwartek

W porze, która wydawała się bladym świtem, Callie wysiadła z autobusu przy Jesus Junction u zbiegu trzech ulic w Buckhead, gdzie trzy kościoły konkurowały o klientelę. Największe wrażenie robiła katolicka katedra, ale Callie miała słabość do strzelistej wieży baptystów, która wyglądała jak wyjęta z *Andy Griffith Show*, gdyby Mayberry, fikcyjne miasteczko z serialu, zamieszkiwali bardzo zamożni konserwatyści, którzy wierzyli, że wszyscy inni pójdą do piekła. Mieli tam lepsze ciasteczka, Callie musiała jednak przyznać, że najlepszą kawę serwują w kościele episkopalnym.

Katedra Świętego Filipa stała na wzniesieniu, które Callie z łatwością pokonywała przed covidem. Teraz wybrała drogę okrężną, czyli dłuższą, ale łagodniejszą. Z maseczką na twarzy oddychała z trudem. W końcu zawiesiła ją na jednym uchu, żeby odetchnąć głębiej, kiedy szła w stronę podjazdu.

Na parkingu stały bmw i mercedesy, a przed zamkniętymi drzwiami zbierali się palacze w biznesowych strojach. Przeważały kobiety. Callie przywykła do takich proporcji. Wśród zatrzymanych za jazdę po pijanemu większość stanowili mężczyźni, ale to kobiety częściej otrzymywały sądowy nakaz uczestnictwa w spotkaniach AA, zwłaszcza w Buckhead, gdzie dobrze opłacani prawnicy, tacy jak Leigh, pomagali wywinąć się od odpowiedzialności.

Znajdowała się kilka metrów od wejścia, gdy poczuła na sobie spojrzenia. Inne niż te, jakimi ludzie obrzucali ćpunów. Ale akurat teraz nie przypominała ćpunka. Zniknęły pastelowe dziecięce ubrania, które wybierała w Goodwill. Przekopła swoją szafę u Phil i znalazła czarny elastyczny top z długimi rękawami i dekoltem oraz obcisłe dżinsy, w których czuła się jak seksowna pantera, gdy prezentowała się w nich Binxowi. Strój uzupełniła zdartymi martensami znalezionymi pod łóżkiem Phil. Zaryzykowała zapalenie spojówek, ale użyła kosmetyków matki i zrobiła sobie makijaż smokey eye, posiłkując się instruktażowym filmikiem jakiejś dziesięciolatki na YouTube.

Kiedy dokonywała tej przemiany, stając się własnym Pigmalionem, zależało jej tylko na tym, żeby nie przypominać ćpunka. Teraz czuła się ostentacyjnie kobieca. Mężczyźni taksowali ją wzrokiem, kobiety oceniały, spojrzenia ślizgały się po jej biodrach, piersiach i twarzy. Na ulicy jej chudość oznaczała, że jest z nią źle. W tym towarzystwie szczupła sylwetka była atrybutem, który się docenia i którego się zazdrości.

Maseczka na twarzy okazała się jej sprzymierzeńcem. Mężczyzna w ciemnym garniturze skinął jej głową, przytrzymując otwarte drzwi, a ona niemal niewidocznie się wzdrygnęła. Ten przejaw uwagi wcale jej nie cieszył. Chciała, żeby strój dał jej przepustkę do normalnego społeczeństwa, ale nie zastanowiła się, jakie jest to normalne społeczeństwo.

Gdy drzwi zamknęły się za nią, oparła się o ścianę i opuściła maseczkę. W holu usłyszała piski, chichoty, parskanie przedszkolaków zaczynających kolejny dzień. Dała sobie jeszcze chwilę. Naciągnęła maseczkę i ruszyła w kierunku przeciwnym do maluchów, mając przed sobą ogromny baner z napisem **BÓG JEST PRZYJAŹNIĄ**.

Wątpiła, czy Bóg zaakceptowałby ten rodzaj przyjaźni, o jakiej myślała tego ranka. Przeszła pod banerem w stronę sal spotkań, mijając fotografie wielebnych, przewielebnych wielebnych i wielebnych kanoników z przeszłości. Papierowy znak wiszący na ścianie wskazywał otwarte drzwi.

8:30 SPOTKANIE AA

Uwielbiała spotkania AA, bo tylko tam mogła dać upust swojemu zamiłowaniu do rywalizacji:

„Wujek brzydko się z tobą bawił? Zadzwoń, kiedy go zamordujesz”.

„Zgwałcili cię kumple brata? Posiekałaś ich na kawałki?”.

„Niekontrolowane drgawki w delirce? Daj znać, kiedy wysrasz pół litra krwi”.

Weszła do sali, która przypominała wszystkie inne sale spotkań AA na całym świecie: rozkładane krzesła ustawiono w wielkim kręgu z zachowaniem wymaganego dystansu. Tekst *Modlitwy o pogodę ducha* oprawiony w ramki na stole obok broszurek *Jak to działa!*, *Obietnice*, *12 kroków* i *12 tradycji*. Kolejka do wielkiego termosu już się utworzyła. Callie stanęła w bezpiecznej odległości za mężczyzną w czarnym biznesowym garniturze i zielonej maseczce chirurgicznej. Wyglądał, jakby wolał burzę mózgów, wbijanie pinezek w tablicę celów i inspiracji, cokolwiek – byle nie mityng AA.

– Och – powiedział i cofnął się, żeby ustąpić Callie miejsca.

Przypuszczała, że tak postępuje dżentelmen wobec kobiet, które nie wyglądają na heroinistki.

– W porządku, nie trzeba. – Odwróciła się, udając zainteresowanie plakatem z Jezusem niosącym na ramionach owieczkę.

W piwnicy panował chłód, ale po karku Callie spływał pot. Wymiana uprzejmości z Biznesowym Garniturem wzbudziła w niej taki sam niepokój, jak spojrzenia na parkingu. Z powodu drobnej budowy, koszulek z misiami i tęczowych kurtek ludzie często brali ją za nastolatkę, a bardzo rzadko za trzydziestosiedmioletnią kobietę, którą przecież była. Szybki rzut oka w głąb sali utwierdził ją w przekonaniu, że nie ma paranoi. Ciekawskie spojrzenia umknęły w bok. Może dlatego, że była nowa, ale była już przedtem nowa w tym samym kościele i wtedy ludzie unikali jej, pewnie ze strachu, że rzuci się na nich i poprosi o forszę. Ale wtedy wyglądała jak ćpunka. Teraz może daliby jej pieniądze.

Kolejka po kawę się przesunęła. Callie włożyła rękę do torebki i namacała fiolki z tabletkami, które wsunęła do jednej z kieszonek. Zestaw kata, który wymieniła za fiolkę ketaminy. Najdyskretniej, jak umiała, wydobyła dwa xanaxy, a potem odwróciła się, żeby wsunąć palce pod maseczkę.

Zamiast połknąć tabletki, zostawiła je pod językiem. W ten sposób lek szybciej zaczął działać. Kiedy jej usta wypełniły się śliną, pozwoliła sobie rozpląnąć się w xanaksie.

Miała teraz nową tożsamość. Przyjechała do Atlanty na rozmowę o pracę, zatrzymała się w St. Regis, jest trzeźwa od jedenastu lat. To stresujący moment w jej życiu, dlatego czuje potrzebę kontaktu z pokrewnymi duszami.

– Kurwa – ktoś mruknął.

Callie usłyszała kobiecy głos, ale nie rozejrzała się wokoło. Nad stanowiskiem z kawą wisiało lustro i od razu dostrzegła Sidney Winslow, która siedziała na jednym z rozkładanych krzeseł ustawionych w kręgu. Ze zmarszczonymi brwiami pochylała się nad telefonem. Miała delikatny makijaż, włosy do ramion i stonowany dzienny strój, czyli

czarną ołówkową spódnicę i białą bluzkę z krótkimi kimonowymi rękawami. W tym stroju większość kobiet wyglądałaby jak hostessa w średniej klasy restauracji ze stekami, ale Sidney była elegancka, nawet kiedy znowu zakłęła, wstając z krzesła.

Mężczyźni śledzili każdy jej krok, ale Sidney nic sobie z tego nie robiła. Miała postawę tancerki, była prosta jak struna, każdy jej ruch był płynny i przesycony seksem.

Biznesowy Garnitur cicho westchnął z podziwu. Kiedy zobaczył, że nie umknęło to uwagi Callie, uniosł brwi, jakby mówił: „Czy ktoś może mnie za to winić?”. Callie uniosła brwi w odpowiedzi: „Ja na pewno nie”. Jeśli grupa zgadzała się w jednej kwestii – prócz tego, że alkohol jest super – to w gremialnym zachwycie nad wyglądem Sidney Winslow.

Szkoda, że była z gwałcicielem, który zagroził idealnemu życiu Maddy, bo Callie zamierzała tak z nią pograć, że z Andrew pozostaną tylko strzępy jego kobiety.

– Nie mogę... – Schrypnięty głos Sidney poniósł się z korytarza.

Callie cofnęła się o krok, by tam zajrzeć. Sidney stała oparta o ścianę z telefonem przy uchu. Chyba kłóciła się z narzeczoną. Rano Callie sprawdziła wokandę. Wybór przysięgłych ruszał za dwie godziny. Miała nadzieję, że Andrew nosi na twarzy ślady ich wczorajszej konfrontacji w stadionowym tunelu. Chciała, żeby wszyscy przysięgli na ten widok pomyśleli, że z tym oskarżonym coś jest nie tak.

Leigh powinna jej podziękować za ułatwienie zadania.

A potem niech się goni, bo po co kazała jej włączyć na poddasze Buddy'ego?

Biznesowy Garnitur w końcu dotarł do termosu. Callie odczekała, aż się obsłuży, potem nalała sobie dwa kubki, bo wiedziała, że spotkanie potrwa długo. Ciasteczek nie było, oczywiście z powodu pandemii, ale

biorąc pod uwagę, co zebrani byli gotowi zrobić dla procentów, istniało niewielkie ryzyko, że zabije ich akurat ciasteczko.

A może nie. Statystycznie dziewięćdziesiąt pięć procent z nich odejdzie z programu w ciągu roku.

Callie zauważyła, że Sidney zostawiła torebkę pod krzesłem, więc zajęła miejsce naprzeciwko, a potem przesiadła się, żeby łatwiej obserwować zdobycz. Postawiła torebkę na ziemi obok kubka z kawą i założyła nogę na nogę. Spojrzała na swoją łydkę, która w tej pozycji nadal ładnie się prezentowała. Przesunęła wzrok w górę. Paznokcie na wskazującym palcu prawej ręki miała wyrwany przy samej nasadzie. Doszło do tego, kiedy próbowała rozorać Andrew twarz. Zastanawiała się, czy nie zakleić go plastrem, ale chciała mieć namacalny dowód swojej nienawiści do Andrew Tenant. Wystarczyło, że pomyślała o imieniu Maddy na wykrzywionych ustach tego skurwiela, a wściekłość wzbierała w niej jak lawa i groziła wybuchem.

Kiedy siedemnaście lat temu zorientowała się, że jest w ciąży, wiedziała, że ma wybór. Tak jak wiedziała, że heroina zawsze wygra. Termin wizyty w klinice miała już wyznaczony. Sprawdziła na mapie, jak dojechać tam autobusem, i zaplanowała rekonwalescencję w jednym z lepszych moteli w południowej części miasta.

A potem przyszła kartka świąteczna z Chicago.

Walter ewidentnie podrobił podpis Leigh. Callie zobaczyła w tym niezwykle dowód jego oddania dla swojej dziewczyny, skoro sięgał po takie metody, żeby zapobiec całkowitemu zerwaniu kontaktu z młodszą siostrą.

Już wtedy miał okazję poznać młodszą siostrę Leigh od najgorszej strony. Callie była na odwyku, kiedy Walter zmusił ją do wypicia napoju izotonicznego, a ona obrzygała mu kolana, potem plecy, a na koniec zdzieliła go pięścią w twarz.

W tym nieszczęściu przebił się do świadomości Callie fakt, że siostra zasłużyła na tego dobrego, miłego mężczyznę, i że w końcu ten dobry, miły mężczyzna jej się oświadczy.

Nie wątpiła, że Leigh powie „tak”. Była nieprzytomnie zakochana w Walterze, a jej ręce fruwały wokół niego jak motyle, bo ciągle chciała go dotykać. Odrzucała głowę do tyłu, śmiejąc się za głośno z jego żartów, i śpiewnie wymawiała jego imię. Callie nigdy nie widziała siostry w takim wydaniu, ale potrafiła przewidzieć, kiedy to się skończy. Walter będzie chciał założyć rodzinę. Powinien mieć rodzinę. Nawet Callie wiedziała, że będzie wspaniałym ojcem. Wiedziała też, że Leigh będzie wspaniałą matką, bo nie Phil je wychowała.

Wiedziała też, że Leigh nie pozwoli sobie na takie szczęście. Nawet bez dobrze udokumentowanej historii autodestrukcji nie zaufa sobie na tyle, żeby mieć dziecko. Już zajście w ciążę i sama ciąża będą naznaczone lękiem. Leigh będzie się bać z powodu choroby psychicznej Phil i złego genu Callie, który objawia się skłonnością do nałogów. Będzie wątpić, czy potrafi zrobić dla dziecka to, czego dla niej nikt nie zrobił. Będzie tyle razy powtarzać „co, jeśli...”, że Walter albo ogłuchnie, albo znajdzie inną kobietę, która da mu rodzinę.

Dlatego zniosła osiem upiornych miesięcy całkowitej trzeźwości. Dlatego przeniosła się do obrzydliwego miasta, gdzie było albo za zimno, albo za gorąco, albo za głośno, albo za brudno. Dlatego zamieszkała w schronisku i dawała się lekarzom macać, osłuchiwać i kłuć.

Schrzaniła starszej siostrze życie, pchnęła ją do morderstwa, więc teraz mogła odwdzińczyć się jej chociaż tak: przeprowadzić się do Chicago i urodzić Leigh dziecko.

– Jedna minuta. – Starsza kobieta w różowym dresie zaklaskała. Miała postawę sierżanta, chociaż w AA nikt nie powinien zachowywać

się jak sierżant. Dresiara wyjrzała za drzwi. – Jedna minuta – powtórzyła ściszym głosem na widok Sidney.

Callie przycisnęła kciuk do zerwanego paznokcia. Ból przypomniał jej, po co tu przyszła. Spojrzała na zamaskowanych nieznajomych siedzących z nią w kręgu. Ktoś zakasłał. Ktoś chrząknął. Dresiara zaczęła zamykać drzwi. W korytarzu Sidney zrobiła wielkie oczy. Wyszepiała coś do telefonu i wskoczyła do sali, zanim drzwi się zamknęły.

– Dzień dobry. – Dresiara przekłusowała przez uwagi wstępne, po czym oznajmiła: – Ci, którzy chcą, mogą odmówić ze mną *Modlitwę o pogodę ducha*.

Callie siedziała zwrócona w stronę Dresiary, ale obserwowała Sidney, która ciągle była zdenerwowana rozmową. Zanim włożyła telefon do torebki, jeszcze na niego spojrzała, po czym założyła nogę na nogę, odgarnęła włosy, skrzyżowała ramiona i znowu odgarnęła włosy. Każdy jej ruch zdradzał, że jest wkurzona, ma ochotę wybiec na korytarz i dokończyć rozmowę, ale skoro sędzia nakazał trzydzieści spotkań w ciągu trzydziestu dni, a służbistka w dresie, która podpisywała rejestr uczestnictwa, nie ma w sobie krztyny wyrozumiałości, ona musi tu tkwić przez całą godzinę.

Dresiara zaprosiła do dyskusji. Rozpoczęli mężczyźni, bo im zawsze się wydaje, że innych interesuje, co mają do powiedzenia. Callie słuchała jednym uchem wynurzeń o nieudanych kolacjach biznesowych, jeździe na podwójnym gazie, konfrontacji z rozwścieczonym szefem. Mityngi AA w zachodniej części miasta bywały o wiele zabawniejsze. Striptizerki i barmani nie bali się swoich szefów. Jak dotąd nikt nie przebił historii młodego przystojniaka, który obudził się we własnych wymiocinach i zjadł je, bo zawierały alkohol.

Kiedy zapadła cisza, Callie podniosła rękę.

- Jestem Maxine i jestem alkoholiczką.
- Cześć, Maxine – odpowiedziała grupa.
- Mówcie mi Max.

Rozległy się chichoty, a po nich:

- Cześć, Max.

Callie najpierw odetchnęła głęboko, a potem wyznała:

– Byłam trzeźwa przez jedenaście lat. A potem skończyłam dwanaście.

Chichotów przybyło, ale liczył się tylko niski chrypliwy chichot Sidney Winslow.

– Przez osiem lat byłam zawodową tancerką. – Callie długo przygotowywała historię, którą opowie na mityngu. Nie bała się, że zostawia ślad cyfrowy, i pogrzebała w telefonie, przeszukując konta Sidney w mediach społecznościowych. Musiała wiedzieć, gdzie najcelniej uderzyć. W gimnazjum zaczęła tańczyć w balecie. Wychowana w bardzo religijnej rodzinie, zbuntowała się po ukończeniu szkoły i zerwała z najbliższymi. Straciła też wszystkich przyjaciół, ale zyskała nowych w college’u. Członkini drużyny biegaczek, uprawiała jogę, amatorka mrożonych deserów, fanka Beyoncé. – Kariera zawodowego tancerza nie trwa długo – mówiła dalej. – Kiedy mój czas się skończył, wpadłam w rozpacz. Nikt nie rozumiał mojej straty. Przestałam chodzić do kościoła, straciłam kontakt z rodziną i przyjaciółmi, jedyne pocieszenie znalazłam na dnie butelki. – Pokręciła głową, jakby nie dowierzała własnej tragedii. – Potem poznałam Phillipa. Był bogaty i przystojny, chciał się mną opiekować, a ja, mówiąc szczerze, miałam już dość samotności. Potrzebowałam kogoś, kto okaże się silniejszy ode mnie.

Gdyby Sidney była beagle'em, zastrzygłaby zwisającymi uszami, nie mogąc uwierzyć w podobieństwo losów jej i Max.

– Spędziliśmy cudowne trzy lata. Podróżowaliśmy, zwiedzaliśmy świat, chodziliśmy do eleganckich restauracji, rozmawialiśmy o sztuce, polityce świecie. – Callie szykowała się do kulminacji historii. – I pewnego dnia wjeżdżam do garażu, a tam leży Phillip z twarzą do ziemi. – Zobaczyła, że Sidney kładzie rękę na sercu. – Podbiegłam do niego, ale był już zimny. Nie żył od paru godzin. – Sidney zaczęła potrząsać głową. – Policja powiedziała, że przedawkował. Wiem, że zaczął brać leki z powodu bólu pleców, ale nigdy nie... – Callie rozejrzała się po sali, stopniując napięcie. – Oksykodon.

Wielu pokiwało głowami. Wszyscy znali podobne historie.

– Pieprzony oksykodon – mruknęła Sidney.

– Ta strata była profanacją naszej miłości. – Callie zgarbiła się pod ciężarem wyimaginowanego żalu. – Pamiętam, jak siedzę w kancelarii, prawnik mówi mi o wszystkich pieniądzach i nieruchomościach, ale to nic nie znaczy. W zeszłym roku czytałam, że Purdue Pharmaceuticals zaproponowało, że będą płacić czternaście tysięcy osiemset dziesięć dolarów za każdy przypadek przedawkowania, który można powiązać z oksykodonom. – Usłyszała szmer oburzenia. Na to czekała. – Tyle było warte życie Phillipa. – Otarła łzę. – Czternaście tysięcy osiemset dziesięć dolarów.

Sala ucichła. Wszyscy czekali na dalszy ciąg opowieści. Callie cieszyła się, że dała im okazję do ekstrapolacji. Byli alkoholikami, wiedzieli, jak to się kończy.

Nie musiała patrzeć na Sidney, i tak wiedziała, że wciągnęła ją ta rzewna historyjka. Sidney nie spuszczała jej z oka aż do chwili, gdy Dresiara zaintonowała *Wracaj do nas, to działa, jeśli się starasz*. Po tych słowach Sidney sięgnęła po telefon i z chmurną miną wyszła na korytarz.

Callie przestraszyła się, że jej kalkulacje wzięły w łeb. Głupio założyła, że Sidney zostanie na luźne pogawędki przy kawie. Chwyła torebkę i wyszła za nią. Na szczęście Sidney skręciła w lewo zamiast w prawo w stronę wyjścia. Potem zrobiła jeszcze jeden zakręt w prawo w stronę damskiej toalety, cały czas z telefonem przy uchu, i mamrotała coś z irytacją. Innymi słowy, rozgrywała się kolejna odsłona romantycznego dramatu.

Idąc za nią, Callie minęła salki szkółki niedzielnej, z których powiało perfumami starszych pań. Przez tę woń zateśniła za pierwszymi dniami choroby, kiedy covid odebrał jej węch i smak. Odwróciła się. Wszyscy zmierzali do wyjścia na parking, pewnie jechali do pracy. Skręciła w prawo i otworzyła drzwi toalety.

Zobaczyła trzy umywalki na długim blacie, jedno ogromne lustro i trzy kabiny. Tylko jedna była zajęta.

– Bo tak powiedziałam, głupku – zasyczała Sidney w ostatniej kabinie. – Myślisz, że obchodzi mnie twoja przeklęta matka?

Callie ostrożnie zamknęła drzwi.

– Dobrze. Jak uważasz. – Sidney jęknęła z irytacją, kolejne zdania okraszała trzema przekleństwami, a potem uznała, że skoro już siedzi na kibelku, to zrobi siku.

Callie odkręciła kran, zaznaczając swoją obecność, i włożyła ręce pod zimną wodę. Skóra pod złamanym paznokciem zapiekła boleśnie. Nacisnęła ją kciukiem i zobaczyła strużkę krwi. Jej usta znowu wypełniły się śliną. Usłyszała głos Andrew, tak podobny do głosu Buddy'ego, rozchodzący się echem w ciemnym tunelu stadionu.

„Madeline Félicette Collier, szesnaście lat”.

W toalecie zaszumiała woda i po chwili Sidney wyszła z kabiny. Nie miała na twarzy maseczki, na żywo była jeszcze ładniejsza niż na

zdjęciach.

– Przepraszam. Pieprzony chłopak. Mąż. Nieważne. Wczoraj po południu ktoś na niego napadł, do naszego ślubu zostały godziny, a on nie chce zawiadomić policji ani powiedzieć mi, co się dokładnie stało.

Callie kiwnęła głową, zadowolona, że Andrew wymyślił sensowne kłamstwo.

– Nie wiem, o co mu chodzi. – Sidney odkręciła kran. – Zachowuje się jak debil.

– Miłość jest brutalna – stwierdziła Callie. – Taką sentencję wyryłam na buźce mojej ostatniej dziewczyny.

Sidney roześmiała się głośno, zakrywając usta dłonią, i zorientowała się, że nie ma na twarzy maseczki.

– O kurwa, przepraszam. Już wkładam maseczkę.

– Nie ma problemu. – Callie opuściła swoją maseczkę. – Nienawidzę tych szmat na twarzy.

– Mam tak samo. – Sidney nacisnęła dźwignię w dozowniku mydła. – Zaczynam mieć dosyć tych spotkań. Po co to wszystko?

– Mnie zawsze robi się lepiej, kiedy słyszę, że inni mają gorzej. – Callie nabrała mydła w dłoń i przestawiła pokrętło, żeby poleciała ciepła woda. – Znasz jakieś fajne miejsce w pobliżu, żeby zjeść śniadanie? Zatrzymałam się w St. Regis, nie mogę zamówić drugiego posiłku do pokoju.

– A tak, jesteś z Chicago. – Sidney zakręciła kran i strzepnęła wodę z rąk. – Byłaś tancerką?

– Dawno temu. – Callie wzięła z pojemnika papierowy ręcznik. – Ciągle sobie ćwiczę, ale brakuje mi występów.

– Nie wątpię. Ćwiczyłam taniec przez całe liceum. Uwielbiałam to, kochałam, miałam bzika na tym punkcie.

– Nadal możesz. Zauważyłam to, kiedy przechodziłaś przez salę. Nie straciłaś postawy tancerki.

Sidney pokraśniała z dumy.

Callie udała, że szuka czegoś w torebce.

– Czemu przestałaś? – spytała.

– Nie byłam wystarczająco dobra.

Callie uniosła brwi i rzuciła jej sceptyczne spojrzenie.

– Wierz mi, widziałam wiele dziewczyn, które nie były wystarczająco dobre, a jednak występowały na scenie.

Sidney wzruszyła ramionami, ale miała zadowoloną minę.

– Na to jestem już za stara.

– Powiedziałabym, że nigdy nie jest się na coś za starym, ale obie wiemy, że to brednie. – Trzymała ręce w torebce, jakby czekała na wyjście Sidney. – Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że z mężem wszystko się ułoży.

Sidney nie kryła rozczarowania. A potem jej wzrok powędrował tam, gdzie Callie chciała go skierować, czyli ku torebce.

– Masz coś?

Bingo.

Callie skrzywiła się z udawanym żalem, wyjmując jedną z buteleczek z lekiem na receptę. Środki pobudzające to była ostatnia rzecz, jakiej teraz chciała, uznała jednak, że kobieta z pokolenia Sidney chętnie przystanie na adderall.

– „Kumpel do nauki”. – Sidney uśmiechnęła się na widok etykiety. – Podzielisz się? Mam kaca jak cholera.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Wysypała cztery brzoskwiniowe tabletki na blat i zaczęła je miażdżyć brzegiem buteleczki.

– W mordę – rzuciła Sidney. – Nie wciągałam od liceum.

Callie spojrzała na nią pobłaźliwie.

– Kochana, jeśli to za wiele...

– Kurwa, czemu nie? – Sidney wyjęła dwudziestodolarowy banknot i rozprostowała go na krawędzi blatu, posyłając jej znaczący uśmiezek. – Jeszcze nie zapomniałam.

Callie podeszła do drzwi i wyciągnęła rękę, żeby je zamknąć. Z wyrwanego paznokcia leciała krew. Przekręciła zamek, zostawiając ślad krwi na metalu. Wróciła do blatu i kontynuowała zgniatanie tabletek na drobny brzoskwiniowy proszek.

Adderall występował w dwóch wersjach: IR – o szybkim uwalnianiu, oraz XR – o powolnym uwalnianiu. W wersji XR miał formę kapsułek z mikrokuleczkami pokrytymi warstwą substancji opóźniającej rozpuszczanie. Podobnie jak w przypadku oksykodonu, tę warstwę można było oddzielić, choć to wymagało trochę wysiłku, ale XR palił nos i zasadniczo dawał takiego samego kopa jak IR, który, nawiasem mówiąc, był tańszy, więc Callie nie mogła przepuścić takiej okazji.

Ważne, że wciąganie przez nos umożliwiło natychmiastową absorpcję całej dawki, która od razu dawała kopa. Koktajl amfetaminy i dekstroamfetaminy wchłaniał się przez naczynia krwionośne w nosie, a potem uderzał do mózgu bez czekania, aż żołądek i wątroba przefiltrują euforię. Kop był intensywny i nieraz tak supermocny, że mózg świrował, ciśnienie krwi szalało, a w niektórych przypadkach

mógł wywołać różne skutki, od napadów padaczkowych czy ataku serca po psychozę.

Trudno byłoby Andrew nękać szesnastoletnią dziewczynę, gdyby jego piękna młoda żona leżała przypięta pasami do szpitalnego łóżka.

Callie z wprawą rozdzieliła proszek krawędzią buteleczki na cztery grube kreski. Patrzyła, jak Sidney się schyla. Może i nie wciągała od czasów liceum, ale na pewno umiała zrobić z tego show. Skrzyżowała nogi w kostkach, wypięła zgrabny tyłek, a czubek zwiniętego w rurkę banknotu wsadziła sobie do nosa. Odczekała, aż Callie spojrzy na nią w lustrze, puściła do niej oko i wciągnęła kreskę jak odkurzacz.

– Kk...kurwa! – wyjąkała. Było w tym trochę przesady, bo na prawdziwego kopa czekało się około dziesięciu minut. – Chwalmy Pana!

Callie przypuszczała, że to religijne wzmożenie było pamiątką po czasach szkoły biblijnej.

– Dobrze? – zapytała Callie.

– Jak cholera. Teraz ty. – Sidney podała jej dwudziestkę.

Ale Callie nie wzięła banknotu. Wyciągnęła rękę i kciukiem starła proszek z nozdrzy Sidney, potem powędrowała nim ku jej idealnie wykrojonym różowym wargom.

Sidney nie potrzebowała zachęty. Rozchyliła usta, wysunęła język i powoli oblizała jej kciuk.

Callie uśmiechnęła się, opuściła rękę i wysunęła zrolowany banknot spomiędzy palców Sidney. Gdy pochyliła się, kątem oka zobaczyła, że Sidney podskakuje na palcach i potrzasa rękami jak bokser. Przyłożyła lewą dłoń do twarzy i udała, że przysuwa nos. Przełożyła zrolowany banknot do ust, zablokowała językiem gardło i wciągnęła kreskę.

Zakasłała. Odrobina proszku połaskotała ją w gardło, ale większość przykleiła się do spodniej części języka. Znowu zakasłała i wypluła pastę w pięść.

– Tak! – Sidney złapała dwudziestkę i wciągnęła drugą kreskę.

Potem przysła kolej na Callie. Wykonała tę samą pantomimę: zasłonięcie lewą dłonią, zassanie, wycharkanie. Tym razem więcej proszku dostało się głębiej, ale taka była cena realizacji planów.

– Sushi! – Sidney mrugała zdecydowanie za szybko. – Sushi-sushi-sushi. Zjemy razem lunch, dobrze? Chyba nie jest za wcześnie na lunch?

Callie z teatralną przesadą spojrzała na zegarek. Znalazła go w szufladzie Phil. Bateria nie działała, ale musiało być około dziesiątej.

– Może brunch? – podsunęła.

– Mimoza! – krzyknęła Sidney. – Znam świetne miejsce. Ja stawiam. Poprowadzę, dobrze? Muszę się napić mimozy.

– Brzmi nieźle – odparła Callie. – Skorzystam z toalety. Spotkamy się na zewnątrz.

– Tak! Dobrze. Będę na parkingu. W moim aucie, dobrze? – Dłoń Sidney ślizgała się na zamku, zanim zdołała go przekręcić. Jej niski schrypnięty śmiech zacichł, gdy zamknęły się za nią drzwi.

Callie odkręciła wodę, zmyła z dłoni białą pastę, a mokrym ręcznikiem papierowym wytarła resztki adderallu z blatu. Przez cały czas inwentaryzowała w myślach zapasy leków, które miała w torebce.

Zobaczyła swoje odbicie w lustrze i spojrzała sobie prosto w oczy. Chciała poczuć się źle z powodu tego, co zamierzała, ale wyrzuty sumienia nie nadeszły. Zamiast tego zobaczyła śliczną córkę Leigh i Waltera, która biegnie za piłką na boisku, nieświadoma obecności potwora czającego się w tunelu.

Andrew zapłaci za groźby pod adresem Maddy. Zapłaci życiem Sidney.

Leigh stała w kolejce do kontroli bezpieczeństwa przed sądem hrabstwa DeKalb, majestatycznym gmachem z białego marmuru z głównym wejściem w ciemnej cegle. Wyblakłe naklejki na ziemi wyznaczały miejsca dla stojących, pomagając zachować dystans, znaki ostrzegawcze przypominały o obowiązku noszenia maseczek. Na drzwiach wisiały wielkie ogłoszenia informujące o zakazie wstępu dla odwiedzających wydany przez prezesa Sądu Najwyższego Stanu Georgia na mocy ustawy o sytuacji nadzwyczajnej.

Sąd dopiero niedawno otworzył podwoje. W czasie pandemii wszystkie sprawy Leigh odbywały się przez Zooma, ale akcja szczepień pracowników sądu umożliwiła powrót do rozpraw z osobistym udziałem stron. Jednak przysięgli, adwokaci i pozwani ciągle grali w covidową rosyjską ruletkę.

Leigh nogą przepchnęła pudło z dokumentami na następną naklejkę na ziemi i skinęła jednemu z funkcjonariuszy, którzy wyszli z gmachu skontrolować kolejkę i ostrzec spóźnialskich. W sądzie okręgowym istniało dziesięć wydziałów. Na czele ośmiu z nich stały niebiałe kobiety, dwoma pozostałymi kierowali biali mężczyźni. Jeden miał przeszłość prokuratorską, ale słynął z niezwyklej rzetelności i bezstronności. Drugi nazywał się Richard Turner i był dumnym kontynuatorem starej szkoły sędziowskiej, znanym z tego, że bardziej pobłażliwie traktuje pozwanych, którzy wyglądają jak on.

Tak się złożyło, że do sprawy Andrew został wylosowany sędzia Turner.

Leigh z przykrością uznała, że to dobra wiadomość. Pogodziła się z faktem, że będzie bronić Andrew Tenanta najlepiej, jak potrafi, nawet kosztem złamania zasad moralnych i prawnych. Nie mogła pozwolić, żeby nagrania wyciekły, bo nie mogła zrujnować i tak już zrujnowanego życia Callie. Nie chciała myśleć o konsekwencjach tej sprawy dla Maddy, wczorajszej kłótni z Walterem i o tym, jak głęboko zranił jej duszę swoją uwagą:

„Jezu, nie wytrzymam! Korzystasz z rodzicielskich rad Phil?”.

Przesunęła pudło na kolejny znak, gdy kolejka ruszyła do przodu, i spojrzała na swoje dłonie. Drżenie ustało, żołądek się uspokoił, łzy obeschły.

Walter ciągle narzekał, że Leigh zmienia swoją osobowość w zależności od tego, kto przed nią stoi. Wkładała wszystko do oddzielnych przegródek i nigdy nie mieszała ich zawartości. Walter uznawał to za słabość, ale dla niej była to skuteczna strategia przetrwania. A jedynym sposobem na przetrwanie najbliższych dni było kompletne odłączenie się od emocji.

Przemiana zaczęła się ostatniej nocy. Najpierw Leigh wylała w kuchni butelkę wódki do zlewu, potem w toalecie spuściła resztkę valium, i dopiero wtedy zaczęła się szykować do sprawy Andrew. Powtórnie przejrzała wnioski oraz obejrzała wideo z przesłuchania Tammy Karlsen, a także uważnie przeczytała zapiski z jej terapii, obmyślając strategię wygrania sprawy. W przeciwnym razie nic już nie będzie chronić Andrew i tym samym wszystko będzie na nic.

Do świtu wrażenie unoszenia się w powietrzu zniknęło. Wybuch Waltera, jego gniew, jego oskarżycielskie słowa zamieniły Leigh w zimną, twardą stal.

Podniosła pudło, weszła do środka i stanęła przed stanowiskiem z iPadem, który mierzył wchodzącą temperaturę. Zielone światło oznaczało, że może iść dalej. Na stanowisku kontrolnym wyjęła z torebki telefony i laptopa, by włożyć je do pojemników, a pudło pojechało na taśmie za nimi.

Przeszła przez bramkę wykrywającą metal. Po drugiej stronie stał ogromny pojemnik z płynem do dezynfekcji rąk. Leigh nacisnęła pompkę, ale kiedy do wnętrza dłoni spłynęła solidna ilość płynu, natychmiast tego pożałowała. Jedna z miejscowych gorzelni walczyła o przetrwanie w czasie pandemii, produkując w aparatach do destylacji płyny dezynfekujące. Pozostałości białego rumu w zbiornikach sprawiły, że cały sąd pachniał jak Panama City Beach w czasie studenckiej przerwy wiosennej.

– Pani mecenas, teraz pani kolej. – Funkcjonariusz zdjął z taśmy pojemniki z jej rzeczami.

Na domiar złego została wytypowana do losowej kontroli. Przynajmniej znała tego funkcjonariusza. Brat Maurice’a Graysona był strażakiem, więc i on miał bliski związek z Walterem. Z łatwością wskoczyła w rolę jego żony, posyłając Maurice’owi uśmiech zza maseczki z krótkim komentarzem:

– To jawne uprzedzenia rasowe.

Maurice zaśmiał się i zaczął wyjmować rzeczy z jej torebki.

– Raczej molestowanie seksualne, pani mecenas. Wyglądasz czadowo.

Przyjęła ten komplement, ponieważ wyszykowała się do wyjścia wyjątkowo starannie. Miała na sobie jasnoniebieską bluzkę na guziki, ciemnografitową spódnicę, marynarkę w takim samym kolorze, delikatny naszyjnik z białego złota. Włosy opadały jej na ramiona,

a przemieszczała się na ośmiocentymetrowych obcasach. Czyli ściśle podporządkowała się wskazówkom konsultantów na temat stroju mającego zrobić wrażenie na przysięgłych.

Maurice przegrzebał zawartość przezroczystej kosmetyczki, pomijając tampony.

– Przekaż mężowi, że jego Flex to jakiś żart.

Leigh przypuszczała, że ma to coś wspólnego z ich zabawą w Fantasy Football. Tak jak przypuszczała, wczoraj wieczorem Walter nie miał głowy do gry, która na ogół pochłaniała każdą jego wolną chwilę.

– Przekażę.

Maurice przepuścił ją w końcu, więc Leigh zebrała rzeczy z taśmy. Mimo maseczki na twarzy nie przestawała się uśmiechać, gdy dotarła do holu. Weszła w tryb prawniczki. Witała się z kolegami i koleżankami skinieniem głowy, gryząc się w język na widok idiotów, którzy mieli maseczki pod nosem, bo prawdziwy facet może złapać covid tylko przez usta.

Nie chciała czekać na windę, więc pokonała dwie kondygnacje z pudłem na rękach. W drzwiach stanęła na chwilę, żeby znowu przekuć się w stal. Wzmianka Maurice'a o Walterze skierowała jej myśli ku Maddy. A myślenie o córce groziło, że zaraz otworzy się w jej sercu wielka ziejąca dziura.

Rano napisała do Maddy zwyczajową wesołą wiadomość w stylu:

Pobudka, śpiochu!

Dodała też informację, że cały dzień będzie w sądzie, a Maddy odpowiedziała uniwersalnymi kciukami w górę i serduszkiem. Leigh chciała porozmawiać z córką, ale bała się, że na dźwięk jej głosu po

prostu się rozsypie. Co czyniło z niej takiego samego tchórze jak Ruby Heyer.

Gdy usłyszała na schodach głosy, pchnęła drzwi biodrem. Z końca korytarza zamachał do niej Jacob Gaddy. Udało mu się złapać jeden z rzadko osiągalnych pokoi dla adwokatów i ich klientów.

– Dobra robota z tym pokojem. – Leigh pozwoliła, żeby przejął od niej pudło. – To ma być skatalogowane i gotowe na poniedziałek.

– Będzie – zapewnił Jacob. – Klienta jeszcze nie ma, ale Dante Carmichael cię szukał.

– Mówił, czego chce?

Jacob wzruszył ramionami, jakby to było oczywiste, ale jednak dodał:

– Dante „Ugoda albo śmierć”, czyż nie tak?

– Niech mnie znajdzie. – Weszła do niemal pustego pomieszczenia. Były tu cztery krzesła i stół, żadnych okien, migocące lampy pod sufitem. – Gdzie jest...

– Liz? – dopowiedział Jacob. – Na dole. Próbuje capnąć kwestionariusze kandydatów.

– Niech nikt mi nie przeszkadza, kiedy będę z klientem. – Jej prywatny telefon zaczął dzwonić, więc sięgnęła do torebki.

– Idę wypatrywać Andrew – rzucił Jacob.

Nie odpowiedziała, bo zdążył już zamknąć za sobą drzwi. Zdjęła maseczkę, a gdy spojrzała w telefon, żołądek podszedł jej do gardła. Odebrała po czwartym sygnale.

– Co się stało, Walterze? Jestem w sądzie, zaraz wchodzę na salę.

Milczał przez chwilę, pewnie dlatego, że dotąd nie poznał Leigh w wersji „zimna suka”.

– Co zrobisz? – zapytał w końcu.

Postanowiła udawać głupią.

– Spróbuję wybrać taki skład ławy przysięgłych, który uzna mojego klienta za niewinnego.

– A potem?

– A potem zobaczę, czego znowu będzie ode mnie chciał.

– Taki masz plan? – spytał po chwili ciszy znamionującej wahanie. – Pozwolić, żeby tobą pomiatał?

Zaśmiałyby się, gdyby nie strach, że okazanie jednej emocji utoruje drogę następnym emocjom.

– A jakie mam wyjście, Walterze? Mówiłam ci, że on ma jakieś zabezpieczenie. Jeśli wpadniesz na genialny pomysł, jak z tego wybrnąć, to podziel się nim ze mną.

Nie odpowiedział, słyszała tylko jego oddech. Przypomniała sobie ich wczorajszą rozmowę w kamperze, jego wybuch, jego bolesne słowa pod jej adresem. Zamknęła oczy, próbowała uspokoić bijące serce. Wyobraziła sobie, że stoi sama w niewielkiej łódce i oddala się od brzegu, skąd Walter i Maddy machają jej na pożegnanie, a ona sunie rwącym nurtem ku szumiącemu wodospadowi.

Taki będzie kres jej życia. Nigdy nie powinna zamieszkać w Chicago, poznać Waltera, otrzymać Maddy w darze. Jej przeznaczeniem było utknąć w Lake Point i wylądować w rynsztoku jak cała reszta.

– Przyjedź tu jutro o szóstej wieczorem – odezwał się Walter. – Porozmawiamy z Maddy i wytłumaczymy jej, że musi wyjechać

w podróż z babcią. Może uczyć się zdalnie w drodze. Nie chcę, żeby tu była, skoro ten facet tu jest. Nie mogę pozwolić... nie pozwolę, żeby spotkało ją coś złego.

Leigh nie była zaskoczona, bo już słyszała u Waltera ten ton. Zdarzyło się to raz, cztery lata temu. Leżała na podłodze w łazience wciąż jeszcze pijana po wieczornym chlaniu, a Walter zakomunikował, że ma trzydzieści dni na wytrzeźwienie. Jeśli nie, to odbierze jej Maddy. Jedyna różnica między tamtym ultimatum a dzisiejszym polegała na tym, że tamto postawił z miłości, dzisiejsze z nienawiści.

– Jasne. – Nabrała powietrza, żeby wygłosić trzy zdania, które ćwiczyła dziś w aucie. – Rano wypełniłam dokumenty. Prześlę ci link. Wystarczy twój podpis elektroniczny, a rozwód uprawomocni się trzydzieści jeden dni po przetworzeniu dokumentów.

Jak na jej gust, wahanie Waltera trwało za krótko.

– Co z opieką? – zapytał.

Poczuła, że jej determinacja maleje. Jeśli zaczną rozmawiać o Maddy, znowu skończy na podłodze.

– Wyobraź to sobie. Decydujemy się na rozwód sporny, idziemy na mediacje albo stawiasz mnie przed obliczem sędziego. Chcę uzyskać prawo do widywania córki, a ty wtedy co? Składasz wniosek, że jestem groźna dla swojego dziecka? – Jego milczenie uznała za potwierdzenie. – Umyślnie i z premedytacją zamordowałam człowieka – ciągnęła, cytując jego własne słowa. – Nie chciałeś, żebym narażała następną nastolatkę na kontakt z przeklętym gwałcicielem.

Nawet jeśli Walter chciał jej odpowiedzieć, ona nie chciała tego słyszeć. Zakończyła rozmowę i położyła telefon wyświetlaczem do dołu, a herb Hollis Academy zaśnił na odwrocie. Gdy powiodła palcami wzdłuż konturu, uderzył ją widok serdecznego palca. Obrączka została

na mydelniczce stojącej obok kuchennego zlewu. Leigh nie zdejmowała jej od wyjazdu z Chicago.

„Proszę, przyjmijcie w darze tę śliczną dziewczynkę. Wiem, że bez względu na wszystko oboje zapewnicie jej szczęście i bezpieczeństwo”.

Otarła łzy. Jak powie siostrze, że wszystko schrzaniła? Minęła ponad doba, odkąd odprowadziła Callie do Phil. Po wyjściu z domu Waleskich nie rozmawiały z sobą, a Callie cała się trzęsła, zęby jej szczękały jak w noc śmierci Buddy’ego.

Leigh już zapomniała, jak idzie się ulicą obok siostry. Trudno opisać to uczucie, że nie jest się już samotnym dorosłym odpowiedzialnym wyłącznie za siebie. Niepokój, który czuła w obecności Callie – o jej bezpieczeństwo, o jej dobre samopoczucie, o jej zdrowie, o to, żeby nie potknęła się o własne nogi, nie upadła i czegoś sobie nie złamała – przypomniawszy jej czasy wczesnego dzieciństwa Maddy.

Odpowiedzialność za dziecko dała jej niewytłumaczalną radość, przy Callie nieustannie czuła na barkach brzemień.

– Leigh? – Liz zapukała do drzwi, gdy już wchodziła, a jej mina zdradzała, że coś jest nie tak.

Leigh nie musiała prosić o wyjaśnienie. Andrew Tenant stał za Liz, a wzdłuż jego szczęki ziała głęboka rana, białe plasterki w kształcie motyli zabezpieczały uszkodzoną małżowinę, na szyi miał wielką malinkę. Kiedy podszedł bliżej, Leigh dojrzała ślady zębów.

Nie przejęła się i nie oburzyła, tylko roześmiała się krótko.

Andrew zacisnął szczęki. Odwrócił się, żeby zamknąć drzwi, ale Liz już zamykała je za sobą.

Kiedy zostali sami, zdjął maseczkę, odsunął sobie krzesło, usiadł i rzucił do Leigh:

– Co ci mówiłem o śmianiu się ze mnie?

Czekała na powrót tamtego pierwotnego strachu, który ogarniał ją w obecności Andrew. Ale nie dostała ani ciarek, ani gęsiej skórki. Nie zjeżyły się jej włosy na karku, nie włączył się tryb „uciekaj albo walcz”. Jeśli taki był efekt bolesnych słów Waltera pod jej adresem, tym lepiej dla niej.

– Co ci się stało? – zapytała.

Otaksował jej twarz przenikliwym spojrzeniem, jakby czytał otwartą księgę, odchylił się na krześle i położył rękę na stole.

– Wczoraj rano po twoim wyjściu poszedłem pobiegać. Rekreacja fizyczna jest dozwoloną aktywnością przy zwolnieniu za kaucją. Ktoś mnie napadł, próbowałem się bronić, ale bez powodzenia, jak widać. Zabrali mi portfel.

Nie skomentowała faktu, że kiedy zjawiła się u niego rano, on już zdążył wziąć prysznic.

– Zawsze biegasz z portfelem w kieszeni? – zapytała.

Położył drugą rękę płasko na stole. Zrobił to bezgłośnie, ale Leigh przypomniała sobie jego siłę. Gdzieś w dole kręgosłupa poczuła słaby impuls, który włączył uśpiony dotąd tryb „uciekaj albo walcz”.

– Coś jeszcze powinnam wiedzieć? – zapytała.

– Co u Callie? – W jego głosie pojawił się ton zażyłości.

– W porządku. Rozmawiałam z nią dziś rano.

Nie próbowała zrozumieć, czemu oddała część swojej mocy, ale wręcz fizycznie czuła, że nastąpiła jakaś zmiana.

– Coś jeszcze? – zapytała.

Andrew zabębnił palcami w stół.

– Powinienem ci powiedzieć, że system dozoru przestał działać wczoraj o trzeciej dwanaście po południu. Od razu zadzwoniłem do kuratorki sądowej, ale przyjechała ponad trzy godziny później, żeby zresetować program. Przerwała koktajl party przed moim ślubem.

Nie widziała na jego palcu obrączki, ale zauważyła, że on dostrzegł brak obrączki u niej. Skrzyżowała ramiona i oznajmiła:

– Zdajesz sobie sprawę, jak to wygląda, prawda? Zjawiasz się na wyborze ławy przysięgłych w procesie o gwałt z obrażeniami, które powstają u mężczyzny, gdy kobieta broni się przed nim, do czego dochodzi udokumentowany fakt, że twój dozór elektroniczny nie działał przez ponad trzy godziny?

– Źle wygląda?

Leigh przypomniała sobie ich rozmowę z wczorajszego ranka. To był fragment jego planu. Im dalej, tym bardziej jej wszystko utrudniał.

– Andrew, masz na koncie cztery inne przypadki awarii dozoru elektronicznego. Za każdym razem oczekiwanie na kuratora sądowego trwało od trzech do czterech godzin. Nie pomyślałeś, że oskarżyciel będzie dowodził, że w ten sposób testowałeś czas reakcji systemu?

– To faktycznie okoliczność obciążająca, ale na szczęście moja adwokatka jest mocno zmotywowana, żeby dowieść mojej niewinności.

– Między niewinnością a uznaniem za niewinnego jest wielka różnica.

Usta Andrew wykrzywiły się w uśmiechku.

– To niuans?

Poczuła strach pełną w górę kręgosłupa, bo Andrew niepostrzeżenie odzyskał przewagę. Nie wiedział, że wyznała prawdę

Walterowi, ale jej mąż nie był bronią w jego arsenale. Wystarczyły mu nagrania, żeby wykończyć ją i Callie.

– Podejź tu – powiedziała, wyjmując z torebki kosmetyczkę.

Andrew nie ruszył się z miejsca. Chciał jej przypomnieć, kto tu rządzi.

Otworzyła kosmetyczkę i wyjęła bazę pod makijaż, korektor, podkład oraz puder. Dupkowi znowu sprzyjało szczęście. Wszystkie obrażenia miał po lewej stronie twarzy, ale przysięgli będą siedzieć po jego prawej stronie.

– Chcesz czy nie? – zapytała.

Andrew wstał niespiesznie, każdym demonstracyjnie powolnym ruchem dając do zrozumienia, że to on kontroluje sytuację.

Kiedy usiadł tuż przed nią, Leigh poczuła narastający strach. Miał niesamowitą umiejętność włączania i wyłączania wrogości. Jego fizyczna bliskość przyprawiła ją o odruch wymiotny. Drżenie rąk wróciło.

Andrew uśmiechnął się, bo właśnie tego chciał.

Wycisnęła na wierzch dłoni odrobinę bazy pod makijaż. W torebce znalazła gąbkę. Andrew przysunął się bliżej. Roztaczał wokół siebie zapach wody kolońskiej z nutą piżma, a jego oddech, tak samo jak wczoraj, pachniał miętą. Leigh dziwnie się czuła, dotykając gąbką ugryzień na jego szyi. Ślady wokół nich były niebieskie, ale przez weekend przybiorą granatowy odcień, w sam raz na rozprawę.

– W poniedziałek rano będzie potrzebna profesjonalna makijażystka – oznajmiła.

Andrew skrzywił się, gdy zajęła się raną na szczęce. Skóra w tym miejscu była podrażniona i zaczerwieniona. Na gąbce zostały plamki

świeżej krwi. Leigh nawet nie udawała, że stara się być delikatna. Nabrała korektor na pędzelek i wsadziła szczecinę głęboko w ranę.

Andrew syknął, ale się nie odsunął.

– Lubisz zadawać mi ból, Harleigh?

Złagodziła dotyk. Poczowała obrzydzenie, bo Andrew miał rację.

– Odwróć głowę – nakazała.

Nie spuszczał jej z oka, gdy zwrócił brodę w prawo.

– Nauczyłaś się tego w dzieciństwie? – zapytał.

Leigh sięgnęła po większy pędzel do podkładu. Miała ciemniejszy odcień skóry niż Andrew, więc musiała użyć więcej pudru.

– Pamiętam, jak ty i Callie przychodziłyście z podbitymi oczami i rozciętymi wargami. – Znowu syknął, gdy paznokciem zeskrobała zaschniętą krew z jego podbródka. – Mama mówiła: „Biedne dziewczyny i ta ich stuknięta matka. Nie wiem, co robić”.

Poczowała ból w ustach, tak mocno zacisnęła zęby. Chciała mieć to już za sobą. Nabrała puder na pędzel, zamaskowała ranę i roztarła palcem nadmiar pudru między brzegami rany a zdrową skórą.

– Gdyby wezwała policję albo opiekę społeczną – ciągnął Andrew. – Pomyśl, ile istnień by ocaliła.

– Jacob jest moim pomocnikiem – powiedziała Leigh. Tylko rozmowa o pracy mogła powstrzymać ją od wrzasku. – Współpracuje ze mną. Wspominałam o nim u Bradleya. Jacob zajmie się stroną proceduralną, ale pozwolę mu przesłuchać niektórych kandydatów, jeśli uznamy, że lepiej zareagują na mężczyznę. Tylko nie wciskaj mu kitu. Jest młody, ale nie jest głupi. Jeśli coś wychwyci...

– Harleigh. – W jego ustach jej imię zabrzmiało jak ciche westchnienie. – Jesteś piękna. – Dotknął jej uda.

Odsunęła się gwałtownie, aż nogi krzesła głośno zaszurały po podłodze. Zanim dotarło do niej, co właśnie się wydarzyło, stała przyklejona plecami do ściany.

– Har...leigh. – Andrew wstał od stołu. Na jego usta wrócił szeroki uśmiech, który zdradzał, że bawi się tą chwilą. Podszedł do niej. – Co to za perfumy? Podoba mi się ten zapach.

Leigh zaczęła się trząść.

Pochylił się i wciągnął w nozdrza jej zapach. Czuła, że jej włosy muskają jego twarz. Czuła jego gorący oddech na uchu. Nie miała dokąd uciec. Przywarła łopatkami do ściany, w ręce ścisnęła tylko pędzel do makijażu.

Andrew zajrzał jej w oczy. Obserwował ją uważnie, wysunął język. Czuła nacisk jego kolana na jej zaciśnięte nogi.

„W porządku mała nie bój się swojego starego kumpla Buddy’ego”.

Zza drzwi dobiegł donośny wybuch śmiechu i rozszedł się echem po korytarzu. Leigh przypomniała sobie, że nie siedzi uwięziona we wnętrzu corvetty Buddy’ego. Jest w małym pokoiku w sądzie okręgowym hrabstwa DeKalb, jej współpracownik czeka na zewnątrz, asystentka jest w pobliżu. Są tu też zastępcy szeryfa, prokuratorzy, koledzy, detektywi, policjanci, pracownicy opieki społecznej.

Tym razem by jej uwierzyli.

– Linda wie, że jesteś gwałcicielem jak twój ojciec?

Po jego twarzy przemknął cień.

– Twój mąż wie, że jesteś morderczynią?

Włożyła w swoje spojrzenie aż tyle nienawiści, ile jej w sobie miała.

– Odsuń się ode mnie, zanim zacznę krzyczeć.

– Harleigh. – Uśmiech mu powrócił. – Jeszcze nie wiesz, że uwielbiam, kiedy kobieta krzyczy?

Musiała prześlizgnąć się plecami wzdłuż ściany, żeby się od niego odsunąć. Na drżących nogach podeszła do drzwi, otworzyła je i wyszła na prawie pusty korytarz. W pobliżu wind stali dwaj mężczyźni, dwóch innych wchodziło do męskiej toalety. Liz siedziała na ławce pod ścianą, na kolanach miała laptopa, w dłoni telefon.

Leigh podeszła do niej z zaciśniętymi pięściami, bo nie wiedziała, co zrobić z nadmiarem adrenaliny, która w niej buzowała.

– Jacob jest na sali i przegląda kwestionariusze. Zaczynamy za dziesięć minut.

– Dobrze. – Leigh spojrzała na korytarz, próbując zagłuszyć niepokój. – Coś jeszcze?

– Nie – odparła Liz, ale nie wróciła do swojej elektroniki, tylko wstała. – A jednak tak.

Leigh nie miała siły na kolejne złe wieści.

– Co się dzieje? – zapytała.

– Właśnie sobie uświadomiłam, że nigdy cię nie widziałam aż tak zdenerwowanej. Włosy mogą ci się palić, a ty uprzejmie poprosisz mnie o szklankę wody. – Liz zerknęła w stronę salki. – Potrzebujesz mnie tam? Albo Jacoba? Ten facet mnie przeraża.

Leigh nie zawracała sobie głowy tym, że ujawnia swoje emocje. Ciągle czuła nacisk kolana Andrew, którym próbował rozchylić jej nogi. Nie chciała wracać do tego pokoju, ale jeszcze gorsze od przebywania z Andrew sam na sam było zapewnienie mu publiczności.

Pojawienie się Dantego Carmichaela, który wyłonił się z windy, wybawiło ją z konieczności podjęcia decyzji. Prokuratorowi towarzyszył

zespół. Po prawej stronie szła jego współpracownica Miranda Mettes, po lewej Barbara Klieg, śledcza kierująca dochodzeniem w sprawie Tammy Karlsen. Za nimi podążali dwaj umundurowani funkcjonariusze policji hrabstwa DeKalb.

– Cholera – mruknęła Leigh.

Dotąd patrzyła na opowieść Andrew o napadzie oraz awarii systemu dozoru elektronicznego jak na dwie oddzielne sprawy. Teraz zobaczyła w nich całość. Kolejna kobieta padła ofiarą brutalnej napaści, a policja powiązała go z tą sprawą. Przyszli, żeby go aresztować.

– Harleigh? – Andrew trzymał jej prywatny telefon. – Kim jest Walter? Dzwonił do ciebie.

Wyrwała mu telefon z ręki.

– Gęba na kłódkę – ostrzegła go.

Uniósł brwi. Zachowywał się, jakby to wszystko było żartem.

– Boisz się o swoją rodzinę, Harleigh?

– Collier! – zawołał Dante. – Muszę porozmawiać z twoim klientem.

Ścisnęła telefon tak mocno, że krawędź obudowy wbijała się w kostki palców. Wszyscy patrzyli na nią wyczekująco. Mogła tylko pokazać im oblicze wrednej prawniczki procesowej, czego zresztą się spodziewali.

– Wal się, Dante. Nie rozmawiasz z nim.

– Po prostu próbuję coś wyjaśnić – powiedział Dante, siląc się na rozsądny ton. – Co ci szkodzi? Tylko parę pytań.

– Nie – odparła Leigh. – On nie...

– Harleigh – przerwał jej Andrew. – Chętnie odpowiem na każde pytanie. Nie mam nic do ukrycia.

Barbara Klieg sfotografowała rany Andrew telefonem, po czym stwierdziła:

– Wygląda na to, że chcesz ukryć paskudne rany i krwiaki, przyjacielu.

– Racja, przyjaciółko. – Jego uśmiech przyprawiał o dreszcz. Andrew nie miał w sobie krztyny strachu. – Już mówiłem mojej adwokatce, że zostałem napadnięty wczoraj rano podczas joggingu. Jakiś ćpun pewnie liczył na łatwy zysk. Tak mówiłem, prawda, Harleigh?

Zagryzła wargi, żeby nie wybuchnąć. Stres narastał w niej do monstrualnych rozmiarów, jakby zaraz miał ją rozsadzić.

– Andrew, radzę ci, żebyś...

– Złożyłeś doniesienie? – zapytała Klieg.

– Nie, pani detektyw. Po ostatnich doświadczeniach z policją uznałem, że szkoda czasu.

– A wczoraj wieczorem? Twój nadajnik na kostce nie działał przez ponad trzy godziny.

– Zgłosiłem to od razu mojej kuratorce. – Odszukał wzrokiem Leigh, ale nie z desperacji. Chciał widzieć jej dyskomfort. – Moja adwokatka potwierdzi, że również została poinformowana. Prawda?

Leigh milczała. Spojrzała w telefon. Pod spodem widniał herb szkoły Maddy. Wiedziała, że Andrew go widział.

„Boisz się o swoją rodzinę, Harleigh?”

Walter miał rację. Była głupia, gdy miała nadzieję, że utrzyma to monstrum w oddzielnej przegródce.

– Gdzie byłeś między piątą a siódmą trzydzieści wczoraj wieczorem? – zapytała Klieg.

– Andrew – odezwała się Leigh – radzę, żebyś nie odpowiadał.

Zignorował jej sugestię.

– Wczoraj wieczorem w moim domu odbywał się mój ślub. Wpuściłem ludzi z firmy cateringowej około piątej trzydzieści. Moja matka zjawiała się punktualnie o szóstej, żeby dopiąć wszystko na ostatni guzik. Na pewno pani wie, że moja kuratorka Teresa Singer przyjechała około szóstej trzydzieści, żeby zresetować mój nadajnik. W tym czasie zjawili się pierwsi goście na drinki i lekkie przystawki. Około ósmej Sidney i ja poszliśmy do ołtarza. Czy to wyjaśnienie zaspokaja pani ciekawość?

Klieg wymieniła spojrzenie z Dantem. Ta odpowiedź ich nie zadowalała. Istniało zbyt wielu potencjalnych świadków.

– Mogę pokazać zdjęcia, które zrobiłem swoim telefonem – zaproponował Andrew. – Metadane na pewno potwierdzą moje alibi. Każde zdjęcie ma znacznik czasu i miejsca.

Leigh przypomniała sobie słowa Reggiego, że metadane można sfałszować, jeśli człowiek wie, co robi. W jednej chwili przeszła od pragnienia, żeby się zamknął, do nadziei, że facet wie, co robi.

– Zobaczmy te zdjęcia – powiedziała Klieg.

– Andrew. – Leigh odezwała się tylko dlatego, że tego od niej oczekiwano.

On zaś już sięgał do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Proszę. – Ustawił telefon tak, żeby wszyscy widzieli, jak przewija kolejne zdjęcia: Andrew pozujący z ludźmi od cateringu. Andrew z Lindą wznoszącą kieliszek szampana. Andrew pomagający wieszać baner z napisem GRATULACJE DLA PAŃSTWA TENANTÓW!

Zdjęcia były frapujące, ale nie układały się w spójną całość. Brakowało fotografii tortów i dekoracji, gości przy drzwiach, Sidney w sukni ślubnej. Za to na każdym zdjęciu był Andrew z wyraźnie widocznymi zadrapaniami i krwiakami na twarzy i szyi.

– Czy mogę wziąć telefon i przekazać ekspertom do zbadania? – zapytała Klieg.

Leigh odpuściła. Andrew i tak zrobi, co zechce. Nie miała ochoty nawet otwierać ust.

– Hasło to sześć jedynek. – Andrew zaśmiał się autoironicznie, zdając sobie sprawę, jakie to słabe hasło. – Coś jeszcze, pani detektyw?

Klieg była wyraźnie rozczarowana, ale demonstracyjnie wyjęła z kieszeni żakietu torebkę na dowody, otworzyła ją i podsunęła Andrew, żeby wrzucił tam telefon.

Dante zwrócił się do Leigh:

– Muszę zamienić z tobą parę słów na osobności.

Złe przeczucia wróciły. Dante chciał zaproponować ugodę, a Andrew każe ją przyjąć, bo zawsze był trzy kroki przed nią.

Poszła za Dantem do sali, skrzyżowała ramiona i stanęła pod ścianą, gdy on zamykał drzwi. Trzymał w ręku teczkę. Leigh miała serdecznie dość mężczyzn pokazujących jej odrażającą zawartość swoich teczek.

Dante milczał. Pewnie czekał, aż Leigh znowu zaproponuje mu, żeby się walił, ale skończyły się jej przekleństwa. Spojrzała na prywatny telefon. Były dwa nieodebrane połączenia od Waltera. Pewnie już podpisał papiery rozwodowe. Pewnie zmienił zdanie i postanowił nie dać jej szansy na pożegnanie z Maddy. Pewnie już wyjeżdżał z miasta.

– Za pięć minut stajemy przed sędzią. Co proponujesz? – zapytała.

– Morderstwo. – Dante rzucił teczkę na stół.

Zobaczyła krawędzie błyszczących kolorowych zdjęć wystające z teczki. Jeśli Dante chciał nią wstrząsnąć, to się spóźnił. Cole Bradley przepowiedział to czterdzieści osiem godzin temu:

„Podglądacz staje się gwałcicielem. Gwałciciel staje się mordercą”.

– Kiedy? – Wiedziała, że ustalenie czasu zgonu jest bardziej sztuką niż nauką. – Skąd wiesz, że została zamordowana wczoraj między piątą a siódmą trzydzieści?

– O piątej zadzwoniła do swoich bliskich. Ciało znaleziono około siódmej trzydzieści w Lakehaven Park.

Wiedziała, że na terenie country klubu w pobliżu domu Andrew jest jezioro. Zakładała, że ciało zostało porzucone w innym parku, jak tamto o piętnaście minut piechotą od domu Andrew. Zacisnęła usta, usiłując dociec, jak to zrobił. Pozornie miał mocne alibi, z metadanych na zdjęciach wynikało, że był wtedy w domu, a Sidney potwierdzi każde jego słowo. Jednak Linda jest niewiadomą. Leigh nie miała pewności, czy matka Andrew zezna pod przysięgą, że zdjęcie z kieliszkiem szampana zostało zrobione w czasie wskazanym na zdjęciu. I że wtedy Andrew miał na twarzy rany i krwiaki.

Nagle coś przyszło jej do głowy.

– Krwiaki nabierają takiego koloru w ciągu dwóch do trzech godzin. Widziałeś jego zdjęcia. Ślady na szyi Andrew już nabrały purpurowej barwy, kiedy w domu pojawili się ludzie z firmy cateringowej o piątej trzydzieści. Rana na szczęcie przestała krwawić.

– A co z tym? – Dante otworzył teczkę i zaczął rzucać na stół zdjęcia z miejsca zbrodni.

Ale ta jego teatralna przesada nie była potrzebna. Nie pokazywał znużonej Leigh nic takiego, czego już by nie widziała:

Twarz kobiety pobitej tak mocno, że nie dało się rozpoznać jej rysów.

Ślady zębów wokół otwartej rany tam, gdzie był sutek.

Rana cięta na lewym udzie nad tętnicą udową.

Metalowy uchwyt noża wystający spomiędzy nóg ofiary.

– Wystarczy. – Poznała robotę Andrew. I zadała pytanie, które ostatnio zadawała każdemu mężczyźnie obecnemu w jej życiu: – Czego ode mnie chcesz?

– Pewnie o to samo pytała ofiara, kiedy twój klient gwałcił ją, a potem zabijał. – Dante zatrzymał w dłoniach ostatnie zdjęcie. – Wiesz, że to zrobił, Collier. Nie wciskaj kitu specjaliście od wciskania kitu. Tu są sami swoi. Andrew Tenant jest winny jak cholera.

Leigh nie była tego pewna. A przynajmniej nie tym razem. Kolor śladów po ugryzieniach nie dawał jej spokoju. Od lat pracując jako adwokatka, miała do czynienia z tyloma przypadkami przemocy domowej, że mogłaby występować w charakterze biegłej sądowej.

– Mówiłeś, że ofiara dzwoniła do rodziny o piątej. Jeśli Andrew napadł ją zaraz po tym telefonie i wrócił do domu, żeby o piątej trzydzieści wpuścić ekipę od cateringu, a przynajmniej był w domu o szóstej trzydzieści, gdy kuratorka sądowa przyjechała zresetować nadajnik, to wyjaśnij mi ciemne ślady na jego szyi.

– Rozumiem, że mówisz o śladach zębów, ale co z tego? – Dante wzruszył ramionami. – Twój biegły zezna jedno, mój zezna drugie.

– Zobaczmy jeszcze to. – Kiwnęła na Dantego, żeby położył na stół ostatnie zdjęcie.

Wstrzymywał się nie bez powodu.

Tym razem darował sobie emfazę, gdy kładł zdjęcie przed Leigh.

Następne zbliżenie pokazywało tył głowy ofiary, częściowo pozbawiony prostych czarnych włosów. W skórze czaszki były głębokie

wyżłobienia. Ktoś użył ostrego narzędzia, żeby uciąć włosy przy samej głowie.

Leigh widziała takie rany tylko raz w życiu. Miała wtedy dziesięć lat. Złapała kawałek szkła i rzuciła się na jedną z prześladowczyń Callie na placu zabaw.

„Przewróciłam ją i tym szkłem cięłam jej kudły, aż głowa zaczęła krwawić”.

Poczuła strużkę potu na karku. Ściany zaczęły zamykać się wokół niej. To była robota Andrew. Wysłuchał jej opowieści o tym, jak ukarała złośliwą dziewczynę, i na swój chory pokręcony sposób oddał jej hołd.

Nagle serce podeszło Leigh do gardła. Przyjrzała się zdjęciu dokładniej, ale ręce i nogi kobiety nie przypominały patyków. Nie nosiły śladów wkłuć ani starych blizn po złamanych w żyłę igłach. Nie miały też dziecięcej pulchności, którą tak zamartwiała się jej śliczna córka, oglądając się w lustrze.

– Ofiara – powiedziała Leigh. – Jak się nazywa?

– To nie tylko ofiara, Collier. Była matką, żoną, nauczycielką w szkółce niedzielnej. Miała szesnastoletnią córkę, jak ty.

– Zachowaj coś na mowę końcową – powiedziała Leigh. – Podaj mi jej nazwisko.

– Ruby Heyer.

– Tak, kurwa, tak! – wrzasnęła Sidney, wchodząc w zakręt swoim kabrioletem.

W radiu ryczała piosenka, w której słowo „czarnuch” padło więcej razy niż na zjeździe białych nacjonalistów. Sidney śpiewała razem z radiem i machała pięściami w rytm każdego uderzenia. Była pijana w sztok po trzech kuflach mimozy i odurzona po ecstasy, które Callie wrzuciła jej do ostatniego drinka. Mogła stracić panowanie nad kierownicą, gdyby nie to, że w końcu spojrzała na drogę.

Bmw zarzuciło przed znakiem stopu, a Sidney nacisnęła klakson i wcisnęła gaz do dechy.

– Z drogi, sukinsynu!

– Super! – krzyknęła Callie, młóćąc pięściami w powietrzu. Wbrew sobie dobrze się bawiła. Sidney była wesoła, młoda i głupia, jeszcze nie zdążyła kompletnie schrzanić sobie życia, chociaż uczciwie na to pracowała.

– Skurwiel! – ryknęła Sidney na innego kierowcę, kiedy nie zatrzymała się przed znakiem stopu. – Wal się w ryja, sukinsynu!

Callie zaśmiała się, gdy starszy mężczyzna pokazał im dwa środkowe palce. Umysł jej szalał, serce trzepotało, kolory błyskały przed oczami. Neonowozielone drzewa, oślepiająco żółte słońce, żywoniebieskie niebo, śnieżnobiałe ciężarówki, krwistoczerwone auta i migające żółte linie wyskakujące z czarnego jak smoła asfaltu.

Zapomniała już, jak świetnie się imprezuje. Przed złamaniem szyi próbowała kokainy, ecstasy, amfetaminy, metamfetaminy i adderallu, bo myślała, że rozwiąże swoje problemy, jeśli wprawi świat w ruch przyspieszony.

Oksykodon zmienił wszystko. Odkąd pierwszy raz poczuła jego działanie, już wiedziała, że chce rozkoszować się spowolnieniem. Jej stopy zacisnęły się w pięść jak u mały. Mogła tkwić w jednym miejscu, podczas gdy świat toczył się naprzód. Stan zen w tamtych wczesnych czasach opioidów był poza skalą. Mijały tygodnie, miesiące, lata, a jej spowolnione życie zawężało się wyłącznie do pogoni za kolejną działką heroiny.

Wyjęła z torebki kolejną fiolkę, znalazła kolejny adderall, położyła tabletkę na języku i pokazała ją Sidney, która przechyliła się i wygarnęła tabletkę swoim językiem.

Jej gorące wargi stopiły się z wargami Callie. To było elektryzujące doznanie. Callie chciała je przedłużyć, ale Sidney oderwała się od niej i skupiła uwagę na prowadzeniu auta. Callie zadrzała. Jej ciało przebudziło się ze stanu uśpienia, w jakim było od lat.

– Szlag! – wrzasnęła Sidney, dociskając gaz i jadąc slalomem ulicą pełną wolnostojących domów. Bmw skręciło ostro. Sidney zahamowała gwałtownie. – Kurwa.

Callie poleciała bezwładnie do przodu. Sidney wrzuciła bieg wsteczny. Opony zapiszczały na asfalcie. Sidney przejechała kilkanaście metrów, znowu włączyła bieg i wjechała w długi podjazd prowadzący do ogromnego białego domu.

Domu Andrew.

W restauracji Callie raz po raz przebąkiwała o kontynuowaniu imprezy w jej pokoju hotelowym, ale kiedy powiedziała, że będą

musiały zachowywać się cicho, od razu usłyszała to, co chciała usłyszeć:

„Cicho? Chrzanić to, jedziemy do mnie”.

Callie nie zdziwiła się, że Andrew mieszka w rezydencji przypominającej siedzibę seryjnego mordercy. Prócz krzewów przyciętych w kształt kostek cukru wszystko było białe. Miejsce uosabiało wewnętrzną martwość, która emanowała z Andrew w stadionowym tunelu.

I tu najprawdopodobniej Andrew ukrył nagranie z zabójstwem Buddy’ego.

Ścisnęła zerwany paznokieć i pod wpływem bólu wróciła do rzeczywistości. Nie przyjechała tu imprezować. Sidney była młoda i niewinna, Maddy też. Tylko w życiu jednej z nich był obecny psychopatyczny gwałciciel. Callie zamierzała sprawić, żeby tak zostało.

Sidney skręciła na tył domu, a gdy bmw zatrzymało się z piskiem opon przed przeszklonymi drzwiami industrialnego garażu, wcisnęła przycisk na dole wstecznego lusterka.

– Bez obaw, on jest dzisiaj zajęty aż do wieczora – powiedziała.

Mówiła o Andrew „on, mój głupi chłopak, mój mąż idiota”, ale ani razu nie użyła jego imienia.

Samochód wjechał z impetem do garażu, omal nie uderzając w tylną ścianę.

– W mordę! – wrzasnęła Sidney, wyskakując z auta. – Zaczynamy imprezę!

Callie przechyliła się i wyłączyła silnik. Sidney zostawiła kluczyki w podstawce na kubki razem z telefonem i portfelem. Callie rozejrzała się po garażu, próbując ustalić potencjalne miejsce ukrycia nagrania, ale

przestrzeń przypominała czyste białe pudło. Nawet podłoga była nieskazitelna.

– Pływasz? – Sidney włożyła ręce pod bluzkę, żeby zdjąć stanik. – Mam zapasowy kostium. Będzie na ciebie dobry.

Callie spochmurniała na myśl o swoich bliznach i śladach po ukłuciuach skrytych pod długimi rękawami bluzki i nogawkami dżinsów.

– Dla mnie za gorąco, ale z chęcią popatrzę.

– Ja myślę. – Sidney wyjęła rozpięty stanik przez rękaw bluzki i rozpięła guziki, odsłaniając dekolt. – Chrzanić to. Masz rację. Nawalimy się w klimatyzowanym pomieszczeniu.

Callie patrzyła, jak Sidney znika we wnętrzu domu. Kolano ugięło się pod nią, gdy wysiadła z auta. Próbowwała skupić się na bólu, ale nerwy miała już stępione substancjami krążącymi w jej żyłach. Pilnowała się w restauracji, żeby nie popłynąć. Problem w tym, że naprawdę miała ochotę popłynąć. Receptory w jej mózgu tak długo nie miały do czynienia ze stymulantami, że czuła się tak, jakby co sekundę budził się nowy i domagał się większej dawki.

Sięgnęła po następny xanax, żeby nieco obniżyć poziom rozwibrowania.

Dom Andrew kusił, żeby wejść do środka. Sidney zostawiła stanik i buty na podłodze, a Callie spojrzała na swoje martensy. Żeby je zdjąć, musiałyby usiąść na podłodze i pociągnąć z całej siły. Jednak nie zrobiła tego, tylko poszła dalej długim białym korytarzem.

Temperatura wyraźnie spadła, a Callie miała wrażenie, że weszła do muzeum. Żadnych dywanów, czyste białe ściany i sufity, białe lampy, czarno-białe artystyczne portrety seksownych kobiet skrępowanych w różnych wymyślnych pozach.

Tak przywykła do bulgotania akwariowych filtrów, że zwróciła na nie uwagę dopiero wtedy, gdy znalazła się w głównej części domu. Stąd roztaczał się widok na teren za domem, ale go zignorowała, bo całą ścianę zajmowało akwarium rafowe. Patrzyła na miękkie i twarde koralowce, ukwiały, jeżowce, rozgwiazdy, skrzydlice, ustniczki czarne, *Choerodon fasciatus*, naso żółtogłowe.

Stała przy niej Sidney, dotykając ramieniem jej ramienia.

– Piękne, prawda?

W tej chwili Callie miała ochotę usiąść na kanapie, połknąć garść oksykodonu i obserwować wielobarwne pływające stworzenia aż do zaśnięcia albo spotkania z Kurtem Cobainem..

– Twój mąż jest dentystą? – zapytała.

Sidney zaśmiała się chrypliwie.

– Nie, sprzedawcą samochodów.

– A niech mnie. – Callie rozejrzała się po ogromnym białym salonie, w którym Apple Store spotkał się z estetyką Związku Sowieckiego. Były tu białe skórzane kanapy, białe skórzane krzesła, stoliki kawowe ze szkła i stali, lampy stojące zwieszające białe metalowe głowy jak trędowate żurawie. Telewizor był ogromnym czarnym prostokątem na ścianie. Ani śladu innych urządzeń.

– Może powinnam zacząć sprzedawać samochody – zażartowała Callie.

– Kurwa, Max, od ciebie kupiłabym wszystko.

Potrzebowała chwili, żeby przypomnieć sobie swoje fałszywe imię.

– Po co płacić, skoro rozdają?

Sidney znowu się zaśmiała, skinęła na nią i ruszyła w kierunku kuchni.

Callie szła powoli, nasłuchując buczenia urządzeń podłączonych do telewizora. Żadnych półek z książkami, żadnych pojemników, żadnych oczywistych miejsc, gdzie można ukryć odtwarzacz wideo, nie mówiąc już o kasecie. Nawet drzwi były ukryte, to, że w ogóle są, sygnalizował tylko cienki czarny kontur. Nie miała pojęcia, jak się otwierają, skoro nie mają klamek.

– Jego matka pilnuje pieniędzy. – W kuchni Sidney umyła ręce nad zlewem przy barku. Obie zostawiły maseczki w restauracji. – Straszna z niej suka, wszystko kontroluje, nawet dom nie jest na niego. Pozwoliła mu tylko urządzić wnętrze, z tym że zaznaczyła, w jakich sklepach wolno mu zrobić zakupy.

Callie rozboleły zęby za widok ultranowoczesnej kuchni. Znów biel: białe marmurowe blaty, białe szafki na wysoki połysk, nawet kuchenka była biała.

– Chyba już przeszła menopauzę.

Sidney nie załapała menstruacyjnego żartu. I słusznie. Wzięła do ręki małego pilota, wcisnęła przycisk i przestrzeń wypełniła się muzyką. Callie spodziewała się kolejnej porcji dudniących rytmów i słów na „cz”, a nie Eda Sheerana, który zawodził o tym, jak to jest być pijanym z miłości.

Gdy Sidney wcisnęła inny guzik, światła przygasły, a pokój nabrał ciepła. Puściła do Callie oko.

– Szkocka, piwo, tequila, rum, wódka, absynt?

– Tequila. – Callie zajęła jeden z piekielnie niewygodnych stołków barowych z niskim oparciem. Romantyczny nastrój ją zdeprymował. Musiała walczyć ze słabością. – Nie jesteś pierwszą żoną, która nie dogaduje się z teściową.

– Nienawidzę jej. – Sidney otworzyła jedną z górnych szafek. Butelki z alkoholem stały w równym rzędzie, zwrócone etykietkami do przodu, jak u seryjnego mordercy z obsesją porządku. Chwyła piękną bursztynową butelkę. – Tydzień przed ślubem zaproponowała mi sto tysięcy, żebym się wycofała.

– Kupa kasy.

– Nie pierdol. – Szerokim gestem wskazała wewnątrz domu.

Callie parsknęła śmiechem. Musiała przyznać, że ta dziewczyna umiała się ustawić. Po co szybka jednorazowa kasa, skoro mogła doić Tenantów przez cały czas trwania małżeństwa z Andrew? Zwłaszcza że na horyzoncie majaczyła odsiadka męża. Naprawdę niezły układ.

– On przy matce jest pochlebcą i lizuskiem – wyznała Sidney. – A przy mnie gada, że nienawidzi tej przeklętej cipy i lepiej, żeby już umarła. Potem ona wchodzi do pokoju, a on zamienia się w maminsynka przygłupa.

Callie poczuła ukłucie smutku. Kiedy niańczyła Andrew, święcie wierzyła w jedno: że Linda kocha syna bezwarunkowo. Uważała, że całe jej życie jako matki kręci się wokół tego, jak mu zapewnić bezpieczeństwo i lepszą przyszłość.

– Sprytnie – powiedziała Callie. – Nie chcesz jej wkurzyć, skoro daje ci to wszystko.

– To i tak jest jego. – Sidney zębami usunęła plastikową osłonkę na korku tequili Don Julio Añejo. – Kiedy stara suka umrze, wprowadzi różne zmiany. Ona kieruje całym tym biznesem, jakby internet nie istniał. To był jego pomysł, żeby przenieść działanie do sieci, kiedy przyszła pandemia.

Callie pomyślała, że wiele osób wpadło na genialny pomysł przeniesienia pracy do sieci po wybuchu pandemii, ale zachowała to

spozrzenie dla siebie.

– Rany – rzuciła.

– Właśnie – odparła Sidney. – Chcesz margaritę czy samą tequilę?

– Może obie? – Callie wyszczerzyła zęby.

Sidney parsknęła śmiechem i schyliła się po blender. Znowu wypięła tyłek. Była chodzącym soft porno z sesji fotograficznych.

– Jak Boga kocham, strasznie się cieszę, że na ciebie wpadłam. Miałam iść dzisiaj do pracy, ale chrzanić to.

– Gdzie pracujesz?

– Odbieram telefony w salonie, ale tylko po to, żeby rodzice przestali zrzędzić, że resztę życia spędzę w college’u. Tak poznałam Andy’ego. – Jeśli Sidney zorientowała się, że pierwszy raz wypowiedziała jego imię, do nie dała tego po sobie poznać. – Pracujemy w jednym salonie.

– Andy? Brzmi jak synek mamusi.

– Prawda? – Sidney nacisnęła front jednej z szafek. Gdy drzwiczki odskoczyły, z wprawą barmanki wzięła do ręki szklaneczkę do drinków i kieliszek do margarity. Callie śledziła każdy jej ruch. Sidney była nadzwyczajna, a ona zastanawiała się, co taka kobieta widzi w Andrew. To musiało być coś więcej niż pieniądze.

Sidney postawiła szkło na blacie.

– Wiem, że jesteś tu z ciekawości, ale teraz ja zapytam: czym się zajmujesz?

– Właściwie niczym. – Callie wzruszyła ramionami. – Mąż zostawił mi sporo pieniędzy, ale wiem, co się dzieje, kiedy mam za dużo wolnego czasu.

– Skoro o tym mowa... – Sidney napełniła szkło po same brzegi.

Callie sięgnęła po szklaneczkę, uniosła ją i pociągnęła łyk, podczas gdy Sidney odchyliła głowę i wypła drinka jednym haustem. Takie rzeczy można robić, jeśli nie ma się sztywnej szyi u podstawy czaszki. Callie patrzyła, jak Sidney szykuje sobie drugą porcję. A kiedy nalewała trzecią, Callie dopiła pierwszą.

– Ożeż w mordę! – Sidney coś sobie przypomniała. Otworzyła inną szafkę, wyjęła okrągły drewniany pojemnik, postawiła go na blacie i zdjęła pokrywkę. Oblizła palec, włożyła go do środka i wyjęła oblepiony kryształkami czarnej soli. Uniosła brwi i possała koniuszek palca z solą.

Skrzyżowały spojrzenia. Callie siłą woli oderwała od niej wzrok.

– Nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam solniczkę – powiedziała.

– Serio? – Sidney wróciła do drinków. Nacisnęła front następnej szafki, ale tym razem wyskoczył długi uchwyt i otworzyła lodówkę. – To prezent ślubny od jednej z wrednych bogatych przyjaciółek Lindy. Znalazłam to w sieci. Ręczna robota z kenijskiego drewna. Cokolwiek to jest, ten duperel kosztował trzysta dolców.

Callie wzięła solniczkę w dłoń. Sól była czarna jak obsydian i pachniała węglem drzewnym.

– Co to jest?

– Nie wiem, jakieś drogie gówno z Hawajów. Droższe od koki. – Sidney odwróciła się, trzymając w złączonych dłoniach sześć limonek. – Cholera, zabiłabym dla koki.

Callie nie chciała jej rozczarować, więc wyjęła z torebki dwie działki.

– O rany. – Sidney wyrwała jej jedną z torebeczek i uniosła pod światło. Szukała błyszczących płatków, które ujawniały czystość towaru,

co stawiało ją w szeregu profesjonalnych kokainistów. – Cholera, wygląda zabójczo.

Callie zastanawiała się, czy tak się w końcu nie stanie. Sidney przyjęła już tyle stymulantów, że mogły powalić antylopę gnu. Takiej tolerancji na używki nie zyskiwało się przy rekreacyjnym zażywaniu.

Jakby chcąc to udowodnić, Sidney otworzyła szufladę i wyjęła małe lusterko, żyletkę oraz dziesięciocentymetrową pozłacaną słomkę, która albo służyła bogatym niemowlakom do picia soczków, albo zepsutym bogaczom do wciągania koki.

Callie musiała zbadać grunt.

– Wstrzykiwałaś sobie kiedyś? – zapytała.

Pierwszy raz Sidney okazała rezerwę.

– Jasna cholera, to całkiem inny poziom.

– Zapomnij, że pytałam. – Otworzyła plastikową torebkę i wysypała biały proszek na lusterko. – Jak długo znaliście się przed ślubem?

– Uhm... ze dwa lata? – Sidney patrzyła na kokę wyglodniałym wzrokiem. Może już staczała się po równi pochyłej. – Reggie, jego kumpel kretyn, przyłaził do salonu jak do siebie i przystawiał się do mnie. No, ale bez przesady.

Callie zrozumiała, co miała na myśli. Nie będzie traciła urody i młodości dla gościa, którego na nią nie stać.

– Któregoś dnia Andy do mnie podszedł, zaczęliśmy rozmawiać, a ja byłam zaskoczona, że nie okazał się kompletnym palantem. Biorąc pod uwagę Reggiego, to był jakiś cud.

Callie siekała biały proszek ostrzem, słuchając narzekań Sidney na Reggiego – że ciągle się na nią gapił, że był namolny, że był sługusem

Andrew – ale nie spuszczała wzroku z ostrza, równie wygłodniała jak Sidney.

Gdyby naukowcom zlecono wyprodukowanie narkotyku, na który ludzie wydadzą wszystkie pieniądze, wymyśliliby kokainę. Stan haju trwa piętnaście do dwudziestu minut, a przez resztę żalosnego życia człowiek goni za tamtym uczuciem, bo już nigdy nie będzie lepiej niż przy pierwszym niesamowitym kopie. Ironia losu polegała na tym, że ludzie mogą mieć wagon koki, ale ciągle będą chcieli więcej w pogoni za nieosiągalną powtórką.

Dlatego Callie doprawiła kokę fentanylem.

– Jak cię zaprosił na randkę? – Zrobiła cztery kreski.

– Przyłapał mnie, jak czytałam jeden z podręczników na zajęcia z psychologii, i zaczęliśmy gadać. W przeciwieństwie do dziewięćdziesięciu dziewięciu procent pieprzonych objaśniaczy świata, mądrzących się na tematy, które ja studiuje od sześciu lat, on akurat wiedział, o czym mówi. – Dotąd Sidney nie spuszczała wzroku z dłoni Callie, ale w końcu spojrzała gdzie indziej, otwierając następne szafki. Po chwili wyjęła marmurową deseczkę do krojenia i ceramiczną miseczkę na limonki. – Potem zaczął ze mną flirtować i przeszkadzał w odbieraniu telefonów. Mówiłam mu, że przez niego mnie zwolnią, a on na to: „Ja cię zwolnię, jeśli się ze mną nie umówisz”.

To zachowanie odpowiadało definicji molestowania w miejscu pracy, ale Callie nie zdradziła swoich prawdziwych emocji, deklarując przy tym:

– Lubię, kiedy mężczyzna wie, czego chce.

Sidney otworzyła kolejną szufladę.

– U kobiet też to lubisz?

Callie otworzyła usta, ale wtedy zobaczyła, co Sidney wyjęła z szuflady.

Żyłek wyślizgnęła się jej z palców i zazgrzytała o powierzchnię lusterka.

Pęknięta drewniana rączka. Ząbkowane ostrze wygięte w trzech kierunkach. Nóż do steków wyglądał jak ten kupiony przez Linde w spożywczaku. Callie kroїła nim hot dogi dla Andrew, a także zraniła nim Buddy'ego w udo.

– Max? – odezwała się Sidney.

Callie miała ściśnięte gardło. Serce waliło jej tak donośnie, że zagłuszało muzykę w tle i niski głos Sidney.

– To... to dosyć tani prezent ślubny – wykrztusiła w końcu.

Sidney spojrzała na nóż.

– Tak, Andy wścieka się, kiedy go używam, jakby nie mógł kupić mi pięćdziesięciu nowych. Ukradł go swojej niani czy coś w tym stylu. Nie znam tej historii, ale jest w niej coś dziwnego.

Callie patrzyła na ostrze zanurzające się w jednej z limonek. Zamiast płuc miała galaretę.

– To jego fetysz związany z nianią?

– Dziewczyno, dla niego wszystko jest fetyszem.

Callie poczuła piekący ból kciuka. Żyłką zdarła sobie fragment naskórka. Krew ściekała jej po nadgarstku. Przyjechała tu z konkretnym planem, ale na widok noża przeniosła się do kuchni Waleskich.

„We... wezwij karetkę, skarbie. Wezwij...”.

Sięgnęła po słomkę i wciągnęła wszystkie cztery kreski w jednej szybkiej sekwencji.

Usiadła wygodnie. Jej oczy łzawiły, serce waliło, w uszach brzęczało, cała dygotała.

– Kurwa. – Sidney nie chciała zostawać w tyle. Wysypała drugą działkę na lusterko i szybko zrobiła kreski. Tak bardzo chciała dołączyć do zabawy, że odpuściła sobie wypinanie tyłka i puszczenie oka. Wciągnęła cztery kreski. – Jezu, w mordę, Chryste!

Callie przejechała językiem po dziąsłach, gdzie zostały resztki prochów. Czowała fentanyl, który wysyłał jej ciału ukrytą wiadomość.

– Tak! – krzyknęła Sidney, tańcząc po kuchni, i zniknęła w salonie, wrzeszcząc: – Tak, kurwa, tak!

Callie poczuła, że jej oczy uciekają w tył głowy. Sidney zostawiła nóż na blacie, a ona zobaczyła siebie w kuchni Waleskich. Moczyła rączkę noża w wybielaczu, a szczeliny czyściła wykałaczką. Dotknęła gardła, czuła, że serce wędruje ku górze, do ust. Kokaina zaczynała działać, fentanyl kręcił się w kółko. Co ona sobie myślała? Nagrania są tutaj. Sidney jest tutaj. Andrew siedział w sądzie, ale jak już wyjdzie, to co zrobi? Co zaplanował dla Maddy?

Sięgnęła po xanax i wrzuciła do ust trzy tabletki, zanim Sidney wróciła do kuchni.

– Maxie, chodź popatrzeć na ryby. – Wzięła Callie za rękę i poszły do salonu. Muzyka stała się głośniejsza, światła przygasły. Odłożyła pilota na stolik kawowy i pociągnęła ją na kanapę.

Callie padła na miękkie poduchy. Kanapa była tak głęboka, że nie sięgała stopami podłogi. Podwinęła nogi i oparła ramię na stosie poduch. Jak rozpoznała głos Michaela Bublę dobiegający z głośników, pozostało dla niej zagadką, ale przestała łamać sobie tym głowę na widok skrzydlicy ze sterczącymi kolcami o czerwonych i czarnych paskach. Płetwy zakończone kolcami jadowymi czyniły z niej jedną

z najgroźniejszych drapieżnych ryb w oceanie, ale skrzydlica używała ich tylko w celach obronnych. Inne ryby były przy niej bezpieczne, o ile nie mieściły się w jej przepastnym szerokim pysku.

– Max? – odezwała się Sidney niskim, uwodzicielskim tonem. Bawiła się jej włosami, paznokciami delikatnie drapiąc skórę na głowie.

Callie poczuła lekki dreszcz przyjemności, ale całą jej uwagę przyciągnął rożec Pinokio przepływający obok przestraszonej rozgwiazdy. Dołączył do niego pokolec. Trawa morska zaczęła kiwać na nią cienkimi palcami. Obserwując wielobarwną paradę, straciła rachubę czasu, ale kiedy kolory zmatowiały, wiedziała, że xanax zaczyna działać.

– Max? – powtórzyła Sidney. – Chcesz mnie naszprycować?

Callie oderwała wzrok od ryb. Sidney opierała się o nią i palcami ciągle przeczesywała jej włosy. Miała rozszerzone źrenice, usta pełne i wilgotne. Była nawalona.

Callie miała w torebce strzykawkę, rurkę do podwiązywania, zapalniczkę i watę. Tak to zaplanowała. Nakłonić Sidney, żeby wzięła więcej, potem jeszcze trochę, aż wbije igłę w jej ramię, pokazując smoka, którego będzie ścigać w głębokiej i ciemnej studni rozpaczy.

O ile wcześniej jej to nie zabije.

– Cześć. – Sidney chwyciła zębami jej dolną wargę. Była tak blisko, że Callie czuła w jej oddechu woń tequili. – Wiesz, że jesteś cholernie słodka?

Callie wyczuła też, że jej ciało zareagowało pierwsze, zanim odpowiedziały wargi. Przeczesiła palcami gęste jedwabiste włosy Sidney. Miała niesamowicie gładką skórę. Kolor jej oczu przypominał Callie kosztowną sól w ręcznie rzeźbionej solniczce.

Sidney ją pocałowała. Kiedy ich usta zetknęły się pierwszy raz, Callie odsunęła się, ale teraz dała się ponieść fali. Wargi Sidney były

doskonałe, język aksamitny. Poczuła mrowienie w kręgosłupie, pierwszy raz od dwudziestu lat nie czuła bólu. Położyła się na kanapie. Sidney znalazła się na górze. Muskała wargami jej szyję, powędrowała ku piersiom, potem rozpięła Callie dzinsy i wsunęła palce do środka.

Callie jęknęła, łzy napłynęły jej do oczu. Od tak dawna nie miała w sobie nikogo, kto naprawdę chciał w niej być. Poruszyła się i otarła o rękę Sidney, zaczęła ssać jej usta i język. Przyszło podniecenie, zakręciło się jej w głowie, gdy wciągnęła w płuca oddech Sidney. Zamknęła oczy. Otworzyła usta, żeby wypowiedzieć imię Sidney...

„Oddychaj już prawie jestem rozluźnij się”.

Serce jej załomotało i otworzyła oczy, ale nie zobaczyła żadnego goryla. Wyraźnie był to głos Buddy’ego Waleskiego.

„Buddy, proszę, to bardzo boli proszę przestań...”.

To był jej głos, głos czternastoletniej Callie. Cierpiącej i przerażonej.

„Buddy, proszę, przestań, ja krwawię, nie mogę...”.

Zrzuciła z siebie Sidney. Dźwięk dochodził z głośników.

„Zamknij się Callie powiedziałem nie ruszaj się kurwa”.

Głos Buddy’ego był wszędzie. Grzmiał z głośników, odbijał się echem w sterylnym białym pokoju. Callie chwyciła pilota ze stolika kawowego i jak szalona zaczęła wciskać guziki, próbując wyłączyć dźwięk.

„Pieprzona suka mówiłem żebyś przestała się wiercić albo...”.

Cisza.

Nie chciała się odwracać, ale się odwróciła.

Nie chciała patrzeć na telewizor, ale spojrzała.

Poplamiony włochaty dywan. Światło ulicznych lamp sączące się do środka między karbowanymi brzegami pomarańczowo-brązowych zasłon. Jasnobrązowe fotele klubowe z plamami potu na oparciach i dziurami po papierosach w podłokietnikach. Pomarańczowa kanapa z przygnębiającymi śladami wgłębień na dwóch końcach.

Dźwięk był ściszony ale słyszała głos Buddy'ego w swojej głowie.

„Chodź mała skończymy na kanapie”.

To, co działo się w telewizorze, nie odzwierciedlało wspomnień zachowanych w jej pamięci. Nagranie kompletnie je odwróciło. Zrobiło z nich coś obleśnego i brutalnego.

Buddy bez słowa wpychał się w jej czternastoletnie ciało, a pod jego ciężarem kanapa zapadała się pośrodku. Callie patrzyła, jak jej młodsza wersja chce się spod niego wydostać, drapie, próbuje zepchnąć go z siebie, ale złapał jej ręce mięsistą łapą, a drugą rozpiął i wyciągnął pasek od spodni. Callie z przerażeniem zobaczyła, jak związuje jej tym paskiem nadgarstki, odwraca ją i gwałci od tyłu.

– Nie... – wyszeptała, bo to nie tak było. Nie przywykła do tego. Nie nauczyła się, co robić, żeby skończył w jej ustach.

– Nadal lubisz tak ostro? – zapytała Sidney.

Callie usłyszała łoskot. Upuściła pilota. Leżał na podłodze w kawałkach. Odwróciła się powoli. Całe piękno twarzy Sidney uleciało. Wyglądała na równie bezduszną i bezlitosną jak Andrew.

– Gdzie kasety? – wykrztusiła Callie drżącym głosem.

– Kasety – poprawiła ją Sidney. – Liczba mnoga. Jest ich więcej.

– Ile?

– Dziesiątki. – Sidney wsadziła palce do ust i zaczęła cmokać, wysysając z nich smak Callie. – Możemy obejrzeć więcej, jeśli chcesz.

Callie uderzyła ją pięścią w twarz.

Sidney zachwiała się ogłuszona ciosem, krew trysnęła jej z nosa. Zamrugła jak wredna małolata, która zarobiła w miche na boisku szkolnym.

– Gdzie są? – zapytała Callie i zaczęła chodzić po pokoju, przyciskając dłonie do ścian i próbując znaleźć skrytkę. – Mów, gdzie są.

Sidney osunęła się na kanapę. Krew pociekła na białą skórę, kapiała na podłogę.

Callie ani na chwilę nie przestawała dotykać ścian, znacząc je śladami własnej krwi, i natrafiła na drzwi, które otworzyły się z cichym trzaskiem. Zobaczyła umywalkę i toaletę. Pchnęła kolejne drzwi. Z regału na sprzęt elektroniczny buchnęło gorąco, lecz ani śladu odtwarzacza wideo.

– Myślałaś, że to będzie takie proste? – odezwała się Sidney.

Callie spojrzała na nią. Sidney dźwignęła się z kanapy. Stała z rękami wzdłuż tułowia, krew zalewała jej twarz i szyję, a biała bluzka stopniowo zmieniała kolor. Sidney chyba odzyskała jasność myśli po nieoczekiwanym ciosie w twarz. Wysunęła język i zlizwała krew z warg.

– Następnym razem tak łatwo ci nie pójdzie – ostrzegła.

Callie nie miała zamiaru dyskutować z tą suką. To nie był finał kolejnej części *Batmana*. Weszła do kuchni i sięgnęła po nóż Lindy.

Potem ruszyła na obchód domu. Minęła damską toaletę i domową siłownię, ale nie zobaczyła żadnych szaf, żadnej garderoby, żadnych kaset wideo. Następny był gabinet Andrew. Szuflady biurka były wąskie, pełne długopisów i klipsów do papieru. Szafka była pełna papierów, notatek, kartek i akt. Callie przedramieniem wygarnęła wszystko na podłogę.

– Nie znajdziesz ich – powiedziała Sidney.

Callie minęła ją i poszła dalej innym długim korytarzem, na którym wisiało więcej oprawionych zdjęć skrepowanych kobiet, słysząc za sobą kroki Sidney. Energicznie zrzuciła ze ściany fotografie, które z trzaskiem poleciały na podłogę. Sidney krzyknęła, gdy nastąpiła na odłamek szkła, a Callie kopniakiem otwierała kolejne drzwi. Pokój gościnny, i nic. Kolejny pokój gościnny, i znowu nic.

Sypialnia główna.

Callie stanęła w progu.

W przeciwieństwie do reszty domu tutaj panowała czerń. Ściany, sufit, wykładzina, jedwabna pościel na łóżku – wszystko było czarne. Gdy włączyła przełącznik na ścianie, pokój zalało światło. Szurając martensami po miękkiej wykładzinie, podeszła do łóżka i wyszarpnęła szuflady z nocnych szafek. Kajdanki, dilda, zatyczki analne poleciały na podłogę. Ani śladu kaset. Telewizor na ścianie był prawie tak wysoki jak ona. Zajrzała za niego, pociągnęła kable, ale znowu nic. Sprawdziła, czy w ścianach nie ma sekretnego przejścia. Nie było. Znalazła wejście do garderoby i zobaczyła czarne szafki, czarne szuflady. Czarne jak zgnilizna w tym przeklętym domu.

Sejf stał osobno, rozmiarem przypominał lodówkę w akademiku i miał zamek szyfrowy. Callie odwróciła się, bo wiedziała, że Sidney już tu jest. Zalana krwią, kompletnie nie zwracała uwagi, że zostawia na podłodze krwawe ślady wiodące wprost pod drzwi garderoby jak rozrzucone okruszki.

– Otwórz go – rzuciła ostro Callie.

– Calliope. – Sidney potrząsnęła głową z takim samym smutkiem, jak Andrew w tunelu. – Nawet gdybym chciała, myślisz, że Andrew dałby mi kod?

Callie zacisnęła zęby. Miała w torebce wystarczającą ilość heroiny, żeby zatrzymać akcję serca tej mendy.

– Kiedy się zorientowałaś, że to ja?

– Och, maleńka, jak tylko przyszłaś na spotkanie. – Sidney uśmiechała się, ale jej usta straciły urokliwą zmysłowość. Dla Callie była wredną suką i manipulatką. – Muszę przyznać, Max, że całkiem nieźle się ogarnęłaś.

– Gdzie kasety?

– Andy miał rację. – Otaksowała ją wzrokiem od stóp do głów z uznaniem w oczach. – Rzeczywiście idealna z ciebie laleczka. Mam rację? – Gdy nozdrza Callie rozszerzyły się z wściekłości, dodała: – Może zostaniesz, maleńka? – Uśmieszek Sidney był boleśnie znajomy. – Andy wróci za parę godzin. Nie wyobrażam sobie lepszego prezentu, niż dać mu popatrzeć, jak cię zerznę.

Callie spojrzała na swoją dłoń. Ciągle trzymała nóż Lindy.

– A może oskóruję ci twarz i powieszę ją na drzwiach wejściowych?

Sidney była wyraźnie zaskoczona, jakby nie pomyślała wcześniej, że igranie z ćpunką, która przetrwała na ulicy przez dwadzieścia lat, to jednak zły pomysł.

Callie nie dała jej czasu na analizę konsekwencji braku przewidywania.

Rzuciła się z nożem, a Sidney wrzasnęła, zachwiała się, runęła na podłogę i walnęła głową w marmur. Callie skoczyła na nią. Wyczuła w jej oddechu tequilę. Uniosła nóż nad głowę. Sidney usiłowała obronić się przed ciosem, łapiąc ją za nadgarstek. Ręce jej drżały, gdy przytrzymała nóż zbliżający się do jej twarzy.

Callie pozwoliła jej skupić się na nożu, bo nóż liczył się tylko w walce fair. Ona nie grała fair, odkąd posiekała na kawałki Buddy'ego Waleskiego. Walnęła Sidney kolanem między nogi z takim impetem, że jej rzepka chrupnęła od uderzenia w miednicę.

– Kurwaaa! – wrzasnęła Sidney. Przetoczyła się na bok, złapała się za krocze i z wymiotowała. Cała się trzęsła, z jej oczu pociekły łzy.

Callie złapała ją za włosy, pociągnęła do tyłu i pokazała nóż.

– Proszę, nie! – błagała Sidney.

Callie przytknęła ostrze do miękkiego policzka Sidney i wrzasnęła:

– Kod!

– Nie znam! – zawodziła Sidney. – Nie podałem mi kodu!

Docisnęła nóż i patrzyła, jak skóra ugina się, a potem ustępuje pod ostrzem. Pojawiła się rana, z której wypłynęła jasnoczerwona krew.

– Proszę... – bezsilnie zaszlochała Sidney. – Proszę, Callie... Przepraszam. Proszę.

– Gdzie kasetę, którą puszczałaś? – Callie dała jej chwilę, ale kiedy nie doczekała się odpowiedzi, jeszcze bardziej zagłębiła ostrze.

– Regał! – wrzasnęła Sidney.

Nóż znieruchomiał.

– Sprawdziłam regał.

– Nie... – Sidney dyszała ciężko, z załzawionych oczu wyzierało przerażenie. – Odtwarzacz... Za regałem jest przestrzeń. Odtwarzacz jest... Stoi na półce.

Nie odsunęła noża od jej twarzy. Z łatwością mogła przesunąć go w dół, zranić Sidney w nogę i patrzeć, jak życie z niej uchodzi. Ale to za mało, bo Andrew by tego nie widział. Nie cierpiałby tak, jak Callie tego

chciała. A chciała zobaczyć, jak przerażony Andrew krwawi i nie może uwolnić się od bólu, tak jak ona za każdym razem, gdy jego ojciec ją gwałcił.

– Powiedz Andy’emu, że jeśli chce odzyskać nóż, musi po niego przyjść.

Leigh wprowadziła swoje emocje w stan hibernacji, siedząc w ciasnej salce z Dantem Carmichaelem. Wiedziała, że tylko wtedy przetrwa ten dzień, jeśli oddzieli Leigh-adwokatkę od reszty swoich życiowych ról. Zawartość przegródki prawniczej nie mogła przelać się do pozostałych, bo wtedy już nic nie zostałoby jej do segregowania.

Dante rozłożył na stole fotografie okaleczonego ciała Ruby Heyer, ale nie spojrziała na żadną z nich drugi raz. Zebrała je i włożyła do teczki, którą wsunęła do torebki, wyszła na korytarz, podeszła do klienta i kazała mu szykować się do wyboru przysięgłych.

Zerknęła na zegar ścienny w oczekiwaniu, aż sprzątacze odkazi miejsce dla następnego kandydata. Według planu mieli jeszcze pół godziny. Na sali sądowej panowała duchota. Zgodnie z regulacjami przyjętymi na czas pandemii mogli tam przebywać wyłącznie sędzia, strażnik sądowy, funkcjonariusz, protokolant, oskarżyciel, obrońca i pozwany. Zwykle na sali siedziała też publiczność, a przynajmniej obserwatorzy społeczni na galerii. Bez nich proces wydawał się inscenizacją, jakby jego uczestnicy byli tylko aktorami odgrywającymi swoje role.

Nic nie zapowiadało, żeby sytuacja miała zmienić się w najbliższym czasie. Dotąd wybrali dziewięć przysięgłych, potrzebowali jeszcze trzech plus dwóch zmienników. Po wstępnych pytaniach ze strony sędziego grupa czterdziestu ośmiu kandydatów skurczyła się do

dwudziestu siedmiu. Na przesłuchanie czekało jeszcze sześciu kandydatów, kolejni mieli przejść procedurę jutro rano.

Andrew wiercił się na krześle. Leigh unikała jego wzroku. To trudne, zwłaszcza jeśli ktoś siedzi tuż obok. Na drugim końcu stołu Liz nie podnosiła głowy znad notatek, a Jacob siedział po lewej stronie Andrew i przeglądał pozostałe kwestionariusze w poszukiwaniu jakiegoś istotnego szczegółu, czym udowodniłby swoją inteligencję i fachową przydatność.

Jeden z wykładowców na jej studiach prawniczych twierdził, że sprawę wygrywa się lub przegrywa już w trakcie wyboru ławy przysięgłych. Leigh lubiła podejmować próby ogrania systemu, typując osoby należące do kategorii liderów, naśladowców, dociekliwych, nieprzejednanych. Dzisiejszy wybór miał szczególne znaczenie, ponieważ prawdopodobnie ostatni raz siedziała na miejscu dla obrony.

Walter dzwonił jeszcze dwa razy, zanim wyłączyła oba telefony. Na sali należało wyciszyć wszystkie urządzenia elektroniczne, ale nie z tej przyczyny nie odebrała telefonu. W społeczności Hollis Academy plotki rozchodziły się z prędkością światła, wiedziała więc, że Walter zadzwoni w sprawie brutalnego zabójstwa Ruby Heyer. A także to, że odeśle Maddy ze swoją matką. I że w końcu wyląduje na komisariacie i powie gliniarzom o wszystkim, bo tylko tak mógł zagwarantować córce bezpieczeństwo.

A przynajmniej powtarzała to sobie co drugą godzinę.

Przez pozostałe godziny przekonywała samą siebie, że Walter nigdy jej nie wyda. Teraz jej nienawidził, ale nie był ani popędliwy, ani mściwy. Przed pójściem na policję najpierw by z nią porozmawiał. Potem pomyślała, jakim wstrząsem było dla niego zabójstwo Ruby, jak bardzo drżał o bezpieczeństwo Maddy i emocjonalny rollercoaster ruszał od nowa.

Sprzątacze skończyli odkazanie stanowiska po ostatniej kandydatce, emerytowanej nauczycielce angielskiego, która jasno dała do zrozumienia, że nie zachowa bezstronności. W normalnych okolicznościach kandydaci siedzieli w grupkach na sali, jednak covidowe regulacje rozrzuciły ich po długim korytarzu i sali narad. Mogli przynieść książki i korzystać z sądowego wi-fi, ale czekanie i tak wypełniała ogłupiająca nuda.

Strażnik sądowy otworzył drzwi i wezwał do środka numer dwudziesty trzeci.

Wszyscy poruszyli się na krzesłach, gdy starszy mężczyzna zajął miejsce, by złożyć przysięgę. Jacob podsunął Leigh jego kwestionariusz. Andrew odchylił się na krześle i nawet nie zerknął na papier. Stracił zainteresowanie wyborem składu ławy przysięgłych, gdy okazało się, że nie ma tu miejsca na psychologiczne zagrywki. Są tylko pytania i odpowiedzi oraz intuicja. Prawo nigdy nie jest takie, jak sobie je ktoś wyobraża czy chciałby, żeby było takie czy inne.

Kandydat numer dwadzieścia trzy nazywał się Hank Bladel. Miał sześćdziesiąt trzy lata, był żonaty od lat czterdziestu. Leigh uważnie przyjrzała się jego wyrazistej twarzy. Bladel miał szpakowatą brodę, ogoloną głowę, wyprostowaną sylwetkę, mocny głos i żylaste ręce mężczyzny, który dba o kondycję.

Jacob narysował w rogu kwestionariusza Bladela dwie horyzontalne linie, co oznaczało, że nie jest przekonany do jego kandydatury. Leigh już wiedziała, co jej podpowiada intuicja, ale próbowała zachować otwarty umysł.

– Dzień dobry, panie Bladel. – Dante przesłuchiwał kandydatów krótko i treściwie. Było już późno, wszystkim dopadło zmęczenie, nawet sędzia przysypiał. Raz po raz pochylał głowę ku papierom na stole i powoli mrugał, udając, że słucha.

Jak dotąd Turner zachowywał się zgodnie z przewidywaniami. Dwoił się i troił, żeby zapewnić Andrew złoty spadochron. Leigh kiedyś już odebrała bolesną lekcję, że w jego obecności musi się pilnować. Turner wymagał takiego formalizmu, jakiego człowiek spodziewałby się raczej po sędzim Sądu Najwyższego. Przegrała więcej niż raz, ponieważ Turner nie znosił pyskatych kobiet.

Przesłuchanie prowadzone przez Dantego też przebiegało według przewidywalnego wzorca. Bladel nigdy nie widział ofiary napaści seksualnej. Nigdy nie padł ofiarą przestępstwa. Z tego, co wiedział, jego bliscy też nie. Żona była pielęgniarką, tak samo obie córki. Mąż jednej z nich był ratownikiem medycznym, drugiej kierownikiem magazynu. Przed covidem Bladel pracował na pełen etat jako kierowca w wypożyczalni limuzyn na lotnisku, ale w czasie pandemii przeszedł na pół etatu, a dodatkowo działał jako wolontariusz w Boys and Girls Club of America^[13]. Dla obrony był idealnym kandydatem do składu ławy przysięgłych, gdyby nie jedno: przez dwadzieścia lat służył w armii.

Dlatego Leigh była skłonna odrzucić Bladela. Obrona szukała ludzi, którzy kwestionują system. Oskarżenie szukało takich, którzy wierzą, że prawo jest zawsze fair, policjanci nigdy nie kłamią, a sprawiedliwość jest ślepa.

W ostatnich czterech latach coraz trudniej było znaleźć kogoś przekonanego, że system traktuje wszystkich jednakowo, ale wojskowy, przedstawiciel raczej konserwatywnej grupy społecznej, mógł jeszcze nosić w sobie tę wiarę. Dante wykorzystał już siedem z dziewięciu możliwości odrzucenia kandydata bez podania przyczyny. Stronom przysługiwało takie prawo z zastrzeżeniem, że podstawą odrzucenia nie może być przynależność etniczna kandydata. Dzięki wyrozumiałości sędziego Leigh pozostały jeszcze cztery możliwości odrzucenia plus jedna przy wyborze zmienników.

Sprawdziła listę swoich przysięgłych. Sześć kobiet. Trzech mężczyzn. Emerytowana nauczycielka. Bibliotekarka. Księgowa. Barman. Listonosz. Dwie niepracujące zawodowo matki. Sanitariusz. Skład ją zadowalał, ale to i tak nie miało znaczenia, bo wszystko zostanie poddane rewizji. Emocjonalny rollercoaster Leigh właśnie sunął w dół, bo znowu oczami wyobraźni widziała, jak Walter rozmawia z policją, a ona i Andrew dostają zarzuty jeszcze przed nadejściem poniedziałku.

Andrew dysponował nagraniem, na którym ona morduje jego ojca.

Wiedziała od samego Andrew, że ma obszerną kolekcję pornografii dziecięcej z jej czternastoletnią siostrą.

– Wysoki Sądzie – powiedział Dante. – Prokuratura akceptuje tego kandydata i prosi o włączenie go w skład ławy przysięgłych.

Sędzia Turner podniósł gwałtownie głowę i z szerokim ziewnięciem widocznym pod maseczką przewertował leżące przed nim papiery.

– Pani Collier, teraz pani kolej na pytania do kandydata.

Dante klapnął na krzesło z ciężkim westchnieniem. Spodziewał się, że Leigh wykorzysta przywilej odrzucenia kandydata bez podania przyczyny.

Wstała.

– Panie Bladel, dziękuję za przybycie. Nazywam się Leigh Collier. Reprezentuję oskarżonego.

– Miło panią poznać. – Bladel skinął jej głową.

– Powinnam też podziękować panu za służbę dla ojczyzny. Dwadzieścia lat to godne podziwu.

– Dziękuję pani. – Bladel znowu skinął głową.

Uważnie obserwowała mowę jego ciała: szeroko rozstawione nogi, ramiona wzdłuż tułowia, proste plecy... Wydawał się raczej otwartym człowiekiem niż zamkniętym. W porównaniu z nim poprzedni kandydat przypominał Quasimoda.

– Pracował pan jako kierowca limuzyny. Jak pan ocenia tę pracę? – zapytała.

– Cóż, to było bardzo interesujące doświadczenie. Nie miałem pojęcia, ilu zagranicznych gości nas odwiedza. Wiedziała pani, że Atlanta to najbardziej ruchliwe lotnisko na świecie pod względem liczby pasażerów?

– Nie wiedziałam – skłamała Leigh. Pytała nie po to, żeby poznać szczegóły, ale dowiedzieć się czegoś o samym Hanku Bladelu. Czy zachowa bezstronność? Czy będzie chciał dokładnie zapoznać się z faktami? Czy zrozumie wagę dowodów? Czy ma dar przekonywania? Czy pojmie prawdziwe znaczenie uzasadnionych wątpliwości? – W swoim kwestionariuszu napisał pan, że stacjonował za granicą przez osiem lat. Zna pan jakiś obcy język?

– Nie mam zdolności do języków. Większość moich pasażerów lepiej rozumiała angielski niż moje wnuki. – Zaśmiał się, a sędzia Turner mu zawtórował, najwyraźniej doceniając jego ironiczną uwagę o młodym pokoleniu. – Niektórzy pasażerowie lubią porozmawiać, po innych widać, że nie chcą być zagadywani albo całą drogę rozmawiają przez telefon, a ja mam trzymać się limitu prędkości i dowieźć ich punktualnie na miejsce.

Leigh kiwała głową, układając w myślach charakterystykę Bladela. Otwarty na nowe doświadczenia. Umie słuchać. Doskonały kandydat na przewodniczącego ławy przysięgłych. Tylko trudno powiedzieć, która strona bardziej na tym skorzysta.

– Powiedział pan mojemu koledze, że działa pan jako wolontariusz na rzecz Boys and Girls Club. Jak to wygląda?

– Mówiąc szczerze, to jedno z najbardziej satysfakcjonujących zajęć, jakich się podejmowałem w moim życiu.

Leigh ze zrozumieniem kiwała głową, gdy Bladel mówił, jak wielkie znaczenie ma pomoc niesiona młodym ludziom, gdy starają się wyjść na prostą. Podobało się jej, że odróżnia dobro od zła i rozumie te dwie wartości, ale nadal nie wiedziała, czy to zadziała na korzyść Andrew.

– Czy jest pan członkiem innych organizacji?

Bladel uśmiechnął się dumnie.

– Jestem bratem w Yaarab Shriners, którzy należą do Starożytnego Arabskiego Zakonu Szlacheckiego Mistycznej Świątyni dla obszaru Ameryki Północnej.

Leigh odwróciła się, żeby spojrzeć na Dantego. Miał minę, jakby ktoś właśnie zastrzelił mu psa. Shrinersi byli liberalnym odłamem wolnomularzy. Organizowali parady klaunów, nosili śmieszne nakrycia głowy i zbierali miliony dolarów na szpitale dziecięce, by wypełniać luki w skandalicznie niezrównoważonym systemie opieki zdrowotnej w Stanach. Nigdy się nie zdarzyło, by Leigh umieściła w składzie ławy przysięgłych shrinera, który miałby problemy ze rozumieniem prawdziwych konsekwencji pojęcia „ponad wszelką wątpliwość”.

– Może pan przybliżyć nam tę organizację?

– Jesteśmy bractwem opartym o masońskie zasady miłości, pomocy i prawdy.

Pozwoliła mu mówić, ciesząc się teatralnymi akcentami, które towarzyszyły ich wymianie zdań na sali sądowej. Chodziła raz w jedną, raz w drugą stronę, zastanawiając się, które krzesło zajmie Bladel, jak

ona sformułuje argumenty, kiedy powinna odwołać się do dowodów, a kiedy wezwać swoich biegłych.

Potem odwróciła się i zobaczyła znudzoną minę Andrew.

Patrzył obojętnie na protokolantkę, kompletnie niezainteresowany tym, co się dzieje. Tylko raz użył notatnika, który mu dała, i to na początku wysłuchania kandydatów. Chciał wiedzieć, gdzie jest Tammy. Spodziewał się, że zobaczy ofiarę na sali sądowej, bo nie rozumiał zasad, według których toczy się proces karny. Stan Georgia oskarżył Andrew Tenanta o popełnienie przestępstw, natomiast Tammy Karlsen była świadkiem oskarżenia. W tej sytuacji prawo zakazywało jej uczestniczenia w którejkolwiek części procesu do czasu złożenia zeznań. Nawet gdyby tylko na moment pojawiła się na galerii, skutkowałoby to unieważnieniem całego procesu.

– Dziękuję panu – odezwała się, gdy Bladel zrobił przerwę na zaczerpnięcie oddechu. – Panie sędzio, akceptujemy tego kandydata i prosimy o wpisanie go na listę przysięgłych.

– Bardzo dobrze. – Turner znowu ziewnął pod maseczką. – Przepraszam. Na dzisiaj kończymy. Wznawiamy przesłuchania kandydatów jutro o dziesiątej rano. Pani Collier, panie Carmichael, czy z waszej strony jest jeszcze coś, co wymaga mojej uwagi?

Ku jej zaskoczeniu Dante wstał i oznajmił:

– Wysoki Sądzie, dla porządku, chciałbym zmodyfikować listę świadków. Dodałem do niej dwie...

– Panie sędzio – wpadła mu w słowo – już trochę za późno, żeby wyskakiwać z nowymi nazwiskami.

Turner spojrział na nią surowo. Mężczyźni, którzy przerywali innym, dowodzili swojego zaangażowania. Kobiety w tej samej sytuacji tylko jazgotały.

– Pani Collier, przypominam, że podpisałem pani bardzo spóźniony wniosek o zmianę adwokata. – Zabrzmiało to jak ostrzeżenie.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie, za uznanie tego wniosku. Jestem gotowa do rozprawy, ale proszę o zwłokę, żeby...

– Pani stwierdzenia wzajemnie się wykluczają. Albo jest pani gotowa, albo nie.

Wiedziała, że przegrała tę potyczkę. Dante też. W drodze do stołu sędziowskiego wręczył jej dokument. Zobaczyła, że do listy świadków dopisał Lynne Wilkerson i Fabienne Godard, dwie kobiety, o których nigdy nie słyszała. Kiedy położyła papier przed Andrew, ten ledwo na niego spojrzał.

– Wniosek zatwierdzony – powiedział Turner. – Coś jeszcze?

– Wysoki Sądzie – zaczął Dante – chcę prosić o pilne przesłuchanie w sprawie cofnięcia kaucji.

– Czyś ty oci... – zaczęła Leigh, ale ugryzła się w język. – Wysoki Sądzie, to niedorzeczne. Mój klient został zwolniony za poręczeniem ponad rok temu i miał wystarczająco wiele okazji, żeby uciec. Jest tutaj, by aktywnie uczestniczyć w swojej obronie.

– Otrzymałem oświadczenie złożone pod przysięgą od kuratorki sądowej pana Tenanta, dokumentujące pięć przypadków, w których pan Tenant ingerował w działanie urządzenia monitorującego – stwierdził Dante.

– To bardzo krzywdzący dla mojego klienta opis problemu technicznego, którego dotąd biuro kuratora nie rozwiązało – zaripostowała.

Turner dał znak, żeby Dante podał mu dokument.

Leigh znowu otrzymała kopię pisma. Przebiegła wzrokiem tekst, który zajmował niecałą stronę. Zawierał daty i godziny uruchomienia alarmów oraz ogólnikowe stwierdzenia typu:

Możliwe manipulowanie przy przewodzie światłowodowym ; możliwe użycie blokady GPS ; możliwe wyjście poza dozwolony promień.

Otworzyła usta, by zwrócić uwagę, że „możliwe” nie jest dowodem, ale zmieniła zdanie. Właściwie dlaczego próbowała uratować Andrew przed więzieniem?

Zabezpieczenie. Kasety. Callie. Maddy.

Poczuła, że wewnętrzny rollercoaster mozolnie pnie się w górę. Skąd pewność, że Walter ją wyda? Na czym opierała to przeczucie?

„Może łączenie kolejnej nastolatki z gwałcicielem to jednak zły pomysł?”.

– Pani Collier, czekam – powiedział Turner.

Wróciła do roli obrończyni.

– Cztery fałszywe alarmy zdarzyły się w ciągu dwóch ostatnich miesięcy, panie sędzio. Czy ostatni jest inny tylko dlatego, że dzielą nas cztery dni od procesu w środku pandemii? Czy pan Carmichael liczy, że mój klient zarazi się w więzieniu?

Turner zmierzył ją gniewnym wzrokiem. Nie wolno mówić, że osadzeni są mięsem armatnim dla coronawirusa.

– Niech pani zważa na słowa, pani Collier.

– Oczywiście, panie sędzio. Powiem to inaczej. W przypadku mojego klienta nie ma ryzyka ucieczki.

– Panie Carmichael, pańska odpowiedź?

– Tu nie chodzi o ryzyko ucieczki, Wysoki Sądzie. Podstawą naszego wniosku jest fakt, że pan Tenant jest podejrzany o popełnienie podobnych przestępstw – wyjaśnił Dante. – Majstrował przy urządzeniu, żeby uniknąć lokalizacji.

– Co to za przestępstwa? – Turner był wyraźnie zirytowany brakiem konkretów.

Dante usiłował obejść to pytanie:

– Wolałbym nie wchodzić w szczegóły, Wysoki Sądzie. Powiem tylko, że mówimy o przestępstwie zagrożonym karą śmierci.

Leigh zniechęciła wzmianka o karze śmierci. Dante ewidentnie chwycił się ostatniej deski ratunku, bo w sprawie zabójstwa Ruby Heyer nie miał mocnych dowodów. Albo próbował kupić sobie czas, żeby podważyć alibi Andrew, albo chciał go zastraszyć i skłonić do przyznania się do winy.

– Panie sędzio, to bardzo poważny zarzut – powiedziała. – Proszę, by prokurator albo gadał, albo spadał. – Ewidentnie pojechała po bandzie.

Turner spojrzał na nią spod zmrużonych powiek.

– Pani Collier, czy może to pani przeformułować?

– Nie, Wysoki Sądzie. Sens moich słów jest jasny. Pan Carmichael nie dysponuje żadnymi dowodami, że ktoś grzebał przy urządzeniu monitorującym mojego klienta. Ma tylko „możliwe” powody fałszywego alarmu, ale żadnych konkretów. A w kwestii domniemanego przestępstwa zagrożonego karą śmierci, to na podstawie jego...

Turner uciszył ją gestem dłoni, odchylił się na krześle, dotknął palcami dolnej części maseczki i spojrzał na pustą galerię.

Andrew okazał zainteresowanie przebiegiem wymiany zdań, kiedy jego wolność stanęła pod znakiem zapytania. Spojrzał wymownie na

Leigh, prosząc czy też nakazując, żeby podeszła i wyjaśniła, co się dzieje. Uniosła palec, dając mu znak, żeby zaczekał.

W telewizji sędziowie orzekający działają szybko, ale tylko dlatego, że mają skrypt z tekstem. W prawdziwym życiu dają sobie czas na przemyślenie sprawy z wielu punktów widzenia, ważą racje, zastanawiają się, czy ich decyzja zostanie uchylona w postępowaniu odwoławczym. Proces decyzyjny wygląda jak wpatrywanie się w pustkę, a Turner słynął z wyjątkowo długiego namysłu.

Leigh usiadła i zobaczyła, że Jacob pisze coś w notatniku, objaśniając Andrew milczenie sędziego. Andrew nadal nie zareagował na dwa nazwiska na liście świadków Dantego. Lynne Wilkerson i Fabienne Godard. Czy to dwie z trzech poprzednich ofiar, o których napomknął Reggie? Czy też nowe ofiary, które postanowiły zeznawać i posłać Andrew do więzienia?

Walter miał rację w wielu sprawach, ale najbardziej w kwestii roli Leigh w przestępstwach Andrew Tenanta. Dzięki jej milczeniu nadal mógł krzywdzić ludzi, a ona miała na rękach krew Ruby Heyer. Co gorsza, zamierzała bezpardonowo zaatakować Tammy Karlsen, byle tylko Andrew nie upublicznił nagrań. Nie zastanawiała się zbytnio nad konsekwencjami tego, że Andrew wciąż jest na wolności, co oznaczało większą liczbę skrzywdzonych kobiet, więcej przemocy, więcej złamanych istnień.

Ich cudowna córka została zmuszona do ucieczki z domu.

– Proszę posłuchać.

Leigh i Dante wstali.

Turner spojrział na Andrew.

– Panie Tenant?

Leigh dała mu znak, żeby też wstał.

– Raporty o usterkach pańskiego urzędu monitorującego budzą mój niepokój. Chociaż nie można dokładnie ustalić przyczyny fałszywych alarmów, chcę wyraźnie podkreślić, że decyzję o niezastosowaniu aresztu uzależniam od braku takich sytuacji w przyszłości. Czy to jasne?

Andrew zerknął na Leigh.

Pokręciła głową, ponieważ sędzia w oczywisty sposób orzekł na jego korzyść, i dodała cicho:

– Nie unieważnia kaucji. Przestań kombinować z nadajnikiem.

Mimo maseczki dostrzegła, że Andrew się uśmiecha.

– Tak, Wysoki Sądzie. Dziękuję.

Turner stuknął młotkiem. Strażnik sądowy ogłosił koniec na dzisiaj, protokolantka zaczęła pakować rzeczy.

– Uporządkuję profile przysięgłych i prześlę je mailem dziś wieczorem – powiedział Jacob do Leigh. – Zakładam, że w weekend pracujemy?

– Tak. – Włączyła telefon służbowy. – Chcę, żebyś to ty dokończył jutro przesłuchanie kandydatów. Powiadomię Cole’a Bradleya, że biorę cię na drugiego adwokata.

Był wyraźnie zaskoczony, ale też zbyt uradowany, żeby zapytać o powód tej decyzji, i powiedział tylko:

– Dziękuję.

Leigh pomyślała, że dla odmiany przyjemnie zrobić coś dobrego, i odparła szczerze:

– Zasłużyłeś na to.

Kiedy Jacob wyszedł, zaczęła pisać do Bradleya. Dłonie jej nie drżały. Dante i Miranda włączali swoje telefony, wychodząc z sali. Emocjonalny rollercoaster znowu sunął w dół. Walter rozmawia już z policją, a ona dziś wieczorem musi znaleźć Callie, która nie tylko powinna, lecz po prostu ma prawo wiedzieć, jakie rozpęta się piekło.

– Harleigh.

Kompletnie wyparła ze świadomości obecność Andrew, ale teraz podniosła wzrok znad telefonu.

Zsunął maseczkę i stał w miejscu dla świadka.

– To tutaj będzie siedziała Tammy? – zapytał.

Wysłała maila do Bradleya i włożyła telefon do torebki.

– Kim są Lynne Wilkerson i Fabienne Godard?

– Zazdrosne byłe. – Przewrócił oczami. – Jedna to alkoholiczka, druga szurnięta suka.

– Potrzebujesz lepszej historii niż ta – odparła Leigh. – Te kobiety nie zdecydowały dziś spontanicznie, że będą zeznawać. Dante trzymał je w zanadrzu. Gdy nadejdzie pora, usiądą w tym miejscu i zrobią dokładnie to, co mogła zrobić Sidney, przed czym cię zresztą ostrzegałam.

– To znaczy?

– Zeznać przed ławą przysięgłych, że jesteś sadystą, który w łóżku staje się brutalny.

– Z tym nie polemizuję. Ale historia uczy, że zachęta pieniężna przekona je, żeby sobie odpuściły.

– To przekupstwo i manipulowanie świadkami – ostrzegła Leigh.

Wzruszył ramionami, bo miał to gdzieś, i powiedział:

– Reggie będzie czekał przy twoim aucie. Daj mu listę już wybranych przysięgłych. Prześwietli ich i poszuka słabych punktów, które możemy wykorzystać.

– Skąd Reggie wie, gdzie jest moje auto?

Cmoknął przez zęby i pokręcił głową nad jej głupotą.

– Harleigh, nie wiesz, że w każdej chwili mogę znaleźć ciebie i twoją siostrę?

Nie zamierzała dać mu satysfakcji i zapanowała nad nerwami. Andrew odprowadzał ją wzrokiem, gdy wychodziła z sali. Spojrzała na prywatny telefon. Włączyła go i patrzyła w ekran, czekając, aż telefon złapie zasięg.

Była na klatce schodowej, kiedy zaczęły spływać powiadomienia. Sześć nieodebranych połączeń od Waltera. Dwa od Maddy. Były też wiadomości głosowe od nich. Schodziła po schodach, przyciskając telefon do piersi. Postanowiła odsłuchać wiadomości w aucie, dopiero tam pozwoli sobie na płacz. Potem odszuka siostrę i zastanowi się, co dalej.

W lobby roило się od maruderów. Wykrywacze metali były zablokowane, bo sąd skończył pracę na dzisiaj. Dwaj funkcjonariusze stali przy wyjściu. Leigh skinęła głową znajomemu Waltera, w odpowiedzi puścił do niej oko.

Słońce opromieniło jej twarz, gdy szła przez plac. Poczła wibracje telefonu. Tym razem to nie byli ani Walter, ani Maddy. To Nick Wexler. Czyżby wyskoczył z kolejnym „SN”? W myślach przebiegła uprzejme formy odmowy spotkania na szybki numer, ale zaraz uświadomiła sobie, że Nickowi wszystko jedno. Nie byli regularnymi kochankami, nawet się nie zaprzyjaźnili. A kiedy jej przestępstwa wyjdą na jaw, pewnie staną się wrogami.

Trzymała telefon w ręce, ale nie odpisała Nickowi. Przeszła przez ulicę na światłach. Zostawiła audi na parkingu naprzeciwko placu. Przed covidem był zawsze pełen aut klientów restauracji, barów i butików mieszczących się w centrum Decatur, dziś rano bez trudu znalazła miejsce na pierwszym poziomie.

Światła pod sufitem migotały szaleńczo, gdy przechodziła przez garaż. Cienie tańczyły wokół trzech aut zaparkowanych blisko bramki, reszta miejsc była pusta. Jej audi stało pod wjazdem na wyższy poziom. Z przyzwyczajenia tak trzymała klucz, żeby wystawał pomiędzy palców. W takich miejscach, między mrokami cienia a niskim sufitem, znikają kobiety.

Wzdrygnęła się. Wiedziała, co spotkało kobiety, które zniknęły.

Sprawdziła w telefonie godzinę. Reggie pewnie już szedł do niej po listę przysięgłych. Miała na koncie tyle spornych spraw rozwodowych, że wiedziała, jak prywatny detektyw zlokalizował jej audi. Przeciągnęła dłonią pod tylnym zderzakiem i sprawdziła nadkola. Nadajnik GPS był w namagnesowanym pudełku nad prawą tylną oponą.

Rzuciła pudełko na ziemię. Otworzyła bagażnik i jakby odruchowo otworzyła kodem sejf przymocowany do dna bagażnika. Może i była mamuszką z przedmieść, ale nie była głupią mamuszką. W tym sejfie trzymała glocka, czasem też chowała tam torebkę, jeśli nie chciała jej nosić. Teraz potrzebowała miejsca na przechowanie zdjęć z miejsca znalezienia ciała Ruby Heyer. Trzymała rękę na teczce. Pomyślała o nożu pozostawionym w ciele kobiety. O ciemnych krwiakach Andrew.

– Leigh?

Okręciła się gwałtownie, zszokowana widokiem Waltera. Spojrzała ponad jego ramieniem, zastanawiała się, czy jest z nim policja.

Walter też się odwrócił.

– Co jest? – zapytał.

Przełknęła ślinę, która wypełniła jej usta.

– Maddy jest bezpieczna?

– Mama z nią jest. Wyjechały po naszej porannej rozmowie. – Skrzyżował ramiona. Gniew mu nie minął, ale był już ukierunkowany. – Ruby Heyer nie żyje. Wiedziałaś?

– To robota Andrew.

Nie okazał zaskoczenia, bo niby dlaczego miałby być zaskoczony. To oczywiste, że Andrew eskalował swoje działanie, jak i oczywiste było to, że zabił kogoś znajdującego się w orbicie Leigh. Walter powiedział jej zeszłej nocy, że do tego dojdzie.

– Musieli podać Keely leki uspokajające, Maddy jest kompletnie zdruzgotana.

Czekała, aż sam przyzna, co zrobił, ale potem pomyślała, że jest okrutna, i postanowiła go wyręczyć.

– W porządku, Walterze. Wiem, że poszedłeś na policję.

Zmarszczył brwi, otworzył usta, zamknął je i znowu otworzył.

– Myślisz, że sprzedałem glinom własną żonę?

Nie wiedziała, co powiedzieć, więc milczała.

– Kurwa, Leigh, serio myślisz, że mógłbym to zrobić? Jesteś matką mojego dziecka.

– Przepraszam. – Wyrzuty sumienia osłabiły jej determinację. – Byłeś na mnie wściekły. Ciągłe jesteś.

– To, co powiedziałem... – Wyciągnął do niej rękę, ale zaraz je opuścił. – Nie powinienem mówić tak ostro, ale nie myślałaś wtedy, Leigh. Albo myślałaś za bardzo, przekonana, że wszystko pójdzie, jak

trzeba, bo przecież jesteś zbyt inteligentna, żeby to sknocić. – Gdy ciężko westchnęła, dodał: – Jesteś inteligentna, cholernie inteligentna, ale nie możesz wszystkiego kontrolować. Musisz dopuścić innych ludzi.

Umilkł, oczekując jej odpowiedzi, ale zabrakło jej słów.

– To, co robisz teraz – ciągnął – biorąc wszystko na siebie, nie działa. Nigdy nie działało.

Nie mogła zaprzeczyć. Przez lata kłócili się o to samo na tysiące sposobów, ale pierwszy raz przyznała Walterowi całkowitą rację.

Wypowiedziała na głos mantrę, którą do tej pory powtarzała wyłącznie dla siebie:

– To wszystko moja wina. To wszystko moja wina.

– Po części tak, ale co z tego? – Dla niego było to proste. – Pogłówkujemy razem i coś wymyślimy.

Zamknęła oczy. Pomyślała o tamtym dusznym wieczorze w Chicago, kiedy Callie przyniosła im swój dar. Przed tamtym brzemieniem w skutki pukaniem do drzwi w końcu skapitulowała i usiadła Walterowi na kolanach. Potem wtuliła się w niego zwinięta jak kot i poczuła się bezpiecznie jak nigdy wcześniej.

Powiedziała mu teraz to, czego nie była w stanie wykrztusić wtedy:

– Nie mogę bez ciebie żyć. Kocham cię. Jesteś mężczyzną mojego życia.

Zawahał się, co bardzo ją zabolowało.

– Ja też cię kocham, ale to trudne. Nie wiem, czy to przetrwamy. – Znowu ciężko przełknęła ślinę. W końcu sięgnęła dna jego pozornie bezdennej studni przebaczenia. A Walter dodał: – Zajmijmy się bieżącym problemem. Jak uratujemy ciebie? Jak uratujemy Callie?

Otarła łzy. Łatwo byłoby przerzucić ten ciężar na Waltera, ale nie mogła tego zrobić.

– Nie, skarbie, nie mogę cię w to wciągać. Maddy potrzebuje chociaż jednego rodzica.

– Ja nie negocjuję – odparł z pełnym przekonaniem, jakby miał wybór. – Powiedziałaś, że Andrew ma zabezpieczenie, a to oznacza, że ktoś ma kopie nagrań, prawda?

– Prawda – przyznała Leigh.

– Kto to może być? – Wyczuł, że jest nieprzejednana w swym postanowieniu. – Zastanów się, skarbie. Komu Andrew mógłby zaufać? Nie może mieć wielu przyjaciół. To musi być jakieś urządzenie. Pendrive albo zewnętrzny twardy dysk. Andrew daje sygnał, ktoś to bierze, wrzuca do sieci, zabiera na policję. Gdzie może to trzymać? W skrytce bankowej? W sejfie? Skrytce na dworcu kolejowym?

Zaczęła potrząsać głową na znak, że nie wie, i nagle znalazła odpowiedź, którą miała przed oczami od pierwszego dnia.

„Serwer główny i serwer zapasowy są zamknięte w tamtym pomieszczeniu”.

– Reggie, prywatny detektyw Andrew – powiedziała. – Ma serwer. Przechwalał się zaawansowanym systemem szyfrowania, powiedział też, że nie trzyma kopii zapasowych w chmurze. Założę się, że przechowuje je tam.

– Czy on też w tym siedzi?

Wzruszyła ramionami i jednocześnie pokręciła głową.

– Nigdy nie ma go w pokoju, kiedy Andrew zaczyna to swoje głupie gadanie. Zależy mu tylko na pieniądzach. Andrew to jego bank. Jeśli

zostanie aresztowany, Reggie bez zbędnych pytań zrobi, co Andrew każe.

– Dobrze, czyli trzeba dostać się do serwera.

– Myślisz o włamaniu? – Musiała wytyczyć wyraźną granicę. – Nie, Walterze, nie pozwolę ci na to. To zresztą niczego nie załatwi. Andrew nadal ma oryginały.

– Więc wymyślę inny sposób. – Wyraźnie zirytowała go jej logika. – Maddy potrzebuje matki. Przez cały dzień płakała i pytała o ciebie.

Na myśl o tym, że nie było jej przy córce, poczuła ucisk w żołądku.

– Przepraszam, że taka ze mnie gówniana matka. I żona. I siostra. Masz rację, próbuję wszystko oddzielać, i kończy się tym, że inni przez to cierpią.

Spojrzał w ziemię, nie zaproponował. I spytał:

– Ukradniemy serwer, tak? – Przerwał na moment. – Potem musimy znaleźć oryginały. Gdzie Andrew może je trzymać? Są w innym miejscu niż serwer. Gdzie on mieszka?

Zacisnęła wargi, bo Walter coś niby planował, ale w ogóle tego nie przemyślał. W nocy w biurze Reggiego zapewne nikogo nie było. Nie zauważyła tam żadnych zabezpieczeń, a zamek kabłąkowy na szafie łatwo sforsować. Wystarczy porządny śrubokręt.

Natomiast dom Andrew był naszpikowany kamerami monitoringu, miał zaawansowany system alarmowy, a w środku na pewno by zastali samego Andrew, który niedawno kogoś zamordował i wyraźnie dał do zrozumienia, że chce skrzywdzić innych.

– Leigh? – Walter był gotów na ryzyko. – Opowiedz mi o domu Andrew. Gdzie stoi?

– To nie *Ocean's Eleven*, Walterze. Nie mamy ninja i kasiarza.

– W takim razie...

– Co? Wysadzimy jego auto? Spalimy jego chatę? – Też mogła podsunąć równie absurdalne pomysły. – A może będziemy go torturować, póki nie wyśpiewa wszystkiego? Rozbierzemy go, przywiążemy do krzesła, wyrwiemy mu paznokcie, potem zęby. O tym myślałeś?

Walter potarł policzek. Robił to samo, co Leigh przez pierwszy rok pobytu w Chicago.

„Doktor Patterson. Trener Holt. Pan Humphrey. Pan Ganza. Pan Emmett”.

Puszcziała wodze fantazji, wymyślając tysiące krwawych sposobów ukrócenia ich odrażającej egzystencji – spalić żywcem, obciąć kutasy, poniżyć, upokorzyć, ukarać, zniszczyć – aż uświadomiła sobie, że jej żądza mordy zgasła w posępnej kuchni Waleskich przy Canyon Road.

– Kiedy zabiłam Buddy’ego, byłam w stanie... – Na moment przymknęła oczy. – Myślę, że to był stan fugi dysocjacyjnej. To byłam ja. Ja to zrobiłam. Ale to nie byłam ja. To była dziewczyna, którą on molestował w aucie. Dziewczyna, której siostrę on gwałcił, dotykał, którą pomiatał, którą się bawił, wyśmiewał, nazywał kłamczuchą, suką i dziwką. Rozumiesz, co mówię?

Walter potaknął, ale nie mógł tego w pełni zrozumieć. Nigdy nie musiał trzymać klucza między palcami jako broni, kiedy szedł na parking do auta. Nigdy nie żartował ponuro o tym, że może zostać zgwałcony w garażu, ponieważ poczucie fizycznej słabości nie mieściło się w emocjach jej męża.

Przycisnęła otwartą dłoń do piersi Waltera. Serce mu waliło.

– Skarbie, kocham cię, ale nie jesteś mordercą.

– Znajdziemy inny sposób.

– Nie ma innego... – Urwała. Reggie Paltz miał doskonałe wyczucie czasu. Przeskoczył przez bramkę, zamiast iść do wejścia. – Już tu jest, ten detektyw. Daj mi chwilę, dobrze? Muszę z nim pogadać.

Walter zerknął przez ramię.

Po chwili znów się obejrzał.

– To ten facet? Reggie? Detektyw?

– Tak. Muszę dać mu...

Walter bez ostrzeżenia puścił się pędem w jego stronę.

Reggie był niecałe dziesięć metrów od nich i nie miał czasu na właściwą reakcję. Otworzył usta, żeby zaprotestować, ale Walter zamknął je ciosem pięści.

– Walterze! – wrzasnęła Leigh i skoczyła, żeby go powstrzymać. – Walterze!

Ale on już siedział na Reggie'm okrakiem i okładał go pięściami. Krew tryskała na beton. Leigh zobaczyła kawałek zęba, krwawy śluz, kości trzaskały jak podpałka, nos Reggiego się spłaszczył.

– Walterze! – Próbowwała złapać go za rękę. Bała się, że Walter zatłucze Reggiego, jeśli go nie powstrzyma. – Walterze, przestań!

Ostatni cios otworzył Reggie'emu usta. Szczeka wyskoczyła mu z zawiasów. Ciało znieruchomiało. Walter pozbawił go przytomności. Mimo to uniósł pięść, gotów na poprawkę.

– Nie! – Leigh chwyciła go za rękę i przytrzymała z całej siły. Mięśnie Waltera były napięte do granic wytrzymałości. Nigdy nie widziała go w takim stanie. – Walterze...

Spojrzał na nią wciąż rozjuszony. Wściekłość odmieniła mu rysy. Dyszał ciężko, miał krew na koszuli i na twarzy.

– Walterze – szepnęła, ocierając mu krew z oczu. Był mokry od potu. Czowała, jak drży, próbując kontrolować wewnętrzne rozwścieczone zwierzę. Rozejrzała się po garażu. Było pusto, ale nie wiedziała, jak długo jeszcze. – Musimy stąd iść. Wstań.

– To był on. – Walter spuścił głowę. Ścisnął Leigh za rękę. Patrzyła, jak jego ramiona unoszą się i opadają, gdy próbował się opanować. – On tam był.

Znów rozejrzała się dookoła. Byli niedaleko gmachu sądu pełnego policji.

– Powiesz mi w aucie. Musimy się stąd zwijać.

– Przedstawienie – powiedział Walter. – Reggie tam był. Siedział na widowni na występie Maddy.

Osunęła się odrętwiała na ziemię. Była w stanie tylko słuchać.

– W czasie przerwy... – nadal z trudem łapał oddech – podszedł do mnie, żeby pogadać. Nie pamiętam, jak się przedstawił. Powiedział, że jest tu nowy. Że jego córka chodzi do tej szkoły. Że jego brat jest gliniarzem, potem rozmawialiśmy o związku i...

Zasłoniła dłonią usta. Pamiętała przerwę, pamiętała, że podniosła się z miejsca i rozglądała się za Walterem. Rozmawiał z mężczyzną o krótkich ciemnych włosach, który cały czas stał do niej tyłem.

– Leigh. – Walter spojrzał na nią. – On pytał mnie o Maddy. O ciebie. Wziąłem go za jednego z ojców.

– Oszukał cię. – Nie mogła znieść poczucia winy w głosie Waltera. – To nie twoja wina.

– Co jeszcze wie? Co oni planują?

Znowu omiotła wzrokiem garaż. Nadal nie było żywej duszy, jedyne kamery śledziły auta wjeżdżające i wyjeżdżające z garażu. Reggie

przeskoczył ogrodzenie, zamiast wejść główną bramą.

– Wsadź go do bagażnika – powiedziała. – Dowiemy się tego.

[13] Boys and Girls Club of America – organizacja non-profit o zasięgu ogólnokrajowym, z główną siedzibą w Atlancie, zapewniająca dzieciom i młodzieży, szczególnie tym w trudnej sytuacji, rozwijające zajęcia po szkole. (Przyp. tłum.).

Leigh cofnęła się, gdy Walter otworzył bagażnik. Reggie nadal był nieprzytomny. Nie trzeba było ciąć liny holowniczej ani wiązać mu rąk taśmą izolacyjną, którą wozila w samochodowym zestawie awaryjnym. Jej mąż – uroczy, rozważny mężczyzna – omal nie zabił człowieka.

Walter odwrócił się, badając otoczenie. Parking przed biurem Reggiego był pusty, ale ulica biegła niecałe dwadzieścia metrów dalej, osłonięta rzadkim rzędem cyprysowców Leylanda. Walter zaparkował audi przy kruszącym się betonowym schodach. Słońce już zaszło, ale ksenonowe lampy rozświetlały każdy skrawek parkingu.

Leigh trzymała w ręce glocka. Bała się, co Walter mógłby zrobić, gdyby miał okazję go użyć. Nigdy nie widziała u niego tak dzikiej furii, jakby stanął na skraju mrocznej otchłani. Leigh wiedziała, że ma w tym swój udział. Sprowadziła to na niego swoim głupim przekonaniem, że da radę kontrolować sytuację.

Walter pochylił się nad Reggie, ale po chwili obejrzał się na Leigh.

– Tam jest alarm? – zapytał.

– Nie wiem. Nie pamiętam, żebym coś widziała, ale może być.

Wsadził rękę do przedniej kieszeni Reggiego, wyjął z niej pęk kluczy i podał go Leigh. Nie miała wyjścia, musiała zostawić go przy aucie i podejść do przeszklonego wejścia. Zajrzała przez drzwi do lobby w poszukiwaniu klawiatury numerycznej alarmu.

Nic.

Walter stęknął, wyciągając Reggiego z bagażnika.

Leigh po kolei wkładała klucze z pęku do zamka. W końcu trafiła na właściwy i gdy drzwi się otworzyły, skinęła na Waltera. Spojrzała na drogę i rozejrzała się po parkingu. Serce łomotało jej tak, że nie słyszała stękania i jęków męża, który dźwignął Reggiego i zarzucił sobie na ramiona jak strażak. Uginał się pod ciężarem bezwładnego ciała. Pokonał betonowe schody i zrzucił Reggiego na podłogę w holu.

Leigh nie spojrzała na Reggiego. Nie chciała oglądać jego zmasakrowanej twarzy. Zamknęła szklane drzwi.

– Biuro jest na górze – powiedziała.

Dźwignął Reggiego z ziemi i pierwszy ruszył schodami na piętro. Leigh schowała glocka do torebki, ale nie wypuszczała go z ręki, tylko trzymała palec na osłonie spustu, jak uczył ją Walter. Nie można kłaść palca na spuście, póki człowiek nie jest gotów użyć broni, bo w broni nie było systemu konwencjonalnego zabezpieczenia, więc naciśnięcie spustu oznaczało strzał. Leigh nie chciała mieć na koncie następnego zarzutu zabójstwa z powodu strachu i koszmarnej pomyłki.

Nie martwiła się tylko o siebie. W przypadku morderstwa nieważne, kto pociągnął za spust. W chwili, kiedy Walter wrzucił Reggiego do bagażnika auta, oboje stali się współwinni swoich przestępstw.

Na półpiętrze Walter przystanął i przerzucił sobie Reggiego na drugą stronę. Znowu dyszał ciężko, a raczej ziajał jak zwierzę. W czasie jazdy niewiele mówił, nie ułożyli planu, bo nie było czego planować. Znajdą serwer i zniszczą kopię zapasową, a o tym, co stanie się potem, żadne z nich nie chciało głośno mówić.

Leigh zakręciła na półpiętrze. Pomyślała o Andrew, który stał w tym samym miejscu ledwie trzy dni temu. Był zły, kiedy mówił o stracie

ojca. Wtedy zignorowała syrenę alarmową w głowie. Obsesyjnie chciała wiedzieć, czego od niej chce, a on powiedział jej to prosto w oczy.

„Zniknięcie taty zrujnowało nam życie. Chciałbym, żeby ten, kto nam to zrobił, sam zrozumiał, jak to jest”.

Andrew Tenant dopiął swego. Walter wpakował się w kłopoty, ich ukochana córka musiała się ukrywać, a Callie zniknęła. Andrew chciał, by wszystko, na czym jej zależy i co kocha, pogrążyło się w chaosie, tak samo jak jego życie po śmierci Buddy’ego. Zatańczyła, jak jej zagrał.

Walter dotarł na koniec korytarza. Gdy się pochylił, stopy Reggiego dotknęły ziemi, a plecy ściany. Przytrzymał go, wciskając mu pięść w klatkę piersiową. Reggie jęknął i poruszył głową na boki.

– Ej. – Walter wymierzył mu siarczysty policzek. – Ocknij się, dupku.

Głowa Reggiego kiwała się na boki. Snop światła z parkingu przezierał przez okno do środka, padając na obitą przez Waltera twarz detektywa. Lewe oko zniknęło pod opuchlizną, luźna szczęka była w nienaturalnej pozycji, u nasady nosa bielejąca kość wyglądała spod uszkodzonej pięścią skóry.

Leigh starała się znaleźć klucz do biura Reggiego, trzęsącymi się rękami wkładała kolejne klucze do zamka.

– Ej, ty – powtórzył Walter, znowu policzkując Reggiego. – Ocknij się, kurwa.

Reggie zakasłał, obryzgując krwią twarz Waltera, który nawet nie mrugnął.

– Jaki jest kod alarmu? – zapytał.

W szczęce Reggiego coś przeskoczyło. Wydał z siebie świst.

– Spójrz na mnie, dupku. – Walter przycisnął kciuki do powiek Reggiego, zmuszając go do otwarcia oczu. – Podaj kod albo zatłukę cię na śmierć.

Leigh dostała gęsiej skórki. Oderwała wzrok od zamka. Wiedziała, że Walter nie rzuca słów na wiatr. Reggie też to zrozumiał. Jego świszczący oddech przyspieszył.

– T-trzy... – wymamrotał, z trudem artykułując głoski. – Dziewięć... sześć... trzy.

Ostatni klucz w pęku okazał się tym właściwym. Pasował do zamka, jednak Leigh nie otworzyła drzwi.

– Może to pułapka – zwróciła się do Waltera. – Może uruchomię cichy alarm.

– Jeśli tak, to strzelimy mu w łeb i zabierzemy serwer. Znikniemy przed przyjazdem policji.

Przeraziła ją determinacja w głosie Waltera. Postanowiła dać Reggieму szansę.

– Jesteś pewien kodu? Trzy, dziewięć, sześć, trzy?

Reggie zakasłał. Skrzywił się z bólu.

– Pokaż mu broń – powiedział Walter.

Leigh z ociąganiem wyjęła glocka z torebki i zobaczyła białka oczu Reggiego, który wbił wzrok w pistolet. Powtarzała sobie w myślach, że Walter blefuje. Musiał blefować. Przecież nie zamierzali nikogo zamordować.

Walter wyrwał jej broń z ręki i przycisnął wylot lufy do czoła Reggiego. Palec trzymał na osłonie spustu.

– Jaki jest kod? – powtórzył pytanie.

Ciałem Reggiego wstrząsnęły konwulsje, gdy znowu zakasłał. Nie mógł zamknąć ust. Strużka śliny zmieszanej z krwią poleciała mu na koszulę.

– Pięć, cztery, trzy – odliczał Walter.

Leigh zobaczyła, że przesunął palec w stronę spustu. Nie blefował. Otworzyła usta, by mu powiedzieć, żeby przestał, ale Reggie odezwał się pierwszy.

– Odwrotnie – wycharczał. – Trzy, sześć, dziewięć, trzy.

Walter nie oderwał lufy pistoletu od głowy Reggiego.

– Spróbuj wbić ten kod – rzucił do Leigh.

Przekręciła klucz w zamku i otworzyła drzwi. W ciemnej recepcji rozległo się pikanie. Leigh poszła za dźwiękiem krótkim korytarzem. Klawiatura numeryczna znajdowała się w głównym biurze. Czerwony przycisk migał. Pikanie przyspieszyło. Urządzenie odliczało sekundy do uruchomienia alarmu.

Leigh wprowadziła kod. Nic. Pochyliła się, próbując znaleźć jakieś rozwiązanie. Tempo pikania wzrosło. Lada chwila usłyszą alarm, zadzwoni telefon, ktoś poprosi o podanie hasła bezpieczeństwa, a Reggiego nie poda. Nawet jeśli będzie jeszcze żył, ponieważ Walter już zapowiedział, co się stanie.

– Cholera – szepnęła do siebie, przyglądając się klawiaturze z bliska. Pod przyciskiem z jedyneką widniało słówko „off” napisane drobnym drukiem. Leigh powtórnie wprowadziła kod i dodała jedynekę.

Klawiatura wydała ostatnie długie piknięcie.

Czerwone światelko zgasło, zapaliło się zielone.

Leigh przycisnęła dłoń do serca. Ciągle czekała na telefon, ale usłyszała tylko odgłos zamykanych drzwi w drugim pomieszczeniu,

przekręcanie zamka i ciężkie kroki Waltera wlokącego Reggiego po korytarzu.

Rozbłysły światła. Leigh rzuciła torebkę na kanapę i podeszła do okna, by zasłonić żaluzję. W głowie tłukły się jej dwa pytania: Co teraz zrobią? Jak to się skończy?

Walter siłą posadził Reggiego na jednym z krzeseł. Wstrząśnięta Leigh zobaczyła, że jej mąż wyjmuje z kieszeni spodni srebrną taśmę izolacyjną. Przyniósł ją z bagażnika audi. To znaczyło, że ma plan. I co gorsza, to ona mu go podsunęła.

„Rozbierzemy go, przywiążemy do krzesła, wyrwiemy mu paznokcie, potem zęby”.

– Walterze – powiedziała błagalnie, licząc, że jeszcze to przemyśli.

– Tam jest serwer? – zapytał, wskazując metalowe drzwi na tylnej ścianie. Na zamku kabłąkowym wisiała czarna kłódka wprost z katalogu akcesoriów wojskowych.

– Tak, ale...

– Otwórz go. – Walter owinał taśmę wokół klatki piersiowej Reggiego i oparcia krzesła. Upewnił się, że jego nadgarstki ciągle są unieruchomione, potem klęknął i przymocował taśmą kostki do nóg krzeseł.

Leigh brakło słów. Miała wrażenie, że obserwuje męża osuwającego się w szaleństwo, ale nie mogła go powstrzymać. Jedyne, co jej pozostało, to współpracować z nim, póki nie odzyska zdrowego rozsądku. Pociągnęła kłódkę. Trzymała mocno. Śruby na metalowych drzwiach i ościeżnicy miały główki krzyżakowe. W awaryjnym zestawie narzędzi trzymała śrubokręt krzyżakowy. Żartowała z Waltera, kiedy wkładał go do bagażnika jej audi, ale teraz chciała cofnąć się w czasie

i zostawić komplet w swoim garażu, ponieważ spodziewała się, że za chwilę Walter wyśle ją po narzędzia.

Wiedziała, że jeśli zostawi tych dwóch mężczyzn samych, po powrocie zostanie tylko jednego przy życiu.

Walter okręcił więcej taśmy wokół nadgarstków Reggiego.

– Będiesz mówił, skurwielu.

Leigh sprawdziła pęk kluczy, ale na pierwszy rzut oka żaden nie pasował do kłódki. Powinien być krótki i mieć duże zęby. Mimo to zaczęła próbować jeden po drugim.

Walter przyciągnął sobie krzesło i usiadł naprzeciwko Reggiego tak blisko, że ich kolana się stykały. Nie wypuszczał broni i trzymał palec na osłonie spustu.

– Dlaczego byłeś w szkole mojej córki? – zapytał.

Reggie milczał, obserwując poczynania Leigh pod metalowymi drzwiami.

– Nie patrz na moją żonę. Patrz na mnie. – Walter odczekał, aż Reggie przeniesie wzrok na niego, i powtórzył pytanie: – Dlaczego byłeś w szkole mojej córki?

Reggie znów nie odpowiedział.

Walter podrzucił broń, złapał ją za lufę, zamachnął się i z bekhendu uderzył plastikową rękojeścią. Cios był tak potężny, że krzesło z Reggielemomal się nie przewróciło.

Leigh zasłoniła ręką usta, żeby nie krzyknąć. Krew Reggiego trysnęła jej na buty i zobaczyła na wykładzinie kawałki zębów.

Reggiemu zadrżały ramiona, wymiotował na koszulę, głowa bezwładnie zrobiła pełny obrót. Miał spuchniętą twarz, lewe oko zniknęło, przez otwarte usta zwieszał się język.

„Porwanie. Brutalne pobicie. Torturowanie”.

– Możesz otworzyć kłódkę? – zapytał ją Walter.

Leigh potrząsnęła głową.

– Walterze...

– Ej! – Walter uderzył Reggiego otwartą dłonią w głowę. – Gdzie to jest, dupku? Gdzie klucz?

Reggie zaczął przewracać oczami, a Leigh poczuła smród jego wymiocin.

– On ma wstrząs mózgu. Jeśli znowu go uderzysz, straci przytomność. Albo gorzej – powiedziała.

Walter spojrzał na nią. Przeraził ją widok tej samej lodowatej martwoty, jaką tyle razy widziała w oczach Andrew.

– Walterze, błagam cię. Pomyśl, co my robimy. Co już zrobiliśmy.

Nie spojrzał na nią drugi raz, widział tylko niebezpieczeństwo grożące Maddy. Uniósł glocka i wymierzył w twarz Reggiego.

– Gdzie klucz, dupku?

– Walterze. – Leigh nie dawała za wygraną. – Jakoś usuniemy śruby. Skarbie, proszę, opuść broń, dobrze?

Walter powoli oparł rękę na kolanie i powiedział:

– Pospiesz się.

Na miękkich nogach podeszła do biurka, zaczęła otwierać szuflady i wysypywać ich zawartość na ziemię. Szukała małego klucza. W myślach błagała Waltera, żeby nie przypominał sobie o śrubokręcie w jej samochodzie. Chciała wyciągnąć go stąd, przemówić do rozsądku. Musieli z tym skończyć. Zawieźć Reggiego do szpitala. A potem Reggie pójdzie na policję, Waltera aresztują, Andrew pokaże nagrania i...

Poczuła, że gonitwa myśli ustaje.

Jej mózg wykonywał pracę w tle, kojarzył fakty. I odpowiedział jej, że coś jest nie tak. Przyjrzała się rzeczom na biurku Reggiego: laptop, czarna skórzana podkładka, przycisk do papieru z barwnego szkła, spersonalizowany stojak na wizytówki.

Brakowało noża do papieru Tiffany 1837 Makers.

Wiedziała, że ten srebrny osiemnastocentymetrowy nóż do otwierania listów kosztuje trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów, bo taki sam kupiła Walterowi na Boże Narodzenie kilka lat temu. Taki elegancki akcent na męskie biurko.

– Walterze, muszę porozmawiać z tobą na korytarzu – powiedziała.

Walter ani drgnął, tylko polecił:

– Przynieś śrubokręt z auta.

Podeszła do kanapy i wzięła torebkę. W teczce ciągle miała zdjęcia zamordowanej Ruby Heyer.

– Walterze, wyjdź ze mną na korytarz – powtórzyła. – Natychmiast.

Jej oschły ton w końcu przebił się do niego.

– Będziemy za tymi drzwiami. Nie kombinuj, bo strzelę ci w plecy. Rozumiesz? – rzucił do Reggiego i wstał z krzesła.

Reggie uniósł lekko głowę. Miał zamknięte oczy, ale zdołał kiwnąć raz na potwierdzenie.

Leigh nie ruszyła się, póki Walter tego nie zrobił. Przepuściła go w drzwiach i wyszła za nim. Walter zatrzymał się przed recepcją, bo chciał mieć Reggiego na oku.

– O co chodzi? – wycedził.

– Pamiętasz otwieracz do listów, który dałam ci w prezencie? Masz go jeszcze? – zapytała.

Walter powoli odwrócił głowę w jej stronę.

– Co?

– Nóż do otwierania listów, który ci kupiłam. Od Tiffany’ego. Pamiętasz?

Na twarzy Waltera pojawiła się dezorientacja. Prawie przypominał jej dawnego męża.

Leigh dyskretnie przewertowała zdjęcia Ruby Heyer, ukrywając ich zawartość przed wzrokiem Waltera. Bała się, żeby znowu nie wpadł w szal. W końcu znalazła zbliżenie noża wystającego spomiędzy nóg Ruby. Nie pokazała go od razu. Większość swojej kariery prawniczej Walter spędził za biurkiem i przy telefonie, nigdy nie miał do czynienia z procesami karnymi, nie mówiąc o brutalnym zabójstwie.

– Pokażę ci zdjęcie. Jest bardzo drastyczne, ale musisz je zobaczyć – powiedziała.

Walter zerknął na Reggiego przez ramię.

– Jezu, Leigh, przejdź wreszcie do sedna.

Wiedziała, że nie jest na to gotowy. Zaczęła od wprowadzenia w szczegóły.

– Andrew ma alibi na czas zabójstwa Ruby. Słuchasz mnie?

Walter skinął głową, ale myślami był gdzie indziej.

– Zeszłego wieczoru Andrew się ożenił. – Próbowała mówić prosto i konkretnie, jak zwróciłaby się do sędziów przysięgłych. – Kiedy dziś rano policja rozmawiała z nim w sprawie zabójstwa Ruby, on miał alibi. W telefonie miał zdjęcia z ludźmi z firmy cateringowej, z matką na koktajl party, z przyjaciółmi czekającymi z nim na pannę młodą.

Walter zacisnął szczęki. Milczał.

– Dziś rano, przed wyborem sędziów przysięgłych, widziałam Andrew. Miał ślady ugryzień na szyi i zadrapanie tutaj. – Przyłożyła palec do twarzy i czekała, aż Walter na nią spojrzy. – To obrażenia defensywne. Dziś rano Andrew miał obrażenia defensywne.

– Ruby się broniła – stwierdził Walter. – Co z tego wynika?

– Nie. Pamiętasz zdjęcia z poprzedniego wieczoru? Widać ugryzienia na szyi Andrew, ale krwiaki już się pokazują. Czas się nie zgadza. To nie dawało mi spokoju. Wiem, ile czasu trwa, żeby krwiatek nabrał takiego ciemnego koloru. Ktoś ugryzł Andrew wczoraj około trzeciej, może czwartej po południu. Ruby rozmawiała przez telefon z rodziną o piątej. Zdjęcie Andrew z ludźmi z cateringu zrobiono o piątej trzydzieści. Policja twierdzi, że Ruby zamordowano między szóstą a siódmą, ciało znaleziono o siódmej trzydzieści. Andrew był w domu przez cały czas, otaczali go świadkowie.

Walter tracił cierpliwość.

Leigh położyła mu dłoń na piersi jak zawsze, gdy chciała, żeby się skupił i słuchał.

W końcu spojrzał na nią. Widziała, że w myślach analizuje wszystkie szczegóły i próbuje wyciągać wnioski.

– Mów dalej – powiedział w końcu.

– Według mnie Andrew nie zabił Ruby. Ktoś inny zrobił to dla niego. Zabójca posłużył się takim samym *modus operandi* jak Andrew, a on zapewnił sobie niezbite alibi na czas przestępstwa.

Walter już się nie niecierpliwił, tylko słuchał jej w najwyższym skupieniu.

– Kiedy trzy dni temu byłam w biurze Reggiego, na biurku leżał nóż do papieru. Taki sam, jaki kupiłam ci w prezencie na Boże Narodzenie. – Urwała na chwilę, by przygotować Waltera na konkluzję. – Tego noża nie ma ani na biurku Reggiego, ani w szufladach.

– Pokaż mi to. – Walter spojrzał na teczkę z dokumentami.

Wyjęła zdjęcie. Na srebrnym trzonku noża do otwierania listów widniał wygrawerowany napis T&Co MAKERS.

Walter zmienił się na twarzy. Maską twardziela opadła. Nie widział noża do papieru. Nie łączył punktów z opowieści Leigh w jedną całość. Widział kobietę, z którą śmiał się na grillu w ogrodzie. Matkę przyjaciółki córki. Rodzica, z którym żartował na wywiadówkach i szkolnych wydarzeniach. Osobę, której brutalną śmierć utrwalono na policyjnym zdjęciu, odzierając ją z intymności.

Dotknął ręką głowy, oczy zaszyły mu łzami.

Leigh nie mogła znieść jego udręki. Zaczęła płakać. Schowała zdjęcie, żeby więcej go nie widział. Ze wszystkich strasznych zdarzeń, które wstrząsały ich małżeństwem, to było najbardziej brutalne.

– Mówisz, że... to znaczy... – Rozpacz Waltera był dojmująca. – Keely ma prawo...

– Keely ma prawo wiedzieć – dokończyła Leigh.

– Ja nie mogę... – Walter obejrzał się na Reggiego. – Co robimy?

Leigh wyjęła mu broń z zaciśniętej ręki.

– Ty stąd wyjdiesz. Maddy nie może stracić też ciebie. To moja odpowiedzialność. To wszystko przeze mnie. Weź mój samochód i...

– Nie. – Spojrzał na swoje dłonie i zgiął palce. Miał zakrwawione kłykcie, był zlany potem. Jego DNA było w całym biurze, w audi, na parkingu. – Musimy się zastanowić, Leigh.

– Nie ma się nad czym zastanawiać. – W tej chwili liczyło się tylko to, żeby Walter znalazł się jak najdalej stąd. – Skarbie, wsiadaj do mojego auta i...

– Możemy to wykorzystać jako kartę przetargową.

– Nie, nie można pozwolić... – Urwała gwałtownie. Nie miała już nic do dodania. Zrozumiała, że Walter ma rację. Porwali i torturowali Reggiego, ale Reggie zamordował Ruby Heyer. Czyli gwarancja wzajemnego zniszczenia. – Ja z nim pogadam, dobrze?

Zawahał się, ale w końcu skinął głową, a ona wetknęła teczkę pod pachę i wróciła do biura.

Reggie usłyszał jej kroki i podniósł na nią jedno oko. Odwrócił głowę i zerknął na Waltera, który stał w drzwiach, potem znowu spojrzął na Leigh.

– Nie gramy w dobrego i złego policjanta. – Leigh pokazała mu broń. – Jesteśmy parą ludzi, którzy cię porwali i pobili. Myślisz, że dużo nas dzieli od morderstwa?

Reggie nie spuszczał z niej oka i czekał w milczeniu.

– Gdzie byłeś zeszłego wieczoru? – spytała.

Reggie nadal milczał.

– Czy Andrew zaprosił cię na ślub? – zapytała. – Bo nie ma ciebie na żadnym zdjęciu, które pokazał policji. Wszystko udokumentował telefonem. Ma niezbite alibi.

Reggie mrugnął powieką, a Leigh wyczuła jego niepewność. Nie wiedział, dokąd zmierza ta rozmowa, a ona widziała, jak intensywnie kalkuluje. Właściwie mogła mu czytać w myślach:

„Ile wiedzą? Co zrobią? Czy ujdzie z tego cało? Kiedy wkroczy Andrew, żeby zapłacili za to, co zrobili?”.

Leigh wykorzystała patent Dantego Carmichaela, otworzyła teczkę i z emfazą rzuciła na stół fotografie z miejsca zbrodni. Tyle że zamiast zostawić na koniec zbliżenie oskalpowanego fragmentu czaszki Ruby, zatrzymała w ręce zdjęcie noża do papieru.

– Gdzie byłeś zeszłego wieczoru? – powtórzyła.

Reggie zerknął na leżące zdjęcia i znowu popatrzył na Leigh. Nie mógł zamknąć szczęki, ale udało mu się wydobyć z siebie głos.

– Kto? – wystękał.

– Kto? – powtórzyła zaskoczona jego reakcją. – Nie znasz imienia kobiety, którą Andrew kazał ci zamordować?

Reggie zamrugał. Wyglądał na kompletnie oszołomionego.

– Co?

Pokazała mu ostatnie zdjęcie, czyli zbliżenie noża do papieru.

Reakcja Reggiego znowu ją zaskoczyła.

Reggie pochylił się i odwrócił głowę tak, żeby całym okiem przyjrzeć się fotografii. Oglądał ją uważnie. Potem zerknął na biurko, jakby szukał noża do papieru, w końcu spojrzał na Leigh i zaczął potrząsać głową.

– Nie – powiedział. – Nie, nie, nie.

– Byłeś w szkole Maddy w niedzielę wieczorem. Widziałeś, jak rozmawiam z Ruby Heyer. Powiedziałeś o niej Andrew? Dlatego kazał ci ją zabić?

– Ja... – Zakasłał, mięśnie szczęki mu drgały. Na jego twarzy pierwszy raz pojawił się strach. – Nie, to nie ja. Powiedziałem Andy’emu, że odeszła od męża, bzyka się ze swoim fizjoterapeutą, zamieszkała w hotelu. Ale ja nie... Nie mógłbym. Była cała i zdrowa, kiedy ją widziałem.

– Twierdzisz, że pojechałeś za Ruby Heyer do hotelu, powiedziałeś Andrew, gdzie jest, ale nic więcej nie zrobiłeś?

– Tak. – Znowu popatrzył na zdjęcia. – Ja nie. Nigdy.

Przyjrzała się uważnie jego twarzy, a właściwie krwawej miazdze, jaka z niej została. Z początku uważała, że łatwo go rozgryźć, ale już przestała tak myśleć. Reggie Paltz okazywał strach, którego ani razu nie dostrzegła u Andrew Tenanta.

– Leigh. – Walter też to wyłapał. – Jesteś pewna?

Niczego nie była już pewna. Andrew zawsze wyprzedzał ją o trzy kroki. Czy zdobył też przewagę nad Reggie?

– Nawet jeśli mówisz prawdę – zwróciła się do niego – ciągle grozi ci zarzut o znowę w celu popełnienia zabójstwa. Poinformowałeś gwałciciela, jak znaleźć bezbronną kobietę, która właśnie zostawiła rodzinę i zamieszkała sama. – Reggie skrzywił się, próbując ukryć przerażenie, natomiast Leigh naciskała dalej: – A twoja historyjka o tym, jak Andrew mnie znalazł? Mówiłeś, że pokazałeś mu artykuł w „Atlanta Intown”, a on mnie rozpoznał. To prawda?

Reggie skwapliwie kiwnął głową.

– Tak. Przysięgam. Zobaczyłem artykuł, pokazałem mu, a on cię poznał.

– I zlecił ci zebranie informacji o mnie i mojej rodzinie?

– Tak. Zapłacił. I tyle. – Znowu popatrzył na fotografie. – Ale to? Nie. W życiu. Nie mógłbym.

Przecucie podpowiadało Leigh, że Reggie mówi prawdę. Wymieniła spojrzenia z Walterem. Zadali sobie bezgłośnie pytanie: co teraz?

– Ten... – Reggie zaniósł się mokrym kaszlem, potem spojrzął zdrowym okiem w stronę drzwi do serwerowni. – Na listwie.

Walter podszedł do drzwi, przejechał dłonią po górnej listwie i pokazał Leigh kluczyk. W jego oczach zobaczyła tę samą obawę, która nią targła.

Syrena alarmowa nie musiała wyć, by wiedziała, że coś tu nie pasuje. Przeanalizowała ostatnie pięć minut, potem kilka ostatnich dni. Reggie był gotów złamać prawo dla Andrew, Leigh zakładała, że za odpowiednią sumę popełni dla niego nawet morderstwo. Ale od tego stwierdzenia, które nadal uważała za słuszne, wszystko przestawało się jej układać. Dowody brutalności widoczne na ciele Ruby Heyer pozostawił ktoś, kto czerpał z tego przyjemność. Takiego morderczego szalu nie można kupić za żadne pieniądze.

– Czy Andrew prosił, żebyś przechował dla niego jakieś pliki? – Gdy Reggie potaknął ruchem głowy, spytała o coś jeszcze: – Miałeś je upowszechnić, gdyby coś mu się stało?

Odpowiedziało jej następne pojedyncze skinienie. Leigh zobaczyła, jak Walter przekręca klucz w kłódce i otwiera drzwi.

Spodziewała się wielkich mrugających urządzeń, czegoś rodem z filmu o Jasonie Bournie, ale zobaczyła tylko dwa metalowe pudełka stojące na szafce na akta. Wymiarami przypominały czterolitrowy pojemnik z mlekiem, z przodu błyskały zielone i czerwone światełka, z tyłu wychodziły niebieskie przewody podłączone do modemu.

– Wiesz, co to za pliki? – zapytała Reggiego.

– Nie. – Reggie napiął mięśnie szyi, żeby coś powiedzieć. – Zapłacił mi. I tyle.

– To nagrania z gwałtami na dziecku.

Reggie otworzył szerzej zdrowe oko i zadrżał na całym ciele. Jego strach był autentyczny.

Leigh nie wiedziała tylko, czy Reggie jest zde gustowany, czy przerażony konsekwencjami prawnymi. Prawie wszyscy pedofile aresztowani przez FBI twierdzili, że nic nie wiedzieli o dziecięcej pornografii na ich urządzeniach, a potem spędzali kawał życia za kratami, zastanawiając się, czy nie powinni wymyślić innej wymówki.

– Co zrobisz? – zapytała Leigh.

– Tam – powiedział Reggie, przechylając głowę w stronę szafki na akta. – Górna szuflada. Z tyłu.

Walter się nie ruszył. Był skrajnie wyczerpany. Przypływ adrenaliny, który doprowadził go tutaj, ustąpił miejsca przerażeniu własną brutalnością.

Leigh uznała, że to nie pora, by podnosić go na duchu, otworzyła górną szufladę i zobaczyła rząd zakładek z nazwiskami klientów.

Na widok pięciu ostatnich teczek serce w niej zamarło:

CALLIOPE „CALLIE” DEWINTER

HARLEIGH „LEIGH” COLLIER

WALTER COLLIER

MADLINE „MADDY” COLLIER

SANDRA „PHIL” SANTIAGO

– Zaczekaj w aucie – zwróciła się do Waltera.

Pokręcił głową. Był za dobrym człowiekiem, żeby zostawić ją w takiej sytuacji.

Wyciągnęła teczki, siadła przy biurku, żeby Walter nie mógł zajrzeć jej przez ramię, i zaczęła od kartoteki Maddy. Bo to ona była

najważniejsza.

W trakcie prawniczej kariery czytała setki raportów prywatnych detektywów. Wszystkie wyglądały podobnie: notatki, zdjęcia, rachunki. Raport na temat Maddy różnił się od innych tylko tym, że notatki Reggiego były napisane odręcznie.

Zapis rozkładu dnia jej córki zaczynał się dwa dni przed niedzielnym przedstawieniem *The Music Mana*, a kończył wczorajszego popołudnia:

8:12 – jedzie do szkoły z Keely Heyer, Necią Adams i Bryce Diaz

8:22 – przystanek w McDonald's w punkcie drive-thru, je w aucie po drodze

8:49 – przyjeżdża do Hollis Academy

15:05 – widziana na widowni podczas próby przedstawienia

15:28 – trening piłki nożnej (ojciec obserwuje z trybun)

17:15 – wraca do domu z ojcem

Leigh pomyślała o Andrew, jak manipuluje przy bransoletce na kostce, ale ponieważ miała pod ręką naładowanego glocka, nie chciała wyobrazić sobie, że Andrew siedzi na widowni i ogląda Maddy, gdy rozmawia z młodszymi dziećmi, albo czai się w pobliżu stadionu, gdzie Maddy trenuje trzy razy w tygodniu.

Przerzuciła kolorowe fotografie z córką w roli głównej: w aucie, na scenie, w trakcie rozgrzewki za linią boczną boiska.

Nie pokazała zdjęć Walterowi. Nie chciała znowu patrzeć, jak zamienia się w dzikie zwierzę i pała żądzą mordy skierowaną na Reggiego Paltza.

Potem sięgnęła po teczkę Callie. Rejestr zaczął się dzień po Maddy: Callie sprzedaje prochy przy Stewart Avenue, pracuje w klinice doktora

Jerry'ego, wraca do motelu, potem spotkała się z Leigh, wsiadają razem do auta, na koniec zjawia się u Phil.

Zdjęcia odpowiadały kolejnym zapiskom w rejestrze Reggiego, ale było coś jeszcze: Callie na przystanku autobusowym; Callie wpuszcza kota przez okno do domu Phil; Callie przechodzi obok centrum handlowego tak dobrze znanego Leigh, że oczy ją zaszczypały na ten widok.

Callie pod wiatą między budynkami, czyli tam, gdzie zakopały kawałki rozczłonkowanego ciała Buddy'ego Waleskiego.

– Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? – zapytała Leigh Reggiego.

– Śledzi... – Reggie odchrząknął. Obawa nie zniknęła z jego twarzy. Wiedział, że jest źle. Nawet jeśli wyjdzie z tego cało, będzie na niego czekać Andrew albo policja. – Śledziłem twoją siostrę.

Leigh sprawdziła rozkład wczorajszego dnia Callie. Najpierw biblioteka, potem trening Maddy, powrót autobusem do domu. Według zapisków Reggiego czekał pod domem Phil od piątej po południu do północy.

Detektywom płacono za godziny. Zleceniodawca krzywo patrzył, jeśli tracili czas pod domem, chyba że obserwowana osoba miała wyjść. Leigh nie musiała spoglądać do wykazu, i bez tego wiedziała, że Callie nie wyszła z domu. Siostra była niepełnosprawna i bezbronna z powodu nałogów. Nie wychodziła w nocy, chyba że musiała.

– Czy Andrew wiedział, że śledziłeś Callie o piątej? – zapytała.

– Zadzwoił. Kazał czekać. – Reggie uprzedził następne pytanie Leigh. – Telefon na kartę. Kazał mi zostawić... ten... tutaj.

– Twoje zapiski są odręczne. Nie ma wersji cyfrowej.

– Tak, nie ma kopii. – Lekko skinął głową.

Leigh spojrzała na Waltera, ale wpatrywał się w uszkodzoną skórę swoich dłoni.

– Gdzie byłeś tamtej nocy, kiedy Tammy Karlsen została zgwałcona?

Reggie był wyraźnie wstrząśnięty jej pytaniem, ale po szoku przyszedł strach.

– Andrew mnie wynajął. Chodziłem za Sidney.

– Co z kartami pamięci z aparatu? Andrew też je ma? – Gdy potaknął, spytała: – Płacił ci gotówką, tak? Dlatego nie ma faktur.

Nie odpowiedział. Nie musiał.

Wiedziała, że Reggie nie brał pod uwagę konsekwencji takiego działania, więc przedstawiła mu resztę planu jego zleceniodawcy:

– A co z pozostałymi wieczorami, kiedy trzy kobiety zostały zgwałcone w pobliżu ulubionych miejsc Andrew? Gdzie wtedy byłeś?

– Pracowałem. Śledziłem jego byłe.

Leigh przypomniała sobie nowe nazwiska na liście świadków Dantego Carmichaela.

– Lynne Wilkerson i Fabienne Godard? – Gdy Reggie westchnął ciężko, jęknęła: – Jezu... – Było oczywiste, że wszystko zaczyna się układać. – Co z nawigacją w twoim aucie?

Reggie zamknął zdrowe oko. W kąciку sączyła się krew.

– Wyłączyłem – przyznał cicho.

Obserwowała go w milczeniu, składając fakty w całość. Reggie nie miał alibi na czas wszystkich gwałtów ani na czas zabójstwa Ruby Heyer. Nie wprowadził swoich zapisków do komputera ani nie miał faktur na potwierdzenie swoich detektywistycznych czynności. Nie miał telefonu, kamery czy karty pamięci, na podstawie których można by

ustalić jego dokładne położenie w czasie napaści. A wyłączenie nawigacji świadczyło przeciwko niemu.

Dlatego Andrew się nie bał. To Reggie miał być kozłem ofiarnym.

– Skurwiel – wycedził, bo też już to wiedział.

– Walterze, weź serwery – powiedziała Leigh. – Ja wezmę laptopa.

Wepchnęła laptopa do torebki. Czekala, aż Walter wyciągnie wszystkie przewody i wtyczki z metalowych skrzynek. Zamiast wyjść, wróciła do szafki na dokumenty. Znalazła teczki Lynne Wilkerson i Fabienne Godard. Położyła je na biurku razem z pozostałymi, żeby Reggie to zobaczył.

– Zatrzymam je wszystkie. To twoje jedyne alibi. Jeśli ze mną zadrzesz, wbiję cię w glebę. Kumasz?

Kiwnął głową, ale wyczuła, że o teczki się nie boi. On bał się Andrew.

Znalazła nożyczki, które wyrzuciła z szuflady na podłogę.

– Na twoim miejscu pojechałabym do szpitala, a potem znalazła cholernie dobrego adwokata.

Patrzył, jak Leigh przecina taśmę izolacyjną na jego nadgarstkach. Nie miała zamiaru bardziej pomagać Reggieemu, tylko zostawiła mu nożyczki.

Zebrała skradzione rzeczy i rzuciła do Waltera:

– Idziemy.

Poczekala, aż wyjdzie pierwszy, bo nadal się obawiała, że ponownie rzuci się na Reggiego. Milczał, znosząc po schodach skrzynki. Milczał w lobby. I milczał, kiedy znaleźli się na zewnątrz.

Wrzuciła wszystkie rzeczy do bagażnika, on zrobił to samo z serwerami.

Kiedy tu jechali, on prowadził, ale teraz Leigh usiadła za kierownicą swojego auta. Ruszyła z miejsca na wstecznym biegu i światła reflektorów omiotły front budynku. Zobaczyła cień Reggiego Paltza w oknie biura.

– On pójdzie na policję – odezwał się Walter.

– Najpierw doprowadzi się do porządku, a potem złapie pierwszy lot do Vanuatu, Indonezji albo na Malediwy – odparła spokojnie Leigh, wyliczając kilka krajów, które nie miały umowy ekstradycyjnej ze Stanami Zjednoczonymi. – Musimy znaleźć na serwerze nagrania z Callie i zniszczyć je. Resztę zatrzymamy jako zabezpieczenie.

– Po co, skoro Andrew ma oryginały? Ciągłe jesteśmy w potrzasku. Ma nas w garści.

– Nie – odparła Leigh. – Nie ma nas w garści.

– Zapłacił temu kutasinie, żeby śledził Maddy. Wie, gdzie była, dokąd chodzi, i robił zdjęcia. Widziałem twoją minę, kiedy je oglądałaś. Byłaś przerażona.

Nie mogła zaprzeczyć. Walter miał rację.

– A to, co zrobił Ruby... Jezu, była okaleczona. Nie zabił jej tak po prostu. Torturował ją i... – Podparł głowę rękami, z jego gardła wydobył się urywany szloch. – Co zrobimy? Maddy nigdy nie będzie bezpieczna. Nigdy nie uwolnimy się od niego.

Leigh zjechała na pobocze niedaleko miejsca, w którym stanęła po pierwszym spotkaniu w biurze Reggiego Paltza. Wtedy wpadła w panikę i wymiotowała z nerwów, ale teraz czuła żelazną determinację.

Wzięła Waltera za rękę. Czekala, aż spojrzy na nią, ale nie zrobił tego, tylko powiedział:

– Rozumiem. Rozumiem, czemu to zrobiłaś.

– Co? – zapytała.

– Callie zawsze była dla ciebie bardziej córką niż siostrą. Czulaś się za nią odpowiedzialna. – W końcu spojrzał jej w oczy. W ciągu dwudziestu minut płakał więcej niż przez prawie dwadzieścia lat ich znajomości. – Kiedy powiedziałaś mi, że go zabiłaś, to... No, to był dla mnie szok. Nie mogłem tego pojąć. Jest dobro i jest zło, a to, co zrobiłaś...

Cała spięta przełknęła z trudem, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Nie umiałem sobie wyobrazić, że byłbym zdolny do czegoś takiego – ciągnął Walter. – Ale kiedy rozpoznałem Reggiego na parkingu i zrozumiałem, jakie niebezpieczeństwo wisi nad Maddy, wściekłość mnie zaślepiła. Chciałem go zabić, Leigh. Wiesz, że chciałem. – Widział, jak zacisnęła usta. – Nie rozumiem wszystkiego, co mi powiedziałaś, ale to akurat rozumiem.

Patrzyła na swojego dobrego męża. W poświacie tablicy rozdzielczej strużki potu i krwi na jego twarzy przybrały fioletowy odcień. Ona go w to wpakowała. Ona sprowadziła niebezpieczeństwo na ich córkę. Ona przemieniła swojego męża w agresywnego furiata. Musiała to naprawić, i to jak najszybciej.

– Muszę znaleźć Callie – powiedziała. – Ma prawo wiedzieć, co się stało. I co się stanie.

– A co się stanie? – zapytał Walter.

– Zrobię to, co powinnam zrobić trzy dni temu. Zgłoszę się na policję.

Callie stała przed zamkniętą szafką na leki w klinice doktora Jerry'ego. Porzuciła kabriolet Sidney dwa miejsca parkingowe stąd. Prowadzenie auta okazało się trudniejsze, niż ostatni raz, kiedy ukradła samochód. Po drodze wiele razy zatrzymywała się i ruszała, począwszy od garażu Andrew, gdzie zarysowała prawy bok bmw, próbując stamtąd wyjechać. Na podjeździe zahaczyła tyłem o skrzynkę pocztową i felgami wbiła się w krawężnik, gdy źle oszacowała skręty.

Fakt, że samochód przetrwał postój na Stewart Avenue, dowodził ogłupiającego działania heroiny. Callie wzięła portfel i telefon Sidney, żeby je prehandlować, ale nikt nie zabrał ze środka kosztownego wyposażenia auta, nikt nie zbił szyby i nie wyrwał radia. Ludzie byli albo zbyt naćpani, żeby ułożyć sensowny plan, albo zbyt zdesperowani, żeby czekać na wysłannika dziupli z kradzionymi autami.

Z drugiej strony Callie zachowywała bolesną świadomość. Reżim polegający na redukcji dawki metadonu nie przyniósł tak dobrych rezultatów, jak kiedyś. Spodziewała się błogiego przypływu euforii przy pierwszym zetknięciu, ale jej ciało tak szybko przełączało się na heroinę, że dostawała kopa i szybko zaczęła się miotać w wiecznej pętli rozpacz. Sekundy mdłości, kiedy płyn wnikał do żyły, pięć krótkich minut szczęścia, ociążałość trwająca mniej niż godzinę, zanim mózg wysyłał jej komunikat, że potrzebuje więcej, więcej, więcej.

To był stan tolerancji. Ciało domagało się większej dawki prochów, żeby uzyskać taką samą odpowiedź na bodziec. W mechanizmie rozwoju

tolerancji wielką rolę odgrywały receptory opioidowe *mi*. Wielokrotny kontakt z opiatami tłumił efekt przeciwbólowy, a wtedy bez względu na liczbę nowych receptorów *mi* wytworzonych w ciele, te nowe receptory dziedziczyły pamięć wcześniejszych *mi*.

Nawiasem mówiąc, to z powodu tolerancji narkomani zaczęli mieszać prochy, dodając fentanyl, oksykodon, benzodiazepiny albo – w większości przypadków – dawali sobie w żyłę tyle wszelkiego gówna, że kończyli, żartując z Kurtem Cobainem z jego córki, która była teraz starsza niż on, kiedy przyłożył sobie lufę pod brodę.

Jak śpiewał kiedyś Neil Young: *It's better to burn out than to fade away*[14].

Wpatrywała się intensywnie w szafkę z lekami, przywołując całą swoją wściekłość. Andrew w tunelu. Sidney wijąca się na podłodze w garderobie. Odrażające wideo z nią i Buddym odtwarzane w telewizorze. Maddy biegnąca przez trawiaste boisko, wolna od trosk, ponieważ była kochana i uwielbiana, i zawsze tak miała się czuć.

Pierwszy kluczyk trafił do zamka, potem drugi, i szafka została otwarta. Delikatnym gestem koneserki Callie powiodła palcami po fiolkach. Metadon, ketamina, fentanyl, buprenorfina. Każdego innego dnia zgarnęłaby tyle fiolek, ile zmieści się w kieszeniach, ale dziś zostawiła je w spokoju. Odszukała lidokainę. Już zamykała szafkę, kiedy mózg kazał jej przestać. Na dolnej półce stały fiołki z pentobarbitem. Płyn był niebieski, jak środek do szyb, umieszczony w pojemnikach prawie trzy razy większych od innych. Wzięła jeden i zamknęła szafkę.

Zamiast iść do gabinetu zabiegowego, poszła do holu od frontu. Przez zakratowane okna witrażowe zobaczyła parking. Latarnie uliczne były zepsute, ale wyraźnie widziała lśniący kabriolet Sidney. Przez parking przemknął zbłąkany szczur. Fryzjer był zamknięty, a doktor Jerry pewnie siedział w domu i czytał sonety Mruczce Cass, maleńkiej

kotce karmionej butelką. Callie chciała wmówić sobie, że przyjscie do kliniki to dobra decyzja, ale po długich latach pochopnych decyzji nie umiała zdobyć się na ignorowanie konsekwencji swoich działań.

„Powiedz Andy’emu, że jeśli chce odzyskać nóż, musi po niego przyjść”.

Nie była kompletną analfaberką technologiczną. Wiedziała, że nadajniki GPS w autach wysyłają sygnał do satelitów, co pozwala ludziom zlokalizować ich dokładną pozycję. Wiedziała, że absurdalnie drogie bmw Sidney zadziała jak gigantyczny neon wskazujący Andrew drogę. Wiedziała też, że minęło już kilka godzin, odkąd Andrew wyszedł z sądu po wyborze sędziów przysięgłych.

Dlaczego dotąd się nie zjawił?

W drodze do pomieszczenia socjalnego złapała zestaw chirurgiczny. Noga ją bolała, Callie utykała coraz bardziej. Ostrożnie położyła na stole dużą i małą fiolkę, po czym otworzyła zestaw chirurgiczny. Siadając, położyła dłoń na udzie. Ropień osiągnął już rozmiar jajka rudzika. Nacisnęła go, bo fizyczny ból był lepszy niż ból wewnętrzny.

Zamknęła oczy. Nie walczyła, gdy jej mózg zaczął odtwarzać tamto nagranie.

Czternastoletnia Callie unieruchomiona na kanapie.

„Buddy, proszę, to bardzo boli, proszę, przestań...”.

Jego potężne ciało napiera na nią i wciska się w nią.

„Zamknij się Callie powiedziałem nie ruszaj się kurwa”.

Nie pamiętała tego w taki sposób. Dlaczego tak tego nie pamiętała? Co było nie tak z jej mózgiem? Co było nie tak z jej duszą?

Na pstryknięcie palców była w stanie przytoczyć tysiące szczegółów strasznych rzeczy, które robiła Phil, gdy ona była mała: pobicia do

nieprzytomności, porzucenia na poboczu, straszenia w środku nocy, że przed domem czekają na nią mężczyźni w kapeluszach z folii aluminiowej i z medycznymi sondami.

Dlaczego w ciągu dwudziestu trzech lat nigdy nie wspominała, ile razy Buddy jej groził, rzucał nią przez cały pokój, kopał, wpychał w nią kutasa, wiązał, a nawet dusił? Dlaczego zablokowała wspomnienia niezliczonych przypadków, kiedy wmawiał jej, że to jej wina, bo za bardzo płakała, za bardzo błagała albo nie mogła robić tego wszystkiego, czego on chciał?

Usłyszała własne cmokanie. Jej mózg dokonał przejścia od Phil do Buddy'ego i od Buddy'ego do zamkniętej szafki na leki.

Metadon. Ketamina. Buprenorfina. Fentanyl.

Zabrała swój plecak z domu Phil, kiedy przyszła przebrać się w podarty T-shirt z misiami z kreskówki i satynową żółtą kurtkę z tęczą na plecach. Zapięła kurtkę pod szyję. Tak czuła się bezpieczniej, jak dziecko okryte ukochanym kocykiem. W plecaku miała podręczny zestaw ćpuna, czyli wężyk do podwiązywania, zapalniczkę, łyżeczkę, używaną strzykawkę, woreczek pełen białawego proszku.

Bez zastanowienia sięgnęła do plecaka. Bez zastanowienia otworzyła pudełeczko. Pamięć mięśniowa pozwoliła na automatyczne ruchy: najpierw zapalniczka, potem wężyk, na końcu woreczek z jego niepoznawalnymi sekretami.

Kupiła heroinę od nieznanego dilera. Nie miała pojęcia, czym ją doprawił – sodą oczyszczoną, mlekiem w proszku, metamfetaminą, fentanylem, strychniną? – ani jak czysty był towar wyjściowy, gdy zaczął go doprawiać. Liczyło się tylko to, że po porażce z Sidney zostało jej czterdzieści dolarów i resztkę tabletek na receptę, a facet miał tyle heroiny, że mogła zabić słonia.

Połknęła krew. Usta jej krwawiły, bo ciągle je przygryzała. Z trudem odciągnęła uwagę od prochów i odchyliła się na krześle, żeby zsunąć dzinsy. W świetle sufitowej lampy skóra na udzie była przezroczysta jak klej marki Elmers z jasnoczerwoną ropną kulą dla urozmaicenia. Gdy delikatnie potarła ropień, pod opuszkami poczuła gorące pulsowanie. W miejscu, gdzie się wkłuła, zobaczyła zaschnięte drobinki krwi.

A wszystko dla pięciu minut haju, którego już nigdy nie zazna bez względu na to, ile razy będzie próbować.

Przeklęte ćpuny.

Nabrała do strzykawki kilka centymetrów sześciennych lidokainy. Nie zwracała sobie głowy dokładnym odmierzeniem dawki. Patrzyła, jak igła zanurza się w ropniu. Następna strużka krwi nagrodziła jej wysiłek. Nie poczuła przeszywającego bólu, ponieważ w tej chwili bolało ją wszystko. Szyja, ręce, kolano, którym kopnęła Sidney w krocze. Ocieężałość po heroinie, niegdyś przynosząca kamienny sen, teraz stała się ciężarem, który w końcu ją udusi.

Zamknęła oczy, czując, jak lidokaina rozchodzi się po ropniu, i nasłuchiwała nadejścia goryla, oczekiwała jego gorącego oddechu na szyi. Samotność była dojmująca. Od tamtego pamiętnego wieczoru w kuchni Waleskich nad Callie wisiała groźba, że goryl będzie czaił się wiecznie na horyzoncie, ale w tej chwili nie było tam nic, po prostu zniknął w stadionowym tunelu kilka chwil po jej ataku na Andrew. Ten paradoks nie dawał jej spokoju. Jej mózg usilnie pracował nad tym równaniem i podsuwał tylko jedno proste rozwiązanie: przez te lata to nie Buddy Waleski był gorylem.

Tym groźnym, żądnym krwi demonem była sama Callie.

– Witaj, przyjaciółko.

Callie odwróciła się całym ciałem. Poczowała, że zaraz spali się ze wstydu. Doktor Jerry stał w drzwiach i omiół wzrokiem przedmioty leżące na stole. Patrzył na zestaw ćpuna z pękatym woreczkiem heroiny, na zestaw chirurgiczny, na strzykawkę z lidokainą, na butlę niebieskiego pentobarbitalu.

– Wielkie nieba. – Jego uwagę przykuła ogromna czerwona guła na jej nodze. – Mogę ci pomóc?

Słowa przeprosin napłynęły jej do ust, ale nie mogła wydobyć z siebie głosu. W tej sytuacji nie było żadnego dobrego usprawiedliwienia. Jej wina leżała na stole jak dowód na procesie sądowym.

– Zobaczmy, co my tu mamy, młoda damo. – Doktor Jerry usiadł. Miał pognieciony kitel, przekrzywione okulary i potargane włosy. Czowała w jego oddechu kwaśną woń snu, gdy palcami delikatnie uciskał skórę wokół ropnia. – Gdybyś była tricolorem, powiedziałbym, że wdałaś się w paskudną zwadę. Co oczywiście nie jest rzadkością w przypadku tricolorów, które bywają bardzo bojowe. W przeciwieństwie do mopsów, notorycznych ugodowców, zwłaszcza jeśli wlejesz w nie parę drinków.

Oczy Callie zaszklily się od łez, wstyd wypełniał każdą cząstkę jej ciała. Nie mogła tu siedzieć jak zawsze w takich chwilach, kiedy doktor Jerry opowiadał jedną ze swoich historii.

– Widzę, że zaczęłaś od lidokainy. – Dokładnie obejrzał nogę. – Jak sądzisz, wystarczająco już zdrętwiała?

Kiwnęła głową, chociaż ciągle czuła piekący żar w miejscu infekcji. Powinna coś powiedzieć, ale co? Jak mogła usprawiedliwić kradzież? Narażenie jego praktyki? Kłamstwa?

Doktor Jerry wydawał się nieporuszony. Wyjął z zestawu chirurgicznego parę rękawiczek, ale zanim zaczął, uśmiechnął się do

Callie i poczęstował ją taką samą uspokajającą przemową, jaką wygłosiłby do przestraszonego charta angielskiego:

– Nic ci nie będzie, młoda damo. To trochę nieprzyjemne dla nas obojga, ale zrobię to najszybciej, jak się da, a potem poczujesz ulgę.

Kiedy rozcinał ropień, Callie patrzyła na lodówkę za jego plecami. Czowała, jak palcami wyciska ropną wydzielinę, zbiera ją gazą, i znowu wyciska aż do usunięcia ostatniej porcji. Zimna sól fizjologiczna pociekła jej po nodze, gdy doktor Jerry przepłukał powstałą jamę. Nie mogła spojrzeć w dół, wiedziała jednak, że robi to nadzwyczaj starannie, jak zawsze, gdy pochyła się nad kolejnym nieszczęsnym zwierzęciem, które do niego trafiało.

– Już po wszystkim. – Zdjął rękawiczki, wyjął z szuflady apteczkę, znalazł średni plaster i zakleił nim ślad po ropniu. – Powinniśmy rozważyć antybiotyki, jeśli nie masz nic przeciwko nim. Ja wolę moje ukryte w kawałku sera.

Ciągle nie mogła wydobyć z siebie głosu. Podniosła się z krzesła, żeby naciągnąć i zapiąć dzinsy. W talii miała spory luz, więc musiała poszukać paska.

„Pasek”.

Spojrzała na swoje ręce i zobaczyła Buddy’ego, jak wyciąga pasek ze spodni i unieruchamia jej nadgarstki. Dwadzieścia trzy lata skutecznego wyparcia z pamięci eksplodowało w migotliwych kadrach horroru rozgrywającego się pod jej powiekami.

– Callie? – Gdy uniosła głowę, doktor Jerry cierpliwie odczekał, aż skupi na nim uwagę, po czym powiedział: – Zwykle nie poruszam tematu wagi, ale w twoim przypadku przydałaby się rozmowa o smakołykach. Ewidentnie potrzebujesz odkarmienia.

Otworzyła usta, z których wreszcie popłynęły słowa:

– Przepraszam, doktorze Jerry. Nie powinnam tu być, nie powinnam tu wracać. Straszny ze mnie człowiek. Nie zasługuję na pańską pomoc ani na zaufanie. Okradałam pana i jestem...

– Moją przyjaciółką – dokończył za nią. – Przyjaciółką od siedemnastego roku życia.

Pokręciła głową. Nie była przyjaciółką, była pijawką.

– Pamiętasz, jak pierwszy raz zapukałaś do moich drzwi? – mówił dalej. – Wywiesiłem ogłoszenie, że szukam pomocy, i w głębi duszy liczyłem na to, że pomoc przyjdzie od kogoś tak wyjątkowego jak ty.

Nie była w stanie znieść jego dobroci. Rozszlochała się, ledwo łapiąc oddech.

– Callie. – Doktor Jerry wziął ją za rękę. – Nie płacz, proszę. Nie zobaczyłem tu nic, co zaskoczyłoby mnie albo przerażyło.

Powinna czuć ulgę, ale poczuła się jeszcze gorzej. Doktor Jerry nigdy nie dał niczego po sobie poznać. Udawał, bo chciał, żeby myślała, że wszystko uchodzi jej na sucho.

– Sprytnie wymyśliłaś te karty i sposób zacierania śladów, jeśli to ma być pocieszenie.

To nie było pocieszenie. To było oskarżenie.

– *Clou* programu polega na tym, że może i traci rozum, ale nawet ja pamiętałbym akite z dysplazją biodra. – Puścił do niej oko, jakby kradzież substancji kontrolowanych nie miała znaczenia. – Wiesz, jakie wredne potrafią być małe akity.

– Przepraszam, doktorze Jerry. – Po jej twarzy spływały potoki łez, z nosa ciekło. – Mam goryla na plecach.

– Aha. W takim razie już wiesz, że ostatnie zmiany demograficzne w świecie goryli doprowadziły do ich nietypowych zachowań.

Uśmiechnęła się drżącymi wargami. Doktor Jerry nie chciał prawić jej kazań, chciał opowiedzieć coś o zwierzętach.

– Niech pan opowie o tym – wydusiła z siebie między jednym spazmem a drugim.

– Goryle to raczej spokojne zwierzęta, póki mają odpowiednio dużo przestrzeni. Ale ta przestrzeń skurczyła się z powodu ludzi. Oczywiście bywają też minusy ochrony zwierząt, zwłaszcza gdy ich populacja staje się coraz liczniejsza. Spotkałaś kiedyś goryla?

– Nie przypominam sobie.

– To dobrze. Kiedyś to był taki szczęśliwy gość, który rządził całą grupą, miał wszystkie dziewczyny dla siebie i było mu z tym bardzo dobrze. – Zawiesił głos, by podkreślić dramaturgię opowieści. – Teraz, zamiast tworzyć własne grupy, młode samce zostają na miejscu, a z braku widoków na prawdziwą miłość atakują słabszych, samotnych samców. Wyobrażasz to sobie?

– To straszne. – Otarła nos wierzchem dłoni.

– W rzeczy samej – zgodził się doktor Jerry. – Młodzi mężczyźni niemający celu w życiu mogą stać się, nazwijmy to, problematyczni. Na przykład mój młodszy syn. Mówiłem ci, że zmagał się z nałogiem?

Pokręciła głową, bo nigdy nie słyszała o młodszym synu. Wiedziała o jednym, który mieszkał w Oregonie.

– Zachary miał czternaście lat, kiedy zaczął brać. Zrobił tak z braku przyjaciół. Był bardzo samotny, ale znalazł akceptację w grupie młodzieży, której towarzystwa rodzice raczej nie chcą dla swojego dziecka. To byli szkolni narkomani, a przynależność do ich klubu uzależniali od eksperymentowania z narkotykami.

Callie wciągnęła podobna grupa w liceum. Teraz wszyscy mieli rodziny, jeździli świetnymi autami, a ona podkradała narkotyki

jedynemu człowiekowi, który okazał jej prawdziwe ojcowskie uczucia.

– Zachary umarł tydzień przed osiemnastymi urodzinami. – Doktor Jerry chodził po pokoju, otwierał i zamykał kolejne szafki, aż znalazł paczkę herbatniczków w kształcie zwierząt. – Nie ukrywałem Zachary’ego przed tobą, moja droga. Po prostu niektóre tematy są zbyt trudne, żeby o nich rozmawiać. Mam nadzieję, że rozumiesz.

Skinęła głową. Rozumiała więcej, niż mu się wydawało.

– Moja ukochana żona i ja rozpaczliwie staraliśmy się ratować naszego syna, dlatego jego brat wyjechał na drugi koniec kraju. Prawie przez cztery lata byliśmy skupieni wyłącznie na Zacharym. – Wrzucił do ust garść herbatniczków. – Ale nic nie mogliśmy zrobić. Nieszczęsny młody chłopak wpadł bezpowrotnie w szpony nałogu.

Narkomański mózg Callie zaczął analizować dane. Młodszy syn doktora Jerry’ego mógł być nastolatkiem w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, a to oznaczało crack. Jeśli kokaina uzależniała, to crack unicestwiał. Callie widziała, jak Ćpun Sammy zdrapywał skórę z ramienia, bo był przekonany, że łążą pod nią pasożyty.

– W czasie krótkiego życia Zachary’ego nauka o uzależnieniu była już dobrze udokumentowana, ale kiedy chodzi o twoje dziecko, jest inaczej. To znaczy zakładasz, że z nim jest inaczej, że jest inne, ale prawda jest taka, że będąc wyjątkowe – bo to przecież twoje dziecko – poza tym jednym jest takie samo jak reszta. Wstyd mi, kiedy przypomnę sobie moje ówczesne zachowanie – wyznał jakby ciszej. – Gdybym mógł naprawić ostatnie miesiące jego życia, chciałbym je spędzić z synem i powtarzać, że go kocham, zamiast wrzeszczeć na niego, że ma moralną skazę, słaby charakter albo nienawidzi własnej rodziny, skoro nie chce zerwać z nałogiem. – Potrząsnął torebką z ciasteczkami.

Callie nie miała ochoty na przekąskę, mimo to podstawiła dłoń, którą doktor Jerry napełnił tygrysami, wielbłędami i nosorożcami.

Potem nasypał sobie kolejną garść i usiadł.

– Dzień po pogrzebie Zachary’ego u June zdiagnozowali raka piersi.

Callie rzadko słyszała, żeby wymawiał imię żony. Sama nigdy jej nie spotkała, gdyż June już nie żyła, kiedy zobaczyła ogłoszenie w oknie kliniki. Tym razem wystarczyła zwykła matematyka. Kiedy Callie zapukała do drzwi doktora Jerry’ego, miała tyle samo lat co Zachary, kiedy przedawkował.

– Dziwne, ale pandemia przypomina mi tamten czas w moim życiu. Najpierw odszedł Zachary, a zanim zdążyliśmy opłakać naszą stratę, June wylądowała w szpitalu i bardzo szybko zmarła. Z jednej strony to błogosławieństwo, z drugiej szok. Porównuję to z dzisiejszą sytuacją, kiedy wszyscy na świecie doświadczają zawieszenia czy też odroczenia poczucia straty. W samych Stanach zmarło ponad pół miliona ludzi. To tak porażające, że nie umiemy sobie tego wyobrazić, więc żyjemy dalej swoim życiem i robimy to wszystko, co możemy robić, by było normalnie. Ale i tak świadomość tej szokującej straty kiedyś nas dogoni. W końcu zawsze dogania, prawda?

Wzięła następną porcję herbatniczków, gdy podsunął jej pudełko.

– Nie wyglądasz dobrze, przyjaciółko – zauważył doktor Jerry.

Miał rację. Nawet nie próbowała z nim polemizować.

– Jakiś czas temu miałem dziwny sen. O heroinistce. Spotkałaś kiedyś taką?

Serce Callie zamarło. Nie należała do galerii postaci z jego zabawnych opowieści.

– Żyją w najbardziej mrocznych i odludnych miejscach, co jest bardzo smutne, bo to cudownie troskliwe istoty. – Przytknął do ust zgiętą dłoń, jakby chciał wyznać jej coś na ucho. – Zwłaszcza panie.

Wstrzymywała szloch. Nie zasługiwała na takie słowa.

– Mówiłem już, że mają szczególne upodobanie do kotów? Jako towarzyszy wspólnych kolacji oczywiście. – Uniósł ręce. – Na dodatek są urocze. Tak naprawdę nie można ich nie kochać. No, trzeba mieć serce z kamienia, żeby ich nie kochać.

Pokręciła głową. To nie powinno się dziać. Nie powinna pozwolić, żeby ratował jej honor.

– I słyną z legendarnej szczodrości! – Doktor Jerry wyraźnie się zachwycił brzmieniem tego słowa. – Zostawiają setki dolarów w kasetce na pieniądze dla innych, bardziej bezbronnych istot.

Tak bardzo ciekło jej z nosa, że nie nadążała go wycierać.

Doktor Jerry wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni i podsunął jej.

Wydmuchała nos. Pomyślała o jego śnie o samcu żabnicy rozpuszczającym się po połączeniu z samicą i grzywakach ze śmiertelną trucizną w ostrych włosach na grzbiecie, i pierwszy raz przyszło jej do głowy, że może doktor Jerry wcale nie mówił metaforycznie.

– Problem z nałogowcami polega na tym, że kiedy raz otworzysz dla kogoś takiego serce, już nigdy nie przestaniesz kochać, bez względu na wszystko.

Znowu pokręciła głową. Nie zasłużyła na jego miłość.

– Kacheksja płuc? – zapytał.

Wydmuchała nos drugi raz, żeby zająć czymś ręce. Przez cały czas była jak otwarta księga.

– Nie wiedziałam, że zna się pan też na ludzkich chorobach.

Rozsiadł się wygodniej na krześle i skrzyżował ramiona na piersiach.

– Zużywasz więcej kalorii, gdy oddychasz, niż przyjmujesz ich z jedzeniem. Dlatego tracisz tyle na wadze. Kacheksja to wyniszczająca choroba. Ale ty o tym wiesz, prawda?

Znowu potaknęła, bo inny lekarz już jej to wyjaśnił. Musiała więcej jeść, ale nie za dużo białka z powodu słabych nerek i nie za dużo przetworzonego jedzenia ze względu na zniszczoną wątrobę. W jej płucach usłyszał jakieś trzeszczenie, na zdjęciu rentgenowskim dopatrywał się pocovidowego „zmętnienia matowego szkła”. Uraczył ją jeszcze informacją o postępującej degeneracji kręgosłupa szyjnego oraz przedwczesnym artretyzmie kolana, a kiedy zaczął wyliczać inne schorzenia, przestała go słuchać.

– Wiesz, że to nie potrwa długo, prawda? – odezwał się doktor Jerry. – Jeśli dalej będziesz szła tą drogą.

Przygryzała wargi, póki znowu nie poczuła krwi. Pomyślała o szukaniu odlotu w jakiejś melinie, ale zdała sobie sprawę, że dotarła do punktu, w którym sama heroina już nie uwolni jej od bólu.

– Mój starszy syn, jedyny, który mi został, chce, żebym z nim zamieszkał – powiedział doktor Jerry.

– W Oregonie?

– Namawia mnie od czasu moich miniudarów, a ja mu powtarzam, że jeśli przeniosę się do Portlandu, Antifa zmusi mnie do rezygnacji z glutenu, czego się boję, ale... – Westchnął ciężko. – Mogę powiedzieć ci coś w zaufaniu?

– Oczywiście.

– Byłem tu, kiedy wyszłaś wczoraj po południu. Mruczka Cass ucieszyła się, ale... – Wzruszył ramionami. – Zapomniałem drogi do domu.

Callie przygryzła dolną wargę. Wyszła stąd trzy dni temu.

– Mogę napisać panu, jak tam dotrzeć – zaproponowała.

– Szukałem w telefonie. Wiedziałaś, że tak można?

– Nie. To niesamowite.

– Właśnie. Telefon pokazuje kierunki i inne rzeczy, ale martwi mnie, że dzięki temu tak łatwo można znaleźć ludzi. Brakuje mi anonimowości. Ludzie mają prawo zniknąć, gdy tego zapragną. To bardzo osobista decyzja, prawda? Każdy powinien być autonomiczną jednostką, ale jako ludzie jesteśmy winni innym wsparcie, nawet jeśli nie zgadzamy się z ich decyzjami.

Wiedziała, że już nie rozmawiają o internecie.

– Gdzie pana furgonetka?

– Stoi za kliniką. Dasz wiarę?

– To wariactwo – odparła, chociaż doktor Jerry zawsze parkował z tyłu. – Mogę jechać z panem, żeby pan na pewno trafił do domu.

– To bardzo szlachetne z twojej strony, ale niepotrzebne. – Znowu wziął ją za rękę. – Tylko dzięki tobie dałem radę pracować przez ostatnie miesiące. Rozumiem, jakie to dla ciebie poświęcenie i ile wysiłku cię kosztuje. – Spojrzał na jej podręczny zestaw ćpuna na stole.

– Przepraszam – powiedziała.

– Nie musisz mnie przeproszać. Nigdy. – Podniósł jej dłoń do ust, musnął ją wargami i puścił. – Co my tu mamy? Nie chciałbym, żeby coś poszło nie tak.

Spojrzała na pentobarbital. Na etykiecie widniał napis „Euthasol”, i ta nazwa wyraźnie wskazywała, do czego służył. Doktor Jerry myślał, że rozumie, dlaczego Callie wyjęła ten lek z szafki, ale był w błędzie.

– Natknęłam się na bardzo groźnego doga niemieckiego – powiedziała.

Doktor Jerry podrapał się w brodę z namysłem.

– To raczej nietypowe. Twierdzą, że wina leży po stronie opiekuna. Dogi to bardzo przyjaźni i uczuciowi towarzysze, nie bez powodu nazywa się je łagodnymi olbrzymami.

– W tym nie ma niczego łagodnego. On krzywdzi kobiety, gwałci je, torturuje. I grozi, że skrzywdzi ludzi, na których mi zależy, jak moja siostra. I moja... I córka mojej siostry. Maddy ma tylko szesnaście lat, przed nią całe życie.

Doktor Jerry zrozumiał.

– Ile waży to zwierzę? – zapytał, sięgając po fiolkę.

– Około osiemdziesięciu kilogramów.

Doktor Jerry przyjrzał się fiolce uważnie.

– Freddy, wspaniały dog niemiecki, oficjalnie uznany za największego psa świata, ważył osiemdziesiąt dziewięć kilogramów.

– Kawał psa.

Doktor Jerry milczał przez chwilę, a Callie wiedziała, że oblicza w pamięci.

– Dla pewności potrzebujesz co najmniej dwudziestu mililitrów – powiedział wreszcie.

Callie głośno wypuściła powietrze.

– To wielka strzykawka – podsumowała.

– To wielki pies.

Rozważała następne pytanie. Zwykle podłączali kroplówkę i najpierw podawali zwierzęciu środek uspokajający, dopiero potem właściwy lek.

– Jak by pan to podał?

– W żyłę szyjną byłoby dobrze. – Zamyślił się na chwilę. – Ale najszybciej dosercowo, czyli bezpośrednio w serce. Robiłaś to już, prawda?

Robiła to w gabinecie, ale zanim narcan stał się dostępny, robiła to też na ulicy.

– Co jeszcze? – zapytała.

– Serce mieści się na osi ciała, więc lewy przedsionek będzie najłatwiej dostępny, zgadza się?

– Zgadza się – potwierdziła, gdy już sobie to wyobraziła.

– Środek uspokajający zadziała po kilku sekundach, ale potrzeba całej dawki, żeby wysłać to stworzenie na tamten świat. Oczywiście mięśnie stężeją i usłyszysz oddech agonalny. – Uśmiechnął się, ale oczy miał smutne. – Nie miej mi za złe, że to powiem, ale dla kogoś o tak drobnej posturze to bardzo niebezpieczne zadanie.

– Doktorze Jerry, nie wie pan, że żyję dla takich chwil? – Patrzyła, jak się uśmiecha, ale smutek go nie opuszczał. – Przepraszam – powiedziała. – To, co się stało z pana synem... Powinien pan wiedzieć, że on zawsze pana kochał. Chciał przestać, a przynajmniej jego cząstka chciała. Chciał normalnie żyć, żeby pan był z niego dumny.

– Doceniam twoje słowa bardziej, niż umiem wyrazić. A jeśli o ciebie chodzi, to cudownie było mieć cię w swoim życiu. Nasza przyjaźń przynosiła mi tylko radość. Pamiętaj o tym, dobrze?

– Obiecuję. To samo dotyczy pana.

– Ach. – Postukał się palcem w skroń. – Tego nigdy nie zapomnę. – Po tych słowach pozostało mu już tylko wyjść.

Znalazła Mruczkę Cass zwiniętą na kanapie w biurze doktora. Kotka była zbyt śpiąca, żeby protestować przeciwko umieszczeniu

w transporterze, a nawet pozwoliła, by Callie pocałowała ją w krągły brzusek. Karmienie butelką poskutkowało, Cass nabrała sił i dobrze rokowała.

Doktor Jerry był zaskoczony, że jego furgonetka stoi za budynkiem, a Callie podziwiała jego umiejętność przystosowania się do nowych sytuacji. Pomogła mu zapiąć pasy wokół transportera, potem zapięła jego pas. Żadne nie powiedziało słowa, gdy włączył silnik. Callie dotknęła dłonią jego twarzy, potem pocałowała go w policzek.

Furgonetka ruszyła wolno uliczką, zamrugał lewy kierunkowskaz.

– Cholera – mruknęła Callie i zamachała do doktora Jerry’ego.

Odmachnął jej, lewy kierunkowskaz zgasł, zaświecił się prawy.

Kiedy doktor Jerry zniknął za rogiem, wróciła do kliniki. Sprawdziła, czy drzwi są dobrze zamknięte. Chwila nieuwagi i miałyby na głowie ćpunów.

Dwudziestomililitrowe strzykawki rzadko były w użyciu, więc przechowywali je w psiarni. Gdy mocno ją wzięła w dłoń, pomyślała tylko o tym, że jest o wiele większa, niż przypuszczała. Zabrała ją do pokoju socjalnego, zdjęła z igły osłonkę i nabrała dawkę pentobarbitalu z fiolki. Tłok cofnął się prawie do końca. Kiedy z powrotem nałożyła osłonkę na igłę, strzykawka była tak długa, jak przeciętna książka.

Schowała napełnioną strzykawkę w kieszeni kurtki. Dobrze się wpasowała w przeciwległe rogi.

Wsadziła rękę do drugiej kieszeni i dotknęła noża.

„Pęknięty drewniany trzonek, cienkie ząbkowane ostrze. Kroiła nim hot dogi dla Trevora, bo w przeciwnym razie wsadziłby sobie do buzi całą parówkę i mógłby się udławić”.

Gdzie jest Andrew?

Auto Sidney niczym znak powitalny stało przed kliniką na przydrożnym parkingu. Callie ukradła jego ulubiony nóż, a także sprawiła, że jego żona nie będzie w stanie sikać prosto przez półtora miesiąca. Znalazła jego odtwarzacz i kasetę wideo za regalem z elektroniką. Pocięła jego białe skórzane kanapy i wściekle podziabiała nieskazitelne ściany.

Na co jeszcze czekał?

Miała ciężkie powieki. Zbliżała się północ, była wyczerpana po całym dniu, a jutrzejszy nie zapowiadał się lepiej. Kiedy wyznała doktorowi Jerry'emu prawdę, jej organizm w końcu przyjął do wiadomości przykry fakt, że dogoniły ją własne nieczne występki. Wszystko ją bolało, w ogóle wszystko było nie tak.

Spojrzała na zestaw ćpuna. Mogła dać sobie w żyłę, spróbować znowu odlecieć, ale miała przeczucie, że Andrew zjawi się, gdy tylko ona zacznie przysypiać. Gigantyczna strzykawka w kieszeni nie była przeznaczona dla lekarza medycyny sądowej. Miała uśmiercić Andrew, żeby Maddy była bezpieczna, a Leigh żyła dalej swoim życiem.

Owszem, wpadła na pomysł, ale bez wykonawczego planu. Pomysł był głupi i niebezpieczny. Doktor Jerry miał rację, przy jej posturze nie zdoła ponownie zaskoczyć Andrew, szczególnie że tym razem będzie przygotowany na jej szaleńczy atak.

Przez kilka następnych godzin mogła wymyślić coś lepszego, bardziej podstępnego, ale nigdy nie umiała patrzeć daleko przed siebie, a pręty, śruby i trzpień w szyi nie pozwalały jej obejrzeć się za siebie. Po swojej stronie miała tylko determinację, żeby z tym skończyć. Może nie wyjdzie to najlepiej, ale przynajmniej się skończy.

[14] *Lepiej splonąć, niż odejść w cień* – fragment piosenki Neila Younga *My My, Hey Hey (Out of the Blue)* z 1978 roku. Te słowa zacytował Kurt Cobain w swoim poezjalnym samobójczym liście. (Przyp. tłum.).

Piątek

Tuż po północy Leigh stanęła pod kliniką doktora Jerry’ego i zajrzała przez kraty do pogrążonej w ciemności poczekalni. Jadąc tu, przypuszczała, że staruszek już nie żyje, choć strona kliniki na Facebooku była pełna aktualnych zdjęć zwierzęcych pacjentów. Nie ulegało wątpliwości, że imiona zwierzaków to inwencja Callie: Kleopatka, Miaussolini, Mruczka Cass, Binx. To musiało być prawdziwe imię Głupiej Cipy, w skrócie Głupy.

Callie nadała swojemu kotu imię po jednej z postaci filmu *Hokus pokus*, który oglądały tyle razy, że nawet Phil cytowała niektóre kwestie. Leigh uśmiełaby się, gdyby nie to, że rozpaczliwie pragnęła odszukać siostrę. Dwa dni bez rozmowy z Callie zwykle przynosiły jej ulgę, ale w tej chwili przychodziły jej do głowy tylko czarne scenariusze: starcie z Andrew, przedawkowanie, telefon ze szpitalnej izby przyjęć, policjant w drzwiach.

– Jesteś pewna, że ona tu jest? – zapytał Walter.

– Na drodze minęliśmy doktora Jerry’ego. Musi tu być. – Leigh zastukała palcami w szybę. Martwił ją kabriolet bmw zajmujący dwa miejsca parkingowe przed budynkiem. Byli w hrabstwie Fulton, a rejestracja wskazywała, że auto jest z DeKalb, gdzie mieszkał Andrew.

– Skarbie, już późno. – Walter położył rękę na jej karku. – Za siedem godzin mamy spotkanie z prawnikiem. Do tego czasu możemy nie znaleźć Callie, ale później...

Chciała nim potrząsnąć, bo nic nie rozumiał.

– Teraz musimy ją znaleźć, Walterze. Andrew natychmiast się domyśli, że coś jest nie tak, kiedy Reggie nie odbierze od niego telefonu.

– Ale nie będzie wiedział, czy coś na pewno się wydarzyło, no i co.

– To drapieżca. Kieruje się instynktem – odparła Leigh. – Pomyśl, Walterze. Reggie zniknął, Andrew dowiaduje się, że *voir dire* jest przełożone, a mnie nie można znaleźć. Gwarantuję ci, że albo wrzuci nagrania do sieci, albo pokaże glinom oryginał z morderstwem, albo... No, cokolwiek zrobi, rozpęta się piekło, a Callie nie może wtedy tu być. Musimy jak najszybciej wywieźć ją z miasta.

– Ona nie wyjedzie. Wiesz o tym. Tu jest jej dom.

Postanowiła nie zostawiać siostrze wyboru. Callie musi zniknąć, koniec kropka.

Mocniej zastukała w szybę.

– Leigh...

Zignorowała Waltera, przeszła dalej, przysunęła się do szyby i przyłożyła do niej dłoń, żeby zajrzeć do środka. Serce podeszło jej do gardła, cała była spięta, działała w trybie „uciekaj albo walcz”. Postrzegała sytuację w pięciominutowych sekwencjach, bo gdyby wybiegła myślami poza najbliższe pięć minut, uruchomiłaby lawinę, która zmiotłaby z powierzchni ziemi całe jej dotychczasowe życie.

Rozpaczliwie chciała uchronić siostrę przed tą lawiną.

– Leigh – powtórzył Walter.

Gdyby tak bardzo nie martwiła się o męża, nawrzeszczałaby na niego, żeby przestał powtarzać jej imię.

Byli wykończeni i kompletnie zszokowani tym, co zrobili Reggieму. Jazda bez celu po nocy nie uśmierzyła niepokoju. Przejechali obok domu

Phil, pukali do drzwi Callie w tanim motelu, wkurzyli recepcjonistów w pozostałych okolicznych motelach, pokręcili się w pobliżu melin, zadzwonili na posterunek, rozmawiali z pielęgniarkami z pięciu izb przyjęć. Zupełnie jak kiedyś. Te same emocje, te same nerwy i ani śladu Callie.

Leigh nie odpuszczała. Musiała powiadomić siostrę o nagraniach.

I w końcu powiedzieć jej prawdę.

– Tam. – Walter wskazał przez kraty, gdy w poczekalni zapaliło się światło.

Callie miała na sobie dzinsy i żółtą satynową kurtkę, którą Leigh pamiętała jeszcze z czasów licealnych siostry. Mimo gorąca była zapięta pod szyję.

– Cal! – zawołała Leigh przez szybę.

Mimo jej ponaglącego tonu, siostra powolnym krokiem przemierzyła poczekalnię. Walter miał rację w kwestii opalenizny. Skóra Callie miała złotawy odcień, ale niepokojąca chudość i zapadnięte oczy nie dawały się ukryć.

Ostre światło lamp bezlitośnie obnażyło stan Callie, gdy w końcu dotarła do drzwi. Poruszała się z trudem, miała pusty wyraz twarzy, oddychała przez usta. Bez względu na okoliczności zawsze cieszyła się na widok Leigh, nawet kiedy dzielił je metalowy stół w więzieniu okręgowym.

Jednak teraz zachowywała rezerwę, a wkładając klucz do zamka w drzwiach wejściowych, omiotła badawczym spojrzeniem cały parking.

Uchyliła przeszkłone drzwi, a drugim kluczem otworzyła bramkę bezpieczeństwa. Z bliska Leigh dostrzegła u siostry ślady makijażu, czyli rozmazaną kredkę do oczu, resztkę cieni do powiek, ciemnoróżowe plamy po szmince na ustach. A od dwóch dekad nie widziała na jej

twarzy niczego więcej prócz kocich wąsów narysowanych na policzkach.

Callie najpierw przywitała się z Walterem:

- Kopę lat, przyjacielu.
- Dobrze cię widzieć, przyjaciółko – odparł.

W tej chwili Leigh nie miała cierpliwości do disnejowskiego duetu Chipa i Dale'a w wykonaniu siostry i męża.

- Dobrze się czujesz? – zwróciła się do Callie.

Odpowiedziała w swoim stylu:

- Czy człowiek w ogóle może czuć się dobrze?
- Czyj to wóz? – Leigh skinęła głową w stronę bmw.
- Stoi tu przez całą noc – enigmatycznie odparła Callie.

Leigh otworzyła usta, żeby zażądać szczegółów, ale zmieniła zdanie. Auto nie miało znaczenia, przyjechała tu porozmawiać z siostrą. Przez cały wieczór na tę okazję szykowała mowę, a od Callie potrzebowała tylko czasu. Akurat tego jej nigdy nie brakowało.

- Zostawię was – powiedział Walter. – Dobrze cię widzieć, Callie.
- Odezwij się czasem – odparła.

Leigh nie czekała na zaproszenie, tylko weszła do środka i zamknęła za sobą bramkę. Hol nie zmienił się od dekad, nawet zapach był znajomy: mokra psia sierść z nutką wybielacza. Callie szorowała podłogę na czworakach, jeśli tylko mogła oszczędzić tego doktorowi Jerry'emu.

- Co się stało, Harleigh? Czemu przyjechałaś? – zapytała Callie.

Leigh nie odpowiedziała. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Waltera. Siedział na miejscu pasażera w jej audi i oglądał swoje dłonie. Wcześniej

przez prawie godzinę patrzyła, jak zgina i prostuje palce, w końcu kazała mu przestać. Potem zaczął gmerać w otwartych ranach na kłykciach, aż krew spłynęła mu po rękach i na siedzenie, zupełnie jakby potrzebował nieustannego świadectwa swojej przemocy wobec Reggiego Paltza. Próbowała namówić go na rozmowę, ale nie chciał o tym mówić. Pierwszy raz w czasie ich małżeństwa nie potrafiła rozgryźć jego emocji. Ujmując to inaczej, zniszczyła życie kolejnej osobie.

Odwróciła się do siostry.

– Chodźmy dalej.

Callie nie zapytała, dlaczego nie mogą usiąść na krzesłach w poczekalni, tylko poprowadziła ją korytarzem do gabinetu doktora Jerry'ego. Tutaj też nic się nie zmieniło. Wciąż stała tu śmieszna lampka, której podstawą była figurka baryłkowatego chihuahua, na ścianach wisiały wyblakłe akwarelowe obrazki przedstawiające zwierzęta w strojach z czasów regencji, była też stara kanapa w biało-zieloną kratę. Jedynym nowym elementem była Callie. Wyglądała mizernie, jakby w końcu życie ją dogoniło.

Leigh wiedziała, że ona jeszcze pogorszy sprawę.

– Dobra, mów. – Callie oparła się o biurko.

Tym razem Leigh nie cenzurowała myśli przebiegających jej przez głowę.

– Walter i ja porwaliśmy detektywa Andrew, Reggiego Paltza.

– O!

– Miał to zabezpieczenie dla Andrew – ciągnęła Leigh. – Mimo wszystko chcę się zgłosić na policję, ale uznałam, że tobie pierwszej o tym powiem, bo też jesteś na tych nagraniach.

Callie wsadziła ręce do kieszeni kurtki.

– Mam pytania.

– To nieistotne. Już zdecydowałam. Tak zapewnię Maddy bezpieczeństwo, innym też, bo nie wiem, co on jeszcze wymyśli. – Przerwała, żeby przeczekać ściskanie w gardle wywołane narastającą paniką. – Powinnam to zrobić, kiedy Andrew i Linda zjawili się u Bradleya. Przyznać się im, co zrobiłam. Ruby by żyła, Maddy nie musiałyby uciekać i...

– Harleigh, zwolnij trochę. Kiedy rozmawialiśmy ostatnim razem, miałam atak paniki na strychu, a teraz mówisz mi, że jest jakieś zabezpieczenie, ty zgłaszasz się na policję, nie żyje jakaś Ruby i coś stało się Maddy?

Leigh uświadomiła sobie, że mówi bardziej chaotycznie niż córka, kiedy chce coś szybko opowiedzieć.

– Przepraszam. Z Maddy wszystko w porządku, jest bezpieczna. Walter niedawno rozmawiał z nią przez telefon.

– Dlaczego Walter, a nie ty?

– Bo... – Musiała uporządkować myśli. Decyzja o zgłoszeniu się na policję przyniosła jej spokój, ale gdy znalazła się twarzą w twarz z siostrą, zdecydowana wszystko jej wyznać, szukała powodów, żeby jednak tego nie robić.

– Ruby Heyer jest... była... znajomą matką ze szkoły Maddy. Została zamordowana w środę wieczorem. Nie wiem, czy Andrew ją zabił, czy zlecił to komuś innemu, ale wiem na pewno, że ma z tym związek.

Callie nie skomentowała tej informacji, tylko spytała:

– A zabezpieczenie?

– Reggie miał w biurze dwa serwery. Andrew poprosił go, żeby przechował kopie nagrań Buddy’ego jako zabezpieczenie. Gdyby coś mu się stało, Reggie miał je upublicznić, ale Walter i ja ukradliśmy te serwery. Pliki były zabezpieczone kluczem szyfrującym. Znaleźliśmy czternaście wideo plus nagranie morderstwa.

Callie pobladła. Jej senny koszmar właśnie się spełniał.

– Oglądałaś je? Czy Walter...

– Nie – skłamała Leigh. Kazała Walterowi wyjść z pokoju. Sama musiała sprawdzić, z czym się mierzą. Rzut oka na fragmenty nagrań z Callie przyprawił ją o mdłości. – Nazwy plików mówiły same za siebie: twoje imię i numery od jednego do czternastego. Nazwa pliku z zapisem morderstwa to twoje i moje imię. Łatwo było się zorientować. Nie musieliśmy tego oglądać, żeby wiedzieć.

Callie przygryzła wargę, ale z jej twarzy niczego nie dało się wyczytać.

– Co jeszcze? – zapytała.

– Andrew wynajął Reggiego, żeby cię obserwował. Śledził cię w drodze do biblioteki, do Phil, tutaj. Widziałam jego notatki i fotografie. Dokładnie wiedział, co robisz, i wszystko przekazał Andrew.

Callie nie wyglądała na zaskoczoną, ale kropla potu spłynęła po jej skroni. W pokoju było za gorąco na kurtkę, na dodatek zapiętą pod samą szyję.

– Płakałaś? – zapytała Leigh.

Zignorowała jej pytanie.

– Maddy na pewno jest bezpieczna?

– Matka Waltera zabrała ją w podróż kamperem. Była zdziwiona, ale...

Leigh przełknęła ślinę. Zaczynała tracić zimną krew. Callie wyglądała źle, to był nieodpowiedni moment. Powinna się wstrzymać, ale czekanie tylko pogarszało sprawę. Upływ czasu przemienił jej tajemnicę w kłamstwo, a kłamstwo w zdradę.

– Cal, to bez znaczenia. Andrew nadal ma oryginalne nagrania. Nie chodzi tylko o kasety. Póki on jest wolny, ty, ja, Walter i Maddy nie będziemy bezpieczni. Andrew wie, gdzie nas znaleźć. Będzie dalej krzywdził, a nawet zabijał kolejne kobiety. Mogę go powstrzymać tylko wtedy, gdy zgłoszę się na policję. To jedyne wyjście. Kiedy trafię do aresztu, ujawnię dowody i pociągnę Andrew za sobą.

Callie odczekała chwilę, zanim zadała pytanie:

– Taki masz plan? Poświęcić siebie?

– To nie poświęcenie. Zamordowałam Buddy’ego, złamałam prawo.

– My zamordowałyśmy Buddy’ego. My złamałyśmy prawo.

– Tu nie ma „my”, Cal. Ty się broniłaś, a ja go zabiłam. – Obejrzała nagranie morderstwa kadr po kadrze. Zobaczyła, jak napędzana strachem Callie zadaje cios Buddy’emu. I zobaczyła siebie, jak morduje człowieka z zimną krwią. – Jest coś jeszcze. Coś, o czym nigdy ci nie mówiłam. Lepiej, żebyś usłyszała to ode mnie, bo i tak wyjdzie w trakcie procesu.

Callie przeciągnęła językiem po zębach. Zawsze wiedziała, kiedy Leigh chce powiedzieć coś, czego ona nie chce usłyszeć. Zwykle udawało jej się zbić siostrę z tropu albo odwrócić jej uwagę, więc teraz zastosowała tę samą strategię.

– Spiknęłam się z Sidney na spotkaniu AA, odurzyłam ją, pojechałyśmy do domu Andrew, wydymała mnie, pobiłyśmy się,

poczęstowałam ją kolanem między nogi i myślę, że oryginalne kasety są w sejfie w jego garderobie.

Leigh poczuła się, jakby połknęła kamień.

– Co zrobiłaś?

– Ukradłam też to. – Callie wyjęła z kieszeni kurtki nóż.

Leigh zamruwała. Nie wierzyła własnym oczom, chociaż opis noża znała na pamięć. Pęknięty drewniany trzonek. Zakrzywione ostrze. Ostre zęby.

Callie włożyła nóż z powrotem do kieszeni.

– Kazałam Sidney powtórzyć Andrew, że jeśli chce odzyskać nóż, musi mnie znaleźć.

Leigh opadła na kanapę, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

– Był w szufladzie w kuchni – wyjaśniła Callie. – Sidney kroila nim limonki do margarity.

Leigh czuła, że nie wszystko do niej dotarło.

– Wydymała cię w jakim sensie? Dosłownie czy w przenośni?

– Jedno i drugie? – Callie wzruszyła ramionami. – Sidney wie o kasetach. O to mi chodzi. Nie powiedziała tego wprost, ale dała do zrozumienia, że oryginały są w sejfie w garderobie Andrew. I wie, że ten nóż jest ważny. Że używałam go, kiedy Andrew był mały.

Leigh potrząsnęła głową, próbując złożyć w całość wszystkie informacje. Odurzenie, wydymanie, bójka, kopniak, sejf. To wszystko lżejszy kaliber niż jej udział w napaści na Reggiego Paltza.

– Jezu, z każdym dniem coraz bardziej upodabniamy się do Phil.

Callie usiadła na kanapie. Jeszcze nie skończyła zrzucać bomb.

– To bmw na parkingu należy do Sidney. – Czyli kradzież samochodu, pomyślała Leigh, a Callie dodała: – Myślałam, że to Andrew, gdy zapukałaś do drzwi. Nie przyjechał po mnie. Nie wiem czemu.

Leigh spojrzała w sufit. Jej mózg nie nadążał z przetwarzaniem wszystkich informacji.

– Unieszkodliwiłaś jego żonę, ja porwałam jego detektywa. Musi być wściekły.

– Walter dobrze się czuje? – zapytała Callie.

– Nie bardzo. – Leigh odwróciła głowę, żeby spojrzeć na siostrę. – Zamierzam o wszystkim opowiedzieć Maddy.

– Nie możesz powiedzieć o mnie. Nie chcę tego, Leigh. Ja jestem glebą, wyrosła ze mnie, ale rosła dla was. Nigdy nie była moja.

– Maddy sobie poradzi – zapewniła ją Leigh, chociaż w głębi serca wiedziała, że nikt nie wyjdzie z tego bez szwanku. – Powinnaś ją widzieć w czasie pierwszego lockdownu. Wszyscy moi znajomi narzekali na dzieci, ale Maddy sprawdziła się świetnie, Cal. Miała pełne prawo się złościć, robić jakieś głupoty albo urządzać nam piekło. Pytałam ją o to. A ona powiedziała, że szkoda jej tych dzieci, które mają gorzej.

Jak zwykle Callie znalazła sobie rozpraszacz. Utkwiła wzrok w akwarelach na ścianie, jakby zwierzaki w strojach z epoki regencji były najważniejszym elementem w biurze.

– Jej ojciec był porządnym facetem. Myślę, że byś go polubiła.

Leigh się nie odezwała. Callie nigdy nie wspominała o biologicznym ojcu Maddy. Ani ona, ani Walter nie mieli odwagi pytać.

– Zdjął ze mnie trochę ciężaru samotności. Nigdy nie krzyczał, nigdy nie podniósł na mnie ręki, nigdy nie zmuszał mnie, żebym zdobywała prochy, wiesz jak. – Nie musiała tłumaczyć siostrze, do czego zmuszano kobiety za działkę. – Bardzo przypominał Waltera, gdyby Walter brał heroinę i miał jeden sutek.

Leigh zaśmiała się głośno. Jej oczy zaszkliły się od łez.

– Miał na imię Larry. Nie znam jego nazwiska, a może znałam, ale zapomniałam. – Callie powoli wypuściła powietrze z płuc. – Przedawkował w Dunkin' Donuts niedaleko Ponce de Leon. Jeśli chcesz poznać jego nazwisko, może je znajdziesz w raporcie policyjnym. Braliśmy razem w toalecie. Byłam naćpana, ale słyszałam idących gliniarzy, więc go zostawiłam, bo nie chciałam, żeby mnie aresztowali.

– Zależało mu na tobie – w zadumie powiedziała Leigh. Wiedziała, że nie mogło być inaczej. – Na pewno by nie chciał, żeby cię aresztowali.

Callie skinęła głową, ale miała inne zdanie.

– On by chyba wolał, żebym została dłużej i reanimowała go, żeby nie umarł.

Leigh nie odwróciła głowy. Przyglądała się wyrazistym rysom siostry. Callie zawsze była ładna, nie miała tego czujnego jędzowatego wyrazu twarzy, który był strapieniem Leigh. Callie zawsze pragnęła tylko dobroci. Nie z własnej winy zaznała jej tak mało.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Mów.

Leigh nie chciała grać na zwłokę. Twardej prawdy nie da się zmiękczyć.

– Buddy próbował najpierw ze mną – wyrzuciła z siebie.

Callie zeszywniała, ale nie powiedziała ani słowa.

– Pierwszego wieczoru, kiedy zaczęłam opiekować się Andrew, Buddy odwoził mnie do domu – ciągnęła Leigh. – Właściwie zmusił mnie, żebym pozwoliła się odwieźć. W pewnej chwili zjechał na bok, to było przed domem Deguilsów, i zaczął mnie molestować.

Callie ciągle milczała, ale tak zaczęła pocierać ramię, jak robiła to zawsze, kiedy nerwy brały górę.

– To się zdarzyło tylko raz. Kiedy spróbował znowu, powiedziałam „nie” i na tym się skończyło. Nigdy więcej nie próbował mnie tknąć.

Callie zamknęła oczy. Miała łzy w kącikach. Leigh chciała ją objąć, utulić, ale to przecież ona była przyczyną cierpienia siostry. Nie miała prawa najpierw jej ranić, a potem pocieszać.

– I kompletnie o tym zapomniałam – mówiła dalej. – Nie wiem, jak i dlaczego, ale to po prostu wyszło mi z głowy. Nie ostrzegłam cię. Namówiłam, żebyś poszła do nich pracować. To ja postawiłam cię na jego drodze.

Callie przygryzła dolną wargę. Wielkie łzy spływały jej po twarzy.

Leigh czuła, że serce jej pęka.

– Mogę powiedzieć, że strasznie mi przykro, ale co to właściwe znaczy?

Callie milczała.

– Jaki sens w tym, że zapomniałam, że pozwoliłam ci pracować dla nich, że zignorowałam różne sygnały, kiedy zaczęłaś się zmieniać? Zauważyłam, że się zmieniłaś, Callie. Widziałam to, ale nigdy nie złożyłam tych faktów w całość. – Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza. – Przypomniłam sobie szczegóły dopiero wczoraj wieczorem, kiedy opowiadałam o tym Walterowi. Dopiero wczoraj wszystko wróciło. Cygara, tania whisky, piosenka w radiu. To gdzieś we mnie było, ale głęboko schowane.

Callie zadrżała i westchnęła spazmatycznie. Zaczęła potrząsać głową, na ile pozwalała jej sztywna szyja.

– Cal, proszę, powiedz mi, co o tym myślisz. Czy jesteś wściekła, czy mnie nienawidzisz, czy już nigdy więcej nie chcesz...

– Co to była za piosenka?

Leigh zatkąło ze zdumienia. Spodziewała się oskarżeń, a nie pytań o drobnostki.

Callie zmieniła pozycję ciała tak, żeby spojrzeć na Leigh.

– Jaka piosenka leciała w radiu? – powtórzyła pytanie.

– Hall & Oates. *Kiss on My List*.

– Aha – mruknęła Callie.

– Przepraszam. – Wiedziała, że przeprosiny nic tu nie znaczą, ale nie umiała się powstrzymać. – Przepraszam, że dopuściłam do tego, co cię spotkało.

– Ty?

Leigh przełknęła ślinę. Na to brakowało jej odpowiedzi.

– Ja też zapomniałam. – Callie odczekała chwilę, jakby chciała dać słowom przestrzeń, żeby wybrzmiały. – Nie zapomniałam wszystkiego, ale większość, a przynajmniej te najgorsze momenty.

Leigh zabrakło słów. Przez te długie lata uważała, że Callie bierze heroinę, bo wszystko pamięta.

– On był pedofilem. – Callie mówiła z namysłem, ważąc słowa. – Byłyśmy dziećmi, byłyśmy podatne na wpływy, a on tego chciał. Dziecka, które może wykorzystywać. Nieważne, z którą pierwszą próbował. Dla niego liczyło się, którą z nas urobi, żeby dostać więcej.

Leigh znowu przełknęła ślinę, tym razem tak mocno, że gardło ją zabolęło. Jej racjonalny umysł mówił, że Callie ma rację, ale serce podpowiadało, że zawiodła jako starsza siostra, bo nie ochroniła młodszej.

– Ciekawe, komu jeszcze to robił. Wiesz, że nie byliśmy jedyne.

Leigh osłupiała. Nie brała pod uwagę, że były inne ofiary, ale to oczywiste, że były.

– Nie... nie wiem.

– Może ta Minnie... jak jej tam? – ciągnęła Callie. – Opiekowała się Andrew, gdy byłeś w poprawczaku. Pamiętasz?

Tego Leigh nie pamiętała, ale wyraźnie pamiętała irytację Lindy z powodu poprzednich opiekunek, które porzuciły jej syna bez konkretnego powodu.

– Przekonywał, że jesteś wyjątkowa. – Callie wytarła nos rękawem. – Tak to robił Buddy. Jakbyś była jedyna. Że jest normalnym facetem, ale kiedy ty się pojawiłaś, to się w tobie zakochał, bo taka jesteś wyjątkowa.

Leigh zacisnęła usta. Buddy wcale nie sprawił, że poczuła się wyjątkowa. Po tym, co jej zrobił, czuła się zbrukana i zawstydzona.

– Powinnam cię ostrzec.

– Nie – zaproponowała stanowczo Callie. – Posłuchaj mnie, Harleigh. Stało się, co się stało. Obie byłyśmy jego ofiarami. Obie zapomnieliśmy o tych strasznych chwilach, bo tylko tak mogliśmy przetrwać.

– To nie było... – Leigh zamilkła, bo nie miała kontrargumentu. Obie były dziećmi. Obie były ofiarami. Teraz mogła tylko wrócić do początku. – Przepraszam.

– Nie możesz przeproszać za coś, na co nie miałeś wpływu. Nie rozumiesz tego?

Leigh pokręciła głową, ale gdzieś w głębi duszy desperacko pragnęła wierzyć, że Callie mówi prawdę.

– Posłuchaj mnie – zaczęła Callie. – Jeśli to poczucie winy nosiłaś w sobie przez całe dorosłe życie, to zrzuć je z siebie, bo ta wina nie jest twoja. To jego wina.

Leigh tak przywykła do płaczu, że nie zauważała własnych łez.

– Tak mi przykro. Przepraszam.

– Za co? – Callie nie dawała za wygraną. – To nie twoja wina. Nigdy nie była.

W Leigh coś pękło. Ukryła twarz w dłoniach, wstrząsnął nią szloch.

Callie wzięła ją w objęcia, biorąc na siebie część ciężaru. Przycisnęła wargi do czubka głowy Leigh. Nigdy wcześniej jej nie obejmowała. Zawsze było odwrotnie. Zwykle to Leigh niosła pocieszenie. Walter miał rację, od samego początku Phil nie była dla nich matką. Były tylko we dwie, i wtedy, i teraz też.

– Już dobrze – powiedziała Callie, całując siostrę w czubek głowy jak swojego kota. – Przejdziemy przez to, tak?

Leigh oderwała się od niej. Leciało jej z nosa, oczy piekły od łez.

Callie wstała z kanapy. Na biurku doktora Jerry'ego leżała paczka chusteczek. Wzięła kilka dla siebie, resztę podała Leigh.

– Co teraz?

Leigh wydmuchała nos.

– To znaczy?

– Plan. Zawsze masz jakiś plan.

– To plan Waltera. On zajmuje się wszystkim.

Callie usiadła z powrotem na kanapie i stwierdziła:

– On zawsze był twardszy, niż wygląda.

Leigh nie była pewna, czy to zaleta.

– Za kilka godzin będę rozmawiać z Maddy przez FaceTime’a. – Osuszyła chusteczką oczy. – Chciałam zrobić to osobiście, ale nie możemy ryzykować, że Andrew namierzy nas, a potem Maddy.

– Przez satelitę, tak? – zapytała Callie.

Leigh była zdumiona, że Callie ma jakiegokolwiek pojęcie o lokalizatorach.

– Walter kazał matce zajechać na stację benzynową i sprawdzić, czy pod kamperem nie mają lokalizatora. Nic nie znalazły. W moim aucie był jeden, ale pozbyłam się go.

– Myślałam, że Andrew użyje GPS-a w bmw Sidney, żeby mnie namierzyć – powiedziała Callie.

– Chciałaś, żeby cię znalazł?

– Mówiłam ci. Sidney miała mu przekazać, że ja mam nóż.

Leigh zachowała dla siebie uwagę o samobójczej misji. Ot, normalka, bo w ich rodzinie dominował gen autodestrukcji.

– O siódmej spotykamy się z moim prawnikiem. To przyjaciel Waltera. Wstępnie już rozmawiałam z nim przez telefon. Jest bojowy. I dobrze. Takiego potrzebuję.

– Wyciągnie cię z tego?

– Nie ma takiej opcji. Jutro w południe będziemy u prokuratora okręgowego i złożymy propozycję. Czasem mówi się na to „królowa jednego dnia”. Powiem im prawdę, a oni nie użyją tego przeciwko mnie.

Mam nadzieję, że dostarczę takich dowodów przeciwko Andrew, że poślą go za kratki.

– Nie masz immunitetu?

– To bez znaczenia, i tak nie będę mogła już praktykować. – Czuła, jak ciężar tych słów wgniata ją w ziemię, ale mówiła dalej: – Zgodnie z prawem mogę złamać klauzulę poufności, jeśli uważam, że mój klient popełnia przestępstwa albo stanowi zagrożenie dla innych. Andrew spełnia oba warunki.

– Co będzie z tobą?

– Pójdę do więzienia – powiedziała Leigh. Nawet bojowy prawnik stwierdził, że przed tym jej nie wybroni. – Jeśli mi się poszczęści, to na pięć do siedmiu lat, co przy dobrym sprawowaniu oznacza cztery lata.

– To okrutne.

– Jest nagranie, a Andrew je upubliczni. Temu nie zapobiegnę. – Wytarła nos. – Kiedy trafi do sieci i ludzie zobaczą, co zrobiłam, to już będzie kwestia polityczna. Prokurator okręgowy znajdzie się pod presją.

– A co z tym, co Buddy mi zrobił? Co zrobił tobie? To się nie liczy?

– Kto wie? – Leigh brała udział w wielu procesach i dobrze rozumiała, że prokuratorzy i sędziowie bardziej dbali o własny punkt widzenia niż sprawiedliwość. – Przygotuję się na najgorsze, a jeśli najgorsze nie nastąpi, to wyjdzie na to, że mam więcej szczęścia niż inni.

– Zwolnią cię warunkowo?

– Tego nie wiem, Callie. – Chciała przedstawić siostrze szerszy obraz. – Nie chodzi tylko o zapis morderstwa, są jeszcze inne nagrania. Czternaście kaset z tobą i Buddym, które on nagrał.

Odpowiedź Callie była zaskakująca:

– Myślisz, że Sidney w tym siedzi?

W głowie Leigh zapaliła się ogromna żarówka. Udział Sidney wyjaśniał wszystko.

Andrew miał udokumentowane alibi na czas zabójstwa Ruby Heyer. Jeśli wierzyć notatkom Reggiego, w wieczór ataku na Ruby stał on pod domem Phil. Pozostawała więc jedna osoba, która mogła popełnić tę zbrodnię. Andrew zostawił wyraźną wskazówkę. Nie miał w telefonie ani jednego zdjęcia ślubnego Sidney. Napomknął, że zjawiała się tuż przed samą ceremonią. Miała mnóstwo czasu, żeby zamordować Ruby Heyer, potem włożyć suknię ślubną i wyszykować się na ceremonię o ósmej.

– Ruby zostawiła męża dla innego i zamieszkała w hotelu. Reggie przyznał mi się, że podał Andrew adres. Ale jego zdjęcia sprzed ceremonii dają mu mocne alibi, więc zostaje tylko Sidney.

– Jesteś pewna?

– Tak – odparła Leigh. – To, jak zginęła Ruby... Andrew musiał zdradzić Sidney szczegóły, bo inaczej skąd by wiedziała, co robić i jak? Na dodatek widać, że sprawiło jej to przyjemność.

– Wyraźnie ją bawiło, kiedy mnie dymała. W podwójnym znaczeniu tego słowa, jeśli mam być szczerą. To znaczy, że mamy do czynienia z parą psycholi.

Leigh pokiwała głową, ale tak czy inaczej, nie zmieniało to sytuacji.

– W aucie mam dziesięć tysięcy. Walter i ja chcemy, żebyś wyjechała z miasta. Nie możesz tu zostać, mówię serio. Zawieziemy cię do Phil, weźmiesz Binxa, odwieziemy cię na autobus. Nie mogę działać dalej, jeśli nie będziesz bezpieczna.

– Czy Maddy może zająć się Binxem?

– Jasne. Ucieszy się. – Leigh starała się nie szukać drugiego dna w tej prośbie. Chciała tylko, żeby siostra poznała jej córkę. – Walter

zabierze go do domu dziś wieczorem, dobrze? Binx będzie czekał na powrót Maddy.

Callie przygryzła dolną wargę.

– Musisz wiedzieć, że trzyma wszystkie swoje pieniądze w bitcoinach.

– Przekłęte podatki.

Callie posłała jej uśmiech.

Leigh go odwzajemniła.

– Zawsze mogę wysłać cię na odwyk.

– A ja na to nie, nie, nie.

Leigh skwitowała śmiechem cytaty z Amy Winehouse w wydaniu Callie. Musiała powiedzieć Walterowi, że Callie jednak zna popkulturę po roku dwa tysiące trzecim.

– Powinnyśmy iść – zasugerowała Callie.

Leigh wstała i wyciągnęła rękę, żeby pomóc siostrze dźwignąć się z kanapy. Callie nie puściła jej dłoni po wyjściu z biura. Stykały się ramionami w wąskim korytarzu. Trzymała ją za rękę, gdy weszły do poczekalni. Tak chodziły do szkoły. Nawet kiedy były starsze i wyglądało to dziwnie, Callie zawsze kurczowo ścisnęła dłoń Leigh.

– Bmw ciągle stoi. – W głosie Callie pobrzmiwało rozczarowanie.

– Andrew ma obsesję kontroli – stwierdziła Leigh. – Każe nam czekać, bo wie, że to nas wykańcza.

– Więc odbierzmy mu tę kontrolę. Jedźmy do niego i odbierzmy kasety.

– Nie. – Leigh już poszła tą drogą z Walterem. – Nie jesteśmy przestępczyniami. Nie umiemy włamywać się do domów, grozić ludziom

i otwierać sejfów.

– Mów za siebie. – Callie otworzyła drzwi.

Serce podeszło Leigh do gardła.

Waltera nie było w audi.

Spojrzała w lewo, potem w prawo.

Callie zrobiła to samo.

– Walterze? – zawołała.

Nasłuchiwały w ciszy.

– Walterze? – powtórzyła Callie.

Tym razem Leigh nie czekała na odpowiedź, tylko ruszyła przed siebie. Jej obcasy stukwały po betonie, gdy mijala fryzjera i skręciła za róg. Zobaczyła stół piknikowy, puszki po piwie i stosy śmieci. Obiegła dookoła całego budynku. Zatrzymała się dopiero na widok Callie, która zaglądała do środka przez otwarte drzwi audi. A po chwili wyprostowała się, trzymając skrawek papieru.

– Nie – wyszeptała Leigh.

Puściła się pędem do auta i wyrwała kartkę z ręki Callie. Widziała niewyraźne jasnoniebieskie linie i ciemną krew w rogu. A także jedno zdanie nabazgrane pośrodku.

Pismo Andrew nie zmieniło się, odkąd bazgrał w jej podręcznikach. Wtedy rysował dinozaury i motocykle oraz dymki wypełnione bezsensowną treścią. Teraz napisał groźbę, będącą lustrzanym odbiciem tej, którą Callie przekazała mu przez Sidney:

Jeśli chcesz odzyskać męża, przyjdź po niego.

Callie cofnęła się, gdy Leigh zwymiotowała im pod nogi, a potem z przerażenia zgięła się wpół. I zawyła jak zwierzę.

Callie rozejrzała się po parkingu. Bmw stało tak, jak je zaparkowała. Ulica była pusta. Andrew przyjechał i odjechał.

– Boże! – Leigh opadła na kolana, łapiąc się za głowę. – Co ja narobiłam?

Liścik od Andrew spadł na ziemię. Zamiast pocieszać siostrę, Callie podniosła kartkę. Niestaranne pismo Andrew znała tak dobrze jak swoje.

– Callie! – Leigh zawodziła, a potem dotknęła ziemi czołem. Znowu wydała z siebie straszliwe wycie. – Co ja teraz zrobię?

Callie czuła się odcięta od cierpienia Leigh jak wtedy, gdy jej siostra osłupiała z rozpaczy. Były w sypialni Lindy i Buddy’ego Waleskich. Leigh przyjechała uratować Callie i zrujnowała sobie życie.

Znowu.

Kiedy zabiły i poćwiartowały Buddy’ego Waleskiego, to nie był ani pierwszy, ani ostatni raz, gdy Callie wpakowała siostrę w kłopoty. Ta historia ciągnęła się od dzieciństwa. Zapłakana Callie poskarżyła się na dziewczynkę, która dokuczała jej na placu zabaw. Leigh wylądowała w poprawczaku za oskalpowanie małej prześladowczyni kawałkiem szkła.

Drugi pobyt w poprawczaku też „zawdzięczała” siostrze. Oblesny szef Leigh rzucił jakąś uwagę o brodawkach Callie odznaczających się

pod T-shirtem, a w nocy Leigh została aresztowana za przedziurawienie mu opon.

Było więcej takich przykładów, drobnych i poważniejszych. Leigh narażała własną karierę i finanse dla ratowania siostry z opałów, a teraz mogła stracić męża przez psychopatę, którego Callie otwarcie sprowokowała.

Jej wzrok spoczął na aucie Sidney. Andrew nie zabrał bmw, bo cierpliwie czekał na lepszą sposobność. To był przypadek, że akurat Walter wpadł mu w ręce zamiast Maddy.

– Nie! – łkała Leigh. – Nie mogę go stracić. Nie mogę.

Callie zgmiotła kartkę w kulkę, zaciskając dłoń w pięść. Kolano jej chrupnęło, gdy uklękła obok siostry. Położyła dłoń na jej plecach. Nie starała się ukoić jej bólu, bo w tej sytuacji był naturalny. Przez lata widziała tylko to, co tuż przed nią. Nagle oczarowało ją, że potrafi spojrzeć daleko przed siebie.

– Co my zrobimy? Boże, Callie. Co my teraz robimy? – lamentowała Leigh.

– To, co powinniśmy zrobić wcześniej. – Pociągnęła Leigh za ramiona, żeby usiadła. Tak to działało. Nie mogły być załamane równocześnie. Kiedy jedna słabła, druga musiała być silna. – Harleigh, ogarnij się. Ześwirujesz później, kiedy Walter wróci do domu cały i zdrowy.

Leigh wytarła usta, wciąż trzęsąc się jak galareta.

– Nie mogę go stracić, Callie. Nie mogę.

– Nikogo nie stracisz. Jedziemy do Andrew i skończymy z tym raz na zawsze.

– Co?! Nie możemy ot tak...

– Posłuchaj mnie. – Callie mocniej ścisnęła Leigh za ramiona. – Pojedziemy do domu Andrew. Zrobimy, co trzeba, żeby odzyskać Waltera. Znajdziemy sposób, żeby otworzyć sejf. Zabierzemy kasety i wyjdziemy.

– Nie mogę... – Leigh już się nie trzęsła, wracała jej stanowczość. Kiedy uderzał piorun, była gotowa stanąć na jego drodze, by osłonić siostrę. – Nie mogę cię w to wciągnąć. Nie mogę.

– Nie masz wyjścia. – Callie wiedziała, jak podziałać na Leigh. – Andrew ma Waltera. Ile czasu minie, zanim przyjdzie po Maddy?

– On... Ja nie... – W jej oczach szalało przerażenie.

– Chodź. – Callie pomogła jej wstać i obeszła wymiociny. – Po drodze zastanowimy się, co zrobić.

– Nie. – Leigh starała się odzyskać panowanie nad sobą. Złapała Callie za rękę i okręciła. – Nie możesz ze mną jechać.

– To nie podlega dyskusji.

– Masz rację. Muszę to zrobić sama, Cal. Wiesz o tym.

Callie przygryzła wargę. Rozpacz Leigh zaciemniała jej obraz.

– Nie zrobisz tego na własną rękę. Będzie miał broń albo...

– Ja też mam broń. – Leigh schyliła się po torebkę leżącą w audi i wyjęła z niej glocka, którym groziła Trapowi i Diego przed motelem. – Zastrzelę go, jeśli będę musiała.

Callie nie wątpiła, że tak właśnie zrobi.

– Mam czekać tutaj, kiedy ty ryzykujesz życie?

– Weź pieniądze. – Leigh wyjęła z torebki kopertę wypchaną gotówką. – Wyjedź z miasta natychmiast. Nie naprawię sytuacji, póki nie upewnię się, że jesteś bezpieczna.

– Jak chcesz ją naprawić?

Leigh miała w oczach błysk szaleństwa, czyli chciała to naprawić dolaniem oliwy do ognia.

– Musisz być bezpieczna – powtórzyła.

– Ty też musisz być bezpieczna – zaproponowała Callie. – Nie zostawię cię.

– Racja. Ty mnie nie zostawisz. Ja cię zostawiam. – Wcisnęła jej pieniądze do ręki. – To sprawa między mną a Andrew. Ty nie masz z tym nic wspólnego.

– Nie jesteś przestępczynią – przypomniała siostrze jej słowa. – Nie umiesz włamywać się do domów, grozić ludziom i otwierać sejfów.

– Coś wymyślę. – Kiedy Leigh się uparła, nie było na nią siły. – Obiecuj, że nic ci się nie stanie, żebym mogła zrobić to, co powinnam zrobić cztery dni temu.

– Zgłosić się? – Zaśmiała się wymuszenie. – Leigh, serio myślisz, że jeśli zgłosisz się na policję, to powstrzymasz Andrew przed tym, co zaplanował?

– Można go powstrzymać tylko w jeden sposób. Zabiję tego popaprańca, tak samo jak zabiłam jego ojca.

Callie patrzyła, jak Leigh podchodzi do drzwi od strony kierowcy. Nigdy nie widziała siostry tak skrajnie skupionej na jednym.

– Harleigh?

Leigh odwróciła się. Miała zaciśnięte usta. Spodziewała się kontrargumentów.

– To, co mówiłaś o Buddym... Tu nie ma czego wybaczać. Ale jeśli chcesz to usłyszeć, to wybaczam ci.

Leigh przełknęła ślinę. Na sekundę wyrwała się z kręgu zaślepiającej wściekłości, ale szybko do niego wróciła.

– Muszę już iść – odparła szorstko.

– Kocham cię – powiedziała Callie. – Ani na chwilę nie przestałam cię kochać.

Z oczu Leigh pociekły rzęsiste łzy. Próbowwała coś powiedzieć, ale zdołała tylko skinąć głową. Callie i tak usłyszała te słowa:

„Też cię kocham”.

Leigh usiadła za kierownicą, zamknęła drzwi audi, uruchomiła silnik i wyjechała z parkingu. Callie patrzyła, jak rozbłyskują tylne światła, gdy siostra zwolniła przed skretem. Odprowadzała wzrokiem jej wóz, póki nie zniknął za pustym skrzyżowaniem na końcu ulicy.

Mogła tu stać całą noc jak pies czekający na powrót najlepszego przyjaciela, ale czas ją gonił. Kciukiem przejechała po brzegach studolarówek w kopercie i ruszyła w stronę kliniki. Włożyła pieniądze do kasetki doktora Jerry’ego, obmyślając następne kroki. Wielka i napełniona strzykawka czekała w prawej kieszeni kurtki. Spakowała zestaw ćpuna i włożyła go do lewej kieszeni.

Z plecaka wyjęła kluczyki do wozu Sidney. Czekał go ostatni rajd.

Panika osłabiła Leigh, odebrała jej jasność myślenia, zresztą jak zawsze. Callie wykorzystała swoją wiedzę, żeby usunąć siostrę z drogi. Andrew nie zabrał Waltera do wymuskaney rezydencji seryjnego zabójcy. Ta historia mogła zakończyć się tylko w jednym miejscu, czyli tam, gdzie się zaczęła.

W musztardowym domu przy Canyon Road.

Callie pociła się niemiłosiernie pod żółtą kurtką, ale cały czas na ulicy miała ją zapiętą pod szyję. Phil już odjechała z piskiem opon wozem

Sidney. Drugi raz w życiu Callie dała matce kradzione auto, żeby się go pozbyła.

Pierwszy raz dała corvette Buddy'ego. Ledwo dosięgała wtedy pedałów. Musiała siedzieć tak blisko kierownicy, że wbijała się w jej żebra. Z głośników sączyła się piosenka Halla & Oatesa, gdy z fasonem pokonała podjazd i stanęła przed domem. CD *Voices* była ulubioną płytą Buddy'ego. Uwielbiał *You Make My Dreams, Everytime You Go Away*, a szczególnie *Kiss on My List*, którą wyśpiewywał swoim śmiesznym falsetem.

Właśnie tę piosenkę puścił jej pierwszego wieczoru, gdy odwoził ją do domu. Chciała wracać pieszo, ale nalegał. Nie chciała pić rumu z colą, który postawił przed nią, ale nalegał. A potem, w połowie drogi między jego domem a domem Phil, zjechał na bok przed domem Deguilsów. I położył rękę na jej kolanie, przesunął na udo, włożył ją między nogi Callie, potem do środka.

„Jezu masz taką gładką skórę czuję na niej meszek jak na skórcie brzoskwini jak u niemowlęcia”.

W biurze doktora Jerry'ego pierwszą reakcją Callie na wyznanie Leigh była kłująca zazdrość. Potem przyszedł smutek. A później poczuła się kompletną idiotką. Buddy nie tylko zrobił to samo z Leigh. On zrobił jej dokładnie to samo.

Odetchnęła głęboko i zacisnęła palce na trzonku noża trzymanego w kieszeni, gdy mijala dom Deguilsów. Grzbiet jej dłoni ocierał się o napełnioną strzykawkę. Musiała rozerwać górną część kieszeni, żeby do końca wpasować ją w podszewkę.

Spojrzała w górę. Księżyc wisiał nisko na niebie. Nie wiedziała, która godzina, ale przypuszczała, że Leigh jest w połowie drogi do domu Andrew. Liczyła, że panika siostry nie osłabła. Leigh była impulsywna,

ale tak samo jak ona miała w sobie zwierzęcy spryt. Instynkt podpowie jej, że coś jest nie tak. A mózg szybko ustali co.

Czuła, że za szybko uległa i podsunęła siostrze myśl, żeby jechać do domu Andrew. Leigh bez namysłu wskoczyła do audi i odjechała. Kiedy uruchomiła myślenie, zrozumie, że musi zawrócić.

Czekanie na to było dla Callie stratą czasu. Leigh powinna zrobić swoje, a ona musiała skupić się na Andrew.

W powieści kryminalnej zawsze pojawia się fragment, w którym detektyw mówi o tropionym zabójcy, że chce być złapany. Andrew Tenant nie chciał zostać złapany. Eskalował tę grę, ponieważ był uzależniony od adrenaliny, a ta wydziela się w stresie. Callie, Leigh i Walter wyświadczili mu przysługę, atakując Sidney i porywając Reggiego Paltza. Leigh uważała, że Andrew panikuje, bo stracił kontrolę nad sytuacją. Callie wiedziała, że Andrew szuka takiego samego kopa jak ona w heroinie. Nie ma bardziej uzależniającej substancji od tej, którą ciało samo wytwarza.

Podobnie jak w przypadku opioidów, nauka potrafiła wyjaśnić mechanizm uzależnienia od adrenaliny. Skrajnie ryzykowne zachowania przynoszą ciału nagrodę w postaci wyrzutu adrenaliny. Receptory adrenergiczne – tak jak ich kuzyni, receptory *mi* – uwielbiają bardzo intensywną stymulację. Tą samą drogą wędruje impuls prowokujący do walki lub ucieczki. Większość ludzi nie znosi ryzyka, ale uzależnieni od adrenaliny żyją dla tych silnych emocji. Nieprzypadkowo adrenalina, nazywana też epinefryną, jest hormonem, który wysoko cenią sobie kulturyści i miłośnicy rekreacyjnego brania. Przyływ adrenaliny daje niektórym poczucie boskiej potęgi. Serce przyspiesza, mięśnie nabierają mocy, umysł się wyostrza, ból znika i można rznąć się bez opamiętania.

Andrew, jak każdy nałogowiec, potrzebował coraz większych dawek, żeby poczuć kopa. Dlatego zgwałcił kobietę, która mogła rozpoznać jego

głos. Dlatego znajoma Leigh została brutalnie zamordowana. Dlatego porwał Waltera. Im większe ryzyko, tym większa nagroda.

Callie rozchyliła usta, żeby nabrać więcej powietrza. Niecałe dwadzieścia metrów przed nią zamajaczył musztardowożółty siding. W zarośniętym przedogródku ciągle stał znak NA SPRZEDAŻ BEZ POŚREDNIKÓW. Kiedy podeszła bliżej, przekonała się, że miejscowi grafficiarze podjęli artystyczne wyzwanie. Tryskający spermą penis zasłonił numer telefonu, z jaj sterczały włosy jak kocie wibrysy.

Czarny mercedes stał przy skrzynce na listy, miał tablice rejestracyjne salonu samochodowego Tenant Automotive Group. Czyli kolejne wkalkulowane ryzyko po stronie Andrew. Dom był ciągle zabity deskami, więc ludzie w sąsiedztwie mogli założyć, że jakiś diler zaopatruje w towar jedną ze swoich melin. Wóz mógł też wzbudzić zainteresowanie patrolu policji.

Callie zajrzała przez szybę, czy w mercedesie jest Walter, ale siedzenia były puste, a w jednym ze stojaków zobaczyła butelkę z wodą. Dotknęła dłonią maski, była zimna. Pomyślała, żeby zajrzeć do bagażnika, ale auto było zamknięte.

Popatrzyła na dom. Zebrała się w sobie i ruszyła w górę podjazdu. Niby wszystko wydawało się w porządku, a jednak coś było nie tak. Im bardziej zbliżała się do domu, tym większy strach ją ogarniał. Na drżących nogach ominęła plamę po oleju w miejscu, gdzie Buddy parkował swoją corvette. Pod wiatą była strefa głębokiego cienia. Gdy martensy Callie zachrząściły na betonie, spojrzała pod nogi. Ktoś rozsypał potłuczone szkło przed wejściem do wiaty. Taki alarm przeciwwłamaniowy dla biedoty.

– Tu się zatrzymaj – powiedziała Sidney.

Callie jej nie widziała, ale domyśliła się, że Sidney stoi przy drzwiach kuchni. Przeszła szkło i zrobiła następny krok.

Klik, klak.

Callie rozpoznała charakterystyczny dźwięk odciąganego zamka w pistolecie kaliber dziewięć milimetrów.

– Byłoby jeszcze groźniej, gdybym zobaczyła tę broń – rzuciła do Sidney.

Sidney wyszła z cienia. Trzymała pistolet jak amatorka, bokiem, jak w filmie gangsterskim, a zakrzywionym palcem oplatała spust.

– I co teraz, Max?

Callie zdążyła zapomnieć o swoim fałszywym imieniu, ale nie zapomniała, że najpewniej to Sidney zamordowała znajomą Leigh.

– Dziwię się, że możesz chodzić – stwierdziła.

Sidney zrobiła następny krok, żeby to udowodnić. W świetle z ulicy Callie zobaczyła, że biznesowy strój zniknął, za to pojawiły się skórzane spodnie, obcisła skórzana kamizelka na gołym ciele, czarny tusz, czarna kredka do oczu i krwistoczerwone usta. Sidney wiedziała, że Callie dostrzegła różnicę.

– Podoba ci się?

– Bardzo. Gdybyś wtedy tak świetnie wyglądała, pewnie bym cię przeleciała.

Sidney uśmiechnęła się szeroko.

– Żałowałam, że nie pozwoliłam ci skończyć.

Callie zrobiła krok naprzód. Była na tyle blisko Sidney, że czuła jej piżmowe perfumy.

– Zawsze możemy to powtórzyć.

Z twarzy Sidney nie schodził uśmiech. Callie rozpoznała w niej nałogowca. Sidney była równie mocno uzależniona od adrenaliny jak jej

popaprany mąż.

– Ej, a może szybki numerek na bagażniku?

Sidney uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Andrew zaklepał sobie pierwszeństwo.

– Ochłapów po nim nie chcę. – Callie poczuła, jak lufa pistoletu dotyka jej piersi. Spojrzała w dół. – Niezła zabawka.

– No myślę. Andy mi kupił – pochwaliła się Sidney.

– Pokazał ci, gdzie jest bezpiecznik?

Sidney odwróciła broń, szukając przycisku.

Callie zrobiła, co powinna zrobić wcześniej.

Odsunęła pistolet od siebie.

Wyjęła z kieszeni nóż i pięć razy dźgnęła Sidney w brzuch.

– Och. – Zaskoczona Sidney otworzyła usta. Jej oddech pachniał wiśniami.

Ciepła krew pociekła jej na dłoń, gdy przekręciła nóż i wepchnęła głębiej. Ząbkowane ostrze trafiło na kość i zazgrzytało, przenosząc wibracje na przedramię i wyżej. Callie była tak blisko Sidney, że musnęła ją wargami.

– Powinnaś pozwolić mi skończyć. – Wyszarpnęła nóż z rany.

Sidney zrobiła chwiejny krok w przód, pistolet wypadł jej z ręki i ze stukotem potoczył się po ziemi, krew bryzgała na gładki beton. Nogi ugięły się pod nią i upadła w zwolnionym tempie, przyciskając dłonie do brzucha. Rozległ się okropny chrzęst, gdy runęła twarzą w wysypane szkło, a krew rozlała się wokół jej martwego tułowia jak skrzydła śnieżnego anioła.

Callie spojrzała na pustą ulicę. Nikt ich nie obserwował, a ciało Sidney spowijały ciemności wiaty. Żeby je zobaczyć, ciekawski musiałby pokonać cały podjazd.

Włożyła nóż do kieszeni, podniosła broń, weszła głębiej pod wiatę i kciukiem odbezpieczyła pistolet. Bardziej pamiętała położenie drzwi do kuchni, niż je widziała. Podniosła nogę i przełożyła przez otwór, który Leigh zrobiła dwa dni temu.

Zapach metamfetaminy ciągle wisiał w powietrzu, ale przełamany inną wonią, której nie umiała nazwać. Nagle Callie poczuła wdzięczność, że siostra wcześniej zaciągnęła ją do tej nory, bo wspomnienia nie zaatakowały jej, jak stało się wtedy. Nie widziała już fantomowych zarysów stołu, krzeseł, miksera czy tosterka. Zobaczyła obskurną melinę, gdzie dusze przybywają, by umrzeć.

– Sid? – zawołał Andrew.

Callie poszła za jego głosem do pokoju dziennego.

Andrew stał za barem. Przed nim na kontuarze stała wielka butelka tequili i dwie szklaneczki. Trzymał w ręce taki sam pistolet jak Callie. Widziała to dokładnie, ponieważ w tym pustym domu wszędzie paliły się świece. Małe, duże, średnie. Stały wzdłuż baru, na podłodze, na parapetach okien oblepionych brudem. Migotliwe światło na ścianach przypominało języki demonów. Kłęby dymu wisiały pod sufitem.

– Calliope. – Andrew położył broń na barze. W świetle świec zadrapanie na boku jego twarzy lśniło jaskrawo. Ślady jej zębów na szyi przybrały granatowy kolor. – Miło, że wpadłaś.

Rozejrzała się po pokoju i zobaczyła te same brudne materace, tę samą obrzydliwą wykładzinę. Ten sam nastrój beznadziei.

– Gdzie Walter?

– Gdzie Harleigh?

– Chyba już podpala twoją szpetną rezydencję.

Andrew oparł dłonie na kontuarze przy pistolecie i butelce tequili.

– Walter jest w holu – powiedział.

Callie poszła bokiem, cały czas mierząc do Andrew. Walter leżał na plecach. Nie miał żadnych widocznych ran prócz rozciętej wargi. Oczy miał zamknięte, usta szeroko otwarte, nie był związany, ale w ogóle się nie ruszał. Callie przyłożyła palce do boku jego szyi i wyczuła regularny puls.

– Co mu zrobiłeś? – zapytała.

– Przeżyje. – Podniósł butelkę tequili i odkręcił ją. Miał owłosione kłykcie, ale paznokcie czyste. Na wąskim przegubie luźno wisiał ciężki złoty zegarek Buddy’ego.

„Nalej mi jednego, laleczko”.

Callie zamrugwała. To były słowa Buddy’ego, ale usłyszała własny głos.

– Przyłączysz się? – Andrew napełnił dwie szklaneczki.

Callie ruszyła do baru, nie opuszczając pistoletu.

Zamiast wyszukanej tequili, którą trzymał w domu, tu miał Jose Cuervo, gówno z Walmartu. Właśnie to gówno zaczęła popijać, gdy Buddy wprowadzał ją w świat alkoholowych przyjemności.

Zagryzła wargi do krwi. Buddy nie wprowadził jej w świat żadnych przyjemności. Zmusił ją do picia, żeby się rozluźniła i przestała płakać.

Zerknęła na korytarz. Walter ciągle się nie ruszał.

– Odurzyłem go. Nie będzie nam przeszkadzał – powiedział Andrew.

Nie zapomniała, że preferował rohypnol.

– Twój ojciec też lubił, kiedy jego ofiary były nieprzytomne i bezbronne.

Andrew zacisnął szczęki, posłał jej po blacie szklaneczkę i skwitował:

– Nie zagłębiajmy się w historię.

Popatrzyła na biały płyn. Rohypnol był bezbarwny i pozbawiony smaku. Chwyliła butelkę i pociągnęła tequilę z gwinta.

Andrew czekał, aż Callie skończy, i wychylił swoją szklaneczkę. Odwrócił ją do góry dnem i z hukiem postawił na barze.

– Mnóstwo krwi. Rozumiem, że z Sidney kiepsko.

– Uznaj, że nie żyje. – Obserwowała go bacznie, ale nie dostrzegła żadnych emocji. Sidney pewnie zachowałaby się tak samo. – Kazałeś jej zabić koleżankę Leigh?

– Nigdy nie mówiłem, co ma robić. To był jej ślubny prezent dla mnie. Pozwoliła mi na chwilę oddechu i posmakowała tej ekscytacji.

Callie nie wątpiła, że Sidney się spodobało.

– Była pojebana, zanim się poznaliście, czy ty zrobiłeś z niej świruskę?

Nie spieszył się z odpowiedzią, ale w końcu oznajmił:

– Była wyjątkowa od początku.

Callie czuła, że jej determinacja słabnie. To ta pauza. Andrew kontrolował wszystko, nawet tempo ich rozmowy.

Nie przejął się bronią. Nie bał się jej agresji. Leigh powiedziała, że Andrew był zawsze trzy kroki przed nią. Zwabił ją tutaj. Zaplanował coś strasznego.

Na tym polegała różnica między siostrami. Leigh uruchomiłaby myślenie, ale ona umiała tylko wbić wzrok w butelkę tequili i tęsknić za następnym łykiem.

– Przepraszam na chwilę. – Gdy wyjął z kieszeni telefon, na jego twarz padła niebieskawa poświata. Pokazał Callie ekran.

System monitoringu rezydencji musiał wysłać mu powiadomienie. Wypasione auto Leigh stało na podjeździe. Callie zobaczyła jeszcze, jak siostra zmierza do frontowych drzwi z glockiem w ręce, a potem ekran zgasł.

– Harleigh wygląda na zdesperowaną.

Callie położyła broń Sidney na barze. Musiała przyspieszyć ruchy. Leigh miała dobry czas. Kiedy zawróci, pojedzie jeszcze szybciej.

– Nie tego chciałeś?

– Ciągle czułem cię na palcach Sidney po powrocie do domu. – Przyglądał się Callie, wypatrując najdrobniejszej zmiany na jej twarzy. – Smakujesz tak słodko, jak sobie wyobrażałem.

– Pozwól, że jako pierwsza pogratuluję ci opryszczki. – Odwróciła szklaneczkę i napełniła ją. – Czego chcesz, Andrew?

– Wiesz, czego chcę. – Nie kazał jej zgadywać. – Opowiedz mi o ojcu.

Miała ochotę się roześmiać.

– Wybrałeś zły dzień, by wypytać mnie o tego dupka.

Nie odpowiedział, tylko obserwował ją beznamiętnie, jak opisała to Leigh. Callie uświadomiła sobie, że za bardzo z nim igra, zachowuje się lekkomyślnie. Andrew mógł sięgnąć po broń albo nóż ukryty przy barze. Właściwie wystarczyły mu ręce. Z bliska zobaczyła, że kawał z niego chłopa, a mięśnie drgające pod koszulą nie są na pokaz. Gdyby znowu

doszło między nimi do fizycznej konfrontacji, nie miałyby najmniejszych szans.

– Dwa dni temu powiedziałabym, że Buddy miał swoje demony, ale był w porządku.

– Co zaszło wczoraj?

Udawał, jakby nic nie wiedział od Sidney.

– Zobaczyłam jedną z kaset.

Te słowa podsyciły jego ciekawość.

– I co o niej myślisz?

– Myślę, że... – Callie ograniczyła się do zniesmaczenia własnymi złudzeniami. Nie pozwoliła sobie brnąć głębiej. – Długo powtarzałam sobie, że on mnie kochał, ale potem zobaczyłam, co mi robił. To nie była miłość, prawda?

Wzruszył ramionami.

– Bywało trochę ostro, ale przy innych okazjach ci się podobało. Widziałem wyraz twojej twarzy. Tego nie można udawać, w każdym razie nie wtedy, gdy jesteś nastolatką.

– Mylisz się. – Udawała to przez całe życie.

– Czyżby? A co się stało z tobą bez niego? Jego śmierć cię zniszczyła. Bez niego stałaś się nikim.

Wbrew jego słowom wiedziała, że jej życie miało sens. Urodziła siostrze dziecko. Podarowała jej kogoś, kogo z braku zaufania do samej siebie Leigh nigdy by sobie nie podarowała.

– Czemu tak cię to obchodzi, Andrew? Buddy nie mógł cię znieść. Ostatnie słowa, jakie ci powiedział, to żebyś wreszcie wypił NyQuil i polazł spać.

Jego mina zdradziła, że cios był celny.

– Nigdy się nie dowiemy, co tata do mnie czuł. Ty i Harleigh odebrałyście nam szansę, byśmy mogli się lepiej poznać.

– Wyświadczyłyśmy ci przysługę – odparła, chociaż nie była do końca tego pewna. – Czy twoja matka wie, co się stało?

– Dla tej suki liczy się tylko praca. Sama widziałaś. Wtedy nie miała dla mnie czasu i dzisiaj jest to samo.

– Wszystko robiła dla ciebie. Była najlepszą matką w sąsiedztwie.

– To jak powiedzieć, że była najlepszą hieną w stadzie. – Zaciśnięła szczęki. Kość wystawała mu pod kątem ostrym. – Nie gadam z tobą o mojej matce. Nie po to tu jesteśmy.

Callie odwróciła się. Świece ją rozpraszały. Dym i lustro. Walter bez czucia w korytarzu. Nie zauważyła, że niektóre materace zostały przesunięte. Trzy największe leżały jeden na drugim w tym samym miejscu, gdzie kiedyś stała kanapa.

Poczuła na karku oddech Andrew, zanim zorientowała się, że za nią stanął. Położył dłonie na jej biodrach. Ciężar jego dotyku miażdżył jej kości.

Przeniósł dłonie na jej brzuch i przysunął wargi do ucha.

– Jaka jesteś maleńka.

Callie miała gulę w gardle. Słowa były Buddy'ego, ale głos Andrew.

– Zobaczmy, co masz pod spodem. – Zaczął rozpinąć napy jej satynowej kurtki. – Podoba ci się?

Callie czuła w żołądku chłód. Andrew wsunął palce pod jej koszulkę. Zagryzła wargi, gdy nakrył dłonią jej piersi, a drugą ręką sięgnął między jej nogi. Ugięła kolana. Czuła, jakby usiadła na szpadlu.

- Słodka mała laleczka. – Zaczął zdejmować jej kurtkę.
- Nie. – Próbowwała się odsunąć, ale ścisnął jej krocze jak imadłem.
- Opróżnij kieszenie. – Jego głos stał się mroczny. – Już.

Zmroził ją strach. Zaczęła drżeć. Ledwo dotykała stopami ziemi. Czuła się jak wahadło w zegarze wiszące tylko na ręce między jej nogami.

Andrew zacieśnił chwyt.

- No dalej.

Sięgnęła do prawej kieszeni. Nóż lepił się od krwi Sidney, otarła się palcami o pełną strzykawkę. Powoli wyjęła nóż. Modliła się w duchu, żeby Andrew sam nie zaczął jej przeszukiwać.

Wyrwał jej nóż i rzucił na bar.

- Co jeszcze?

Roztrzęsiona włożyła rękę do lewej kieszeni. Jej podręczny zestaw był tak osobisty, że pokazując go, czuła się tak, jakby wyrywała sobie serce.

- Co to jest? – zapytał Andrew.

– Mój... – Nie mogła odpowiedzieć. Rozpłakała się. Strach wziął górę. Wszystko się w niej przelało. Odległe, więc nie aż takie złe wspomnienia o Buddym, zderzały się z ponurą zapiekłą złością jego syna. Mieli takie same ręce. Taki sam głos. I obaj czerpali przyjemność z zadawania jej cierpienia.

- Otwórz to – polecił Andrew.

Próbowwała podważyć wieko paznokciem kciuka, ale drzenie ręki jej to uniemożliwiło.

- Nie dam rady...

Andrew wyrwał jej pudełko i wysunął drugą rękę spomiędzy jej nóg.

Callie czuła się pusta w środku. Chwiejnym krokiem podeszła do stosu materacy. Usiadła i zapięła kurtkę.

Andrew stanął przed nią i otworzył pudełeczko.

– Do czego to jest? – Trzymał w dłoni brązowy skórzany pasek.

Kiedyś należał do ojca Maddy. Na jednym końcu była pętla, a drugi był pogryziony, bo Larry, a potem Callie łapali go zębami, żeby zacisnąć opaskę na tyle mocno, by uwidoczniły się żyły.

– Do czego to jest? – powtórzył Andrew.

Musiała odchrząknąć, żeby wydobyć z siebie głos.

– Już tego nie używam. To jest do... Na rękach nie mam żył, w które mogę się wkłuć. Wkłuwam się w nogę.

Milczał przez chwilę, nim spytał:

– Gdzie konkretnie?

– W... żyłę udową.

Andrew otworzył usta, ale nie zdołał nic powiedzieć. Blask świec odbijał się w jego zimnych oczach.

– Pokaż mi, jak to robisz – odezwał się w końcu.

– Ja nie...

Gdy złapał ją za kark, poczuła, że traci oddech. Zaczęła drapać mu palce, ale Andrew rzucił ją na materace. Jego ciężar był nie do zniesienia. Wyciskał z niej resztkę powietrza, które jeszcze w niej zostało.

Był nad nią i napawał się przerażeniem widocznym na jej twarzy. Przygwoździł ją ręką, mogła tylko czekać, aż ją zabije.

Ale nie zrobił tego.

Puścił jej szyję, szarpnął guzik w jej dżinsach i jednym ruchem rozpiął zamek. Leżała nieruchomo na plecach. Wiedziała, że nie zdoła go powstrzymać, gdy ściągał z niej spodnie. Przysunął sobie świecę, żeby wyraźnie widzieć nogę Callie.

– Co to? – zapytał.

Od razu wiedziała, o co pyta. Nacisnął plaster, którym doktor Jerry zakleił ropień. Rana po nacięciu otworzyła się, promieniując bólem na całą nogę.

– Mów. – Nacisnął mocniej.

– Ropień. Od igieł.

– Często się zdarza?

Musiała najpierw przełknąć ślinę, nim odpowiedziała krótko:

– Tak.

– Ciekawe.

Zadrzała, gdy muskał palcami jej nogę, wędrując w górę. Zamknęła oczy. Determinacja ją opuściła, już tylko czekała, aż Leigh wpadnie tu jak burza, strzeli Andrew w twarz, uratuje Waltera i ocali ją przed tym, co za chwilę nastąpi.

I nagle coś w niej pękło. Nie wolno jej kapitulować i ulegać bezradności. Nie może dopuścić do tego, na co przed chwilą czekała. Musi załatwić to sama. Leigh w końcu tu dotrze, ale ona nie stanie się powodem, dla którego siostra znowu będzie miała krew na rękach.

– Pomóż mi usiąść – zwróciła się do Andrew.

Złapał ją za rękę, a szyja jej chrupnęła, gdy pociągnął ją w górę. Poszukała wzrokiem zestawu ćpuna. Andrew zostawił otwarte pudełko

na brzegu materaca.

– Potrzebuję wody – powiedziała.

Po chwili wahania spytał:

– Ma znaczenie, że coś w niej jest?

– Nie – skłamała.

Gdy podszedł do baru, sięgnęła po łyżeczkę z rączką wygiętą w pierścień, co zapewniało pewniejszy chwyt, a po chwili wzięła od Andrew butelkę z wodą. Przypuszczała, że wcześniej podał wodę z tej butelki Walterowi. Nie miała pojęcia, jak i kiedy zadziała rohypnol, ale było jej wszystko jedno.

– Zaczekaj. – Podsunął świecę, żeby lepiej widzieć, co ona robi.

Ścisnęło ją w gardle. Tego nie robi się publicznie, tak intymna czynność wymaga prywatności. Ostatecznie można robić to w towarzystwie innych ćpunów.

– A to po co? – Wskazał kłębek waty w pudełku.

Nie odpowiedziała. Dłonie przestały jej drżeć, bo dawała ciału to, czego się domagało. Otworzyła woreczek i wysypała w zagłębienie łyżeczki porcję białawego proszku.

– Tyle wystarczy? – zapytał Andrew.

– Tak – odparła, chociaż nasypała za dużo. – Otwórz mi butelkę.

Poczekwała, aż spełni jej prośbę, pociągnęła łyk wody, zatrzymała ją w ustach, a potem wypluła do łyżeczki jak kardynał karmiący swoje pisklę. Zamiast po zapalniczkę sięgnęła po jedną ze świec ustawionych na podłodze.

W miarę podgrzewania hera powoli zamieniała się w płyn, a wokół rozchodził się mocny octowy zapach. Czyli diler ją wydymał, bo im

silniejszy zapach, tym większe gówno w porcji prochów.

Napotkała wzrok Andrew nad smużką dymu unoszącą się z nad łyżeczki. Wysunął język. Tego chciał od początku. Buddy użył tequili, Andrew heroiny, ale obaj pragnęli tego samego: wprowadzić ją w stan ośpienia, żeby nie mogła się bronić.

Urwała kawałek waty, wzięła strzykawkę i zębami ściągnęła osłonkę z igły. Potem przytknęła igłę do waty i pociągnęła tłok do siebie.

– A, to filtr – powiedział Andrew, jakby odkrył wielką tajemnicę.

– Dobrze. – Jej usta wypełniły się śliną, kiedy tylko zapach uderzył ją w nozdrza i spłynął do gardła. – Gotowe.

– Co robisz? – To, jak się zawahał, przypomniało jej tamtego chłopca sprzed ponad dwudziestu lat. Był skory do próbowania nowych i zakazanych rzeczy. – Czy mogę... mogę to zrobić?

Tylko skinęła głową, bo nadmiar śliny nie pozwolił jej mówić. Tak się przekręciła, żeby przenieść stopy na materac, a jej blade uda zajarzyły się w blasku świec. Zobaczyła to, co widzieli wszyscy, czyli kości udowe i kolana sterczące jak u kościotrupa.

Andrew nie skomentował tego obrazka, tylko ułożył się wzdłuż jej nóg i podparł się łokciem. Przypomniała sobie, ile razy zasypiał z głową wspartą na jej kolanach. Uwielbiał, kiedy obejmowała go ramieniem przy czytaniu książek.

Teraz patrzył na nią i czekał na instrukcje, żeby wstrzyknąć jej heroinę.

Callie siedziała zbyt zgięta, żeby widzieć górną część uda. Odkleiła plaster i namacała palcami jamę po usuniętym ropniu.

– Tutaj. W środek – powiedziała.

Nadal się wahał, bo lepiej niż ona widział zasychający ślad po ropniu.

– Chyba masz tu infekcję.

Powiedziała mu prawdę, a zarazem to, co chciał usłyszeć:

– Ból daje przyjemność.

Andrew znowu wysunął język.

– Dobrze. Co mam robić?

Odchyliła tułów i oparła się na przedramionach, a poły jej satynowej kurtki się rozchyliły.

– Postukaj w bok strzykawki, potem delikatnie naciśnij tłok, żeby usunąć powietrze.

Trzęsły mu się ręce. Był tak podekscytowany jak wtedy, kiedy pokazała mu dwukolorowe ślizgi, które kupiła w sklepie akwarystycznym. Upewnił się, że patrzy na niego, a potem postukał palcem w plastikowy korpus strzykawki.

„Puk, puk, puk.

Trev, stukasz w akwarium? Przecież prosiłam, żebyś tego nie robił?”.

– Dobrze – powiedziała. – Teraz usuń pęcherzyk powietrza.

Przysunął strzykawkę w pobliże świecy, żeby widzieć, jak powietrze uchodzi z plastikowej tuby, i nacisnął tłok, a strużka płynu spłynęła z czubka igły. W każdej innej sytuacji Callie zlizalaby go, żeby nie uрониć ani kropli.

– Teraz trzeba znaleźć żyłę, tak? To niebieska linia. Widzisz ją?

Pochylił się tak bardzo, że poczuła na nodze jego oddech. Nacisnął ropień i spojrzał pytająco na Callie.

– Tak jest dobrze. Naciśnij mocniej.

– Kurwa – szepnął i zanurzył w otworze paznokiec. Wstrząsnął nim dreszcz ekscytacji. – Tak dobrze?

Skrzywiła się, ale skinęła głową.

Ich spojrzenia znów się skrzyżowały, zanim Andrew przejechał palcem wzdłuż żyły. Callie patrzyła na czubek jego głowy, gdzie jego włosy tworzyły taki sam wzór jak u Buddy’ego. Przypomniała sobie, jak gładziła go po czaszce, i jak się wstydził rzednących włosów, które skrzętnie zakrywał.

„Stary jestem laleczko dziwię się że chcesz się ze mną zadawać co we mnie widzisz no dalej powiedz mi naprawdę chcę wiedzieć”.

– Tutaj? – zapytał Andrew.

– Tak. Wbij igłę powoli i nie naciskaj tłoka, póki ci nie powiem, że igła jest we właściwym miejscu. Igła ma trafić w żyłę, a nie przejść przez nią na wylot.

– Co się stanie, jeśli przejdzie na wylot?

– Narkotyk nie przeniknie do krwiobiegu, tylko dostanie się do mięśnia i nie zadziała.

– Rozumiem – powiedział Andrew, chociaż nie miał pojęcia, o czym mowa.

Obserwowała jego ruchy. Uniósł się na łokciu, żeby mieć większe pole manewru. Trzymał strzykawkę pewnie, bez drżenia. Skierował igłę w środek ropnia.

– Gotowa? – zapytał, ale nie czekał na odpowiedź.

Kiedy przyszło ukłucie, Callie westchnęła głęboko i zamknęła oczy. Jej oddech przyspieszył jak oddech Andrew, ale jeszcze cofnęła się znad krawędzi.

– Tak? – zapytał.

– Powoli, powoli – powtarzała, gładząc go po plecach. – Porusz igłą dookoła.

– O kurwa – jęknął Andrew.

Poczuła jego nabrzmiały członek. Andrew ocierał się o nią, wsuwając igłę w jej żyłę i wysuwając ją.

– Nie przestawaj – wyszeptwała, wędrując opuszkami palców wzdłuż jego kręgosłupa, i namacała zgięcie żeber. – O tak, skarbie.

Jego głowa opadła na jej biodra. Poczuła na skórze język Andrew, a jego oddech był gorący i mokry.

Sięgnęła do kieszeni kurtki i zdjęła osłonkę z dwudziestomililitrowej strzykawki.

– Dobrze – powiedziała, namierzając palcami przestrzeń między dziewiątym a dziesiątym żebrzem. – Teraz wciśnij tłok, ale bardzo powoli, rozumiesz?

– Rozumiem.

Mdłości po pierwszej porcji heroiny dręczyły ją jak wirus.

Wyjęła strzykawkę z kieszeni. W blasku świec niebieski płyn wyglądał matowo.

Nie mogła dopuścić, żeby Andrew wyszedł stąd żywy. Bez wahania ustawiła strzykawkę pod kątem, przebiła mięsień i ścięgno, kierując igłę ku lewej komorze serca.

Zorientował się, że coś jest nie tak, kiedy naciskała tłok strzykawki.

Było za późno, żeby temu zaradzić.

Nie walczył z nią, nie krzyczał, nie wzywał pomocy. Uspokajające właściwości pentobarbitalu odebrały mu głos, więc nie padły żadne ostatnie słowa. Callie usłyszała tylko oddech agonalny, o czym uprzedzał

ją doktor Jerry. Odruch z pnia mózgu brzmiał jak łapanie powietrza. Prawa ręka była ostatnią częścią ciała, nad którą Andrew jeszcze panował. Wcisnął tłok strzykawki z heroiną tak szybko, że jej żyłą udową ogarnął ogień.

Zacisnęła zęby i oblała się potem, kurczowo ściskając wielką strzykawkę i drżącym kciukiem posyłając niebieski płyn do igły. Zachowała świadomość tylko dzięki adrenalinie. W strzykawce została jeszcze połowa dawki, a ona obserwowała powolny ruch tłoka. Musiała podać Andrew wszystko, zanim adrenalina przestanie działać. Niedługo przyjedzie Leigh, ale tym razem będzie inaczej niż wtedy. Nie pozwoli siostrze dokończyć tego, co sama zaczęła.

Tłok wreszcie dotknął dna strzykawki. Callie patrzyła, jak ostatnia porcja śmiertelnego koktajlu wpływa do czarnego serca Andrew.

Jej ręka opadła bezwładnie i osunęła się na materac.

Heroina brała ją w objęcia, napływając falami. To nie była euforia, raczej powolne odprężanie się ciała, które otwierało się na to, co nieuniknione.

Ostry zapach octu. Dawka większa niż zwykle. Rohypnol w wodzie. Fentanyl, który zabrała z szafki doktora Jerry'ego i rozdrobniła na białawy proszek.

Andrew Tenant nie był jedynym, który nie wyjdzie stąd żywy.

Najpierw poluzowały się mięśnie ściśnięte w węzły. Potem ustąpił ból stawów, szyi, całego ciała, który dręczył ją od tylu lat, że już ich nie liczyła. Zniknął ciężki oddech. Płuca już nie potrzebowały powietrza. Serce biło coraz wolniej w rytm zegara odliczającego ostatnie sekundy jej życia.

Patrzyła w sufit, w jeden punkt, jak sowa. Nie wspominała niezliczonych chwil, gdy oglądała ten sufit z kanapy. Powędrowała

myślami ku swojej błyskotliwej siostrze, ku jej wspaniałemu mężowi i ich ślicznej córce biegającej za piłką po boisku. Pomyślała o doktorze Jerry, o Binksie, a nawet o Phil, aż nieuchronnie nadszedł ten moment, kiedy pomyślała o Kurcie Cobainie.

Kurt już nie musiał na nią czekać. On tu był. Rozmawiał z Mamą Cass i Jimim Hendrixem, śmiał się z Jimem Morrisonem, Amy Winehouse, Janis Joplin, Riverem Phoenixem.

Wszyscy zauważyli Callie jednocześnie. Podbiegli do niej, wyciągnęli ręce, pomogli jej wstać.

Ciało Callie nabrało lekkości, jakby dostało skrzydeł. Spojrzała w dół na podłogę i obserwowała, jak przemienia się w puszyste obłoki. Uniosła głowę. Nad nią rozpościerało się błękitne bezchmurne niebo. Spojrzała w lewo, w prawo, potem za siebie i zobaczyła łagodne konie, pulchne psy, sprytne koty. Wtedy Janis podała jej butelkę, Jimi podsunął jointa, Kurt zaproponował, że przeczyta jej swoje wiersze, i po raz pierwszy w życiu Callie poczuła, że znalazła swoje miejsce.

EPIL OG

Leigh siedziała na składanym krześle u boku Waltera. Na cmentarzu panowała cisza przerywana ptasim świergotem dobiegającym spomiędzy gałęzi pobliskiego drzewa. Patrzyli, jak jasnożółta trumna Callie powoli zjeżdża do grobu. Wszystko odbywało się bezgłośnie.

Kiedy zmarłą Callie przywieziono do zakładu medycy sądowej, ważyła czterdzieści trzy kilogramy. Raport z sekcji zwłok opisywał ciało wyniszczone wieloletnim zażywaniem narkotyków i chorobą. Nerki i wątroba były uszkodzone, wydolność płuc sięgała połowy wydolności zdrowego człowieka.

Przyjęła śmiertelną dawkę narkotyków i trucizny:

Heroina. Fentanyl. Rohypnol. Strychnina. Metadon. Soda oczyszczona. Proszek do prania.

Obecność w jej organizmie żadnej z tych substancji nie była zaskakująca, tak samo jak fakt, że odciski palców Callie znaleziono na łyżeczce, świecy i woreczku z prochami. Na strzykawce tkwiącej w jej nodze znaleziono odciski obojga, ale strzykawka ze śmiertelną dawką pentobarbitalu, którą Callie wbiła prosto w serce Andrew, nosiła tylko ślady jej linii papilarnych.

Przez lata Leigh wmawiała sobie, że śmierć Callie przyniesie jej ulgę połączoną z wyrzutami sumienia. Teraz czuła tylko dojmujący smutek. Prześladowający ją koszmar o telefonie w środku nocy, o pukaniu do drzwi, o detektywie proszącym o identyfikację siostry, ostatecznie nie spełnił się na jawie.

Była tylko Callie leżąca na stosie brudnych materacy w domu, który ponad dwadzieścia lat temu stał się więzieniem dla jej duszy.

Leigh mogła zrobić chociaż tyle, że towarzyszyła siostrze u kresu jej życia. Zastanawiała się w pustej rezydencji Andrew, co dalej robić, gdy dotarło do niej, że Callie ją wystawiła. Nie pamiętała jazdy z Brookhaven na Canyon Road. Jej wspomnienia zaczynały się od tej krótkiej chwili, gdy na wiacie potknęła się o ciało Sidney. Nawet nie zauważyła Waltera, który leżał w korytarzu, ponieważ całą uwagę skupiła na dwóch nieruchomych ciałach na stosie materacy, które znalazły się tam, gdzie kiedyś stała paskudna pomarańczowa kanapa.

Andrew leżał w poprzek Callie, a z pleców sterczała mu ogromna strzykawka. Leigh zepchnęła go z siostry i złapała ją za rękę. Callie miała chłodną skórę, z jej drobnego ciała stopniowo uchodziło ciepło. Leigh zignorowała igłę w udzie siostry, tylko słuchała jej powolnego, cichnącego oddechu.

Najpierw przerwa między jednym a drugim falowaniem klatki piersiowej trwała dwadzieścia sekund. Potem trzydzieści. Potem czterdzieści pięć. A potem nastąpiło długie ciche westchnienie, po którym Callie odeszła.

– Dzień dobry, przyjaciele. – Doktor Jerry podszedł do grobu Callie.

Miał maseczkę ze skaczącymi kotkami, a Leigh zastanawiała się, czy włożył ją specjalnie dla Callie, czy po prostu taką miał pod ręką.

Otworzył cienką książkę.

– Chciałbym odczytać wiersz Elizabeth Barrett Browning.

Walter wymienił spojrzenia z Leigh. Doktorowi Jerry'emu zabrakło wyobraźni, a może nie wiedział, że poetka przez większość życia była morfinistką.

– Wybrałem najbardziej popularny sonet poetki, więc jeśli ktoś ma ochotę, niech recytuje razem ze mną.

Phil prychnęła z drugiej strony grobu Callie.

Doktor Jerry dyskretnie chrząknął.

– Jak ciebie kocham? Pozwól, niech wyliczę. Kocham głęboko, daleko, jak zbiec potrafi dusza...[15].

Walter objął Leigh ramieniem i pocałował ją w skroń przez maseczkę. Była wdzięczna, że dawał jej ciepło. Pogoda się zepsuła, temperatura spadła, a ona rano nie mogła znaleźć płaszcza. Rozstroiła ją też długa rozmowa z administratorem cmentarza, który kilkakrotnie sugerował, że nagrobek z królikami i kociętami bardziej pasuje dla dziecka.

Miała ochotę wykrzyczeć do słuchawki, że Callie była jej dzieckiem. Ostatecznie przekazała telefon Walterowi, bo zaczęła się obawiać, że dosięgnie faceta przez łącza i urwie mu łeb.

Doktor Jerry recytował dalej:

– Kocham spełnieniem twych potrzeb i życzeń codziennych. Kocham w słońcu i przy blasku świateł. Kocham śmiało jak ludzie walczą, by praw strzec.

Leigh spojrzała na Phil ponad otwartym grobem. Matka nie miała maseczki, chociaż w Georgii pierwszym ogniskiem covidu stał się pogrzeb. Phil siedziała w wyzywającej pozie, z rozłożonymi nogami, dłońmi zaciśniętymi w pięści. Na pogrzeb młodszej córki włożyła to samo, co wkładała w dzień poboru czynszów, czyli naszyjnik obroża, czarny T-shirt z podobizną Sida Viciousa, bo heroina jest *cool*, oko w stylu wściekły szop pracz.

Odwróciła wzrok, zanim odezwała się w niej ta sama złość, którą zawsze czuła w obecności matki. Spojrzała w kamerę transmitującą

pogrzeb. Zdumiało ją, że matka Phil jeszcze żyje i mieszka w domu opieki na Florydzie. Jeszcze bardziej zaskoczył ją Cole Bradley, który zdalnie złożył jej kondolencje. Formalnie nadal był jej szefem, chociaż spodziewała się w każdej chwili wezwania do gabinetu i zakończenia współpracy. Raczej nie miała tam przyszłości. Jej siostra zamordowała jej klienta i jego nowo poślubioną żonę, potem przedawkowała, a wszystko z niezrozumiałych powodów.

A ona jasno zadeklarowała, że żadnych wyjaśnień nie dostarczy.

Reggie Paltz zgodnie z przewidywaniami prysnął z miasta, a nikt inny nie zgłosił się, żeby wypełnić wielkie puste miejsca w tej układance. Żaden przyjaciel, sąsiad, prawnik, bankowiec, doradca finansowy czy płatny informator.

Ktoś jednak musiał znać prawdę. Kiedy Leigh wtargnęła do domu Andrew, sejf był otwarty. I pusty.

Powiedziała sobie, że mówi się trudno. Kasety nadal gdzieś są, prędzej czy później wypłyną, ktoś zgłosi się na policję, przyjdzie do niej albo... wszystko jedno co. Cokolwiek się stanie, była gotowa ponieść konsekwencje. Jedyne, na co miała wpływ, to czym wypełni swoje życie w tym czasie, który jej jeszcze został.

Doktor Jerry zakończył:

– Kocham miłością, jaką wzbudzać mógł rząd utraconych świętych. Dopóki tchu w piersi, kocham łzą, śmiechem, życiem. A gdy zechce Bóg, będę cię jeszcze bardziej kochała po śmierci.

Walter westchnął ciężko. Leigh czuła to samo. Może doktor Jerry rozumiał więcej, niż sądzili.

– Dziękuję. – Doktor Jerry zamknął książkę i posłał Callie buziaka, a potem podszedł do Phil, żeby złożyć jej kondolencje.

Leigh bała się, że matka powie coś okropnego temu dobremu staremu człowiekowi.

– W porządku? – szepnął Walter z troską w oczach.

Rok temu zirytowałyby się na taką nadopiekuńczość, ale teraz była mu wdzięczna. Miłość do niego stała się łatwiejsza, odkąd sam zrozumiał, jak to jest, kiedy człowiek zostaje złamany.

– W porządku – odparła, mając nadzieję, że słowa wypowiedziane staną się faktem.

Doktor Jerry obszedł grób i wrócił na ich stronę.

– Tu jesteś, młoda damo – zwrócił się do Leigh.

Walter i Leigh wstali, żeby z nim porozmawiać.

– Dziękuję za przybycie.

Maseczka doktora Jerry'ego była mokra od łez.

– Nasza Calliope była cudowną dziewczyną.

– Dziękuję – powtórzyła Leigh. Jej maseczka też kleiła się do twarzy. Za każdym razem, kiedy myślała, że wypłakała już wszystkie łzy, pojawiała się kolejna porcja. – Bardzo pana kochała, doktorze Jerry.

– Cóż... – Poklepał ją po dłoni. – Mogę zdradzić ci sekret, który odkryłem po śmierci mojej ukochanej żony?

Leigh skinęła głową.

– Nasz związek z drugim człowiekiem nie kończy się wraz z jego śmiercią. On się umacnia. – Puścił do Leigh oko. – Przeważnie dlatego, że nie mogą ci już powiedzieć, że się mylisz.

Coś ścisnęło ją w gardle.

Walter wybawił ją z opresji.

– Doktorze Jerry, pański chevrolet to klasyk. Zechce mi go pan pokazać?

– Cała przyjemność po mojej stronie, młody człowieku. – Doktor Jerry pozwolił ująć się pod ramię. – Powiedz, czy kiedyś ośmiornica uderzyła cię w twarz?

– Ja pierdołę. – Phil odchyliła się na krześle. – Stary przyk ma demencję. Przenosi się do Oregonu z Antifą czy innym gównem.

– Zamknij się, mamó. – Leigh zdjęła maseczkę i zaczęła szukać w torebce chusteczek.

– Była moją córką, wiesz? – odkrzyknęła z drugiej strony grobu. – Kto się nią zajmował? Do kogo zawsze wracała?

– Jutro Walter przyjedzie po kota.

– Po Głupią Cipę?

W pierwszej chwili Leigh była zaskoczona, ale potem parsknęła śmiechem.

– Tak, Głupia Cipa będzie mieszkać u mnie. Tego chciała Callie.

– Uhm, niech to szlag. – Phil bardziej przejęła się stratą kota niż córki. – To cholernie dobry kot. Mam nadzieję, że wiesz, co dostajesz.

Leigh wydmuchała nos, natomiast Phil wzięła się pod boki i mówiła dalej:

– Coś ci powiem. Problem z tobą i twoją siostrą polegał na tym, że Callie ciągle patrzyła wstecz, a ty desperacko patrzyłaś przed siebie.

Leigh niechętnie przyznała w duchu, że Phil ma rację, ale i tak się odszczeknęła:

– Większy problem polegał na tym, że miałyśmy matkę do dupy.

Phil otworzyła usta, ale szybko je zamknęła. I otworzyła szeroko oczy. Patrzyła ponad ramieniem Leigh, jakby zobaczyła ducha.

Leigh odwróciła się.

Gorzej niż ducha.

Linda Tenant stała oparta o czarnego jaguara. Z jej ust zwisał papieros, miała na sobie te same perły i koszulkę polo, tym razem z długim rękawem ze względu na chłód. Kiedy Leigh widziała ją ostatnio, siedziały przy stole konferencyjnym w prywatnym gabinecie Cole'a Bradleya i omawiały strategię obrony jej syna.

– Powinnyśmy... – Leigh urwała, ponieważ Phil skwapliwie obrała przeciwny kierunek. – Dzięki, mamó.

Nabrała powietrza w płuca i rozpoczęła długi marsz ku matce Andrew. Linda jakby utkwiała w miejscu, nie oderwała się od jaguara. Miała skrzyżowane ramiona i na pewno nieprzyjazne zamiary, skoro zjawiała się na pogrzebie Callie. Ta demonstracyjna obecność była poniekąd zrozumiała. Jej syn i synowa zostali zamordowani. Nieważne, że rodzina Ruby Heyer, Tammy Karlsen i trzy pozostałe ofiary Andrew nigdy nie uzyskają sprawiedliwości. Ważne, że Linda Tenant szukała wyjaśnienia.

Leigh nie zamierzała niczego wyjaśniać, ale ostatecznie mogła wyświadczyć jej uprzejmość i wystawić się na słowny atak.

Kiedy była już blisko, Linda wyrzuciła papierosa w trawę.

– Ile miała lat? – zapytała.

Leigh nie spodziewała się takiego pytania, ale od czegoś trzeba zacząć.

– Trzydzieści siedem.

Linda pokiwała głową.

– Czyli miała jedenaście, kiedy zaczęła dla mnie pracować.

– Dwanaście – sprostowała Leigh. – Rok młodsza ode mnie, gdy ja zaczęłam.

Linda wyjęła z kieszeni spodni khaki paczkę papierosów, wytrząsnęła jednego i zapaliła pewnie trzymaną zapalniczką, dłoń jej ani drgnęła.

Gdy wypuściła w powietrze kłęb dymu, Leigh wyczuła w niej skumulowaną złość. Nie wiedziała, czy Linda tylko rzuci się na nią, czy na miazgę rozjedzie autem.

Nie zrobiła nic z tych rzeczy, tylko powiedziała:

– Zrobiłaś porządek.

Leigh spojrzała na swoją czarną sukienkę i przypomniała sobie dzinsy oraz koszulkę z Aerosmith, które miała na sobie podczas spotkania u Bradleya.

– Dziękuję? – odparła pytająco.

– Nie mówię o twoim stroju. – Linda gwałtownie poruszyła głową, gdy wyjęła papierosa z ust. – Zawsze byliście porządne, ale wtedy ogarnęłyście dom jak nigdy.

Leigh pokręciła głową.

Słyszała słowa, ale ich sens do niej nie docierał.

– Podłoga w kuchni lśniła, kiedy wróciłam ze szpitala. – Linda nerwowo zaciągnęła się dymem. – Wybielacz był tak mocny, że oczy mi łzawiły.

Leigh otworzyła usta ze zdumienia. Linda mówiła o domu przy Canyon Road i o tamtej nocy. Gdy już pozbyły się ciała, Callie na kolanach wyszorowała podłogi, a ona wyczyściła zlewy. Odkurzyły i wytarły na mokro blaty, wypucowały klamki, listwy przypodłogowe,

i żadnej nie przyszło do głowy, że Linda Waleski wróci z pracy do domu i będzie zachodzić w głowę, dlaczego wysprzątały jej zapuszczony dom.

– Uh – powiedziała Leigh, słysząc głos Callie, która czasami tak pomrukiwała, gdy nie wiedziała, co powiedzieć.

– Myślałam, że zabiłyście go dla pieniędzy, a potem zaczęłam się zastanawiać, że pewnie stało się coś złego. Twoja siostra... następnego dnia... to było straszne. Musiała być jakaś awantura, jakaś bójka. Chciałam zadzwonić na policję. Chciałam stłuc tę szmatę, którą nazywasz matką. Ale nie mogłam.

– Dlaczego?

– Bo powód nie miał znaczenia. Ważne, że się go pozbyłyście i zdobyłyście pieniądze, bo to było sprawiedliwe. – Znow zaciągnęła się nerwowo. – Nigdy nie zadawałam pytań, bo dostałam to, czego chciałam. On nie pozwoliłby mi odejść. Raz próbowałam i strasznie mnie wtedy pobił. Tłukł mnie, aż straciłam przytomność, i cisnął mnie na podłogę.

Leigh zastanawiała się, jak Callie przyjęłaby tę informację. Och, na pewno ze smutkiem, bo kochała Lindę.

– Nie mogłaś jechać do rodziny?

– Jak sobie pościelesz, tak się wyśpisz, prawda? – Zdjęła z języka drobinę tytoniu. – Nawet kiedy już się go pozbyłyście, musiałam płaszczyć się przed tym bucem, moim bratem. Chciał mnie wyrzucić na ulicę. Musiałam błagać, żeby mnie przyjął. Kazał mi czekać miesiąc na decyzję, a potem nawet nie wpuścił nas do domu. Mieszkaliśmy w nędznym mieszkanku nad garażem jak służba.

Leigh ugryzła się w język. Były o wiele gorsze miejsca do życia.

– Czasem jednak się zastanawiałam. Nie ciągle, ale bywały takie momenty. Dlaczego? Ile dostał zaliczki za tę robotę przy budowie

centrum handlowego? Pięćdziesiąt patyków?

– Pięćdziesiąt było w neseserze. Trzydzieści sześć znalazłyśmy w różnych skrytkach w domu.

– Brawo. Jednak to nadal nie miało sensu. Wy nie byłyście takie, choć niektóre dzieciaki w sąsiedztwie tak. Poderznęłyby gardło dla dziesięciu dolarów, co dopiero dla osiemdziesięciu sześciu patyków. Ale nie wy. I to mnie gryzło. – Zdjęła z paska pilota do auta i położyła kciuk na przycisku. – A potem znalazłam to u siebie w garażu. I wreszcie zrozumiałam.

Kłapa bagażnika odskoczyła.

Leigh obesza jaguara i stanęła przed otwartym bagażnikiem. W środku leżała czarna plastikowa torba na śmieci. Nie była związana, dlatego Leigh zobaczyła stos kaset VHS. Nie musiała ich liczyć. Wiedziała, że jest piętnaście. Czternaście z Callie. Jedna z Callie i z nią.

– W noc swojej śmierci Andrew przyjechał do mojego domu. Usłyszałam go w garażu. Nie pytałam, co robi. Dziwnie się zachowywał, ale on zawsze był dziwny. Kilka dni temu przypomniałam sobie o tym, gdy znalazłam tę torbę. Leżała w jednej z szafek głębiej wciśnięta. Nie powiedziałam o tym policji, ale mówię tobie.

Leigh czuła ściskanie w gardle. Spojrzała na Lindę.

A Linda nadal tkwiła w jednym miejscu, tylko poruszała ręką, w której trzymała papierosa.

– Miałam tylko trzynaście lat, kiedy poznałam ojca Andrew. Nieźle mnie wzięło. Trzy lata trwały całe korowody: uciekałam, wysłali mnie do dziadków, nawet do szkoły z internatem, w końcu zrozumieli, że to nic nie da, i zgodzili się na ślub. Wiedziałaś o tym?

Leigh chciała złapać torbę, ale to Linda rozdawała karty. Może istniały kopie. Może był gdzieś inny serwer.

– Nie myślałam, że... – Umilkła i zaciągnęła się dymem. – Próbował z tobą?

Leigh odsunęła się od bagażnika.

– Tak.

– Udało mu się?

– Raz.

Linda wyjęła z paczki kolejnego papierosa i zapaliła go od poprzedniego.

– Uwielbiałam ją. Była kochana, ufałam jej, nie bałam się powierzyć jej Andrew. Ani przez chwilę nie sądziłam, że stanie się coś złego. A jednak doszło do tego. Skrzywdził ją i nawet kiedy zniknął, nie przestał jej krzywdzić...

Leigh patrzyła na łzy płynące Lindzie po policzkach. Ani razu nie wymieniła imienia Callie.

– Tak czy inaczej – Linda zakasłała, dym poszedł jej z ust i nosa – przepraszam za to, co ci zrobił. I strasznie przepraszam za to, co zrobił jej.

Leigh powtórzyła to, co sama usłyszała od Waltera:

– Nie przyszło ci do głowy, że pedofil, który ciebie molestował, gdy miałaś trzynaście lat, będzie molestował inne trzynastoletki?

– Byłam zakochana. – Zaśmiała się gorzko. – Myślę, że powinnam przeprosić też twojego męża. Dobrze się czuje?

Leigh nie odpowiedziała. Walter został ogłuszony, był trzymany na muszce i zmuszony do wypicia wody z pigułką gwałtu. Jeszcze długo nie będzie czuł się dobrze.

Linda wypaliła papierosa do samego filtra i powtórzyła ten sam manewr, czyli wytrząsnęła z paczki kolejnego papierosa i odpaliła od poprzedniego.

– Zgwałcił tę kobietę, tak? Zabił tę drugą?

Leigh domyśliła się, że Linda mówi o przestępstwach Andrew i Sidney. Próbowwała ją skłonić, żeby wypowiedziała nazwiska Tammy Karlsen i Ruby Heyer.

– O jakich kobietach mówisz?

Linda potrząsnęła głową i wypuściła chmurę dymu.

– Nieważne. Był tak samo zepsuty jak jego ojciec. A ta dziewczyna, z którą się ożenił... taka sama zła jak on.

Wzrok Leigh spoczął na kasetach. Linda musiała je tu przywieźć z jakiegoś powodu.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego Callie zabiła Andrew i Sidney?

– Nie. – Rzuciła papierosa na trawę, podeszła do bagażnika, wyjęła worek i postawiła go na ziemi. – To jedyne kopie, o których wiem. Jeśli coś jeszcze wypłynie, wszystkiemu zaprzeczę. Powiem, że to nieprawda, fotomontaż, jak zwał, tak zwał. Masz we mnie sojuszniczkę. I jeśli to ma jakieś znaczenie, to powiedziałam Cole’owi Bradleyowi, że w tym, co się stało, nie ma twojej winy.

– Mam ci dziękować?

– Nie, to ja ci dziękuję, Harleigh Collier. Jeśli o mnie chodzi, to uśpiłaś dla mnie jedno zwierzę, a twoja siostra uśpiła drugie. – Wsiadła do auta, włączyła silnik i odjechała.

Leigh odprowadziła spojrzeniem lśniącego jaguara do chwili wyjazdu z cmentarza. Myślała o gniewie Lindy, o jej nałogowym paleniu i kompletnym braku współczucia. Rozbawiło ją, że przez wszystkie te

lata wmawiała sobie, że jej męża zamordowały dwie nastoletnie płatne zabójczynie o wyjątkowym zamiłowaniu do czystości.

Callie miałyby wiele pytań.

Leigh nie mogła na nie odpowiedzieć.

Spojrzała w niebo. Na dzisiaj zapowiadali deszcz, ale na razie po niebie mknęły białe obłoki. Chciała myśleć, że jej siostra właśnie czyta Chaucera kociakowi, który posługuje się cyfrową walutą, by ukryć swoje pieniądze przed skarbowką, ale rzeczywistość powstrzymała ją przed fantazjami.

Miała nadzieję, że doktor Jerry się nie mylił. Chciała podtrzymać więź z siostrą. Chciała Callie, która nie bierze heroiny, ma posadę w klinice weterynaryjnej, przygarnia zwierzęta, przychodzi w każdy weekend na lunch i zabawia Maddy historyjkami o pierdzących żółwiach.

Na razie zostało jej wspomnienie ostatniej wspólnej siostrzanej chwili w gabinecie doktora Jerry'ego, uścisku dłoni Callie i wybaczenia kłamstwa, które stało się sekretem, a potem zdradą.

„Jeśli to poczucie winy nosiłaś w sobie przez całe dorosłe życie, to zrzuć je z siebie, bo ta wina nie jest twoja. To jego wina”.

Wtedy kamień nie spadł Leigh z serca, ale teraz czuła, że z każdym dniem ciężar w jej piersi maleje. I może pewnego dnia całkiem zniknie.

Zmarła siostra zostawiła też po sobie konkretne rzeczy. W pokoju socjalnym doktor Jerry znalazł jej plecak, którego zawartość układała się w złożoną opowieść o Callie. Karta członkowska do solarium na nazwisko Juliabelle Gatsby. Karta biblioteczna do biblioteki hrabstwa DeKalb na nazwisko Himari Takahashi. Książka w miękkiej okładce o ślimakach. Telefon na kartę. Dwanaście dolarów. Zapasowa para skarpetek. Prawo jazdy Leigh z Chicago, które Callie ukradła jej

z portfela. I skrawek kocyka, którym była owinięta Maddy w transporterze dla kota.

Dwie ostatnie rzeczy miały szczególne znaczenie. Przez szesnaście ostatnich lat Callie siedziała w więzieniu, w areszcie, była w różnych ośrodkach odwykowych, pomieszkiwała w tanich motelach, czasem na ulicy, ale zdołała zachować zdjęcie Leigh i kawałek kocyka Maddy.

Jej córka nadal miała w domu ten kocyk. I nadal nie знаła historii brakującego kawałka. Walter i Leigh regularnie toczyli dyskusje, kiedy i jak powiedzieć Maddy prawdę. I gdy już zgodnie dochodzili do wniosku, że muszą być z nią szczerzy i właściwie nie mają wyboru – ponieważ sekret zdążył obrócić się w kłamstwo, na gruncie którego wyrośnie zdrada – Callie zawsze wybijała im to z głowy.

W plecaku zostawiła liścik do Leigh. W jego treści pobrzmiwało echo listu sprzed szesnastu lat, który zostawiła przy Maddy. Musiała napisać go po rozmowie w gabinecie doktora Jerry'ego, gdy już wiedziała, że nigdy więcej nie zobaczy Leigh.

Proszę, przyjmij dar swojego pięknego życia. Jestem z Ciebie dumna, moja kochana Siostrzyczko. Wiem, że bez względu na wszystko Ty i Walter zapewnicie Maddy szczęście i bezpieczeństwo. Proszę Cię tylko, żebyś nigdy nie zdradziła Maddy naszego sekretu, bo jej życie będzie o wiele szczęśliwsze beze mnie. KOCHAM CIĘ. KOCHAM CIĘ!

– Ej. – Walter przestąpił tłące się papierosy Lindy. – Kim była ta kobieta w jaguarze?

– Matka Andrew. – Leigh patrzyła, jak Walter zagląda do czarnej torby na śmieci. Odwrócił kasety, żeby przeczytać napisy na etykietach: „Callie #8”. „Callie #12”. „Harleigh i Callie”.

– Czego chciała?

– Rozgrzeszenia.

Walter wrzucił kasety z powrotem do worka.

– Dałaś je?

– Nie – odparła Leigh. – Na to trzeba zasłużyć.

[15] Elizabeth Barrett Browning, *Sonet 43* (z tomiku *Sonety z portugalskiego*), przekład Ludmiła Marjańska. (Przyp. tłum.).

OD AUTORKI

Drodzy Czytelnicy,

w początkach mojej kariery pisarskiej postanowiłam tworzyć powieści bez odniesień do konkretnego czasu. Pragnęłam, by bieżące wiadomości czy zjawiska popkultury nie miały wpływu na tok narracji. Zmieniłam podejście, kiedy zaczęłam pracować nad serią z detektywem Willem Trentem oraz samodzielnymi powieściami, kiedy odczułam wagę i sens zakotwiczenia książek w teraźniejszości, by stały się odbiciem społeczeństwa. Za pośrednictwem fikcyjnej historii chciałam stawiać pytania: gdzie są korzenie ruchu #metoo (*Miasto glin*), jak uodporniliśmy się na przemoc wobec kobiet (*Moje śliczne*), a nawet jak doszło do tego, że rozwścieczony tłum wdziera się na Kapitol (*Ostatnia wdowa*).

Istnieje delikatna równowaga między poruszaniem kwestii społecznych a zachowaniem tempa i narracji thrillera. Jestem autorką thrillerów do szpiku kości i nie chcę spowalniać akcji czy zaburzać rytmu opowieści wkraczaniem na uliczną mównicę. Zawsze próbuję przedstawić punkt widzenia obu stron, nawet jeśli nie podzielam czyjegoś poglądu. Pamiętając o tym, zaczęłam układać zarys historii, która przybrała ostateczny kształt jako *Fałszywy świadek*. Wiedziałam, że chcę wpleść w akcję książki wątek pandemii SARS-CoV-2, ale wiedziałam też, że będzie to opowieść nie tyle o samej pandemii, ile o ludziach próbujących jakoś w niej żyć. Oczywiście moja perspektywa nie jest wyłącznie spojrzeniem Amerykanki, mieszkanki Atlanty

w stanie Georgia. Jak wszyscy inni patrzę na świat przez pryzmat własnej indywidualności.

Kiedy w marcu 2020 roku zaczęłam pisać *Fałszywego świadka*, musiałam stać się do pewnego stopnia futurystką, by przewidzieć, jak będzie wyglądać nasze życie za rok. W trakcie pracy nad książką wiele się zmieniło. Najpierw mówiono nam, że mamy obywać się bez maseczek, by w szpitalach ich nie zabrakło. Potem kazano nam nosić maseczki (w pewnym momencie nawet podwójne). Początkowo zalecano noszenie rękawiczek, później odwołano to zalecenie, twierdząc, że rękawiczki dają złudne poczucie bezpieczeństwa. Najpierw radzono, żeby myć produkty przynoszone ze sklepu, potem pojawił się komunikat, że jednak nie trzeba tego robić. Potem pojawiły się nowe warianty koronawirusa, aż szczęśliwie doczekaliśmy powstania szczepionek i wprowadzenia ich do obiegu, co postanowiłam wpleść w fabułę, chociaż okazało się to nieco kłopotliwe z tego względu, że książka była już prawie gotowa. To jednak drobne niedogodności w porównaniu z tragedią o ogólnoświatowym zasięgu.

Kiedy piszę te słowa, liczba śmiertelnych ofiar koronawirusa w Stanach Zjednoczonych przekroczyła pół miliona. Są dziesiątki milionów ozdrowieńców. Niektórzy z nich doświadczają długotrwałych skutków choroby, inni na zawsze będą nią naznaczeni. Śmierć z powodu covidu jest śmiercią w samotności. Nasi medycy doświadczyli niewypowiedzianej traumy, obserwując skutki działania tego strasznego wirusa. Lekarze sądowi, koronerzy, pracownicy domów pogrzebowych zmagali się z tsunami covidowych śmierci. Nauczyciele, pracownicy produkcji i usług, służby ratownicze – lista jest długa, ponieważ pandemia dotknęła każdego mieszkańca ziemi w dużej i małej skali. Taki ogrom codziennych śmierci nie pozostanie bez wpływu na przyszłe pokolenia. Nadal nie wiadomo, jakie skutki przyniesie zjawisko masowego zawieszenia żałoby. Wiemy z badań nad ofiarami

molestowania w dzieciństwie, że trauma prowadzi do depresji, zespołu stresu pourazowego, problemów sercowo-naczyniowych, udarów, zawałów serca, nowotworów, zwiększonego ryzyka uzależnień od alkoholu czy narkotyków, a w skrajnych przypadkach do myśli samobójczych. Za piętnaście, dwadzieścia lat przekonamy się, jak będzie wyglądał świat, kiedy pokolenie Zooma i innych komunikatorów zacznie wychowywać własne dzieci.

Chociaż uwielbiam swoich czytelników, zawsze pisałam książki dla siebie, wykorzystując fikcję do przyswajania i osvajania świata wokół mnie. Kiedy obmyślałam realistyczny sposób wprowadzenia rzeczywistości pandemicznej do *Fałszywego świadka*, szukałam inspiracji w nieodległej historii. Pod wieloma względami ewolucja naszego zrozumienia COVID-19 odzwierciedla początek tego, co nazwano „kryzysem AIDS”, w którego cieniu dorastało moje pokolenie. Jak z SARS-CoV-2, istniało mnóstwo znaków zapytania, gdy HIV pierwszy raz pokazał swoje groźne oblicze. Naukowcy nie od razu wiedzieli, jak dochodzi do transmisji wirusa, jak działa, skąd się wziął, dlatego zalecenia zmieniały się praktycznie co miesiąc, a homofobia i rasizm dostały pożywkę. Reakcje ludzi na HIV/AIDS obejmują cały wachlarz zachowań: od strachu i złości przez zaprzeczanie, akceptację aż po „chrzanić to”. Chociaż AIDS był o wiele bardziej śmiertelny niż covid (a droga zarażenia nie była drogą powietrzną), podobne reakcje obserwujemy w czasach pandemii COVID-19. Powinnam dodać, że podczas przebiegu obu tych tragedii byliśmy świadkami zderzenia troski i życzliwości z bezprzykładną nienawiścią. Najlepszym probierzem naszego człowieczeństwa lub jego braku jest czas kryzysu.

Tych osiemnaście trudnych miesięcy stało się podstawą opowieści świadomej społecznie, która zdefiniowała moją pracę. Covid pogłębił przepaść między bogatymi a biednymi, uwidoczniał kryzys mieszkaniowy, zagrożenie głodem, unaoczniał brak systemu finansowania

szkolnictwa, szpitali i domów opieki, podważył zaufanie do instytucji państwowych, pogorszył i tak już fatalną opiekę medyczną w więzieniach i aresztach, pogłębił mizoginię, postawy ksenofobiczne i rasistowskie, powiększył nierówności rasowe, i jak zwykle w takich przypadkach obciążył niewspółmiernie i tak już obciążone kobiety. Wszystkie te tematy starałam się dotknąć w książce, którą trzymacie w dłoniach. Staram się pogłębiać swoje zrozumienie i nad każdą z tych kwestii pochylić się z empatią.

Jednym z moich ulubionych opowiadań jest *Biały koń, biały jeździec* Katherine Anne Porter. Jego akcja toczy się w czasie pandemii grypy w tysiąc dziewięćset osiemnastym roku. Główna bohaterka choruje (jak autorka), a czytelnik otrzymuje obraz destrukcyjnego wpływu wirusa: strach bohaterki przed utratą pracy i dachu nad głową, kilkudniowe czekanie na miejsce w szpitalu, koszmary senne i halucynacje wywołane obecnością Białego Jeźdźca: Śmierci. Ostatnia kwestia tej opowieści jest ponadczasowa i prorocza. Doskonale ujmuje to, co poczujemy, kiedy przejdziemy przez najgorszy czas tej okrutnej pandemii i odnajdziemy drogę do nowej normalności:

„Teraz będzie czas na wszystko”.

Karin Slaughter

26 lutego 2021

Atlanta, Georgia

PODZIĘKOWANIA

Moje podziękowania jak zawsze kieruję najpierw do Victorii Sanders i Kate Elton, które znają mnie dłużej niż ja sama. Dziękuję nieustrudzonym Emily Krump oraz Kathryn Cheshire, a także całemu zespołowi GPP. Dziękuję Bernadette Baker-Baughman z VSA za niewyczerpane pokłady cierpliwości (może ma laleczkę wudu uosabiającą mnie, którą dźga codziennie rano).

Kaveh Khajavi, Chip Pendleton i Mandy Blackmon odpowiedzieli na moje drobiazgowo pytania dotyczące szkieletu i stawów. David Harper pomaga mi uśmiercać ludzi od dwudziestu lat i tym razem, jak zwykle, jego pomoc okazała się bezcenna, chociaż przyszło mu zmagać się ze śnieżycami w Teksasie i gradobiciami, które szczęśliwie przetrwał. Elise Diffie przeprowadziła mnie przez machinacje w klinice weterynaryjnej, chociaż wszystkie sposoby obejścia systemu to moje pomysły. Być może Elise jest jedyną czytelniczką tej książki, która wie, jak przezabawne jest imię Deux Claude dla pirenejskiego psa górskiego.

Alafair Burke, Patricia Friedman i Max Hirsh służyli mi pomocą w kwestiach prawnych. Jeśli wkradły się jakieś błędy czy nieścisłości, są one wyłącznie moją winą (to tragedia, ale prawo nigdy nie jest takie, jak byśmy chcieli). Dla tych, których to interesuje: 14 marca 2020 roku prezes Sądu Najwyższego Stanu Georgia wydał zakaz rozpraw z udziałem ławy przysięgłych z powodu przekroczenia limitu osób, które mogą jednocześnie przebywać na sali rozpraw. W październiku zakaz uchylono, ale kilka dni przed Bożym Narodzeniem rosnąca liczba zakażeń spowodowała przywrócenie zakazu. Dziewiątego marca 2021

roku zakaz znowu uchylono, powołując się na „znaczący spadek liczby zachorowań na COVID-19”. Ta sytuacja trwa do dzisiaj i mam nadzieję, że tak już zostanie.

Dziękuję D.A. za tolerowanie moich długich nieobecności (fizycznych i mentalnych) w trakcie pisania tej historii. Od lat prowadząc styl życia zbliżony do kwarantanny, myślałam, że będzie łatwiej, ale nie było. Dziękuję mojemu tacie za to, że jest przy mnie bez względu na wszystko. Spodziewam się powrotu dostaw zupy i chlebka kukurydzianego, skoro najgorsze za nami. Mojej siostrze dziękuję za to, że jest moją siostrą.

I na koniec chcę wyraźnie zaznaczyć, że temat narkotyków i metod ich zażywania potraktowałam z dużą swobodą, ponieważ udzielanie szczegółowych instrukcji absolutnie nie jest moją intencją. Jeśli należysz do licznej grupy ludzi zmagających się z uzależnieniem, pamiętaj, że zawsze jest ktoś, kto cię kocha.

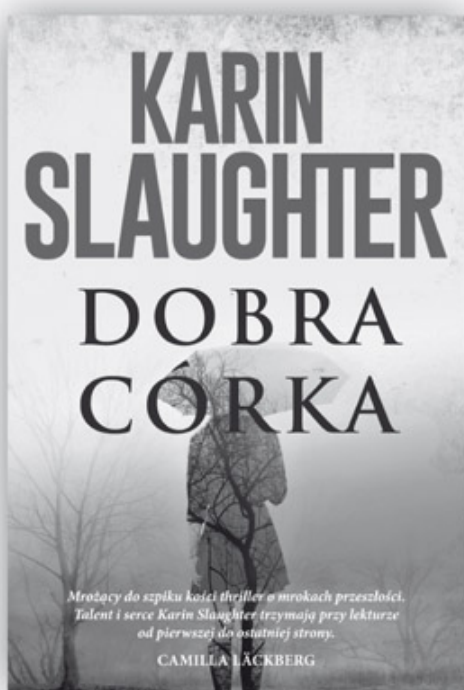
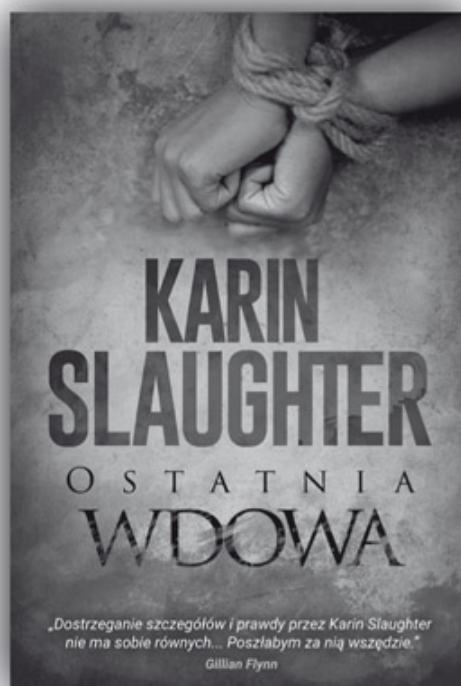
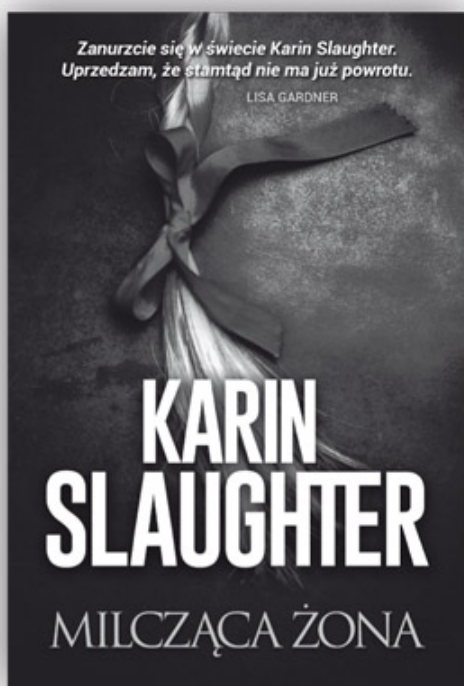


Fot. Alison Rosa

KARIN SLAUGHTER jest jedną z najpoczytniejszych i uznanych autorek kryminałów i thrillerów. Jej książki, opublikowane dotąd w stu dwudziestu krajach, osiągnęły w sumie nakład ponad trzydziestu pięciu milionów egzemplarzy. Karin Slaughter ma na koncie dwadzieścia tytułów, wśród nich jest cykl, którego akcja rozgrywa się w Grant County, seria z detektywem Willem Trentem, *Miasto glin* nominowane do nagrody im. Edgara Allana Poe, a także powieści z listy bestsellerów „Sunday Timesa”: *Moje śliczne*, *Dobra córka*, *Układanka* i *Ostatnia wdowa*. Jest pomysłodawczynią i założycielką Save the Libraries, organizacji non profit, której celem jest wspieranie bibliotek oraz ich cyfryzacja. Urodzona w Georgii, Karin Slaughter mieszka w Atlancie. Obecnie Netflix pracuje nad ekranizacją *Układanki*, trwają także prace nad realizacją cyklu o Grant County i serii z detektywem Willem Trentem na potrzeby telewizji.

www.KarinSlaughter.com

POLECAMY RÓWNIEŻ INNE KSIĄŻKI KARIN SLAUGHTER:



SPIS TREŚCI:

Okładka

Karta tytułowa

LATO 1998

WIOSNA 2021

1

2

3

LATO 1998

WIOSNA 2021

4

5

6

7

8

9

10

11

LATO 2005

CHICAGO

WIOSNA 2021

12

13

14

15

16

17

18

19

20

EPILOG

OD AUTORKI

PODZIĘKOWANIA

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: *False Witness*

Pierwsze wydanie: HarperCollinsPublishers 2021

Opracowanie graficzne okładki: Emotion Media

Projekt okładki: Emma Graves

Ilustracja na okładce: Trevillion

Redaktor prowadzący: Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne: Jakub Sosnowski

Korekta: Sylwia Kozak-Śmiech

Copyright © Karin Slaughter 2021

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa,
2021

Will Trent is a trademark of Karin Slaughter Publishing LLC.

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub
całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Niniejsze wydanie zostało opublikowane na licencji HarperCollins
Publishers, LLC.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo
do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie
przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins
Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody
właściciela.

ISBN 978-83-276-7596-5

HarperCollins Polska sp. z o.o.

ul. Domaniewska 34a

02-672 Warszawa

www.harpercollins.pl

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / [Woblink](#)